EUGENJUSZ STARCZEWSKI

WIDMA PRZESZŁOŚCI

SZKICE HISTORYCZNE

WYDANIE POŚMIERTNE Z PRZEDMOWĄ
BOLESŁAWA LUTOMSKIEGO

WYDAWNICTWO T-WA KRESÓW WSCHODNICH
SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

WIDMA PRZESZŁOŚCI



EUGENJUSZ STARCZEWSKI

WIDMA PRZESZŁOŚCI

SZKICE HISTORYCZNE

WYDANIE POŚMIERTNE Z PRZEDMOWĄ
BOLESŁAWA LUTOMSKIEGO

WYDAWNICTWO T-WA KRESÓW WSCHODNICH
SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

D-59/80

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0422116

Uniwersytet Warszawski BIBLIOTEKA Wydz. Hum. w Białymstoku
Hd
121203

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE
1929

K-205/75/64432

WSTĘP

EUGENJUSZ STARCZEWSKI

I

Rzeczywistość wystawia historyków i pisarzy politycznych na trudne próby i doświadczenia. Oświetlenie, jakie dawali wypadkom i postaciom dziejowym, krytyka warstw przodujących i mężów stanu, wywyższenie jednych a potępienie drugich, nareszcie sąd o charakterze narodów, który jest najpewniejszym kluczem do zrozumienia ich czynów, błędów i losów historycznych, — wszystko to podlega nietylko analizie naukowej, już to doskonalącej się logicznie i metodycznie, już to wspartej na świeżo znalezionych dokumentach, ale jeszcze sama rzeczywistość jest tutaj właśnie bardzo surowym krytykiem, wykazuje złudę i ułudę sądów ludzkich, chybione przewidywania i znikome rozumowania.

Rzeczywistość zaś współczesna, rzeczywistość dni naszych obaliła tyle prognostyków, wykazała szczególną czczość zamiarów mocarzy tego świata, obróciła wniwecz ich sny o potędze, upokorzyła do dna ich dumę, ich ambicje światowładcze!

Zwłaszcza my, Polacy, wystawieni na wszystkie ciosy, męki i udręki największych do niedawna mocarzy — imperatorów petersburskich, królów pruskich i przedtem jeszcze cesarzy austrjackich, musieliśmy znów uwierzyć w jasnowidzące natchnienie naszych poetów, wieszczów i proroków, którzy lepiej odgadli i przewidzieli tok dziejów powszechnych, przewroty polityczne, nieuniknione wstrząśnienia i straszne katastrofy, niż najtrzeźwiejsi politycy i ministrowie, uzbrojeni we

wszystkie środki władzy państwowej, od Metternicha do Pobiedonoscewa.

Tamci, potentaci ducha, królowie myśli i słowa, poczytywali tę dawną, groźną rzeczywistość, która miała ich naród, skuty łańcuchami, obrócić na krew i pokarm ciemięzców, poczytywali to tylko za chwilowy triumf zbrodni, za pychę «gadów, mających się za bogów». Zbrodnia sądzi sama siebie.

«Nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnię,
Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie.
Żadna tu, żadna nie ma przywilei,
Król, czy gmin jaki dopuści się zdrady
Słowu Bożemu — przepada z kolei».

(Krasiński).

Wbrew panującemu mniemaniu, widzieli oni znaki zgnilizny i śmierci na pogrążonych w pysze mocarzach i mocarstwach, przepowiadali zaś z siłą przekonania nadejście wielkiej burzy dziejowej, która przyniesie zadośćuczynienie i wyda z łona swego nowy porządek świata.

Otóż zmarły w roku 1927 ś. p. Eugenjusz Starczewski, którego szkice historyczne p. t. «Widma przeszłości» wychodzą obecnie z druku, będące niejako dalszym ciągiem godnej uwagi monografji «Możnowładztwo polskie na tle dziejów» (Kraków 1914) — nie potrzebuje wcale obawiać się zetknięcia z naszą rzeczywistością, t. j. ze stanem rzeczy, jaki powstał, rozwinął się i utrwalił w odbudowanej Polsce.

Przeszłość i teraźniejszość spotykają się znów ze sobą. Jakkolwiek zaś nie można przyjąć za pewnik łatwego i bardzo rozpowszechnionego twierdzenia, że wskrzeszona w r. 1918 Rzeczpospolita ludowa jest tylko dalszym ciągiem Rzeczypospolitej szlacheckiej, upadłej w r. 1795, że widzimy dokoła siebie wszystkie podobieństwa, wszystkie cechy, winy i błędy, które doprowadziły do katastrofy dawną Rzeczpospolitą, to jednak po okropnej i tragicznej nauce, otrzymanej wtenczas, myśl nasza zwraca się naturalną rzeczy koleją ku upłynionym wiekom, zwłaszcza XVII i XVIII, gdy anarchja powszechna i egoizm zwyrodniałego możnowładztwa opanowały wszystkie dziedziny życia publicznego, gdy światli patrjoci i dobrzy obywatele, wołający o reformy, widzieli niebezpieczeństwa i podstępy wrogów, sprzysiężonych na zgubę naszego narodu.

Zasadnicza różnica między starem a nowem państwem polega przedewszystkiem na ustroju społecznym, bo gdy dawna Rzeczpospolita miała ustrój jednostanowy i szlachta była nieograniczoną posiadaczką wszystkich praw i przywilejów, obecnie mamy ustrój formalnie nowożytny, wszystkie warstwy są więc równe wobec prawa.

Wprawdzie powtarzamy, że demagogja już to z prawej, już to z lewej strony zalewa masy, stronnictwa i wszystkie grupy społeczne, że lud zwłaszcza jest wydany na pastwę demagogji, która go jątrzy przeciwko wyższym warstwom, demoralizuje i wodzi po błędnych drogach, ale i tutaj wtrącić trzeba, że nieusprawiedliwiona bierność warstw oświeceńszych, które postradały inicjatywę do poważniejszej akcji publicznej, jest także jedną z ważniejszych przyczyn panującego zła, szerzącego się bez przeszkód po całym obszarze Polski.

Starczewski z całą starannością i energją — jak to leżało w jego skłonnościach i temperamencie — zabrał się do wyświetlenia raz jeszcze ustroju szlacheckiej Rzeczypospolitej, do obnażenia wszystkich wad, słabości i błędów ziemiaństwa i możnowładztwa. Tym sposobem powstały jego cenne monografje.

Autor występuje już to jako surowy sędzia, już to nawet jako namiętny oskarżyciel, nie szczędzący winowajców i nie okazujący wcale dla nich pobłażania. Polityk i patrjota bierze w nim górę nad uczonym, skłonnym do chłodnych i powściągliwych dedukcyj.

Rozpatrując się po długiej przestrzeni dziejów naszych, operuje on nietylko pojęciami ogólnemi, nietylko przeprowadza logicznie tezę, że jednostanowy ustrój Polski, w którym szlachta zagarnęła wszystkie prawa i przywileje, trzymając w upośledzeniu miasta, pozbawione samorządu i lud, oddany na swawolę dziedziców, że położenie takie, w którem nie było żadnej równowagi społecznej, ani silniejszej władzy królewskiej, prowadziło państwo do zupełnego rozprzężenia.

Gromadzi on jednocześnie w wielkiej ilości fakty, dotyczące wybitnych rodzin możnowładczych, charakteryzuje ostremi rysami ich chciwość, bezustanne wymuszanie na królach starostw, urzędów i zaszczytów, dalej wyzysk ludu i nawet drobniejszej szlachty, niepomierną pychę wobec swoich, uniżoną pokorę wobec obcych. Im dalej na Wschód, tem

właściwości te i przywary występowały wyraziściej, dosięgały zaś swego *apogeum* na kresach, na Ukrainie, gdzie buta i swawola magnatów nie znały już żadnej miary i hamulca.

Tym trybem rzeczy — możnowładztwo nasze stacza się stopniowo nadół i z arystokracji politycznej, jaką było w XIV i XV wieku, z rady królewskiej, staje się cyniczną i rozwiązłą oligarchją w XVII i XVIII wieku, buntuje się przeciwko swoim królom, wszczyna wojny domowe, prowadzi spiski z wrogami, sprowadza ich na własną ojczyznę, przyśpiesza jej zgubę. Zebrzydowski, Opaliński, Janusz i Bogusław Radziwiłłowie, Hieronim Radziejowski w siedemnastem, znów Poniński, Ksawery Branicki, Seweryn Rzewuski, Szczęsny Potocki, Kosakowscy — w osiemnastem stuleciu dopełniają tej smutnej galerji!

Są oczywiście świetne i wielkie wyjątki. Są nazwiska, postacie, czyny i poświęcenia, które jaśnieją, jak słońce, na ciemnym widnokręgu owoczesnych dziejów. Konstanty Ostrogski i Karol Chodkiewicz, Jan Zamojski i Stanisław Żółkiewski, Jeremi Wiśniowiecki i Stanisław Rewera Potocki, nareszcie ku końcowi tego nieszczęśliwego siedemnastego wieku, największa gwiazda polskiego genjuszu wojennego — Jan Sobieski, otoczony glorją Chocima i Wiednia, przekazujący odległej potomności, przekazujący ciemnym epokom ucisku moskiewskiego blask swoich czynów i wzór nieporównanego męstwa!

Atoli Starczewskiemu bynajmniej to nie wystarcza. Prawda, że ci wodzowie i rycerze wyciągali Rzeczpospolitą z przepaści, nie tracili ducha wśród największych niebezpieczeństw, rzucali się ze szczupłemi hufcami na sześćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, zwyciężali, zstępowali do grobu okryci chwałą. Ale Starczewski nie widzi śród nich mężów stanu, którzyby umieli zapoczątkować i przeprowadzić organiczne reformy w chwiejącem się państwie, wzmocnić władzę królewską, przywrócić prawa miastom, wykształcić i urządzić stan trzeci, dać mądrą opiekę ludowi wiejskiemu, powściągnąć i wytępić anarchję, zapełnić pusty wiekuiście skarb publiczny, zorganizować stałe i duże wojsko regularne, które w owoczesnych stosunkach międzynarodowych było koniecznością; tylko ono mogło zapewnić bezpieczeństwo Polsce przed niszczycielską chciwością carów moskiewskich i dążących bez-

ustannie do «zaokrąglenia» swoich posiadłości elektorów brandeburskich.

Ten właśnie brak mężów stanu, ten brak choćby despotów politycznych, jak Ludwik XI i Richelieu we Francji, Henryk VIII w Anglji, Piotr I-y w Rosji, — sprawił, że spychano wszystko, a więc i najważniejsze reformy z dnia na dzień, że egoizm osobisty, mdła bierność, odraza do śmiałych poczynań i postanowień brały górę w ostatnich dwóch wiekach Rzeczypospolitej nad przewidującym i krytycznym patrjotyzmem.

Starczewski żałuje bardzo, że Polska nie wyłoniła z siebie takiego męża stanu w wielkim stylu, któryby starł głowę anarchji, popchnął nawę Rzeczypospolitej na nowe tory.

Wojna szwedzka za Jana Kazimierza powinna była postawić przed oczyma wszystkich, jak wątłe było istnienie Rzeczypospolitej. Nasz autor ze szczególną też uwagą zatrzymuje się przy tym tak smutnym i znamiennym obrocie zdarzeń w dziejach naszych. Karol Gustaw podbił Polskę w przeciągu czterech miesięcy! Nie był to nawet podbój, bo hetmani, magnaci, prowincje, województwa i miasta poddają się dobrowolnie, opuszczają swego króla, otwierają bramy przed najeźdźcą, który ogłosił się «protektorem» Polski.

Rok 1655, to rzadki w dziejach wypadek, rzadki widok tak świetnego niegdyś państwa, rozprzęgającego się teraz z niepojętą szybkością, rozpaczliwe widowisko szlachty i rycerstwa, tak sławnych z męstwa, które po słabym zaledwie oporze lub bez oporu rozchodzą się do domów, lub poddają się najeźdźcy. Tylko pokorny zakonnik na Jasnej Górze, tylko przeor klasztoru Paulinów w Częstochowie, ksiądz Augustyn Kordecki nie ugiął się przed nawałem nieprzyjaciela, nie oddał twierdzy klasztornej Szwedowi, nie usłuchał podszeptów ani heretyka, ani djabła. Narazie za jego przykładem poszła tylko mała garstka mieszczan lwowskich, broniących mężnie ukochanego miasta przed zdobywcą. Ta chwila dziejowa, to zadziwiająco łatwe opanowanie Rzeczypospolitej przez króla szwedzkiego zadziwiać musi historyka, statystę, każdego.

Nie na tem jednak koniec. Jednocześnie ze Szwedami, którzy przyszli od Północy — idzie nowa nawała wrogów ze Wschodu, car Aleksy Michajłowicz zajmuje Dorohobuż, Połock, Smoleńsk, Czernihów, Kijów, nareszcie Wilno. Kozacy,

pod wodzą Chmielnickiego, i Tatarzy od południo-wschodu, niebawem elektor brandeburski od Zachodu zaleją doszczętnie całą Rzeczpospolitą, wyniszczą ją ogniem i mieczem, wywiodą ludność w jasyr, nałożą okup na miasta i zamki, rozszerzą zgorszenie w sumieniach, wszelka zaś podłość i małoduszność pospieszą do zwycięzcy, złożą mu hołdy.

Ale zdziwienie jeszcze się nie kończy.

Jak się to bowiem stało, że ten sam naród, który tak łatwo dał się pobić hajdamakom i «hyperborejczykom» — jak nazywał Sienkiewicz Moskali w Trylogji — teraz, mając tylu nieprzyjaciół na karku, rozprzężony, zdemoralizowany i zdradzany przez swoich, — odzyskuje nagle postawę rycerską, skupia się najpierw w małe oddziały i zaczyna wojnę podjazdową ze Szwedami, których armja składała się w znacznej części z nieugiętych weteranów wojny trzydziestoletniej, sprowadza króla, zawiązuje swoje ulubione konfederacje, rozwija gorącą inicjatywę i nareszcie zadaje stanowcze ciosy nieprzyjacielowi.

Mamy tu do czynienia z rasowemi właściwościami narodu, które już nie poddają się analizie. Nie wystarczały one jednak do utrzymania w potędze państwa, nie wychowały społeczeństwa w dyscyplinie i poczuciu obowiązku. Starczyły tylko do bohaterskich improwizacyj, do lirycznego i gorącego patrjotyzmu, który wybuchał jasnym płomieniem podczas grozy i niebezpieczeństw, zapalał młodych i starych, cucił śpiących.

Te właściwości rasowe, ten zapał dopiero w chwili ostatecznej, ratowały kilkakrotnie Polskę od zguby. Podczas wojen szwedzkich, kozackich i moskiewskich, gdy potop zalał całą Rzeczpospolitą, wielka i niezłamana w trudzie bojowym postać Stefana Czarnieckiego starczy za całe armje, dokazuje cudów waleczności i pomysłowości; te właściwości rasowe nigdy nie zamarły, bo po wieku z górą, który upłynął od wojen siedemnastego wieku i od wielkich postaci Czarnieckiego i Sobieskiego, gdy rozpaczliwie ciemna i tłusta epoka saska przytłumiła — zdawać się mogło — wszystkie piękne cnoty w narodzie, legjony Dąbrowskiego i hufce polskie pod Napoleonem znów zwyciężają lub giną przy dźwiękach pieśni narodowej; wspaniała łuna unosi się nad wieczorem 29 listo-

pada, nad bitwą grochowską, nad Dwernickim pod Boremlem i nad baterją Bema pod Ostrołęką.

Ale nasz autor zapytuje, dlaczego po wojnie szwedzkiej i po pierwszym rozbiorze naród nie zrozumiał konieczności gruntownej przebudowy swego ustroju? Przecież było jasne, że improwizowany patrjotyzm i bohaterstwo nie wystarczają do utrzymania państwa.

Autor stawia tutaj za przykład właśnie Szwecję z epoki jej upadku: dzielność króla Gustawa III, który w r. 1772 zgniótł opozycję, podsycaną przez Rosję, poskromił ostremi środkami arystokrację, wprowadził państwo na tory rozwoju nowożytnego.

«Gustaw III, pomimo swych wad, dziwactw, fanfaronady, w chwilach ciężkich i krytycznych nie bawił się w mdłą ugodowość, lecz umiał wznieść się do wyżyn bohaterstwa i, uderzywszy w dzwon wielkiego patrjotyzmu, rozpalił nim serca swych poddanych. Bo życie narodu nie może obyć się bez chwil zapału i stawienia wszystkiego na kartę. W chwilach tych umilknąć muszą powszednie troski o dobrobyt i sam byt jednostek, oraz wyrachowana rozwaga «ludzi rozsądnych»!

Wtedy jednak, gdy w Szwecji panował Gustaw III, Polska miała króla pełnego talentów, ale słabego charakterem, będącego w zupełnej zależności politycznej i osobistej od Semiramidy północnej, nazywanej przez płatnych pochlebców z fakcji moskiewskiej «najjaśniejszą» lub «wspaniałomyślną aljantką».

Ten król światły i uczony z jednej, lekkomyślny i zepsuty z drugiej strony, pogrążony w złych obyczajach i długach, wprowadzający Polskę na nowo, po długiej nocy umysłowej do rodziny narodów ucywilizowanych, protektor i przyjaciel Naruszewiczów, Krasickich i Trembeckich, nie umiał jednocześnie stawić czoła ludziom, wypadkom i niebezpieczeństwom. Był w rezultacie smutnym symbolem nieszczęśliwego narodu, który zbił się z toru rozwoju historycznego już ku końcowi XVI wieku, przez następne dwa stulecia błąkał się po rozstajnych drogach, naprzemian lekkomyślny, pijany i rycerski, gardzący długo światłem i znów usiłujący w ciągu jednego pokolenia odrobić długi zastój i zapełnić luki w swojej inteligencji.

Pokolenie sejmu czteroletniego miało nadzwyczajne, może nadludzkie trudności do pokonania, ale i jemu brakowało znaczniejszej liczby wielkich charakterów, ustawa majowa przyszła za późno.

Za późno! Wrogowie sprzysiężeni ze zdrajcami kraju zniweczyli dzieło reformy i sprowadzili upadek Rzeczypospolitej.

«Próżno, o próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało,
Twoje mi śmiercią już blade oblicze,
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli jak Chrystus
Dani pod bicze, gdy w nich konało serce,
I gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę, gdy przestali wierzyć w Zmartwychwstanie».

(«Beniowski», Słowacki).

Tak więc jednostanowy ustrój Rzeczypospolitej, gdy szlachta zagarnia wszystko w swe ręce, upokorzenie mieszczaństwa i odjęcie mu wszelkiej roli politycznej, wbrew rozwojowi każdego nowożytnego społeczeństwa, w którem stan trzeci, energiczny i pracowity, wytworzył tę demokrację uczoną i przemysłową, która u przodujących narodów stała się główną dźwignią rozwoju powszechnego; całkowite wypuszczenie ludu wiejskiego z kierownictwa i opieki państwa i oddanie go na łaskę i swawolę dziedziców, co uczyniło ten podstawowy element budowy państwowo-społecznej całkiem biernym lub wprost niechętnym na losy narodowe; zabobonna niechęć do utrzymania w należytej liczbie i organizacji siły zbrojnej, która, w mniemaniu opinji szlacheckiej, prowadziła do absolutyzmu królewskiego, poprzestawanie zaś na pospolitem ruszeniu, mężnem, ale rozchodzącem się po każdej walnej bitwie do domów; chybiona zupełnie polityka wschodnia, która doprowadziła do wytworzenia na ogromnych przestrzeniach między Bugiem i Niemnem a Dnieprem i Dźwiną dwóch społeczeństw — szlachecko-polskiego i chłopsko-ruskiego, pozostających w nieuniknionem rozdwojeniu lub nienawiści; unja kościelna w końcu XVI-go wieku pogłębiła jeszcze ten antagonizm, uczyniła z dyzunitów wrogów Polski, nie przywiązawszy do niej unitów, upośledzonych i lekceważonych; oligarchja magnacka, wybujała do nieznanych nigdzie rozmiarów, butna i pyszna, w większości ciemna i samolubna jednocześnie, staczająca się aż do zdrady narodu i sprowadzająca nieprzyjaciela na własną ojczyznę; brak władzy i instytucyj monarchicznych, brak także wielkich politycznych postaci na nieszczęsnym tronie elekcyjnym, któreby dokonały zamachu stanu i pchnęły naród na nową drogę, — oto szereg ważniejszych przyczyn, na których Starczewski stawiał swoje tezy i wywody. Popierał je wielką liczbą przykładów, zdzierał zasłony z pobudek i czynów, z postępków i występków, przenikał życie domowe i rodzinne uchodzących za pierwsze rodzin możnowładczych, zwyczaje i obyczaje, np. zamiłowanie gry w karty, posunięte do szulerki, w której tonęły wielkie fortuny, rozwiązłość wielu kobiet, próżność, wystawność i marnotrawstwo.

Nie szczędził barw ciemnych; monografja jego staje się w wielu rozdziałach surowym aktem oskarżenia.

II

Eugenjusz Starczewski był rzadkim zresztą rodzajem pisarza politycznego, który w prowadzonych przez się studjach historycznych szuka wskazówek dla polityki narodowej, pragnie poznać wszystkie mocne i słabe strony przeszłości, ażeby wyciągnąć z nich naukę, przekonać się o wartości charakteru, zdolności i instytucji swego narodu, o jego cechach i prądach społecznych i państwowych.

Nie był on tyle archiwalnym uczonym, zanurzającym się cierpliwie i wytrwale w źródła i tajniki przeszłości, ile raczej politykiem i psychologiem, usiłującym odgadnąć sprężyny i pobudki działania naszych mężów stanu i wojowników z ubiegłych stuleci, odsłonić politykę naszego możnowładztwa, zwłaszcza «królewiąt» na Rusi i Ukrainie w trzech ostatnich stuleciach Rzeczypospolitej. Dążył on do zdobyczy natury praktycznej, pragnął przekonać się, jakie wyobrażenia i obyczaje, jakie interesa stanowe i materjalne kierowały możnowładztwem polskiem względem króla, względem miast i ludu wiejskiego, względem demokratycznej masy szlacheckiej, nareszcie względem Kozaków, unji kościelnej, unitów i dyzunitów.

Badania i spostrzeżenia Starczewskiego doprowadziły go do wyników ujemnych, do nawskróś pesymistycznego przeświadczenia o wartościach historyczno-politycznych i roli przewodniej możnowładztwa w Polsce.

Równowaga władz państwowych została z gruntu zachwiana. Możnowładztwo nasze, uosobione niegdyś w panach małopolskich, tworzących przyboczną radę królewską za ostatnich Piastów, królowej Jadwigi i Jagiełły, kierujące wtedy dość mądrze królestwem, nie umiało utrzymać się konsekwentnie w tej roli i wypuściło z rąk nić ewolucji dziejowej. W miarę wzrostu stanu rycerskiego czyli szlachty, zdobywającej coraz większe przywileje kosztem miast, chylących się do upadku, i ludu wiejskiego, oddanego zupełnie pod władzę i samowolę dziedziców, — możnowładztwo szuka dla siebie już od zjazdu w Nieszawie 1454 r. nowego oparcia w demokratycznej masie szlacheckiej, zabiega o popularność, łączy się nareszcie z nią w opozycji przeciw królowi. Tym sposobem zamiast być żywiołem porządku i czynnikiem rozwoju, zamiast wzmacniać równowagę elementów społecznych, bez których niemasz ani pomyślności, ani nawet gwarancji istnienia państwa, — możnowładztwo nasze staczało się na poziom grubego samolubstwa stanowego, czyniło się stopniowo plutokracją, oddaną swoim interesom, zdobywającą coraz większe latifundja na Białorusi, Ukrainie i Podolu.

Oddane z jednej strony interesom materjalnym, powiększania swoich olbrzymich fortun, zwłaszcza na kresach, które znów później następcy i spadkobiercy trwonili z bezprzykładną lekkomyślnością, — nasi magnaci ziemscy uprawiali z drugiej strony opozycję przeciw królowi, jako rzemiosło zawodowe, ubiegali się tym sposobem już to o popularność masy szlacheckiej, już to wymuszali dla siebie od słabego władcy królewszczyzny, starostwa, żupy solne, buławy hetmańskie i laski marszałkowskie.

W takich warunkach nie mogło być mowy o polityce państwowej w rozległem znaczeniu tego wyrazu, którąby kierowała nawą publiczną według racji stanu, według zdrowych tradycyj, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Mogła być tylko gorsza lub lepsza polityka tej lub owej «familji», która, wsparta na swoich zwolennikach, przyjaciołach, «klijentach», usiłowała pochwycić w ręce ster spraw publicznych, obsadzić swymi ludźmi stanowiska państwowe, w najlepszym razie przeprowadzić konieczne w jej mniemaniu reformy. Pomimo więc dzielnych wyjątków, godnych szlachetnego uznania i wdzięcznej pamięci pokoleń, — oligarchiczne możnowładztwo polskie, toczone rakiem pychy, anarchji i samolubstwa, nie zdołało już nigdy ani moralnie, ani politycznie wznieść się na stanowisko warstwy naczelnej, zdolnej do prowadzenia narodu śród zmiennych kolei jego losu. Targani duchem prywaty, próżności i marnych ambicyj osobistych, oligarchowie tracili jasność wzroku historyczno-politycznego, tracili poczucie obowiązku i odpowiedzialności, godne zaś uznania wyjątki nie były dość liczne, ażeby utworzyć tę śmiałą i stanowczą mniejszość, która u wszystkich narodów, pod wszystkiemi stopniami szerokości geograficznej, podejmuje inicjatywę w chwilach krytycznych, gromadzi obok siebie patrjotów, wyznawców, przenika ogniem i poświęceniem zdolnych do oporu, odważnych i wiernych.

Przy czytaniu dzieł Starczewskiego należy mieć w pamięci, że pisał je polityk, rozprawiający się ze złowrogiemi «Widmami przeszłości», pragnący odżegnać się od zdrady i anarchji, które czyhają zarówno groźne i nikczemne w naszej oto pierwszej erze wskrzeszonej Polski, jak czyhały w wieku XVII i XVIII, podczas coraz widoczniejszego rozkładu starej Rzeczpospolitej. Znakomita książka «Sprawa polska» (Kraków, 1912) i broszury polityczne Starczewskiego, mówiące o sprawach obecnych («Nasze sprawy», «Nasze rządy», «Początki Polski ludowej»), dotykają też najbardziej palących kwestyj naszego życia i ustroju państwowego, usiłują znaleźć radę na panoszące się zło, wskazują środki zaradcze i skuteczne. Są tem godniejsze uwagi i zalecenia, że pisał je nietylko historyk, ale i człowiek fachowy, prawnik i administrator, obeznany dokładnie, nieraz doskonale ze sprawami zarządu i samorządu, z zadaniami polityki państwa, jak i z techniką biurową.

Starczewski należał do tych ludzi ciekawych i pracowitych, którzy uczyli się całe życie. Pamiętam go, jak na posiedzeniach Towarzystwa Kresów Wschodnich, którego był prezesem, rzecznikiem i duszą, przysłuchiwał się uważnie prowadzonym dyskusjom, utrwalał sobie w pamięci każde zdanie poważne i kompetentne. Komunikacje, koleje i opła-

kane drogi wołyńskie i białoruskie, kasy pożyczkowe, urzędowanie starostów i wójtów, szkoły i szpitale, cała nasza administracja kresowa, pogrążona w chaosie i niedorzecznych praktykach — wszystkie te kwestje występowały wyraziście w jego oświetleniu, bo był wybornym znawcą kresów, zwłaszcza południowo-wschodnich, jak wogóle całej Ukrainy, Kijowa, Podola i Wołynia. Tam się urodził, tam mieszkał i pracował, już to na wsi, już to w Łucku i Kijowie aż do roku 1918. Ale przybył do Warszawy, którą oczywiście znał poprzednio, bez wszelkich przesądów i prowincjonalizmów, wziął się zaraz rączo do przestudjowania na nowo historji, praw i obyczajów dawnego Królestwa kongresowego.

Starczewski był mężem stanu, rozumiał więc konieczność poznania wszystkich dzielnic Polski, rozerwanych przez rozbiory, bytujących w innych prawach i w innych bezprawiach rosyjskich, pruskich, austrjackich, pojmował antagonizmy wewnętrzne i psychologiczne między mieszkańcami i wychowańcami trzech zaborów, powstałe w przeciągu stulecia, jak w Wielkopolsce, i półtora stulecia, jak w Galicji, rozdzielonej z macierzą od pierwszego rozbioru aż do jesieni 1918 r.

Mąż stanu musi dążyć do syntezy politycznej, do jedności wychowania narodowego, które jest głównym elementem polityki, jak jedność stylu artystycznego jest główną cechą dzieła sztuki. Trzeba umieć pracować dla tej syntezy, pomagać temu zrastaniu się na nowo rozerwanych gwałtownie i pokaleczonych części. Starczewski przez studja, obcowanie i obserwacje doszedł do dużej świadomości rzeczy na tem polu, poznał dobrze prawa, skłonności i typy polskie, pod tak rozmaitemi i sprzecznemi modelami urobione lub rozstrojone do gruntu, wiedział, jak wznosić trzeba budowę wskrzeszonej Rzeczypospolitej, na kogo i na co liczyć można. Kształcił się w uniwersytecie dorpackim, więcej jeszcze w moskiewskim, wpływy takie nie przeszły wprawdzie po nikim bez śladu, ale nasz autor umiał odzyskać niezależność umysłową i moralną, oddał się całkowicie rzeczom polskim.

Byłby dobrym, jeżeli nie doskonałym ministrem spraw wewnętrznych. Wielki też żal ogarnia, gdy ludzie tacy schodzą do grobu, nie wydawszy na użytek publiczny zasobów i skarbów swej inteligencji i charakteru, nie podzieliwszy się

swoją wiedzą, znajomością rzeczy i doświadczeniem z całem pokoleniem!

Niewielu mieliśmy pisarzy politycznych z takim zmysłem rzeczywistości, z taką dobrą, niekiedy klasyczną miarą spraw publicznych, z takim darem widzenia rzeczy obecnych w perspektywie historycznej, jak Eugenjusz Starczewski. W epoce, która nastała po wielkiej katastrofie, po powstaniu 1863 r., gdy w klasie przodującej pokurczyły się uczucia i wyobraźnie, jakby dla stwierdzenia prawdy biologicznej, że organa nieużywane ulegają atrofji, zanikowi, gdy umysły krytyczniejsze rzuciły się znów z całą namiętnością na pole badań historycznych, w celu wykrycia przyczyn tych strasznych błędów, które doprowadziły do wykreślenia z karty Europy naszej starej Rzeczypospolitej i tragicznego upadku wszystkich powstań od konfederacji barskiej aż do ruchu styczniowego, w tej epoce, jakkolwiek wydała ona szereg świetnych talentów pisarskich i historjozoficznych, niełatwo było o równowagę pojęcia i sądu, bo charakter moralny wykształconego Polaka ulegał nietylko dzikiemu uciskowi zaborców, nadewszystko barbarzyńców moskiewskich, ale ulegał jeszcze naciskowi otoczenia narodowego. Wrogowie usiłowali z pomocą najniegodziwszych środków zgładzić nas z powierzchni ziemi, doprowadzić do stanu znieczulenia, zapomnienia, upodlenia.

Naturalną rzeczy koleją, gdy chodziło o sprawę tak kapitalną, jak zagadnienie upadku potężnego i świetnego niegdyś państwa, powstały dyskusje, szkoły i partje, szczególnie zaś zaciekły spór rozwinął się na tle wypadków 1863 r., który trwał bez przerwy okrągłe półwiecze, bo aż do wielkiej wojny 1914 r. Szkoła krakowska, posiadająca szereg świetnych umysłów i znakomitych pisarzy, jak Walerjan Kalinka, Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Juljan Klaczko, Stanisław Koźmian i żyjący po dziś dzień Michał Bobrzyński, arystokratyczna i zachowawcza wprawdzie, ale nie zacofana i nie serwilistyczna wobec państw rozbiorowych, jak ją nazywali przeciwnicy w zajadłych kłótniach i napaściach, szkoła ta, wiedziona surowym krytycyzmem względem naszej przeszłości, widziała przyczynę upadku Rzeczypospolitej w anarchji, w braku silnej władzy monarchicznej, w wolnej elekcji, w *liberum veto*, w uroszczeniach różnowierców, w braku syste-

Uniwersytet Warszawski BIBLIOTEKA Wydz. Hum. 12120

matycznej polityki zagranicznej, w rozpasaniu demokracji szlacheckiej.

Dodać atoli trzeba, że historycy i politycy krakowscy byli jednocześnie uczniami i spadkobiercami szkoły Czartoryskich i Hotelu Lambert, gdzie przed i w r. 1863 Koźmian, Kalinka i Tarnowski przechodzili praktykę polityczną, uczyli się pojmować *arcana* stosunków międzynarodowych, widzieli w starym księciu Adamie i jego otoczeniu przykłady wiernego i oświeconego patrjotyzmu. Szkoła krakowska nie traciła więc nigdy z oczu celu ostatecznego, t. j. wskrzeszenia Polski przy pomocy dynastji Habsburgów i Austro-Węgier, które prędzej czy później musiały rozprawić się stanowczo z państwem carów.

Szkoła ta, zaprawna dużym pesymizmem w tłumaczeniu dziejów Polski, dążąca do gruntownego przeistoczenia, najpierw w wychowaniu i nauczaniu, pojęć politycznych, co w jakimś stopniu było możliwe tylko na przestrzeni Galicji, — znajdowała pewną przeciwwagę w wielu pisarzach i historykach warszawskich, którzy znów, powodowani łatwo zrozumiałemi uczuciami, nie mogli zbyt czarnemi barwami malować przeszłości, ażeby nie przepełniać miary goryczy u zgnębionego i wycieńczonego narodu.

Adolf Pawiński więc, Tadeusz Korzon, Piotr Chmielowski, Władysław Smoleński, Stosław Łaguna, Aleksander Jabłonowski, Szymon Aszkenazy, patrząc bezpośrednio na zalew moskiewszczyzny, na straszne spustoszenia, czynione przez nią w głowach, sumieniach i obyczajach polskich, podnosili jaśniejsze strony przeszłości, wykazywali silny i żywotny prąd reformatorski w XVIII wieku, złamany przez przemoc i intrygi sąsiednich potencyj, przez zdradę fakcji moskiewskiej.

Mieliśmy wreszcie trzecią grupę historyków i pisarzy, pochodzącą z prowincyj białoruskich i ruskich, która nie osiedliła się w Warszawie i widziała tępienie polskości w krajach Gedymina, w Wilnie, Mińsku, Żytomierzu i Kijowie, widziała niszczenie wszystkich zabytków i nabytków romańsko-polskiej cywilizacji, zgromadzonych od XIV wieku do czasów Czartoryskiego, Śniadeckich i Mickiewicza. Ta grupa, do której możemy zaliczyć najpierw Włodzimierza Spasowicza, Elizę Orzeszkową, Eugenjusza Starczewskiego, Marjana Zdziechowskiego,

zajmującego wprawdzie katedrę w Krakowie, ale spędzającego rok rocznie znaczną część czasu w Mińszczyźnie, mniej zajmowała się sporami szkół historycznych i partyj, tak żywemi w Krakowie, Lwowie i Warszawie, szukała za to środków ocalenia pozostałych jeszcze szczątków mienia narodowego przez ciche wysiłki w domu, przez rozwijanie stosunków z liberalno-humanitarnemi odłamami opinji rosyjskiej, przez porozumiewanie się z etnograficznemi elementami litewskiemi, białoruskiemi, ukraińskiemi, w których widziała i uznawała braci według starego hasła: «równi z równymi, wolni z wolnymi».

Niepodobna, niewolno zapominać tych wysiłków i ofiar, niepodobna wyrwać z serca tych wspomnień, gdy wobec powszechnego milczenia, nakazanego przez satrapów i żandarmów, serca wierniejsze i szlachetniejsze znajdowały jednak jakieś pole działania, rozpraszały mroki i nieciły światło.

Weźmy np. Żmudź, to młode obecnie państwo litewskie, w którem tępy fanatyzm równa z ziemią własność, tradycję i kulturę polską! Czyż nie trzeba zachować w pamięci szlachetnych postaci, które w najgorszych warunkach stały wiernie przy dobrych tradycjach polskich na Litwie: biskupa żmudzkiego, ks. Mieczysława Pallulona, chrześcijanina, stoika i patrjotę, opierającego się mężnie z jednej strony nikczemnym satrapom, jak Orżewski i Klingenberg, katującym i hańbiącym ludność w Krożach, stojącą w obronie kościoła; jednocześnie zaś Pallulon powściągał fanatyzm owoczesnych «litwomanów», wychowywanych w szkołach rosyjskich, rozpalonych nienawiścią do Polaków, jako przedstawicieli starszej kultury.

Czyż nie trzeba zachować w pamięci szlachetnej postaci księcia Michała Ogińskiego z Płungian, wykwintnej i poważnej jednocześnie, gdzie wszystkich a tak licznie tam zbierających się przenikały uczucia ciepłe i szlachetne, skąd w głąb kraju szło światło, niosące rozwój i harmonję? Czyż dzielny przedstawiciel tamtejszego ziemiaństwa, Ignacy Parczewski z Jakóbowa, stawiający z niezachwianą konsekwencją tamy przeciwko zalewowi kłamstwa zarówno urzędowego, jak i litwomańskiego, nie zasługuje na głębokie wspomnienie szacunku i żalu?

Wobec okropnego zastoju na tych ziemiach, wobec nie-

przebitych ciemności, każda z wschodnich prowincyj dawnej Rzeczypospolitej, czy litewska, czy białoruska, czy podolska, czy ukraińska miała jednak swoje Płungiany w postaci Landwarowa Tyszkiewiczów, Antonin — Potockich, Janowa — Chołoniewskich. Ta pochodnia światła, którą tam zapaliła Komisja Edukacyjna, później zaś Adam Czartoryski i Tadeusz Czacki, odrobiła na jakiś czas, dopóki nie nadeszły nowe klęski, fatalny zastój epoki saskiej, który Eugenjusz Starczewski tak czarnemi barwami malował, szkicując historyczną rolę możnowładców tamtejszych, wykazując w nich stopniowy upadek myśli politycznej i patrjotycznej, oraz obowiązku obywatelskiego, wzrost za to pychy, próżności i egoizmu, fatalne przeistoczenie się ze świadomego rzeczy patrycjatu w plutokrację ziemską, chciwą, warcholską i demagogiczną, wydzierającą słabym królom starostwa i królewszczyzny, spiskującą przeciwko duchowi czasu, przeciwko oczywistości, która już od czasów Modrzewskiego i Skargi wymownie ostrzegała przed upadkiem, nieszczęściem, katastrofą.

Ale przy czytaniu książek Starczewskiego — jak o tem już była mowa — musimy nie tracić z pamięci, że je pisał przedewszystkiem mąż stanu i polityk, później dopiero historyk.

Jako polityk, szukał on więc — powtarzamy — tych słabych stron w ustroju państwowym, w organizacji rządu i władzy, nadewszystko w budowie społecznej, które mu były w stanie wytłumaczyć wzmagające się już od XVI wieku rozprzężenie, kolejno postępujące osłabienie wszystkich organów żywotnych, zanikanie zdrowych i jasnych idei politycznych; znajdował je zaś w panowaniu jednego stanu, wybujałym i anarchicznym indywidualiźmie, w skostnieniu pojęć, obcych życiu europejskiemu, obcych instytucjom nowożytnego państwa.

Wskrzeszone państwo polskie, w którem pokutują nasze stare wady organiczne, w którem zaś nowe, przyniesione ze Wschodu namnożyły się w zawrotnej liczbie, wykrzywiając z gruntu umysł, obyczaj i charakter polski, — ta Rzeczpospolita nasza ma niemniej ran do zagojenia, niemniej błędnych pojęć do sprostowania, niemniej szkodników do wytępienia i zdrajców do ukarania, niż Rzeczpospolita szlachecka!

Ten smutny zbieg okoliczności i podobieństw, te wady,

występki i nadużycia, nieraz jeszcze gorsze dzisiaj, niż wtedy, czynią książki Starczewskiego znów nawskróś aktualnemi, godnemi troskliwej uwagi polityków, parlamentarzystów, administratorów, urzędników, słowem, wszystkich, których nawiedza niepokój o przyszłość narodu, którzy szukają dróg ratunku, naprawy, ocalenia. Można być zupełnie przekonanym, że gdyby nasza klasa rządząca miała więcej wykształcenia polityczno - historycznego, więcej znajomości przeszłości, gdyby posiadała gruntowniejszą naukę o państwie, to występki, błędy i lekkomyślność nie byłyby tak rażące i gorszące, byłoby bez porównania więcej powściągliwości i sumienności.

III

Czytając książki Starczewskiego, wstępujemy znów w dziedzinę sumienia narodowego, widzimy znów odwieczne błędy, zapuszczamy się w bolesną krainę cierpienia, znów stają przed nami te rzeki krwi i łez, przelanych w powstaniach, wojnach i rewolucjach, ożywiają nas uczucia rozpaczy, sceptycyzmu lub entuzjazmu, które poruszały ojców i dziadów naszych, kazały im ginąć na wszystkich polach bitew i na wszystkich barykadach Europy, ginąć z ręki katów, umierać w śniegach Sybiru.

Rozważny, ale bardzo surowy sędzia «Możnowładztwa» i «Widm przeszłości» usiłuje wykazać wszystkie wady i błędy, egoizm, pychę i zaślepienie warstwy uprzywilejowanej, jej lekkomyślność, krótkowidztwo, lenistwo, których zastąpić nie mogła najświetniejsza waleczność z pod Kircholma, Kłuszyna, Chocimia, Beresteczka i Wiednia. Ten animusz rycerski, to męstwo nieporównane, to rzucanie się z fantazją na wielokroć silniejsze hufce nieprzyjacielskie, wsławiły oręż, zwłaszcza jazdę polską, na cały świat, ale nie mogły zastąpić silnej i przezornej organizacji państwowej, która w XVII wieku w postaci jednolitej i centralistycznej monarchji, w XVIII zaś — w postaci oświeconego absolutyzmu — zapanowały we wszystkich wielkich i większych państwach Europy, zaprowadziły regularne armje, system podatkowy, biegłą, niestety bez żadnych skrupułów dyplomację, policję, utrzymującą ludność w karbach, sądy i urzędy.

Anarchja polska, widoczna już za ostatnich Jagiellonów,

w wieku naszej świetności i potęgi, wzrasta z dnia na dzień w chylącej się do upadku Rzeczypospolitej i dopiero pokolenie sejmu czteroletniego usiłuje położyć jej tamę. Skarga już przy końcu XVI wieku spostrzega to złowieszcze widmo w całej grozie, maluje jego potworne kształty w kazaniach sejmowych, zaklina winowajców, wzywa ich głosem proroka i patrjoty do poprawy i pokuty.

Anarchja nasza nie była samotną. Miała sprzymierzeńców, podżegaczy i protektorów w sąsiednich potencjach, w Prusiech i zwłaszcza Moskwie. Agenci Piotra, Elżbiety i nadewszystko Katarzyny, cyniczni, spodleni i przekupni, sprzysiężeni na zgubę własnej ojczyzny, podejmowali się dzieła zdrady i zagłady, podtrzymywali instytucje anarchiczne, *liberum veto*, wolną elekcję, władzę hetmańską, szermowali frazesami o «złotej wolności», sprzedając się jednocześnie ambasadorom «wspaniałomyślnej aljantki» — Repninowi, Stackelbergowi, Siewersowi, Igelstromowi.

Starczewski raz jeszcze postawił nam przed oczyma nadzwyczajną słabość Stanisława Augusta, będącego przez całe życie w fatalnej zależności od carowej, która jednego ze swoich niepoliczonych faworytów uczyniła królem Polski, człowieka utalentowanego pod wielu względami, wskrzesiciela ruchu umysłowego i literackiego, ale za to słabego nawskróś charakterem politycznym, wielkiego zaś charakteru potrzeba było przedewszystkiem skołatanej, osłabionej, tonącej w nierządzie Rzeczypospolitej; postawił przed nami politykę «familji», czyli znakomitej z tylu względów rodziny Czartoryskich, zwłaszcza braci Michała i Augusta, czyli wielkiego kanclerza litewskiego i wojewody ruskiego, oraz Adama, generała ziem podolskich, politykę rozumną i patrjotyczną, nad którą znów czuwał fatalny wzrok jednej i drugiej imperatorowej rosyjskiej, oraz kanclerzy, ministrów i wremienszczyków petersburskich w postaci Bestużewa, Panina, Ostermana, Potemkina, tak, że owoczesne plany i prace Czartoryskich tworzą — jak mówił Mickiewicz — długi szereg usiłowań daremnych, tyle znamiennych dla dziejów i umysłów naszych, usiłujących powstrzymać nad przepaścią wóz fortuny narodowej; postawił nam przed oczyma smutną i długą galerję magnatów koronnych i litewskich, marszałków, hetmanów i kanclerzy — Potockich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Ossolińskich, Sapiehów, wprawdzie jak zawsze na świecie — gorszych i lepszych, ale dotkniętych znów fatalnem skrzywieniem umysłu i obyczaju: oto pycha rodowa, granicząca częstokroć z nikczemnością, przywołuje zaklętego wroga kraju byle zapewnić przewagę swojej fakcji nad drugą fakcją, brak znów zmysłu społecznego, odpowiednio wykształconego, nie pozwala im uznać wszystkich warstw za równe wobec majestatu ojczyzny, nareszcie życie, pędzone w próżniactwie, lekkomyślności i płochości, w czczych i złych rozrywkach, przeszkadza zbliżyć się im do źródła prawdy, do istotnych i palących zagadnień historji i swojej epoki.

Te wady organiczne możnowładztwa polskiego, ten egoizm i ślepota jednych, lekkomyślność i ciemnota drugich, brak zaś surowego autorytetu, nie pozwalającego stroić ze sobą żartów, autorytetu u szczytu hierarchji państwowej — prowadziły prostą drogą do Targowicy. Rozmiary hańby i klęski przekroczyły życzenia samych hersztów rokoszu.

Starczewski zapoznaje nas jeszcze blisko z charakterami, z poziomem umysłowym i moralnym, z życiem prywatnem i rodzinnem smutnej pamięci naczelników konfederacji targowickiej; po upadku ich okropnego przedsięwzięcia i po upadku Rzeczypospolitej, jednostajność ich dni, okrytych mniejszem lub większem poczuciem wstydu i zgrozy, była urozmaicaną skandalami romansowemi i karcianemi u Szczęsnego Potockiego; w Tulczynie orgje szulerskie, w których uczestniczyli liczni rezydenci z Trembeckim, jenerałowie rosyjscy i nawet służba domowa, wywołują bolesne uczucie wstydu i upokorzenia.

Autor zajął się także bliżej najgorszymi złoczyńcami z galerji targowickiej, mianowicie braćmi Kossakowskimi, Józefem — biskupem i Szymonem, hetmanem wielkim litewskim, których obu dotknęła sprawiedliwość patrjotycznego ludu, obaj zawiśli na szubienicach, pierwszy w Warszawie, drugi — w Wilnie.

Słowacki w «Horsztyńskim» dał nam w pełnych genjuszu i wyrazistości rysach tych samych ludzi i te same zdarzenia, powlókł posępnym i tragicznym kolorytem okres powstania kościuszkowskiego, w którym z jednej strony widzimy bohaterskie zaparcie się patrjotów, z drugiej — ohydny cynizm odstępców.

Koniecznie jednak przytem nadmienić należy, że głównym czynnikiem zdrady i zepsucia była fakcja moskiewska. Starczewski, tak powołany z innych względów do charakterystyki tej fakcji w XVIII wieku, znający dokładnie stopień jej upadku, przewrotności i przedajności, serwilizmu wobec carowych i dygnitarzy, nie miał zapewne już czasu do zgruntowania tej kwestji, nie chciał może zanadto rozszerzać swej pracy. Tymczasem zauważmy tylko, że dopóki historja fakcji moskiewskiej w Polsce od r. 1717, czyli od chwili wtargnięcia cara Piotra I na sejmie «niemym» do spraw Rzeczypospolitej i ograniczenia liczby jej wojska — aż po dziś dzień, nie zostanie systematycznie zebraną i napisaną, dopóty ani nasza opinja publiczna, ani nasz powierzchowny i lekkomyślny światek polityczny i publicystyczny, nie będzie miał świadomości niebezpieczeństwa i grozy nietylko zewnętrznego, ale nadewszystko wewnętrznego, Polacy nie będą spostrzegać, jak ten ohydny rak toczy życionośne organy naszego zbiorowego ciała.

A teraz, ku końcowi tych rozważań nad pracami i pojęciami Eugenjusza Starczewskiego, potrącić wypada o pytanie, czy rola możnowładztwa, w pewnym stopniu także średniej i drobnej szlachty, była tak doszczętnie chybioną i czy na nią spada cała odpowiedzialność za upadek Rzeczypospolitej? Następnie — jakie wartości historyczne odziedziczyliśmy po nich i które z nich przekazać trzeba wskrzeszonej Polsce?

Naturalnie, że nie możemy zapuszczać się w długie wywody w tym szkicu, oświetlającym tylko niektóre rysy i momenty książek i wyobrażeń Starczewskiego. Przyrodnik i psycholog powiedzieliby tutaj, że szlachta polska miała przedewszystkiem wady i zalety swojej rasy, rasa zaś była wynikiem klimatu, otoczenia, położenia geograficznego, warunków dziejowych i moralnych, nareszcie dziedziczności.

Oczywiście, że mąż stanu i historyk polityczny nie mogą poprzestawać na formułach Hipolita Tain'a, przeprowadzonych z tak świetnym talentem pisarskim, z tak genjalną plastyką, logiką i dokładnością w jego studjach o sztuce greckiej, włoskiej i holenderskiej, o przyczynach rewolucji francuskiej. Baczne i niesłychanie wrażliwe sumienie patrjoty poszukuje na każdym kroku zasłużonych i winnych, bohaterów i odstępców, nie może zadowolić się podaniem naukowem lub niby naukowem przyczyn upadku rzeczy najdroższej, upadku ojczyzny.

Krasiński w «Przedświcie» był wielkim bardem szlachty polskiej, stanął do jej obrony w puklerzu swego rozległego genjuszu, poruszył niebo i ziemię, ażeby przekonać świat, przekonać współczesnych i potomnych o jej posłannictwie chrześcijańskiem i rycerskiem, które — według autora — wypełniła mężnie, zapatrzona w Boga, w Królową Korony Polskiej, zasłuchana w melodję wieków.

«My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się za gości
Innych wieków. Wiecznie wszędzie,
Przez rozwartych dziejów pole,
Los nas pędził w wyższą dolę
Ku tej Polsce, która będzie»

— mówi hetman Czarniecki do poety w wizji cmentarnej.

Krasiński pisał «Przedświt» w r. 1843, w epoce, gdy twarde i barbarzyńskie rządy Mikołaja deptały nieszczęśliwy kraj, gdy wielka emigracja listopadowa, skłócona i wzburzona, przedstawiała już obraz smutny, gdy prądy rewolucyjne w niej porywały jednych, a mistycyzm i mesjanizm — drugich, nareszcie oportunistyczny i poziomy system Ludwika Filipa we Francji rozwiewał nadzieje w zbrojną interwencję na rzecz Polski i t. d.

Nie dziw, że w takiej chwili zrozpaczony poeta i głęboki myśliciel, jakim był Krasiński, usiłuje rehabilitować tę szlachtę, która jedyna podówczas miała świadomość historyczno-narodową, usiłuje ją pokrzepić, utrwalić w niej powołanie bohaterskie.

«W poświęcenia świętej dumie,
Poprowadzi lud do bitwy
Kto prowadzić lud ten umie
Szlachta Polski, Rusi, Litwy».

Zresztą i pisarze rewolucyjni, jak Mochnacki, Goszczyński, Mierosławski uznawali zgodnie, że szlachta w owych czasach była jeszcze główną ostoją życia polskiego. Bez niej niepodobna było myśleć o nowym czynie oręża, emigracja zaś uważała się zawsze za zastęp zbrojny, który wyrokami losów

i zdarzeń może być każdego dnia powołany do walki o wolność Polski i wolność narodów na jakimbądź punkcie świata i Europy. Przecież Liebknecht mówił, «że niemasz pola bitwy za wolność, któregoby nie oblała krew polska», Kossuth, Mazzini i Garibaldi powoływali najchętniej na czoło i do komendy generałów i dowódców naszych, widzieli w nich przednią straż w walce o wyzwolenie ludów.

Krasiński, którego serce tak wcześnie rozerwała walka dobra i zła, widzący przenikliwym nawskróś wzrokiem wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie gwałty i przewrotności, których używała Moskwa w celu zhańbienia i zgwałcenia naszego narodu, — pocieszał się myślą, że szlachcie polskiej pozostało jeszcze dość sumienia i natchnienia, honoru i męstwa do prowadzenia skołatanej nawy, że potrafi ona stanąć na czele i spełnić misję historyczną. W danej chwili dziejowej, śród owoczesnych warunków i czynników życia naszego Krasiński czuł i rozumował słusznie, szlachta była wtedy ostatnią rezerwą w walce o nasze istnienie. Pozostawała jeszcze atoli kwestja, której Starczewski tyle poświęcił pracy, kwestja możnowładztwa. Stanisław Tarnowski dowodził — i zupełnie słusznie — że Krasiński nie był wcale obrońcą t. zw. arystokracji, był obrońcą i ideologiem tej średniej szlachty ziemiańskiej, która, przy wszystkich błędach, wydała najwięcej patrjotów, twórców, męczenników, bohaterów. Korespondencja i memorjały poety, składane Napoleonowi III, Guizotowi, Montalembert'owi, pisane z talentem i przenikliwością męża stanu, potwierdzają to zupełnie.

Zasługuje także na uwagę zdanie o naszej szlachcie żelaznego kanclerza, księcia Ottona Bismarka. Tych zdań było wiele, wypowiadanych w rozmaitych okolicznościach, dyktowanych najczęściej pruską racją stanu, lub uczuciami nienawiści, tak właściwemi temu znakomitemu z innych względów politykowi; współcześni najwięcej zapewne zachowali w pamięci słynną mowę Bismarka, wygłoszoną w sejmie pruskim w styczniu 1886 r., przy roztrząsaniu projektu komisji kolonizacyjnej, gdy rzucił ziemiaństwu wielkopolskiemu w twarz ciężką obelgę: «Nad szlachtą polską nie macie powodu rozczulać się! Komisja kolonizacyjna zapłaci jej dobrze za wykupione dobra, ona zaś pojedzie z otrzymanem złotem utorowaną drogą do Monaco».

Ale w zbiorowem wydaniu mów Bismarka są jeszcze inne o Polakach i Polsce. Tak więc w roku 1867, w odpowiedzi na protest Koła polskiego przeciwko włączeniu Księstwa Poznańskiego do Związku północno-niemieckiego, kanclerz wygłosił wielką mowę, skierowaną także przeciwko szlachcie polskiej, w której, rozwodząc się o jej kulcie wolności osobistej, ostrzegał Niemców, «dokąd wielkie, potężne państwo, jakiem była Polska, prowadzone przez waleczną, wojowniczą i także światłą szlachtę — dojść może, jeżeli swoboda indywiduum jest w niem wyżej ceniona, niż bezpieczeństwo na zewnątrz, jeżeli ta swoboda, jak pasorzytnicza roślina tłumi interesy powszechne». I dalej: «Die energischen Anstrengungen — und wer bewundert nich den Grad von Energie, den der polnische Adel anwendet, um die verlorene Herrschaft wieder zu erlangen? — die energichsten Anstrengungen, die grösste Hingebung für gemeinsame Zwecke, die glänzendste Tapferkeit, die einzelne Individuen für diese Zwecke an den Tag legen, alles das reicht nicht hin, um die verlorenen Güter zurückzubringen. Es bleibt das Wort des Dichters wahr: «Was du dem Augenblicke ausgeschlagen, bringt keine Ewigkeit zurück».

(«Energiczne usiłowania — któż zaś nie podziwia stopnia energji, którą wykazywała szlachta polska, ażeby postradane panowanie odzyskać? — Najenergiczniejsze usiłowania, największa ofiarność dla celów powszechnych, najświetniejsza waleczność, wszystko to nie wystarcza, ażeby utraconą niezależność posiąść na nowo. Pozostają prawdziwemi słowa poety: «Co uroniłeś w danej chwili, tego ci wieczność nie powróci».)

Widzimy więc, że pierwszy kanclerz wskrzeszonej Rzeszy niemieckiej poczytywał, pomimo wszystko, szlachtę polską jeszcze za siłę żywą i czynną, zdolną do ciągnięcia w jakimś stopniu wątku życia narodowo-historycznego. Przyznając zalety rycerskie i towarzyskie, odmawiał jej jednak praw do przewodniczenia narodowi, ponieważ swoje swobody i przywileje wynosiła nad pomyślność ogółu, nad bezpieczeństwo państwa.

Przypomnijmy więc raz jeszcze, że ta długa i sumienna praca, jakiej dokonał Eugenjusz Starczewski w swojem «Możnowładztwie polskiem na tle dziejów» i w «Widmach prze-

szłości», sformowała się w tezę, że możnowładztwo nasze, gnane złym duchem samolubstwa i pychy, zagarniało coraz więcej w swoje posiadanie ziemi na Rusi, szczególnie na Ukrainie — zwyrodniało, przetworzyło się w oligarchję, doprowadziło do nicości poniewieranych królów i Rzeczpospolitą do upadku.

Z tego też punktu widzenia autor — jak widzieliśmy — zapatruje się bardzo krytycznie i pesymistycznie na całą wschodnią politykę Rzeczypospolitej, w pewnym stopniu nawet na unję lubelską, zwłaszcza zaś unję kościelną 1595 r. Dowodzi z dużą siłą argumentów, że należało Rusi wschodniopołudniowej dać przynajmniej taką autonomję, jaką miała Litwa, nie tworzyć nowego przejściowego wyznania między prawosławiem a katolicyzmem, bo ono właśnie przyprawiło żywioł polski w tamtych prowincjach o ogromne straty, wciągając masy ludu naszego, który tam powędrował, do społeczeństwa, a raczej do zbiorowiska ruskiego. Katolicyzm łaciński robił tam wielkie postępy, którym właśnie katolicyzm grecki przecinał drogę. Był więc Starczewski stanowczym przeciwnikiem polityki kościelnej, przypisywanej Zygmuntowi III i jezuitom.

Spolszczenia znów szlachty ruskiej nie można poczytywać za zdobycz. Oderwana od tła społecznego, wymuszając na królach starostwa i urzędy, potworzyła ona na Wołyniu i Ukrainie ogromne latyfundja, któremi zarządzała lekkomyślnie przez swoich komisarzy, podstarościch i żydów, będących znów straszną plagą ludu wiejskiego, niezwalczoną także przeszkodą do rozwoju miast.

Tutaj jednak przemaga chęć rzucenia jeszcze jednego obrazu, jeszcze jednego promienia światła na minione dzieje ziemiaństwa polskiego na kresach.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że gdyby Starczewski był poszedł dalej i sięgnął w wiek XIX-ty, zwłaszcza w erę powstania listopadowego — jego sądy i opinje o ziemiaństwie polskiem, zwłaszcza na kresach południowych, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, byłby uległy pewnej zmianie na korzyść tej warstwy.

Między rozbiorami a wieczorem 29 listopada legła epoka napoleońska i Księstwa Warszawskiego, były legjony i zasadnicze reformy w Księstwie, czyniące z tego krótkotrwałego

zresztą tworu zrąb nowożytnego państwa, kształcące też z gruntu na modłę europejską głowę i pojęcia nowoczesnego Polaka.

Epoka napoleońska uratowała nas od zagłady. Bo stan umysłów i obyczajów w owoczesnym zaborze pruskim i austrjackim był zły, mógłby ktoś nawet powiedzieć, — rozpaczliwy. Lekkomyślność i marnotrawstwo szlachty, trwoniącej fortuny i obdłużającej coraz więcej swoje posiadłości, bierność i nieporadność nielicznego zresztą mieszczaństwa, nie mogącego, czy nie chcącego wytrzymać konkurencji z zalewem żydowskim, całkowite opuszczenie i bezdenna ciemnota ludu wiejskiego, wydanego z jednej strony na łaskę dziedziców, z drugiej — na dzikie i haniebne eksperymenty policji austrjackiej i pruskiej, oto stan Polski przed wielkiemi dniami Jeny i Auerstaedtu 1806 roku.

Były, naturalnie, usiłowania ocalenia resztek mienia narodowego, powstało Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, oddane z samego początku poważnej pracy, świeciły Puławy wśród ciemności, ale to nie zmieniało radykalnie posępnego stanu narodu.

Dopiero ukazanie się hufców napoleońskich nad Wartą i Wisłą, odezwy Dąbrowskiego, powrót do kraju patrjotów Sejmu Czteroletniego, szybka organizacja wojska, które nazajutrz walczyć będzie obok grenadjerów starej gwardji cesarskiej o palmę pierwszeństwa, przebudzenie się z kilkunastoletniego uśpienia księcia Józefa, — wszystko to zmienia obraz kraju i narodu, cuci uśpione cnoty rycerskie, powoduje najwyższą ofiarność patrjotyczną, bucha płomieniem entuzjazmu!

Napoleon obudził więc ducha w Polakach, wskrzesił ich wiarę w przeznaczenie historyczne, popchnął na drogę czynów nadzwyczajnych. A ponieważ Królestwo Kongresowe, ten poroniony zresztą twór traktatów wiedeńskich, było dalszym ciągiem Księstwa, ponieważ cnoty wojskowe i obywatelskie, jakkolwiek tłumione przez Konstantego i Nowosilcowa, świeciły znów jasną łuną i w powstaniu listopadowem i na emigracji, nad któremi zawsze była glorja Friedlandu, Somosierry, Moskwy, Berezyny, Lipska i Paryża, więc musimy, wbrew wszelkim zaprzeczeniom zawsze utrzymywać, że Napoleon ocalił ducha polskiego w najkrytyczniejszej chwili, podniósł go z upadku, wspaniałe zaś natchnienia naszej tra-

gicznej poezji ileż czerpały wątku i treści z dzieł i imaginacji wielkiego Cesarza!

Wprawdzie wschodnio-południowe prowincje starej Rzeczypospolitej, którym tyle miejsca w «Widmach przeszłości» poświęcił Starczewski, należały do imperjum carów i usiłowano je szczelnie zamykać przed wpływami i prądami patrjotycznemi dawnej stolicy, jednakże nietylko Wilno, ale i Krzemieniec, ukochane dzieło Tadeusza Czackiego, było urządzone według wzoru i planów Komisji Edukacyjnej, Kołłątaj pracował tam ku końcowi skołatanych niedolą lat, Adam Czartoryski zjeżdżał, dawał nagrody uczniom, powoływał dobrych nauczycieli. Duch Warszawy i Puław unosił się nad kołyską Juljusza Słowackiego!

Jednocześnie zapał bohaterski i gorliwość służby orężnej Ojczyźnie przeniknął do szpiku kości potomków dawnych kresowych rycerzy. Młodzież wyrywa się do szeregów Księstwa Warszawskiego, Dwernicki, jeden z najświetniejszych oficerów naszej jazdy, późniejszy bohater Stoczka i Boremla, walczy zaszczytnie ze swoim oddziałem w r. 1809, bije Austrjaków, wpada do Lwowa, jaśnieje dzielnością pod Paryżem.

Powstanie listopadowe wywołało nieopisany zapał na Podolu i Ukrainie, gotowość chwycenia za broń i wyruszenia w pole. Patrjotyczny i moralny poziom szlachty był wtedy wyjątkowo wysoki, wszystkie świadectwa są tutaj zgodne. Gen. Prądzyński w swoich pamiętnikach, opisuje obszernie i dokładnie stan tych prowincyj, podziwia gotowość do poświęceń, zapał do walki, ukochanie Polski. «Sprawcy powstania na Rusi, szlachta polska, byli wogóle przejęci patrjotyzmem, byli odważni, przedsiębiorczy. Obeznani z oświatą europejską, wstydem był dla nich stan poniżenia moralnego, w którym żyć musieli pod rządem rosyjskim, a przymuszeni służyć za narzędzie tak moralnego, jak i materjalnego ucisku gminu... poświęcić wszystko dla wyzwolenia Ojczyzny było powszechnem, gorącem pragnieniem...»

Wincenty Tyszkiewicz, dawny oficer napoleoński, obrany na zjeździe obywatelstwa ukraińskiego naczelnikiem powstania w tej prowincji, tak pisze o dniu 8 marca 1831 roku: «Był to najpiękniejszy dzień w mojem życiu, szczerość, otwartość, zgoda przewodniczyły naradom; każdy z nas, Ojczyzną tylko zajęty, do Niej jednej wszystkie uczucia,

wszystkie myśli zwracał. Nie było ofiary, któraby wielkością mogła wyrównać chęci służenia sprawie narodowej... im kto więcej mógł poświęcić, tem sądził się być szczęśliwszym. Jeżeliby niebo raz jeszcze dopuściło upaść Polsce, mieliśmy pociechę w postanowieniu, że nie odstąpimy braci nadwiślańskich, że zginiemy razem. W obliczu Boga uczyniwszy ślub złożyć na ołtarzu Ojczyzny nasze majątki, naszą krew, żony i dzieci, odetchnęliśmy wolniej...»

Nareszcie ksiądz Aleksander Jełowicki w swoich nad wyraz szczerych i szlachetnych «Wspomnieniach» opowiada zdarzenia z lat dziecięcych i młodzieńczych, opisuje dwór szlachecki, atmosferę domową, poziom rodziny polskiej i życie młodzieży w Winnicy na Podolu, gdzie wszyscy uczniowie gimnazjum w liczbie 1200 byli Polacy, panowała atmosfera miłości i zaufania do nauczycieli, entuzjazmu i miłość do Ojczyzny.

Rodzina Jełowickich, tak zaszczytnie znana w ciągu wieków na Podolu i Wołyniu, wyróżniała się i teraz cnotami i męstwem. Ojciec Aleksandra, właściciel wielkich posiadłości nad Bohem, przyprowadza do obozu kilkuset ludzi z amunicją, kilkaset koni, trzech synów, jako ochotników, nareszcie sam wstępuje do szeregów. Daremnie mu tłumaczą, że uczynił już więcej, niż należało, że sam wiek uwalnia go od służby. Odpowiada, że jego krew należy do Ojczyzny i ginie w bitwie.

Niedołęstwo i tępota naczelnego wodza, Skrzyneckiego, brak wszelkiego systematycznego kierownictwa, które powinno było iść z głównej kwatery armji polskiej nad Wisłą, załamanie się tak świetnie zaczętej akcji Dwernickiego, uwieńczonej bitwą pod Boremlem, który to bohater, pchany jakąś fatalnością, przekracza granicę austrjacką i tam składa broń,— to wszystko zniweczyło zapał powstańców, ofiarność obywateli, nawet gotowość znacznej bardzo części ludu ruskiego i kleru prawosławnego do połączenia się z powstaniem. I w masie włościańskiej świtało bowiem niedość jeszcze jasno wyklarowane pojęcie, że wskrzeszenie Polski wyzwoli ją z hańbiącego poddaństwa, przyniesie wolność, oświatę i dobrobyt.

Ale do tego potrzebne było zwycięstwo.

Obecnie spór prowadzić można tylko — przy okazji wydania nowego dzieła Starczewskiego — o prawdę dziejową,

o wartości historyczne ziemiaństwa polskiego na Rusi. Autor «Widm przeszłości» zakończył swoją długą, mozolną i cenną pracę końcem XVIII wieku, kreślił przeważnie — ku nauce i ostrzeżeniu potomnych — posępne sylwety rzeczników zdrady, oprowadzał nas po galerji zepsutych, marnotrawnych, występnych.

Nie od rzeczy jest więc przypomnieć, że okresy ciemności i upadku zmieniały się tam z okresami światła i życia. Powstanie listopadowe i rok 31, których setne lato mamy uroczyście obchodzić, były zjawiskiem jasnem na stepach Podola i Ukrainy, niestety, unicestwionem z winy tych, w których ręku spoczywały losy Polski.

Mówiliśmy już, że książki Starczewskiego mają wielką wartość dla obecnych stosunków we wskrzeszonej Polsce. Trudno zapewne zgodzić się ze wszystkiemi poglądami i tezami Starczewskiego, jako historyka; za to, jako pisarz polityczny, gruntownie znający naszą dawną Ruś południową i rodzimy Wołyń, jako wyborny znawca stosunków prawnych, administracyjnych i ekonomicznych, wychowany śród ziemiaństwa i ludu, adwokat czynny w palestrze, mąż stanu z urodzenia, praktyki i wykształcenia, który w ostatnich latach nie żałował trudu do zgruntowania sytucji we wszystkich dzielnicach obecnej Rzeczypospolitej, przedewszystkiem w dawnem Królestwie Kongresowem i Warszawie, Starczewski z wielkim pożytkiem powinien być czytany i rozważany w naszym świecie politycznym, urzędniczym i prawodawczym.

Bije z jego książek ta siła żywotna, której nietyle nabiera się w archiwach, ile w potoku życia, w głębi sumienia, w rzetelności przekonania.

Swoje opinje polityczne sprawdzał w praktyce, w instancjach rządowych, na posiedzeniach komisyj specjalnych, przy składaniu projektów i memorjałów, w ciągłem zetknięciu z rzeczywistością.

Szanujmy jego pamięć, uczmy się od niego pracować!

Bolesław Lutomski.

Warszawa, listopad 1928 r.

PS. Zgodnie z życzeniem rodziny Zmarłego «Widma przeszłości» poszły do druku bez żadnych zmian lub opuszczeń.

PRZEDMOWA

Przed wojną i odzyskaniem niepodległości myśl polska zwracała się ku przeszłości i szukała tam wyjaśnienia tajemnicy naszego kataklizmu dziejowego. Jedni wpadali w pesymizm i odsądzali naród polski od wszelkich zdolności państwowych, niektórzy dochodzili nawet do gloryfikacji naszej apaństwowości; inni widzieli przyczyny katastrofy rozbiorowej wyłącznie w przemocy zewnętrznej, po której pokonaniu zmartwychwstałe państwo polskie zajaśnieje odrazu w całym blasku i potędze; i tylko niewielu zdawało sobie sprawę, że odzyskanie bytu niepodległego jest tylko kwestją czasu, ale że czynniki, które sprowadziły słabość naszego ustroju państwowego w wiekach ubiegłych, łatwo nie zaginą i, w połączeniu z nawyknieniami z czasów niewoli, sprowadzą na odrodzone państwo polskie cały szereg wielkich trudności wewnętrznych, z któremi długo łamać się będzie polska myśl polityczna.

Dziś, gdy niepodległość nasza została odzyskana, i mamy znów własne państwo, dziś trudności naszego życia politycznego rzucają się już wszystkim w oczy, i badanie naszej przeszłości, dla szukania w niej wskazówek i ostrzeżeń, staje się znów sprawą jak najbardziej aktualną i konieczną.

Nie pomniejsza tej konieczności okoliczność, że gdy dawna Rzeczpospolita była wyłącznie szlachecką i anachroniczną, w Polsce odrodzonej do rządów doszły masy najszersze, i rządy te zbudowane zostały na zasadach najbardziej nowoczesnych. Dzieje nie znają zbyt wielkich skoków, o ile idzie o rozwój wewnętrzny, o stopniowe kształtowanie się tak potężnego czynnika, jakim jest w życiu narodów — charak-

ter narodowy, t. zw. dusza narodowa. Ta jest wynikiem rozwoju całego szeregu pokoleń, tak, że słusznie ktoś powiedział, że życiem narodów nietyle rządzą żywi, co umarli. Na wytworzenie się tej duszy narodowej składają się: rasa, warunki geograficzne i klimatyczne, charakter cywilizacji, religja, ustrój społeczny i polityczny, całe dzieje.

I myliłby się ten, ktoby dzielił polską duszę narodową na części, wynajdywał inną u szlachty, która sprawowała rządy w dawnej Rzpltej, a inną u ludu, który dziś doszedł do władzy i znaczenia.

Między szlachtą a ludem wiejskim właściwie nigdy nie było w Polsce wielkich różnic psychicznych. Jeżeli w żyłach mieszczan polskich płynęła często domieszka krwi obcej, niemieckiej, ormiańskiej, żydowskiej, a nawet szkockiej, to krew szlachty polskiej i włościaństwa polskiego niczem się nie różniła: była krwią autochtonów polskiego obszaru etnograficznego. Teorje Szajnochy i Piekosińskiego o obcem pochodzeniu szlachty polskiej muszą dziś być odrzucone, a właśnie wyjątkowa liczebność szlachty polskiej tłumaczy się przyjmowaniem w Polsce do herbów całych osad kmiecych, bezwzględnie pochodzenia swojskiego.

Ale nawet pomimo tożsamości fizycznej, samo życie, niezależnie od ustroju politycznego, zbyt zbliżało do siebie szlachtę i włościanina, by mogły się z nich tworzyć typy zbyt odrębne, do siebie niepodobne. Szlachta polska była tak liczna, że w tym «narodzie szlacheckim» było dosyć miejsca dla wszystkich klas społecznych, od magnata do szaraka, właściwie tylko herbem różniącego się od włościanina.

Szlachta, narówni z włościaninem, pilnuje tylko wsi, roli i kościoła, narówni stroni od miasta i zajęć miejskich. Dla włościanina szlachcic nigdy nie był typem obcym, owszem wzorem, który chciał naśladować; nawzajem szlachcic polski cały tkwił we wsi, odczuwał dolę i niedolę chłopa, pląsał jego mazury, kujawiaki i krakowiaki, dzielił jego zwyczaje i obyczaje. Wszystko to stosuje się przedewszystkiem do Polski etnograficznej; na kresach wyrodziły się oczywiście typy szlacheckie nieco odmienne, tak z powodu domieszki krwi obcej, jak też wpływów otoczenia.

Bądź jak bądź, niepodobna nie przyznać, że dzieje dawnej Rzpltej, choć uzależnionej przeważnie od szlachty, mu-

szą być uznane za źródło najpewniejsze dla poznania naszej duszy ogólnonarodowej, a z tego wynika, że doświadczenia i wskazówki z czasów dawnej państwowości szlacheckiej mogą i powinny służyć za punkt wyjścia przy badaniu państwowości polskiej nowoczesnej.

Za główną cechę naszych dziejów należy uznać brak należytego zespolenia pojęć narodu i państwa. Przy głębokiem przywiązaniu do cech naszej narodowości, do języka, wiary i obyczajów, rzuca się w oczy stosunek raczej wrogi do naszej państwowości, do wszelkiego związanego z nią przymusu. Obok niewątpliwych naszych cnót narodowych, patrjotyzmu, optymizmu, umiłowaniu wolności, szlachetności, altruizmu i tolerancji, spotykamy często aż nazbyt jaskrawe przejawy wad państwowych: niekarności, nieposzanowania praw i obojętności wobec potrzeb publicznych.

Zastanawiając się nad tem, niepodobna nie dojrzeć w ciągu całych naszych dziejów pewnego rodzaju braku realizmu politycznego, pewnego romantyzmu, czy idealizmu, który do dziedziny państwowej chętnie przenosił pojęcia z życia prywatnego i domowego. Romantyzm ten wychodził z tej błędnej konkluzji, że skoro każdy obywatel państwa posiadać winien cnoty rodzinne i indywidualne, nie należy mu zatruwać życia przymusem państwowym, a wystarczać powinien przymus moralny i społeczny. Stąd też szlachcic drugiej połowy XVII i XVIII w. nawet nie dostrzegał całej potworności *liberum veto*, niedochodzenia sejmów i zrywania trybunałów, bo uważał, że w imię poszanowania cudzego zdania nie należy nikogo majoryzować, a można go tylko przekonywać; rzeczy poważne należy więc stanowić dopiero po uzyskaniu zgody powszechnej, a jeżeli do tego zaraz dojść nie sposób, najlepiej sprawę odłożyć, a natomiast pocieszać się poczuciem wzajemnej wyrozumiałości, a choćby tradycyjnem biesiadnem «kochajmy się».

Ten wstręt do wszelkiego przymusu musiał prowadzić do podkopywania idei państwa, jako organizacji o charakterze przymusowym, a zwłaszcza do zwalczania tych czynników państwowych, które z natury swej posiadają cechę stałości i ciągłości i nadają państwu siłę i znaczenie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie uprawnień władzy zwierzchniej, o któ-

rej już w w. XVI mamy ciekawe świadectwo Orzechowskiego; podług niego, obywatel polski nic innego nie był winien królowi tylko tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu i pospolite ruszenie. A gdy dwa grosze z łanu zostały wkrótce zniesione, a pospolite ruszenie straciło dawną wartość, pozostał w rzeczywistości jedynie tytuł na pozwie i nic więcej!...

Ale nietylko król był pozbawiony wszelkiej władzy. Również najwyższe urzędy Rzeczypospolitej stopniowo stawały się raczej dekoracją, niż władzą istotną, z wyjątkiem zresztą jednej atrybucji, którą zachowały w całości — prawa przeciwstawienia się królowi. Tak np. hetmani przestali być groźnymi wodzami zbrojnych sił Rzeczypospolitej, bo siły te stopniowo stopniały niemal do zera, ale urząd hetmański pozostał ważnym urzędem, bo miał za zadanie nie dopuszczać króla do zajęcia się wojskiem samemu; władza hetmańska miała być «medjatorem między królem a wolnością» *(inter majestatem et libertatem)*.

Tak statek Rzpltej płynął po spienionych falach naszych dziejów w w. XVII i XVIII, bez balastu i steru, zdany na los wypadków, zagrożony co chwila katastrofą.

I wobec takiego stanu rzeczy naród nie znajdywał innego wyjścia, jak przerzucanie się od czasu do czasu, w chwilach zbyt groźnych, do doraźnych środków nadzwyczajnych, do przyznawania pewnym osobom wyjątkowych uprawnień państwowych, ale tylko na krótką metę. Były to konfederacje, o których słusznie później powiedziano, że było to lekarstwo często gorsze od choroby.

Ale niedość jest stwierdzić ten negatywny stosunek naszego narodu do idei państwa, należy również starać się poznać przyczyny takiego stanu rzeczy.

W pracach moich poprzednich [1]) wskazywałem na cztery główne momenty, które zadecydowały o charakterze naszego rozwoju państwowego: na nasz charakter narodowy, o czem już wspominaliśmy, na naszą młodszość cywilizacyjną, na

[1]) «Sprawa Polska» 1912, «L'Europe et la Pologne» 1913, «Możnowładztwo polskie na tle dziejów» 1914, «Nasze sprawy» 1916, «Początki Polski Ludowej» 1921, «Nasze Rządy» 1922.

nasz wadliwy ustrój społeczny i na zbyt dalekie wyjście dawnej Rzeczypospolitej z granic naszego obszaru etnograficznego.

Nasza młodszość cywilizacyjna, w porównaniu do innych narodów zachodnio-europejskich, miała w dziejach naszych wielkie znaczenie, gdyż wywołała ogromne różnice. Tak np. gdy ustrój rodowy na Zachodzie zginął już w w. XI, u nas przetrwał do końca w. XIII; skutkiem tego, gdy tam rozwinął się feudalizm, myśmy przez tę twardą szkołę nie przeszli. Również gdy tam na Zachodzie tylko poszczególne wybitne rodziny uzyskały herby i szlachectwo, u nas otrzymują je całe ogromne rody, wytwarzając aż liczny «naród szlachecki», który nada kierunek całemu życiu państwowemu w Polsce i odsunie od wszelkiego wpływu nieliczny stan miejski, nie mówiąc już o niższych warstwach ludowych.

Tak również, skutkiem naszej młodszości cywilizacyjnej, gdy przychodzi do nas z Zachodu humanizm, przyjmujemy go mniej krytycznie od wyrobionych społeczeństw zachodnich i korzystamy zeń nie dla wzmocnienia, ale dla dalszego osłabienia władzy państwowej.

Wadliwy nasz ustrój społeczny, uwarunkowany potworną ilością szlachty i znikomością stanu miejskiego, przyczynił się również do osłabienia władzy państwowej, ale jednocześnie nadwerężył tak konieczną równowagę między wpływami na życie publiczne, a nawet na charakter narodowy wsi i skupień miejskich. Wyłącznie wieś nakłada piętno na całe życie naszego narodu, wytwarza upodobanie do życia «sielskiego i anielskiego», dalekiego od nieuniknionych ograniczeń miejskich. Dla takiego życia mniej konieczną rzeczą jest organizacja aparatu państwowego, a zasklepienie się w tem życiu nie może być dobrą szkołą działalności państwowej.

Ten jednostronny kierunek rozwoju narodowego został spotęgowany jeszcze naszą ekspansją na wschodzie litewskim i ruskim, o charakterze również wyłącznie rolniczym. Zamiast więc bardziej intensywnego wyzyskiwania i organizowania swego obszaru etnograficznego, naród nasz uzyskał możność łatwego przesiedlania się na żyzne ziemie kresowe, gdzie znów tylko rolnictwo stanowi zajęcie ludności, i gdzie, wobec ogromu przestrzeni, organizacja życia państwowego

była z konieczności jeszcze trudniejszą niż na Zachodzie, a niezależność jednostki od państwa posunięta została o wiele jeszcze dalej.

Wszystkie te rozpamiętywania o dawnej naszej przeszłości jakże aktualne są również dla chwili obecnej!

Realizm polityczny! Czyż mogła go nas nauczyć długoletnia niewola, kiedy właśnie romantyzm stanowił główną naszą siłę i podporę? Czyż nie powodujemy się w dalszym ciągu tym romantyzmem, gdy zamiast spieszyć z mocną organizacją naszego państwa, oddajemy się przeróżnym iluzjom parlamentarnym, opartym nie na twardych nakazach prawa, ale na dobrej woli partyj politycznych, i gdy uchwaliliśmy konstytucję, dobrą chyba dla aniołów?

I czy w całem naszem obecnem życiu państwowem nie przebija, jak w ustroju dawnej Polski, wprost lekceważenie, niemal niechęć do należytego i systematycznego zorganizowania naszej państwowości? Tak np. ustawodawstwo nasze jest chaotyczne, często z sobą sprzeczne, a nie chcemy go usystematyzować i uprościć, a gdy inne państwa tworzyły specjalne organa, t. zw. Rady Stanu, do przygotowywania i systematyzowania ustawodawstwa, my tego nie czynimy, chociaż dobrze widzimy, że ani rząd, ani sejm nie są w stanie temu sprostać.

Natomiast, gdy jest już bardzo źle, w chwilach, gdy w dawnej Polsce szukano ratunku w konfederacjach, my rzucamy się również do środków doraźnych i nadzwyczajnych, czy to będą częste zmiany personalne, czy nadawanie pełnomocnictw dyktatorskich, czy powoływania organów nadzwyczajnych z nieokreślonemi uprawnieniami...

Analogij tych mnożyć tu nie będziemy, gdyż rzucają się same w oczy, gdy wczytujemy się w dzieje naszej przeszłości.

Wszystko, cośmy powiedzieli, dowodzi aż nadto konieczności nie zasklepiania się w teraźniejszości, nie odgradzania się od doświadczeń wieków ubiegłych, lecz przeciwnie szukania tam wskazówek i ostrzeżeń przy urządzaniu się na nowo w naszem państwie — dla zapewnienia mu warunków stałości i pomyślnego rozwoju.

W tej myśli oddaję te szkice do druku. Część ich stanowi ciąg dalszy mojej pracy o możnowładztwie [1]). Druga serja tych szkiców zajmie się zewnętrzną polityką Polski w w. XVII i XVIII, działalnością «familji» Czartoryskich, oraz życiorysami Szczęsnego i Ignacego Potockich.

Warszawa, 22 listopada 1924 r.

---

[1]) «Możnowładztwo polskie na tle dziejów». Tom I został w handlu księgarskim już wyczerpany; tom II, który wyszedł w Kijowie w r. 1917, również jest nie do nabycia, gdyż większość nakładu, na skutek zamieszek tamtejszych, została zniszczona; z tego względu w szkicach niniejszych pewne ustępy z tej pracy zostają przedrukowane.

I. U ŹRÓDEŁ ANARCHJI POLSKIEJ

Źródeł anarchji polskiej szukać należy od początku naszych dziejów. Było ich dużo. Za najważniejsze jednak uznać należy dwa czynniki wagi pierwszorzędnej: nieprawidłowy rozwój naszego ustroju społecznego i wyjście z naszych granic etnograficznych.

Nieprawidłowy rozwój naszego ustroju społecznego zasadzał się na wytworzeniu się nadmiernej ilości klasy uprzywilejowanej szlachty, z równoległem pognębieniem stanu miejskiego, a wyjście z nowych granic etnograficznych w kierunku najmniejszego oporu spowodowało zaprzepaszczenie części naszego obszaru etnograficznego na Zachodzie, odsunięcie się od morza i rozpłynięcie się energji narodowej na ogromnych obszarach Litwy historycznej i Rusi.

Dopiero uświadomiwszy sobie całe znaczenie tych pierwszych i najważniejszych momentów dla dalszego rozwoju państwa i narodu polskiego, możemy stwierdzić, że anarchja państwowa i pewne cechy w rozwoju naszego charakteru narodowego nie były dziełem przypadku, lecz wynikały z poprzednich momentów, jako ich skutki. Skutki te, powodując poważne dalsze objawy chorobowe, stawały się same przyczynami nowych zboczeń, i tak stopniowo następowało zatrucie całego organizmu państwowego i narodowego, które obniżyło odporność naszą w chwili rozbiorów i dotychczas w wielu przejawach daje się jeszcze odczuwać.

Rozwój Polski, od chwili jej powstania, poszedł wręcz inną drogą, niż państw zachodnich. Gdy tam rozwinął się feudalizm, krusząc do reszty dawne spójnie rodowe, w Polsce ustrój rodowy trwał tak długo, że, pomimo wpływów zachodnich, feudalizm nie mógł się już rozwinąć. Gdy wszędzie

na Zachodzie feudalizm wytworzył z jednostek, wyżej stojących w hierarchji społecznej, oddzielną klasę arystokratyczną, wyróżniającą się od innych oznakami zewnętrznemi, herbami — zwyczaj tych oznak przedostał się również do Polski antyfeudalnej, o ustroju rodowym, ale przylgnął nie do jednostek poszczególnych, jak na Zachodzie, lecz do całych rodów, mających wśród siebie jednostki wybitniejsze. W ten sposób herby zachodnie były oznakami pewnej klasy wybrańców narodu, tworzącej się arystokracji, u nas zaś w Polsce herby i cechujące się niemi stanowisko szlacheckie zostały od początku zdemokratyzowane; przechodziły do całych, często bardzo licznych rodów, mających, oprócz przedstawicieli wybitnych, także ogromną ilość jednostek, niczem się początkowo społecznie nie różniących od niższych warstw ludności. W ten sposób stopniowo prawie cała ludność, obowiązana do służby wojskowej, zaczyna się, skutkiem łączności rodowej, zaliczać do uprzywilejowanej i herbowej klasy szlacheckiej.

Ostateczne skrystalizowanie się szlachty i herbów nastąpiło w Europie zachodniej w X i XI w., w Polsce dopiero od końca XIII w. Pojęcia zachodnie o szlachectwie i herbach szły przez silnie germanizujący się Śląsk i z Czech, zwłaszcza za rządów króla Wacława. Były to czasy, gdy ślady ustroju rodowego, choć znikały powoli, ale jeszcze istniały. Przez przyjęcie herbów łączność rodowa znów znakomicie się wzmogła.

Tak więc gdy szlachta na Zachodzie stała się pewnego rodzaju arystokracją, szlachta polska odrazu zaczęła się wyrabiać na «naród szlachecki», na demokrację szlachecką. Liczbowo, sądząc ze stosunków późniejszych, szlachty było w Polsce stosunkowo 8—10 razy więcej niż na Zachodzie, i składały ją żywioły najróżnorodniejsze, od dostojników najwyższych do nizin społecznych, do gminu szlacheckiego. Zniwelowanie się prawne wszystkich tych żywiołów szlacheckich nie mogło nastąpić odrazu; wymagało paru wieków.

Do w. XV wpływ na rządy w Polsce ma wyłącznie możnowładztwo.

Możnowładztwo na Zachodzie szybko przeistoczyło się na arystokrację rodową, czerpiącą swoje siły przedewszystkiem z przynależności do najznakomitszych i utytułowanych rodów. W Polsce przeciwnie, tytuł i krew arcybłękitna nie odgrywały żadnej roli; cała zaś siła możnowładztwa polskiego

tkwiła w jego stanowisku materjalnem. Arystokracja dawnej Polski jest, z małemi wyjątkami, arystokracją najprzód urzędniczą, potem plutokratyczną. Z tego powodu, gdy na Zachodzie spotykamy tem więcej rodów możnowładczych, im więcej własność ziemska jest rozdrobnioną, w Polsce przeciwnie, z rozdrobnieniem się w pewnej dziedzinie własności ziemskiej, możnowładztwo tam zanika, a zachowuje się i rozwija tylko tam, gdzie istnieje wielka własność. W XIV w. wielka własność w Wielkopolsce jest już znacznie rozdrobniona, to też możnowładztwo wielkopolskie kurczy się i ginie, natomiast podnosi się w Małopolsce, gdy tam wielka własność ziemska zaczęła się rozwijać. Gdy później i w Małopolsce wielka własność się skurczyła, a wielkie latyfundja polskie na przełomie XVI w. zaczęły się tworzyć na Litwie i Rusi, ostoją możnowładztwa stały się kraje litewskie i ruskie.

Możnowładztwo występuje w dziejach naszych za czasów Piastów, jako barones, proceres, comites, nobiles; byli to wyżsi urzędnicy, powołani przez wolę panującego do pełnienia różnych posług państwowych. Dzięki rozdrobnieniu państwa na dzielnice, ilość tych urzędników ogromnie wzrosła; nabrali oni zabarwienia prowincjonalnego, a wobec sporów książąt dzielnicowych i ich ubiegania się o godność wielkoksiążęcą, zaczynają nabierać coraz większego znaczenia. Powoli więc wytworzyła się pewna ilość rodzin najważniejszych, których przedstawiciele zajmują stale wyższe godności świeckie i duchowne i tworzą stałą przyboczną radę królewską.

Okoliczności sprzyjały podniesieniu się możnowładztwa. Kazimierz Wielki nie miał męskiego potomstwa, zwyczaj zaś w Polsce nie uznawał prawa kobiet do tronu. Uchwalenie więc sukcesji po śmierci króla wymagało zgody możnych panów. W r. 1339 Kazimierz zwołuje wiec panów do Krakowa, by na nim załatwić sprawę następstwa tronu na rzecz siostrzeńca swego, Ludwika, syna króla węgierskiego, Karola Roberta, i siostry Kazimierza Wielkiego, Elżbiety. Karol Robert musiał obiecać, że Ludwik odpadłe od Polski kraje własnym kosztem odzyska, dygnitarstwa i grody wyłącznie Polakami będzie obsadzać i żadnych nowych podatków nie nałoży bez zgody panów. Te pierwsze *pacta conventa* zaprzysiężono i spisano w Wyszehradzie, dokąd się Kazimierz Wielki udał po wiecu krakowskim. Wspomniano tam, że po śmierci Ludwika tylko mę-

skie jego potomstwo będzie miało prawo do tronu. W r. 1355 odbył się w Budzie zjazd Kazimierza Wielkiego z Ludwikiem (od r. 1340 już królem węgierskim po śmierci ojca, Karola Roberta). Tu, za zgodą panów polskich, przelano prawo następstwa na tron polski po bezdzietnym dotychczas Ludwiku na jego brata, Stefana i bratanka, Jana, Ludwik zaś potwierdził przywilej wyszehradzki i zobowiązał się wynagradzać za wszelkie szkody, poniesione w wyprawach zagranicznych. Tymczasem doczekał się Ludwik potomstwa, ale nie synów, tylko trzech córek. Wstąpiwszy po śmierci Kazimierza Wielkiego w r. 1370 na tron polski, przeznaczył najstarszą swą córkę Katarzynę na tron polski, średnią Marję chciał wydać za królewicza francuskiego, najmłodsza Jadwiga miała zostać dziedziczką Węgier. Musiano znów udać się o pozwolenie do panów polskich. Stanął pakt Koszycki w r. 1374 [1]).

Pakt Koszycki stanowił, że po śmierci Ludwika nastąpi w Polsce jedna z córek, którą on sam przeznaczy; że król nie odłączy od Polski żadnej ziemi (Ruś Czerwona), owszem stracone odzyska (Pomorze), że urzędy ziemskie będzie rozdawał tylko obywatelom miejscowym, a dygnitarskie tylko Polakom nieksiążęcego rodu, że za każdą wyprawę wojenną poza granicę kraju będzie szlachcie płacił, oraz że szlachta wolną będzie od wszelkich danin i ciężarów, z wyjątkiem dwóch groszy z łanu [2]) i pospolitego ruszenia dla obrony kraju.

Pakt Koszycki zawarty został za zgodą panów małopolskich, wbrew chęci Wielkopolan, którzy do przyłożenia swych pieczęci wprost zmuszeni zostali przemocą. Odtąd przewaga panów małopolskich nad rozdrobnioną już szlachtą wielkopolską staje się zjawiskiem stałem.

Widzimy to wkrótce po śmierci Ludwika i przy powołaniu na tron, jako męża królowej Jadwigi, Władysława Jagiełły. Było to dziełem znów panów małopolskich wbrew Wielkopolsce, która początkowo była Jagielle przeciwna, dopóki Jagiełło

[1]) Niepodobna rozstrzygnąć ostatecznie, czy zjazd ten odbył się w Koszycach (Kaschau, Kassa) na Węgrzech, czy też w osadzie Koszycach w dzisiejszym powiecie pińczowskim, województwa kieleckiego.

[2]) Korzec żyta kosztował wówczas 5 groszy, wół 24 grosze. W ten sposób grosz ówczesny odpowiadał mniej więcej dzisiejszym 3 zł. Łan odpowiadał mniej więcej 16 hektarom.

nie zjednał sobie wpływowego Bartosza z Odolanowa, mianując go wojewodą poznańskim.

Jagiełło, król z wyboru możnowładztwa, świeżo nawrócony tak do chrześcijaństwa, jak i do cywilizacji zachodniej, zmuszony był we wszystkiem powodować się wolą panów i prawa ich rozszerzać. Jaśko z Tarnowa, wojewoda sandomierski, został mianowany jeneralnym starostą Rusi Czerwonej, i otrzymał tam wielkie dobra. Spytek z Melsztyna, wojewoda krakowski, dostaje w zarząd obwód samborski, a później nawet na prawie lennem całe Podole. Książę mazowiecki, Ziemowit, poślubiając siostrę Jagiełły, Aleksandrę, otrzymał w posagu na prawie lennem ziemię bełską (pozostała ona u jego potomstwa do r. 1462). Cały szereg panów polskich otrzymuje dobra na Rusi. Wszystkie te nadania nie przyniosły jeszcze narazie szkody państwu, owszem przyczyniły się do rozszerzenia kultury polskiej na kresach.

Jagiełło wydał szlachcie dwa przywileje: w Czerwińsku w r. 1422 i w Jedlnie w r. 1430, powtórzony następnie w redakcji ostatecznej w Krakowie w r. 1433. W przywilejach tych prawa szlachty zostały rozszerzone, w szczególności zaś zastrzeżono: w przywileju czerwińskim, że dobra ziemskie nie mogą być konfiskowane bez sądu, a w przywileju jedlneńsko-krakowskim, że szlachcic-posesjonat nie może być bez sądu więziony, z wyjątkiem wypadków kradzieży, podpalania, zabójstwa, gwałtu nad niewiastą i grabieży. Ostatnie to prawo brzmiało w skróceniu: *neminem captivabimus nisi jure victum* (w samym przywileju myśl ta została wyrażona nieco dłużej).

Oba powyższe przywileje w pewnym stopniu zabezpieczały prawa nietylko już panów, ale i średniej szlachty, klasy ziemiańskiej; ale skorzystali z nich głównie panowie, którzy wzamian za przywilej krakowski zobowiązali się uznać następcą Jagiełły jego syna, ale niekoniecznie starszego. Dopiero po śmierci króla mieli panowie go wyznaczyć, zachowując w ten sposób przy sobie cenne prawo elekcji.

Należy zdać sobie sprawę z wartości największego z czynów ówczesnego możnowładztwa — unji Polski z Litwą.

W ocenie tego faktu należy ściśle odróżnić jego wartość doraźną od skutków późniejszych, a co do tych ostatnich uwzględnić późniejsze okoliczności i czynniki.

W polityce, jak wogóle w życiu ludzkiem, nierzadkie są

wypadki, że pomyślność teraźniejsza ukrywa w sobie zaczyn katastrof późniejszych, a przeciwnie niepowodzenia chwilowe prowadzą do pomyślności i chwały. Przykłady na to mamy prawie na każdej karcie historji. Wymagać od polityka, by był prorokiem na daleką metę, szczególnie, gdy ta meta ma się liczyć na stulecia, byłoby to wymagać rzeczy nadludzkich; byłoby też rzeczą niezgodną z psychologją ludzką zapoznawać różnicę między ewentualnemi przewidywaniami jednostek, a uczuciami i przewidywaniami mas, czy to będzie naród cały, czy też pewna grupa społeczna.

Niejednokrotnie nazywano unję Polski z Litwą mistrzowskiem posunięciem możnowładztwa polskiego na szachownicy politycznej. Tak było w rzeczywistości. Chrzest Litwy i jej połączenie się z Polską uratowały jedną i drugą od dalszych zaborów świata germańskiego i jego przedniej placówki krzyżackiej; stworzyły połączenie się dwóch państw, niedość silnych każde oddzielnie, w potężny organizm polityczny, który odtąd, jak skała niewzruszona, zalegał cały Wschód europejski, omywany z dwóch stron przez wzburzone fale dwóch odrębnych mórz ludzkich, zaborczego germanizmu i półksiężyca.

A jednak skutki tego mistrzowskiego posunięcia na szachownicy światowej okazały się w przyszłości dla Polski zgubnemi. Otrzymawszy łatwy dostęp do ogromnych przestrzeni na Wschodzie ruskim i litewskim, Polska stopniowo zaniedbała swoje granice etnograficzne, pozostawiła starodawną swoją dzielnicę Śląsk w ręku Niemców, i nieliczną swoją ludność, a również całą energję narodową skierowała do nowonabytych terytorjów. Jeżeli Polska, jako państwo, zyskała w końcu XIV w. na sile, to polskość, jako taka, zaczęła się rozpływać na Wschodzie ruskim, ginęła na rodzimym Śląsku, a w obrębie starodawnych swoich siedzib zaczęła wieść żywot anemiczny i niezdrowy.

Wprawdzie wyrzeczenie się Śląska i zdobycie Rusi Czerwonej dokonane zostało już za Kazimierza Wielkiego i poprzedza przeprowadzoną przez możnowładztwo unję Polski z Litwą, pierwszy więc krok do wyjścia z granic etnograficznych dokonany został za życia i za wolą wielkiego króla; pamiętać jednak należy, że zrzeczenie się Śląska na rzecz Czech przez Kazimierza Wielkiego powinno być uważane jedynie, jako ustępstwo czasowe na rzecz ówczesnej dynastji czeskiej,

i nie mogło stanowić przeszkody do zdobycia zpowrotem tej prastarej dzielnicy Polskiej, w razie gdyby Polska późniejsza do jej odzyskania rzeczywiście dążyła, tak, jak o tem myślał Zbigniew Oleśnicki. Zdobycie zaś Rusi Czerwonej nie było jeszcze zbyt wielkiem wyjściem z naszych granic etnograficznych, gdy sobie przypomnimy, że znaczna część późniejszej Rusi Czerwonej to kraina dawnych grodów Czerwieńskich, o których przynależności do Polski daje świadectwo tak wspaniałe i niepodejrzanej wartości źródło, jakiem jest kronika Nestora, gdzie czytamy o wyprawie Włodzimierza Wielkiego przeciwko Polsce w r. 981 co następuje: «Ide Wołodimer k Laham i zaja hrady ich Priemyszl, Czerweń i iny hrady». Znaczna więc część dawnej Rusi Czerwonej leżała w granicach Polski właściwej, mieszkająca zaś w niej ludność jest po części napływową z czasów późniejszych, częścią zruszczałą dawną ludnością polską.

W ten sposób na karb Kazimierza Wielkiego niepodobna zwalać winy zaprzepaszczenia Śląska i posunięcia się na wschód daleko poza granice etnograficzne.

Ale również win tych niepodobna zwalać na rządy możnowładztwa polskiego z pierwszej połowy XV w. Co do Śląska, to dążyli do jego odzyskania tak Zbigniew Oleśnicki, jak złączone z nim rodziny możnowładcze. Co zaś od unji z Litwą i połączoną z nią Rusią zachodnią, to narazie łączność ta podniosła tylko nadzwyczajnie potęgę państwa, szkody zaś żadnej narodowi nie mogła wyrządzić, o ileby dalsze wypadki nie popchnęły go na tor niewłaściwy. Ale któż mógł takie niebezpieczeństwa w owym czasie przewidzieć?

Jeżeli unja z Litwą okazała się dla Polski ostatecznie zgubna, to złe strony tego połączenia zostały spotęgowane przez sposób przeprowadzenia i wyzyskania unji w XVI i XVII w., że tu wymienimy tylko wyłączenie z w. księstwa litewskiego Wołynia, Podola i Ukrainy, i przyłączenia ich do prowincji małopolskiej, zaprowadzenie unji kościelnej w formie stworzenia jakiegoś niezupełnego, jakby niższego rzędu, katolicyzmu chłopsko-ruskiego, fatalną dalszą politykę kresową i wiele innych błędów, które nic nie miały wspólnego z unją pierwotną.

Proste przyłączenie w XVI w. Wołynia, Podola i Ukrainy do Korony, jako części prowincji małopolskiej, i nienadanie

Ukrainie autonomji, choćby na wzór litewskiej, prowadziło w prostym rzędzie do traktowania Ukrainy jedynie jako terenu do bogacenia się szlachty, a głównie możnowładztwa. Unja kościelna, jak każde dzieło nieszczere i połowiczne, chcące działać przez pozory, a nie przez treść żywą, była pomysłem zabójczym tak dla katolicyzmu, jak dla Polski. Zamiast powolnego, ale skutecznego działania katolicyzmu zachodniego, stworzono jego fikcję, którą zdeprawowano, zrobiono narzędziem polityki i frymarku. Pod względem politycznym, unja kościelna odszczepiła od ludu przodującą klasę, szlachtę ruską. Nie chcąc przyjmować wiary chłopskiej, przeszła ona na obrządek łaciński i spolszczyła się wkrótce; obrządek łaciński stał się na Rusi wiarą pańską, unja zaś wiarą ludu, bez względu na to, czy lud ten był Rusinem-tubylcem, czy przybyszem-Polakiem; unja ruska wszystkich tych Polaków z ludu zruszczyła. W rezultacie za rządów polskich, dzięki unji, odstrychnęło się od ruszczyzny i spolszczyło kilka setek rodzin szlachty ruskiej, zruszczyła się zaś miljonowa rzesza ludu polskiego.

Przyszła kozaczyzna. W postępowaniu z nią popełniano błąd za błędem; w rezultacie ziemie Ukrainy stały się na długo ruiną, żerem koczowników tatarskich.

Czyż i za wszystkie te błędy ponosić może odpowiedzialność pokolenie Polaków z końca XIV w.? Uznać takiej winy niepodobna.

Ale zastanówmy się, coby się stało, gdyby po śmierci Władysława Warneńczyka unja Polski z Litwą została zerwaną, jak na to się zanosiło. Narazie tak Polska, jak Litwa odczułyby ten wypadek boleśnie, gdyż siła ich nazewnątrz znacznieby osłabła, i Krzyżacy nie omieszkaliby zapewne znów podnieść głowy. Ale w dalszem następstwie fakt ten zapewne wyszedłby na dobre tak Polsce, jak i Litwie i Rusi.

Polska i Litwa historyczna były to organizmy państwowe tak pod względem narodowym jak kulturalnym zupełnie do siebie niepodobne. Ludność Litwy historycznej składała się w $^1/_4$ z Litwinów i Żmudzinów, w $^3/_4$ z Rusinów. Językiem panującym w klasach wyższych był przeważnie język rusiński (narzecze krzywiczańskie, białoruskie). Chrześcijaństwo i cywilizację otrzymały kraje ruskie jeszcze w końcu X w. nie z Zachodu, lecz z Bizancjum, i kultura wschodnio-bizantyjska

wżarła się głęboko w duszę narodową ludności. Długotrwała zależność od dziczy tatarskiej nie mogła też nie pozostawić swego piętna, obniżając i deprawując pierwiastki cywilizacyjne. Litwa i Żmudź przyjęły wprawdzie chrześcijaństwo zachodnie, ale stało się to dopiero pod sam koniec XIV w. i psychika narodowa musiała jeszcze długo pozostać pod wpływem pojęć i wspomnień pogańskich.

Polska natomiast już w końcu XIV w. przedstawiała społeczeństwo nawskróś zachodnio-europejskie, związane całą siecią wspólnych pojęć, potrzeb i urządzeń z zachodem Europy, z tą jednak różnicą arcyważną, że w rzędzie narodów o kulturze zachodniej jestto społeczeństwo najmłodsze, które, najpóźniej powołane do współżycia cywilizacyjnego, normy tego życia przyjęło z Zachodu już gotowe, wyrobione tam przez kilkowiekowe walki narodów i nieskończone męki jednostek, gnębionych bez litości twardą maszyną feudalizmu. W przeciwieństwie więc do wyrobionej plastyczności społeczeństw zachodnich, zdradza Polska w XIV i XV w. znaczne niewyrobienie społeczne i kulturalne, skutkiem którego ziarno cywilizacji wschodzi tam często spóźnione, wątłe lub zwyrodniałe. Ta rola nowinna, zbyt mało jeszcze wyrobiona i skruszona, by dojść do swego pierwowzoru zachodnio-europejskiego, potrzebowała jeszcze wyrobienia dalszego i bała się chwastu i zapuszczenia. Tymczasem zamiast zaciśnięcia współżycia z Zachodem, unja z Litwą i Rusią zwraca Polskę na Wschód, do zetknięcia się z panującą tam cywilizacją inną, różną co do treści, o ileż niższą co do poziomu!

Zwrot ten nie mógł nie obniżyć, nie skazić będącej na dorobku cywilizacyjnym duszy narodu.

Ludzie owocześni zapewne odczuwali po części tę różnicę kultur z dwóch brzegów Niemna i Bugu, ale dążyć na Wschód kazały im — względy materjalne. Nie ulega też wątpliwości, że te względy w znacznie większym stopniu, niż pojęcie jakiejś misji cywilizacyjnej, pchały naszych praojców do łączenia z Polską obszernych krajów litewsko-ruskich.

Motywy idealne mógł mieć jeden chyba Kościół. Ten ze swego przeznaczenia dążył i dążyć będzie stale do połączenia z sobą utraconego swego odłamu wschodniego. Przyczem rzeczą jest naturalną, że w dążeniach swych Kościół stale pod-

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

porządkowywał swej idei interesy narodowe. Mniej zrozumiałą jest stałość różnych iluzyj ze strony Kościoła katolickiego co do rzeczywistej dlań wartości różnych unij kościelnych i pertraktacyj dyplomatycznych.

W ten sposób nad dalszą unją Polski z Litwą czuwały dążenia materjalne polskiego możnowładztwa świeckiego i dążenia religijne możnowładztwa duchownego.

Gdyby jednak unja Polski z Litwą została zerwana, i dwa te różne organizmy mogły się dalej rozwijać, jeden niezależnie od drugiego — każdy z nich rozwijałby się normalnie i poszedł właściwą sobie drogą. Potomkowie Gedymina zwróciliby swą uwagę na sprawy ruskie, podtrzymaliby samorządy Pskowa i Nowogrodu, przeszkodziliby Moskwie stać się ośrodkiem ziem ruskich i w ten sposób odciągnęliby je od jeszcze większego zetknięcia się z kulturą wschodnią; ruszczyzna nie zostałaby, przy zbyt gwałtownem zetknięciu się przez Polskę z cywilizacją zachodnią, zepchnięta na stanowisko drugorzędne, rozwijałaby się być może powolniej, ale na zdrowszych podstawach; klasy przodujące rusińskie nie zostałyby spolszczone, a lud ruski pozbawiony naturalnych swych przewodników. Ruś zostałaby Rusią, czy w łączności z etnograficzną Litwą, czy bez niej.

Rozwój Polski poszedłby również właściwszą, pewniejszą drogą. Mając utrudniony dostęp na Wschód, skierowałaby Polska swą energję na bliżej obchodzące ją sprawy zachodnie, na Śląsk, na Pomorze, do Prus, na handel morski; obchodziłyby ją dzieje czeskie, ewolucja wypadków europejskich; naród szukałby pola dla swej twórczości w obrębie swego, słabo jeszcze zasiedlonego wówczas obszaru etnograficznego, stworzyłby silny i patrjotyczny stan trzeci, a w przyszłości nie byłby demoralizowany przez zwyrodniałe możnowładztwo, oparte na polityce plantatorskiej na kresach i przenoszące względy własne na dolę ogólnonarodową. Wreszcie niezdrowa spuścizna ustroju rodowego, nienaturalna ilość szlachty, przy normalnym rozwoju państwa i warunków ekonomicznych, musiałaby sprowadzić pewne zróżniczkowanie się tej klasy społecznej, w pierwszej połowie XIV w. jeszcze niedość silnej, by stawić mogła czoło potrzebom zdrowego rozwoju społeczeństwa; napewno cała ta masa szlachecka rozpadłaby się zgodnie ze swoją pozycją socjalną i, po zwróceniu

znacznej swej części na rzecz pokrewnych sobie kmieci, utworzyłaby, jak wszędzie na Zachodzie, klasę przodującą, złożoną z arystokracji rodowej i szlachty ziemiańskiej. A choć przy tych zmianach dola kmiecia polskiego nie uległaby wielkim zmianom na lepsze, gdyż zaprowadzenie pańszczyzny było zjawiskiem ogólnoeuropejskiem, mającem swe źródło w wymaganiach ówczesnych stosunków ekonomicznych, jednak kto wie? — może stan kmiecy, wzmocniony przez dopływ mniej silnych warstw szlacheckich, zdobyłby się na więcej odporności i umiałby lepiej zabezpieczyć swe prawa obywatelskie, a w każdym razie nie szedłby na Wschód na pewne zruszczenie się pod wpływem pozbawionej uczuć narodowych plutokracji możnowładczej i wszystko ruszczącej unji kościelnej.

Co do osoby tego lub innego kandydata na tron polski, w razie usunięcia Kazimierza Jagiellończyka, rzecz ta oczywiście nie byłaby pozbawiona znaczenia, ale jest nieuchwytną dla jakichkolwiek kombinacyj historycznych. Z dwóch ówczesnych kandydatów, Bolesław mazowiecki złączyłby z Polską część Mazowsza, ale ród jego trwał niedługo i, jak wiemy, wygasł w męskiem pogłowiu już w r. 1526 — przy innych okolicznościach być mogło też inaczej. Drugi kandydat, Fryderyk Hohenzollern, drugi z rzędu elektor brandenburski z tego rodu, dawniej przed urodzeniem Władysława i Kazimierza Jagiellończyków upatrzony przez Jagiełłę następca tronu polskiego, wychowany w Krakowie na dworze polskim, z języka i zwyczajów był w młodości bardziej Polakiem, niż wychowany na Litwie Kazimierz Jagiellończyk; dynastja ta, w owych czasach luźnie z Niemcami związana, dowiodła w dziejach płodności i energji niepospolitej, często pozbawionej wyższych uczuć moralnych, ale zawsze skierowanej ku wzmocnieniu potęgi państwowej.

Kazimierz Jagiellończyk w r. 1453 miał lat dopiero 28; z natury nieugięty, przejęty zasadami autokratyzmu, wychowany w środowisku litewskiem, dalekiem jeszcze od wolności polskich, od wstąpienia na tron polski napastowany stale przez możnowładców polskich, musiał przejąć się gorącem pragnieniem stworzenia przeciwwagi dla tej niepożądanej potęgi możnowładztwa i podstawy dla ugruntowania swej królewskiej powagi w państwie. Zjawisko to znane wszędzie w historji państw

lądowych Europy [1]): dążąc do złamania przewagi szlachty, królowie łączą się z miastami i powołują je do udziału w rządach, jako stan trzeci, obok dwóch innych stanów, szlachty i duchowieństwa. Nastąpiło to we Francji w r. 1254, w Niemczech w r. 1293. W XV w. władza monarchiczna w Europie wszędzie już wzrosła, i wszędzie miasta zdobyły udział poważny w życiu publicznem. Dopomagał do tego wzmocnienia władzy królewskiej i humanizm, który, oparty o wydobyte z kurzu zapomnienia prawo rzymskie, głosił szeroko wszechwładzę panującego, uznawał tylko jedno dobro — państwowe, jednocześnie jednak ludność wieśniaczą uczył traktować jak niewolników. U nas w Polsce humanizm ten w życiu politycznem miał w drugiej połowie XV w. dwóch głównych przedstawicieli: Włocha, Filipa Buonacorsi, przezwanego Kallimachem, a uważanego za polskiego Machiavellego († 1496), i Polaka, Jana Ostroroga († 1501), którego traktat «Pamiętnik o naprawie Rzeczypospolitej» podany został na sejm 1459 r.

Miasta w Polsce w XV w. były w stanie względnie kwitnącym, w znacznej jednak ich części rządziły napływowe bogate rodziny niemieckie, stanowiące wszędzie rodzaj możnowładztwa miejskiego, t. zw. patrycjat, w przeciwieństwie do bardziej polskiego pospólstwa. Posiadając zupełny samorząd, zapożyczony z Zachodu, t. zw. prawo magdeburskie, które znakomicie zabezpieczało interesy klasy przodującej, miasta polskie nietylko nie czuły potrzeby szerszego udziału w życiu publicznem, lecz owszem starannie go unikały, uchylając się ile można i od ciężarów podatkowych i od powinności wojskowej. Trzeba to mieć na uwadze, gdy spotykamy się na przełomie XV w. ze skargami szlachty na uprzywilejowane stanowisko miast i z zakazem nabywania przez bogaczów miejskich dóbr ziemskich.

Tą też obojętnością dla spraw państwowych i separatyzmem miast tłumaczy się, dlaczego Kazimierz Jagiellończyk, w poszukiwaniu przeciwwagi przeciwko możnowładztwu, nie zwrócił się do miast, pomimo ich ówczesnego stanu kwitnącego, a natomiast oparł całą swą politykę wewnętrzną na rozdmuchiwaniu i podtrzymywaniu antagonizmu szlacheckiego (ziemiańskiego) w przeciwieństwie do możnowładztwa i rozbudzaniu w ten sposób ruchu demokracji szlacheckiej, który, pogłębiając się z pokolenia w pokolenie, zaprowadził wkońcu Polskę pod koniec XVI w. do niezdrowych stosunków wszechwładztwa demosu szlacheckiego.

[1]) W Anglji ewolucja społeczna inne przechodziła fazy, i tam szlachta wcześnie sama połączyła się z miastami w walce z silną władzą królewską.

W walce z możnowładztwem Kazimierz Jagiellończyk opiera się na klasie szlachty ziemiańskiej. W walce również z możnowładztwem Jan Zamoyski w końcu XVI w. niebacznie wygłosi zasadę wszechwładztwa tłumu szlacheckiego i powoła ten tłum do stanowienia bezpośrednio *(viritim)* o najważniejszych sprawach Rzeczypospolitej.

Pominięcie miast i rzucenie się w objęcia szlachty drobniejszej przeciwko szlachcie możniejszej, t. j. przeciwstawienie nie czynników różnych, lecz czynników wobec siebie jednorodnych, a w każdym razie o różnicach łatwo zacierających się, stanowi w panowaniu Kazimierza Jagiellończyka i w dziejach Polski błąd zasadniczy, który w następstwie zapewne mógł ulec pewnej poprawie, gdyby znów tej poprawie nie stanął na przeszkodzie inny błąd rządów Kazimierzowych — dopuszczenie masowej immigracji żydowskiej. Błąd to «Kazimierzowy», ale nietyle Kazimierza Wielkiego, ile raczej Kazimierza Jagiellończyka, za jego bowiem dopiero rządów immigracja żydów do Polski przybrała rozmiary masowe, a sami żydzi stali się poważnym czynnikiem w życiu polskiem. Tłumaczy się to zapewne nietyle filosemityzmem króla, ile względami natury finansowej; autokratyczny z natury król, nie mogąc zawsze w porę uzyskać od panów, szlachty i duchowieństwa potrzebnych podatków i zasiłków pieniężnych, choć osobiście nierozrzutny i wcale nieślamazarny, pozastawiał jednak wielkie dobra koronne osobom prywatnym, a u żydów szukał źródła zasilenia swego kredytu.

A jednak monarcha polski z XV w. mógł łatwo jeszcze pójść inną zupełnie drogą i, chcąc ukrócić zbyt wybujałe roszczenia możnowładztwa, oprzeć się właśnie na miastach polskich, pomimo ich wskazanej już obojętności na sprawy publiczne. Należało je tylko unarodowić — unarodowić nie w ciasnem pojęciu prześladowania tego co cudze, lecz przeciwnie, unarodowić w znaczeniu przygarnięcia miast do ogólnego życia narodowego, nadania im praw i przywilejów ogólnopań-

stwowych. Innemi słowy należało zburzyć ich separatyzm, wglądnąć ze stanowiska ogólnonarodowego w ich życie i potrzeby, wziąć je w opiekę przed nadużyciami wewnętrznemi i zewnętrznemi, powołać do życia publicznego i ukrócić w miastach nadmierną supremację patrycjatu miejskiego. Przy ówczesnem bogactwie miast, znakomitych konjunkturach handlu, coraz wzmagającym się bilansie bogactwa narodowego, celowa i rozumna polityka królewska względem miast utworzyłaby z nich w krótkim czasie i przeciwwagę dostateczną przeciwko dążnościom możnowładztwa i czynnik wysoce pożyteczny w rozwoju całego państwa i narodu. Nie należało się obawiać żywiołów miejskich niepolskich. Wciągnięte do ogólnego życia narodowego, jako czynnik twórczy i równouprawniony z ludnością rdzenną, zasymilowałyby się one wkrótce i lgnęłyby do państwa, któreby tworzyło rzeczywistą, nie zaś przygodną ich ojczyznę. Historja Polski uczy, że niema lepszej drogi do asymilacji i wyrobienia uczuć obywatelskich, jak równouprawnienie. Tylko system asymilacyjny, któremu oprócz Polski hołduje obecnie świat anglo-saski, okazywał się zawsze skutecznym, w przeciwieństwie do systemów gwałtu i nietolerancji, praktykowanych na wschodzie Europy, przyczem kij pruski nie wpoił żadnemu z katowanych dzieci polskich uczuć niemieckich. Prawdziwie rozumna asymilacja państwowa nie prześladuje mowy i obyczajów swoich obywateli innej narodowości, owszem, szanuje je, a szanując je — często zdobywa ich na trwałe i łączy narodowo. Nawet bez jedności językowej może się rozwinąć patrjotyzm państwowy. Dowód tego w historji polskiej stanowi patrjotyzm, który do końca istnienia państwa polskiego objawiała ludność niemiecka Gdańska, a to z powodu, że w Polsce czuła się dobrze, i Polska zostawiała jej zawsze wolność zupełną. Cóż byłoby, gdyby oprócz wolności, opartej na separatyźmie, miasta otrzymały jeszcze udział w ogólnem życiu publicznem? Jedni żydzi zapewneby się nie zasymilowali, a to wobec nadmiernej ich do nas immigracji, oraz wyjątkowej wyłączności rasowo-religijnej.

Ale, by taki program unarodowienia miast mógł być podjęty i przeprowadzony, na to potrzeba było, by król polski był monarchą przejętym też duchem narodowym, świadomym

swego celu i dążącym doń dla dobra powszechnego w przyszłości.

Takim monarchą Kazimierz Jagiellończyk nie był i być nie mógł, gdyż myśl jego rozstrzeloną była na dwa światy odmienne — polski i litewsko-ruski, a uwagę jego wypełniały sprawy i zabiegi chwili bieżącej. A tych było aż nadto: waśnie dwóch narodów, zatargi możnowładcze, wojna pruska i polityka dynastyczna.

Zamiast więc stworzyć nowy czynnik społeczny z miast polskich, Kazimierz Jagiellończyk zwrócił się w walce z możnowładztwem do szlachty ziemiańskiej, gdyż był to czynnik, którego nie trzeba było tworzyć, bo istniał już i dawał znać o sobie; należało go tylko przy sposobności do władzy dopuścić.

Sposobność wkrótce się nastręczyła. Gdy w r. 1454 zwoływano pospolite ruszenie na wojnę w Prusach, szlachta, być może, nie bez zgody ze strony króla, dwa razy, pod Cerekwicą i pod Opokami, burzyła się przeciwko nadużyciom ze strony rządów możnowładczych i podawała królowi skargi na swoje położenie. Szlachta czuła się uciśnietą przez sądownictwo panów, a wobec służby wojennej i częstych nadzwyczajnych podatków, żądała udziału w rządach, narówni z panami. Kazimierz Jagiellończyk wydał wtedy szlachcie dwa przywileje, naprzód dla Wielkopolski w Cerekwicy, a potem ogólniejszy i obszerniejszy w Nieszawie.

W przywilejach tych Kazimierz rozszerzył prawa szlachty, nietylko na niekorzyść możnowładztwa, ale, niestety, także na niekorzyść miast i ludności wiejskiej. Jeżeli szlachta uzyskała uchylenie sądownictwa kasztelanów i udział w wyborze sędziów, jeżeli król obiecał wydawać nowe prawa i zwoływać pospolite ruszenie nie za wolą jedynie panów, ale za zgodą zjazdów, czyli sejmików szlacheckich, to narazie król tylko zyskiwał, gdyż zamiast ciężkiej zależności od możnowładztwa, stanowiącego zwartą silną grupę, wchodził w bezpośredni stosunek z liczną, ale rozbitą na sejmiki lokalne, szlachtą ziemiańską, i silny poparciem tych sejmików mógł przewagę możnowładztwa łatwiej już paraliżować. Choć taktyka ta odwoływania się do coraz szerszych kół ludności jednego jest właściwie pochodzenia z taktyką demagogiczną działania przez tłum, jednak historja uczy, że, umiejętnie użyta, rzeczywiście

przynosiła pożytek, co zresztą wypływa z samej istoty postępu, powołującego do udziału w życiu samorządnem coraz więcej jednostek odpowiednio ukształconych. Takie jednostki spotykały się już w drugiej połowie XV w. wśród szlachty ziemiańskiej, choć materjalnie jeszcze słabej, ale przygotowanej już nieco do życia publicznego na wzorach umiejętnej polityki możnowładztwa. Z tą więc częścią ustawodawstwa nieszawskiego, choć nie bez zastrzeżeń (szczególnie co do zdecentralizowania spraw publicznych przez sejmiki lokalne), ze stanowiska zdrowej ewolucji prawa państwowego zgodzićby się można. Wręcz inaczej osądzić należy przywileje, przyznane szlachcie na niekorzyść miast i ludności wieśniaczej. Jeszcze, co do tej ostatniej, liczyć się z tem należy, że wszędzie w Europie, z wyjątkiem Anglji, skutkiem warunków ekonomicznych, braku rąk roboczych, a również działania prawa rzymskiego, ludność rolnicza powoli ograniczaną była w swych prawach przesiedlania się i fatalnym biegiem rzeczy wpadała w zależność pańszczyźnianą nawpół niewolniczą; ale co do ograniczeń miast krok ten, ze względu na dalszą ewolucję Polski, należy uznać za pierwszorzędny błąd polityczny.

Jeżeli nawet władza królewska chciała, jako przeciwwagę możnowładztwu, powołać do udziału w życiu politycznem czynnik, który sam się narzucał, i którym była szlachta ziemiańska, i nie myślała narazie o oparciu się na miastach, jako czynniku jeszcze do tego zadania niedojrzałym, to w każdym razie było wielkim błędem politycznym nietylko nie starać się o podniesienie miast, ale je jeszcze poniżać, od szlachty niejako uzależniać i tem odjąć sobie wszelką możność oparcia się na nich w przyszłości.

Ale polityka Kazimierza Jagiellończyka była polityką zręczną jedynie na dobę bieżącą i pozbawioną wszelkich przewidywań przyszłości. Nie trzeba było polityki wyrafinowanej, by zrozumieć, że szlachta ziemiańska, to jedynie młodszy odłam tegoż możnowładztwa, przeciwko któremu władza królewska szukała przeciwwagi, że to właściwie tylko dwie grupy, a więc jeszcze nie wszystkie, tak nadzwyczajnie licznej w Polsce ludności herbowej, a więc dwie części jednego i tego samego stanu, że nie dziś to jutro antagonizm między temi grupami złagodnieje, że wtedy obie staną do walki z władzą królewską, by ją ostatecznie sobie podporządkować, i że wobec

tego źle jest palić za sobą mosty i pozbywać się tak ważnego i bogatego czynnika, jakim wszędzie jest ludność miejska.

Zapewne wszystko to wymagało pewnej pracy, pewnego napięcia energji i umysłu, i nie szło w parze z kwietyzmem jagiellońskim, wypływem tej wyjątkowej pomyślności, która przyświecała Polsce od czasów powołania na tron Władysława Jagiełły. Przekleństwem dziejów naszych jest właśnie brak w nich tych niepowodzeń i udręczeń, tej pracy żmudnej a trudnej, tego długowiekowego zmagania się sił i interesów, które cechują dzieje innych narodów. Własna nasza historja uczy dowodnie, że nic na świecie nie przychodzi darmo, i że chwile pomyślności okupuje się morzem potu i krwi ludzkiej. Narody zachodnie przeszły w swej historji przez męki w naszych dziejach nieznane, i być może dlatego my, szczęśliwcy w XV, XVI i nawet w XVII w. byliśmy później najnieszczęśliwszym z narodów w Europie. Spłaciliśmy dług przeszłości, ale też — pracowaliśmy dla przyszłości.

Kto wie, gdyby nie poniżenie miast, które się datuje właśnie od ustawodawstwa nieszawskiego z r. 1454, a przypieczętowane zostało jednoczesną nawałą żydowską, kto wie, czy w XVI w. w epoce walk reformacji nie mogła była się wytworzyć izba poselska, złożona z przedstawicieli i szlachty i miast. Powolne zlewanie się tych dwóch żywiołów obserwujemy w historji ustroju państwowego Anglji, gdzie w izbie gmin reprezentowane były miasta i część szlachty, odpowiadająca naszej średniej klasie ziemiańskiej. Wprawdzie rozwój społeczeństwa i ustroju państwowego w Anglji był wręcz odmienny od tego, jaki widzimy na kontynencie Europy, i powoływanie się na Anglję zwykle prowadzi do wniosków fałszywych, nie ulega jednak wątpliwości, że ze wszystkich państw europejskich właśnie Polska do końca XV w. nastręcza najwięcej analogji z Anglją; pamiętać tylko należy, że w przeciwieństwie do Polski, a także innych państw Europy kontynentalnej, najsilniejszym czynnikiem w ustroju Anglji była — rzecz często dziś zapoznawana — właśnie ogromna władza królewska, i że rozwinięcie się swobód angielskich zawdzięcza Anglja tej walce, jaką z tą władzą królewską wobec jej siły zmuszone były prowadzić nie poszczególne stany, lecz wszystkie stany połączone razem, co ustrzegło je od separatyzmu, czy to stanowego, czy to lokalnego, i wyrobiło wyjątkowe poczucie ogól-

nego dobra publicznego. Gdyby trzeba było w paru słowach oznaczyć różnicę między Anglją i resztą Europy, należałoby powiedzieć, że Europa zaczęła od słabej władzy królewskiej, a skończyła na absolutyzmie, Anglja zaś zaczęła od skrajnego absolutyzmu, a skończyła na wspaniałym konstytucjonalizmie; i jeszcze — choć tu i tam dźwignią postępu była walka, lecz zapaśnicy byli inni; na kontynencie Europy walczyły z sobą oddzielne stany, a zwyciężał *tertius gaudens* absolutyzm, w Anglji zaś wszystkie warstwy ludności z sobą zespolone walczyły z władzą królewską i zaprowadziły — parlamentaryzm.

Polska stoi pośrodku. Co do absolutyzmu, miała go, jak Anglja, nie w końcu, lecz w początkach swego rozwoju. Ale gdy do zwalczenia samowoli Plantagenetów potrzeba było napięcia całego społeczeństwa angielskiego, t. j. wszystkich stanów, w Polsce władza królewska upadła prawie bez walki z przyczyn przypadkowych, jak wymarcie dynastji piastowskiej, elekcja, unja z Litwą, wreszcie nieudolność monarchów; nie było więc powodów, jak w Anglji, do zespolenia się wszystkich stanów w społeczeństwo jednolite. Jednocześnie jednak nie wytworzyła się u nas także normalna rywalizacja stanów, którą widzimy w reszcie Europy kontynentalnej. W ten sposób rozwój Polski cechuje właściwie brak wszelkiej walki, tak koniecznej do rozwoju narodów, brak dłuższej walki z władzą królewską, brak normalnej walki między oddzielnemi warstwami ludności.

A winę tego stanu ponoszą w znacznej mierze rządy Kazimierza Jagiellończyka. Przyłączenie Prus, osadzenie dynastji Jagiellońskiej na tronach Czech i Węgier — są to plusy rządów Kazimierzowych, ale minusy są jeszcze większe: zamiast wzmocnienia, właściwie osłabienie władzy królewskiej, a jednocześnie zniszczenie wszelkiej rywalizacji oddzielnych stanów ludności przez dopuszczenie zupełnej supremacji jednego stanu — szlachty. Odtąd wszelki zdrowy ruch naprzód musiał zamierać i, choć będzie jeszcze galwanizowany przez walki reformacji i odruchy dawnej chwały, już w XVII w. zatrzyma się.

Druga połowa XV w. i wiek XVI stanowią epokę coraz wzmagającej się supremacji szlacheckiej w walce z innemi sta-

nami, oraz władzą królewską. Walka z biernem mieszczaństwem, niepodtrzymywanem przez władzę królewską, oraz z ludnością wieśniaczą, skazaną w całej Europie kontynentalnej do końca XVIII w. na pracę pańszczyźnianą, nie przedstawiała dla szlachty żadnej trudności. Bez żadnej przeszkody spadały na miasta i stan kmiecy prawa coraz częstsze, coraz bezwzględniejsze. Walka z władzą królewską przyszła szlachcie także z łatwością; na tronie widzimy ludzi zacnych, miękkich i apatycznych, charaktery słabe, ustępliwe, pozbawione cienia despotyzmu, tak dalekie od postaci Ludwików XI, Henryków VIII i Iwanów Groźnych, że rządy ich, zestawione z rządami tamtych tyranów, lub choćby z rządami suchych i twardych Maksymiljanów i Ferdynandów austrjackich, wydają się jakąś sielanką, do której też lgnęli współcześni, i którą opiewali nasi poeci, jako złote czasy Zygmuntowskie. Takich królów zwalczyć było nietrudno.

Inaczej było z możnowładztwem. To nie ustąpiło tak łatwo. Zaszachowane przez Kazimierza Jagiellończyka przeniesieniem najważniejszych spraw państwowych na sejmiki, pozostające w rękach szlachty ziemiańskiej, możnowładztwo zdobywa sobie nową podstawę do znaczenia przez ogromne podniesienie swej potęgi materjalnej, a to dzięki znów niebacznej polityce Kazimierza Jagiellończyka i jego synów, Olbrachta i Aleksandra.

Obdarowywana coraz nowemi przywilejami szlachta ziemiańska chętnie dawała się używać za narzędzie polityki królewskiej w jej dążeniach uwolnienia się z pod opieki możnowładztwa; gdy jednak chodziło o własną kieszeń, szlachta ta nie była zbyt hojną, i król niejednokrotnie napróżno kołatał do niej o nowe podatki. Gdy te zawodziły — szły pod zastaw coraz liczniej dobra królewskie. Gospodarka ta prowadzoną była w sposób tak niedbały i marnotrawny, że w ten sposób rozdrapano prawie połowę ogromnych dóbr państwowych. A zagarnęli je przedewszystkiem — możnowładcy, jako klasa mająca najwięcej bogactw i bądź co bądź najwięcej jeszcze wpływów.

Również i najważniejsze stanowiska na urzędach państwowych zajmowali nadal możnowładcy. Tylko typ tych możnowładców dworaków ulega przemianie; zamiast na wzór Zbigniewa Oleśnickiego, mówiącego królom gorzką prawdę z po-

budek politycznych, zaczyna się rozwijać opozycja dla prywaty, dla pozyskania stanowiska i nadań intratnych. Jan Olbracht był uczniem znanego Kallimacha. T. zw. «Rady Kallimachowe» są bezwątpienia późniejszym paszkwilem, rozpowszechnionym przez możnowładztwo dla zohydzenia pamięci Kallimacha, ale nie ulega wątpliwości, że dążył on do poskromienia nietyle szlachty, ile możnowładztwa. Wśród «rad Kallimacha» spotykamy między innemi takie: «Wielkim familjom kłaniaj się i dawaj województwa i kasztelaństwa, ale nie dawaj ziem, by się wzbogacić mogły; na starostwach nikomu nie dawaj dożywocia». Z radami temi zapewne Jan Olbracht sympatyzował, ale ich nie słuchał. Potrzebując pieniędzy, a często i poparcia panów, zastawiał i nadawał im w dalszym ciągu, jak ojciec, dobra koronne.

W r. 1501, po śmierci Jana Olbrachta, możnowładztwo zrobiło nowy wysiłek celem zdobycia sobie dawnej przewagi politycznej. Chwila była odpowiednia. Na tron polski wstępował brat nieboszczyka króla — Aleksander, od r. 1492 już wielki książę litewski. Odznaczał się zupełnym brakiem energji i na Litwie poddał się był zupełnie pod wpływ tamtejszego możnowładztwa, któremu też wydał jak najszersze przywileje co do udziału w rządach. Z drugiej strony, w przeciwieństwie do tego, co było po śmierci Władysława Warneńczyka, wyboru Aleksandra na króla polskiego domagali się przedewszystkiem sami Litwini katolicy, a to z obawy przed Moskwą i coraz silniejszem stronnictwem Rusinów litewskich obrządku wschodniego. Przy tak pomyślnych warunkach uzyskali panowie polscy bez trudności od króla Aleksandra t. zw. przywilej mielnicki, przyznający możnowładztwu polskiemu te same prawa, z których korzystali już za wielkoksiążęcych rządów Aleksandra na Litwie wielmoże litewscy. Szlachtę ułagodzono nowemi ograniczeniami ludności miejskiej i wiejskiej. Aleksander wkrótce po koronacji znów wyjechał na Litwę, zdawszy rządy Polski na swego brata, Fryderyka kardynała, i co przedniejszych panów. W tym też czasie dokonane znów zostały nadania panom polskim znacznych dóbr koronnych. Triumf możnowładztwa polskiego był zupełny.

Ale triumf ten trwał niedługo. Ziemiaństwo, przyuczone już do rządów, potrafiło zbyt daleko sięgające apetyty możnowładców znów ubezwładnić; na króla wpływał w tym kierunku

sławny Jan Łaski. W r. 1504 na sejmie piotrkowskim zapadła uchwała, skierowana przeciwko możnowładztwu, zabraniająca łączenia dwóch dygnitarstw w jednej osobie, tudzież nadawania i zastawiania dóbr koronnych bez zgody sejmu, a w r. 1505 na sejmie w Radomiu stanęła sławna konstytucja, znana pod nazwą *nihil novi* (od słów zamieszczonych w najważniejszej części tej konstytucji), orzekająca, że król nie może postanowić nic nowego «bez wspólnej zgody» senatu i posłów sejmowych [1]). W ten sposób zakusy możnowładcze zostały powstrzymane; tylko na Litwie możnowładztwo pozostało przy swoich prawach.

Zygmunt I nie był zwolennikiem dalszego faworyzowania szlachty. Wstępując na tron, był mężem już w sile wieku, doświadczonym i ostrożnym; nie posiadał wybitnych zdolności państwowych, ale bądź co bądź zdawał sobie sprawę ze stosunków polskich tak zewnętrznych, jak wewnętrznych. Jego projekty reform wojskowych, podatkowych i kodyfikacyjnych zasługują na najwyższe uznanie — upadły jednak skutkiem niezrozumienia przez szlachtę ich użyteczności. Ale i w możnowładztwie król nie znalazł poparcia. Odsunięte od stałego kierownictwa sprawami publicznemi, wobec powierzenia tych spraw rojnym sejmikom lokalnym, zaczyna ono coraz bardziej zatracać swą dawną umiejętność, a przynajmniej wyrobienie polityczne; powoli przejmuje się za szlachtą duchem partykularyzmu, ogarnia w stopniu niedostatecznym horyzonty szersze ogólno-państwowe i, pilnując coraz bardziej jedynie interesów własnych, działa na młodszą brać, szlachtę, coraz ujemniej, drogą podjudzań i intryg. Jeszcze typ magnata z XVII i XVIII w. nie gotów; pychę możnowładczą nie zawsze jeszcze pokrywa późniejszy stereotypowy uśmiech wielkopański i uniżoność pozorna przed bratem szarakiem, ale wpływanie «czapką i papką» już się zaczyna, już szlachta daje się łapać na wędkę haseł popularnych i inwektyw przeciwko zamiarom królewskim, już na «wojnie kokoszej» przewodzą Zborowscy i Kmita. System Kazimierza Jagiellończyka — sprawowania rządów przez wygrywanie szlachty przeciwko moż-

[1]) Słowa «bez wspólnej zgody» przetłumaczono niefortunnie w konstytucji na język łaciński przez *sine communi consensu*, co w XVII wieku zaczęto tłumaczyć przez «bez zgody ogólnej, jednomyślnej».

nowładztwu, ostatecznie bankrutuje. Owszem, możnowładztwo wygrywa już szlachtę przeciwko królowi, choć tą drogą nie rządzi, a burzy. Należy też nie zapominać, jak deprawującemi były wpływy Bony na skład ówczesnego senatu polskiego; intryga i przekupstwo zastępują prawdziwą zasługę. Zresztą możnowładztwo zmuszone jest szukać u szlachty dobrej komitywy przez wzgląd na podniesioną w r. 1535 sprawę «egzekucji» nieprawnie rozdanych, głównie możnowładztwu, dóbr królewskich. To dla wielu z możnowładztwa kwestja życia lub śmierci, zasłaniająca sobą wszelkie inne sprawy publiczne. By do tej egzekucji dóbr nie dopuścić, możnowładztwo, jak toreador płachtą czerwoną, zasłania się podnoszeniem coraz nowych haseł popularnych, coraz nowych inwektyw przeciwko władzy królewskiej. Nareszcie możnowładztwo i szlachta ziemiańska, jako właściciele ziemscy, mają teraz więcej interesów wspólnych i wspólnie dążą do ograniczenia miast i włościan.

Izba poselska za czasów Zygmuntowskich to jeszcze nie ów ciemny i nieokrzesany tłum szlachecki, który zjawia się na scenie dopiero w końcu XVI w., ale bądź co bądź żywioł to jeszcze niedoświadczony, impulsywny, potrzebujący długiej szkoły, by kierować nawą publiczną. Poszczególne jednostki wykształceńsze, rozwijająca się wymowa parlamentarna, pewna programowość żądań szlacheckich niech nas nie łudzą co do dojrzałości tych świeżych polityków. Zaślepiona przez różne hasła popularne, upajana zewnętrzną świetnością swoich czasów, poddająca się wszelkim intrygom zręcznych warchołów politycznych, szlachta czasów Zygmuntowskich nie ma zrozumienia najdonioślejszych zadań państwowych i dąży jedynie do rozszerzenia swych swobód i korzyści klasowych.

Czyż mogło być inaczej? Rzućmy okiem na zachód Europy, na tak zwykle przesadzaną szczęśliwość angielską. Wszędzie tam panuje walka, na Zachodzie między poszczególnemi stanami a władzą królewską, w Anglji między tą ostatnią a całym narodem, walka ciężka, nieubłagana, krwawa, ciąg dalszy walk wieków poprzednich. W tym ogniu hartowały się charaktery, człowiek się uspołeczniał, wytwarzała się umiejętność polityczna, oraz zrozumienie potrzeb krajowych. Zwyciężały elementa silniejsze, obejmujące szersze widnokręgi, lepiej służące potrzebom chwili: więc na zachodzie europejskim zwyciężał — absolutyzm monarchiczny, w Anglji — parlamentaryzm. A w Polsce? Wszystko przed szlachtą skapitulowało bez boju, współzawodnictwo znikło, interesy klasowe urosły wysoko ponad zrozumienie dobra państwowego.

Postęp społeczeństwa i życie publiczne nie mogą się zasadzać jedynie na cnotach jednostek. Człowiek jest istotą ułomną, i dlatego tak głęboką prawdę widzimy w modlitwie chrześcijańskiej «i nie wwódź nas na pokuszenie». Nietylko jednostka nie powinna szukać, lecz unikać pokus, i w życiu społecznem możność prywaty prowadziła wszędzie, a nietylko w Polsce, do rozstroju społecznego. A ta możność zjawiała się zawsze, ilekroć w życiu publicznem chwiała się równowaga społeczna, zasadzająca się na zdrowem ścieraniu się sił społecznych w walce klas i interesów ludzkich.

Bez walki niema życia, niema postępu, niema zdrowia publicznego. Gdzie jeden z czynników o tyle bierze górę, że nie potrzebuje się liczyć z przeciwnikami, tam ginie równowaga społeczna, rozwój normalny się zatrzymuje, i bieg wypadków z konieczności staje się jednostronnym i dla społeczeństwa trującym.

W XVI w. szlachta polska osiąga bez dłuższej walki zupełną supremację nad innemi czynnikami społecznemi. Chłop zostaje pozbawiony reszty praw obywatelskich i oddany pod ekonomiczną i patrymonjalną władzę swego pana, miasta tracą to niewielkie znaczenie polityczne, które miały jeszcze w XV wieku, możnowładztwo, usunięte od rządów, zatracające dawne świetne tradycje, demoralizowane przez władzę królewską i strach przed szlachtą, samo traci na znaczeniu i coraz bardziej nabiera cech niszczycielskich. Wszystko to, na tle świetnego XVI w., rzuca się jeszcze mało w oczy, ale wszystko to w czasach tych już istnieje, choć dopiero w stanie początkowym lub potencjonalnym, by wybuchnąć złowrogim płomieniem w następnym wieku XVII.

A władza królewska? Ograniczona już w końcu XIV w. przez wygaśnięcie dynastji piastowskiej i elekcję neofity Jagiełły, w XV w. niepodratowana, owszem znów osłabiona przez niefortunne eksperymenty Kazimierza Jagiellończyka ze szlachtą, dostaje się w XVI w. w ręce Zygmuntów, królów pełnych cnót wzniosłych, lecz bez cienia tych cech monarszych, które łamią społeczeństwa i nadają im kierunek. Wpatrując

się w szanowne postacie obu ostatnich przedstawicieli dynastji Jagiellońskiej, Polak dzisiejszy nie może nie odczuć głębokiego wzruszenia i czci dla ich wzniosłych uczuć i prawdziwie ojcowskiego do kraju przywiązania. Jakże nie doznać wzruszenia, gdy widzimy tak tragiczną w swoim bólu postać, jak Zygmunt August, miękką, wrażliwą, a jednocześnie dręczoną i napastowaną przez szlachtę na sejmach, poświęcającą swój czas, swoje zdrowie, swą dostojność i prawa monarsze dla jednego wytkniętego, a wzniosłego celu — ostatecznego zunjowania i połączenia na wieki podległych jego berłu narodów. Gdzie drugi przykład takiej bezinteresowności, takiej więcej niż ojcowskiej miłości monarchy dla swoich poddanych?

Dość przeczytać deklarację Zygmunta Augusta z r. 1564 o wyrzeczeniu się na rzecz Polski swoich praw dziedzicznych do krajów litewskich, o wyrzeczeniu się ich nawet na wypadek możliwego jeszcze potomstwa, z jedną prośbą, by Polacy o tem potomstwie pamiętali i «przystojnie w razie nieobioru na tron opatrzyli»; tę ofiarę czyni Zygmunt August dla ułatwienia unji i szczęścia swych poddanych, co stanowi jedyną troskę i jedyny cel tej pięknej postaci z dziejów polskich.

Lecz — i to jest ironją rzeczy ludzkich — cnoty domowe panujących mało mają wartości dla życia narodów. Owszem, często przynoszą raczej szkodę, gdyż ludzkość od wieków korzyła się jedynie przed siłą. Władcy, których dziś potomność czci jako bohaterów narodowych i twórców państw, często byli tyranami, ciemiężcami, zbrodniarzami; zbrodnie ich jednak były tem narzędziem, które zmusiło zwierzę ludzkie do walki o swój byt, do doskonalenia się w niej na każdem polu, do postępu. Juljusz Cezar, czy Napoleon, Ludwik XI czy Iwan Groźny, Henryk VIII, czy cały szereg drapieżników książęcych w Niemczech, Piotr Wielki, czy Fryderyk II — wszyscy oni przysłużyli się pokoleniom potomnym nietylko przez swój rozum i zdolności, ale i przez tę bezwzględność, która, granicząc lub przechodząc w okrucieństwo, łamała ustroje przestarzałe i zmuszała ludzi do doskonalenia się.

Polsce w chwili, gdy się zaczęła chylić do upadku, nie danem było mieć na tronie osobistości dość bezwzględnej i okrutnej, którąby chciała i umiała poprowadzić walkę z pogrążonem w pomyślności społeczeństwem, która, będąc przekleństwem współczesnych, zatrzymałaby jednak fatalny bieg

dziejów polskich i zwróciła je na tory inne, być może, mniej zawrotne i bezpieczniejsze.

Pomyślmy, coby się stało, gdyby nawet potwór, w rodzaju Henryka VIII, lub Iwana Groźnego, wpił się w ciało Polski w XVI w., zburzył jej pomyślność, zaprowadził rządy teroru, dopuścił do walki wszystkich przeciwko wszystkim, doprowadził do najścia wrogów ościennych, zniweczył dzieło unji. Nie mielibyśmy złotych czasów Zygmuntowskich, Polska wyszłaby zapewne z tych opałów zdławiona i terytorjalnie zmniejszona, ale kto wie? — zapewne państwo polskie nie uległoby katastrofie. Siła narodów — to ich męki, pot i krew przelana.

Jakże dalekiem od tych strasznych obrazów przemocy i występku było łagodne i ojcowskie panowanie Zygmunta Augusta! Nie zatrzymał dokonywającego się już w XV w. przeobrażenia narodu w demagogję szlachecką, nie czynił nawet ku temu wysiłków, gdyż wymagałoby to użycia przemocy i gwałtu; uczynił jednak wszystko, co uczynić było można — sercem i poświęceniem.

Łagodzi więc walki wyznaniowe, wzwyczaja naród do tolerancji religijnej, łączy z Polską Inflanty, doprowadza do skutku «egzekucję dóbr» i utworzenie stałego wojska kwarcianego, zabiega względem wiecznej unji Polski z Litwą i dla jej dokonania nie cofa się przed zrzeczeniem się swoich praw dziedzicznych do Litwy, przed żmudną i nudną pracą nad godzeniem rozbieżnych interesów litewskich i polskich, ostatecznie przed tak trudnym dla jego wrażliwej natury naciskiem na niechętne unji możnowładztwo litewskie. A gdy ludzie się niecierpliwili, gdy złe uczucia rozpalały układające się strony, zapadając często na zdrowiu, z cierpliwością nadludzką perswadował i tłumaczył, że to są «rzeczy wielkie, które na wieki trwać mają, potrzebują tedy deliberacji długiej i ostrzeżenia dobrego, aby już więcej potomstwo waszmościów na te prace spraw tych nie przychodziło».

Możnowładztwo litewskie przeciwne było ściślejszej unji Litwy z Polską, ze zrozumiałych interesów klasowych. Na Litwie, w przeciwieństwie do Polski, szlachta ziemiańska była jeszcze bez znaczenia — możnowładztwo było wszystkiem; zajmowało wszystkie urzędy, miało miejsca dziedziczne w radzie hospodarskiej, otrzymywało bez przerwy bogate nadania

z dóbr państwowych. W razie przyłączenia do Polski możnowładztwo obawiało się utraty swoich stanowisk uprzywilejowanych, obawiało się «egzekucji dóbr» na wzór tego, co działo się w Polsce, bało się wreszcie i ingerencji do spraw Litwy żywiołów polskich, tak pod względem kultury i oświaty nieskończenie wyższych od ludności ziem litewsko-ruskich. Widzimy więc wiele znaczniejszych rodzin litewskich w gwałtownej opozycji przeciwko planom Zygmunta Augusta, jak Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Wołowiczów, Paców, Kiszków. Gdyby nie śmierć w r. 1564 Radziwiłła Czarnego, choć powiernika i przyjaciela Zygmunta Augusta, kto wie, czy unja doszłaby do skutku.

Ale stałość Zygmunta Augusta wszystko przemogła. Aby osłabić znaczenie możnowładztwa litewskiego i stosunki społeczne litewskie upodobnić do polskich, w r. 1564 wprowadza on na Litwie sejmiki szlacheckie, dotychczas tam nieznane. Był to środek wypróbowany już w Polsce skutecznie, podkopujący przewagę możnowładczą, choć, jak wiemy, pod względem państwowym wysoce szkodliwy i niebezpieczny, jako wprowadzający partykularyzm w rządach nietylko już lokalnych, ale i ogólno-państwowych. Jak nisko stała jeszcze ówczesna szlachta ziemiańska na Litwie, w porównaniu do wszechwładnego możnowładztwa, widać z tego, jak odbywały się na Litwie pierwsze sejmiki. Zjeżdżało zwykle na nie dwóch albo trzech panów, którzy sami uchwały układali, a szlachtę, o ile chciała się opierać, zmuszali do podpisania groźbą kijów. Ale właśnie przez to szlachta litewska stała się gorącą zwolenniczką unji z Polską i z głosem jej, popartym przez króla, liczyć się były zmuszone możne rody litewskie.

Na sejmie lubelskim w r. 1569, mającym ostatecznie załatwić sprawę unji, zjawili się możnowładcy i posłowie litewscy z Mikołajem Radziwiłłem Rudym i Janem Chodkiewiczem na czele, ale wkrótce i Radziwiłł i Chodkiewicz, chcąc znów sprawę zmitrężyć, pokryjomu sejm opuścili. Krok ten poruszył Zygmunta Augusta do głębi i wywołał skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Sprowadził bowiem proste wcielenia do Korony Podlasia, Wołynia i Ukrainy, z zastrzeżeniem tylko, że na Wołyniu i Ukrainie «egzekucja dóbr» miejsca mieć nie będzie, że obowiązywać tam będzie poprawiony statut litewski, i że język rusiński, z wyjątkiem spraw miejskich, nadal, na żądanie szlachty tamtejszej, pozostanie językiem urzędowym. Miasta miały urzędować po polsku.

Nastraszeni możnowładcy litewscy powrócili do Lublina i, po długich jeszcze targach, dzięki stałej interwencji królewskiej, stanął akt ostateczny unji Litwy z Koroną na zasadach kompromisowych, uwzględniających interesy możnowładztwa litewskiego, jak zachowanie oddzielnych urzędów litewskich (były one przeważnie w rękach możnowładztwa), prawodawstwa litewskiego, oraz tytułów książęcych i kniaziowskich. «Egzekucja dóbr» także dotyczyć Litwy nie miała.

W celach ostatecznego zunjowania ziem polskich, Zygmunt August nie zapomniał też załatwić sprawy uczestniczenia na sejmach ogólnych senatorów i posłów z Prus. Co do możliwych w przyszłości uroszczeń do Litwy dziedzicznej elektorów brandenburskich, z których Joachim II miał za drugą żonę najstarszą siostrę królewską, Jadwigę, Zygmunt August, by się od tych uroszczeń zabezpieczyć, daje Joachimowi fatalne odczepne; dopuszcza go wraz z potomstwem do objęcia Prus Książęcych, w razie przewidywanego wygaśnięcia tam panujących Hohenzollernów z linji anspachskiej. Choć Polska mogła aktu tego nie uznać, jako uczynionego bez zgody sejmu, jednak Brandenburgja, dzięki dalszym błędom polityki polskiej, Prusy Książęce rzeczywiście otrzyma.

Z takim mozołem przeprowadzona unja polsko-litewska stała się faktem. Zygmunt August rozumiał, że to jeszcze nie wszystko, że należy jeszcze ustanowić porządek elekcji i zabezpieczyć zunjowaną Rzeczpospolitą od niebezpieczeństw bezkrólewia — ale siły go już opuszczały, i ani w możnowładztwie, ani w szlachcie nie znalazł już poparcia.

Śmierć ostatniego Jagiellona stanowi epokę w dziejach Polski. Na niej przerywa się dynastja, której głównym błędem wobec Polski było, iż obdarzyła ją zbytkiem pomyślności, kosztem czasów przyszłych.

By zdać sobie sprawę z okresu dziejów Polski od wstąpienia na tron Władysława Jagiełły do śmierci Zygmunta Augusta, należy uprzytomnić sobie ogrom tej ewolucji zewnętrznej i wewnętrznej, która się w Polsce w tym okresie dokonała. Z szybkością zawrotną Polska zwiększa swoje te-

rytorjum więcej niż w trójnasób, a swoją ludność prawie podwójnie; z państwa drugorzędnego, jakiem była nawet po śmierci Kazimierza Wielkiego, staje się państwem pierwszorzędnem na Wschodzie, z którem liczyć się musi już cała Europa; wreszcie również z szybkością zawrotną przeradza się z państwa o ustroju absolutystycznym w państwo parlamentarne. Szybkość tego rozwoju wynika z łatwości, z jaką rozwój ten się dokonał, t. j. z braku potrzeby walki; zdobycze terytorjalne dokonane zostały nie drogą przemocy, lecz drogą unij dobrowolnych, potęga wynikła samorodnie z samego faktu owych unij, a zmiana ustroju wynikła z prawdziwie wyjątkowej przewagi szlachty nad innemi czynnikami politycznemi: władzą królewską, miastami i ludem wiejskim. Wyjątkowa ta przewaga tłumaczy się rolą, którą możnowładztwo polskie odegrało przy powołaniu na tron Władysława Jagiełły, nadmierną ilością szlachty, separatyzmem miast, dopuszczeniem masowej immigracji żydowskiej i niefortunną polityką Kazimierza Jagiellończyka zwalczania jednego zła — przewagi możnowładztwa, przez zło jeszcze większe — rządy sejmikowe; ewolucję zamyka bezprzykładna w dziejach abdykacja Zygmunta Augusta ze swoich praw monarszych na rzecz społeczeństwa.

Ale rezultatem całej tej ewolucji, obok wyjątkowej świetności i dobrobytu XVI w., były zarodki przyszłej ciężkiej choroby państwowej: podkopanie wszelkiej władzy centralnej i przeniesienie funkcyj państwowych na szlacheckie sejmiki lokalne, zniszczenie równowagi między oddzielnemi klasami społecznemi, rządy tłumu, przesunięcie się interesów polskich nadmiernie na Wschód. Możnowładztwo polskie, utraciwszy możność prowadzenia nadal polityki państwowej, podupadło i degeneruje się politycznie. Wzmocnione jednak klasowo zlaniem się z niem możnowładztwa litewskiego i ruskiego, oraz łatwem bogaceniem się na kresach wschodnich, przechodzi w nową fazę swego rozwoju i staje się czynnikiem polityki klasowej, opartej na bogactwie; przeradza się w plutokrację szlachecką.

Koniec XVI w. od śmierci Zygmunta Augusta obfituje w wypadki, sprzyjające dalszemu staczaniu się Polski w raz obranym kierunku. Są to trzy następujące po sobie w krótkim czasie elekcje, z których dwie rozdwojone, wprowadze-

nie zasady elekcji *viritim*, charakter panowania trzech pierwszych królów elekcyjnych, wreszcie unja religijna brzeska.

Przeprowadzenie zasady elekcji *viritim*, popartej teorją Zamoyskiego o wszechwładztwie tłumu szlacheckiego, w jednej chwili obniża ustrój państwowy Polski do granic anarchji. Same elekcje stają się bezładnem targowiskiem nietylko na koronę polską, ale pośrednio na wszystkie wybitniejsze w niej czynniki, więc na senatorów, przewódców szlachty, stronnictwa.

Wszystko w czasach bezkrólewi staje się przedmiotem starań i zabiegów dworów zagranicznych, i ten taniec wśród mieczów ma się co pewną ilość lat powtarzać perjodycznie. Wszelka ciągłość polityki zanika, państwo pozostaje co pewien czas bez przedstawiciela; nowoobrany król przez czas dłuższy lub przez całe panowanie nie utożsamia swego losu i losu swej rodziny z losem państwa; przygotowuje się epoka, w której «król sobie, pan sobie, szlachcic sobie».

Henryk Walezjusz zaledwie przybył do Polski, już się do niej zniechęcił. Uciekając z Polski do Francji, pozostawił jej dwie tylko pamiątki: sponiewieranie władzy królewskiej i niechęć do dynastji francuskiej.

Stefan Batory, którego znaczenie w historji polskiej zwykle się przecenia, był z natury przedewszystkiem wojownikiem, na Polskę spoglądał jako na potęgę militarną: chciał i zapewnie mógł z nią cudów dokonać. Ale Polska nietyle potrzebowała wojownika, ile władcy rozumnego i umiejącego leczyć jej niedomagania wewnętrzne, potrzebowała męża stanu. Batory mężem stanu nie był: ani instytucyj polskich, ani psychologji narodu nie rozumiał, językiem polskim nie władał, porozumiewał się po łacinie. Sam zajęty wyprawami wojennemi, które ostatecznie zraziły doń naród, rządy wewnętrzne zdał w zupełności na Jana Zamoyskiego. Ten, choć człowiek niezaprzeczenie zdolny, był jednak obałamucony fantastyczną teorją upodobniania Polski do Rzymu starożytnego; sam w działaniu trzeźwy i praktyczny, siał jednak pełną garścią ziarna demagogji. Z ziarn tych wyrośli późniejsi Zebrzydowscy i Jerzowie Lubomirscy, wyrósł Andrzej Maksymiljan Fredro, rozpanoszyła się samowola szlachecka. Umierając, pozostawił Batory stosunki wewnętrzne w Polsce bez żad-

nej poprawy, a wprowadzone za jego panowania trybunały sądowe pomyślane były z gruntu najniefortunniej.

Gdyby zresztą Batory miał potomstwo i dynastję swoją w Polsce utrwalił! Ale minął, jak meteor, i prócz blasku zewnętrznego nic po sobie nie zostawił.

Zostawił Zamoyskiego. Ten, wbrew możnowładztwu, lgnącemu do Habsburgów, przeprowadził obiór Zygmunta III, człowieka dla Polski, a jak się okazało i dla Zamoyskiego — najnieodpowiedniejszego. Napół Polak, napół Szwed, po polsku ledwie mówił, Polski nie rozumiał; dbał o nią mało, z usposobienia był raczej Niemcem, z powołania czuł się jedynie sługą uosabianego przez jezuitów katolicyzmu. Przeprowadzona przy jego poparciu unja kościelna sprowadza na Polskę nieobliczalne klęski — odtąd kryjące się w unji Polski z Litwą niebezpieczeństwa potężnieją i wkrótce zaciążą złowrogo na losach Rzeczypospolitej.

Dla możnowładztwa polskiego, włączając odtąd w to pojęcie także rody możne ziem litewskich i ruskich, koniec XVI w. był chwilą przełomową — rozstawania się z szerszą polityką, zdobywania stanowisk społecznych drogą gromadzenia bogactw w dobrach ziemskich. Przyłączenie żyznych ziem ruskich do Korony dawało możność tworzenia na kresach wschodnich ogromnych latyfundjów. By mieć wyobrażenie o przestrzeniach, które się otworzyły dla ekspansji wielkiej własności owoczesnej, należy zestawić w cyfrach okrągłych obszary oddzielnych dzielnic.

Wielkopolska	miała	58.000 km. kw.
Mazowsze	»	31.800 »
Prusy Królewskie	»	28.000 »
Małopolska (wdztwa krakowskie, sandomierskie i lubelskie) . . .	»	57.500 »
Podlasie	»	9.600 »
		184.900 km. kw.
W-two Ruskie	miało	55.200 km. kw.
» Bełskie	»	9.100 »
» Wołyńskie	»	38.000 »
» Podolskie	»	19.000 »
» Bracławskie	»	34.500 »

W-two Kijowskie	miało	69.000 km. kw.
Zadnieprze	»	70.000 »
Razem ziem ruskich przyłączonych do Korony		294.800 km. kw.
W. Ks. Litewskie bez Smoleńszczyzny		322.000 km. kw.

Pamiętać przytem należy, jak słabo były owe ziemie ruskie i litewskie zaludnione. Miały ogółem 3,000.000 ludności, t. j. w przecięciu 5 mieszkańców na km. kw. W porównaniu z tem zaludnienie Polski właściwej było daleko gęstsze; miała również około 3,000.000 ludności, przyczem na km. kw. w Wielkopolsce przypadało 14 mieszkańców, w Małopolsce 12, na Mazowszu 19, na Podlasiu 25.

Z cyfr powyższych widzimy, że w chwili, gdy Polska właściwa miała ludność względnie także bardzo nieznaczną, przyłączone do niej zostały ogromne terytorja jeszcze daleko słabiej zaludnione. Kolonizacja tych ziem musiała się odbijać niekorzystnie na gęstości zaludnienia Polski właściwej. Dla wielkich jednak własności nowe te przestrzenie stały się podstawą fortun często bajecznych.

Narazie największe fortuny są w rękach głównie rodów litewsko-ruskich. Wasyl Konstanty Ostrogski jest posiadaczem (licząc z królewszczyznami) stu osad miejskich i 1300 wsi. Wiśniowieccy w końcu XVI w. zdobywają ogromne obszary na Zadnieprzu nad rzeką Sułą. Radziwiłłowie z nadań królewskich utworzyli sobie na Litwie trzy wielkie ordynacje, oprócz innych znacznych posiadłości, do których wkrótce drogą wiana przyłączą obszerne dobra książąt Słuckich. Jest rzeczą charakterystyczną, że znaczenie wielkich fortun ziemskich w powstającej demokracji szlacheckiej pierwszy ocenił sam jeżeli nie twórca, to apologetyk tej dziwnej demokracji, Jan Zamoyski, i pierwszy w Polsce, zgromadziwszy ogromne dobra ziemskie, utworzył z nich ordynację w r. 1589. W tym samym roku zostały potwierdzone i ordynacje litewskie Radziwiłłów.

Podstawą tych ogromnych fortun magnackich są przedewszystkiem dawne i świeże nadania królewskie, ostatnie głównie w ziemiach ruskich. Oprócz nadań ten sam skutek

miały często zastawy, o których mówiliśmy już poprzednio. Gdy skutkiem prawa o «egzekucji dóbr» dalsze nadania dóbr państwowych przez królów zaczęły być zależne od sejmów, widzimy w końcu XVI w. konstytucje sejmowe, nadające «pustynie» na Ukrainie. Taką «pustynią» były ogromne dobra Wiśniowieckich na Zadnieprzu, przyznane im konstytucją sejmową z r. 1590. Ale, bądź co bądź, nadania na własność stają się odtąd rzadsze. Natomiast możnowładztwo korzysta szeroko z posiadania królewszczyzn na prawie dożywotniem. Królewszczyzny te, czyli starostwa, to w teorji «chleb dobrze zasłużonych»; właściwie należą one do pewnych rodów, przechodząc z ojca na syna, z męża na żonę. A dobra to ogromne, rozrzucone po całej Polsce: w Wielkopolsce był ich 141, w Małopolsce 66, na Podlasiu 11, na Rusi 96, na Litwie 140. Niektóre z nich, szczególnie na Rusi, były same przez się prawdziwemi latyfundjami.

Niektóre rody możnowładcze, jak Lubomirscy i Wielopolscy, jak o tem wspominał później Stefan Czarniecki, wyrosły na «soli», t. j. na dzierżawach salin wielickich i bocheńskich. Był to interes doskonały, który przedtem bogacił mieszczan krakowskich, a od końca XVI w. był często podstawą powstających fortun magnackich.

Źródłem bogactw pewnych rodzin są też bogate beneficja kościelne, głównie biskupstwo krakowskie, do którego należały cztery miasta, około trzystu wsi i udzielne księstwo Siewierskie. Fortuny Oleśnickich i Myszkowskich powstały właśnie przez biskupów krakowskich, Zbigniewa Oleśnickiego i Piotra Myszkowskiego. Biskupom w swoim rodzie zawdzięczają też swe wyniesienie rodziny Rytwiańskich, Górków i Łaskich.

Niektóre rodziny podnoszą się coraz bardziej przez bogate wiana. Zjawisko to będzie jednak częstsze dopiero od XVII w.

Źródła bogactw możnowładczych wypływały z samego ustroju państwa i społeczeństwa. Nic im ze stanowiska legalności zarzucić niepodobna. Były jednak również źródła mniej legalne i mniej godziwe; do nich zaliczyć trzeba wymuszanie urzędów i starostw przez praktyki opozycyjne, politykę panów polskich na własną rękę poza granicami kraju, służbę w kraju na usługach państw obcych, głównie w czasie bez-

królewi, wreszcie, ale dopiero zaczynając od XVII w., zwykłe nadużycia na urzędzie podskarbiowskim.

Co do opozycji przeciwko królowi dla wymuszenia urzędów i królewszczyzn, występuje ona już wcześnie. Tak już w r. 1459 Jan z Rytwian występuje na sejmie przeciwko Kazimierzowi Jagiellończykowi, by zdobyć sobie marszałkowstwo. Takimi opozycjonistami są w XVI w.: Zborowski, Kmita, Górkowie.

Wyprawy panów polskich na własną rękę poza granice kraju zaczęły się także wcześnie. Tak już na początku XV w. Ścibor ze Ściborzyc idzie na usługi znanego nieprzyjaciela Polski, cesarza Zygmunta. Tak za Zygmunta Starego Hieronim Łaski (synowiec prymasa) służy kolejno Janowi Zapolyi i Ferdynandowi Austrjackiemu, a następnie wspólnie z Dymitrem Wiśniowieckim urządza wyprawę do Wołoszczyzny. Takież wyprawy urządził w r. 1552 Mikołaj Sieniawski, wówczas hetman polny kor., a w r. 1572 syn tego Sieniawskiego, także Mikołaj, razem z Mikołajem Mieleckim. W XVII w. wyprawy do Wołoszczyzny panów polskich stają się bardzo częste. Oprócz tego widzimy wyprawy panów polskich do Moskwy.

Elekcje wprowadzają nowe, a dla kraju niebezpieczne źródło dochodów: korupcję na rzecz państw zagranicznych. Wszak elekcje niejednokrotnie nazywane były przetargiem publicznym na koronę polską. Smutny szereg magnatów, którzy sprzedawali swój patrjotyzm monarchom zagranicznym, rozpoczyna już w końcu XVI w. Stanisław Sędziwój Czarnkowski, będący na jawnym żołdzie dworu austrjackiego.

II. STAN POLSKI W PIERWSZEJ POŁOWIE W. XVII

Polska na początku XVII stulecia pozornie stała na szczycie swej potęgi. Na Zachodzie dom Habsburgów, świeżo zmuszony do zrzeczenia się pretensji do korony polskiej z racji dokonanej w r. 1587 podwójnej elekcji, ubiegał się teraz o przyjaźń Zygmunta III i słał mu na żony dwie po kolei arcyksiężniczki austrjackie. Na Wschodzie zawarty za Batorego pokój zapolski z r. 1582 utrwalał na czas dłuższy posiadanie przez Polskę Inflant i zabezpieczał ją od zaborczości moskiewskiego sąsiada. Samo państwo moskiewskie przechodziło na początku XVII w. przez ciężkie przesilenie, i jedynie od woli Zygmunta III zależało posadzić na tronie carów syna Władysława: projekt ten nie doszedł do skutku, ale pokój dywiliński z r. 1618 powiększył jeszcze posiadłości Polski na Wschodzie, a Moskwa na długo stawała się niezdolną do podjęcia na nowo oręża. Na Północy Szwecja z prawa sukcesji należała do Zygmunta III Wazy; za zrzeczenie się pretensji do tronu szwedzkiego Zygmunt III mógł dla Polski zapewnić bez wojny nietylko całe Inflanty, ale i Estonję. Na Południu Turcja pozostawała z Polską aż do r. 1620 w stosunkach pokojowych, i niebezpieczeństwo z tej strony zaczęło zagrażać dopiero od czasów, gdy Zygmunt III zaczął się coraz bardziej solidaryzować z Austrją, a Polska nie umiała przeszkodzić coraz nowym wyprawom Kozaków przeciw Turkom. Tatarzy, sami przez się, bez pomocy Turków, nie stanowili poważniejszego niebezpieczeństwa. Wreszcie elektor brandenburski był jeszcze nicością i w r. 1618 nie posiadał nawet Prus Książęcych, i te Polska mogła była jeszcze do siebie przyłączyć.

Jak widzimy, ze wszystkich stron pozycja Polski w pierwszej połowie XVII w. była znakomitą, i potęga jej zdawała

się jeszcze większą, niż za czasów Zygmunta Augusta, który tak w wojnach z Moskwą, jak i w stosunkach z Austrją nie zawsze bywał szczęśliwy.

Stosunki wewnętrzne Polski na przełomie XVI w. przedstawiają się także na oko imponująco. Gdzie jest kraj, któryby w tym czasie przedstawiał obraz równego postępu instytucyj publicznych i swobód obywatelskich?

Po srogich rządach Tudorów, Anglja wchodzi w również krwawą epokę Stuartów i Cromwellów; nietykalność osobista jest tam również nieznaną, jak wszędzie indziej w Europie; prawo polskie *neminem captivabimus* otrzyma swój równoważnik w Anglji dopiero w sławnem *Habeas Corpus,* akcie z r. 1679; o tolerancji religijnej niema mowy w Anglji, ani w XVI ani w XVII w.

Francja ma w świeżej jeszcze pamięci noc św. Bartłomieja i straszne wprost warunki istnienia za czasów ostatnich królów z dynastji Valois; tyranja, sztylet i trucizna rządziły tam jeszcze wczoraj. Nastały wprawdzie czasy lepsze za Henryka IV, ale on sam ginie z ręki mordercy, a społeczeństwo wycieńczone podpada pod coraz cięższy ucisk absolutyzmu; nietykalność osobista nie istnieje; tolerancja religijna zasadza się na utworzeniu porozrzucanych po całej Francji ghettach hugonockich.

W Hiszpanji panują stosunki, zaprowadzone przez fanatyzm Filipa II. Umarł on w r. 1598, ale zabójcze jego tchnienie przetrwa tam nie lata, lecz stulecia. Wszystko, co despotyzm i fanatyzm najskrajniejszy wymyślić są w stanie, wszystko to stanowi ponure tło owoczesnych stosunków hiszpańskich. A władza tych autokratów hiszpańskich dławi nietylko Hiszpanję, ale i Niderlandy, Medjolan, Neapol i Sycylję.

Niemcy, rozbite na małe państewka, mają tylu autokratów, ile tych państewek, i jedną zasadę — przy tolerancji dla panujących, przymus religijny dla poddanych. Na czele stoi Habsburg, z szumnym tytułem cesarza i króla niemieckiego; właściwie autokrata Austrji i dążący do autokratyzmu król Czech i Węgier. Wkrótce, bo już w r. 1618, rozpoczyna się, z powodu nietolerancji religijnej i rządów absolutystycznych w Czechach, wielka wojna trzydziestoletnia; wyrośnie ona do rozmiarów klęski ogólnej, całe Niemcy doprowadzi do ruiny,

a Czechów ostatecznie podda pod germanizacyjne rządy bezwzględnego absolutyzmu.

Wewnętrzne stosunki moskiewskie po śmierci Iwana Groźnego uległy zmianie tylko w stosunku do natężenia samowoli panującego. Prawnie zmiany żadne nie zaszły. O swobodach obywatelskich nie było nawet mowy, a reformy Borysa Godunowa sprowadziły jedynie — zupełne uzależnienie religji od panującego (ustanowienie patrjarchatu w Moskwie) i ostateczne przykucie włościan do gleby.

O niewoli tureckiej chyba wspominać nie potrzeba.

Jakże świetnie wobec tych wszystkich stosunków przedstawia się na przełomie XVI w. życie polskie! Jeszcze na początku XV w. przywilej czerwiński z r. 1422 zniósł konfiskatę mienia bez sądu, a przywilej jedlneńsko-krakowski z r. 1433 zaprowadził nietykalność osobistą i pozwalał na uwięzienie przed wyrokiem sądowym jedynie przychwyconego na gorącym uczynku morderstwa, grabieży, podpalenia, lub gwałtu nad niewiastą. Zasady te przez cały XV i XVI wiek tak weszły nietylko w życie, ale i w ciało i krew społeczeństwa, że przez cały ten czas nie jesteśmy w stanie zacytować ani jednego wypadku ich pogwałcenia.

Owszem, zasady te doprowadzono tak daleko, że w roku 1588 wydano konstytucję, zaprowadzającą zupełną nietykalność mieszkania szlachcica, nawet jeżeli w niem się ukrywa banita; bez zgody gospodarza nie wolno było banity w jego domu imać, lecz należało wytoczyć przeciwko gospodarzowi sprawę o przechowywanie przestępcy. Gdy już takie prawa zapadają, czuć, że jednostka dosięga szczytu wolności osobistej — takiego prawa, z małemi wyjątkami, nie mają nawet prawodawstwa dzisiejsze. Wprawdzie prawa te wydane zostały tylko dla szlachty, ale wspominając o stosunkach w reszcie Europy, mieliśmy również na uwadze jedynie klasy uprzywilejowane, bo co do ludu, to ten w owym czasie, czego zapominać nie należy, wszędzie był pozbawiony praw obywatelskich i ulegał przeważnie jurysdykcji patrymonjalnej swoich panów bezpośrednich. Porównując więc stosunki wewnętrzne Polski w XVII w. ze stosunkami zagranicą, musimy zawsze pamiętać, że były to w całej Europie czasy pańszczyźniane, i że różnice praw obywatelskich stosują się tylko do klas uprzywilejowanych.

Ale jeżeli już mowa o włościaństwie, to nie należy zapominać o tem, że stosunek klas uprzywilejowanych był zależny przedewszystkiem od dwóch czynników: od obyczajów i od rozpowszechnionych w klasach uprzywilejowanych pojęć prawnych. Obyczaje w Polsce już w XVI w., pod wpływem tak charakteru narodowego, jak i długiego pokoju, były tak łagodne, że nawet reformacja i związane z nią walki religijne noszą zupełnie inną niż w innych krajach cechę, są mniej zażarte i bezkrwawe. Obyczajom tym sekundują pojęcia o praworządności, o tem, że «nie królem, lecz porządkiem stoi Rzeczpospolita, nie na królu, lecz na prawie się opiera». Czynniki te nie mogły nie oddziałać i na stosunek szlachty do włościan, i dlatego przyjąć należy za prawidło, że jeżeli w całej Europie faktyczne położenie chłopów było zwykle gorsze od ich stanowiska prawnego, to przeciwnie w Polsce sytuacja włościan zawsze była gorszą nie w rzeczywistości, lecz właśnie na papierze.

Ale idźmy dalej. Mówiliśmy, że w Europie tolerancji albo nie było żadnej, albo była ona ograniczona, jak we Francji po edykcie nantejskim z r. 1598, do pewnych określonych miast, poza któremi hugonoci nabożeństw swych odprawiać nie mogli. Porównajmy z temi stosunkami stosunki w Polsce. Już na sejmie piotrkowskim z r. 1552 zapadła uchwała, zawieszająca sądownictwo duchowne w sprawach o herezję; a na sejmie również piotrkowskim, egzekucyjnym z r. 1562, uchwalono, że wyroki duchowieństwa o herezję nie będą wykonywane przez urzędy świeckie. Było to nic innego, jak w pewnym stopniu prawo o rozdziale Kościoła od państwa, gdyż odtąd nikt nie mógł być przez państwo niepokojony o swe przekonania religijne. Wreszcie, podczas pierwszego bezkrólewia w r. 1573, stanęła pod naciskiem różnowierców, a za zgodą powszechną, t. zw. konfederacja warszawska, która staje się kamieniem węgielnym praw różnowierców polskich i stanowi akt najobszerniejszej tolerancji religijnej. Nie w określonych miejscach, lecz wszędzie i jawnie różnowiercy polscy otrzymali prawo swobodnego wyznania, i nikt z powodu różnic wyznaniowych w prawach swych i przywilejach obywatelskich krępowany i ograniczany być nie mógł. Tak daleko idącej tolerancji religijnej żadne z państw Europy nie miało, nietylko w owym czasie, ale i w XVII i XVIII w.

Nadomiar tego, królowie z dynastji jagiellońskiej stworzyli typ monarchów narodu wolnego, dalekich od wszelkich nawet pokus absolutyzmu i pełnych pobłażliwości i wyrozumiałości dla wszelkich swobód obywatelskich. Oto, jak określa Zygmunt August na sejmie unji lubelskiej swoje stanowisko królewskie: «Każdego z poddanych swych w swobodach, a wolnościach chowam, a im prawem, nie czem innem rozkazuję». W r. 1588, po śmierci, jak dla Polski, zbyt samowładnego Stefana Batorego, stanęła konstytucja, bliżej określająca przestępstwo obrazy majestatu, oraz nowy porządek sądzenia spraw o to przestępstwo; pod pojęcie zbrodni obrazy majestatu nie można było odtąd podciągać krytyki, choćby ostrej, postępowania króla, a sprawy o obrazę majestatu miał odtąd sądzić, z wyłączeniem wszelkiego udziału władzy królewskiej, sąd złożony z senatu i ośmiu delegatów izby poselskiej. W ten sposób król polski już w końcu XVI w. był królem zupełnie konstytucyjnym.

Musimy zwrócić uwagę na jedną jeszcze wyższość Polski z końca XVI w. nad resztą Europy, a mianowicie na wczesne prawie zupełne skasowanie wszelkich ceł i myt wewnątrz kraju, oraz zaprowadzenie na całej przestrzeni Polski i Litwy jednostajnej monety. Już w r. 1447 została ogłoszona w Polsce zasada wolnego spławu towarów na rzekach, i zakazano tak pobierania wszelkich ceł rzecznych, jak i stawiania jakichkolwiek przeszkód, uniemożliwiających żeglugę. Odtąd zasada ta pozostaje nietkniętą, przyczem nie zaniedbywano, w miarę potrzeby, pogłębiania i regulowania koryt rzecznych. Co do jednostajności monety, to ta datuje się jeszcze od statutu wiślickiego z r. 1347 i potwierdzoną została dla całego zunjowanego państwa przez akt unji lubelskiej. Jaką przeszkodą dla handlu, a więc i dla dobrobytu ogólnego, były cła wewnętrzne i moneta niejednostajna, oraz jakiem dobrodziejstwem było skasowanie tych ceł i zaprowadzenie jednakowej jednostki monetarnej, o tem najlepiej może poświadczyć zestawienie ubóstwa Niemiec na początku XIX w. z dobrobytem i potęgą ekonomiczną Niemiec zjednoczonych — w zmianie tej jedność celna i monetarna odegrała rolę niepoślednią.

Widzimy więc, że na wszystkich polach Polska na przełomie XVI w. mogła się uważać za państwo najszczęśliwsze w Europie i najpotężniejsze.

Że była ona rzeczywiście w porównaniu z innemi państwami szczęśliwą — nie może to ulegać żadnej wątpliwości. Ale właśnie dlatego potęga jej — nie mogła być długotrwałą.

Potęga wszelka okupuje się — ofiarami; pomyślność Polski stanowi o jej słabości. Podnieśliśmy już to, mówiąc o stosunkach w Polsce w czasach dawniejszych, kiedy zamiast zachodniego feudalizmu panował u nas patrjarchalny ustrój rodowy. Z twardej szkoły wszystko gniotącego i miażdżącego feudalizmu wychodził człowiek zachodni uspołeczniony, wolny z jednej strony od więzów rodowych i w tem znaczeniu zindywidualizowany, przemieniony na jednostkę samodzielną, z drugiej plastyczny, zdolny do przystosowań się i współdziałań w życiu publicznem, stosownie do zmieniających się potrzeb miejsca i czasu. Do pomyślności jeszcze mu daleko, walka wre koło niego w dalszym ciągu, ale walka ta pchać go będzie dalej do tak upragnionej swobody i wolności.

Inaczej w Polsce. Ta twardej szkoły feudalizmu nie przeszła, uniknęła mąk i cierpień średniowiecza, wyrobiła się już w XVI w. na społeczność wyjątkowo przejętą pomyślnością i zadowoleniem. Dość przeczytać «Żywot człowieka poczciwego» Reja, by się o tem przekonać dostatecznie. Ale ta pomyślność była wynikiem czynników przypadkowych, a nie skutkiem długoletniego wyrobienia. Przeciwnie, jak o tem już mówiliśmy, rozwój stosunków wewnętrznych w Polsce dokonał się w sposób wyjątkowo szybki, prawie bez walki, ale też — najzupełniej jednostronnie.

Wiek XVI jest wiekiem ostatecznego zwycięstwa demokracji szlacheckiej. Szlachta składała się przeważnie z rodów, które w XIII i XIV w. gromadnie w osobach wybitniejszych swoich przedstawicieli przyjęły z Zachodu herby szlacheckie. Kazimierz Jagiellończyk, w swojej walce z możnowładztwem, powołał do życia publicznego szlachtę ziemiańską, a do niej w XVI w. przyłączyła się ostatecznie cała masa szlachecka, bez pominięcia nawet żywiołów, stojących na najniższym stopniu zamożności i uspołecznienia, jak chodaczkowa szlachta mazowiecka, przybywająca na elekcje w postołach i z kijami, deliberująca nad tem, kogo wybrać na króla, «Agresta», czy «Gaweńskiego», przyśpieszająca wybór króla, celem prędszego rozejścia się do domów, z braku wprost pożywienia. Odtąd losy Polski oddane zostały w ręce — tłumu szlacheckiego.

Tłum ten w swojej dalszej akcji, oczywiście jak każdy tłum, działać będzie impulsywnie, krótkowzrocznie, pod wpływem nie rozumu, lecz jedynie haseł popularnych, tych lub owych uczuć, wywołanych chwilą, a nie ma on żadnej przeciwwagi, gdyż władza królewska w XV w., dla dogodzenia szlachcie, poniżyła ostatecznie miasta, a w XVI w. sama przez zwycięską już szlachtę została doprowadzoną do nicości. Jak mówi Orzechowski, szlachcic polski w XVI w. nie winien był nic innego królowi, jeno tylko tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu i pospolite ruszenie. A gdy te dwa grosze z łanu zostały w r. 1632 skasowane, a pospolite ruszenie straciło wszelką wartość, pozostał więc w rzeczywistości tylko — ów tytuł na pozwie! Nic więcej!

Idei państwowej odtąd właściwie nikt wyraźnie nie reprezentuje, ani król, ani możnowładztwo, ani szlachta, ani oczywiście miasta, albo lud wiejski — zatraca się ona wśród poszczególnych interesów oddzielnych stanów i klas ludności, często już wśród interesów osobistych. Ewolucja ta w kierunku zatracania idei państwowej rozwija się przez cały XVII wiek, by ostatecznie do kierowania bezpośrednio nawą państwową powołać nowy czynnik, najniebezpieczniejszy — mocarstwa zagraniczne.

Skoro więc i król i możnowładztwo zostali usunięci od rządzenia państwem, a rządy szlachty to rządy tłumu, czyli zwykle rządów parodja — zaczyna się okres dziejów polskich, w którym wszystkie te czynniki nie działają wspólnie i nie dążą do wspólnego celu — pomyślności państwa — lecz działają każdy oddzielnie, i każdy dąży do innego celu bez względu na potrzeby państwa. Panować więc zaczyna hasło: król sobie, pan sobie, szlachcic sobie, dodajmy: mieszczanin sobie, chłop sobie, żyd sobie.

W ten sposób zaznaczona przez nas pomyślność ogólna w Polsce pod koniec XVI w. jest pomyślnością nie całości, lecz jednostki i ta, korzystając z nagromadzonych w czasach poprzednich tak potęgi państwowej, jak i zdobyczy obywatelskich, żyje w zadowoleniu, dobrobycie i spokoju, nie oddając wzamian państwu nic i nie troszcząc się o jego jutro.

Jest to więc pomyślność kosztem pokoleń przeszłych i kosztem pokoleń przyszłych; pomyślność rzeczywista, prawdziwa, ale obliczona na metę krótką i skazana na prędsze, lub powolniejsze zatracenie.

Można tę pomyślność porównać z dobrobytem człowieka rzeczywiście bogatego, ale żyjącego nie z dochodu, lecz z kapitału, lub z glebą urodzajną i dobrze zagospodarowaną, która daje urodzaje wspaniałe, ale wyzyskiwana ciągle i zaniedbywana, powoli wyjaławia się, zapuszcza i zaczyna rodzić coraz gorzej.

Przyjrzyjmy się bliżej temu nieopatrznemu gospodarstwu, temu hasłu: król sobie, pan sobie, szlachcic sobie.

Na czele Rzeczypospolitej stoi Zygmunt III Waza, elekcyjny król polski, wiel. ks. litewski etc., jednocześnie «szwedzki, gocki, wandalski dziedziczny król». W r. 1600 miał lat 34, panuje w Polsce lat trzynaście, w Szwecji lat ośm. Ojca miał Szweda, króla szwedzkiego, Jana III Wazę, matkę Jagiellonkę Katarzynę, córkę Zygmunta Starego; mówi po szwedzku, po polsku, a przeważnie po niemiecku, zwłaszcza po ożenieniu się w r. 1592 z Anną austrjacką, siostrą późniejszego cesarza Ferdynanda II; jest wychowańcem i najgorliwszym zwolennikiem zakonu jezuitów. Wyniesienie jego na tron polski dokonane zostało nie bez przelania krwi z powodu podwójnego wyboru i konieczności odparcia drugiego elekta, arcyksięcia Maksymiljana. W bitwie pod Byczyną, w styczniu 1588, Jan Zamoyski po krótkiej lecz zaciętej bitwie rozprasza wojsko Maksymiljana i jego samego bierze do niewoli; nie przeszkadza to, że Zygmunt III staje się później najgorliwszym przyjacielem Habsburgów i niechętnym Zamoyskiemu. Gdy Zamoyski zobaczył po raz pierwszy sprowadzonego ze Szwecji 21-letniego Zygmunta, o którego podczas bezkrólewia tyle się namęczył i nafrasował, nie mógł się powstrzymać od uczucia zawodu i podobno odezwał się na ucho do kasztelana Leśniowolskiego, który jeździł po króla do Szwecji: «Ach, jakieście nam nieme djablę przywieźli». Zygmunt był rzeczywiście małomówny, flegmatyczny, melancholijny; przytem dumny, uparty, przystępny wpływom zauszników; posiadał jedną tylko cnotę, czy wadę jagiellońską — łagodność, która stanowczo odróżnia go od podobnego doń z innych względów, ale okrutnego Filipa II hiszpańskiego.

«Gdzie skarb twój, tam jest i serce twoje», tak mówi

ewangelja. Skarb Zygmunta III był w rodzinnej Szwecji, oraz w uosobionej przez jezuitów propagandzie religijnej; Polska była dodatkiem, była narzędziem, które miało owym głównym celom służyć. Była na to jeszcze dość potężną; szło tylko o to, by chciała. Ale właśnie, że te cele królewskie były Polsce obce zupełnie. Polska wcale nie potrzebowała tego, by król jej był jednocześnie królem Szwecji, wolała mieć króla wyłącznie dla siebie. Mało tego, Szwedzi byli protestantami i Zygmunta III nie cierpieli; za pozbycie się jego osoby gotowi byli zrobić bez wojny znaczne ustępstwa co do Inflant i Estonji; w przeciwnym razie groziła Polsce wojna zażarta i długotrwała. Propaganda religijna? Toć w Polsce panuje zasada tolerancji; na stanowiskach najwyższych widzimy różnowierców, a gdy w Brześciu Litewskim stanęła unja religijna, pomimo protestów ze strony wielu wyznawców religji greckiej, nawet episkopat polski okazał się niechętnym całej tej robocie, utrudniającej pokojową misję katolicyzmu na Wschodzie. Cóż mówić o innych projektach króla Zygmunta Wazy? Został on wybrany przez naród, jako krew jagiellońska, jako domniemany kontynuator ich polityki, jako antyteza znienawidzonego w Polsce domu rakuskiego, niszczącego wszelką wolność narodową w Czechach i na Węgrzech. I oto król, wbrew tym uczuciom narodu, łączy się najściślej właśnie z domem habsburskim i prowadzi jakieś potajemne konszachty o ustąpienie mu polskiej korony! Na tak zw. sejmie inkwizycyjnym z r. 1592 wyszły na jaw te praktyki Zygmunta, a zdziecinniały wiekiem prymas Karnkowski przekładał królowi całą niestosowność zamiany sławnej i świetnej Polski na ubogą Szwecję, gdzie ojciec jego «nad samymi chłopami panuje». Dotknięty do żywego tem porównaniem Zygmunt III gołosłownie wszystkim dowodom praktyk pokątnych zaprzeczył i oznajmił, że gdyby do Szwecji pojechał, złoży kaucję, że do Polski powróci! Pojechał tam (oczywiście bez kaucji) zaraz w r. 1593, a to dla objęcia tronu szwedzkiego po śmierci ojca. Został w Szwecji przyjęty najniechętniej: niemy Szwed między Polakami — był niemym Polakiem między Szwedami. Zrażony do Szwecji, wkrótce powrócił do Polski. Ale uparty, nawet po utracie korony szwedzkiej w r. 1604, do końca życia krwią Polski jej się dobijał i nieszczęsną tę spuściznę synom swoim i Polsce po śmierci zostawił.

W r. 1610 bojarowie moskiewscy powołali na tron carów królewicza Władysława. Zygmunt III propozycję tę z namowy jezuitów odrzuca i pragnie korony dla siebie osobiście — gdyż chce nawracać schizmatyków. Po długiej wojnie z Moskwą, Polska otrzyma mniej, niż mogła była otrzymać drogą układów.

Wiązanie się Zygmunta III z Austrją sprowadza na Polskę w r. 1620 wojnę turecką i klęskę pod Cecorą, a w polityce swej wobec Turcji Zygmunt III traktuje Polskę tylko jako narzędzie Austrji i katolicyzmu, bez jakiegokolwiekbądź względu na interesy własne Rzeczypospolitej.

Rządy te antynarodowe Zygmunta III trwały długo, lat 45; naród się wkońcu do nich przyzwyczaił. Ogólna reakcja katolicka zbliżyła też w pewnym stopniu naród do reakcyjnych pojęć króla. Dobierany przez niego senat oczyszcza się od różnowierców i przejmuje się także polityką nietolerancyjną.

Władysław IV niezaprzeczenie wyżej stoi od ojca. Przedewszystkiem czuł się Polakiem; zawiera z Moskwą korzystny pokój polanowski, z Szwecją długoletni rozejm sztumdorfski; uniezależnia się od Austrji. Ale energiczny ten człowiek i dzielny wódz, skutkiem bezczynności — nudzi się na tronie: on narodu, naród jego nie rozumie. Stają się widoczne skutki braku jedności między elekcyjną władzą królewską a narodem. Władysław chce żyć życiem ogólnoeuropejskiem, chce, by on i Polska odgrywały należną rolę wśród wzmagających się w Europie czynników, marzy o wielkiej wyprawie na Turcję, o ogólnej koalicji europejskiej pod egidą króla polskiego. Naród wszystkich tych aspiracyj nie rozumie. Na Europę patrzy z coraz większą nieufnością lub obojętnością; pragnie pokoju dla korzystania w pełni z nabytych swobód obywatelskich; chce pomnażać swój dobrobyt. Z Turcją, a nawet z Tatarami pragnie żyć w zgodzie. Ten dysonans między królem, niepozbawionym dzielnego animuszu, a narodem, będącym u szczytu swej pomyślności, stanowi powszechne tło dla wypadków za panowania Władysława IV. I oto Władysław IV żyje nie z narodem i dla narodu, lecz przebywa w zamkniętem kółku najbliższych swoich doradców i powierników, przeważnie cudzoziemców; pochłaniają go myśli i dążenia dalekie od dążeń własnych jego poddanych.

Wierna rada królewska — inaczej senat polski — to przedstawiciele możnowładztwa. Stoją z całego narodu najbliżej tronu, ale nie łączy ich już z tronem żaden wspólny program, lub polityka państwowa. Król jest dla nich, jak go nazywa biskup Piasecki, historyk współczesny, «jedynie królem pszczół», który tylko miody przynosi swoim poddanym; rozdaje nieskończoną liczbę urzędów, dostojeństw świeckich i duchownych, bogatych królewszczyzn; żądła nie ma żadnego, gdyż życie, wolność osobista i mienie szlachty są najzupełniej wyjęte z pod jego władzy. Obowiązkiem więc króla jest być tylko szafarzem łask; pozatem należy mu być istotą bierną. Niech tylko wśród ogólnej pomyślności nie zakłóca innym pokoju, żyje sobie szczęśliwie i innym żyć bez troski pozwala. Tak panowie z pierwszych rodzin starożytnych, jak i magnaci nowszej kreacji, powstali z «soli», «roli», łaski monarszej lub zasług rzeczywistych, wszystko to dąży do pokoju, do abstynencji od wielkiej polityki, do korzystania z owoców ogólnej pomyślności, do życia — dla siebie. Obowiązki senatorskie panowie owocześni rozumieją tylko, jako powstrzymywanie króla od wszelkich kroków niepopularnych; własnych programów czynnych nie posiadają wcale. Ogólna pomyślność szerzy przekonanie, że tak jak jest — jest dobrze; lepiej być nie potrzebuje; wszelkie zmiany państwowe mogą przynieść tylko szkodę; należy zajmować się wyłącznie korzystaniem tak ze swoich praw obywatelskich, jak i bogactw kresowych. Wojny szwedzka, moskiewska, turecka — to są rzeczy, które niczem nie przemawiają do wyobraźni nietylko szlachty, ale i elity szlacheckiej — przedstawicieli starego i nowego możnowładztwa. Niech każdy pilnuje swoich interesów. Wojny te, to — interes króla. Pomagać mu można, o ile to daje odznaczenie i bogactwa; ale przedewszystkiem dążyć należy do celów własnych. A temi są: bogacenie się drogą intratnych starostw, bogatych małżeństw, kolonizacji na kresach, wypraw na własną rękę; zdobywanie znaczenia w kraju przez popularność u szlachty z jednej strony, a z drugiej przez zręczną politykę względem dworu, wahającą się między skarbieniem sobie jego łask i efektowną opozycją. A sprawy ogólnopaństwowe? Prawodawstwo, reformy, polityka zagraniczna? Czyż wszystkie te kwestje przestały panów polskich interesować?

I tak i nie. Nie, bo możnowładztwo, właśnie jako klasa narodu najświetniejsza i w środki materjalne najzasobniejsza, zawsze, nawet w czasach największego swego upadku w XVIII w., znaczny brała udział w życiu publicznem, uważała politykę za funkcję sobie przyrodzoną i w dalszych losach Rzeczypospolitej odgrywała rolę nie coraz słabszą, lecz owszem coraz wybitniejszą, w skutki coraz bardziej brzemienną. Ale jakaż to była polityka, i jakie nią zainteresowanie? Rządy państwowe już w XV w. przeszły od możnowładztwa do szlachty ziemiańskiej, a w XVI w. przez powołanie do rządów także gminu szlacheckiego rozwinęły się rządy demokracji szlacheckiej. Wśród tej demokracji magnaci mogli się również zajmować polityką, jak i inni, a bogactwo i stanowiska mogły im nadto dawać przewagę wobec biednego szlachciury. Bogactwo zaś i stanowiska zależały w pierwszym rzędzie od popularności u szlachty. Należało więc swoją politykę nagiąć do poziomu demosu szlacheckiego, t. j. obniżyć jej aspiracje, w wielu razach spaczyć ją w zupełności. Przy takich warunkach polityka możnowładcza traci coraz bardziej cechę ogólnopaństwową, staje się krótkowzroczną, zatraca możność objęcia szerszych horyzontów, zaczyna służyć interesom chwili, pewnej klasy społecznej, prowincji, lub jednostki. Objekt zostaje, ale wzrok dosięga go już nie wprost, a przez pryzmat coraz zawilszy. Przy zetknięciu się wymagań ogólnopaństwowych z prądami chwili, lub interesami osób poszczególnych, nie wymagania ogólnopaństwowe biorą górę, lecz odwrotnie, bywają one podporządkowywane interesom prywatnym, lub prądom okolicznościowym.

Możnowładztwo więc polskie w XVII w., zajmując się polityką, zajmuje się nie tą polityką, która stanowi chwałę możnowładztwa polskiego w XV w., ani też tą, która, sprawowana przez możnowładztwo nawpół ze szlachtą w XVI w., podtrzymywała ułudę świetności czasów Zygmuntowskich; polityka możnowładztwa jest coraz ciaśniejsza, coraz więcej pozbawiona cech polityki zdrowej i owocnej.

Bo spójrzmy, z kim, oprócz króla, dzieli możnowładztwo w XVII w. rządy państwowe. Kto to jest i czego chce ta szlachta, która w końcu XVI w. w całej swej rojnej masie, jako «naród szlachecki», zawładnęła życiem publicznem w ogromnej zunjowanej Rzeczypospolitej?

Jest to klasa niezbyt jednolita. Górne jej warstwy stykają się z możnowładztwem, niższe niewiele się różnią od chłopa; spotykamy tu wielkich, średnich i małych posiadaczy ziemskich, aż do proletarjatu rolnego i bezrolnego. Wszyscy przejmują się fikcją równości bezwzględnej, wszystkich łączą wywalczone swobody obywatelskie, przywiązanie do stanu istniejącego i obawa zmian wszelkich. Rozwija się niezdrowy konserwatyzm, przy wzrastającej wciąż reakcji katolicyzmu, a właściwie bigoterji zewnętrznej. Z klasy rycerskiej i wojennej, szlachta coraz bardziej przeistacza się w klasę ściśle rolniczą, zamiłowaną w zdobyczach pługa, stroniącą od życia miejskiego.

Miasta coraz bardziej traktowane są po macoszemu i, zamiast się rozwijać, wegetują zaledwie; wystarczą późniejsze zamieszki za Jana Kazimierza, by upadek ich był zupełny. Konstytucja z r. 1633 ponawia dawne prawo, zabraniające szlachcie kupczenia i szynkowania w miastach; prawo to, choć witane przez mieszczan z uznaniem, jako pewna gwarancja przeciwko konkurencji szlacheckiej, staje się jednak symbolem pogardy dla stanu miejskiego, gdyż pogwałcenie tego prawa ma odtąd sprowadzać utratę szlachectwa.

Na scenę występuje coraz liczniejszy żywioł żydowski i wciska się, pod opieką panów i szlachty, do miast, do wsi, do karczem, młynów, komór celnych. W ten sposób żyd dociera do chłopa i jego stosunku do dziedzica; uczy i pomaga ostatniemu do eksploatacji pracy wieśniaka. Stosunki poddaństwa stają się powoli coraz cięższe, przyczem prąd ten przenosi się także na Ruś, na kresy wschodnie, gdzie dotąd panowały jeszcze «słobody» (wole) i ulgi wszelakie, a znaczna część ludności tubylczej i napływowej czuła się od wszelkich obowiązków poddańczych wolną zupełnie.

Pod względem polityki zagranicznej, szlachta, jak i możnowładztwo, przejęta jest zasadą niewtrącania się do spraw obcych i unikania wszelkich konfliktów wojennych z Szwecją, Moskwą i Turcją. Potencje te mało obchodzą zadomowionego już szlachcica polskiego. Ma on wrogów, ale nie wrogów zewnętrznych; wrogowie jego to — zły sąsiad, żołnierz swawolny, poborca, żądający uchwalonego podatku. Jest wprawdzie wróg zewnętrzny, ale tylko na kresach wschodnich; to zagony tatarskie, idące po łup i jasyr ludzki. Ale

plaga to miejscowa, z którą większość Polski styczności nie ma — jako miejscowa, na miejscu też powinna znaleźć odparcie, jest od tego wojsko kwarciane, są poczty pańskie, jest ludność kresowa. Zresztą nie należy Tatarów drażnić, należy poskramiać samowolne wyprawy kozackie, w ostateczności nie odmawiać Tatarom «upominków».

Oto cały światopogląd polityczny szlachty. Jak widzimy, nie różni się on znacznie od poglądów możnowładztwa. Interesy szlachty i możnowładztwa godzą się znakomicie, obie te klasy społeczne solidaryzują się często w zupełności. Przewaga bezwzględna interesów wsi nad interesami miast, eksploatacja pracy ludu wiejskiego, dążenie do pokoju i do zdobyczy jedynie pługiem, unikanie wszelkich zmian i konfliktów — wszystko to w równej mierze stanowi przedmiot zabiegów tak możnowładztwa, jak i szlachty. Nawet bogacenie się możnowładztwa na otrzymywanych od króla licznych starostwach wydaje się szlachcie rzeczą normalną i potrzebną. Sarka na to od czasu do czasu ten lub inny ubogi szlachcic, ale przeważa zdanie, że królewszczyzny — to chleb dobrze zasłużonych, że bez nich panowie służyć Rzeczypospolitej nie zechcą, i że Rzeczpospolita stoi właśnie nietylko «grozą kary, ale nadzieją nagrody». Zresztą królewszczyzny otrzymują panowie, ale żyje z nich ogromna liczba szlachty, a obrócenie ich na potrzeby państwowe mogłoby posłużyć jakimś szkodliwym wojennym zamysłom króla, lub, co gorsza, jego dążeniom absolutystycznym.

Zresztą każdy szlachcic, jeżeli mógł zostać królem, jak o tem mówiono już po ucieczce Henryka Walezjusza, tem bardziej mógł zostać panem, senatorem i magnatem. Świeżym tego przykładem był choćby Zamoyski, dalej Lubomirscy, Potoccy; pełne były kresy wschodnie nowopowstających fortun szlacheckich i wielkopańskich. Możnowładztwo XVII w. jest już właściwie tylko plutokracją szlachecką, i obok starych rodów polskich i litewsko-ruskich powstają nowe rody magnackie, oparte na zebranych dostatkach i przez te dostatki zdobytem dostojeństwie i stanowisku społecznem.

Godził się więc szlachcic polski na dostatki możnowładztwa, i w ten sposób w pierwszej połowie XVII w. cieszyli się ogólną pomyślnością: i król i pan i szlachcic, ale tylko —

król sobie, pan sobie, szlachcic sobie, a wszyscy — ze szkodą państwa.

W historji nie win szukać należy, lecz zrozumienia zjawisk, ich przyczyn i skutków. Jeszcze gdy mowa o jednostkach, obok wytłumaczenia ich działalności, możliwe są te lub inne sądy lub zastrzeżenia co do ich odpowiedzialności dziejowej; ale skoro mowa o całem społeczeństwie, o klasach jego poszczególnych, należy być ostrożnym w wydawaniu wyroków sumarycznych nietylko dlatego, że są one zwykle niesprawiedliwe, ale głównie dlatego, że nie wyjaśniają istoty rzeczy, a owszem zaciemniają właściwe znaczenie zjawisk dziejowych; każą nam się na nie zapatrywać, jako na wyniki złej, lub dobrej woli osób współczesnych. W danym więc razie, gdybyśmy za zaniedbanie właściwych zadań państwowych Polski w XVII w. chcieli oskarżać wogóle szlachtę, lub możnowładztwo, dowiedlibyśmy jedynie powierzchowności sądu i niezrozumienia dziejów owoczesnych, będących rezultatem kilkowiekowej ewolucji społeczeństwa polskiego. Również działalność królów uwarunkowaną została tem stanowiskiem, które w Polsce już zastali; a jeżeli co do nich, jako jednostek, możliwem jest mówić w pewnym stopniu o winie, to tylko o tyle, o ile przyczynili się oni własnem postępowaniem do nieskorzystania z okoliczności sprzyjających, owszem do pogorszenia stanu poprzedniego.

Z temi zastrzeżeniami, przechodząc do rozważenia działalności królów Zygmunta III i Władysława IV, oraz współczesnych im możnowładztwa i szlachty, stwierdzić przedewszystkiem należy, że działalność wszystkich tych trzech czynników ówczesnych dziejów polskich musiała być dla państwa szkodliwą z samego ukształtowania się ich stosunków wzajemnych, a mianowicie dlatego, że wszystkie te czynniki wystarczały każdy sobie samemu.

Nie banalnym, lecz na psychologji opartym jest aforyzm, że miłość często rodzi się z nienawiści, nigdy z zobojętnienia. Tak bywa i w polityce. Walka rozbieżnych czynników jest często pożyteczną, pokojowe ich współistnienie zawsze szkodliwe. Postęp — to walka, to produkt ścierania się sił, rzadko celu świadomych. Na stu dobrodziejów ludzkości zaledwie może jeden miał na celu jedynie jej dobro, dziewięćdziesięciu dziewięciu dbało o swój własny interes; byli to często ludzie najgorsi, tyrani, zbrodniarze. Ale wytwarzali warunki do walki życiodajnej, do zdrowego zmagania się sił. Dlatego to jedną z największych prawd społecznych jest ta, że bierność uczciwych gorszą jest i w skutkach straszliwszą od czynności płochych i nikczemnych.

Początek XVII w. odznaczał się w Polsce właśnie tą wzajemną biernością, tem wzajemnem unikaniem konfliktów, zasadą: każdy dla siebie.

Wynikało to z faktu, że wśród ogólnej pomyślności, uwarunkowanej poprzedniemi zdobyczami społeczeństwa, wszyscy byli zadowoleni.

Gdy wszystkim dobrze, nastaje nastrój wzajemnej pobłażliwości. Zbytnia pomyślność jest również klęską narodową, jak często też bywa klęską jednostek.

Zamiast ścierania się wielkich interesów, wielkich haseł, wielkich namiętności, życie przybiera cechy walk drobnych, małostkowych, nie budujących przyszłości, lecz ją zabagniających.

Polska już w XVI w. dotknięta była ciężką chorobą: zachwianiem się równowagi stanowej. Upadek miast, przełamanie możnowładztwa i osłabienie władzy królewskiej doprowadziło do nadmiernej supremacji jednej klasy — szlachty. Ta, pozyskawszy władzę nieograniczoną, nie mając żadnej przeciwwagi, musiała siły swej nadużyć, a nadużywszy jej, brnąć dalej w tym kierunku. Naiwnością jest myśleć, że państwa stoją jedynie cnotą swych obywateli. Społeczeństw, złożonych z samych ludzi doskonałych i cnotliwych, jeszcze nie było i nie będzie. Zalety jednostek są zaledwie jednym z czynników pomyślności państwowej, nie jedynym, nie głównym. Czynników tych jest szereg, a istotą wszystkich jest zawsze to samo: siła, mus, przemoc, możliwe na krótką metę — z ręki jakiego króla, lub wielkiego męża stanu; na długą metę — jedynie, jako wynik zdrowego, wzajemnego zmagania się czynników różnorodnych.

Polska w XVII w. tego zdrowego ścierania się sił była już pozbawiona, mógł ją jeszcze ratować genjusz jednostek. Ale genjusze rodzą się rzadko. Ani Zygmunt III, ani Władysław IV genjuszami nie byli. Wogóle Polska w genjuszów czynu

(nawet złych czynów) była zawsze ubogą. Również wśród możnowładztwa i szlachty, chociaż spotykamy kilku ludzi wybitniejszych, to jakże im daleko do podołania tak trudnemu zadaniu, jak wyrównanie tego, co zostało skrzywione przez kilka z rzędu pokoleń.

Więc przyznać należy, że ludzie XVII w. nie byli wprost w stanie zawrócić z raz obranej drogi rozwoju i działali tak, jak im warunki ówczesne działać kazały. A warunki te, jak wiemy, wadliwe, kazały im działać — ze szkodą publiczną.

Mówiąc krótko: król musiał kłamać, magnat musiał schlebiać, szlachcic musiał właściwie «na nic nie pozwalać».

Kłamstwa naszych królów elekcyjnych zaczynały się zwykle od pactów conventów, przy których wymagano od króla zwykle różnych obietnic, niemożliwych do urzeczywistnienia. Tak, w pactach conventach Zygmunta III znajdują się, między innemi, obietnice: oddania Polsce Estonji jeszcze za życia ojca, wystawienia własnym kosztem floty i pięciu twierdz, spłacenia długów Rzeczypospolitej. Oczywiście były to warunki nie do wykonania. Zaraz też, jeszcze w czasie podróży ze Szwecji, w Gdańsku, jeszcze przed wylądowaniem, Zygmunt III wymógł na posłach polskich obietnicę, że Polacy nie będą żądali Estonji za życia ojca królewskiego — pomimo to, złożył przysięgę na poprzednio postawione już pacta conventa.

Dbając więcej o dziedziczną koronę szwedzką, niż o tron w Polsce elekcyjny, młody jeszcze wówczas Zygmunt III i ojciec jego, król Jan szwedzki prowadzili potajemne konszachty z Austrją o ustąpienie jej Polski wzamian za inne korzyści. Król Zygmunt na sejmie inkwizycyjnym z r. 1592 zmuszony był — skłamać i wszystkiemu uroczyście zaprzeczyć.

Zygmunt III dwa razy wchodził w związki małżeńskie, obydwa razy z arcyksiężniczkami austrjackiemi wbrew woli narodu; zmuszony więc był działać ciągle w tajemnicy przed szlachtą. W r. 1592 poślubił arcyksiężniczkę Annę (matkę Władysława IV), która zmarła w r. 1598, a w r. 1605 siostrę pierwszej żony, arcyksiężniczkę Konstancję (matkę Jana Kazimierza). Nagabywany o te małżeństwa, gdy były dopiero w projekcie, Zygmunt III niejednokrotnie zmuszony był wszystkiego się zapierać.

Szlachta polska w końcu XVI i na początku XVII w.

żywiła względem Austrji uczucia jak najbardziej wrogie. To, co się działo w Czechach i na Węgrzech — niszczenie wszystkich swobód narodowych przez dom austrjacki — napełniało doń szlachtę polską odrazą i obawą. Oprócz tego było jasnem dla każdego, że sojusz z Austrją prowadzi w prostej linji do zatargów z Turcją, do wojny dla Polski bez korzyści, z korzyścią jedynie dla Austrji. Gdy w r. 1595 Jan Zamoyski zajął Mołdawję i osadził na hospodarstwie, jako lennika Polski, Jeremjasza Mohyłę, dwór austrjacki okazał się z tego mocno niezadowolonym. Pragnął, by oręż polski był czynny w tych stronach, ale by korzyści stąd płynące dostawały się cesarstwu. Wśród takich okoliczności, stałe konszachty Zygmunta III z Austrją, wiązanie się z nią dyplomatyczne, nawet pomoc zbrojna — wszystko to musiało się odbywać bez zgody i wiedzy szlachty i wszystko to musiało się opierać na stale idącem od tronu bałamuceniu narodu.

W swojej polityce szwedzkiej Zygmunt III, chcąc wciągnąć Polskę do wojny ze swoim stryjem, Karolem Sudermańskim, musi prowadzić politykę nieszczerą, by naród pomimo woli jego w wojnę tę ze Szwecją uwikłać. Udaje się to Zygmuntowi w r. 1600, i odtąd wojna szwedzka z przerwami ciągnie się przez lat sześćdziesiąt, bez żadnych dla Polski korzyści, owszem z ogromną jej stratą.

Również nieszczerą jest cała wewnętrzna polityka Zygmunta III. Dąży ona, wbrew uznanej tolerancji religijnej, do usunięcia różnowierców ze wszystkich stanowisk, do zaprowadzenia unji kościelnej, pomimo niechęci do niej nietylko Rusi, ale i Polski, do rządów opartych na stałem, systematycznem omijaniu prawa. Z usposobienia i przekonań monarchista na wzór Habsburgów, zamiast dążyć do poprawy wadliwej konstytucji polskiej, Zygmunt III woli tylko lawirować między nastręczającemi się przeszkodami i przez to wznieca w narodzie do władzy królewskiej coraz większą nieufność i niewiarę.

Taktyka względem narodu Władysława IV w rzeczywistości niewiele się różni od taktyki jego ojca. Ta sama nieszczerość, to samo kłamstwo, ta sama niechęć do otwartej walki, lub systematycznej pracy dla reformy. Jeżeli jest różnica, to na niekorzyść Władysława. Wszak nie brakło mu ani czucia polskiego, ani zdolności, ani ambicji; ale wieczna nie-

szczerość poprowadziła go dalej, niż ojca — do oszukiwania samego siebie. Chciał być potężnym monarchą, z którego wolą liczyć się musi Europa — i uwierzył w to, nic nie uczyniwszy, by władzę swą rzeczywiście podnieść. Chciał sławy wojennej, wyprawy na Turcję — i uwierzył w jej urzeczywistnienie, niczem nie zapewniwszy się, że naród jej nie odrzuci; wydawał ogromne sumy na zaciągi — i nie przewidział, że stała potrzeba pieniędzy będzie go stawiała w coraz większą od szlachty zależność. Zygmunt III kłamał przed narodem, Władysław IV kłamał przed narodem i przed samym sobą.

Widok ciekawy! Naród, już pan samowładny swego losu, syt chwały i dostatków, pragnie jedynie pokoju, wojnę uważa za szaleństwo. Jednocześnie król tego narodu, monarcha już tylko elekcyjny i bez władzy, ale pożerany żądzą sławy i potęgi, nie czyni nic ku temu, by przedewszystkiem władzę swą wzmocnić w kraju, by zdobyć środki i możność do walki, tylko wojnę uważa za cel swego życia, całą parą prze do jej wybuchu i w tym celu w zaślepieniu własną ręką przykłada lont do podminowanej w jego oczach kozaczyzny.

Taki stosunek musiał utrzymywać atmosferę stałego kłamstwa z jednej strony, a nieufności i niewiary z drugiej.

Czytając ckliwe dytyramby Szajnochy na cześć Władysława IV i jego gromy na ówczesnych możnowładców polskich, mimowoli postawić należy pytanie, na kim ciąży większa odpowiedzialność dziejowa (jeżeli już mowa o odpowiedzialności), czy na królu, który stale bez rzeczywistej potrzeby okłamuje swój naród, czy na tych magnatach, którzy w opozycji przeciwko królowi, często być może egoistycznie, wyrażali jednak najgłębsze pragnienia szerokich warstw społecznych.

Wyżej zastrzegliśmy się przeciwko ferowaniu w tych okolicznościach jakichbądź wyroków natury etycznej. Nie o etykę też nam idzie, lecz o politykę, t. j. celowość czynów. Bobrzyński wyraził przekonanie, że Polska owych czasów mogła być zreformowaną tylko na drodze zamachu stanu, a nigdy na drodze legalnej. Ten sąd wydaje się nam zbyt apodyktycznym. Można mu z równą racją przeciwstawić np. zdanie Kubali, wyrażone w końcu tomu drugiego «Jerzego Ossolińskiego», że najlepszą drogę do poprawy urządzeń Rzeczypospolitej mieli królowie w pilnem przestrzeganiu, by wszyscy

bez wyjątku od najniższych do najwyższych, a więc i król także, ściśle postępowali zgodnie z prawem. «Zamiast gwałcić, przekraczać, omijać ustawy i stać ciągle przed kuratelą narodu, trzeba było najprzód zmienić rolę i nie pozwalać, aby obywatele prawa gwałcili — zamiast lekceważyć zwyczaje i tradycje polityczne, należało im nadać stałe formy, opisać prawem, aby się ze szkodą kraju samowolnie nie rozwijały».

Z tych dwóch zdań, sobie przeciwnych, każde ma swą słuszność — względną. Zamachy stanu są dobre — gdy się udają, są klęską — gdy zawodzą. Praworządność jest również dobrą, nawet gdy prawa są złe, ale pod warunkiem, że samo społeczeństwo jest zdrowe i normalne, i jego ewolucja, choć powolna, może przynieść poprawę. Gdy samo społeczeństwo znajduje się w stanie wewnętrznego rozstroju, często sama praworządność już nie wystarcza. To tak, jak z chorym człowiekiem, chirurgja czy terapja, to zależy od stanu organizmu i zdolności lekarzy. Że organizm Polski na początku XVII w. był w stanie wielkiego rozstroju, jest rzeczą pewną. Czy jednak ten rozstrój był już tak wielki, że leczenie mogło już być tylko chirurgiczne — na to pytanie zbyt stanowczej odpowiedzi być nie może.

Kto wie? Gdyby anarchiczna już Polska początku XVII wieku otrzymała była szereg monarchów rozumnych a wytrwałych, świadomych, czego państwu potrzeba, a dostatecznie zręcznych, by choć powoli do celu się zbliżać, gdyby pozatem dynastja się nie przerywała — może ustrój Polski uległby zmianie na lepsze, i dezorganizacja jeszcze nie doszła do rozmiarów, które przybrała w XVIII w.

Ale skąd brać takich królów? Jest to równie trudne, jak znalezienie owego genjuszu, któryby potrafił jednym zamachem wyprostować skrzywiony ustrój państwowy.

Królowie z dynastji Wazów byli królami przeciętnymi — mieli swe zalety i wady, zdolności na wyjątkowych mężów stanu nie posiadali. Że przy tych warunkach kłamali, wynikało to, jak podnieśliśmy wyżej, z samego wadliwego ustosunkowania sił w Polsce od końca XVI w.

Lecz przejdźmy do możnowładztwa. Możnowładztwo schlebiało. Komu? Temu, co miał siłę, więc przedewszystkiem szlachcie, jako czynnikowi, od którego w rezultacie wszystko zależało, następnie królowi, jako szafarzowi wszystkich łask

i dostojeństw. Możnowładztwo, przeradzające się coraz bardziej na plutokrację szlachecką, coraz bardziej zależne od posiadanych bogactw, w pogoni za temi bogactwami coraz więcej odwyka od niezależności sądu i prawdziwej odwagi cywilnej, a przejmuje się raczej sprytem kupieckim, giętkością i układnością zewnętrzną, gotowością do wszelakich kompromisów. Mając do czynienia z żywiołami tak różnemi, jak do demagogji dążącem społeczeństwem szlacheckiem i władzą królewską, prowadzi możnowładztwo politykę oportunistyczną i przerzuca się, w miarę potrzeby, od zdobywania popularności u szlachty do służenia interesom dworu królewskiego. Wyradza to potrzebę dwulicowości, wiecznego dyplomatyzowania, a jednocześnie prowadzenia lub udawania w pewnych chwilach opozycji wobec króla. Sztuka wywyższania się wśród anarchji ogólnej będzie się odtąd stale w Polsce doskonaliła i dosięgnie swego szczytu w XVIII w. Ale już od XVI w. datuje się system zdobywania sobie popularności u szlachty demonstracyjną opozycją wobec korony, a łask korony sprzedawaniem tej popularności na rzecz dworu. W tej taktyce niezdrowej zatracała się niejedna potrzeba publiczna, ginęła niejedna myśl zdrowa i pożyteczna.

Powaga tronu zmniejszała się stale, jednocześnie zależność rządów od szlachty wzrastała. Równolegle z tem oscyluje taktyka możnowładztwa. Jeszcze za Zygmunta III widzimy choć nieliczną, ale zwartą kamarylę dworską, u szlachty niepopularną i o tę popularność niezabiegającą. Zygmunt Myszkowski, Mikołaj Wolski, biskupi Jan Tarnowski (h. Rola) i Andrzej Lipski i wielu innych byli znienawidzeni przez szlachtę i trzymali się wyłącznie dworu. Nie szukali również popularności u szlachty tacy ludzie, jak Stanisław Żółkiewski, Jan Karol Chodkiewicz, Lew Sapieha. Za Władysława IV kamaryla dworska znika, nietylko dlatego, że syn Zygmunta III jest inny od ojca, ale też dlatego, że przez czas panowania Zygmunta III środek ciężkości nawy państwowej odsunął się jeszcze dalej od dworu królewskiego i zbliżył do dworków szlacheckich. Najzaufańsi powiernicy Władysława IV, to już nie magnaci polscy, to cudzoziemcy, jak Tiepolo, bracia Magni, Fantoni. Już Ossoliński liczyć się musi ze swą opinją u szlachty i hamować pogardliwe swe względem niej uczucia.

Stosunek możnowładców polskich do samego Władysława IV nacechowany jest napozór wielką godnością. «Panowie rada» śmiało i odważnie wypowiadają przed królem swe zdania, stają wpoprzek jego zamiarom, bronią kraju przed polityką niezgodną z wolą narodu. Ale bliższe wejrzenie w stosunki owoczesne przekonywa nas, że z małemi wyjątkami wszyscy ci śmiałkowie i opozycjoniści działają albo dla zyskania popularności, albo też z pobudek najczystszej prywaty. Zaczynają się tak zw. «urazy» panów polskich za byle jaką «zniewagę», doznaną od króla; a zniewagą jest odmówienie starostwa, urzędu lub innej łaski monarszej. Ten przykład nieuszanowania dla osoby królewskiej dają pierwsi senatorowie, taki Albert Stanisław Radziwiłł, kanclerz w. lit. — za podwyższenie raty od starostwa tucholskiego, lub Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski — za odebranie mu szybu solnego.

Niezmierna duma zaczyna być cechą wzbogaconych magnatów. Ubiegając się o popularność wśród szerokich zastępów szlachty, jednocześnie odcinają się od niej coraz bardziej bogactwem, przepychem, ogromną liczbą dworzan, własną siłą zbrojną, lekceważeniem wszelkiej władzy państwowej. Wchodzi w zwyczaj prowadzenie przez magnatów na własną rękę układów dyplomatycznych z zagranicą. Tak Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski, wierny stronnik dworu austrjackiego, który mu się odwdzięczył jak zwykle tytułem, w stałej jest korespondencji z całym prawie światem i przez swych agentów śledzi wszystkie prawie sekrety, istniejące między kancelarją królewską i zagranicą. Gdy król się o to gniewał, wojewoda-malkontent żali się w liście do podkanclerzego, Jędrzeja Leszczyńskiego: «Już i to wadzi, że pewniejsze podówczas miewamy wiadomości i że koszt na to łożymy». Wiemy, co z tych niewinnych napozór korespondencyj magnatów polskich wynikło w czasach późniejszych!...

W XVI w. w walkach o wolność religijną i o «egzekucję», słyszymy na sejmach śmiałe, pełne ognia i animuszu przemowy posłów ziemskich; senat, z wyjątkiem znanych warchołów, zwykle podtrzymywał powagę królewską. Zamoyski i w tym względzie rozpoczyna za Zygmunta III nową erę bezwzględnej opozycji magnackiej. Sam prowadzi ją przynajmniej jawnie i otwarcie, i w interesie dobra publicznego; epigonowie jego, marni lub niegodni naśladowcy wielkiego

człowieka, sprowadzają opozycyjność do zwykłego później «kontradykowania», a zamiast występów osobistych, podburzają zwykle przeciw królowi szlachtę od siebie zależną. W ten sposób szlachta staje się narzędziem magnatów. «Ze śmiercią Zamoyskiego» — pisze Szujski — «i rokoszem Zebrzydowskiego, upadła dawna opozycja szlachecka, butna, szczera, zuchwała. Odtąd na sejmach spotykamy inną, szkodliwszą. Szlachta kupi się koło urażonego magnata, mowy opozycyjne zasypane bujnemi panegirykami na króla i stany, w górnych wyrazach ukrywa się gniew, ambicja, prywata. Krzewi się coraz bardziej fałsz i komedjanctwo, dwujęzyczność i zdradziecкość, uniżoność obok dumy, wywnętrzanie szlachetnych uczuć obok interesowności i łakomstwa».

Orężem szlachty było — «na nic nie pozwalać». Nie pozwalać na podatki, nie pozwalać na potrzebne zmiany w ustroju państwowym, nie pozwalać na dojście sejmów. Taka taktyka, już nie opozycyjna, ale wprost obstrukcyjna, wynikała z faktu, że szlachta wszystko, co mogła, zdobyła już w XVI w., czuła się zadowoloną i wszelkie zmiany traktowała, jako zmianę na gorsze. Ten stan psychologiczny potęgowała jeszcze reakcja katolicka, podnosząca tradycję i dająca jej urok świętości. Już Szujski zwrócił uwagę na szczególne zjawisko, które przedstawiała Polska w końcu XVI w.: społeczeństwo wywróciło się do góry nogami, konserwatyzm był u dołu, chęć zmian na górze; król był w porównaniu do szlachty wiecznym rewolucjonistą, którego należało się pilnować w imię dobra publicznego i świętości tradycji. Szlachtę zaczyna ogarniać przekonanie, że wszelkie zło pochodzi jedynie z przeniewierzania się przeszłości, i że wszelkie reformy ograniczać się powinny jedynie do wzmacniania wydanych już poprzednio praw i usuwania wszystkiego, co ich wykonaniu się sprzeciwia. W ten sposób wszelkie zmiany zasadnicze zgóry uznawane były za niepożądane, a wszelki postęp i naprawa ustroju państwowego stawały się niemożliwemi. Kwietyzm ten społeczeństwa ma swoje wyjaśnienie właśnie w tym braku zdrowego ścierania się sił, o którem mówiliśmy już wyżej, w tym braku życia i ruchu, który nieodłączny jest od wstrzymania pochodu społeczeństw naprzód, od przykucia ich na miejscu. Tak w swoim czasie zatrzymał się rozwój Chin,

które też skamieniały na długie wieki, i budzą się znów do życia dopiero w dobie dzisiejszej.

Wstręt szlachty do wszelkich zmian potęgowało jeszcze skazane na wieczną nieszczerość zachowanie się królów. Szlachcic rozumował, a słyszał to ciągle od magnata, że król, już przez to samo, że jest królem, dążyć musi do absolutyzmu. Każdą więc propozycję królewską uznawał za zdradliwą i widział w niej zastawioną na siebie pułapkę. Była to ta sama nieufność, z którą chłop nasz patrzał dotąd na swego dziedzica, choćby ten mu radził najlepiej. I jak po uwłaszczeniu podjudzali chłopów na panów ci, którym mogło zależeć na naszem rozdwojeniu, tak szlachtę polską już w końcu XVI wieku straszyło widokiem groźnego absolutum dominium możnowładztwo, pozbawione już zupełnie dawnego swego znaczenia politycznego i skazane siłą rzeczy jedynie na lawirowanie między łaską królewską i popularnością u masy szlacheckiej.

Szlachta polska to tłum, a tłum ma, jak wiadomo, własną psychologję. Nieufność szlachty do wszelkich zmian z jednej strony, a brak wszelkiej przeciwwagi z drugiej, musiały zwyczaj «niepozwalania na nic» podnieść do znaczenia jakiejś zasady politycznej i doprowadzić ją do rozmiarów wprost karykaturalnych. Więc na tak zgodnej elekcji Władysława IV, na której właściwie nie było innych kandydatów, szlachcic jakiś niespodzianie zaprotestował przeciw wyborowi Władysława, a gdy się go ze zdziwieniem pytano, czemu to czyni — robił dalej trudności, dopóki się nie przekonał, że z jego «nie pozwalam» się liczą; wtedy uradowany krzyknął, że chciał się tylko przekonać, czy wolny głos doznaje szacunku, a skoro tak jest, z radością przyłącza się do okrzyków na cześć ogólnie lubianego królewicza. Przed sejmem 1638 r., jak opowiada w swych pamiętnikach kanclerz Alb. Stan. Radziwiłł, któryś poseł pruski przyobiecał był swym wyborcom wymóc na sejmie prawo ni stąd ni zowąd wolnego łowienia ryb w jeziorach królewskich. Żądanie swoje na sejmie wypowiedział i zagroził, że «jeżeli tego nie będzie, niech się rwie sejm»; ledwie go uspokojono. W XVII w. miano wiele kłopotu z t. zw. «exulantami», t. j. szlachtą, mającą dobra w okolicach odstąpionych Moskwie na mocy traktatów. Nie chcąc pozostawać pod obcem panowaniem, szlachta ta otrzymywała wyposażenie

z dóbr koronnych, a także prawo dalszego wyboru swych urzędników i posłów (województwa smoleńskie i czernihowskie). Otóż niejeden sejm był areną lamentów tych «exulantów», lamentów, kończących się zwykle frazesem stereotypowym: «dopóki tego nie otrzymam, na nic nie pozwalam».

Na takiem tle musiało się ostatecznie rozwinąć «liberum veto».

III. CZASY SASKIE

Przez lat sześćdziesiąt sześć od r. 1697 tron polski jest w posiadaniu dwóch zkolei elektorów saskich, a wielki statek Rzpltej, zamiast holować inne statki mniejsze, sam holowany jest przez małą szalupę Saksonji. Unja osobista pomiędzy ogromną, ale anarchiczną, a więc bezwładną Polską, a małą, ale rządną Saksonją, przyniosła tak jednej jak drugiej same tylko klęski.

Nic niema niedorzeczniejszego, niż unje osobiste. Podobnie, jak naród, podzielony pomiędzy dwa państwa, których interesy często są sprzeczne, nie może pod grozą utraty jedności narodowej wyrobić sobie dwóch patrjotyzmów, tak też jeden i ten sam monarcha nie może dogodzić dwom państwom samodzielnym, mającym często cele wręcz sobie przeciwne. Wszystko, co jest nienaturalne, mści się zawsze w skutkach; Polska doświadczyła tego na sobie już za Zygmunta III.

To też wszelkie unje osobiste dążą zawsze bądź do zupełnego zerwania, bądź przeciwnie do większego zacieśnienia węzłów, do unji realnej, t. j. do połączenia dwóch organizmów państwowych nietylko przez wspólną osobę panującego, ale też przez pewne wspólne prawa i instytucje.

Dla Rzpltej polskiej najstosowniejszym był obiór na króla, wprawdzie nie Piasta, tylko księcia zagranicznego, ale nie monarchy, panującego już gdzie indziej. Innemi słowy, Polska, choć elekcyjna, potrzebowała króla wyłącznie dla siebie, któryby los swój połączył z losem Rzpltej. Takim mógł być ks. Conti, obrany przez większość narodu w r. 1697, takim ks. Karol lotaryński, ubiegający się o koronę polską w r. 1673, takim ks. Leopold lotaryński, syn poprzedniego i Eleonory, wdowy po Michale Wiśniowieckim, a ojciec Fran-

ciszka Stefana, męża Marji Teresy (był on jednym z kandydatów do korony polskiej w r. 1697).

Ale los chciał inaczej. Polska dostała się pod panowanie dwóch zkolei elektorów saskich. Z faktem tym należało się liczyć. Tak obaj Augustowie, jak też naród polski, powinni byli szukać dróg do pogodzenia wynikłych sprzeczności i jakiegoś wyjścia, zgodnego z dobrem obu krajów.

Tymczasem tak jedna jak druga strona nie okazały się na wysokości zadania, nie osiągnęły rezultatów dodatnich, owszem, doprowadziły oba kraje do zupełnego bezwładu politycznego i ruiny ekonomicznej. Wobec jednak powszechnie przyjętej u nas opinji zwalania całej odpowiedzialności na jedną tylko stronę — na królów Sasów, zaznaczmy odrazu, że wręcz przeciwnie nietylko wina była obopólną, ale wina narodu polskiego, t. j. właściwie jego klas kierowniczych, była o wiele większą od winy obu Augustów.

August II miał niezaprzeczenie wad niemało. Był lekkomyślny, rozrzutny, zbyt oddany zabawom i uciechom, powodujący się nie wyższemi celami, lecz ambicją, często małostkową, naśladowniczą. Ale miał także zalety: był śmiały i odważny, inteligentny, dający się kierować przez ludzi wybitniejszych, wychowanych w atmosferze wysokiej kultury europejskiej. Historjografja nasza nie może mu wybaczyć jego machjawelizmu, a zwłaszcza jego projektów, godzących w całość Rzpltej. Ale kto wie, czy nie powinniśmy żałować, że tego machjawelizmu miał właśnie za mało, albo że machjawelizm ten nie był dość zręczny, i że naprawa Rzpltej nie dokonała się za Sasów, choćby za cenę pewnych ofiar terytorjalnych.

Jeżeli pod machjawelizmem rozumieć mamy wszelkie odchylania się w polityce od etyki życia prywatnego, to należy uznać, że polityka bez machjawelizmu obejść się nie może, gdyż do życia publicznego niepodobna, nawet nie godzi się stosować praw i norm, rządzących życiem prywatnem. Zapoznanie tej prawdy wynika z braku zmysłu politycznego. Ten zmysł bezwiednie odczuwa, gdzie i kiedy następuje rozbieżność między potrzebą publiczną a dobrem jednostki, i gdzie odchylenie się od etyki ściśle prywatnej staje się koniecznością. Teoretycznie granice etyki zbiorowej wzbudzać mogą różne spory i wątpliwości, ale np. tak niemoralna w zastosowaniu zasada, jak: «cel uświęca środki», właściwie w etyce życia zbiorowego, a więc także w polityce, ma w pewnym stopniu swe uzasadnienie. Chodzi tylko o nienadużywanie tej zasady i należyte jej pojmowanie.

I w rzeczy samej im większy jest cel, do którego człowiek dąży, tem większe ponosić dlań musi ofiary. Gdy chodzi o samego siebie, człowiek etyczny czuje się w wyborze środków bardziej skrępowany, aniżeli gdy chodzi o szerszy ogół, o ojczyznę, ludzkość, ideę. Poświęcić życie własnego dziecka dla zdobycia fortuny, byłoby zbrodnią, ale będzie inaczej, gdy idzie o dobro ojczyzny. Kłamstwo w życiu prywatnem jest zawsze rzeczą szpetną, ale również rzeczą złą i szkodliwą będzie w życiu publicznem zwykła otwartość. Miara i wzgląd na cel ostateczny stanowić muszą główne zasady etyki ludzkiej. Machjawel jest wstrętny, gdy wyciągamy zeń pojedyńcze rady co do wiarołomstwa w polityce — ale gdy poznajemy jego życie, jego gorący patrjotyzm, pobudki, które go skłoniły do napisania «Księcia» (gorące pragnienie oswobodzenia Włoch z przemocy cudzoziemskiej), zaczynamy cenić w nim wielkie serce, wielki umysł, wielkiego człowieka. Odrzućmy jego przesady i paradoksy, oczyśćmy z plewy zdrowe ziarno, znajdujące się w jego pismach, a uznamy, że «rady Machjawela», jak dawniejsze «rady Kallimacha», stoją nieskończenie wyżej, nawet etycznie, od rad naszego domorosłego Jędrzeja Maksymiljana Fredry, lub od dwóchsetletniej napuszystej paplaniny patrjotycznej naszych stanów sejmujących, sejmikujących i konfederujących się «przy królu, wierze i wolności» [1]).

Ale etycznie dopuszczalny machjawelizm państwowy potrzebuje dwóch warunków: celu wzniosłego i — rozumu. W tem oświetleniu dążenia Augusta II do zreformowania Polski należy rozpatrywać nie pod ciasnym kątem uczciwości prywatnej, ale przez pryzmat celu, do którego dążył, i skuteczności użytych środków.

Nie na tem jednak koniec. Pójdźmy o krok dalej. Wiemy, że tłum ma swą psychologję odrębną, że zwierzę ludzkie potrzebowało w pewnych chwilach chłosty od zbrodniarzy i tyranów, którzy przez samą krew przelaną i zbrodnie popeł-

---

[1]) P. w Nr. 4 miesięcznika «Myśl Narodowa» (Piotrogród) z roku 1916 artykuły: E. Starczewskiego «Etyka Zbiorowa» i St. Kozickiego «Niccolo Machiavelli».

nione ostatecznie dobrze zasłużyli się ludzkości. Zbrodnia jest bądź co bądź nieszczęściem, tragedją samego zbrodniarza; tą tragedją własnego «ja» okupuje on czasem szczęście miljonów. Bo postęp ludzkości nietyle wynika z celowego dążenia do doskonalenia się, ile jest wypadkową ze ścierania się sił często ciemnych i żywiołowych. Cezar, burzący strupieszałe instytucje rzymskie, następcy jego, pławiący się w potokach krwi męczenników chrześcijańskich, gwałty barbarzyńców w czasie wielkiej wędrówki ludów, ekscesy wojen krzyżowych, walki reformacji, potoki krwi wylane za rewolucji francuskiej i wojen Napoleona, takie osobistości jak Henryk VIII, Ludwik XI, Iwan Groźny — wszystko to przypomina nam szereg strasznych zbrodni i nieszczęść tysięcy i miljonów, a jednocześnie wszystko to pchało naprzód postęp ludzkości.

Gdyby więc nawet August II popełnił niejeden czyn, przekraczający nietylko przepisy moralności prywatnej, ale najszersze granice etyki państwowej (a mamy tu na myśli jego sztuczki prowokacyjne i jego «Grand Dessein», t. j. projekt podziału Rzpltej), to jeszcze sąd o nim zależeć powinien od uwzględnienia wszystkich okoliczności jego panowania w Polsce i warunków, wśród których musiał działać i grzeszyć bez pożytku dla sprawy publicznej.

W chwili, gdy elektor saski, Fryderyk August I, dzięki zręczności swego głównego agenta, Jakóba Henryka Fleminga, i poparciu Austrji, a także Rosji, zdobył koronę Jagiellonów i został Augustem II, był on człowiekiem jeszcze młodym, zaledwie 27-letnim. Wzorem jego był Ludwik XIV, a paliła go żądza zwycięstw i odznaczenia się. Jednocześnie, kierowany przez zręcznego Fleminga, postawił za cel swej polityki w Polsce zaprowadzenie w niej porządku na wzór państw zachodnich, przez wzmocnienie swej władzy królewskiej i uczynienie z Polski państwa dziedzicznego.

Polska, oddawna rozmiłowana w pokoju i bezczynności, z radością powitała w r. 1699 pokój karłowicki i odzyskanie bez boju Kamieńca; o innych zdobyczach nie myślała; zajętą była sprawami domowemi, rywalizacją magnaterji, wojną domową na Litwie Sapiehów z Ogińskimi, Kryszpinami, Wiśniowieckimi i szlachtą.

Jednomyślności między królem i narodem być nie mogło — musiało nastąpić rozdwojenie, przypominające rozdwo-

jenie za panowania Władysława IV, z tą odmianą, oprócz różnic indywidualnych, że z jednej strony August II osobiście posiadał siłę, której brakowało Władysławowi IV, t. j. własne, małe, ale zasobne państewko — Saksonję, a z drugiej, że Rzplta pogrążona była teraz w zupełnej niemocy państwowej. Myśl, której urzeczywistnienie nie powiodło się Władysławowi IV, została podjęta przez Augusta II.

Podobnie jak Władysław IV wbrew woli narodu przygotowywał wciąż wojnę turecką, tak August II wbrew życzeniom całej Polski, przygotowuje najazd na Inflanty. Jak Władysław IV w w. XVII, tak August II w w. XVIII na wykrętach opiera swe postępowanie. Wykręt Augusta II był następujący: szlachta, lubiąca wymuszać na swych królach elekcyjnych różnego rodzaju wprost naiwne obietnice, nieostrożnie zamieściła w paktach konwentach Augusta II między innemi zobowiązanie «rekuperowania awulsów»; takim awulsem były właśnie Inflanty; otóż dla ich zdobycia August II połączył się przymierzem z Piotrem W., i w r. 1700 Fleming z wojskiem saskim rozpoczął wojnę Północną, rzucając się na Rygę.

W tymże 1700 r. dochodzi na Litwie do krwawej rozprawy między Sapiehami a partją im przeciwną. Sapiehowie zostali rozgromieni i zmuszeni w ucieczce szukać opieki królewskiej.

Ale August II ani wodzem, ani mężem stanu nie był — wodzem był Karol XII, a Piotr W., choć sam strategikiem nie był, uczył się i nauczył się zwyciężać, a w sprawach państwowych był niezaprzeczonym genjuszem. Z zawieruchy więc zewnętrznej i wewnętrznej w Polsce skorzystał ostatecznie tylko Piotr W.

W zawierusze tej August II nie znalazł w Polsce należytego poparcia; gorzej, że poparcie to znaleźli — do r. 1709 jego wróg Karol XII, a po jego upadku — podkupujący się pod plany Augusta II i pod niezależność Rzpltej Piotr W.

Rządzące w Polsce stany, t. j. magnaci i szlachta, oburzone na Augusta II za wprowadzenie do kraju wojsk saskich i wywołanie burzy wojennej, oburzone także za jego plany absolutystyczne, słabo i chwiejnie wystąpiły w obronie króla przed wkraczającą armją Karola XII. Najazd szwedzki z początku XVIII w. różnił się od poprzedniego najazdu z r. 1655

tak odmienną postacią Karola XII w porównaniu do jego poprzednika, Karola Gustawa, jak też odmiennemi warunkami, wytworzonemi w Polsce przez obecność w niej wojsk saskich i rosyjskich. Dzięki tym wojskom, August II nigdy nie był tak opuszczonym przez swój naród, jak Jan Kazimierz, ale też nie wrócił do kraju jak tamten, za sprawą żywiołowej samoobrony narodu i rozbudzonego w nim patrjotyzmu. Los Augusta II, dzięki zachowaniu się narodu, został zupełnie uzależniony od klęski albo powodzenia Rosji.

Zachowanie się magnaterji polskiej w czasie walk Augusta II z Karolem XII zdradza już taką obojętność wobec losów kraju i tak wielkie obniżenie uczuć obywatelskich, a zachowanie się szlachty takie zaślepienie i ciemnotę, że w porównaniu z temi «stanami» Rzpltej postać Augusta II zyskuje pod każdym względem i na mrocznem tle wypadków owoczesnych razić nie może.

August II był w Polsce cudzoziemcem, nie rozumiejącym ani mowy, ani obyczajów narodu; koronę po części kupił, po części dostał przez intrygi własne i sąsiadów; w ten sposób do wielkich obowiązków względem swych poddanych zapewne się nie poczuwał, tem bardziej patrjotyzmu polskiego mieć nie mógł. Podobnych okoliczności łagodzących nie mogliby przytoczyć magnaci i szlachta polska. Tymczasem jakże mało znajdujemy w nich obowiązkowości i patrjotyzmu!...

Na czele senatu polskiego stoi były interrex z r. 1696—1697, prymas Michał Radziejowski, człowiek bez czci i wiary, przerzucający się dla pychy lub korzyści osobistej od Augusta II do Karola XII, wreszcie wzgardzony przez obydwóch. Po nim w r. 1705 dzierży godność prymasowską z ręki Augusta II stronnik jego, Stanisław Szembek, o którym Otwinowski mówi, że «był pan dobry i pobożny, ale dom swój raczej niż dobro publiczne kochający». Hetmanem w. kor. 1702—1706 r. jest Hieronim Lubomirski, człowiek dumny i przewrotny, przerzucający się, jak Radziejowski, od Augusta II do Karola XII, marzący z mętnej wody wyłowić dla siebie koronę królewską, stąd wróg zarówno Augusta II, jak i Stanisława Leszczyńskiego. Następcą jego jest ostatni z rodu Adam Sieniawski, pan ogromnej fortuny, również marzący o koronie, a w tym celu schlebiający Piotrowi W. i jego powolny sługa, nie wierzący w gwiazdę Stanisława Leszczyńskiego,

a więc stojący po stronie szczęśliwszego Augusta, dbający jedynie o własny interes i o udzielność swojej władzy hetmańskiej, na dobro kraju skończenie obojętny. Hetmanem w. lit., po usuniętym Kazimierzu Sapieże, jest Ludwik Pociej, kreatura Piotra W., zupełnie we wszystkiem mu uległy. Hetmanem polnym litewskim, a co ważniejsza, także marszałkiem konfederacji sandomierskiej, jest Stanisław Denhoff, interesowny zausznik Augusta II, bez źdźbła poczucia obowiązku dla kraju, szukający jedynie karjery i zysku osobistego. Można rodzina Potockich, nie chcąc się narazić ani jednej, ani drugiej stronie, długo pozostaje widzem obojętnym zawieruchy domowej, i dopiero elekcja ich krewnego, Stanisława Leszczyńskiego, przerzuca ich do obozu przeciwnego Augustowi II.

Galerji wszystkich tych możnowładców, coraz obojętniejszych na dobro ogólne, coraz zazdrośniejszych o własne wyniesienie się, zwalczających się wzajemnie z coraz większą zaciętością, nie będziemy tu przedstawiać. Ale i tych przykładów dość, by przyznać, że wszystkie uchybienia i zbrodnie Augusta II, króla-cudzoziemca, są niczem w porównaniu z obojętnością i brakiem patrjotyzmu u tego stanu w Polsce, który, jak pasorzyt, wybujał na chorem ciele Rzpltej. A ciemnota i krótkowidztwo szlachty! Górującem jej uczuciem jest dbałość o swój byt materjalny, nadwerężony przez przemarsze wojsk saskich, szwedzkich i rosyjskich; wszystkie motywy inne, a zwłaszcza motywy natury wznioślejszej, odgrywają rolę zupełnie podrzędną. Ale zato tamten motyw kardynalny pcha ślepą szlachtę do takich ostateczności, jak wezwanie przez konfederację tarnogrodzką w r. 1716 do walki przeciwko własnemu królowi cara rosyjskiego, i prawie zupełne zwinięcie siły zbrojnej Rzpltej na sejmie «niemym» w r. 1717.

Napróżnobyśmy szukali w elekcji Stanisława Leszczyńskiego wyższych, lepszych motywów. Kaprys i nakaz zwycięskiego Karola XII stał się prawem, ale nikogo nie zentuzjazmował dla króla-rodaka. Wszyscy, a w tej liczbie najbliżsi stronnicy króla Stanisława, nie łudzili się co do jego zupełnej nieudolności i nicości. Uczciwy i miły, jako człowiek prywatny, był najzupełniejszem zerem politycznem, pionkiem w ręku naprzód Karola XII, później chcących za niego rzą-

dzić własnych stronników, wkońcu ministrów swego wypadkowego zięcia, Ludwika XV.

Do r. 1717, do końca smutnej pamięci konfederacji tarnogrodzkiej, August II kołysał się jeszcze nadzieją zreformowania Rzpltej, umocnienia swej władzy królewskiej, zaprowadzenia dziedziczności tronu. Od tego czasu nadzieja ta ginie. Tak samolubna oligarchja magnacka jak też rzesze ciemnej szlachty niedwuznacznie dowiodły swej niechęci do wszelkich zmian w życiu publicznem, swej nienawiści do własnego króla, swego serwilizmu wobec obcych. Takie doświadczenia mogły ostudzić nawet uczucia najserdeczniejsze, a cóż mówić o uczuciach egoistycznych, któremi kierował się August II, choć chciał je pogodzić z dobrem Polski? Odtrącony brutalnie, król cudzoziemiec zmienia swe dotychczasowe uczucia pewnej solidarności z narodem na pogardę i na chęć wyzyskania Polski, jedynie dla swoich własnych widoków.

Ale nawet i w tej fazie panowania Augusta II, fazie zniechęcenia i często złej woli króla, mogła była Polska jeszcze wyciągnąć zeń pewien pożytek, gdyby jej klasy rządzące kierowały się choć trochę względami na dobro kraju i najelementarniejszym zmysłem politycznym. W r. 1719 August doprowadził do skutku przymierze z Austrją; syn jego, przyszły August III (od r. 1712 ukryty, od r. 1717 jawny katolik) zaślubia arcyksiężniczkę Marję Józefę. Chodziło Augustowi o wyzwolenie się od groźnej już i wciąż rosnącej przewagi Rosji. Czy rozumieli to panowie i szlachta? Faktem jest, że niweczą te zbawienne usiłowania swego króla i dopomagają ambasadorowi rosyjskiemu, Dołgorukiemu do zerwania dwóch sejmów w r. 1720. August II potrafił jeszcze bronić swego majestatu i postarał się o odwołanie Dołgorukiego, ale jakież mógł on żywić uczucia dla narodu, który własnemi rękami, systematycznie kopał grób dla swej niezależności, a godność swą i całą przyszłość podporządkowywał małostkowemu i zaślepiającemu uczuciu nienawiści?...

W tym samym czasie August II zbliża do siebie, za pośrednictwem Fleminga, trzech najwybitniejszych ludzi Polski ówczesnej: Stanisława Poniatowskiego i dwóch braci Czartoryskich, trzy filary przyszłej «familji». Nie wierząc już jednak w zreformowanie Polski, stara się tylko o zapewnienie tronu Rzpltej swemu synowi. Poniatowski i Czartoryscy wydają

Augustowi II w tej sprawie piśmienne zobowiązanie. Sami, tak w celach osobistych, jak też z szerszą myślą o służbie publicznej, dążą do zajęcia najwyższych stanowisk. Ale tu natrafiają na groźną przeszkodę — zazdrosną, ślepą i nieubłaganą opozycję ze strony dawniejszych oligarchów, głównie Potockich i Wiśniowieckich.

Zaczyna się walka namiętna, ale nie o te lub inne programy polityczne, tylko o — buławy. O tę «walkę o buławy» rozbijają się sejmy 1729, 1730 i 1732 r.

Na początku stycznia 1733 r., schorzały, opuchnięty i ostatecznie rozczarowany do Polaków August II wlecze się znów z Saksonji do Polski na sejm nadzwyczajny, zwołany na skutek przedstawień Poniatowskiego i Czartoryskich, dla nowej próby złamania opozycji. Na popasie, niedaleko już granicy polskiej, w Krossen[1]) spotkał się August II z ministrem i powiernikiem króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma, Grumbkowem, i wśród pijatyki wywnętrzał się przed nim ze swego «Grand Dessein», t. j. z projektu połączenia Polski z Saksonją, wzamian za oddanie Prusom Prus Królewskich, a Rosji Białej Rusi; skarżąc się na Polaków, oświadczał, że «syn mój niezdolny jest przenieść tego wszystkiego, com ja wycierpiał w ciągu tych lat trzydziestu». Z temi myślami pojechał na sejm do Warszawy i tam w trzy tygodnie później, zachorowawszy obłożnie, wśród mąk okropnych i przekleństw pod adresem zebranych magnatów, ducha wyzionął dn. 1 lutego 1733 r. Marszałek Sejmu, Ożarowski, zawiadamiając izbę poselską o śmierci królewskiej, w duchu ówczesnego napuszystego i obłudnego krasomostwa, wołał patetycznie: «Przestał żyć łaskawy August, prawdziwy ojciec ojczyzny!»...

Zaczęły się swary i zagryzania się magnatów, ale prymasowi Teodorowi Potockiemu udało się przekonać większość, że najlepszym królem będzie ten, którego nicość zupełna doskonale była wszystkim znana, krewny Potockich, dawny król-efemeryda, Stanisław Leszczyński. Wkrótce też pojawiło się pismo agitacyjne Leszczyńskiego (ale pióra zdaje

[1]) Krossen — miasteczko nad Odrą w rejencji frankfurckiej.

się nie jego, jeno dwóch Załuskich i Solignac'a), p. t. «Głos wolny, wolność ubezpieczający».

Po długich walkach i intrygach, 12 września 1733 r. dokonana została liczna i zgodna elekcja Stanisława Leszczyńskiego. Ale już 5 października 1733 r. pod egidą bagnetów rosyjskich obrany został drugi król, August III. Ten ostatni się utrzymał, i słusznie, gdyż naród dobrowolnie zrzekł się już oddawna swej samodzielności; medjator, wezwany przez naród polski w r. 1716 z nienawiści do bądź co bądź chcącego wyzwolić się z cudzych szponów pierwszego króla Sasa, dziś sam wprowadzał na tron Rzpltej drugiego Sasa, ale już pod warunkiem zupełnej zależności od Rosji.

A jednak także za Augusta III mogli jeszcze Polacy zerwać narzucone im pęta. Wprawdzie syn nie miał zalet ojca, był ospały, apatyczny, często wprost bezmyślny, nieprzystępny, zdający wszystko na ministrów, ale zato nie miał także wad ojcowskich, był człowiekiem prawym, obyczajów czystych, dobrym, wspaniałomyślnym, z poczuciem swej godności monarszej. Jeżeli po polsku, jak i ojciec, nie rozumiał, to to bezwątpienia źle świadczyło tak o nim, jak też o ojcu, ale chyba jeszcze gorzej o ówczesnych Polakach, którzy nie dbali o polskość swej rodziny królewskiej.

Świadomy swych ograniczonych zdolności umysłowych, August III był małomówny i nietowarzyski, ożywiał się dopiero wśród swych trefnisiów, w teatrze, lub na polowaniu, był czuły na uniżoność i pochlebstwo, lubił przepych zewnętrzny, ale wady te łagodzone były wrodzoną, choć ospałą szlachetnością. Był dewotem, zwłaszcza że tę dewocję podtrzymywała w nim królowa, chcąca w ten sposób uchronić go od pokus światowych, którym w pewnej mierze ulegał — podobno pozostawał w zbyt serdecznych stosunkach z hr. Sułkowską, żoną swego faworyta i pierwszego ministra, ale Marja Józefa wcześnie to spostrzegła i dopomogła do usunięcia Sułkowskiego. Na jego miejsce pierwszym ministrem został Henryk Brühl.

Choć Brühl dzielił swą władzę przy królu z królową, ze spowiednikiem królestwa, księdzem Guarinim i in., nazewnątrz jednak występował jako wszechwładny minister nietylko w sprawach saskich, ale także polskich. Dlatego wpływ jego na sprawy Rzpltej był ogromny, zwłaszcza, że, jak wiemy,

wszystkie wyższe urzędy Rzpltej stały się już oddawna raczej synekurami honorowemi, a władza królewska, choć bezwładna w sprawach państwowych, miała w swem rozporządzeniu rozdawnictwo licznych dygnitarskich beneficjów państwowych, stanowiących t. zw. «łaski» królewskie.

I znów, jak poprzednio, z powodu «machjawelizmu» Augusta II, powinniśmy także tu podkreślić przesadę, z którą współcześni i potomni zwalali winę za niedojście reform w Polsce za panowania Augusta III na «bezmyślność» królewską i «niesumienność» w postępowaniu Brühla. Sąd taki nie da się utrzymać!

Niezaprzeczenie Brühl był, jako człowiek i mąż stanu, bardzo daleki od doskonałości; umysł poziomy, charakter nędzny, partner w subtelnej grze dyplomatycznej niskiej próby, człowiek małostkowo ambitny, pyszny wobec niższych, wobec siły płaszczący się, w obietnicach nierzetelny, chciwy, na wielką skalę przekupny, bez jakichbądź wyższych celów i ideałów bądź ludzkich, bądź państwowych. Ale pomimo to wszystko, a poniekąd właśnie dlatego, mógł on być narzędziem w ręku reformatorów polskich, gdyby ci mieli na widoku nie korzyści osobiste, ale dobro publiczne.

Nie sztuka być politykiem wśród okoliczności łatwych i warunków sprzyjających. Wielkość męża stanu zależy właśnie od przystosowania się do warunków chwili, do ludzi będących na widowni publicznej, od opanowania biegu wypadków i ich wykorzystania dla dopięcia zamierzonego celu. Niedość więc mieć program polityczny; należy umieć w czyn go wprowadzić, a do tego potrzebna jest umiejętność korzystania nie z jakichś warunków wymarzonych, ale z tych, które realnie w danej chwili istnieją, lub stworzone być mogą.

Nie o to więc pytać będziemy, mając na myśli naszych polityków polskich z czasów saskich, czy August II i Fleming, August III i Brühl pomagali im w ich dążeniach reformistycznych, ale o to, czy im te dążenia uniemożliwili.

Otóż w tym względzie należy stwierdzić z całą stanowczością, że rządy Augusta III i Brühla nietylko nie stawały na przeszkodzie dziełu reformy, lecz owszem obaj chcieli do niej rękę przyłożyć, chociaż — nie za darmo. August III oczywiście pragnął utwierdzenia w Polsce swej dynastji, Brühl potrzebował zaszczytów, korzyści materjalnych, schlebiania jego

małostkowej ambicji. Zamiast liczyć się z temi wymaganiami i stanąć w ten sposób na gruncie realnym, politycy polscy z czasów Augusta III, przez brak tak zmysłu politycznego, jak też patrjotyzmu, woleli prowadzić z Augustem III i Brühlem wojnę małostkową i jednocześnie, w sprawach państwowych największej wagi, bądź stawać w opozycji ze względów osobistych, lub stronniczych, bądź budować zamki na lodzie, tworząc projekty nierealne do fantastyczności i dla ich wykonania szukając poparcia nie u czynników narodowych, ale u obcych, u wrogów.

Elekcja Augusta III była niezaprzeczenie aktem przemocy postronnej, głównie Rosji. Ale sprawa Leszczyńskiego upadła. Upadła z winy zapewne także Francji, ale przedewszystkiem z winy «domowej czeladki», która w osobie obranego króla swej samodzielności obronić nie chciała; zabawiła się tylko w ruchawkę i w konfederację dzikowską. Leszczyński zrzekł się korony, i August III uznany został królem przez całą Polskę. W r. 1736 odbył się sejm pacyfikacyjny, a najwyższe godności w Rzpltej rozdane zostały między stronników obu obozów. Można było liczyć, że odtąd życie publiczne ułoży się spokojnie, i że król i naród zgodnie dążyć będą do zaprowadzenia ładu w Polsce.

Ale nie tak myśleli magnaci. Wspólnie pracować było dla nich rzeczą niepodobną, walka domowa i wzajemne zawiści stały się ich potrzebą fizyczną, ich racją stanu. Świeżo mianowany hetmanem w. kor. Józef Potocki nie tracił czasu i zaraz zaczął jakieś konszachty konspiracyjne, dochodzące do projektów detronizacyjnych. Powoli, pod jego i Tarłów przewództwem, tworzy się stronnictwo malkontentów, zrażonych do dworu nietyle za jego serwilizm względem Rosji, ile za pogodzenie się w r. 1738 ze Stanisławem Poniatowskim i Czartoryskimi. Stronnictwo to, t. zw. «republikantów», wciąż zajęte jest projektami zawiązania konfederacji, oczywiście przy pomocy obcej, t. j. Turcji, Szwecji, Francji i Prus. Programu pozytywnego nie posiada, negatywny wystarcza: obalić za wszelką cenę nienawistną «familję», jeżeli można, obalić także króla.

Tymczasem król, rządzony przez Brühla, wspierany przez «familję», dąży do pewnych reform w Polsce, przedewszystkiem dotyczących rzeczy najelementarniejszych i najkonieczniejszych: aukcji, t. j. powiększenia wojska, zasilenia skarbu, poprawy wymiaru sprawiedliwości. Ale już sejmy 1738 i 1740, dzięki intrygom malkontentów, rozeszły się na niczem.

Następują najważniejsze sejmy za panowania Augusta III, sejmy 1744, 1746 i 1748 r. Wszystkie trzy także spełzły na niczem, a wszystkie, a zwłaszcza sejm z r. 1744, miały warunki daleko przyjaźniejsze od spóźnionego sejmu Czteroletniego dla dokonania w Polsce reform, bez wywołania interwencji zagranicznej. Były to czasy wojen o sukcesją austrjacką, i Austrji, Rosji i Anglji zależało bardzo na tem, aby uzbroić także Rzpltą przeciwko Prusom, wspieranym wówczas jeszcze przez Francję. Ale wszystkie starania dworu polskiego rozbiły się o bezmyślną opozycję stronnictwa republikantów, t. j. właściwie rodzin Potockich, Tarłów i Jabłonowskich, a także poszczególnych członków rodzin Lubomirskich, Radziwiłłów i Sapiehów; wszyscy oni z nienawiści do króla Sasa, a przedewszystkiem do «familji», udaremnili wszelkie reformy i szli na lep różnych obietnic Prus i Francji, które, nie chcąc dopuścić do aukcji wojska, przeznaczonego do walki z niemi, zmuszone były przez wzgląd na własne bezpieczeństwo wichrzyć w Polsce. Nie na Prusy więc lub na Francję spadać powinna główna wina niedojścia reform w tych latach 1744, 1746 i 1748, ale w pierwszym rzędzie na możnowładców polskich, którzy przez dumę, zazdrość, względy osobiste i zaciekłość partyjną posuwali swą opozycję względem dworu i przeciwnego stronnictwa do zaprzepaszczenia najistotniejszych potrzeb państwowych.

Jako przykład «orjentacji» opozycyjnego stronnictwa republikantów niech służy zachowanie się ich w stosunku do Prus. Stosunek ten uzależniali oni od stosunku Prus do Augusta III, gdyż dla republikantów każdy wróg ich króla był ich przyjacielem, a każdy przyjaciel ich wrogiem. Otóż do r. 1741 Fryderyk II był w złych stosunkach z Augustem III, a więc był uwielbiany przez republikantów; ale skoro w tym roku między Augustem III i Fryderykiem stanął traktat przymierza, republikanci odsunęli się od niego i zaczęli głosić o niebezpieczeństwie polityki Fryderyka II dla Rzpltej. Tymczasem przyjaźń Augusta III z Fryderykem II prysła już w roku 1742. Natychmiast mądre głowy opozycji republikańskiej na-

kazały zmianę frontu. «Skoro mądry Prusak [1]) zawiódł elektora saskiego, będącego przypadkiem królem polskim, skoro oszukał Brühla, a Poniatowskiego wystrychnął na dudka — w oczach republikantów dość było tych tytułów zasługi, ażeby mu wybaczyć, iż odmówił pruskiego hołdu, iż usadowił się na Śląsku, iż zagrażał całości Rzpltej. Z chwilą, gdy dwór zawarł pokój z Austrją i odsunął się od koalicji antypragmatycznej, dawni konfederaci dzikowscy, dotychczas bardzo zakłopotani przez niespodzianą przyjaźń prusko-sasko-francuską, odetchnęli swobodniej. Teraz mogli po staremu szukać opieki pruskiej, francuskiej, szwedzkiej, tureckiej, mogli wydobyć raz jeszcze swoje wieczne projekty konfederackie».

Że także «familja» kierowała się nietyle względami na dobro publiczne, ile duchem nietolerancji i interesem osobistym, dała tego dowód już wkrótce, gdy stanowisko jej u dworu zostało zachwiane; na czoło partji dworskiej i na pośrednika w rozdawnictwie łask królewskich wysunął się po zaślubieniu córki Brühla — Jerzy Mniszech, marszałek nadworny kor. Było to dosyć, aby Czartoryscy przeszli do opozycji. Zaraz wzmocnili ją przez wspólnictwo w rozdrapaniu ordynacji ostrogskiej, przenieśli walkę z dworem do trybunałów, zrywali odtąd wszystkie sejmy. Brühlowi, którego sami sztucznie wykierowali na trybunale Piotrkowskim 1748 r. na indygenę polskiego (Bryla Ocieskiego), teraz szlachectwo to zaprzeczyli i na tem tle wywołają bezprzykładną awanturę na sejmie 1762 r.; paraliżowali wszystkie, choćby nawet zbawienne zamierzenia dworu, wreszcie, opierając się na obłudnej życzliwości Katarzyny II dla jej ex-kochanka Stanisława Poniatowskiego, powzięli zamiar detronizacji króla i zdobycia korony dla samych siebie i w tym obłędzie, tracąc już wszelką miarę, oddadzą «bez zastrzeżeń» siebie, swoje górne projekty reformacyjne i całą przyszłość Polski — w ręce Rosji.

Tu miejsce zatrzymać się bliżej nad sprawą reform w Polsce w w. XVIII wogóle. Trzeba zaznaczyć odrazu, że była to sprawa, tak ze względu na stosunki wewnętrzne w Pol-

[1]) Askenazy: «Dwa stulecia», tom I, str. 199.

sce, jak też z powodu przeszkód z zagranicy, arcytrudna. Wymagała tak liczenia się z uprzedzeniami własnego społeczeństwa i złą wolą jednostek, jak też skorzystania z odpowiedniej chwili; wymagała rozumu w koncepcji, sztuki w wykonaniu.

Rzplta polska wieku XVIII była w Europie anachronizmem, społecznością średniowieczną, pozbawioną rządu, bezbronną, rozgrodzoną na wszystkie strony; miała chorobliwą strukturę społeczną, przy potwornej ilości uprzywilejowanej szlachty, prowadzonej na pasku przez zdegenerowane możnowładztwo, brakowało jej stanu trzeciego, brakowało życiodajnego ścierania się sił społecznych. Jednocześnie ze wszech stron została otoczona przez potężne, silne organizmy państwowe: starodawną, ale zreformowaną monarchję Habsburgów, ogromną, powołaną do życia europejskiego genjalną ręką Piotra W. Rosję i, choć małe jeszcze, ale uzbrojone od stóp do głowy, zaborcze i wciąż potężniejące Prusy. A w tem sąsiedztwie, gdy się w nie lepiej wpatrzymy, dostrzeżemy nietylko groźne potęgi państwowe, ale co ważniejsza, dwa najliczniejsze narody europejskie, rosyjski i niemiecki. Narody te napierają ze wschodu i zachodu na wątłe ściany Rzpltej, zamieszkanej nie przez jeden naród polski, lecz (nie licząc nielicznych Litwinów i Żydów) ze wschodu — przez plemiona ruskie, bliżej spokrewnione z Rosją, niż z Polską, z zachodu w wielkich miastach i w części Prus Królewskich — przez żywioł niemiecki. Ale nie na tem koniec. Z dwoma temi najliczniejszemi narodami europejskiemi nieliczny naród polski nietylko sąsiaduje, ale z każdym w inny sposób jest jednocześnie i spokrewniony i rozdzielony: narody rosyjski i polski łączy wspólne pochodzenie słowiańskie — dzieli cywilizacja odmienna, u Rosjan wschodnia, u Polaków zachodnia; Niemców i Polaków dzieli różnica plemienna — łączy wspólność cywilizacyjna. Polska stoi nietylko pośrodku dwóch najliczniejszych narodów, ale stoi na granicy dwóch światów, świata wschodnio-słowiańskiego, bizantyńskiego i świata zachodnio-europejskiego. A wpływ tych dwóch światów działać odtąd będzie nietylko na ukształtowanie się polityczne narodu polskiego, ale także na jego psychikę, na jego duszę narodową. Gdy Niemiec dążyć będzie do politycznego i ekonomicznego ujarzmienia Polski, jednocześnie do duszy narodowej polskiej

o ideałach zachodnio-europejskich wsączać się będzie ze wschodu cywilizacja inna, odmienna, wyhodowana na wzorach wschodnich, bizantyńskich. W tem istnieniu narodu polskiego, w samym środku krzyżowania się wpływów tych dwóch światów tak sobie różnych, tkwi ogromna trudność naszego bytu, nasza tragedja porozbiorowa.

Oczywiście na początku XVIII w. zaznaczona groza położenia Polski nie była tak bijącą w oczy, aby mogła decydować o polityce Rzpltej. Wszak dziś jeszcze, po tylu próbach i klęskach, nawet zawodowi politycy lekceważą sobie różnice cywilizacyjne.

Ale jeżeli nie mogło być mowy o przeczuciu grozy przyszłości, to świadomość niebezpieczeństwa doraźnego nie była zupełnie obcą społeczności szlacheckiej czasów saskich; owszem rozumiano i uznawano potrzebę reform i obrony swej samodzielności. Tylko ograniczano się w tem do rzeczy najelementarniejszych, najoczywistszych, t. j. do podniesienia siły zbrojnej, zasilenia skarbu, poprawy trybunałów. Te reformy, jeżeli nie przyszły do skutku, wina to wyłącznie magnaterji, która, zamiast myśleć o potrzebach publicznych, zagryzała się nawzajem i deprawowała zależną od niej szlachtę.

Natomiast nie było świadomości potrzeby poprawy samego ustroju państwowego i reform społecznych. Za czasów saskich świadomość ta była udziałem zaledwie garstki ludzi wybitnych, a na ich czele stali: powiernik Augusta II, Jakób Henryk Fleming, Stanisław Poniatowski, a w większym jeszcze stopniu Czartoryscy, Załuscy, Konarski. Wszyscy oni uznawali potrzebę skasowania liberum veto, wzmocnienia władzy królewskiej, zaprowadzenia dziedziczności tronu, upodobnienia Polski do innych państw europejskich, zaprowadzenia oświaty, podniesienia miast, handlu i przemysłu. Ale wykonanie tego wszystkiego przedstawiało ogromne trudności tak z powodu braku wszelkiego rządu w Polsce i wszelkiej przeciwwagi w innych stanach względem swawoli szlacheckiej, a zwłaszcza magnackiej, jak też ze względu na intrygi mocarstw zagranicznych.

A jednak zadanie było wykonalnem. Należy nam tu wyjaśnić i wskazać, jaką drogą; dopiero, gdy to sobie wyjaśnimy, przedstawi się nam w świetle właściwem prawdziwa wartość

prób podejmowanych w celu odrodzenia Polski tak przez Augusta II, jak też przez «familję» Czartoryskich.

Ustrój Rzpltej, skutkiem długoletniego procesu dziejowego, wynikłego ze zniszczenia równowagi stanów, był anomalją, która weszła jednak w krew i życie narodu i nadała mu fizjonomję wybitnie indywidualną. To, czego dokonały wieki, nie mogło być zmienione przez wielki jednorazowy zamach stanu; do tego potrzeba było reform stopniowych, opartych, w miarę potrzeby, choćby na całym szeregu małych zamachów stanu.

Przedewszystkiem należało przygotować masy szlacheckie do przyjęcia i zrozumienia potrzeby reform. Należało więc nie ograniczać się do konszachtów wśród samej magnaterji, ale sięgnąć głębiej i stopniowo słowem i przykładem siać ziarno postępu wśród najszerszych warstw narodu.

Należało stopniowo podnosić oświatę, pilnować dobrego wymiaru sprawiedliwości, zaprowadzać pewien porządek administracyjny, reorganizować istniejące wojsko, podnosić wydajność dochodów skarbowych. Nie kasując starych urzędów, które stały się często tylko godnościami bez władzy istotnej, należało w dalszym ciągu je bagatelizować i poniżać (rozdając je np. z ograniczeniami co do nieusuwalności i prerogatyw), a obok nich tworzyć nowe urzędy ze skromnemi nazwami, ale z władzą istotną, jak to czyniono we Francji w w. XVII. Należało pilnować wykonywania praw, nie będących w przeciwieństwie z zamierzoną reformą, przyzwyczajać naród do porządku i posłuchu władzy państwowej. Sejmy, oparte na liberum veto, należało niemiłosiernie zrywać i w ten sposób samą zasadę jednomyślności doprowadzić do absurdu; natomiast zwoływać narady wszelkiego rodzaju i przez nie z jednej strony wytwarzać opinję publiczną, a z drugiej dowiadywać się o potrzebach ludności.

Wobec nieuchwalania podatków przez sejmy, należało czas pewien rządzić bez podatków i w tym celu korzystać z dochodów nierozdanych starostw, a także kaduków i różnych konfiskat; konfiskaty stosować na wielką skalę, do czego istniejące prawo dawało zupełną możność. Krzyki na takie administrowanie starostwami należało łagodzić tłumaczeniem się na naradach koniecznością państwową, wskazywaniem na poczynione z tego źródła pożyteczne dla ogółu wydatki, wresz-

cie zjednywaniem sobie krzykaczy przez urzędy i inne largicje rządowe.

Wobec zaciętej rywalizacji możnowładztwa, należało z niej korzystać, malkontentów za wszelkie spiskowanie oddawać pod sąd, pozbawiać mienia i urzędów; urzędy i dostojeństwa demokratyzować, wielkie rody poniżać, a nowych ludzi promować i na nich się opierać.

Wszystko to pachnie machjawelizmem, ale machjawelizm ten, usuwając tylko wiekowe nadużycia, prowadził do odrodzenia społeczeństwa i przygotowania zmiany ustroju Rzpltej. Przy systematycznej pracy w tym kierunku, choćby w przeciągu jednego panowania, reforma Rzpltej mogła była rzeczywiście być dokonaną.

Przeszkadzały jej dwory zagraniczne. Ale bywały chwile, gdy stosunki zewnętrzne składały się dla Polski korzystnie, i oporu sąsiadów można było się nie obawiać. Polska za Sasów mogła się oprzeć na Saksonji, na jej stosunkach, na jej wojsku; mała Saksonja nie mogła być groźną dla Rzpltej, nie tak jak potężne państwa sąsiednie, ale była bądź co bądź państwem, z którem się w Europie liczono. Należało tylko prowadzić rozumną politykę zagraniczną, wytworzyć aparat dyplomatyczny, choćby pozasejmowy, i lawirować wśród rywalizujących z sobą mocarstw europejskich.

Gdyby jednak, pomimo całej czujności, interwencja zagraniczna stawała się groźną, lepiej było dopuścić nawet do pewnych ofiar terytorjalnych, a natomiast w żadnym razie nie pozwalać na wtrącanie się państwa cudzoziemskiego do stosunków wewnętrznych. Wszelkie konszachty magnaterji i szlachty z dworami zagranicznemi należało bez miłosierdzia karać i unicestwiać.

Fakt chwilowego połączenia w jednym ręku wielkiej i nierządnej Rzpltej z małą ale rządną Saksonją należało politykom polskim wyzyskać. Zapewne Saksonja, jako państewko niemieckie, nie mogła się stać Piemontem polskim, i połączenie to na długą metę przedstawiało wszystkie niedogodności, wynikające z wszelkich unij osobistych, ale Polska mogła sobie wytworzyć własną dynastję saską, przeznaczając na tron jednego z młodszych synów Augusta III, a w sprawie zaprowadzenia ładu z Rzpltej można było śmiało oprzeć się właśnie na Saksonji, jako na państewku małem

i dalekiem od zaborczości, a nie na potężnych sąsiadach, którzy tylko czyhali na zdobycze.

Zamiast te korzyści ocenić, politycy polscy czasów saskich Saksonję albo lekceważyli, przenosząc nad nią Austrję, Francję, Rosję i Prusy, albo wprost ją zwalczali, jako narzędzie ucisku i tyranji. Republikanci wciąż liczyli na Francję, która dawno przeszła nad Polską do porządku dziennego, lub na Prusy, o ile te były skłócone z Saksonją, a Czartoryscy, nie mogąc sobie dać rady z Brühlem, sprowadzili na kraj — Repninów i Stackelbergów!...

Aby teraz zrozumieć, dlaczego reformy w Polsce za czasów saskich nie zostały dokonane, należy stwierdzić, że tak August II jak też Czartoryscy pojmowali swe zadanie zbyt mechanicznie i powierzchownie, chcieli budować na piasku, bez przygotowania fundamentów, nie wykazali ani dość rozumu politycznego, ani ofiarności na ołtarzu dobra publicznego. Wina Augusta II jest bardziej zrozumiałą — był on dla Polski właściwie obcym, zachowanie się Polaków nie mogło go do nich przywiązać, nie odczuwał psychiki polskiej, jak matka fałszywa na sądzie Salomona, zgadzał się łatwo na porąbanie dziecka. Ale magnaterja polska — ale ci wśród niej, którzy stawali na czele zwalczających się stronnictw krajowych, ale tak okrzyczani jako mężowie stanu Czartoryscy?... Na nich wszystkich ciąży przedewszystkiem śmiertelny grzech wielu nawet wybitnych Polaków — pycha, zaciemniająca zdolność analizy i powodująca brak ofiarności prawdziwej dla dobra publicznego; pycha tem niebezpieczeniejsza, jak mówi Kalinka, że nie wyklucza miłości ojczyzny, że kieruje ludźmi, którzy dla kraju gotowi są poświęcić swoje imię, spokój, majątek i nawet życie, ale jednocześnie także kraj gotowi zaprzepaścić, byle nie urazić swego ja, swej własnej ambicji; pysznić się będzie taki Polak nietylko z rodu i majątku, ale też z rozumu i talentów, nie ścierpi żadnej nad sobą wyższości, będzie dla swoich nieprzystępnym i twardym, całą swą giętkość i potulność aż do skrajnego serwilizmu pozostawiając — dla obcych!...

U Potockich, jak mówi Askenazy, duma jest cechą przysłowiową. Duma taka, a właściwie pycha, żarła za czasów saskich prymasa Teodora i hetmana Józefa, jak później zatruje koniec życia Franciszka-Salezego i Szczęsnego. Pycha ta zro-

dziła nieufność Potockich do Stanisława Poniatowskiego i Czartoryskich, zaćmiła ich umysł, pchała do opozycji bezwzględnej, do robót rokoszowych, uniemożliwiała wszelką zgodę w imię dobra publicznego.

Nie lepsi byli Czartoryscy. I oni byli dumni, zacięci, mściwi, zazdroszczący znienawidzonemu «Potoctwu» bogactw i znaczenia, niezdolni dla dobra kraju ustąpić w czemkolwiek przeciwnikom, zrobić bodaj krok ku pogodzeniu zwaśnionych rodzin, dumę swą złożyć w ofierze ojczyźnie.

A Tarłowie, Wiśniowieccy, Branicki, Lubomirscy, Mniszech, Radziwiłłowie i tylu innych? Wszystko to nadęte pychą niezmierną, przejęte wielkością swego rodu i stanowiska, skłócone między sobą, ale w pewnych chwilach godzące się z wspólnej nienawiści do «familji», dobro publiczne traktujące pod kątem osobistego interesu, albo chwilowego humoru.

Z dumą dla swoich łączył się serwilizm dla obcych; wywoływał on wprost zdziwienie u cudzoziemców. Oto co pisał np. rezydent francuski, Hennin, do jednego z kierowników polityki sekretnej Ludwika XV, Terciera: «Jak może ze swobody powstać takie zbydlęcenie? Ci ludzie drżą lub jęczą na chłodno, gdy tymczasem każdy tutaj cudzoziemiec wpada w wściekłość, widząc, jak pozwala siebie traktować wolny naród».

Drugą cechą całej tej potężnej magnaterji polskiej czasów saskich, z wyjątkiem jedynie członków «familji», jest, obok nierzadkiej zewnętrznej ogłady towarzyskiej, zupełne zacofanie umysłowe, odzwyczajenie się od myślenia i działania politycznego na szerszą skalę, niezdolność do jakiejkolwiekbądź pracy twórczej i koncepcji głębszej, zupełny zanik zmysłu politycznego i godności narodowej.

Jedna «familja» miała rozum. Ale tego rozumu nie należy przeceniać. Daleko mu nietylko do genjuszu, któryby rozświecił te mroczne czasy, ale nawet do objęcia całości zawiłych i skłębionych stosunków ówczesnych, do wzniesienia się ponad codzienne swary i poswarki. Rozum ten zamroczony jest żądzą wyniesienia się osobistego, dumą, nie uznającą krytyki, nienawiścią do przeciwników, brakiem ofiarności ze swego «ja», małą wiarą we własny naród, zbytkiem zaufania w siłę brutalną pomocy obcej.

Nie! Magnaterja polska w. XVIII, nie wyłączając Czartoryskich, nie była już w stanie przeprowadzić sprawy reform. Sprawa ta musiała czekać. A przygotowaniem jej zajął się nie magnat, nie pan, nie wysoki urzędnik Rzpltej, ale skromny pracownik z umysłem prawdziwie wyższym i szczerą miłością ojczyzny — ksiądz Stanisław Konarski, o którym tu wspomnieć musimy, aby wykazać, jaką powinna była być za czasów saskich prawdziwa praca reformatorska.

Pochodził z szlacheckiej rodziny herbu Gryf [1]), której członkowie, przyjąwszy w w. XVI kalwinizm, trwali w nim długo i przez to utrudnili sobie drogę do krescytywy i znaczenia. Ojciec Stanisława, Jerzy, miecznik inowrocławski, właściciel Zarczyc, w dzisiejszym powiecie jędrzejowskim w kieleckiem, żonaty był z Heleną Czermińską, córką Łukasza, kasztelana zawichostskiego, i Zofji z Tarłów; miał z nią dwie córki i dziewięciu synów, z których trzej wstąpili do zakonu pijarów, a z nich najmłodszy, urodzony w r. 1700 Hieronim Franciszek, w zakonie przyjął imię Stanisława i pod tem imieniem zasłynął w naszych dziejach. Pijarzy zwrócili uwagę na zdolności młodego braciszka i wysłali go na studja do Rzymu, gdzie przebył cztery lata. Później studjował jeszcze w Paryżu i zwiedził znaczną część Europy.

Należąc do rodziny niezamożnej, choć spokrewnionej z Tarłami, Stanisław Konarski, powróciwszy do kraju, został guwernerem nieletnich dzieci Jerzego Lubomirskiego, wojewody sandomierskiego. Wcześnie jednak, obok guwernerki, wdał się w politykę. W r. 1732 dla Stanisława Poniatowskiego, wówczas regimentarza wojsk koronnych, kandydata do wielkiej buławy, napisał pierwszą swą pracę polityczną p. t.: «Rozmowa pewnego ziemianina ze swoim sąsiadem», wydaną anonimowo i mającą na celu wykazanie zasług Poniatowskiego. W pracy tej dowiódł Konarski wielkiej zręczności i daru argumentacji. W roku następnym na początku bezkrólewia napisał dla ambasady saskiej również anonimowe: «Refleksje przyjaciela do przyjaciela», gdzie z wielkim talentem dowodził nieważności przysięgi, złożonej na sejmie konwokacyj-

[1]) Oprócz Konarskich h. Gryf — z nich brat księdza Stanisława, Michał, został w r. 1731 kasztelanem wiślickim, a w r. 1740 kasztelanem sandomierskim, a jego synowie otrzymali w r. 1783 tytuł hrabiowski w Galicji — były jeszcze trzy senatorskie rodziny Konarskich, herbów: Abdank, Ossorja i Lewart.

nym o wykluczeniu od tronu cudzoziemca. Praca ta wywołała popłoch wśród stronników Stanisława Leszczyńskiego, tak, że za staraniem prymasa Teodora Potockiego sąd kapturowy warszawski uznał ją za pamflet zbrodniczy i skazał na spalenie ręką kata.

Ale po elekcji Stanisława Leszczyńskiego Konarski przechodzi do jego obozu i, przyjęty tam dla swych wybitnych zdolności z otwartemi rękami, dodany zostaje posłowi do Paryża, Ożarowskiemu, jako sekretarz. Misja Ożarowskiego nie udała się wcale, ale Konarski miał sposobność poznać dokładnie dwór wersalski i życie polityczne francuskie.

Umysł Konarskiego z biegiem lat potężniał coraz bardziej, a pobudzony wrodzoną miłością ojczyzny, skupił się w dążeniu do służenia swemu krajowi ofiarnością i poświęceniem bez granic. Konarski nie szuka zaszczytów; w czasie późniejszym nie przyjmie ofiarowanej sobie trzykrotnie mitry biskupiej i umrze w r. 1773 jako skromny zakonnik.

Widząc, że upadek Polski przedewszystkiem pochodzi z braku oświaty, Konarski przeprowadził reformę szkół pijarskich i w r. 1740 otworzył w Warszawie konwikt szlachecki («collegium nobilium»). Szkoła ta miała na celu wychować pionierów reformy Rzpltej i dać im nietylko wiedzę, zastosowaną do wymagań epoki, ale też hart do walki z duchem prywaty i zacofaniem mas szlacheckich. Czyniąc tak, Konarski uderzył w sedno rzeczy, budował gmach od fundamentów i nieskończenie skuteczniej przyczynił się do odrodzenia swej ojczyzny, nawet bez pomocy aparatu państwowego, niż to uczynili wszyscy politycy czasów saskich, nie wyłączając Czartoryskich.

W ciągu trzydziestu lat owocnej pracy edukacyjnej, Konarski nie zaślepił się w jednym przedmiocie; pisze także dziełko «O poprawie wymowy», skierowane przeciwko bombastyczności ówczesnego krasomowstwa i makaronizmom mowy, a także oryginalną tragedję polską «Epaminondas», w której przeprowadza zasadę, że «prawo, choćby najświętsze, prawem być przestaje, kiedy szczęściu ojczyzny przeciwnem się staje». Ma tu już na myśli reformę ustroju Rzpltej, a przedewszystkiem walkę z nieszczęsnem «liberum veto».

Walkę tę podejmuje Konarski na wielką skalę w r. 1760. Wtedy wydaje tom pierwszy swego epokowego dzieła: «O skutecznym rad sposobie». Trzy tomy następne ukazały się w odstępach rocznych, tak że całość ukończoną została w r. 1763.

Trzeba było aż czterech dużych tomów, aby zebrać argumenty potrzebne dla udowodnienia zakutym głowom szlacheckim takich prawd elementarnych, jak ta, że żądanie jednomyślności jest absurdem, że zrywanie całego sejmu dla braku jednomyślności w jednym jakimś przedmiocie jest nadużyciem nawet zasady jednomyślności, że anarchja polska nie wolność lecz uciemiężenie przynosi.

Pomimo argumentów, zastosowanych do ciasnych pojęć szlachty ówczesnej, Konarski zapewne nie wszystkich przekonał, wielu nawet oburzył; bądź co bądź jednak tak mocno podminował cały gmach przesądów czasów saskich, że te zmiany na lepsze, które spotkamy w epoce późniejszej, tak samo są jego przedewszystkiem dziełem, jak zapędzenie się na podwórko Repninów i Stackelbergów — dziełem przedewszystkiem nieopatrznej polityki naszych magnatów, a w pierwszym rzędzie najmędrszych wśród nich, reformatorów patentowanych — Czartoryskich.

Bo odrodzenie narodu opierać należało nie na pomocy zagranicy, ale na wierze we własne siły żywotne, i nie na politykowaniu w kierunku najmniejszego oporu, ale owszem na pracy ciężkiej, żmudnej, obliczonej na długie lata.

Projekty reform XVIII w. zwracały się przedewszystkiem do poprawy ustroju państwowego Rzpltej, mniej zaś rozumiano i miano na uwadze poprawienie spaczonej budowy społecznej, wynikłej ze zburzenia równowagi stanów. Jednostronność ta dotyczy przedewszystkiem czasów saskich, t. j. narodzin pomysłów reformy; ale i później, a nawet do czasów najnowszych, myśl polityczna polska nie zdobywała się na uznanie tej prawdy niewątpliwej, że bez zupełnej przebudowy społecznej (niekoniecznie w kierunku jakichś krańcowości) naród polski, bez względu na te lub inne konjunktury polityczne, zawsze będzie organizmem słabym, skazanym na niepowodzenia w walce konkurencyjnej z innemi narodami.

Aby poznać społeczność epoki saskiej, zacznijmy od dołu i przyjrzyjmy się przedewszystkiem tej klasie, o której się

zwykle przy opisie owych czasów nie mówi, a która najpotężniej jednak wypaczyła ustrój społeczny Polski, t. j. od żydów.

Kwestja żydowska za czasów saskich właściwie jeszcze nie istniała. Żydzi, po dawnemu korzystając z zupełnej autonomji narodowej, sami nie kwapili się do udziału w życiu politycznem, nie byli też doń pociągani. Ani Polacy, ani żydzi nie podejrzewali, że stosunek ich wzajemny jest nienormalny, że w kwestji żydowskiej tkwi jądro niemocy polskiej, i że kwestja ta wcześniej czy później stanie się pierwszorzędnem zagadnieniem na ziemiach polskich. Szlachta po dawnemu korzystała z usług żydów, ci po dawnemu, owszem coraz bardziej stawali się pośrednikami w całem życiu ekonomicznem kraju, korzystali z jego małej odporności i rozgospodarowywali się w nim jakby na wieki. Ogólny upadek kraju przyczyniał się do ubóstwa także żydów, ale nie w tym stopniu, co ludności włościańskiej. Gdy do nędzy włościan przyczyniały się także częste w owych czasach marsze i przemarsze wojsk saskich, szwedzkich i rosyjskich, a także fałszerstwa monety, żydzi umieli z tych klęsk ciągnąć znaczne zyski; byli liwerantami wojsk, wykupywali dobrą monetę, a wciskali w rękę chłopa monetę lichą, lub bezwartościową.

Stosunek szlachty do żydów pozostaje po dawnemu pogardliwy do masy, zaufany do osobników, srogi na papierze i w konstytucjach, dziecięco naiwny w rzeczywistości. A gdy na sejmach szlachta dąży do podwyższenia pogłównego żydowskiego, żydzi korzystają, jak i inni, z narzędzia anarchji, jakiem jest zrywanie sejmów, i przyczyniają się do tego niejednokrotnie.

Ilość żydów w Polsce wynosiła około miljona (na 10 miljonów ludności ogólnej). Płacili oni podatek specjalny «pogłówne żydowskie», który pobierano nie bezpośrednio, ale ryczałtem od kahałów. Sejm 1717 r. oznaczył pogłówne żydowskie na 220.000 złp. W r. 1740 proponowano sumę tę znacznie podnieść; aby tego uniknąć, żydzi przyłożyli się do zerwania sejmu. To samo stało się w r. 1744. W ogłoszonem w tym roku bezimiennie przez Stanisława Poniatowskiego piśmie przedsejmowem p. t. «List ziemianina do pewnego przyjaciela z inszego województwa» czytamy o żydach: «Jawno każdemu, jak ten naród, rozmnożony po całem królestwie, szczęśliwszy jest niż nasi mieszczanie i poddani, że dobrze

ktoś napisał: «Polonia Paradisus Judaeorum»; jak wszędzie znajdują protekcje, jak przez swoje sztuki, szalbierstwa, zabiegania, wszystkie handle i sposoby do życia chrześcijanom odjęli, i jak mało płacą Rzpltej...» Autor proponuje powiększyć pogłówne, pobierać je nie ryczałtowo, ale od głowy, i ilość żydów obliczyć. Propozycje te były podzielane przez wielu posłów na sejmie 1744 r., więc żydzi dopomogli do zerwania sejmu.

Wymienione zdanie Poniatowskiego o mieszczanach i włościanach, w słabym tylko stopniu określało ich cierpienia i niedolę. Los ich był bardzo ciężki, a częste przemarsze wojskowe i ogólny upadek kraju w pierwszym rzędzie rujnowały ludność wieśniaczą. O poprawie losu włościan nie myślano; tylko kiedy niekiedy głos jakiś za nimi się odezwał. W tym względzie zasługuje przedewszystkiem na uwagę instrukcja królewska przed sejmem 1744 r. Żądając uchwalenia podatków na aukcję wojska, król prosi sejmiki o «sprawiedliwą a wielką uwagę, aby nie wszystek ciężar zwalić na uboższy lud i zniszczyć poddanych. Już albowiem i teraz ciemiężone publicznemi podatkami i innemi wymyślnemi sposobami poddaństwo ledwie wlecze życie. Nikt niema chrześcijańskiego politowania nad pracującym w pocie czoła rolnikiem, a stąd spustoszenie włości i powszechna w kraju bieda i mizerja następuje». Jednocześnie wspominała instrukcja królewska o konieczności opieki dla miast i handlu. Ale ani sejm 1744 r., ani następne sejmy, jak wiadomo, nie doszły, a szlachta mało była przygotowana do uchwalenia w tym względzie jakichkolwiek ulg dla stanów nieuprzywilejowanych.

Przypatrzmy się teraz szlachcie.

Szlachta czasów saskich była ciemną, niesforną i zależną od magnatów; pomimo to w zasadzie nie była przeciwną aukcji wojska i pewnej korekturze praw — ale, gdy przychodziło do uchwalenia podatków, sobkostwo brało górę, wyszukiwano przeróżne źródła dochodowe, byle nie obarczać siebie samych, a intrygi magnatów i mocarstw zagranicznych łatwo burzyły najlepsze czasem chęci zacofanych posłów sejmowych. O dobrych chęciach większości stronników fatalnej konfederacji tarnogrodzkiej wątpić nie podobna; byli to ludzie przedewszystkiem ciemni. Tak było w w. XVII z kon-

federacją gołąbską, tak będzie za czasów Stanisława Augusta z konfederacją barską, a nawet w pewnym stopniu radomską — akty to przedewszystkiem strasznej ciemnoty i zaślepienia, wybuchy instynktów pierwotnych, chociaż często o podłożu szlachetnem, przejawy patologicznej psychologji nieokrzesanego tłumu. Wszystko to wołało głosem wielkim o oświatę, o oświatę i o oświatę! Ale któż miał iść za tym głosem, skoro przywódcy narodu myśleli tylko o swych korzyściach osobistych i wszelkie reformy państwowe traktowali ze stanowiska własnego interesu partyjnego.

Pomimo zupełnej zależności szlachty od możnowładztwa, pozostaje ona zazdrosną o teoretyczną równość szaraka z magnatem. Jeszcze na sejmie w r. 1690, w pewnej konstytucji o podymnem (Vol. Leg. V. p. 807) użyte zostało wyrażenie «szlachta mniejsza». Wyrażenie to tak uraziło czułe ucho szlacheckie, że w r. 1699 spotykamy specjalną konstytucję p. t. «Zniesienie słowa contra aequalitatem» (Vol. Leg. VI. p. 77) takiej treści (słowa łacińskie tłumaczymy): «Ponieważ przez omyłkę w konstytucji r. 1690 pod tytułem Podymne weszło słowo ujmujące równości, mieniąc mniejszą szlachtę, przeto za zgodą stanów słowo to na zawsze znosimy, przyznając, że w równości mniejszego ani większego nie masz». Szlachta, rozmiłowana w swych wolnościach, fikcję brała za rzeczywistość.

Narówni ze szlachtą pogrążone było w ciemnocie także duchowieństwo świeckie i zakonne; nawet sami jezuici, tak w innych krajach ogładzeni i wykwintni, w Polsce sprościeli i zastosowali się do niskich wymagań umysłowych zniewelowanej społeczności szlacheckiej. Pierwsi ocknęli się dopiero pijarzy z Konarskim na czele, ale narazie był to dopiero wyjątek. Duchowieństwo polskie potrzebowało reformy powszechnej i gruntownej.

A teraz przechodzimy do szczytów «narodu szlacheckiego», do osławionego możnowładztwa czasów saskich. Stosują się do niego uwagi, wypowiedziane w rozdziale poprzednim, tylko w stopniu spotęgowanym. Magnaterja polska żyje w tym okresie dziejów naszych już nie dla państwa, jak w w. XV i XVI; już nie niezależnie od państwa, jak w w. XVII, ale naprawdę — kosztem istnienia Rzpltej.

Ekonomicznie możnowładztwo czasów saskich, jeżeli nie

bezwzględnie, wobec ogólnego upadku dobrobytu w Polsce, to w każdym razie w porównaniu do innych klas społecznych stoi bardzo wysoko. Bo też magnaterja polska w owym czasie, obok dogadzania swej ambicji osobistej i rodowej, zajęta jest tylko pogonią za dobrami materjalnemi. Sprawy publiczne pochłonięte zostały przez sprawy prywatne. I to pochłonięte tak całkowicie, że czytając np. typowe pamiętniki Matuszewicza, otrzymuje się wrażenie, że sprawy publiczne to właściwie takie same sprawy prywatne, tylko w zakresie szerszym, t. j. obejmujące więcej, niż jedną jakąś posiadłość ziemską, a więc powiat cały, województwo, prowincję, wreszcie cały obszar ziemi, zwany — Rzpltą.

Podstawą potęgi materjalnej możnowładztwa jest zawsze wielka własność ziemska, a zwłaszcza latyfundja ukrainne i litewskie. Właściwie początek XVIII w. był czasem powrotu magnatów polskich na Ukrainę i powtórnego jej zagospodarowania, dokonanego znów przez komisarzy, ekonomów i żydów. Opór dawnego kozactwa został złamany, a niezadowolenie miejscowe wyrażało się już jedynie w perjodycznych słabych wybuchach hajdamackich.

Na szeroką skalę dokonywała się znów kolonizacja ludu polskiego na kresy — lud ten szedł na Ukrainę nietylko z Polski etnograficznej, ale także z bliższych województw ruskich, zwłaszcza z Rusi Czerwonej. Na narodowe i kulturalne potrzeby tego ludu panowie polscy byli doskonale obojętni, i w ten sposób chłop polski, osiedlając się na Rusi, podpadał rutenizującemu wpływowi otoczenia i kościoła unickiego. Już w pamiętnikach Adama Moszczeńskiego spotykamy w tym względzie słuszne uwagi: «Żeby w początku ostatniego wieku dziedzice, którzy spadkiem po żonach i przez Kolbuszowską transakcję pobrali majętności w Ukrainie i na Wołyniu, jako to ordynacją ostrogską, dobra po Koniecpolskich, książętach Wiśniowieckich, Zborowskich [1]), Kalinowskich i Wyhowskich, co cały prawie Wołyń i Ukrainę zajmowały prócz starostw, jako to: Lubomirscy, Potoccy, Czartoryscy, Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Jabłonowscy, nadając słobody na osadzenie wsiów na pustych stepach i uroczyskach rozległych, byli fundowali kościoły łacińskie po miasteczkach i wsiach,

[1]) Powinno być: «Zbaraskich».

a nie cerkwie unickie, i te kościoły przyzwoicie uposażali; wtenczas szlachta biedniejsza, przenosząca się z całej Polski, i chłopy na te słobody, nie byliby przechodzili z rytu łacińskiego na obrządek greko-unicki, co czynić musieli dla braku kościołów i duchowieństwa łacińskiego obrządku. Nie byliby się porobili tak niemoralni i ciemni w dogmatach religijnych, jak ich zastałem... Z magnatów żaden nie mieszkał w Ukrainie i całe życie nie był; przez komisarzy najwięcej dobrami rządzili, nie dbając o dobro publiczne, woleli, by w ich osadach budowały się cerkwie, a nie kościoły łacińskie, bo cerkwie nic ich nie kosztowały, prócz drzewa, danego gromadzie na pobudowanie, gdy wyposażenie kościoła łacińskiego było kosztowne».

O dobrach dziedzicznych możnowładztwa mówić będziemy niżej przy poszczególnych rodzinach magnackich. Ale dobra dziedziczne stanowiły tylko część fortun magnackich. Im magnat był potężniejszym, tem większe zwykł otrzymywać królewszczyzny, i w ten sposób sama Rzplta, skąpiąc sobie na wojsko i inne potrzeby publiczne, podtrzymywała i hodowała kilkadziesiąt rodzin możnowładczych, których członkowie przyzwyczaili się uważać Rzpltę jako swą własność prywatną, mającą za cel główny dostarczanie im dostatków i zaszczytów; jeżeli wynikały spory, to tylko o podział tego dobra między poszczególne rody, lub osoby uprzywilejowane.

Niektóre królewszczyzny pozostawały prawie dziedzicznie w posiadaniu pewnych rodzin. Tak np. ogromne i bogate starostwo spiskie było w posiadaniu Lubomirskich przez lat 154. Trzymali je: od r. 1591 Sebastjan Lubomirski, po nim jego syn, Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski, po nim jego syn, Jerzy Lubomirski, marszałek w. kor., skazany w roku 1665 na banicję i pozbawienie urzędów i królewszczyzn; ale zaraz po nim starostwo spiskie dostał syn jego, Stanisław Herakljusz, także marszałek w. kor., a po nim syn jego, Teodor Lubomirski, wojewoda krakowski. Dopiero po śmierci Teodora Lubomirskiego, w r. 1745, Spiż wyszedł z rąk Lubomirskich, gdyż oddany został królowej Marji Józefie, a po jej śmierci w r. 1757 dostał się Brühlowi. Pozostawały czas dłuższy, jakby dziedzicznie: starostwo kaniowskie w rodzinie Potockich, czerkaskie w rodzinie Sanguszków, czehryńskie i korsuńskie w rodzinie Jabłonowskich, słonimskie w rodzinie Sapiehów, bratjańskie (w województwie chełmińskiem) w rodzinie Działyńskich, opoczyńskie w rodzinie Małachowskich i t. p.

Ale nietylko starostwa pozostawały, jakby dziedzicznie, w jednej i tej samej rodzinie. Niektóre rody uważały nawet pewne urzędy, jakby tradycyjnie im przynależne. Tak Potoccy stale pretendowali do buławy, Radziwiłłowie do województwa wileńskiego, Lubomirscy do marszałkowstwa w. kor., lub do województwa krakowskiego i t. p.

Zdobywanie urzędów, dostojeństw i królewszczyzn stanowiło jedną z głównych trosk możnowładztwa, jedyną sprawę, zmuszającą magnata do oglądania się na dwór królewski.

Te liczne «łaski królewskie» zwykle uważano jako potężny przywilej dworu, przywilej, który mógł nawet decydować przy staraniach o wzmocnienie władzy królewskiej. Wprost przeciwnie, łaski te królewskie stanowiły jedynie stałe źródło intryg i rywalizacyj, obłudnej pokory i «uraz», niewdzięczności (po dopięciu celu) i zemsty (po zawodzie). Ale ludzie ówcześni tak przywykli do tej tradycyjnej pogoni za dostojeństwami i «chlebem dobrze zasłużonych» (!), że nie wyobrażali sobie innego stanu rzeczy; tylko Konarski proponował nadać szlachcie prawo «prezentacji» na wszystkie urzędy (prawo to zostało w części urzeczywistnione w r. 1755 przy ustanowieniu Rady Nieustającej).

Obecnie najgorszą była okoliczność, że szafunek «łask królewskich» zaczynał się już odbywać pod wpływem państw zagranicznych, a zwłaszcza Rosji — choć oczywiście jeszcze nie w tym stopniu, jak to się stanie za Stanisława Augusta. Brühl był pod tym względem bardzo stanowczym i niechętnie się poddawał instancjom dworów zagranicznych; czynił to wprawdzie z pobudek osobistych, gdyż ów szafunek łask stwarzał dla niego źródło ogromnych dochodów, ale bądź co bądź stan taki był jeszcze znośniejszym, niż ślepe uleganie woli Repninów i Stackelbergów.

Przy ogólnej pogoni za dobrami materjalnemi rozwinął się na wielką skalę handel tak dobrami dziedzicznemi, jak też królewszczyznami: temi ostatniemi oczywiście za zgodą królewską (za Augusta III, właściwie Brühla). Do największych transakcyj ówczesnych na dobra dziedziczne należą: przejście w r. 1723 całej spuścizny po Koniecpolskich do Lubomirskich

i rozdrapanie w r. 1753 ordynacji ostrogskiej; a obu tych transakcjach mówić jeszcze będziemy.

Bogate wiana są także przedmiotem zabiegów, intryg i sporów. Najbogatsze wiano dostało się w r. 1731 Augustowi Czartoryskiemu. O tych sprawach mówić jeszcze będziemy.

Wśród tego stałego jarmarku, którym dla możnowładztwa stał się cały obszar Rzpltej, nic dziwnego, że spory, wynikające z rywalizacji wzajemnej, były na porządku dziennym i stanowiły właściwą treść czasów saskich. Pamiętniki Matuszewicza są w tym względzie smutnem i jaskrawem świadectwem. Dzieje wielkiego narodu sprowadziły się do walki Sapiehów z Ogińskimi i Kryszpinami, Potockich i Tarłów z Poniatowskim i Czartoryskimi i t. d., do wzajemnego zagryzania się oligarchów; przyczem wszelka broń uznaną tu została za godziwą — zrywano sejmy i trybunały, deptano prawo i sprawiedliwość, nie szczędzono sobie oszczerstw i samowoli, korzystano z przewagi fortun i piastowanych urzędów publicznych.

Wśród takich warunków nic dziwnego, że brak w Polsce ówczesnej jakichbądź stronnictw ideowych, a są tylko stronnictwa koteryjne, a raczej rodowe, przywiązane do tej albo innej rodziny magnackiej; więc stronnictwo sapieżyńskie na początku XVIII w., stronnictwo Potockich i Tarłów (t. zw. republikantów), stronnictwo «familji» Czartoryskich, stronnictwo hetmańskie J. Kl. Branickiego, stronnictwo domu radziwiłłowskiego, stronnictwo Mniszcha i t. d. Zapewne, każde takie stronnictwo miało na zawołanie jakieś swoje hasło ideowo-partyjne, ale hasło to zmieniało się stosownie do woli przywódców; wystarczało, aby magnat zmienił swą orjentację, zmieniało się i całe jego stronnictwo, gdyż właściwie chodziło wszystkim nie o te lub inne programy polityczne, ale o wpływy, o znaczenie, o zdobycie urzędów i starostw, o zawładnięcie trybunałem, o pognębienie przeciwników.

Jak dalece stronnictwom ówczesnym chodziło nie o rzeczy ideowe, ale jedynie o wpływy i znaczenie, widać np. z zachowania się w r. 1743, uznanego za najbardziej ideowe, stronnictwa Czartoryskich. Stanowili oni wtedy część partji dworskiej, od której zależały «łaski» królewskie. Oprócz Poniatowskiego i Czartoryskich, należeli wtedy do partji dworskiej

także Wacław Rzewuski, wówczas wojewoda podolski, kardynał Lipski, biskup krakowski, wreszcie Jan Małachowski, wówczas podkanclerzy kor. Ci trzej ostatni, spełniając życzenie Augusta III, podjęli starania o pogodzenie Potockich i Tarłów z dworem i zjednanie ich dla sprawy reform, a zwłaszcza aukcji wojska. Dowiedzieli się o tem Czartoryscy i — natychmiast uczynili wszystko, aby do zgody nie dopuścić.

Zwłaszcza na Litwie stronnictwa miały wyraźną barwę rodową. «W Koronie — mówi znawca czasów saskich, Władysław Konopczyński [1]) — tylko polityka zewnętrzna pewnej partji ześrodkowywała się w ręku jednej rodziny, i to nie całkowicie: na Litwie całe życie publiczne i towarzyskie przywdziewało czyjeś barwy. Protekcjonizm sięgał głębiej, obejmował swemi mackami silniej. Polska mogła zmieścić trzy obozy i więcej, Litwa polaryzowała się ku dwóm biegunom, lecz nie według przekonań. Nieraz najpotężniejszą oligarchję przerastał o kilka głów jeden ród wszechpotężny, zaćmiewający króla blaskiem, opanowany jakiemś marzeniem królewskiem, czy wielkoksiążęcem. Takimi byli Radziwiłłowie, gdy Litwę w Kiejdanach wiązali ze Szwecją; Pacowie, gdy intrygą brandenbursko-habsburską udaremniali mądry program jaworowski Sobieskiego; takimi Sapiehowie, zespoleni w potęgę udzielną, oparci o Brandenburgję, a później o Szwecję. Po pogromie Sapiehów nie widać w Wielkiem Księstwie wyraźnej przewagi jednego ze zwycięskich rodów — Wiśniowieckich, Radziwiłłów, Ogińskich lub Pociejów. Przeciwko wybujałym dynastjom podnosiły zazdrosną dłoń inne rody niemniej nadętych oligarchów, wystawiały firmę jednego, lub kilku nazwisk. Żywioł demokratyczny, t. j. przydeptana, płaszcząca się w wasalskiej submisji szlachta, nie ciążyła stale ani ku potentatom pierwszego kalibru, ani ku jego wrogom. Liczny jej zastęp kierował się w wyborze stronnictwa tylko strachem i względami prywatnej koligacji. Ledwie gdzie niegdzie tliły się wśród drobiazgu ziemiańskiego iskry nienawiści olkienickiej ku tyranji, umiejscowionej zwykle w ręku hetmana i wojewody wileńskiego, samowładnego fundatora trybunałów».

Oddawna już możnowładztwo polskie stało się, jak

[1]) Wład. Konopczyński: «Polityka w dobie wojny Siedmioletniej». Tom I, str. 123.

wiemy, plutokracją szlachecką. Nie starożytność rodu, ale bogactwo, znaczenie, wpływy stanowiły o pierwszeństwie. Właśnie za czasów saskich podniósł się na wyżyny możnowładcze cały szereg rodzin nowych, które czytelnik znajdzie niżej zgrupowane odddzielnie. Wszystkie one, narówni z poprzedniemi, wzbogacone nadto jeszcze świeższemi nabytkami późniejszemi, stanowią dzisiejszą arystokrację polską. Otóż tu stwierdzić należy, że początek przeistaczania się dawnego możnowładztwa polskiego na arystokrację w znaczeniu ogólnoeuropejskiem daje się spostrzegać już za czasów saskich, kiedy panowie polscy przebywają często w Dreźnie i obcują tam z arystokracją obcokrajową; ale nietylko tam, lecz przebywają także na innych dworach zagranicznych, gdzie, zwykle bez pożytku dla kraju, częstymi są gośćmi.

Już Stanisław Herakljusz Lubomirski, marszałek w. kor. († 1702), autor kilku dziełek głównie treści religijnej, w swych «Rozmowach Artaxerxesa z Ewandrem» przeprowadza myśl o wyższości swojej klasy nad gminem szlacheckim. Ale najbardziej poczuli w swych żyłach krew błękitną przedstawiciele jeszcze świeższego rodu, Jabłonowscy, uksiążęceni przez cesarza efemerydę, Karola VII w r. 1744; zwłaszcza uczony bufon, Józef Aleksander Jabłonowski, nietylko cały zatopiony jest w heraldyce i genealogji (w czem nie pozostał bez zasługi), ale za grube pieniądze kupuje sobie od Brühla krzesło senatorskie, aby się tytułować wojewodą nowogrodzkim, żeni się dla koligacji najprzód z niezbyt młodą wdową, Karoliną Sapieżyną, z domu Radziwiłłówną, później z ubogą, ale «krwi Jagiellońskiej» Wiktorją Woroniecką, i otacza się całym ceremonjałem śmiesznych i niesmacznych formułek i przepisów etykiety quasi-udzielnej.

Tytuły arystokratyczne zaczynają się ustalać, pomimo trwania dawnych konstytucyj prohibicyjnych z lat 1638, 1641 i 1673 [1]), i wyraźnych wzmianek o tem w paktach konwentach Augusta II i Augusta III [2]). Ale życie silniejsze jest od prawa pisanego. Większe zetknięcia się z zagranicą przyzwyczaiły do powszechnie tam przyjętych tytułów, i magnaci

[1]) Vol. Leg.: V fol. 119. Konstytucja ta dodaje już karę infamji za nieprawne używanie tytułów.

[2]) Vol. Leg.: VI fol. 18 i 622.

polscy jawnie już ich używają. Więc tytułu książęcego używają, oprócz starych rodzin książęcych i kniaziowskich, także: Lubomirscy, którzy ten tytuł otrzymali jeszcze od cesarza Ferdynanda III w r. 1647, Jabłonowscy, kreowani świeżo przez cesarza Karola VII w r. 1744, i Sułkowscy, mianowani w r. 1733 hrabiami, a w r. 1752 książętami św. państwa rzymskiego. Różne stare rodziny używają tytułu hrabiowskiego: Tarnowscy, Leszczyńscy, Krasiccy, Sapiehowie (hrabiowie na Bychowie), Sieniawscy, Opalińscy, Pacowie, Wielopolscy (także margrabiowie, jak Myszkowscy), wreszcie wszyscy prawie bez wyjątku panowie polscy, gdy wyjeżdżają zagranicę z dostateczną pompą i ostentacją. Tytuły te spotykamy także w dyplomach królewskich, a także gdzie niegdzie w konstytucjach sejmowych.

Jako signum temporis zanotować należy fakt, że gdy za Władysława IV utworzony przezeń order Niepokalanego Poczęcia wywołał ogólne niezadowolenie i musiał być skasowany, utworzony przez Augusta II w r. 1705 order Orła Białego nietylko nie doznał przeszkód, ale przeciwnie, powszechnie był poszukiwany.

Jako curiosum zanotować należy, że na sejmie 1744 r., gdy radzono nad aukcją wojska i wymyślano różne podatki (byle tylko nie obarczyć ziemi szlacheckiej), podany był wniosek, aby ci, co mają tytuły, otrzymane zagranicą (więc Lubomirscy i świeżo uksiążęceni Jabłonowscy), po tysiąc dragonij swoim kosztem wystawiali. Oczywiście nic nie wystawili, ale samo żądanie pośrednio tytuły ich uprawniało.

Mówiąc o możnowładztwie czasów saskich, trudno pominąć często spotykanego oskarżania go o przekupstwo. Niezaprzeczenie było ono bardzo rozpowszechnionem, i pieniądze francuskie, saskie, rosyjskie, pruskie, angielskie, austrjackie splamiły najpotężniejsze, najbogatsze i, zdawałoby się, najniezależniejsze pod względem materjalnym rodziny magnackie ówczesne; bezkrólewie po Janie Sobieskim było żniwem bogatem dla panów, kupczących koroną polską, wpływ francuski utrzymywał się tylko dzięki złotu Ludwików XIV i XV, a ruble, talary i gwineje umiały w porę przekraczać granice polskie, kusić i zdobywać sumienia przodowników narodu. Wszystko to prawda. Ale wszystko to, samo przez się, nie stanowiło nic nadzwyczajnego w Europie w w. XVIII,

kiedy przekupstwo było powszechnem. Owszem, śmiało powiedzieć można, że przekupstwo w Polsce było mniejsze, niż np. na dworze pruskim lub rosyjskim, w Szwecji i Anglji; nawet świat filozofów, z Wolterem na czele, nie wolnym był od najcyniczniejszej korupcji.

Ale pomimo to przekupstwo w Polsce, nie będąc większem, niż w reszcie Europy, było jednak nieskończenie szkodliwszem. Rzplta dawno stała już nie potęgą państwową, ale cnotą swych obywateli, moralnością rodzinną. Z chwilą, gdy przekupstwo stało się także w Polsce powszechnem, runęły ostatnie już podstawy Rzpltej.

W porównaniu do drugiej połowy XVII w., za czasów saskich napozór nic się nie zmieniło, tylko «ku starości nieco pochyliło», ale właściwie wszystko zwyrodniało do granic ostatecznych i tak odbiegło od stosunków w reszcie Europy, że ta patrzyła na Polskę ówczesną, jako na coś dziwnie zacofanego i niezdolnego już do życia samodzielnego. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły i ograniczymy się tylko do rzeczy najważniejszych.

Więc naprzód co do sejmów. Oprócz dwóch sejmów konwokacyjnych (z których sejm 1696 r. został zerwany), dwóch elekcyjnych i dwóch koronacyjnych, odbyło się od śmierci Jana Sobieskiego do śmierci Augusta III sejmów 33, z których doszło zaledwie 9, a mianowicie: za Augusta II było sejmów 19, z których doszło 8 (z nich 3 tylko przez limitę); za Augusta III na 14 sejmów doszedł tylko jeden, mianowicie sejm pacyfikacyjny 1736 r., a od tego czasu wszystkie sejmy były stale zrywane, albo nie dochodziły z powodu wyczerpania naznaczonego czasu.

Sejmy za Augusta II, oprócz koronacyjnego, były następujące (odznaczamy te, które doszły): 1698 r., 1699 r. (t. z. pacyfikacyjny — doszedł), dwa w r. 1701, 1703 r. (lubelski — doszedł), 1710 r. (właściwie walny zjazd konfederacji sandomierskiej — doszedł), 1712 r. (doszedł przez limitę), 1713 r., 1717 r. (doszedł, t. zw. «niemy»), 1719/20 r., 1720 r., 1722 r., 1724 r. (doszedł przez limitę), 1726 r. (doszedł), 1729 r., 1730 r., 1732 r., 1733 r. Sejmy nie odznaczone albo nie doszły, albo były zerwane.

Za Augusta III sejmy, oprócz koronacyjnego, były następujące: 1735 r. (zerwany przez stronników Leszczyńskiego), 1736 r. (t. zw. pacyfikacyjny — jedyny, który doszedł, marszałkiem był Wacław Rzewuski), 1738 r. (zerwany przez Józefa Aleksandra Jabłonowskiego, wówczas starostę buskiego, od r. 1744 stolnika lit., od r. 1755 wojewodę nowogrodzkiego), 1740 r. (zerwany po wyborze marszałka, Michała Karwowskiego), 1744 r. (rozszedł się na niczem staraniem Fryderyka II, po awanturze z Wilczewskim — marszałkiem był Tadeusz Ogiński, późniejszy wojewoda trocki), 1746 r. (rozszedł się na niczem po niepozwoleniu na wniesienie świec do sali sejmowej — marszałkiem był Antoni Lubomirski, starosta kazimierski), 1748 r. (rozszedł się na niczem, marszałkiem był Wojciech Siemieński), 1750 r. (zerwany przed wyborem marszałka, którym miał być Wacław Rzewuski), 1752 r. (w Grodnie, zerwany po wyborze marszałka, Józefa Massalskiego, późniejszego podskarbiego nadw. lit.), 1754 r. (zerwany przez Strawińskiego, głównie z powodu ordynacji ostrogskiej), 1758 r. (zerwany przez Mikołaja Podhorskiego, posła wołyńskiego, po wyborze marszałka, Adama Małachowskiego, krajczego kor.), 1760 r. (zerwany do wyboru marszałka przez Leżeńskiego, posła podolskiego), 1761 r. (zerwany do wyboru marszałka), 1762 r. (zerwany do wyboru marszałka z powodu awantury o szlachectwo Brühla).

Limita była nowością, zaprowadzoną przez Augusta II dla ratowania zagrożonych sejmów; została zabronioną przez konstytucję sejmową w 1726 r.; zostanie wznowioną za Stanisława Augusta.

Rzut oka na szereg wciąż zrywanych sejmów za Augusta III. każe podziwiać cierpliwość tego króla, który po tylu zerwanych sejmach zwoływał wciąż nowe, przesiadywał, jak tego prawo wymagało, całemi tygodniami w sali senatu, wyczekując połączenia się z senatem izby poselskiej, słuchając długich peror, których nie rozumiał, a wkońcu bywał świadkiem, jak wszystkie, choćby najzbawienniejsze, przedłożenia jego rządu spełzały na niczem i kończyły się, jakby na kpiny, ucałowaniem przez posłów ręki królewskiej na pożegnanie. Ułatwiała Augustowi III tę trudną rolę ociężałość jego umysłu i całej jego natury, ale było w nim także poczucie obowiązku, poszanowanie przysięgi na przestrzeganie praw

Rzpltej. Obie te cechy — pierwsza wada, druga chyba zaleta — dla odrodzenia Polski były w równej mierze fatalne. Inny monarcha, bardziej rzutki, a mniej drażliwy na literę swej przysięgi, byłby wobec tych stałych zrywań sejmów wyciągnął konsekwencję wprost odmienną; narzucała się ona sama przez się, a było to skorzystanie z tego stałego niedochodzenia sejmów dla również stałych, a nieznacznych zamachów stanu, mających na celu sprawowanie rządów bez sejmów.

W pewnym stopniu, zresztą bardzo ograniczonym, musiało dojść nawet przy Auguście III siłą rzeczy do jakiegoś surogatu sejmów; stały się nim rady senatu. Odbywały się one za Augusta III po każdym niedoszłym sejmie i niewątpliwie uzurpowały sobie niektóre jego prerogatywy, ale w stopniu zbyt małym, aby mogły dopomóc do koniecznych reform państwowych, a jednak dostatecznym, aby wywołać krzyki na nieprawność ich postanowień.

Inna korektywa zasady jednomyślności na sejmach — konfederacje — zdyskredytowała się dostatecznie w konfederacjach w pierwszej połowie panowania Augusta II (konfederacje sandomierska i tarnogrodzka, a później w czasie bezkrólewia (konfederacja dzikowska), tak, że słusznie lekarstwo to zaczęto uważać za gorsze od choroby. Konfederacja była zato stałem hasłem bezmyślnych opozycjonistów z obozu «republikantów», zwłaszcza za czasów, gdy głową ich był Józef Potocki, hetman w. kor. Ku niesławie Czartoryskich, konfederacja stanie się także ich hasłem w końcu panowania Augusta III. Była straszakiem Brühla, który w tym względzie wolał wszelkie przeciwności, niż taki ratunek. Rozumiał to także największy nasz reformator, Konarski, ale przypuszczał, że konfederacji wypadnie, bądź co bądź, jeszcze raz użyć dla dokonania koniecznego zamachu stanu. Taki zamach stanu, przy pomocy konfederacji, mógł jednak być przeprowadzony tylko w okolicznościach wyjątkowo przyjaznych, np. w r. 1744, a w pewnym stopniu także w r. 1746 i 1748, ale chyba przez męża stanu w wielkim stylu. Na nieszczęście Polska nigdy go nie miała. Czartoryscy, choć zdolni, do tego zadania nie dorośli, a wkońcu zaślepiły ich — perspektywa korony królewskiej i wiara w pomoc bezinteresowną obcego państwa!...

Przy zupełnym zaniku władzy prawodawczej i inicjatywy królewskiej, najwyższe, z zasady dożywotnie urzędy Rzpltej: hetmanów, kanclerzy, marszałków i podskarbich, zwyrodniały w jakieś potworne, wprost udzielne potęgi z ogromnemi przywilejami, ale bez obowiązków, oprócz tych, które same sobie wyznaczą. Tacy Kazimierz Sapieha, Adam Sieniawski, Józef Potocki, wreszcie J. Kl. Branicki jako hetmani — taki Franciszek Bieliński, jako marszałek — taki Michał Czartoryski, jako kanclerz — tacy nawet marni Karol Sedlnicki, lub Teodor Wessel, jako podskarbiowie — to nie słudzy państwa, ale państwo samo. Są powagą i potęgą sami przez się, nie przez rzecz, którą administrują. Gdyby ich sądzić podług tej rzeczy, przez nich zarządzanej, byliby niczem, albo czemś bardzo skromnem; hetmani byli prawie bez wojska, marszałkowie powinni byli mieć jurysdykcje tylko w stolicy i w otoczeniu królewskiem, kanclerze nie utrzymywali żadnych stosunków dyplomatycznych z zagranicą, dochody państwowe zeszły do cyfry wprost karykaturalnej. Ale też głównem zadaniem tych wielkich urzędników państwowych nie był wcale zarząd swoim wydziałem; głównem zadaniem ich było — ograniczanie i krępowanie władzy królewskiej. Szczególnie zadaniem hetmanów było — być rozjemcą inter majestatem et libertatem. Znane jest, niewiadomo o ile autentyczne, odezwanie się Augusta II, że gdyby był wiedział, czem w Polsce jest władza hetmańska, toby się był starał nie o koronę, ale o buławę. Słusznie też mówi Kalinka, że panowanie trzech królów polskich w w. XVIII możnaby nazwać walką z hetmanami[1]).

Do r. 1717, do nieszczęsnej roboty konfederacji tarnogrodzkiej i sejmu «niemego», Polska mogła mieć jeszcze aspiracje mocarstwowe — August II pchał ją do zapasów wojennych, zmuszał do wydatków, pobudzał do obcowania dyplomatycznego z Europą. Ciemnota szlachty i deprawacja możnowładztwa położyły kres tym wstrętnym dla nich robotom znienawidzonego Sasa. Aby związać mu ręce, dobrowolnie skazano Rzpltą na samobójstwo, na zupełną abdykację ze stanowiska mocarstwowego, na dopuszczenie do spraw wewnętrznych Rzpltej obcego pośrednictwa, na zredukowanie

[1]) Kalinka: «Ostatnie lata», tom II, str. 142.

wojska do 24.000, na oddanie tej garstki na żołd oddzielnym województwom i powiatom, wreszcie na ulokowanie oddzielnych pułków i chorągwi w zgóry oznaczonych królewszczyznach.

Klasa uprzywilejowana uwolniła się w ten sposób od podatków, a niedołęstwo finansowe posunęło się do tego stopnia, że Rzplta wciąż nie miała własnej mennicy i korzystać musiała z cudzej monety, choćby fałszywej, którą dostarczały Prusy, Saksonja, a czasem także właśni spekulanci.

O sądownictwie tych czasów sądzić można z zachowania się trybunałów w sprawach, które opisaliśmy.

Oświaty nie było, zastąpiła ją ciemnota szkół jezuickich. Encyklopedją domów szlacheckich stały się «Nowe Ateny, czyli akademja wszelkiej sciencji pełna», księdza Benedykta Chmielowskiego, praca, wydana w czterech grubych tomach w latach 1746—1756, a pełna ignorancji, przesądów i cudactw wszelkiego rodzaju!... Reformatorska praca Konarskiego zacznie dawać owoce dopiero za czasów Stanisława Augusta.

Ciemnota musiała iść w parze z nietolerancją. Wprawdzie już w w. XVII zasadę tolerancyjną, ogłoszoną w r. 1573, znacznie ograniczono, ale dopiero w r. 1717 zabroniono dysydentom nabożeństw publicznych i zakazano budowy nowych zborów, zaś w r. 1733, na sejmie konwokacyjnym, a później na sejmie w r. 1736, wykluczono dysydentów od piastowania godności posłów i deputatów do trybunału, a także od innych urzędów; prawa te tyczyły się nietylko protestantów, ale także w znacznym stopniu dyzunitów. Smutne też na nas dziś robi wrażenie sprawa toruńska z r. 1724, która, rozdmuchana i wyzyskana przez naszych wrogów, popsuła nam opinję w całej Europie. Pamiętać tylko należy, że to, co było w Polsce skutkiem ciemnoty, to działo się także w innych krajach wskutek despotyzmu państwowego, bądź fanatyzmu (jak w Anglji), i że zasada tolerancyjna właściwie nigdzie w Europie ówczesnej stosowaną nie była.

IV. EPOKA ROZBIORÓW

A) STOSUNKI WEWNĘTRZNE

Z chwilą, gdy porzucamy czasy saskie i przechodzimy do epoki rozbiorowej, w perspektywie optycznej następuje znaczna zmiana. W porównaniu do skąpych wiadomości, posiadanych przez ogół o czasach panowania dwóch królów Sasów, tragiczne dzieje ostatnich lat istnienia Rzpltej powszechnie są względnie dobrze znane. Prace Szujskiego, Kraszewskiego, Alkara, Kalinki i Smoleńskiego o tym okresie naszych dziejów, przy innych swych zaletach, odznaczają się przejrzystością wykładu i dostępne są szerokiemu kołu czytelników. Korzona «Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta», choć mniej popularne, rozeszły się także szeroko. A groza tych czasów upadku nie mogła nie wzruszać każdego, w kim miłość ojczyzny ostatecznie nie zamarła. Z tych względów można mówić o wypadkach epoki rozbiorowej, jak o rzeczach znanych, i całą uwagę zwrócić na należyte ich oświetlenie.

Ale przedtem jedna uwaga. Powszechne ignorowanie czasów saskich opiera się na mniemaniu, że wtedy «nic się nie działo», w przeciwieństwie do epoki rozbiorowej, tak obfitej w kalejdoskop zdarzeń. Tymczasem, jeżeli uznać przyczyny za rzeczy ważniejsze od skutków, to należy stwierdzić, że za czasów saskich dokonało się nie mniej, jeżeli nie więcej rzeczy ważnych; jeżeli bowiem różnorodność zdarzeń w epoce rozbiorowej jest znaczna, to należy jednak rzeczy istotnie doniosłe odróżnić od całej masy szczegółów drugorzędnych. Dopiero po usunięciu tego balastu wystąpią wypuklej zjawiska i wypadki rzeczywiście decydujące, i wtedy ogólny bieg wypadków epoki rozbiorowej wyda się bardzo prosty: Rzplta szlachecko-możnowładcza rozpadała się w gruzy i na jej pniu

miało się narodzić państwo nowożytne; narazie było to jednak rzeczą niemożliwą, wobec zwyrodnienia szlachty i możnowładztwa, braku normalnego stanu trzeciego i zupełnej obojętności na losy kraju ludu wiejskiego; z tej słabości Polski skorzystały państwa ościenne, przyczem ich akcja rozbiorowa ułatwioną została przez niemoc Francji monarchicznej, a później rewolucyjnej, przy zupełnej obojętności na losy dawno zapomnianej Polski innych państw europejskich.

Rzeczpospolita szlachecko-możnowładcza już za czasów saskich doszła do zupełnego rozkładu. Wszystkie funkcje państwowe przestały istnieć. Nie było władzy prawodawczej, bo sejmy, zdane na łaskę liberum veto, stale zrywano; nie było władzy wykonawczej, bo tej zawsze w Polsce było niewiele, a teraz i ta odrobina znikła do reszty, przeistoczywszy się w prerogatywy wielkich urzędów z jednej strony, w samowolę możnych z drugiej; nie było wreszcie wymiaru sprawiedliwości, bo i sądownictwo właśnie w czasach saskich opanowane zostało przez domy magnackie i stało się areną dla ich prywaty i współzawodnictwa. Władza królewska, pomimo zamachów Augusta II i projektów reformistycznych z czasów Augusta III, po dawnemu pozostawała odarta z wszelkiego znaczenia, ograniczona nietylko przez prerogatywy sejmów, ale jeszcze w większym stopniu przez prawie zupełną udzielność dożywotnich wielkich urzędów państwowych: hetmanów, kanclerzy, marszałków i podskarbich. Siła zbrojna Rzpltej, zredukowana na sejmie «niemym» z r. 1717 do 24.000 ludzi, odtąd nietylko nie wzrosła, ale w rzeczywistości nie dorównywała nawet tej liczbie. Skarb stale bywał pusty, a szlachta ani myślała o własnem opodatkowaniu się; inne zaś dochody ledwie wystarczały na utrzymanie tego, co stanowiło już tylko zwykłe państwowe decorum. Ale i to decorum państwowe zostało sponiewierane zamknięciem mennicy i zupełną zależnością znaków pieniężnych od dobrej lub złej woli zagranicy.

Władza administracyjna i policyjna oddawna nie istniała, a przez marszałków sprawowaną była tylko w obrębie stolicy i w miejscu pobytu królewskiego. Wreszcie dyplomacja polska, już dawno paraliżowana przez sejmy i zawsze podejrzliwą szlachtę, zredukowana została do pustej i beztreściwej korespondencji konwencjonalnej, utrudnionej jeszcze przez

nieuznawanie tytulatury rosyjskiej i pruskiej; natomiast właściwe układy z zagranicą prowadzili na własną rękę; król, jako elektor saski, i każdy magnat polski, według własnego upodobania, głównie zaś dla celów i korzyści osobistych.

Rzplta polska właściwie przestała być państwem. Została tylko łupina zewnętrzna. Wewnątrz orzech był pusty. Zapanowała anarchja legalna, każdy robił co chciał, o ile mógł.

Ale mógł każdy niejednakowo.

Lud wiejski był w poddaństwie u szlachty.

Mieszczanin, ograniczony prawnie, zrujnowany ekonomicznie, pozbawiony był wszelkiego znaczenia. Miał go mniej, niż żyd, element obcy, na byt państwa najzupełniej obojętny, wysługujący się szlachcie i przez nią wiele mogący, żyjący pasorzytniczo na chorem ciele Rzpltej, bez praw obywatelskich, ale z przywilejami najskrajniejszej wyłączności.

Szlachcic, nawet pozbawiony majątku, wykształcenia i stanowiska, teoretycznie był równym najpotężniejszemu magnatowi; w rzeczywistości zaś dawno już stał się pionkiem w ręku pana brata magnata. Jego klamki się chwytał, przez tę klamkę coś znaczył, przy niej dorabiał się majątku i znaczenia, i chronił się od nadużyć władzy sądowniczej. Pomimo tak upakarzającej zależności, nie czuł się źle, gdyż do porządków anarchicznych przywykł, do ułudy swej wolności i równości się przywiązał.

Prawdziwymi panami w zanarchizowanej Rzpltej byli magnaci. Oni jedni rzeczywiście robić mogli, co chcieli, ale z jednem ograniczeniem: łatwo mogli robić źle, bardzo trudno dobrze. Łatwiej mogli zadość czynić prywacie, niż służyć krajowi i przynosić mu pożytek. A w takich warunkach, przy ułomności ludzkiej, musiały się paczyć charaktery, obniżać cnoty publiczne. Interes państwa musiał ustąpić interesowi jednostki.

Rzeczą jest jasną, że takie stosunki długi czas trwać nie mogły, jeżeli nie przez wzgląd na życie wewnętrzne, to na zagranicę. Rzplta nie była otoczona murem chińskim, nie była też wyspą wśród oceanów, ale leżała w środku Europy, pomiędzy dwoma organizmami państwowemi, które, chciwe zaborów, snuły oddawna różne projekty złupienia i ujarzmienia Polski i w tym celu najgorliwiej podtrzymywały w niej tak dogodną dla nich anarchję.

Gdy Polska zaczęła dążyć do odrodzenia, znalazła się w warunkach wyjątkowo trudnych i pełnych niebezpieczeństw. Miała do przezwyciężenia wrogów wewnętrznych i zewnętrznych.

Ogromna większość szlachty, a w pewnej mierze i możnowładztwa, reform Czartoryskich nie rozumiała; były one jej wstrętne. Skłócone z sobą możnowładztwo nie było w stanie porozumieć się między sobą dla wspólnej akcji publicznej. Miasta i lud wiejski nie mogły służyć za oparcie w przewrocie politycznym.

Oparciem tak reformistów jak opozycji staje się wkońcu wróg zewnętrzny — Rosja. Może i umie ona łączyć się kolejno z Czartoryskimi, z opozycją, z Stanisławem Augustem, wkońcu z jego wrogami, by pod hasłem przyjaźni i protekcji sąsiedzkiej opanować Polskę i rozporządzać nią dla swych widoków. Współzawodniczący zaś z sobą magnaci pociągają za sobą szlachtę, nastręczają się sami za narzędzie do pognębienia Rzpltej. Kieruje nimi nietyle przekupstwo, zdrada, czy nikczemność, ile zaślepienie, pycha, krótkowidztwo polityczne.

Każdy kolejno łączy się z Rosją, pragnie jej użyć za narzędzie dla uszczęśliwienia Polski na swój sposób. Każdy kolejno łudzi się, że Rosję omami i nie dopuści do czynów krzywdzących — i każdy nietylko zostaje wyprowadzony w pole, ale musi własnemi rękami grzebać grób dla swego kraju.

Widok to nad wyraz tragiczny i bolesny, ale dowodzący przedewszystkiem jednej rzeczy, że rządzące klasy możnowładztwa i szlachty przeżyły się, stały się niezdolnemi do dalszych rządów. A tymczasem normalnego stanu trzeciego, jak ten, który przyczynił się w w. XVIII do odrodzenia Francji, w Polsce nie było.

Analizując tę nieudolność, tę niemoc polityczną szlachty ówczesnej i kierującego nią możnowładztwa, należy stwierdzić, że pod względem umysłowym zwłaszcza to ostatnie poczyniło już pewne postępy, stało się oświeceńsze, bardziej zbliżone do warstw wyższych Europy; natomiast pod względem uobywatelnienia, pod względem politycznym i etycznym, postęp jest bardzo nikły. Szlachta, a zwłaszcza magnaterja, zatraciły zupełnie poczucie obowiązków obywatelskich, natomiast pełne były zaślepienia w stosunku do swych praw i przywilejów, pełne egoizmu kastowego i osobistego, pozbawione wszelkiego poczucia ofiarności i wszelkiej godności narodowej. Stąd w dalszym ciągu plenić się miały prywata, sobkostwo, warcholstwo względem własnego rządu i serwilizm wobec zagranicy. Cóż z tego, że oświata w Polsce naogół się podniosła, kiedy była udziałem charakterów lichych, małych, pozbawionych prawdziwego patrjotyzmu i godności.

Na czele tej społeczności szlachecko-możnowładczej, wymagającej wśród warunków najtrudniejszych gruntownej przebudowy, stanął człowiek, należący do niej z krwi i kości, oświecony i wygładzony po europejsku, obdarzony niepowszedniemi darami umysłu, ale bez charakteru i woli, bez gruntownych zasad moralnych. Stanisław August jest rażącym i zarazem strasznym przykładem tego, co znaczą zdobycze i dary umysłu bez gruntu moralnego i hartu duszy. Wyniesiony na tron jedynie dzięki poparciu dawnej swej kochanki — odtąd piętno hańbiącej zależności nosić będzie całe życie i, pomimo niewątpliwych swych dobrych chęci i wielkich zasobów umysłowych, stanie się prostem narzędziem w ręku polityki rosyjskiej.

Katarzyna II była bądź co bądź kobietą niepospolitą. Jak Elżbieta angielska, dogadzając w mierze najpełniejszej swym chuciom cielesnym, umiała jednocześnie dać ujście swym wielkim zdolnościom politycznym i wyższej ambicji; sposobem zdumiewającym stała się władczynią ogromnego imperjum, oraz potęgą, która zaważyła na losach całej Europy. Jakże małym wobec tej kobiety przedstawia się wymuskany Stanisław August, z całą swą błyskotliwością, a nawet dobremi dla kraju chęciami!...

Obdarzyć kochanka koroną było to dla dumy Katarzyny pięknym gestem, który ją stawiał nawet wyżej od Elżbiety angielskiej. Ale jednocześnie gest ten uczynić pociągnięciem politycznem pierwszej wagi, przysłużyć się nim w tak wielkim stylu przybranej ojczyźnie — to był triumf, który zapewne drugi raz w historji świata się nie powtórzy.

Bo też Stanisław August nadawał się, jak nikt, na narzędzie dla polityki rosyjskiej, której zadaniem było, pod po-

zorem opieki nad Polską, utrzymywać ją w stanie nicości. W tym celu należało waśnić Polaków między sobą, użyczać protekcji raz jednej, drugi raz drugiej partji, uzależniając tę protekcję od ślepego ulegania rozkazom gabinetu petersburskiego.

Już samo narzucenie Polsce na króla eks-kochanka Katarzyny, dokonane przy udziale zaślepionych Czartoryskich, doskonale służyło interesom polityki rosyjskiej. Należało przewidywać, że w ten sposób narzucony monarcha będzie miał masę przeciwników i bez opieki Rosji na tronie utrzymać się nie potrafi. Przewidywanie to było tem bardziej uzasadnione, że jednym z objawów anarchji polskiej było stałe dążenie różnych malkontentów do detronizacji panującego. I w samej rzeczy, projekty detronizacji Stanisława Augusta stanowiły treść wszystkich wysiłków opozycji aż do pierwszej katastrofy podziałowej. Dawało to możność Rosji stałego lawirowania pomiędzy królem a opozycją, straszenia króla detronizacją i łudzenia tem opozycji, wkońcu panowania nad jednym i nad drugą.

Polityka ta tem bardziej była niezawodną, że Stanisław August, przy całem swem przywiązaniu do kraju, jeszcze mocniej był przywiązany do tronu, a opozycja możnowładcza za detronizację znienawidzonego parwenjusza gotową była zapłacić choćby zdradą najżywotniejszych interesów swego kraju. W chwili dziejowej tak groźnej, jak lata przed pierwszym rozbiorem, widzimy ciekawe widowisko, jak król i naród (reprezentowany wówczas przez szlachtę i możnowładztwo), zamiast złączyć się w wspólnym celu dla obrony niezależności i niepodległości ojczyzny, są z sobą w stałej walce i w zacietrzewieniu tej walki kolejno łączą się z wrogiem zewnętrznym.

Katarzyna, wysuwając w porozumieniu tak z swojem ministerjum, jak też z Fryderykiem II, kandydaturę Poniatowskiego, liczyła na jego słaby i uległy charakter. Nie omyliła się, owszem, rozmiary uległości Stanisława Augusta przeszły wszelkie oczekiwania, gdyż spotęgowała ją fatalna cecha w słabym charakterze Stanisława Augusta — marnotrawstwo.

Względnie niezamożny panicz, uzyskawszy nadspodziewanie koronę z rąk potężnej eks-kochanki, nie wahał się przyjmować od niej datków pieniężnych, a te, wobec chęci błyszczenia i popularności, stawały się coraz bardziej pożądanemi i koniecznemi, pomimo aż nadto dostatecznego uposażenia królewskiego ze strony Rzpltej. Manja budownictwa i otaczania się zbytkiem gustownym pochłaniała sumy znaczne, których często brakło, tak dalece, że Stanisław August przez ciąg całego panowania nie wychodził z długów; były one kilkakrotnie płacone przez Rzpltą, a pomimo to dosięgły w czasie katastrofy końcowej — ogromnej sumy 40 miljonów złp.

Nic tak nie uzależnia człowieka, zwłaszcza politycznego, jak zależność finansowa; hańbi i deprawuje. Sprowadzała w życiu Poniatowskiego chwile, kiedy przyciśnięty koniecznością, dla uzyskania od Katarzyny II marnych kilkudziesięciu tysięcy rubli, szedł na najgorsze kompromisy z własnem sumieniem. Pieniądze szły na fraszki, budowle, miłostki, czasem na rzeczy poniekąd pożyteczne, ale nie w tym stopniu, by miały być okupywane hańbą lub zaprzepaszczeniem własnego kraju. Oglądając piękne sale zamku warszawskiego, lub urocze Łazienki, nie zapominajmy, że pieniądze, na nie wydane, przyczyniły się do stuletniej naszej niewoli.

Jako umysł był Stanisław August jednym z oświeceńszych ludzi w ówczesnej Polsce. Był to umysł trzeźwy i subtelny, równie zdolny do analizy, jak do szerokich poglądów politycznych. W państwie normalnem mógłby być Poniatowski, pomimo nawet wad swego charakteru, wybitnym, choć nie samodzielnym, mężem stanu i politykiem. Ale jako pupil Katarzyny, całe bogactwo swego umysłu poświęcił fatalnej roli podporządkowywania swego stanowiska, swej godności i swych przekonań bezwzględnej woli i rozkazom dawnej swej kochanki.

Siłą rzeczy Stanisław August został ultraugodowcem. Dewizą jego było: ratować co można, aby nie było gorzej. Dewiza słuszna, ale do pewnych granic. Tych granic Stanisław August nie odczuwał; nie odczuwał, bo pozbawiony był nietylko wznioślejszych zasad moralnych, nietylko godności ludzkiej, ale nawet zwykłej dumy monarszej. Tam, gdzie Stanisław August jeszcze coś ratował, często należało oponować bezwzględnie, postawić nieprzeparte non possumus; gdzie politykował, tam pomimo słabości należało walczyć, choćby przy najsłabszej nadziei zwycięstwa.

Stanisław August miał często chęci niewątpliwie najlep-

sze, często jaśniej widział od swego otoczenia, często najniesłuszniej bywał przez swoich poddanych niesłuchany, spotwarzany lub nienawidzony. Ale były to dobre chęci i cnoty kurtyzany. I ta miewa też czasem czułe serce i przenikliwość. Ale jak ta, tak i eks-kochanek Katarzyny, wszystkie swe zalety miał na sprzedaż, za stanowisko, za błyskotki, za pieniądze. Tylko umiał zapewne ze wszystkiego sofistycznie się usprawiedliwić; zanim popełnił jaką ohydę, starał się, jak Piłat, zwalić z siebie wszelką odpowiedzialność.

Przy lichocie moralnej czuć było w Stanisławie Auguście także parwenjusza. Jak on, nie postąpiłby zapewne żaden monarcha dziedziczny, nie postąpiłby zapewne także jego dawny rywal do korony, Adam Czartoryski.

Jakże wznioślej, a przez to, bez względu na skutki doraźne, pożyteczniej ułożyłyby się dzieje Polski w końcu XVIII w., gdyby na tronie polskim zasiadł był ktoś od Stanisława Augusta daleko mniej zdolny, wykształcony i układny, ale z większą godnością ludzką, lub choćby zwykłą dumą monarszą! Oszczędziłoby to nam wiele hańby, a nawet, pomimo gwałtów podziałowych, przyśpieszyło nasze odrodzenie.

Obrońcy Stanisława Augusta mogą nam przypominać wszystkie jego dobre uczynki i jeszcze lepsze chęci, cały szereg wypadków, za które nie on, ale naród główną nieść musi odpowiedzialność, piękne jego mowy sejmowe, listy i pamiętniki, w których dał dowód nietylko wielkich zdolności politycznych, ale też umiejętności dialektycznych. Wszystko to nie zrównoważy jego strasznej winy, że splamił, że sponiewierał i przefrymarczył za miskę soczewicy najwyższe dostojeństwo w narodzie, które zresztą zdobył sposobem wstrętnym.

Kalinka, który w wielu wypadkach słusznie broni Stanisława Augusta przed oskarżeniami jego przeciwników i winę wypadków składa na tych ostatnich, nie uchronił się jednak od przesady. W swej obronie nie docenił całego tragizmu, iż w chwili tak krytycznej na tronie polskim zasiadł właśnie taki człowiek! Kalinka nie dokończył swojej pracy i nie dotknął się bliżej postępowania Stanisława Augusta po utworzeniu się konfederacji targowickiej i wkroczeniu do Polski wojsk rosyjskich. Tu dopiero «królewskość» Stanisława Augusta okazała się w całej swej zgrozie i ohydzie, a zgroza ta

i ohyda nie mogły nie rzucić światła na poprzednie lata jego panowania i na należytą ocenę jego charakteru.

Dwa razy pod jego rządami Polska zrywała się do reform: w r. 1764 i w czasie sejmu Czteroletniego. Możemy z Kalinką się zgodzić, że upadek reform Czartoryskich i pierwszy podział kraju dokonane zostały nietyle z winy króla, ile z winy samego narodu, głównie z winy warcholstwa, ciemnoty i starych narowów żywiołów szlacheckich i możnowładczych, z winy zaciętości i połączonego z nią krótkowidztwa Czartoryskich, z winy nienawiści do króla pierwszych, niechęci drugich, braku podtrzymania ze strony wszystkich. Możemy również z pewnem zastrzeżeniem zgodzić się na obronę Stanisława Augusta z czasów t. zw. współrządów ze Stackelbergiem — była to epoka, gdy król, już w roli wasala Rosji, potrafił jednak wiele zdziałać dobrego, a potrafił dlatego, że będąc typowym ugodowcem, umiał wiele rzeczy wyprosić, «wyłabudać», sztucznie przemycić. Możemy wreszcie, ale już z coraz większemi zastrzeżeniami, godzić się z działalnością Stanisława Augusta na sejmie Czteroletnim, ale możemy też zrozumieć i usprawiedliwić nieufność, którą dla takiego króla odczuwano. Winą stronnictwa patrjotycznego było nie to, że nieufność tę posiadało, ale to, że, mając ją, nie potrafiło opanować sytuacji. Zamiast stworzyć silny rząd parlamentarny, cóż uczyniło? Najprzód, by się zabezpieczyć od niespodzianek ze strony króla, wszelki rząd zniweczyło, następnie zaś, po stworzeniu nowego rządu, wpadło w drugą ostateczność, uwierzyło w cudowną przemianę w usposobieniu króla i lekkomyślnie złożyło rządy właśnie w jego ręce.

Jakże gorzko odpokutował naród za ten krok lekkomyślny, za tę niekonsekwencję, która była i jest okropną naszą wadą narodową! Tak również, w trzydzieści dziewięć lat później, Chłopicki przyjmie dyktaturę dla prowadzenia wojny, nie myśląc o wojnie, ale o układach; ale przynajmniej nie on zabiegał o dyktaturę; narzucił mu ją sam naród, kochający się w pozorach. Ale Stanisław August?! Ten sam się narzucił. Umiał pięknemi słowy uśpić czujność patrjotów i skorzystał z entuzjazmu, który wzbudziła ustawa 3 Maja, i który sprawił, że naród nareszcie się z nim pojednał. Odtąd względy, które usprawiedliwiały dotychczas Stanisława Augusta, przestały istnieć. Rozpoczynała się era, gdy naród chciał iść z królem,

a król powinien był iść z narodem. Stanisław August przysiągł na to uroczyście, a gdy chmury zgromadziły się na Północy, i stało się jasnem, że walka rozpocznie się o sam byt państwa, Stanisław August wyciągnął rękę po naczelne dowództwo i zdobył je, ale, stając się wodzem naczelnym — w duszy myślał tylko o poddaniu się rozkazom Katarzyny!... Jakaż obrona usprawiedliwi podobną zdradę zaufania? Chyba wzgląd, że winniejszym jest sam naród, który w tak lekkomyślny sposób, w chwilach przełomowych, traci równowagę sądu i przerzuca się do ostateczności, które przeczą wszelkim zasadom zdrowego rozsądku i każą «rybie biegać, koniom pływać, a owcom prowadzić wojnę»...

Ale stało się! Stanisław August został, narówni z przywódcami Targowiczan, oszukany przez Katarzynę, która, jak wiadomo, żądała tylko wyrzeczenia się konstytucji, pozatem ręcząc za całość Rzpltej. Co uczyniłby tak oszukany każdy inny monarcha? Albo wezwałby cały naród do walki, jak to uczynili później Kościuszko, Ignacy Potocki, Kołłątaj i inni przywódcy sejmu Czteroletniego, albo okazałby opór bierny i, nie zważając na wszelkie groźby, nie splamił siebie i narodu podpisywaniem traktatów rozbiorowych, albo wreszcie odrazu abdykował ze swego stanowiska, jak to uczynili tacy stronnicy rosyjscy, jak Jacek Małachowski, a nawet sami Targowiczanie. Jeden tylko Stanisław August mógł nawet w tej chwili osobliwej, gdy się ważyła przyszłość i godność narodu, pozostać na swem ulubionem stanowisku, by w dalszym ciągu «łabudać», płaszczyć się i wkońcu ulegać, «by nie było jeszcze gorzej»! Wprawdzie sejm grodzieński składał się w większości z ludzi bądź zaprzedanych Rosji, bądź przez nią steroryzowanych, a jednak, czytając dzieje tego sejmu, niepodobna nie przyjść do przekonania, że nie przekupni zdrajcy i Judasze zdecydowali hańbę narodu, ale jego pomazaniec, jego król, fatalny Stanisław August Poniatowski.

Napróżno opozycja w sejmie Grodzieńskim zwracała się do króla z prośbą o poparcie. «Cała historja tego nieszczęsnego panowania» — mówił do króla poseł Ciemniewski — mieści się w czarnej księdze. Pozostaje jedna tylko biała karta, i ta w Twoim ręku. Niech przynajmniej na tej karcie napiszą, żeś się nie zgodził na odstąpienie naszych prowincyj! Myśmy wynieśli Ciebie na ten wysoki stopień i podtrzymywali na nim. Myśmy hojnie dostarczali na wszelkie potrzeby, spłacaliśmy Twoje długi; podnieśliśmy na pierwsze stanowiska osoby Tobie bliskie i obsypywaliśmy je dobrodziejstwami Rzeczypospolitej. Zdaje się więc, że mamy prawo oczekiwać innej wdzięczności, nie zaś, żeby widzieć Ciebie podpisującego haniebną sromotę narodu». Napróżno! Słowa te nie wzruszyły króla, nie wyprowadziły nawet z równowagi jego oschłego umysłu. Pomyślał tylko o własnej obronie, powiedział patetyczną mowę, pełną sofizmatów dialektyki i egoizmu, i zrzucił całą odpowiedzialność na innych. Bo też ulubioną jego taktyką było, nie wysuwając się zbyt naprzód, nieznacznie wpływać na innych, by się godzili z żądaniami Rosji; dopiero gdy to się stało, przyłączał się do nich, jakoby dla jedności z narodem, a gdy mu później wypominano jego postępowanie, miał zawsze na zawołanie argument gotowy: «Przecież samiście się na to zgodzili!...»

Patrjotyzm Stanisława Augusta nie przekraczał jego mózgu, nie tlił w jego sercu, nie kierował jego wolą, nie zapładniał nawet jego wyobraźni. Dalekim był od zapału, przeciwnie, lubował się gaszeniem zapału u innych. Nic, tylko zimne, wystudzone, lękliwe wyrachowanie! Nic, tylko troska o siebie i swoich, o tem «by nie było jeszcze gorzej».

Po podpisaniu haniebnych traktatów z Rosją, Stanisław August jakby odetchnął, uspokoił się i wciąż, jakby z radości, powtarzał Sieversowi: «Nous voilà unis, nous voilà amis, nous voilà qu'un». A później pisał do niego: «Kochany Ambasadorze! będziecie jeszcze pracować z posłem pruskim nad traktatem handlowym dla dobra Polski. Wszystko, co dla niej zdobędziecie, zawdzięczać będziemy jedynie dobroczynnemu wpływowi cesarzowej, dla której za wszystko jesteśmy obowiązani, i od jej wspaniałomyślności wszystkiego się spodziewamy. A będąc pewny Waszej gorliwości w spełnianiu Jej planów, zupełnie na Was polegam».

Dzieje narodu są szkołą jego doświadczenia. Obraz Stanisława Augusta powinien wryć się głęboko w pamięć każdego Polaka. Jest dlań strasznym i odstręczającym przykładem tego, jak najwyższe upodlenie łączyć się może nietylko z trzeźwością sądu, ale nawet z dobremi dla kraju chęciami.

Wiele z tego, cośmy powiedzieli o Stanisławie Auguście, należy zastosować również do przedstawicieli ówczesnej magnaterji.

Do stanowiska swego nie doszli wprawdzie tak wstrętną drogą, jak nieszczęsny ostatni król dawnej Polski, ale i oni, z małemi wyjątkami, zawdzięczali je matactwom, wymuszaniu na królach starostw i urzędów, zupełnej obojętności na dobro publiczne. Elekcji Stanisława Augusta nie zapobiegli, choć wybór jego był dla nich wstrętny, chociaż nie z tych pobudek, które kierują nami obecnie, ale z nienawiści do «familji», z współzawodnictwa, z pychy, nie pozwalającej korzyć się przed jakimś «stolnikiem litewskim». Choć krzyczą głośno na przemoc cudzoziemską, krzyczą tylko dlatego, że ta nie im służy — chwycą się jej oburącz, gdy zabłyśnie nadzieja pozyskania jej dla siebie. Konieczność reform sami uznają, ale skoro te są dziełem przeciwników, bez względu na zgubę kraju, stają wpoprzek tym reformom i wolą być obrońcami reakcji i dawnej anarchji. Nic łatwiejszego dla posła rosyjskiego, jak sprowadzić ich na swoje podwórko. Śpieszą tam pierwsi dygnitarze Rzpltej, wnuki dawnych hetmanów i wojewodów, by z nienawiści do króla i Czartoryskich kopać grób dla ojczyzny. Pyszni względem własnego króla, płaszczą się przed «ambasadorem»; jak marjonetki, spełniają jego wolę, traktowani przezeń, jak żaki. Z pogardą też odzywają się o nich Repnin, Stackelberg, Sievers.

Nie usprawiedliwia ich wcale nienawiść do Stanisława Augusta. Tak czy inaczej, został on królem, pierwszym dostojnikiem Rzpltej. Przy wszystkich swych wadach, postępowałby inaczej, gdyby czuł poparcie swoich. Tymczasem swoi byli sforą, trzymaną na smyczy ambasadora, sforą, która skomlała i łasiła się do trzymającej ją ręki, by ją wypuścić na króla. Tak tylko powstać mogła haniebna konfederacja radomska. Nie zdrajcy i sprzedawczycy, w rodzaju prymasa Podoskiego, lub Adama Ponińskiego, najbardziej zaważyli na szalach wypadków; zaważyła o wielekroć więcej ta cała czereda magnatów, bądź rządzących się w rzeczach publicznych nie względami na dobro powszechne, lecz antypatjami osobistemi, nienawiścią, pychą i prywatą, bądź, jak Stanisław August, przejętych skrajną uległością wobec przemocy zewnętrznej.

Na tych ostatnich miała Rosja, jak wiadomo, zawsze środek doskonały i wypróbowany: pustoszenie ich majętności. Środek ten zwykle wystarczał. Ludzie skądinąd zacni usuwali się od dalszej opozycji.

Ale przyjrzmy się bliżej tej magnaterji z czasów Stanisława Augusta.

Główną podstawą możnowładztwa były, jak wiemy, wielkie urzędy, raczej synekury publiczne, oraz państwowe beneficja, czyli królewszczyzny. Pogoń za temi urzędami i królewszczyznami stanowiła treść wszystkich zabiegów magnaterji. Ale źródło to od wstąpienia na tron Stanisława Augusta zaczęło stopniowo wysychać.

Przedewszystkiem, jeszcze na sejmie konstytucyjnym 1764 r., przez zaprowadzenie komisji wojskowej i skarbowej, ograniczono władzę hetmanów i podskarbich. Byli oni dotychczas właściwie od nikogo niezależnymi, wprost udzielnymi, potentatami. Znane są słowa Augusta II, że, gdyby wiedział, jak daleko sięgają prerogatywy hetmańskie, byłby się starał nie o koronę, ale o buławę. Obecnie mieli hetmani i podskarbiowie stać się tylko prezydującymi odnośnych komisyj.

Gdy następnie na sejmie rozbiorowym 1773—1775 r. utworzono Radę Nieustającą, a w niej oddzielny departament wojskowy, pozostawiono nadal komisję wojskową. Pomimo to, dzięki staraniom hetmana Branickiego, władzę hetmańską chwilowo znacznie rozszerzono. Ale już na sejmie konfederackim z r. 1776 znów ją ograniczono, przyczem komisję wojskową zwinięto, a wszystkie jej atrybucje przekazano departamentowi wojskowemu Rady Nieustającej; hetmani otrzymali tylko prawo zasiadania w tym departamencie.

Przez utworzenie Rady Nieustającej ograniczona została także władza marszałków i kanclerzy.

Na sejmie rozbiorowym 1773—1775 r. zapadło też nowe prawo o królewszczyznach, usuwające je z pod rozdawnictwa królewskiego. Odtąd starostwa, po śmierci każdego ich posiadacza, miały być oddawane na prawie emfiteutycznem (czynszowem), na lat 50, z licytacji. Chociaż prawo to dało powód na tymże sejmie do licznych nadużyć, i wysadzone przez bandę Ponińskiego komisje rozdawnicze, nie czekając na śmierć posiadaczy królewszczyzn, rozdały różnym osobom, umiejącym za to dobrze zapłacić, «ekspektatywy» na ogromną ilość starostw, przez co ogromne dobra państwowe zostały rozdra-

pane — pomimo to jednak zmiana ta była w pewnym stopniu korzystną, gdyż w zasadzie utrudniła dalszą korupcję magnaterji, oraz jej bezustanne targi i zachody o zdobycie tego «chleba dobrze zasłużonych». Jednocześnie, jak wiemy, za zrzeczenie się swej dystrybutywy, Stanisław August otrzymał w darze cztery największe starostwa: białocerkiewskie, bohusławskie, kaniowskie i chmielnickie, z których pierwsze (skutkiem protekcji rosyjskiej) ustąpił hetmanowi Branickiemu, dwa następne swemu synowcowi, Stanisławowi Poniatowskiemu, a ostatnie Józefowi Poniatowskiemu. Oprócz tego brat królewski, Kazimierz Poniatowski, otrzymał jako wynagrodzenie za zaawansowanie skarbowi koronnemu 714.000 złp. na własność starostwo szadowskie na Żmudzi; starostwo to warte było przynajmniej 6 miljonów złp. (czyli około 18 miljonów złotych obecnych).

Jak wielką potęgą w ręku możnowładztwa były starostwa, można osądzić z tego, że dochód z nich wynosił 1/6 dochodu z wszystkich dóbr dziedzicznych razem wziętych. A im bogatszy był magnat, tem więcej wymuszał od króla starostw dla siebie, żony i dzieci. W ten sposób bogactwo magnatów składało się w bardzo znacznej części z dochodów, otrzymywanych z dóbr państwowych, w zupełnej dysproporcji do spełnianej przez nich służby publicznej; bo też nie o nią chodziło, i starostwa nadawano bądź przez wzgląd na potęgę magnata, bądź, co gorsza, na żądanie dworów zagranicznych, za zasługi tym dworom świadczone. Innemi słowy, starostwa służyły od w. XVII na podtrzymywanie i demoralizowanie magnaterji polskiej, a przekupstwa w Polsce dokonywane były przez dwory zagraniczne, a zwłaszcza przez Rosję, tylko w znikomej części za pieniądze tych dworów, przeważnie zaś przez szafunek mienia polskiego!...

Aby mieć wyobrażenie o tem, jak ogromne sumy ciągnęli magnaci z królewszczyzn, podajemy kilka cyfr. Potoccy mieli z królewszczyzn około miljona złp. rocznego dochodu, Lubomirscy — nie o wiele mniej, Jerzy Mniszech przeszło 700.000 złp., Jan Klemens Branicki — około 400.000 złp., Wacław Rzewuski — około 300.000 złp., Czartoryscy — przeszło 200.000 złp. itd. [1]). A taki Krezus, jak Karol Radziwiłł «Panie

[1]) Wartość ówczesnego złotego polskiego wynosiła około 3 złotych obecnych.

Kochanku», przy ogromnych swych latyfundjach, posiadał nadto obszerne królewszczyzny — składały się one z 16 osad miejskich i 583 wsi.

Magnaci, którzy w r. 1775 otrzymali starostwa na własność, albo wyrobili sobie ekspektatywy emfiteutyczne na mające zawakować starostwa, nie wszyscy skorzystali na tem jednakowo. Najlepszy interes zrobił Branicki, bo w 1775 r. starostą białocerkiewskim był Mniszech, który umarł już w r. 1778, tak że Branicki niezwłocznie objął tę ogromną fortunę, składającą się z dwóch miast (Białej-Cerkwi i Stawiszcz), 134 wsi i wielu nowozałożonych osad; dawała ona naówczas przeszło 700.000 złp. dochodu. Inni musieli czekać na śmierć żyjących posiadaczy, albo wejść z nimi w układy i płacić im rentę dożywotnią.

Na sejmie Czteroletnim obłożono wszystkie starostwa większemi podatkami; a mianowicie dożywotnicy mieli płacić dwie t. zw. kwarty podług nowej lustracji, a emfiteuci po $3^1/_2$ kwarty. Chociaż wobec niskich cen lustracyjnych podatek ten był o wiele niższym, niż się wydaje, wywołał on wśród posiadaczy ogromne niezadowolenie. Wielkie panie zamanifestowały to niezjawieniem się na pokoje królewskie, twierdząc, że, po takiem obciążeniu starostw, nie mają za co kupować sobie sukien.

Wkrótce potem, w r. 1790, nałożono również podatek na starostwa, otrzymane w r. 1775 na własność przez Branickiego i Stanisława i Józefa Poniatowskich, a to nominalnie w wysokości 30% od dochodu; faktycznie jednak podatek ten wynosił chyba połowę nominalnej jego wartości; skasowała go zupełnie Targowica.

Wreszcie w r. 1792 postanowiono starostwa sprzedać, ale uchwała ta urzeczywistnioną już być nie mogła.

Z pamiętników Stanisława Augusta wiemy, iż August Czartoryski doradzał mu podnosić rodziny drugorzędne, a zbyt potężnych nie popierać. Zasadzie tej, choć ostrożnie, Stanisław August hołdował przez cały ciąg swego panowania. Zapewne rozumiał trafność tej rady swego wuja; oprócz tego nie mógł nie być zrażony stałą niechęcią, okazywaną mu przez możniejsze rody magnackie. Szkoda tylko, że podnosząc ludzi nowych, tworzył z nich nowy zastęp świeżych możnowładców, nieleп-

szych od dawniejszych. Takimi byli Ksawery Branicki, Sułkowscy, Gozdzki, Stempkowski, Gurowski, Raczyński i inni.

Jednocześnie z upadkiem znaczenia magnaterji w epoce rozbiorowej zaczyna się ustalać na ziemiach polskich arystokracja tytułowa. W r. 1764 zapadła konstytucja, nadająca tytuł książęcy Poniatowskim. W r. 1768 sejm przyznaje tytuł książęcy Sapiehom. Na sejmie rozbiorowym 1773—1775 r. uzyskują tytuł książęcy Adam i Kalikst Ponińscy i Massalscy, oraz zapada uchwała, uznająca w Polsce (na zasadzie wzajemności) tytuły książęce cesarstwa niemieckiego; na mocy dopiero tej uchwały zostały uprawnione tytuły książęce Lubomirskich (z r. 1647), Jabłonowskich (z r. 1744) i Sułkowskich (z r. 1754).

Po zajęciu Galicji przez Austrję i odebraniu przez nią tenutarjuszom królewszczyzn, Austrja, chcąc przywiązać do siebie bogatsze warstwy szlachty polskiej, nadaje licznym rodzinom tytuły hrabiowskie i baronowskie. Wtedy zostali hrabiami galicyjskimi niektórzy Ankwiczowie, Baworowscy, Borchowie, Cetnerowie, Dembińscy, Drohojowscy, Dzieduszyccy, Golejewscy, Gołuchowscy, Ilińscy, Konarscy, Katarzyna z Potockich Kossakowska, Koziebrodzcy, Krasiccy (właściwie otrzymali potwierdzenie dawnego tytułu), Krasińscy, Krukowieccy, Lanckorońscy (właściwie także potwierdzenie), Łosiowie, Mierowie, Mniszchowie i Mniszkowie, Morscy, Moszczeńscy, Ossolińscy, Ostrorogowie, Pinińscy, Rogalińscy, Ronikierowie, Rozwadowscy, Siemieńscy, Skarbkowie, Stadniccy, Starzeńscy, Wielhorscy, Załuscy, Zamojscy i in. W zaborze pruskim w epoce rozbiorowej zostali hrabiami Działyńscy, Gurowscy, Mostowscy i Potuliccy. Jeszcze większa liczba tytułów hrabiowskich udzielona została Polakom przez państwa rozbiorowe po ostatecznym upadku Rzpltej.

Równolegle ze stopniowym upadkiem potęgi magnaterji, zaczęła się podnosić szlachta ziemiańska, a tracić na znaczeniu t. zw. hołota szlachecka. Ta ostatnia była, jak wiemy, ważną podporą możnowładztwa; przez nią magnat stawał się wszechwładnym panem sejmików. Przed każdym sejmikiem zawsze setki, czasem tysiące tej szlachty ubogiej sprowadzane były przez panów dla głosowania podług ich myśli; karmiono tych często bosych panów-braci, pojono, czasem płacono, a ci

gardłowali, robili burdy, bili, albo byli bici, stosownie do polityki magnata, której ani rozumieli, ani rozumieć nie kusili się.

Choć konstytucje XVI i początku XVII wieku, mówiąc o udziale szlachty na sejmikach, właściwie mają na widoku tylko szlachtę, posiadającą jakąś własność w danej miejscowości (bene nati et possessionati), jednak prawo było niewyraźne, tak, że niektóre województwa, chcące się stanowczo zabezpieczyć od burmistrzowania na sejmikach szlachty nieosiadłej, już w pierwszej połowie XVII w. wyraźnie to sobie w konstytucjach zastrzegły. Z biegiem czasu szlachta nieosiadła coraz liczniej zaczęła się pchać do sejmików, sprowadzana tam przez magnatów. W epoce saskiej. udział jej na sejmikach, jako narzędzie możnowładztwa, staje się zjawiskiem zwykłem, któremu szlachta osiadła przestaje nawet się sprzeciwiać. Czartoryscy w swych reformach z r. 1764 sejmików nie tknęli, a to z obawy, by ta sprawa nie wywołała protestów tak w kraju, jak jeszcze bardziej ze strony Rosji. Naprawa sejmików była planowaną dopiero w przyszłości. Plany te jednak, jak cała reforma Czartoryskich, musiały ostatecznie upaść w latach 1766—1768, a traktat gwarancyjny z Rosją w r. 1768 wyraźnie zastrzegł nietylko udział w sejmikach wszystkiej szlachty bez żadnego wyjątku, ale również stosowanie do sejmików zasady jednomyślności. Skutkiem jednak coraz większego upadku znaczenia możnowładztwa, udział hołoty szlacheckiej na sejmikach siłą rzeczy staje się stopniowo mniej jaskrawym. Wreszcie na sejmie Czteroletnim 24 marca 1791 r. nowe urządzenie sejmików wyraźnie zaprowadziło cenzus wyborczy, a mianowicie udział w sejmikach mogła przyjmować nie cała szlachta, ale jedynie mający jakąkolwiek własność ziemską i ich synowie, oraz ci dożywotnicy i zastawnicy, którzy opłacali przynajmniej 100 złp. podatku. Charakterystycznym jest szczegół, że Ksawery Branicki, zasiadając w r. 1768 w delegacji repninowskiej i będąc wówczas jeszcze, jako łowczy kor., zaufanym sługą królewskim, żądał usunięcia szlachty nieosiadłej od udziału w sejmikach, a tenże Branicki w r. 1791, już jako spanoszony magnat i wróg królewski, stał właśnie na czele obrońców hołoty szlacheckiej i jej prawa do uczestniczenia w sejmikach. Choć był w tej obronie gorąco sekundowany przez swego siostrzeńca, Kazimierza Sapiehę, przyczem obaj

grali na popularnem haśle równości szlacheckiej, jednak czasy były zmienione, i nowe prawo, usuwające szlachtę nieosiadłą, przeszło ogromną większością. Bo też, jak mówiliśmy, szlachta ziemiańska zaczęła się już otrząsać z zależności magnackiej.

Skutkiem rozpowszechnienia się zbytku, a następnie ruiny kraju, spowodowanej przez wojska rosyjskie i partyzantkę barską, ogromne latyfundja panów polskich uginały się pod ciężarem długów. Oddzielne folwarki i klucze oddawane były w zastaw, lub sprzedawane średniej szlachcie.

Sejm rozbiorowy z r. 1773—1775, podciąwszy znaczenie możnowładztwa przez skasowanie królewskiego rozdawnictwa starostw, jednocześnie podniósł znaczenie szlachty ziemiańskiej przez wprowadzenie jej do Rady Nieustającej. Zasiadało w niej 18 senatorów i ministrów i 18 szlachty. Dotychczas w czasie międzysejmowym szlachta ziemiańska była zupełnie od rządów usunięta; przy królu pozostawała tylko Rada Senatorska, wprawdzie bez władzy istotnej.

Zmiany społeczne nie ograniczyły się do fermentu w łonie samej szlachty, do powolnego usamowolniania się szlachty ziemiańskiej od nacisku tak zgóry, jak zdołu, możnowładztwa i hołoty szlacheckiej. Zapoczątkowane zostały również zmiany w stanowisku mieszczaństwa; dokonywały się próby oczynszowania włościan, a władza patrymonjalna dziedziców zaczęła, choć nieznacznie, podpadać pod pewne ograniczenia prawa publicznego.

Stan miejski był, jak wiemy, w zupełnym upadku; był pozbawiony wszystkich praw politycznych, a jednocześnie zrujnowany ekonomicznie przez skrajny, wprost ciemny, fizjokratyzm szlachty z jednej strony, i konkurencję żydowską z drugiej. Przedstawiał się nikło nawet ilościowo, a to wobec przerzucenia się nizin mieszczaństwa do rolnictwa i stałego zbiegostwa bogaczy miejskich do szeregów szlacheckich. Reforma tego stanu rzeczy nie była łatwą i wymagała czasu.

Czasu jednak nie stało, gdyż reforma miejska datuje się dopiero od sejmu Czteroletniego. Głośne «Zasady do prawa o miastach», przyjęte zostały przez sejm dopiero 21 kwietnia 1791 r., na kilkanaście dni przed ustawą 3 Maja, która zasady te tylko potwierdziła. Reforma miejska przeszła ostatecznie, jak wiadomo, jednomyślnością, bo też właściwie nie uszczuplała stanu posiadania szlachty. Miast szlacheckich i duchownych reforma zupełnie nie tknęła, stosowała się tylko do miast królewskich, nawet nie wszystkich, a tylko do t. zw. wolnych, t. j. tych, które miały starodawne przywileje lokacyjne; tak że z pod nowego prawa było wyjętych także wiele miast starościńskich. Pełnomocnicy, t. j. posłowie miejscy na sejm w skromnej liczbie 21 (po siedmiu z każdej prowincji: Wielkopolski, Małopolski i Litwy) mieli głos stanowczy tylko w sprawach miejskich i handlowych, pozatem głos ich był tylko doradczym.

Jak dalece nie rozumiano potrzeby istnienia oddzielnego silnego stanu trzeciego, widać choćby z tego, że zamiast przewidywania dalszego rozszerzenia praw miejskich, przyznano miastom inną, wprost samobójczą koncesją: stopniowe uszlachcanie wszystkich wybitniejszych ich przedstawicieli, tak, że otrzymywać miał szlachectwo każdy mieszczanin, co przez dwa lata był plenipotentem sejmowym, co się dosłużył w wojsku rangi kapitana lub rotmistrza, a w służbie cywilnej urzędu rejenta, co kupił dobra ziemskie, opłacające przynajmniej 200 zł. podatku. Pozatem każdy sejm kolejny obowiązany był nobilitować conajmniej 30 mieszczan, mających w miastach jakąś realność. Przy takim trybie, któż z wybitniejszych mieszczan pozostałby nieszlachcicem?

Miasta, nie podpadające pod reformę miejską, pozwalano zamieniać na «lokalne» przez nadanie mieszkańcom ich ziemi na własność. W ten sposób, gdyby czasu starczyło, zapewne zakres reformy znacznieby się rozszerzył. Miasta zawierałyby z dziedzicami odpowiednie umowy i za umówioną zapłatą dochodziły do własności i praw. Tak np. miasto Rawicz za nadanie mu na własność gruntów i wystawienie «instrumentu lokacyjnego» zobowiązało się swym dziedzicom zapłacić 3 miljony złp. Wszystkie niemal miasta rzuciły się do poszukiwań archiwalnych, by na mocy dawnych dowodów wyrobić sobie u króla przywilej renovationis, zastępujący zatracony dawny akt lokacyjny. Wreszcie kilka miasteczek rozpoczęło ze swymi dziedzicami lub starostami zatargi, które zmusiły króla do wydania 5 lipca 1791 r. uniwersału, wprawdzie nakazującego mieszczanom spełnianie względem dziedziców swych powinności, ale jednocześnie obiecującego im ulgi w drodze ustawodawczej.

Pomimo niedostateczności i krótkotrwałości reformy

miejskiej sejmu Czteroletniego (zniesiona została już w 1792 roku przez konfederację Targowicką), reforma ta miała doniosłe znaczenie. Przełamała wreszcie pierwsze lody, posłużyła za fundament pod dalsze reformy i przysporzyła krajowi cały szereg nowych obywateli, z których wielu odznaczyło się swym gorącym patrjotyzmem już za powstania Kościuszki.

Reforma miejska nie dotknęła żydów. Projekt reformy tych ostatnich był wypracowany, ale nie doczekał się dyskusji i zatwierdzenia. Dążył do nadania żydom pewnych praw krajowych, z zachowaniem jednak tyle cenionego przez nich separatyzmu, wewnętrznej autonomji, tak religijnej, jak narodowej. Dość powiedzieć, że pierwszą instancją administracyjną i sądowniczą miały pozostać kahały. Myślano zresztą o pewnej asymilacji, projektując poddanie szkół żydowskich pod kontrolę Komisji Edukacyjnej i skłonienie żydów do zaniechania wyróżniającej ich odzieży. Trafnie nazywano żydów oddzielnym «narodem żydowskim», ale nie zdawano sobie jeszcze jasno sprawy z trudności zadania. Łudzono się, że półśrodkami dojdzie się do ich uobywatelnienia, jak innych klas ludności krajowej. Stawiano pierwsze kroki w załatwieniu tej arcytrudnej sprawy i — co na chlubę odradzającej się Polski zapisać należy — zaczynano od reform, owianych duchem tolerancji i liberalizmu, choć opartego na przesłankach naiwnych i nierealnych. Takiż duch miał odtąd długo, wiek przeszło, ożywiać całą ideologję polską względem żydów, aż do czasu zupełnego bankructwa tego kierunku i przerzucenia się znacznej części społeczeństwa w drugą ostateczność, w objęcia bezkrytycznego antysemityzmu.

Jeżeli na losy Polski w końcu XVIII w. nie mogła nie wpływać zupełna obojętność dla niej części ludności, jaką stanowili żydzi, to cóż powiedzieć o zupełnej bierności, w której pogrążony był cały stan włościański. Stosunki patrymonjalne, które przetrwały w Polsce do końca istnienia Rzpltej, usuwały państwo od wszelkiego udziału w życiu włościan, a zwłaszcza w dobrach dziedzicznych. Dziedzic-szlachcic uważał się za udzielnego monarchę wobec swoich włościan i o żadnej ingerencji państwa w stosunki wiejskie słyszeć nie chciał. Nie idzie zatem, by przez to byt włościan, nawet dziedzicznych, w Rzpltej był gorszy, niż w państwach sąsiednich, owszem, był pod wielu względami lepszy, czego dowodzi

choćby okoliczność, że włościanie polscy nie uciekali do państw sąsiednich, a przeciwnie, włościanie z państw sąsiednich, a zwłaszcza z Rosji, często gromadnie chronili się do Polski. Ale skrajne stosunki patrymonjalne w Rzpltej nie mogły nie doprowadzić włościanina do zupełnej obojętności dla państwowości, z którą nic go nie łączyło, i od której niczego się nie spodziewał. Zależnym był wyłącznie od dziedzica (w dobrach królewskich prawie wyłącznie od starosty), od oficjalistów dworskich i karczmarzy, od księdza plebana — tych losy i czynności mogły i musiały go obchodzić; natomiast Rzplta, sejmy, sejmiki, trybunały, reformy państwowe, wszystko to były rzeczy zgoła nie przemawiające do duszy chłopa XVIII w., po większej części nawet mało mu wiadome.

Rozbiory kraju cóż zmieniały w życiu chłopa? Wprawdzie dziedzic jego stawał się cudzym poddanym, ale on pozostawał po dawnemu poddanym dziedzica. Państwa rozbiorowe narazie nie tykały wyznania, języka i pańszczyzny; wszystko więc pozostawało po dawnemu; owszem czasem, zwłaszcza w Prusach i Austrji, zaczęło się żyć wolniej, czuło się, że jest nawet coś ponad panem, coś, co może poskramiać nadużycia i swawolę dziedzica.

Właśnie pod względem zupełnego nieistnienia w świadomości chłopskiej idei państwa było w szlacheckiej Rzpltej polskiej rzeczywiście gorzej, niż w innych państwach europejskich. Tam absolutyzm oświecony, ograniczając prawa i swobody klas uprzywilejowanych, jednocześnie ścieśnił w pewnym stopniu władzę dziedziców i poddał chłopów także własnej jurysdykcji. Ta ostatnia mogła być i była czasem gorszą i okrutniejszą od władzy dziedzica, ale bądź co bądź łączyła chłopa z państwem, czyniła go jego członkiem, jego poddanym. Losy takiego państwa i jego reformy nie mogły być dla chłopa obojętne; czuł on, że los jego jest bądź co bądź zależny od losu samego państwa.

Tej zależności chłop polski nie odczuwał, i okoliczność ta nie mogła nie zaważyć na losach Rzpltej w epoce jej rozbiorów.

Czy prawda ta rozumianą była przez szlachtę? Czy uczyniła ona cokolwiek, by w chwili tonięcia statku powołać do ratunku całą jego załogę? Odpowiedź nie może być inną, niż ta, którą dyktuje znajomość psychologji wszelkich klas uprzy-

wilejowanych, t. j. musi być przeczącą. Nawet w chwilach takiego napięcia, jakiemi były insurekcja kościuszkowska, a znacznie później powstanie listopadowe, szlachta ze zgrozą odżegnywała się od powołania pod broń prostego ludu dla obrony ojczyzny. A choć już za sejmu Czteroletniego widoczne były pewne, chociaż słabe, oznaki zmiany zapatrywań na sprawę włościańską, faktem jest, że konstytucja 3 Maja nie odważyła się dla chłopa cokolwiek uczynić, ograniczyła się tylko do obietnic na przyszłość, do usankcjonowania umów dobrowolnych dziedziców z włościanami.

Oprócz włościan dóbr dziedzicznych, miała Polska znaczny zastęp włościan dóbr królewskich i duchownych, a także różnego rodzaju włościan wolnych (najemników, t. zw. budników i in.) — kategorje te stanowiły więcej, niż 40% całego włościaństwa i pod względem prawnym były w pewnym stopniu lepiej od włościan dziedzicznych zabezpieczone. Ogólnej jednak charakterystyki położenie włościanina polskiego szukać należy u włościan dziedzicznych, nietylko z powodu ich przewagi liczebnej, ale też dlatego, że stosunki pańszczyźniane w dobrach dziedzicznych wpływały w znacznym stopniu na pańszczyznę w dobrach królewskich i duchownych (chociaż stan chłopów tych dwóch kategoryj był zawsze lepszym), a także na psychikę całej masy włościańskiej.

Co do różnic narodowościowych i wyznaniowych włościaństwa, to te narazie nie miały znaczenia; tylko chłopi dyzunici, których zresztą było bardzo niewiele, bezsprzecznie, wślad za swą hierarchją, przez złą politykę wyznaniową Polski, skłaniali się ku Rosji.

Dla lepszego uwydatnienia wadliwej budowy społecznej Polski w w. XVIII, podajemy stosunek liczebny oddzielnych klas ludności. Uczynimy to za rok 1791 podług obliczenia Korzona [1]).

Ogólna cyfra ludności Rzpltej w granicach, uszczuplonych przez pierwszy rozbiór, wynosiła wtedy głów 8,790.000.

[1]) «Dzieje wewnętrzne» wyd. 2-ie, tom I, dod. do str. 320.

Z tego było:

Szlachty		8%	(725.000)
Mieszczan chrześcijan	niespełna	6%	(500.000)
Żydów	przeszło	10%	(900.000)
Włościan	niespełna	73%	(6,365.000)
Duchowieństwa	niespełna	½%	(50.000)
Różnych (Tatarów, Ormian, roskolników)	niespełna	3%	(250.000)

Uderza tu ogromna ilość szlachty (w innych krajach stanowiła ona zwykle niespełna 1%), mała ilość mieszczan-chrześcijan i potworna ilość żydów. Pamiętać przytem należy, że z owych 500.000 mieszczan-chrześcijan znaczna część zajmowała się rolnictwem i właściwie z miastem tylko luźnie była związana.

Wśród szlachty było:

Posesjonatów	318.000
Hołoty szlacheckiej (szaraczków)	407.000

Oddzielne grupy włościańskie przedstawiały się w ten sposób:

Poddanych dóbr dziedzicznych było	3,400.000
Poddanych dóbr duchownych było	920.000
Poddanych dóbr królewskich (starostw i ekonomij)	1,030.000
Włościan wolnych	1,000.000

Obliczenie grup wyznaniowych, miarodajne także dla stosunków narodowościowych, wykazuje w tymże czasie:

Katolików rzymskich	53%	(4,650.000)
Unitów	29%	(2,600.000)
Dyzunitów	3%	(300.000)
Protestantów	2%	(150.000)
Raskolników	1%	(100.000)

Stosunki wyznaniowe w oddzielnych grupach społecznych przedstawiały się mniej więcej w takich cyfrach [1]):

Z liczby 725.000 szlachty tylko nieznaczna garstka (za-

[1]) Cyfry te są tylko przybliżone, dlatego Korzon je pominął.

pewne nie więcej nad 25.000) należała nie do rzymskich katolików, a do unitów, protestantów, Ormian i Tatarów.

Z liczby 500.000 mieszczan chrześcijan, było zapewne:

Katolików około	250.000
Protestantów około	150.000
Unitów około	100.000
Dyzunitów około	10.000

Włościan było:

Rzymskich katolików	3,460.000
Unitów	2,600.000
Dyzunitów	300.000

W ten sposób, chcąc mieć cyfry narodowościowe (językowe) można przyjąć, że na 8,790.000 ludności:

Polaków było	około	4,100.000 [1])
Rusinów i Białorusinów	około	2,800.000
Litwinów	około	700.000
Żydów	około	900.000
Innych narodowości (Niemców, Rosjan, Tatarów)	około	290.000

Przy 8,790.000 ludności w Polsce, Rosja liczyła w tymże czasie (t. j. w r. 1791) 26 miljonów, Austrja — 22 miljony, Prusy — $5^1/_2$ miljonów, Francja — 26 miljonów, Anglja — 14 miljonów, Szwecja — 2 miljony, Hiszpanja — 10 miljonów.

Co do obszaru Polska z 1791 obejmowała 519.000 kilometrów kwadratowych. W tymże czasie Rosja europejska miała 4,400.000 klm. kw., Prusy — 187.000, Francja — 540.000, Anglja — 297.000, Szwecja — 452.000, Hiszpanja — 495.000.

---

[1]) Z liczby unitów do Polaków zaliczyliśmy tylko 100.000. Liczbę Polaków w dzielnicach, odłączonych od Polski przy pierwszym rozbiorze, można przyjąć w r. 1791 na 1,300.000, na Śląsku na 600.000 i w Prusach Książęcych na 200.000. Razem więc w r. 1791 cały naród polski mógł liczyć około 6,200.000 głów.

Przejrzeliśmy w krótkości układ społeczny rozpadającej się Rzpltej szlacheckiej. Przejdźmy teraz do jej życia politycznego.

Przy wadliwej budowie społecznej życie polityczne koncentrowało się wyłącznie (jeżeli nie liczyć słabych początków ruchu miejskiego), w jednej klasie, w szlachcie. Ale jak widzieliśmy, w różnych grupach tego «narodu szlacheckiego» dokonywały się poważne zmiany, i na czoło szlachty pod koniec epoki rozbiorowej wysuwa się ziemiaństwo.

Dzieje polityczne obracają się około dwóch spraw najważniejszych: walki reformistów ze zwolennikami staroświeczyzny szlachecko-magnackiej i obrony niepodległości. Dwie te sprawy są stale z sobą splątane, przez co wytwarza się pewien zamęt.

Pierwsi sprowadzają interwencję Rosji zwolennicy reform, z Czartoryskimi na czele. Ich kandydatem jest kandydat Rosji, Stanisław August.

Opozycja staroszlachecka, mająca za przywódcę starego hetmana J. Kl. Branickiego, Radziwiłła «Panie Kochanku», Fr. Sal. Potockiego, biskupa Sołtyka, Teodora Wessla, Jerzego Mniszcha i Wacława Rzewuskiego, podnosi hasło niezależności Rzpltej.

Ale role zaczynają się zmieniać. Już w r. 1766 opozycja dostaje się na podwórko repninowskie i w swem służalczem zaślepieniu tak daleko zachodzi, że hasło godności i niezależności narodowej podtrzymują już nietylko Czartoryscy, ale nawet sam król Stanisław August. Z nienawiści do króla, partja staroszlachecka nietylko przy pomocy Rosji niweczy wszystkie dokonane w r. 1764 zbawienne reformy, ale sprzeniewierza się własnemu programowi, sprowadza gwarancję Rosji i pozwala sobie narzucić tak poprzednio zwalczane prawo o dysydentach.

Ale jeszcze podpisy konfederatów radomskich nie zaschły na haniebnym traktacie gwarancyjnym z r. 1768, już znaczna część tych Radomian staje się bojownikami konfederacji barskiej, zawiązanej w celu wręcz przeciwnym — do walki z Rosją i przeciw narzucanemu prawu o dysydentach. Partja staroszlachecka staje się znów przedstawicielką hasła niezależności Rzpltej, dawni zaś reformiści, broniąc się od Barszczan, siłą wypadków — szukają znów opieki rosyjskiej.

Jako smutny epilog ruchawki barskiej, nastaje pierwszy rozbiór kraju. Kataklizm ten nareszcie zbliża do siebie oba tak przeciwne sobie stronnictwa i wyłania nowe dwa kierunki: ugodowców i opozycję. Pierwsi — to partja rosyjska, drudzy — to narazie żywioły mieszane, począwszy od Rejtana, a kończąc na zwykłych krzykaczach i warchołach. A należą do tej opozycji już świeżo pogodzeni z sobą, na tle nienawiści do Stanisława Augusta, tyloletni antagoniści tradycyjni — Potoccy i przedstawiciele «familji» Czartoryskich.

Polska staje się de facto prowincją autonomiczną rosyjską. Rządzą król i prokonsul rosyjski, Stackelberg. Król, ze stronnictwem rosyjskiem, dąży do zaprowadzenia pewnego ładu w uszczuplonej Rzpltej, do pewnych reform, dopuszczanych przez Rosję. Opozycja stopniowo zaczyna się różniczkować i dzielić na luźne żywioły staroszlacheckie i noworeformistów, późniejszych «patrjotów». Ci ostatni, wbrew dawnym reformistom, będą wkrótce dążyli do przebudowy Rzpltej już niezależnie od Rosji, a więc będą nareszcie dążyli jednocześnie tak do odrodzenia narodowego, jak też do zupełnej niezależności państwowej.

Gdy zebrał się sejm Czteroletni, od pierwszej chwili zaczyna się walka stronnictw. Ugodowa partja rosyjska, z królem na czele, dąży do ostrożnych reform, zapomocą ścisłego przymierza z Rosją. Natomiast opozycja zaczyna od zerwania z Rosją i zniesienia reform, zaprowadzonych przy jej udziale; dąży do zasadniczych zmian państwowych, by zapewnić Polsce dawną niezależność; korzysta z chwilowego pochłonięcia sił rosyjskich przez wojnę z Turcją; chce się nadal zabezpieczyć od Rosji przez przymierze z Prusami i dla ułatwienia sprawy reform przyciąga wreszcie do siebie Stanisława Augusta. Partja rosyjska, pozbawiona poparcia króla i nieobecnego już Stackelberga, słabnie i wyradza się w zwykły malkontentyzm magnacki, z Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim na czele.

Niezaradność patrjotów, dawne narowy szlacheckie, niczem nieuleczalne gadulstwo, wreszcie intrygi niechętnych, wszystko to zmusza do zamachu stanu, prawda, w formie najłagodniejszej pod słońcem, w formie konstytucji 3 Maja. Ten zamach stanu jest zasługą, ale był także błędem «patrjotów». Jest zasługą — bo konstytucja ta stała się sztandarem

późniejszego naszego odrodzenia i zaszczytnie zamknęła okres szlachecki dziejów Polski. Ale był również błędem, bo nie liczył się z okolicznościami, zwłaszcza z bezbronnością Rzpltej wobec Rosji, i został przeprowadzony bez zgody i wiadomości sprzymierzonych Prus, a nawet bez zgody wyznaczonego na następcę tronu elektora saskiego.

Następuje Targowica... Jest to sprawa tak dobrze Rosji, jak malkontentyzmu magnackiego w osobach Szczęsnego Potockiego, Seweryna Rzewuskiego i Ksawerego Branickiego. Z malkontentyzmem tym łączą się lichsze żywioły staroszlacheckie, wszelkiego rodzaju ultraugodowcy, od spokojnych domatorów począwszy, do zwykłych niegodziwców, wreszcie zdeklarowani propagatorowie orjentacji rosyjskiej. Na czele tych ostatnich stają Szymon i Józef Kossakowscy, propagujący ideę stałej unji z Rosją.

Powstanie kościuszkowskie jest szlachetną próbą patrjotów uratowania niepodległości choć dla części kraju, już nie drogą reformy państwowej, jaką była ustawa 3 Maja, ale drogą czynu zbrojnego; jest zarazem kolebką nowej Polski, już nie wyłącznie szlacheckiej, ale ogólnonarodowej, zroszonej krwią wszystkich jej synów. Próba narazie skończyła się klęską, kraj cały zapadł w odrętwienie, i tylko niepoprawny malkontentyzm magnacki, stojąc nad grobem ojczyzny, pocieszał się jeszcze frazeologją takiego Seweryna Rzewuskiego, który na jednym stawiał poziomie: z jednej strony niepodległość narodu, z drugiej pozbycie się nienawistnej konstytucji 3 Maja! Zdobył ostatnie. Wolał Barabasza od Jezusa!...

W wskazanej walce stronnictw epoki rozbiorowej należy zwrócić uwagę jeszcze na parę rysów znamiennych.

Stare stronnictwo reformistyczne, t. j. Czartoryskich, nie licząc elementów od nich materjalnie zależnych, rekrutowało się poprzednio przeważnie z ludzi majętniejszych i przynajmniej zewnętrznie zcudzoziemczałych. Natomiast stronnictwo reformistyczne epoki sejmu Czteroletniego liczy już wielu przedstawicieli średniej szlachty ziemiańskiej i jest nawet zasilane przez żywioł miejski; w porównaniu więc do poprzedniego jest o wiele demokratyczniejszem. Wręcz przeciwnie dzieje się w szeregach konserwatystów. Ci, w pierw-

szych latach panowania Stanisława Augusta, mają wprawdzie jako przywódców magnatów, ale składają się przedewszystkiem z przedstawicieli szerokich warstw szlacheckich, jak to uwidoczniła najlepiej konfederacja barska. Natomiast w czasie sejmu Czteroletniego, a zwłaszcza w czasie Targowicy, obóz reakcyjny posiada już mało średniej szlachty i jest właściwie już tylko frondą możnowładczą.

Ugodowcy i «rosjofile» (nazwa «rusofile» jest mniej udatną), zdarzali się w Polsce także poprzednio, ale nie w tem znaczeniu, w jakiem ich dziś pojmujemy; dopiero epoka rozbiorowa stworzyła kierunki, które chciały pogodzić naród polski z orjentacją wschodnią.

Narody i społeczeństwa niepodległe nie znają ugodowców, znają oportunistów. Otóż oportunistów możnaby po polsku nazywać także ugodowcami, i tacy ugodowcy-oportuniści oczywiście, jak wszędzie, byli też w dawnej Polsce. Ugodą zaś od czasów rozbiorów zaczyna się nazywać pewien specyficzny kierunek oportunistyczny, uwarunkowany zależnością od władzy cudzoziemskiej, pozbawiony wszelkiej śmiałości w postępowaniu, godzący się na wszelkie kompromisy (dobrze, jeżeli nie nazbyt poniżające), by ratować choć to, co narazie jest możliwe, wreszcie poświęcający często przyszłość dla względów teraźniejszości.

Otóż typowym ojcem tego kierunku był właśnie Stanisław August, a zwolennikami cała partja królewska, w której spotykamy często pracowników zdolnych i użytecznych, ale jeszcze częściej ludzi o patrjotyźmie płytkim, dbających przeważnie tylko o interes osobisty, charaktery słabe, liche, nierzadko sprzedajne.

Stronników rosyjskich namnożyło się w Polsce już za Augusta II, było ich dużo wśród magnaterji za Augusta III; ale stronnikom tym nie przychodziło do głowy poddawanie Rzpltej pod władzę Rosji, ograniczanie jej niepodległości. Wprawdzie smutnej pamięci konfederacja tarnogrodzka w r. 1716, w sporze swoim z Augustem II, udała się do medjacji Piotra W., a ten wyznaczył od siebie, jako medjatora, swego posła Dołgorukiego, ale od medjacji do gwarancji bardzo daleko. A gdy Dołgoruki później zaczął zanadto wichrzyć w Rzpltej, August II nie wahał się zażądać jego odwołania i na swojem postawił.

Jeżeli później Rosja i stronnicy rosyjscy, a w ich rzędzie na nieszczęście także mądrzy i patrjotyczni Czartoryscy, powołali się na konstytucję pierwszego sejmu niemego z roku 1717, jako na dowód, że Rosja została gwarantką swobód polskich, to interpretacja ta była tylko dowolnym pretekstem do interwencji Rosji w naszych sprawach.

Zupełnie inaczej przedstawia się «rosjofilstwo» w epoce rozbiorowej. Wychodzi ono z założenia, że Polska bez Rosji utrzymać się nie może, tak przez wzgląd na stosunki wewnętrzne, jak też na apetyty pruskie, i że Polska dążyć musi do najściślejszego sojuszu ze wschodnim sąsiadem. Od tej ideologji do koncepcji smutnej pamięci braci Kossakowskich, hetmana i biskupa, o konieczności unji z Rosją był tylko krok jeden, przyczem koncepcja ta w niczem nie przypominała dawnych projektów z końca XVI i początku XVII w. zunjowania Moskwy z Rzpltą; tam Rzplta miała być stroną dominującą, obecnie stosunek miał być wprost odwrotny.

Na obronę tego kierunku abdykacyjnego na korzyść Rosji w czasie upadku Rzpltej dałoby się zresztą dużo powiedzieć. Wtedy, w chwili upadku Rzpltej ludzie wobec kataklizmu musieli tracić równowagę, nie mieli za sobą przeszło wiekowego doświadczenia, które mamy obecnie, zresztą nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństw kulturalnych, zasadniczych różnic cywilizacji wschodniej i zachodniej, z faktu, że jeżeli zależność nasza od państw z cywilizacją zachodnią grozi nam koniecznością walk narodowościowych i ekonomicznych, to unja z ogromnem imperjum, z cywilizacją wschodnią, nie może nie prowadzić do zatraty naszej indywidualności kulturalno-narodowej.

Jeżeli epoka rozbiorowa była świadkiem ścierania się różnych kierunków politycznych, to jednak wszystkie one miały jedną cechę wspólną, która je łączy i w rezultacie sprowadza do jednego mianownika — był nim brak wiary w siły własne. Ten brak wiary przenika wszystkie ujemne zjawiska tej epoki i tem brakiem wiary tłumaczy się stałe szukanie oparcia zagranicą, płaszczenie się przed obcymi, zaniedbanie własnej siły zbrojnej, niezaradność skarbu. Natomiast sam ten brak wiary w siły własnego narodu pozostał skutkiem zredukowania pojęcia narodu do jednej, choć licznej, klasy uprzywilejowanej.

Szukanie oparcia zagranicą i płaszczenie się przed obcymi datuje się od końca XVII w. Czując słabość Rzpltej, zamiast uczynić ją silną przez poprawę stosunków wewnętrznych, zwrócono się do obcych. Odtąd prąd ten nietylko nie ustaje, ale stale się zmaga, staje się przyzwyczajeniem, potrzebą psychologiczną, drugą naturą. Najbardziej patrjotyczni ludzie XVIII w. i najwybitniejsi nasi politycy największą wagę przywiązywali zawsze do pomocy zagranicznej. Na dobitek złego, o arkanach polityki zagranicznej mało wiedziano, i zamiast faktów realnych, brano iluzję za podstawę do swych kombinacyj, programów i czynów politycznych.

Znana redukcja wojska w r. 1717 do znikomej cyfry 24.000 dokonaną została nietylko z obawy zamachów absolutystycznych Augusta II, ale też z przeświadczenia, że Rzplta jest za biedną, by więcej wojska mogła utrzymywać. Przekonanie to trwało odtąd stale, jako pewnik, niepotrzebujący dowodzenia. Gdy w r. 1774 na sejmie podziałowym dowiedziano się, że mocarstwa zagraniczne zgodziły się na powiększenie siły zbrojnej do 30.000, nie przyjęto tego, jako pewnego ustępstwa, ale jako nowy ciężar, jako chęć zrujnowania kraju. Na sejmie zaś Czteroletnim uchwała o wojsku stotysięcznem była tylko ogniem słomianym, który zgasł niebawem — koszta na utrzymanie takiej liczby wojska wydały się przechodzić możność podatkową ludności.

Bo w parze ze znikomą siłą zbrojną szedł śmiesznie nikły budżet państwowy. Wynosił on za Augusta III 8 miljonów złp., a za największego natężenia patrjotycznego w czasie sejmu Czteroletniego nie doszedł do 40 miljonów złp. Aby zrozumieć nikłość tych cyfr, dość powiedzieć, że stanowił zaledwie 1/75 część ówczesnego budżetu francuskiego. Jeżeli nawet uwzględnimy zupełnie różny ustrój administracyjny w Polsce i we Francji, w Polsce zupełną decentralizację, a we Francji wciąż postępujący centralizm, to i w takim razie, przy uwzględnieniu wszelkich okoliczności, wypadnie, że dochody i rozchody państwowe w Polsce miały się do takichże dochodów i rozchodów we Francji, jak 1 do 20; a tymczasem ludność Polski miała się do ludności Francji (do pierwszego rozbioru), jak 12 do 26, czyli prawie jak 1 do 2.

Dochody państwowe Rosji, Austrji, Prus i Anglji nie mogą nawet iść w porównanie z dochodami Rzpltej, a pomimo to państwa te posiłkowały się jeszcze stale i oddawna kredytem na wielką skalę. Zato państwa te utrzymywały teraz armje krociowe od 200.000 do 400.000 ludzi.

«Bez kredytu» — cytujemy słowa Korzona [1]) — «niepodobna było w końcu XVIII w. dokonać wielkich przeobrażeń w budowie państwa, stworzyć armji stotysięcznej. Dokoła wszystkie rządy używały i nadużywały tej potęgi. Austrja w r. 1763 miała 150 miljonów guldenów, czyli 600 miljonów złp. długu (6 razy więcej, niż cały dochód roczny), ale dotrwała w wojnie siedmioletniej. Kongres amerykański wypuścił papierowych pieniędzy na 42 miljony dolarów, t. j. 336 miljonów złp. przy ludności niespełna 4 miljonowej; te pieniądze doszły do kursu 1 za 100, ale Stany Zjednoczone zdobyły sobie niepodległość. Anglja gromadziła swój olbrzymi dług państwowy już od końca XVII w., ale zdobyła sobie panowanie nad wszystkiemi morzami globu. Zgromadzenie ustawodawcze i prawodawcze we Francji zasilały skarb wyłącznie prawie asygnatami; konwencja doszła do 8 miljardów w połowie 1794 r., a do 16 miljardów franków ku końcowi 1795 r., sprowadziła ciężkie zawikłania ekonomiczne; ale całą skoalizowaną Europę odparła i zwyciężyła. Katarzyna II wydała asygnat na 200 mil. rubli, t. j. około 1.2 miljarda złp., ale Turcję dwukrotnie pobiła i Polskę podzieliła. Jeśliby sejm Czteroletni rozumiał te zjawiska i fakta, czyliżby ośmielił się przypuszczać, że przez proste podatkowanie i odręczne krótkoterminowe pożyczki dostarczy skarbowi zasobów dostatecznych do stawienia czoła potężnym finansom państw ościennych? Przechwalali się niejednokrotnie politycy polscy, że skarb Rzpltej nie jest obciążony długami; tem większą jest ich wina, że tej dogodności nie wyzyskali na ratunek kraju w ostatniej potrzebie».

Co do niedostateczności podatków, uchwalonych przez sejm Czteroletni [2]), Korzon, analizując tę sprawę, rozróżnia możność materjalną od intelektualnej. Materjalnie podatki mogły być o wiele większe; jeżeliby stopa podatkowa wyrównała np. stopie za Królestwa Kongresowego, Polska za czasów sejmu Czteroletniego powinna była mieć conajmniej

[1]) «Wewnętrzne Dzieje». Wyd. 2-gie, t. III, str. 352.
[2]) Korzon: «Wewnętrzne Dzieje Polski». Wyd. 2-gie, t. III, str. 304.

100 miljonów dochodu i 200.000-ną armję. Natomiast intelektualnie, nawet owe 40 miljonów złp. były dla ludzi ówczesnych już sumą ogromną i dowodem poświęcenia, a to z powodu, że suma ta była dwa razy większą od dochodów przedsejmowych i kilkakroć większą od dochodów za czasów saskich.

B. MOCARSTWA ZAGRANICZNE

Czego potrzebowała Polska dla dokonania swego odrodzenia?

Czasu.

Tego czasu nie dały jej Rosja i Prusy, skorzystały z chwilowej jej słabości i, umówiwszy się z Austrją, przy zupełnej obojętności Francji i Anglji i wbrew protestowi tylko Turcji i Papieża, rozszarpały na kilka części to państwo starodawne i naród z wielką przeszłością cywilizacyjną.

Przyjrzmy się tej akcji.

Rosję reprezentowała Katarzyna II, niekiedy zwana Wielką.

Była to kobieta niewątpliwie wyjątkowa. Miała zdolności nadzwyczajne, ogromną siłę woli, umiejętność panowania nad sobą, wielką ambicję, jednocześnie zaś pewien liberalny sposób myślenia, niepozbawiony pewnych cech szlachetniejszych dopóki była wielką księżną, i nadzwyczajne, późniejsze powodzenie nie popsuło jej do szczętu. To powodzenie, zdobyte w sposób iście cudowny, otoczone uznaniem i pochlebstwem całej Europy, nie mogło nie zawrócić głowy dawnej skromnej księżniczce Zerbstskiej. Ujemne cechy jej charakteru, jak próżność, mściwość, brak mocnych uczuć moralnych, musiały się rozwinąć i zacząć kierować jej postępowaniem.

Była zmysłową. Zmysłowości jej nie opromieniało nawet uczucie, ale też nie była niewolnicą swych zmysłów, owszem, rozkazywała im, choć dogadzała. Nie kryła się z tą swoją potrzebą fizjologiczną. Owszem, afiszowała ją, obstawiła ceremonjałem służby monarszej. Podobna w tem do Ludwika XIV, prześcignęła go wkońcu w cynizmie, zwłaszcza, że była kobietą.

Nie znali Katarzyny ani Stanisław August, ani Czartoryscy, jeżeli na jej zmysłach, a tem bardziej na uczuciu postanowili oprzeć swą działalność. Nie doceniali również jej zdolności politycznych. Mieli nadzieję nią pokierować, a sami stopniowo stali się jej narzędziem.

Nie odrazu. Pod tym względem należy im oddać sprawiedliwość. Jako wielka księżna, Katarzyna niewątpliwie starała się dogodzić prośbom Stanisława Augusta i jego wujów. Nawet wstąpiwszy na tron, nie odrazu zmieniła postępowanie; gotowa była nawet dopomóc Czartoryskim do detronizacji Augusta III. Nawet nieprzyjazne Poniatowskiemu wpływy nowego kochanka, Orłowa, nie sprowadziły jeszcze zmiany. Sprowadziła ją dopiero — racja stanu rosyjska, w osobie ówczesnego kanclerza, Nikity Panina.

Nikita Panin wskazał Katarzynie na jej obowiązek monarszy prowadzenia względem Polski polityki, zgodnej z rosyjską racją stanu; obowiązek ten mniej lub więcej gorliwie spełniali wszyscy jej poprzednicy na tronie carów; uchylić się od tego obowiązku było dla niej rzeczą tem bardziej niebezpieczną, że była przecież tronu tego uzurpatorką.

Więc eks-kochance Poniatowskiego nie wolno było słuchać jego wujów, Czartoryskich, bo program Czartoryskich mógł doprowadzić do wzmocnienia Polski; ale wolno było, a nawet należało, uczynić wiele, by Czartoryskich zjednać, związać ich z polityką rosyjską, a Stanisława Poniatowskiego uczynić dogodnem tej polityki narzędziem.

W instrukcji, danej ks. Repninowi 11 listopada 1763 r. w sprawie popierania kandydatury Stanisława Augusta, rząd rosyjski każe oświadczyć ówczesnemu stolnikowi litewskiemu, że za swoje poparcie Rosja wymagać będzie zupełnego oddania się jej interesom i postępowania z bezwarunkową uległością dla życzeń i zleceń dworu rosyjskiego; przytem już wtedy Repnin miał sobie zalecone starać się, by Rzplta zwróciła się do Rosji z prośbą o gwarancję jej ustroju i wolności. To polecenie powtarza się odtąd stale w korespondencji Katarzyny II i Panina z Repninem.

Gdy elekcja Stanisława Augusta stała się nareszcie faktem dokonanym, Katarzyna pisała do Panina: «Winszuję wam króla przez nas wybranego».

Dla przeprowadzenia swych reform, Czartoryscy musieli postępować z wielką ostrożnością, musieli pewne rzeczy

przemycać cichaczem, inne wprost pomijać. Tak, musieli pozostawić dawny nieład na sejmikach, chcąc usunąć liberum veto przynajmniej na sejmach, choćby tylko w sprawach ekonomicznych; ale i tego nie ważyli się powiedzieć otwarcie, wsunęli tylko nieznacznie przepis, głoszący, że sprawy ekonomiczne mają być na sejmie załatwiane «trybem sądowym» (forma judiciaria). Określenia tego Repnin odrazu nie zrozumiał.

24 grudnia 1764 roku pisze Stanisław August do Katarzyny: «Śmiem sądzić, że Wasza Imp. Mość upatruje najwyższy dowód mojej uległości w ofierze, którą złożyłem na sejmie. Poświęciłem to wszystko, co najbardziej mi leżało na sercu. Przeprowadzenie zasady głosowania większością na sejmie i uchylenie liberum rumpo, były to przedmioty najgorętszych moich pragnień. Życzyłaś sobie Wasza Imp. Mość, by tego nie wnosić pod obrady... i stało się Jej woli zadosyć. Mam prawo spodziewać się, że ta z mej strony powolność uczyni Waszą Imp. Mość przychylniejszą dla tej sprawy w przyszłości».

Jeszcze przedtem Repnin, pisząc do imperatorowej o uległości Stanisława Augusta, wyraźnie zaznaczał: «On też udaremnił, by sejmiki odprawiać większością, a nie jednomyślnością głosów. A stało się to na skutek naszego w tej mierze żądania».

Jeżeli nie było kłopotu ze słabym Stanisławem Augustem, to sprawa była mniej łatwa z Czartoryskimi. Wpływ ich na króla stawał się niedogodnym; Repnin otrzymał więc polecenie poróżnić króla z wujami, a także podjudzić przeciwko niemu inne znaczne rodziny magnackie, zwłaszcza Potockich. Ta siewba Panina trafiła, jak wiemy, na grunt podatny; przygotował on sobie zawczasu przyszłych Radomian.

Wysunięcie przez Rosję w r. 1766 sprawy dysydenckiej wynikło tak z powodu podrażnionej miłości własnej Katarzyny, której żądanie w tej kwestji nie zostało zaspokojone w r. 1764, jak też z taktyki rządu rosyjskiego, a zwłaszcza Panina, który widział w tem środek do stałego wtrącania się do spraw wewnętrznych Rzpltej. Pierwszy motyw przeważał w r. 1766, motyw drugi staje się dominującym w r. 1767 i 1768, kiedy przez sprawę dysydentów Rosja dochodzi do uzyskania traktatu gwarancyjnego.

Wymagane przez Rosję prawo o dysydentach nie przeszło na sejmie 1766 r. Natomiast udało się wtedy Repninowi zwalić jądro reformy Czartoryskich, t. j. osłabienie liberum veto w sprawach ekonomicznych; teraz zostało ono w całej swej rozciągłości znów uroczyście potwierdzone. «Proszę mi powinszować, drogi wuju» — pisał Repnin do Panina — «zwycięstwa w sprawie głosowania większością. Wyznaję, że cieszę się niewymownie, iż mogłem poprawić błąd, zrobiony na sejmie konwokacyjnym». Na tym raporcie Katarzyna zrobiła notatkę własnoręczną: «I ja także winszuję».

Pogrom Czartoryskich ośmielił Repnina — zagrał na nienawiści opozycji do Stanisława Augusta. Pozwolił jej upijać się ułudą detronizacji króla. Dziełem tej nienawiści była haniebna konfederacja radomska i jej ostateczny rezultat — sejm delegacyjny 1767—8 r.

Jak w całej sprawie dysydentów względy na tolerancję religijną nie odgrywały żadnej roli, widać doskonale z korespondencji między Paninem i Repninem.

«Sprawa dysydentów» — pisał Panin w r. 1767 — «nie ma na celu szerzenia w Polsce wiary naszej oraz wierzeń protestanckich, lecz jest jedynie dźwignią dla pozyskania sobie, przy pomocy naszych jednowierców i protestantów, silnego i przyjaznego stronnictwa, z prawem uczestniczenia we wszystkich polskich sprawach, nie już z tytułu wyjednanej obecnie ze strony Rzpltej gwarancji Jej Imperatorskiej Mości za całość jej konstytucji i formy jej wolnego rządu, lecz z tytułu sprawowania opieki (która ma być nam na wieczne czasy zapewniona) nad tą słabszą w państwie polskiem częścią ludności, która odtąd bezpieczeństwo swoje będzie opierać na tej naszej opiece. Przyjmując tym sposobem, dla jaśniejszego określenia sprawy dysydenckiej, taką mianowicie zasadę, uważam za rzecz konieczną wyjaśnić szczegółowo motywy. Oto religje protestanckie, uśmierzając przesądy i ograniczając władzę duchowieństwa, mogłyby łatwo, w razie większego swego rozpowszechnienia, wyprowadzić Polaków z ciemnoty, w której dotąd jeszcze w większości swej są pogrążeni, a przez wyzwolenie ich z tej ciemnoty mogłyby doprowadzić ich stopniowo do zaprowadzenia u siebie nowych porządków, które, skupiając ich wewnętrzną siłą i doprowadzając ją do większej, aniżeli dotąd, potęgi, mogłyby zwrócić

ich przeciwko Rosji, opiekunki ich w czasie obecnym, ale rywalki ich głównej w przyszłości. Między politycznemi organizmami, jak niechęć za doznane cierpienia, tak też wdzięczność za doznane dobrodziejstwa, nie są to uczucia trwałe. Zapewne, w odniesieniu do naszych jednowierców, niema powodu powyższego się obawiać, lecz z drugiej strony, przyczyniając się do zbytniego ich rozrostu, przy którym mogliby sami przez się bez naszej pomocy rozwijać się w Rzpltej i dzielić jej rządy, moglibyśmy się narazić na szkodę, choćby tylko z racji częstszego zbiegowiska ludności z Rosji do Polski, wywołanego panującą w Polsce wolnością wierzeń i korzyściami, wynikającemi ze swobód narodowych; musiałoby to wywołać dotkliwą szkodę dla naszego państwa i wzniecić w Rosji słuszną obawę o pograniczne prowincje, prawami i obyczajami do Polski zbliżone».

Chodziło więc wcale nie o dysydentów, ale o akcję machjawelistyczną lepszego pognębienia Polski. Oto, co tenże Panin pisze wkrótce potem: «Zalecam mieć za niezmienne prawidło — najzupełniejsze, bez żadnych wyjątków, przywrócenie nieograniczonego głosu wolnego (liberum veto), a przytem ulegalizowanie zasad prymasowskich [1]), projektowanych w przedmiocie praw kardynalnych, w takim stopniu, by ich żadne konfederacje nie mogły uchylić, bo te zasady, o ile trwać będą niewzruszenie, zawsze ochraniać będą wolność polską i formę jej rządu od wszelakich zmian postronnych. Przy swoim głosie wolnym i z takiemi prawami kardynalnemi, Polska pozostanie na zawsze, przy nieładzie swym wewnętrznym, zerem politycznem».

Z chwilą podpisania w r. 1768 traktatu gwarancyjnego, Polska przestała być nietylko już faktycznie, ale również prawnie, państwem niezależnem. Plan Panina został urzeczywistniony.

Ale oto wybuchła konfederacja barska. W obronie Polski stanęła Turcja i wypowiedziała Rosji wojnę. Choć słabo i nieszczerze, a nawet wprost na naszą zgubę, jednak konfederację tę popierała również Francja. Jednocześnie Austrja zagroziła Rosji wojną w razie zagarnięcia Turcji Mołdo-Wołoszczyzny. Taką chwilę uznał za odpowiednią Fryderyk II

[1]) Niecnego prymasa Podoskiego.

dla zdobycia Prus Królewskich i zaproponował Rosji pierwszy podział Polski.

Co skłoniło Katarzynę II do zgodzenia się na ten projekt? Był on przeciwny dotychczasowej polityce rosyjskiej, dążącej do uzależnienia od siebie całej Rzpltej; przytem w r. 1768 Rosja stała się nietylko sprzymierzeńcem, ale nawet gwarantką całości Rzpltej; zgodzenie się więc na podział było krzyczącą zdradą sprzymierzeńca. Względy te nie wstrzymały jednak Katarzyny. Potraktowała Polskę, jako zdobycz, której częścią może opłacić inne korzyści. Przez oddanie po kawałku ziemi polskiej Prusom i Austrji, zapewniła sobie spokój ze strony państw, które mogły jej przeszkadzać w Turcji.

Pierwszemu podziałowi Polski, t. j. dopuszczeniu do obłowienia się na niej także Prusom i Austrji, przeciwny był zarówno Panin, pierwszy minister Katarzyny, jak Saldern, nowy ambasador rosyjski w Polsce, wsławiony tam przez swą brutalność. Natomiast za podziałem gorąco przemawiali faworyci Katarzyny, Orłowowie i Czernyszewowie; powodowała nimi chęć upokorzenia nielubionego dawnego rywala, a jeszcze bardziej chciwość obłowienia się spodziewanemi donacjami.

Zgodziwszy się na podział Polski, Katarzyna zmuszona była bronić się od coraz bardziej rosnących apetytów swych kontrahentów, zwłaszcza Prus. Ta akcja obrończa, dokonywana wyłącznie z pobudek interesu rosyjskiego (gdyż Rzplta miała nadal wyłącznie zależeć od Rosji), przed Polakami z powodzeniem wystawiana była jako pomoc bezinteresowna, za którą należały się wdzięczność i zaufanie.

Czas od r. 1775 do sejmu Czteroletniego, to czasy współrządów Stanisława Augusta i nowego ambasadora rosyjskiego, Stackelberga [1]). Polska jakby pogodziła się z rolą autonomicznej prowincji rosyjskiej; nic się nie działo bez woli Rosji. Katarzyna stała się wyrocznią. Czarowała panów polskich swą potęgą, majestatem, rozumem, wdziękiem, a nawet życzliwością dla Polski. Epitet: «ta wspaniałomyślna

[1]) Stackelberg był najdłużej ambasadorem, a właściwie wielkorządcą rosyjskim w Warszawie 1772—1790. Repnin pozostawał w Polsce 1764—1769, Wołkoński — 1769—1771, Saldern — 1771—1772, Bułhakow — 1790—1792, Sievers — 1792—1793. Ostatnim był Igelström.

i wielka monarchini» słodko brzmiał w uszach króla i magnatów. Kalinka, wspominając o tem, cytuje trafne spostrzeżenie psychologiczne de Maistre'a, że «ile razy zgodzi się ktoś przez słabość charakteru, lub z obawy cierpienia, na rzecz nieprawą, tyle razy bezzwłocznie weźmie stronę tych, co go do niej zmusili». Dlatego wśród ugodowców tego czasu (jak zresztą i późniejszych) spotykamy tylu ludzi lichych, nawet zaprzańców.

Ale demoralizująca ugoda, sama przez się, jako taktyka na krótką metę, staje się czasem koniecznością. W pewnym więc stopniu da się usprawiedliwić także po pierwszym rozbiorze. Katarzyna pisała do Stackelberga: «Powiedz Królowi, że nie przestają nalegać na mnie, abym na dalszy podział zezwoliła. Odmawiam i odmawiać będę wciąż, dopóki Król i naród będą ze mną trzymali; w razie przeciwnym, nic mi nie przeszkodzi wymazać imię Polski z karty geograficznej». A nie była to z jej strony pusta pogróżka. Wszystkie rządy europejskie oglądały się na Katarzynę, wszystkie chciały ją mieć po swej stronie. Cesarz Józef II mówił do księcia de Nassau: «Ja i król pruski drżymy obadwa, kto z nas będzie lepiej z imperatorową; tem więcej przeto musi zależeć Polsce na jej przyjaźni». Fryderyk II, jak mógł, tak schlebiał Katarzynie. «Trzeba» — mówił — «modlić się do djabła, by mu przeszkodzić źle czynić».

Z woli Rosji narzucona została Polsce w r. 1775 Rada Nieustająca. Nalegał na jej wprowadzenie Stackelberg, by przez nią jeszcze bardziej ograniczyć władzę królewską i łatwiej wpływać na rząd polski w duchu rosyjskim. Na dobro Stanisława Augusta i partji królewskiej należy zapisać, że z Rady tej uczynili instytucję dla kraju pożyteczną. Przy jej pomocy zaprowadzili pewien ład w administracji, a skacząc koło wszechwładnego ambasadora, starali się czujność jego usypiać i osłabiać. U Sienkiewicza w jego «Listach z podróży» spotykamy barwny opis zgodnego współżycia susłów z wężami — opis ten da się w zupełności zastosować do współżycia Polaków ze swymi najeźdźcami.

Znaczenie ambasadora rosyjskiego w owym czasie ilustruje zdarzenie, które miało miejsce z posłem austrjackim, baronem Thuguttem. Ten w r. 1780 przyjechał do Warszawy i, gdy przybył na pierwszą audjencję do zamku, ujrzał w sali

audjencjonalnej siedzącego na wielkim krześle człowieka, którego otaczało mnóstwo dygnitarzy w mundurach i orderach, z odznakami najwyższego uszanowania. Zbliżywszy się więc i oddawszy pokłon głęboki, Thugutt chciał złożyć swój list wierzytelny, przestrzeżono go jednak, że to był poseł rosyjski, Stackelberg. Król zaś stał opodal w oknie, rozmawiając z kilkoma osobami... Aby ocenić właściwie ten epizod, należy porównać go z służalstwem ówczesnych dygnitarzy rosyjskich, już nietylko względem Katarzyny, ale nawet względem jej faworytów. Suworow nigdy się inaczej nie zbliżał do Katarzyny, jak na klęczkach. Faworytowi jej, Zubowowi, nie wstydził się usługiwać przy rannej kawie, z tacą, w fartuchu, późniejszy sławny feldmarszałek Kutuzow, wówczas już w randze jenerała.

Gdy w r. 1787 Stanisław August chciał się spotkać z dawno, bo od 1757 r., niewidzianą Katarzyną, musiał na nią czekać w marnej mieścinie, jaką był Kaniów, od 24 marca do 6 maja, bo choć Katarzyna przybyła do Kijowa jeszcze w końcu lutego, aby tu zabawić około miesiąca, ale nie śpieszyła się wcale. W ten sposób niedaleko od siebie rozłożyły się dwa dwory, rosyjski i polski. Że pierwszy był wspaniały, a drugi skromny — nic dziwnego, ale nie mogło nie razić, zwłaszcza cudzoziemców, których tam zebrało się sporo, że cała magnaterja polska cisnęła się do Kijowa, a po większej części starannie omijała Kaniów.

Któż z panów polskich nie śpieszył złożyć hołdu «wspaniałomyślnej monarchini»? Zjechali do Kijowa: Potoccy — Szczęsny, Seweryn i Ignacy, Lubomirscy — Józef i Michał, Sanguszkowie — Janusz i Hieronim, Sapieha Kazimierz, Tyszkiewicz Ludwik, Mniszech Michał, Poniatowscy — Stanisław i Józef, Plater Kazimierz, Bniński Łukasz, Tarnowski Rafał. Córka tego ostatniego, później, 6 maja, trzymana była do chrztu przez Katarzynę i Stanisława Augusta. Z wymienionych osób Bniński (wówczas sędzia poznański, późniejszy Targowiczanin), który wspólnie z innymi giął się w ukłonach przed Katarzyną, przepędziwszy w Kijowie kilka tygodni, gdy wracał, zawadził o Kaniów i chciał zaraz po przybyciu nad ranem widzieć króla. Gdy mu odpowiedziano, że król przed południem nie przyjmuje, bardzo to wziął do serca i wykrzykiwał, że mu każą czekać!...

Ale nadszedł sejm Czteroletni. Stronnictwo patrjotyczne, korzystając z tego, że Rosja była zajęta nową wojną turecką, postanowiła zerwać tę upokarzającą zależność od Rosji. Lecz w swym zapale, a także przez nieumiejętność polityczną, posunęło się za daleko i obaliło ład, z takim trudem zaprowadzony w administracji państwowej w czasie współrządów Rosji z Stanisławem Augustem, a natomiast długo nie umiało stworzyć nowego rządu; sprowokowało Rosję, a nie potrafiło stworzyć odpowiedniego pogotowia zbrojnego i zasilić skarbu publicznego; wreszcie, zawierając przymierze z Prusami, dowiodło wielkiej naiwności politycznej, oparłszy je nie na przesłankach realnych, a wyłącznie na frazesach.

Działalność sejmu Czteroletniego głęboko dotknęła stan posiadania Rosji w Polsce; jeszcze mocniej miłość własną Katarzyny. «Katarzyna — jak słusznie zauważył Kalinka — była kobietą próżną i mściwą. Umiała zimno rachować i ważyć, gdy układała intrygę, gdy się na swego przeciwnika zaczajała; ale patrzeć spokojnie na stosunki narodów, ponad chwilowe namiętności i zboczenia, nie dozwalała jej ciągle wzburzona w niej pycha. Poza sobą nic widzieć nie potrafiła; kiedy nie ambicja, to zemsta kierowała jej czynami. Było to dla niej obrazą, wymagającą srogiego odwetu, że Polacy bez niej, wbrew niej, radzili o swojej przyszłości; owego króla znękanego, który po tylu zawodach marzył, że mu Bóg da choć na starość chwilę szczęścia w rozpogodzonej doli narodu, nazwała «najprzewrotniejszym, najniebezpieczniejszym z Polaków, na którego nigdy liczyć nie można». Jej gniew doszedł już do najwyższego stopnia zaciekłości, kiedy na ławach Czteroletniego sejmu pozwolono sobie szydzić z jej obyczajów, wśród oklasków publiczności warszawskiej. Na nieszczęście rzucanie obelg na nieprzyjaciół, jątrzenie ich, choć silniejsi, było zwykłą taktyką większości naszych polityków, — i smutno wyznać, że do dziś dnia jest najpewniejszym u nas środkiem do zarobienia sobie na sławę patrjoty. Mimo stu lat pokuty, nie postąpiliśmy pod tym względem ani na krok. Katarzyna tak mocno uczuła się temi obelgami zranioną, że je w swej deklaracji zamieściła, jako jeden z powodów, dla których armję wysyła do Polski, chociaż przez samą przyzwoitość wypadałoby jej o tem zamilczeć. Ale owe szyderstwa i oklaski kilkunastu nierozważnych wciąż w jej uszach dźwięczały;

chciała je zgłuszyć jękiem całego narodu i jego poniżeniem bez miary. Mało jest w historji przykładów zemsty, w gruncie za dość mizerną obrazę, tak głęboko obmyślanej, wszechstronnie a pocichu przygotowanej i dokonanej z takim triumfem. Wszystkie niemal potęgi europejskie były do tej gry użyte; Polska zarzucona znienacka siecią intryg, Austrja i Prusy silnie do wojny z Francją popychane; król szwedzki, który dopiero co był jej wrogiem, staje się odrazu niby przedmiotem jej uwielbienia, jako przyszły wódz monarchicznej Europy; emigranci francuscy, hojnie wspierani, służą jej po wszystkich dworach, nie wchodząc w to, skąd się wzięła w owej «przyjaciółce Woltera» tak wielka naraz gorliwość w obronie dawnych podstaw społeczeństwa; wreszcie w samej Francji, w jej klubach rewolucyjnych, zwłaszcza też w Strasburgu, agenci imperatorowej przemawiają burzliwie, grożą sąsiadom, układają spiski, chcąc ostrożnego cesarza austrjackiego zmusić do prędszej zaczepki — a to wszystko nie w innym celu, tylko aby carowa mogła sam na sam rozprawić się z Polską, wywrócić dzieło 3 Maja, rozpędzić jej stronników, zdeptać naród i króla. Zaprawdę, trudno oprzeć się zdumieniu na widok tej niezmiernej zręczności, której Katarzyna dowiodła w owej intrydze, oraz tej pewności użytych środków dla oszukania sprzymierzeńców i zduszenia swego przeciwnika».

Gdy się mówi o drugim rozbiorze Polski, zwykle główna ohyda tego aktu zwalana bywa na wiarołomnego sprzymierzeńca Rzpltej, króla pruskiego. Wina jego jest niewątpliwą, gdyż jeżeli mógł w pewnym stopniu uważać dokonany bez jego wiedzy zamach stanu z 3 maja za okoliczność, zmieniającą jego obowiązki sprzymierzeńcze, powinien był o tem ostrzec Polskę wyraźniej, niż to uczynił. Ale, porównując to wiarołomstwo z wiarołomstwem Katarzyny, sąd bezstronny historji nie pozwala stawiać jej wyżej od Fryderyka Wilhelma, owszem, musi stwierdzić, że postępowanie jej było w danym wypadku jeszcze wstrętniejsze, jeszcze potworniejsze.

Król pruski w swym stosunku do Polski kierował się stale swą racją stanu, racją zapewne często bezwzględną i niemoralną, ale bądź jak bądź interesem źle czy dobrze zrozumianym swego państwa. Łudził Polaków, ale był ostrożny w swych oświadczeniach, przynajmniej urzędowych. O wiele

gorzej Katarzyna. Ta, bez względu na wszelkie racje stanu, mściła się i pastwiła nad narodem, który śmiał, wbrew jej woli, dążyć do odrodzenia i niezależności; dla dopięcia swej zemsty nie wahała się uśpić czujności Polaków najuroczystszemi zapewnieniami, że żąda tylko uchylenia zmian, dokonanych przez sejm Czteroletni, pozatem zaś nie dąży i nie dopuści do żadnych zamachów na całość Rzpltej; dla lepszego zdeptania narodu wywołała wśród niego walkę bratobójczą, wysłała przeciwko własnej ojczyźnie obałamuconych Targowiczan, którzy przez nią stali się zdrajcami i grabarzami swego kraju i nazwiska swe dotąd szanowane splamili, napiętnowali hańbą i przekleństwem potomstwa. A gdy oszukany przez nią Szczęsny Potocki podążył do Petersburga i z płaczem wstawiał się za swą ojczyzną, tupnęła tylko gniewnie nogą i krzyknęła: «Ojczyzna Twoja jest tutaj!...»

Że dając owe najuroczystsze zapewnienia malkontentom polskim co do całości i nietykalności Rzpltej, Katarzyna już wtedy nosiła się z myślą o rozbiorze, świadczy między innemi najdowodniej choćby list jej do Zubowa, pisany w pierwszych dniach lutego 1792 r. «Skoro skończymy z Turkami, Repnin uda się do armji, i 130.000 wojska wkroczy do Polski. Gdyby Austrja i Prusy chciały się temu sprzeciwić, zaproponujemy im podział». Wiadomość o tym liście dostała się do króla pruskiego i stała się podstawą jego dalszych kroków w Petersburgu.

Czyż może to służyć za okoliczność łagodzącą, że do nowego zaboru pchali znów Katarzynę jej faworyci, którzy i teraz chcieli się obłowić kosztem Polski? Albo że ministrowie jej, choć dzieła nie chwalili, poprzestali na suchych zastrzeżeniach, a wolę imperatorowej przeprowadzili bezwzględnie i bez litości?... Ale nawet wśród Rosjan ówczesnych znalazł się człowiek, który z wiarołomstwem Katarzyny pogodzić się się mógł, a był to (warto uczcić jego pamięć) hr. Szymon Woroncow, poseł rosyjski przy dworze londyńskim. Przekonywamy się o tem z listu, pisanego przez niego do brata Aleksandra Woroncowa [1]): «Wszystko, co Ty i panowie Bezborodko i Marko mi piszecie, aby usprawiedliwić nowy podział Polski, nie przekonywa mnie i nie skłania do zmiany mego

[1]) «Russkaja Starina», tom XLIII, str. 247.

przekonania, że jest to transakcja niczem nie usprawiedliwionego wiarołomstwa. Czyn ten sam przez się jest zbyt oczywistą niesprawiedliwością, a wiarołomny sposób jego wykonania czyni go jeszcze bardziej wstrętnym. Jeżeli już było zdecydowane wykonanie tej niesprawiedliwości, to należało wprzód powiedzieć, że grabi się Polskę, aby zemścić się na niej za to, że chciała zawrzeć przymierze zaczepne z Turcją przeciwko nam; zamiast tak postawić sprawę, mówią o przyjaźni, ogłaszają manifest z deklaracją, że dążą tylko do szczęścia Polski, że chcą jej zabezpieczyć całość posiadłości i korzystanie z dawnych rządów, przy których kwitła z takim blaskiem w ciągu tylu wieków! Czy po tem wszystkiem można sobie jeszcze wyobrazić, aby jakiś dwór miał do nas jakiekolwiek zaufanie».

Konfederacja targowicka i sejm grodzieński nie uniknęły wypróbowanej taktyki rosyjskiej z 1774 r. pomagania sobie przez wywoływanie nastroju antypruskiego. Nastrój ten pozwalał wierzyć Targowiczanom, że są zbawieniem ojczyzny, a pełen zewnętrznej słodyczy Sievers, zapomocą tej taktyki, zdobył dla Rosji takie zaufanie, że traktat podziałowy rosyjski został przez sejm uchwalony w tem przekonaniu, że Rosja wspólnie z Polską wystąpi przeciwko Prusom, albo przynajmniej popierać ich nie będzie. Odpowiedzią na tę naiwność polską były wkrótce potem zatoczone przed izbę sejmową armaty i... posiedzenie «nieme».

Godnem jest przytem uwagi, że zaraz po zamknięciu sejmu grodzieńskiego Sievers popadł w niełaskę i został odwołany jako człowiek dla Polaków jeszcze zanadto pobłażliwy!...

Trzeci rozbiór Polski dokonany został przez Rosję już daleko przyzwoiciej od drugiego, wprost siłą oręża. Żałować go nie należy, gdyż Polska, jaka miała zostać po drugim rozbiorze, była nie Polską, ale jej parodją czy szyderstwem. Była skazana na zupełną od Rosji zależność, została pozbawiona większości województw rdzennie polskich i miała się składać ze skrawków obszarów etnograficznych: polskiego, litewskiego, białoruskiego i rusińskiego.

Przechodzimy do Prus.

Jedyną zasadą przewodnią i bożyszczem Prus była pruska racja stanu, własny interes państwowy. Złożyło się na to wiele przyczyn, a mianowicie: sztuczność państwa Hohenzollernów, jako zlepka różnych porozrzucanych w szachownicę posiadłości, konieczność zastąpienia spójni terytorjalnej i narodowej jak najsprężystszą administracją, zaborczość, jako system, w celu zaokrąglenia porozrzucanych posiadości, wreszcie, zwłaszcza od czasów «wielkiego elektora», cały szereg monarchów, wyjątkowo nadających się do budownictwa państwowego, których przedstawicielem najwybitniejszym i najjaskrawszym stał się wkońcu «wielki» Fryderyk II. Nie podajemy tu jego wizerunku, przypomnimy tylko kilka epizodów z jego polityki względem Polski, zgodnej z rosyjską, o ile szło o utrzymanie w Rzpltej stanu anarchji, ale niezgodnej z nią, o ile szło o podział Polski. Trzeba było całej sztuki, finezji i przebiegłości Fryderyka II, by udając przed Rosją zupełną z nią solidarność, jednocześnie doprowadzić ją do konieczności wyrzeczenia się tradycyjnej swej myśli opanowania całej niepodzielnej Polski wyłącznie dla siebie.

Jeżeli bezkrólewie po Auguście III było dla Rosji chwilą wielkiej wagi politycznej, to dla Fryderyka II, podług jego rozumienia, było kwestją całej przyszłości Prus. Słusznie pisała Katarzyna II do Panina w końcu 1763 r.: «Nie śmiej się ze mnie, kiedy ci powiem, żem na wiadomość o śmierci króla polskiego podskoczyła na krześle. Król pruski, kiedy się o niej dowiedział, wskoczył na stół».

Zaraz zaczęły się między Prusami a Rosją pertraktacje o przyszłej elekcji polskiej. 31 marca 1764 r. stanął między obu dworami układ co do obioru Piasta, którym miał być Stanisław August Poniatowski. Kandydatura ta zupełnie przypadała do gustu Fryderykowi II. Główną jej zaletą była znana słabość charakteru przyszłego króla. Odtąd posłowie rosyjski i pruski, Repnin i Benoit, działać mieli wspólnie.

Gdy Fryderyk II dowiedział się o reformach, dokonanych przez Czartoryskich, był mocno z nich niezadowolony. W sprawie reform między Rosją a Fryderykiem zachodzą różnice poglądów. Rosja, traktując Polskę niemal jak własną prowincję, zgadzała się w zasadzie, jeżeli nie na zmianę ustroju Rzpltej, to na zaprowadzenie w niej pewnego ładu, przynajmniej o tyle, by inne państwa pozbawione były powodu do

interwencji; Prusy, przeciwnie, nie mogąc marzyć o opanowaniu całej Polski lub o równoważeniu w niej wpływów rosyjskich, pragnęły, by w Polsce nic się nie zmieniło na lepsze, by Polska pozostawała w stanie jak największej anarchji, i by to musiało wkońcu doprowadzić do interwencji wszystkich państw sąsiednich, a więc i Prus; była to najprostsza droga do oderwania od Polski tak upragnionych Prus Królewskich.

Narazie Fryderyk II dał wyraz swemu niezadowoleniu w okrutnych represaljach celnych, motywowanych zaprowadzeniem przez sejm konwokacyjny t. zw. cła generalnego. Reforma ta usuwała przywilej szlachty do wprowadzania do Polski i wyprowadzania z niej towarów bez cła; odtąd cło miało obowiązywać wszystkich. Fryderyk II zaprzeczył Rzpltej prawa zaprowadzania ceł bez jego zgody, a to na mocy traktatu Welawskiego z r. 1657, i zażądał zniesienia tego cła.

Gdy rząd polski odpowiedział, że przecież Prusy także zaprowadziły cła bez zgody Rzpltej, i że wobec tego na zasadzie wzajemności Rzplta ma prawo uczynić to samo, Fryderyk skorzystał z okoliczności, że w jednem miejscu koło Kwidzynia Prusy Książęce dotykały Wisły, ustawił tam armaty i od wszystkich towarów, płynących Wisłą, choćby wzdłuż brzegu polskiego, zaczął wymuszać ogromną opłatę celną, 10% od wartości. Kontrybucja ta dała Fryderykowi w ciągu roku $5^1/_2$ miljonów złp.; cyfra ta dorównywała połowie całego budżetu ówczesnego Rzpltej, a całemu ówczesnemu dochodowi Prus Książęcych. Żadne protesty i prośby, zanoszone do Fryderyka przez Stanisława Augusta, nie pomogły. Wtedy król zwrócił się z prośbą o pomoc do Rosji. Panin znajdywał, że «słabszy powinien mieć respekt przed silniejszym», Polska więc nie powinna zbyt ostro przeciwko Prusom występować, a zdać się na interwencję Rosji. Ale i ta interwencja niewiele pomogła. Wreszcie własnoręczny list Katarzyny skłonił Fryderyka II do zwinięcia komory kwidzyńskiej, ale dopiero wtedy, gdy także komora polska na Wiśle przestała pobierać cło podług prawa z r. 1764. Wkrótce zaś potem sejm 1766 r. zmuszony był całą tę reformę celną skasować. Fryderyk II postawił na swojem. Dowiódł Polsce, ale także Rosji, że sprawy polskie załatwiane być bez niego nie mogą.

Gdy Katarzyna sprawę dysydentów postawiła na ostrzu

miecza i, bojąc się interwencji Austrji, wezwała Fryderyka II do ewentualnego poparcia zbrojnego, Fryderyk nie chciał iść tak daleko, gdyż czuł się jeszcze zbyt osłabionym po wojnie Siedmioletniej. Jednocześnie przekonywał Katarzynę, że ważniejszem od sprawy dysydentów jest utrzymanie anarchji w Polsce i przeszkodzenie staraniom Stanisława Augusta i Czartoryskich o ograniczenie liberum veto. Sprawa dysydentów, podług myśli Fryderyka, służyć miała tylko jako środek taktyczny. «Przez wzburzenie — pisał — jakie sprawa dysydencka wywołała, odwrócimy uwagę Polaków od sprawy drugiej (głosowanie większością), której pomyślne rozwiązanie będzie nierównie ważniejszem w następstwach od sprawy dysydentów».

Warto tu przytoczyć charakterystyczny list Fryderyka II z dnia 30 października 1766 r. do swego ambasadora w Petersburgu hr. Solmsa: «Twierdzisz Pan» — pisał — «że Imperatorowa nie chce bynajmniej krzyżować moich planów, a z drugiej strony, że się sprzeciwia moim wewnętrznym rozporządzeniom. Oświadczasz Pan, że wzamian za pomoc moją da mi pozwolenie urządzenia moich spraw według mego upodobania. Oto nowy szczutek! Nie ścierpię, by jakieś obce mocarstwo, nie mające ani prawa, ani tytułu do tego, wtrącało się do moich spraw wewnętrznych. Nigdy to miejsca mieć nie będzie, dopóki żyć będę. Chcę wystąpić w Warszawie z deklaracją, co do której umówiliśmy się, lecz dalej kroku nie postąpię. Uczynię to dlatego, ponieważ Imperatorowa pisała mi w roku ubiegłym przez Salderna, że nie będzie obojętna wobec mojej bezczynności w sprawach Polski. Hr. Panin oświadczył Panu niedawno, że będzie zadowolony z mojej deklaracji na sejmie warszawskim, i że Rosja weźmie na siebie resztę. Niech więc spełni to i niech mnie zostawi w spokoju, gdyż jeślibym tylko ruszył wojska, Polacy zaraz o tem napiszą, a w Petersburgu, gdzie humory tak są zmienne, znajdą, że uczyniłem zawiele. Te sekatury zniecierpliwią mnie do ostateczności. Lecz inna jest sprawa daleko ważniejsza na tym sejmie. Czartoryscy pragną ustalić większość głosowania, jako prawo wieczyste dla sejmów. Znaczy to obrócić do góry nogami formę ich rządu. Może to stać się bardzo groźnem, jeśli się na to nie zwróci uwagi, i to właśnie powinno być obecnie głównym przedmiotem naszej czujności. Ci Polacy, na których

tyle liczono w Petersburgu, są w miarę okoliczności zuchwalcami lub tchórzami. Ci, którzy na nich polegać zechcą, wyjdą na dudków. Oto w tej jedynie sprawie należałoby się nam porozumieć, by wspólnie zapobiec zmianie ich rządu. Niech to Panu służy za wskazówkę».

Stało się, jak wiemy, zadość życzeniom Fryderyka. Rosja powoli ostygła do sprawy dysydentów, a na plan pierwszy wysunęła żądanie powrotu Polski do wszystkich dawnych «wolności». Dokonała tego przy pomocy Radomian na sejmie Delegacyjnym 1767—8 r.

Kłopoty Rosji, wynikłe z powodu konfederacji barskiej i wojny tureckiej, były oczywiście na rękę Fryderykowi II. Umiał z nich skorzystać po mistrzowsku i wkońcu doczekał się upragnionego oddawna pierwszego rozbioru Polski.

Rzucił się na bezbronny kraj z całą łapczywością, znękał go bez żadnej litości kontrybucjami, zalał fałszywą monetą, wreszcie nienasycony był w swej pasji zaborczej, tak, że Katarzyna musiała reklamować, by się trzymał granic umowy podziałowej.

Choć wziął część najmniejszą, jednak była ona najcenniejszą. Nietylko dlatego, że łączyła oderwane dotychczas części Prus w jedno, ale też dlatego, że odtąd pod względem ekonomicznym Polska stawała się w zupełności zależną od Prus. Sam pisał do brata Henryka: «Najwięcej zyskujemy pod względem handlowym. Stajemy się panami wszystkich płodów i całego przywozu Polski». Pisał prawdę. Łupił odtąd Polskę cłami, dochodzącemi do 36% od wartości, co dawało rocznie do 4 miljonów złp.

Drugą ogromną korzyścią Prus z pierwszego rozbioru było to, że odtąd Prusy stawały się sprzymierzeńcem dwóch swych potężnych sąsiadów, Rosji i Austrji. Rozbiór Polski, mówił cynicznie Fryderyk II, jest komunją, która połączyła protestanta, katolika i schizmatyka.

A jednak Fryderyk II uważał się za pokrzywdzonego. A to skutkiem nieoddania mu Gdańska i Torunia. Zdobycie tych dwóch miast, koniecznych dla zupełnego scalenia państwa pruskiego, z ewentualnym dodatkiem jeszcze części Wielkopolski, mogącej lepiej owo państwo «zaokrąglić», staje się odtąd stałym celem polityki pruskiej.

Chcąc przekonać Polaków, że bezwartościowe dla nich

jest posiadanie Gdańska, a Gdańsk zmusić do ciążenia ku Prusom, Fryderyk II zaczął gnębić Gdańsk formalną blokadą celną. Cło pobierał nawet od faszyn, wiezionych dla umocnienia brzegów wiślanych, i od wszelkich produktów spożywczych, przywożonych do miasta. «Godną jest uwagi — powiada Korzon — «ta walka zaciętego zdobywcy, zwycięzcy wszystkich niemal armij europejskich w trzech wojnach, nieubłaganego i niezmordowanego króla, z pojedyńczem miastem, którego ludność niemiecka broni swego obywatelstwa polskiego z większą energją, niż rodowici Polacy» [1]). W ostatecznym wyniku, w chwili śmierci Fryderyka II w r. 1786, handel Gdańska był doszczętnie zrujnowany.

Następcą Fryderyka II został lekceważony przezeń synowiec jego, Fryderyk Wilhelm II. Choć nie pozbawiony chwilowych porywów szlachetności, prędko w nich ostygał i godził się na wszelkie przewrotności, skoro mu tylko ministrowie wytłumaczyli, że tego wymaga interes państwa, pruska racja stanu, ten moloch, przed którym musiały ustępować wszelkie inne względy, nawet najświętsze uczucia ludzkości i honoru. «Stać było Fryderyka Wilhelma» — mówi Smoleński [2]) — «narazie na tyle szlachetności, żeby obudzić zaufanie; wkońcu miał zawsze dosyć cynizmu do zburzenia pokładanej w nim wiary. Był stokroć niebezpieczniejszy od swych ministrów, którzy odrazu i otwarcie stawiając interes Prus za najwyższą zasadę polityczną, nie budzili w nikim ufności».

Takim był monarcha, który, zjednawszy sobie w Europie, szczególnie w porównaniu do Fryderyka II, opinję człowieka ludzkiego i szlachetnego, miał zaważyć na losach sejmu Czteroletniego, podburzyć go do zerwania z Rosją, zawrzeć w r. 1790 z Polską przymierze, w r. 1792 zdradzić ją bez skrupułu, a wreszcie przyjąć najczynniejszy udział w dwóch jej rozbiorach.

Z ministrów, którzy kierowali Fryderykiem Wilhelmem w jego polityce polskiej, wyróżnić należy dwóch: typowego Prusaka, hr. Ewalda Hertzberga, i prawdziwego Machjawela, Włocha, margrabiego Girolamo Lucchesiniego.

Hertzberg uważał się za kapłana bóstwa, występującego

[1]) Korzon: «Dzieje Wewnętrzne» II, 43.
[2]) Smoleński: «Ostatni Rok Sejmu Czteroletniego», str. 252.

pod nazwami «racja stanu pruska, system pruski, tradycja pruska, interes pruski». Dobrem było wszystko, co prowadziło do wzrostu Prus, złem — wszystko inne. Pogląd ten powinny były uznawać nietylko Prusy, ale i inne państwa, choćby dane dobro Prus miało być dla nich największem nieszczęściem; traktaty, zawierane przez Prusy, obowiązywały je tylko o tyle, o ile tego wymagał interes Prus; w razie przeciwnym, byłoby zbrodnią traktaty te dotrzymywać; zbrodnią, bo na ołtarzu bóstwa należy poświęcić wszystko, nawet honor i dobre imię; zresztą rzecz każdą można zawsze wytłumaczyć, jak tego dowiódł «wielki Prusak» Fryderyk II.

Troską, która nigdy nie opuszczała Hertzberga, było przyłączenie do Prus Gdańska i Torunia, jeżeli można, również z pewnemi przyległościami (np. z dwoma województwami, poznańskiem i kaliskiem). Polacy powinni przecież zrozumieć, tak rozumował Hertzberg, że przyłączenie to jest dla Prus koniecznością; nawzajem Prusy gotowe Polsce dopomóc do odebrania od Austrji Galicji, albo jej części; uzyskać Galicję od Austrji mogą Prusy albo przez wojnę, albo jeszcze lepiej przez zamianę na Wołoszczyznę; wprawdzie ta jest własnością Turcji, ale od czegoż przymierze Prus z Turcją? Przecież za to przymierze Turcja powinna zapłacić, a wzamian Prusy nie odmówią jej pośrednictwa w zawarciu pokoju z Rosją; Rosję zaś należy straszyć Turcją, Austrję — Anglją, wszystkich — argumentem najbardziej decydującym, niezwyciężoną armją pruską.

Człowiek, który tak rozumuje, może od Polski za przymierze żądać zapłaty w postaci Gdańska, Torunia i przyległości, bez względu na to, czy przymierze zapłatę taką przewiduje, czy nie. Ale Polacy uparli się i nie chcą dać nawet Gdańska!! Pomimo to, chcąc nastraszyć Rosję, Prusy podpisują z nimi przymierze; może zresztą Polacy się namyślą! Przekonawszy się jednak, że Polacy są niepoprawni i w dalszym ciągu nie chcą słyszeć o tak koniecznych przecież dla Prus ustępstwach terytorjalnych, Prusy, rzecz oczywista, nie mogły zważać na takich sprzymierzeńców, i gdy Rosja zgodziła się na drugi rozbiór Polski, musiały pójść nie z Polską, ale z Rosją. Zresztą nawet formalnie wina jest po stronie Polski: przecież król pruski gwarantował całość Polski republikańskiej, a Polska, bez uprzedniej zgody Prus, przez konstytucję 3 Maja, stała

się monarchją. Prusy nie gwarantowały Polski monarchicznej, a kilka grzecznych słów króla Fryderyka Wilhelma z pochwałą tej konstytucji tylko naród tak lekkomyślny, jak Polacy, mógł uważać za fakt jej formalnego uznania przez państwo pruskie i zgodzenie się na jej obronę. Jednem słowem, jak w bajce o owcy i wilku!...

Tak rozumował mąż stanu, pilnujący czystości systemu pruskiego.

Z innej strony, ale niemniej korzystnie dla Prus, ujął ich sprawę rodak Macchjawela, Lucchesini. Dyplomata ten zaczął swą karjerę w Berlinie od tego, że został lektorem Fryderyka II; przez to mógł się dobrze przyjrzeć mistrzowi, który przedziwnie łączył tradycje pruskie z zasadami wyrafinowanego machjawelizmu. Lucchesini przejęty był bardziej temi ostatniemi. Bez «idealizmu» czy fanatyzmu pruskiego Hertzberga, stawiał taktykę w postępowaniu powyżej wszelkich zasad, co do których był doskonale obojętnym. Nie żądał od ludzi, by kierowali się wyłącznie interesem pruskim, owszem, sam pozornie gorąco przyjmował do serca interesy cudze, wkradał się w zaufanie, a dopiero pozyskawszy to zaufanie, pchał swą ofiarę w kierunku przez siebie pożądanym. Do celu dążył wytrwale, a tym celem było jak najlepiej usłużyć sprawie, którą na siebie przyjął. Co do środków — wszystkie były mu dobre, a wiarołomstwo było systemem.

Oto co pisał Lucchesini do Fryderyka Wilhelma po zawarciu przymierza polsko-pruskiego: «Teraz, kiedy już mamy w ręku tych ludzi, i kiedy przyszłość Polski jedynie od naszych kombinacyj zawisła, kraj ten posłużyć może W. K. Mości za teatr wojny i zasłonę od wschodu dla Śląska, albo też będzie dla W. K. Mości przedmiotem targu podczas układów pokojowych. Cała sztuka z naszej strony jest w tem, aby ci ludzie niczego się nie domyślali, i aby nie mogli przewidzieć, do jakich ustępstw będą zmuszeni w chwili, gdy W. K. Mość za swe usługi zażąda od nich wdzięczności».

Mając takich doradców, nic dziwnego, że Fryderyk Wilhelm nie łatwo mógł inaczej postąpić, niż postąpił. Owszem, gdyby postąpił był inaczej, w oczach swego ministerjum byłby złym Prusakiem i monarchą, niegodnym nosić sławnej korony pruskiej...

Można sobie wyobrazić, jak drażnił Hertzberga, Lucchesiniego, a przez to i Fryderyka Wilhelma, opór Polaków co do ustąpienia Gdańska i Torunia, a zwłaszcza pierwszego. Uważali Polaków za niewdzięczników i głupców, co do których nie warto zachowywać żadnych względów. Postanowili wejść w stosunki z Polską tylko dla postrachu Rosji, ale woleli traktować tylko z tą ostatnią. Wielka też była wkońcu radość, gdy na początku lutego 1792 r. dowiedzieli się nareszcie, że Katarzyna skłania się ku myśli nowego rozbioru. Co do zawartego przymierza z Rzpltą, to, jak wiemy, nie mogło ono Prus obowiązywać. Już w reskrypcie Fryderyka Wilhelma z dn. 9 stycznia czytamy: «Przymierze nie odnosi się wcale do konstytucji, która podczas zawarcia umowy nie istniała. Ułożono ją bez mojej wiedzy; dowiedziałem się o niej dopiero wtedy, gdy została ogłoszona. Nie mogę wtrącać się do konstytucji, ani do utrzymania jej, są to bowiem sprawy Rzeczypospolitej wewnętrzne, do których układu nie należałem i należeć nie będę» (!).

Drugi i trzeci rozbiory Polski dokonały się ku zupełnemu zadowoleniu polityki pruskiej!... Inne państwa europejskie zachowały się względem niej z życzliwą neutralnością.

Wręcz odmienną w porównaniu do polityki Rosji i Prus była polityka względem Polski dworu wiedeńskiego. I tu t. zw. racja stanu zdecydowała udział w rozbiorach, ale w zasadzie Austrja ani dążyła do opanowania całej Polski, jak Rosja, ani pragnęła oderwania od niej pewnych prowincyj; owszem, uważała za swój interes utrzymanie całości Rzpltej, a nawet w pewnym stopniu jej odrodzenie przez konieczne reformy.

Ale skoro rozbiory nie dały się odwrócić, racja stanu wskazywała chwytać jak najwięcej. Jednak tę rację stanu nie wszyscy kierownicy polityki austrjackiej pojmowali jednakowo. Inaczej zapatrywali się na rozbiory Polski kolejno: Marja Teresa, Józef II, Leopold II, Franciszek II [1]), wreszcie dzia-

[1]) Był Franciszkiem II, jako cesarz św. państwa rzymskiego; od r. 1804 przyjął tytuł cesarza austrjackiego, w r. 1806 złożył koronę cesarstwa św. państwa rzymskiego, i odtąd był już Franciszkiem I.

łający pod panowaniem tych czterech monarchów głośny kierownik polityki wiedeńskiej, ks. Kaunitz, zmuszony zresztą postępowanie swe uzależniać od zmian w usposobieniach następujących po sobie owych czterech głów koronowanych.

Marja Teresa była kobietą wzniosłych zasad moralnych. Niesłusznie niektórzy z historyków podejrzywali ją o hipokryzję. To, co może zasługiwać w jej rządach na naganę, a w tej liczbie także pierwszy rozbiór Polski, było sprawą nie jej, ale jej syna, Józefa, wobec którego była słabą i bezbronną, jak to zwykle bywa z matkami.

Józef II był człowiekiem, mającym wiele dobrych chęci, ale jednocześnie chorobliwie ambitnym, zarozumiałym, mającym pasję wszystkich uszczęśliwiać na swoją modłę, pozującym na wolnomyśliciela i człowieka stanu, pozbawionego wszelkich przesądów, chcącym w tym względzie prześcignąć nawet Fryderyka II. Sława tego przyjaciela Woltera nie dawała mu spokoju. Próżno matka ostrzegała go, że mając do czynienia z tak genjalnym szalbierzem, jedną tylko można pobić go bronią: niezachwianą uczciwością. Gdy Marja Teresa wszelkiemi sposobami chciała zapobiec w r. 1771 rozbiorowi Polski, Józef II był wręcz odmiennego zdania i troszczył się tylko o to, by chwycić jak najwięcej i zacząć co prędzej nową prowincję po swojemu uszczęśliwiać.

Między matką a synem stał kanclerz, ks. Kaunitz. «Był to» — cytujemy tu słowa Kalinki — «jeden z najznakomitszych mężów stanu, jakich Austrja posiadała. Wielkiego doświadczenia, wielkiej znajomości spraw europejskich, bystry, przezorny, i, co nader rzadkie w austrjackich ludziach stanu, zdolny do inicjatywy, przytem wyrozumiały i przystępny dla uczuć ludzkich i sprawiedliwych; wszystko miał — prócz zasad. Przeprowadziwszy w Paryżu aljans Francji z Austrją, wkrótce po ukończonej między dwoma państwami wojnie, tak wielkie o sobie wzbudził mniemanie w umyśle Marji Teresy, że go mianowała kanclerzem państwa, choć życiem swem i obyczajami raził ją niemało. Kaunitz był prototypem tych polityków, jakich później w każdym kraju tak wiele widzieliśmy, którzy znając i ceniąc prawo, potrafią się z niem «z konieczności» ominąć, a ufni w swą rachubę i zręczność, gotowi są wziąć udział nawet w sprawie, którą potępiają, by tylko nie

dać się wyprzedzić rywalom, a utrzymać się zawsze na pierwszem miejscu» [1]).

Chcąc zapobiec umówionemu już między Rosją a Prusami podziałowi Rzpltej, Marja Teresa zwróciła się o pomoc do swego sprzymierzeńca, Ludwika XV. Właśnie wtedy nastąpił upadek Choiseul'a, i kierownikiem spraw zagranicznych został protegowany hrabiny Dubarry, ks. d'Aiguillon. Odpowiedź rządu francuskiego wypadła odmownie. Francja, dowodził ks. d'Aiguillon, na mocy traktatu z Austrją poczuwa się do obowiązku współdziałania z nią, ale tylko wtedy, gdy ta będzie zaczepiona w swych posiadłościach, a tego w danym wypadku niema. Pozbawiona w ten sposób pomocy Francji, zagrożona wojną od strony Prus i Rosji, namawiana przez syna Józefa, a wkońcu także przez Kaunitza, który uważał, że wszelkie środki ku obronie Polski wyczerpał, Marja Teresa wkońcu uległa, ale uczucie jej maluje list, pisany w tej sprawie do Kaunitza. «Od czasu, kiedym wszystkie moje kraje ujrzała zawojowane, przyznaję, że nigdy w życiu nie byłam tak udręczona, że aż się wstydzę, jak w tej sprawie, gdzie nietylko słuszność oczywista jest przeciwko nam, ale gdzie nas sam zdrowy rozsądek potępia. Pamiętaj, Książę, co za przykład damy światu, kiedy za nędzny kawałek Polski, albo nawet za Mołdawję wraz z Wołoszczyzną, cześć naszą i dobre imię na szwank wystawimy! Widzę ja dobrze, że jestem sama i do tego już nie przy siłach, dlatego puszczam rzeczy swoją koleją, choć nie bez największej żałości».

Już od połowy XVIII w. Austrja za największego swego wroga uważała Prusy. Osią też całej polityki Kaunitza była chęć osłabienia króla pruskiego. Właśnie w Kaunitzu miał Fryderyk II szermierza, którego się najbardziej obawiał. Mniej groźnym był dlań Józef II. Ten, chcąc Rosję od Prus odciągnąć, wprawdzie dopiął tego, ale stał się przez to sam narzędziem w ręku Katarzyny, która drogą pochlebstw bez granic umiała nad nim panować. Po dwakroć udawał się Józef II do Rosji dla widzenia się z carową: po raz pierwszy pojechał na jej spotkanie do Mohylowa nad Dnieprem w roku 1780, po raz drugi w r. 1787 do Chersonia. W czasie tej dru-

---

[1]) Kalinka: «Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta». Tom I, str. 16.

giej podróży spotkał się ze Stanisławem Augustem, który wtedy jeździł do Kaniowa, i zapewnił go, że odtąd już «ani jednej drzewiny» Polsce nie zabierze; z pierwszego zaś rozbioru tłumaczył się, że został doń zmuszony, bo Prusy i Rosja groziły wojną.

Gdy na sejmie Czteroletnim stronnictwo partjotyczne, podburzone przez Prusy, zaczęło bezwzględnie zrywać z opieką rosyjską i wywołało straszny gniew Katarzyny, Austrja, jak mogła, gniew ten mitygowała. Kaunitz niezmordowanie wstawiał się za Polską, samych Polaków przestrzegał przed wiarołomstwem polityki Prus, wreszcie, by zapobiec przymierzu polsko-pruskiemu, zaproponował Polsce przymierze z Austrją. Propozycja ta została przez zaślepione stronnictwo patrjotyczne zbagatelizowana i odrzucona, a przymierze z Prusami zawarte. «Austrja zrobiła co mogła» — pisał Kaunitz do p. Caché, posła austrjackiego w Warszawie — «aby wejść w trwały z Rzeczpospolitą stosunek; przyszłość pokaże, który z dwóch dworów rzetelniejsze miał względem Polski zamiary».

Przymierze polsko-pruskie stanęło 29 marca 1790 r. Na miesiąc przedtem (20 lutego) umarł Józef II; nastąpił po nim brat jego, Leopold II. Pozyskała w nim Austrja mądrego i szlachetnego kierownika, a Polska szczerze życzliwego sąsiada. Na nieszczęście, panował zbyt krótko, gdyż umarł już 1 marca 1792 r. Wojna polsko-rosyjska, Targowica i dwa ostatnie rozbiory Polski odbyły się już za panowania jego syna, cesarza Franciszka.

Niezwłocznie po ogłoszeniu konstytucji 3 Maja, Kaunitz i Leopold II byli zaniepokojeni, czy nie jest ona sztuczką Prus, ale przekonawszy się, że była dziełem samych Polaków, nietylko pośpieszyli ją uznać, ale zaczęli wpływać na Rosję, by uczyniła to samo. Kaunitz, w porozumieniu z cesarzem, już pod datą 23 maja 1791 r. wysłał depeszę do Petersburga, w której zmianę, zaszłą w Polsce, w najprzychylniejszem przedstawił świetle. Dowodził, że skutkiem zaprowadzenia przez ustawę rządową sukcesji tronu, królowie polscy, oparłszy się na mieszczaństwie i włościaństwie, powściągną przewagę możnowładztwa; zamiast myśleć, jak dotychczas, o sobie i rodzinach swoich, więcej troszczyć się będą o dobro ogólne; w sprawach zagranicznych kierować

się będą interesem państwa, nad którym górowała dotychczas prywata; nie należy się jednak obawiać z ich strony kroków zaczepnych, znajdą bowiem hamulec w skłonnościach republikańskich narodu, który wzrost władzy królewskiej dostatecznie powściągnie; następstwa te przed laty dwudziestu byłyby z interesem Rosji niezgodne; obecnie jednak, po zniesieniu przez Imperatorową Tatarów i osłabieniu Turcji, wogóle zaś po nadaniu granicom państwa swego od Polski trwałości *nec plus ultra*, obaw takich budzić nie mogą i t. d.

Pod jednym jednak względem polityka Leopolda II była dla Polski niekorzystną: chcąc zdobyć pokój dla swego państwa, zbliżył się do Prus, a przez to uwolnił je od obaw ze strony Austrji. Zbliżenie to nastąpiło na zjazdach na Śląsku pruskim, w Reichenbach (w lipcu 1790 r.), i na zamku Pilnitz w Saksonji (w sierpniu 1791 r.). Wprawdzie porozumienie polsko-austrjackie wyraźnie zastrzegło całość Rzeczypospolitej, ale zastrzeżenie to było bez wartości wobec faktu, że Austrja wojować nie chciała, a Prusy, dla dopięcia swego celu, zdobycia Gdańska i Torunia, mogły teraz bezpiecznie porozumieć się z Rosją.

Syn Leopolda II, cesarz Franciszek, nie miał ani zdolności ani szlachetności swego ojca. W lipcu 1792 r. zjechał się w Moguncji z Fryderykiem Wilhelmem, tam zgodził się na zajęcie przez Prusy Gdańska, Torunia i kilku województw wielkopolskich, wzamian czego Austrja miała otrzymać bliską Bawarję, oddając za nią daleką Belgję. Później, gdy ta zamiana stała się nieaktualną z powodu opanowania Belgji przez Francuzów, Franciszek chciał również przyjąć udział w drugim rozbiorze Polski, ale sprzymierzone Rosja i Prusy nie dopuściły go już do tego łupu. Z tem większą ochotą wystąpił cesarz Franciszek przeciwko Polsce w r. 1794 i przyjął udział w trzecim jej rozbiorze.

Kanclerz Kaunitz, wówczas już stary i wyręczany zupełnie przez wicekanclerza, hr. Filipa Cobenzel'a [1]), tej polityki cesarza Franciszka nie aprobował. Znajdujemy jego pieśń łabędzią w sprawie Polski w następującym raporcie, posłanym cesarzowi: «Widzę w tych wszystkich układach tylko chciwość i polityczne zasady, które w przyszłości niewiele obie-

[1]) Był synowcem hr. Ludwika Cobenzel'a, posła austrjackiego w Petersburgu.

cują dobrego. Tego rodzaju moralność polityczna nie zgadza się z mojemi przekonaniami i nie powinnaby nigdy być przyjętą przez wielkie mocarstwo, które się szanuje i poczciwe swe imię ceni. Wedle moich pojęć, należałoby się starać, aby układy te nie przyszły do skutku, bo nigdy z rzeczy złej nic dobrego wyniknąć nie może. Jest więc, jak dziś rzeczy stoją, jedynem mojem życzeniem i jedyną nadzieją, że z tego nic być nie może i nie będzie, a należy wedle mego zdania pilnie się tego strzec, aby się w to więcej nie wikłać i równie niepotrzebnie jak poniżająco nie kompromitować».

Rozbiory Polski między państwa sąsiednie dokonały się przy najzupełniejszej na nie obojętności ze strony Francji i Anglji, przy protestach jedynie papieża i Turcji.

Francja, jeszcze przed elekcją Stanisława Augusta, widząc przemoc rosyjską, odwołała z Polski swego ambasadora. Był nim niezbyt mądry dyplomata, margrabia Paulmy. Przy pożegnaniu z jeszcze mniej od niego mądrym interrexem, prymasem Łubieńskim, wynikła ostra wymiana zdań. Prymas oświadczył ambasadorowi: «Jeśli Pan nie uznajesz w nas Rzpltej, to i my nie uznajemy już Pana za posła, i możesz Pan z innymi francuskimi ministrami kraj nasz opuścić», poczem dodał: «Adieu, monsieur le marquis». Na to Paulmy odpowiedział tylko: «Adieu, monsieur l'archevêque», i wyjechał z Warszawy z całą ambasadą. Zajście to stało się przedmiotem not dyplomatycznych. Łubieński zmuszony był przepraszać, ale Ludwik XV, ku wielkiemu zadowoleniu Rosji i Prus, nowego ambasadora nie przysłał a Stanisława Augusta długi czas uznawać za króla nie chciał.

Dopiero w r. 1766 wznowione zostały między Polską a Francją stosunki dyplomatyczne. Ale gdy Stanisław August chciał wysłać do Paryża uroczyste poselstwo, z Antonim Sułkowskim na czele, Rosja, obawiając się wyemancypowania się Polski z pod jej wpływów, uznała zamiar ten za akt nieprzyjazny, i zmusiła króla ograniczyć się do wysłania zwykłego posłańca królewskiego, w osobie szambelana, Feliksa Łojki.

Na czele polityki dworu wersalskiego stał jeszcze zawsze ks. Choiseul, inicjator pogardliwej abdykacji Francji

z wszelkiego wpływu w Polsce za panowania Augusta III. Wierny temu kierunkowi, ks. Choiseul obojętnie patrzał na reformy Czartoryskich, na ich upadek, na gwałty Repnina, na ugruntowanie się w Polsce stanowczej przewagi Rosji; wprost nie zdawał sobie sprawy z doniosłości wypadków, nie rozumiał ich. Po wybuchu konfederacji barskiej i wojny rosyjsko-tureckiej, postanowił z nich skorzystać dla osłabienia Rosji i w tych usiłowaniach starał się tak zamieszki w Polsce jak też wojnę turecką przeciągać o ile można najdłużej. Obiecując konfederatom posiłki, tak manewrował, by te w żadnym razie nie mogły doprowadzić do zakończenia wojny domowej, ale mogły ją tylko podsycać. Pozornie zachęcał konfederatów do pogodzenia się z królem, ale użyczył im posiłków właśnie dopiero wtedy, gdy postanowili ogłosić detronizację Stanisława Augusta. Ta metoda prowokacyjna trwała do samego upadku Choiseul'a.

Następca jego z ręki hr. Dubarry, ks. d'Aiguillon, choć także dawał konfederatom pewne subsydja, jeszcze bardziej lekceważył Polskę, nawet jako chwilowe narzędzie przeciwko Rosji. Był głuchy na wezwanie Marji Teresy ratowania Polski, a sprawy dyplomatyczne prowadził tak niedołężnie, że umowa rozbiorowa zaskoczyła go zupełnie niespodzianie. Pogodził się z nią jednak bardzo łatwo, a nietylko on, ale wogóle cała Francja, a nawet tak gorący, choć jednostronny przyjaciel Polaków, jak ks. Broglie; wszyscy przeszli nad jej podziałem z lekkiem sercem do porządku dziennego.

Po pierwszym rozbiorze Polska jeszcze bardziej została uzależnioną od Rosji. Były to czasy współrządów Stackelberga i króla. Stanisław August pragnął dojść do bliższego stosunku z Francją i zaczął się starać o rękę księżniczki francuskiej, jeżeli już nie dla siebie (bo to mu jeszcze w r. 1764 zabronione zostało przez Rosję), to dla swego synowca, Stanisława; ale i te starania czujna dyplomacja rosyjska wnet zwęszyła i w zarodku przecięła. Wobec takich stosunków, Francja, narówni z innemi państwami zachodniemi, uważała za zbyteczne utrzymywać ambasadę w Warszawie; wystarczał zwykły ajent dyplomatyczny. W r. 1783 kierownik polityki wersalskiej, hr. Vergennes, już taką radę dawał Polakom: «Żyjcie w zgodzie i łączcie się z Moskwą, bez względu na przykrość tego stosunku».

Czasy sejmu Czteroletniego to już epoka rewolucji francuskiej. W r. 1790 przyjętą została we Francji pierwsza konstytucja rewolucyjna, jeszcze monarchiczna. 20 czerwca 1791 roku Ludwik XVI chciał się ratować ucieczką zagranicę. W r. 1792 Francja staje się republiką, a w roku następnym Ludwik XVI ginie na gilotynie. Same te wypadki, a nie rząd francuski, miały na sprawy Polski wpływ doniosły.

Jedną z pierwszych czynności sejmu Czteroletniego było, jak wiemy, wznowienie stosunków dyplomatycznych z wszystkiemi państwami europejskiemi. Do Paryża miał być wysłany, jako poseł, Stanisław Kostka Potocki, ale sprzeciwił się temu Lucchesini, obawiając się, by nawzajem Francja nie przysłała do Warszawy dyplomaty, któryby przeciwdziałał jego intrygom. Dopiero na początku 1791 r. wysłany został do Paryża, w charakterze ministra pełnomocnego Rzpltej, człowiek mniej znaczny, Feliks Oraczewski, ze sprawami dyplomatycznemi zupełnie nieobeznany. Z polecenia króla miał kierować się w Paryżu radami Włocha, Mazzei'ego, który już od r. 1788 był tam agentem Stanisława Augusta. Za staraniem głównie Mazzei'ego rząd francuski wysłał do Warszawy, jako swego ministra pełnomocnego, Descorches'a.

Descorches przybył do Warszawy w lipcu 1791 r. i gorąco zalecał Francji podtrzymanie konstytucji 3 Maja, której zresztą nie rozumiał i identyfikował z francuską. Miał opinję wielkiego faworyta jakobinów. Tymczasem Stanisław August, obawiając się dworów sąsiednich, które odwoływały swych przedstawicieli z Paryża, kazał także Oraczewskiemu wracać do kraju. Ale Descorches nie wyjeżdżał, co dało powód Rosji i malkontentom oskarżać rząd polski o jakobinizm. Dopiero w czasie Targowicy Katarzyna II kazała Descorches'a bezzwłocznie z Warszawy usunąć.

Drugi i trzeci rozbiór Polski miały dla Francji chwilowo dodatnie znaczenie, gdyż odciągnęły od niej znaczną część wojsk nieprzyjacielskich. Przywódcy rewolucji, tak dobrze jak ministrowie dawnej monarchji, choć głosili zasadę braterstwa ludów, w stosunkach zagranicznych byli politykami arcyrealnymi, dalekimi od wszelkiego idealizmu. Na prośby polskiego rządu powstańczego w r. 1794 o pomoc, francuski Komitet Ocalenia Publicznego odpowiedział stanowczą odmową, ubraną zresztą w szaty ideowe; komitet oświadczył,

że nie udzieli ani szeląga i nie wyśle ani jednego żołnierza, gdyż rewolucja polska ma na celu utrzymanie rządów arystokracji i królewskości i daleką jest od dążeń republikańskich.

Jeszcze bardziej niż Francja, okazała się obojętną na rozbiory Polski — Anglja. Polityka angielska była zawsze ultraegoistyczną i opartą na wskazaniach interesu doraźnego; nietylko więc daleką od wszelkiej ideowości i bezinteresowności, ale również pozbawioną obliczonych na przyszłość koncepcyj politycznych; a wiadomo, że dopiero przy tych ostatnich ideowość traci cechy sentymentalizmu i staje się niekiedy najlepszą busolą dla polityki praktycznej. W polityce Anglicy trzymali się oryginalnego systemu — świadomego krótkowidztwa, t. j. nie zagłębiając się w przyszłość, reagowali tylko na teraźniejszość; nie pytali, co będzie potem, ale szukali korzyści doraźnych. Dlatego też polityka ich stale szła po linji zygzakowatej, zależnej od jednej jedynej okoliczności, od tego, kto w danej chwili zagrażał ich panowaniu na morzach; każdy, kto w tym względzie kolejno bywał rywalem, stawał się celem jej pocisków, a kto w zwalczaniu tego wroga dopomagał — jej sprzymierzeńcem. Pozatem sympatje Anglji zależały jeszcze od korzyści, dostarczanych przez dany kraj jej handlowi.

Z tych względów Anglja traktowała jako swoich wrogów śmiertelnych w w. XVI — Hiszpanję, w w. XVII — Holandję, w w. XVIII — Francję, w w. XIX — Rosję, na początku w. XX — Niemcy. Przyjaciółmi zaś Anglji byli każdorazowi antagoniści owych państw wrogich. Tak np. w wieku XVIII Anglja była w sojuszu z Austrją przeciwko Prusom aż do wojny Siedmioletniej, gdyż Austrja była w stałej wojnie z ówczesną główną nieprzyjaciółką Anglji, z Francją; ale skoro tylko Austrja pogodziła się z Francją, wnet przyjaźń angielska ją opuściła i Anglja połączyła się z Prusami przeciwko Austrji. Polska w w. XVIII militarnie dla Anglji nic nie znaczyła; mogła znaczyć tylko handlowo, ale i pod tym względem prześcignęły ją Rosja i Prusy. Sympatje więc angielskie były od nas dalekie!...

Gdy umówiony został pierwszy rozbiór, i rządy zabor-

cze doniosły o tem urzędownie gabinetowi londyńskiemu, otrzymały charakterystyczną odpowiedź: «Choć J. K. Mość nie zna powodów takiego postępowania trzech dworów, jednak chce wierzyć, że jest słuszne». A wkrótce potem, przy otwarciu parlamentu, król i obie izby cieszyły się z pokoju, panującego w Europie; o Polsce nikt nawet nie wspomniał.

Od pierwszego rozbioru do sejmu Czteroletniego Polska jako państwo nie istniała dla Anglji. Pogodziła się ona z myślą, że okrojona Polska należy już właściwie do Rosji. Dopiero w czasie sejmu Czteroletniego, kiedy Polska zaczęła się otrząsać z supremacji rosyjskiej i wysłała swych przedstawicieli do dworów europejskich (do Anglji Bukatego), i wreszcie zbliżyła się do Prus, z któremi wówczas Anglja była w przymierzu — przypomniano sobie w Londynie o Polsce. Zaczęto kombinować, czy nie warto rozszerzyć stosunków handlowych z Polską i w tym przedmiocie zebrano nawet szczegółowe dane statystyczne. Wkońcu uznano, że Polskę warto podtrzymać, o ile przymierze jej z Prusami przestanie być flirtem napozór beztreściwym, a w gruncie rzeczy zdradzieckim, ale kombinacją stałą i realną. W tym celu poseł angielski w Warszawie, Hailes, starał się o skłonienie patrjotów do ustąpienia Prusom Gdańska i Torunia, a przynajmniej pierwszego z nich, ale, jak wiemy, ustępstwo to nie przyszło do skutku, i przymierze pruskie rozprysło się przed pokusą drugiego rozbioru.

Uznanie, jakie spotkała w Anglji konstytucja 3 Maja, okazało się zupełnie platonicznem. I gdy wkrótce potem zaczęły się rozbiory, Anglja przypatrywała się im obojętnie, cała zajęta tworzeniem koalicji europejskiej przeciwko Francji.

Protestowali przeciwko rozbiorom Polski tylko papież i Turcja.

Papież Klemens XIV na początku 1772 r. udał się do Marji Teresy i Józefa II z gorącem wstawiennictwem za Polską. Nuncjusz papieski, Garampi, udający się do Polski, w przejeździe przez Wiedeń, z polecenia papieża, wstawiał się za Rzpltą. Przyjechawszy do Warszawy, całą duszą starał się natchnąć słabego Stanisława Augusta do walki z mocarstwami

rozbiorowemi. Rady, które podawał, warte przypomnienia. Radził brać przykład z papieża. Kiedy mianowicie Francja w roku 1768 opanowała Awinjon, nie miał papież siły oprzeć się gwałtowi, ale nie podpisał zrzeczenia; podobnież król i Rzplta nie powinni zaborów legalizować. A później, gdy sejm już był zebrany i rozbioru odwrócić było niepodobna, wskazywał królowi, że tylko od jego hartu zależy, by wymóc na państwach rozbiorowych to wszystko, co dla pomyślności okrojonej Polski na przyszłość jest potrzebne. «Niech W. K. Mość będzie pewną, a nie mówię tego lekko: trzy Dwory potrzebują Ciebie i Twego przyzwolenia. Twierdzę to stanowczo, aby Ciebie groźby nie przerażały. Niech W. K. Mość wytrwa w swych postanowieniach, niech się postara nagrodzić szkodę, jaką Rzplta poniesie skutkiem podziału, innemi dla niej korzyściami, które i naród i wiarę nadal ubezpieczą. Wtedy nikt W. K. Mości nie będzie mógł oskarżać, żeś zgubił kraj. I owszem okryjesz się chwałą, bo ocalisz, co jeszcze można, a nawet same Dwory nie będą mogły wziąść za złe, że tak roztropnie sobie począłeś. Dwory również dlatego między innemi koniecznie Ciebie potrzebują, że bez Ciebie wobec Europy konfederacja nie będzie miała charakteru legalnego: Król jest pierwszym w Rzpltej stanem i, jakakolwiek byłaby decyzja innych stanów, bez niego wszystko, co Dwory uczynią, może być tylko prostym gwałtem».

Gdy sejm rozbiorowy w r. 1775 skończył haniebne swe czynności uroczystem nabożeństwem w kościele św. Jana i odśpiewaniem Te Deum, zacny Garampi pisał: «Pod koniec sejmu, tak zgubnego dla wiary, dla państwa i dla osób prywatnych, właściwiej było odśpiewać psalmy pokutne i żale Jeremjasza!»

Następne rozbiory również przez papieża uznane nie zostały.

Przyjaźń, którą Polsce okazywała stale Turcja od początku XVIII w., tłumaczy się nie przez to, że, jak pisze w swych pamiętnikach J. Wybicki, muzułmanin i Polak obaj przespali wieki i, drzemiąc, nie spostrzegli, że są już w wieku XVIII, ale przez to, że zbiegiem okoliczności losy ich od tego czasu zaczęły się upodabniać, a interesa zespalać. Turcja, po-

dobnie jak Polska, uczuła na sobie twardą pięść Piotra W. i jego następców; sama już osłabiona i Europie niegroźna, chciała mieć w Polsce przyjaciółkę i sprzymierzeńca; czuła, że po pogromie Polski nadejdzie czas na jej własny pogrom. Polska i Turcja silne — musiały z sobą stale walczyć, obie słabe — zmuszone zostały, pomimo różnic cywilizacyjnych, do siebie się zbliżyć, szczególnie w czasie, kiedy sprawa usamowolnienia ludów bałkańskich, aktualna dopiero w w. XIX, jeszcze nie istniała.

W czasie bezkrólewia po Auguście III i w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta Katarzyna II w swej polityce względem Polski zawsze najbardziej obawiała się Turcji. Wmawiano w rząd turecki, że akcja rosyjska wcale nie dąży do opanowania Polski; wmawiano i przekupywano. Wreszcie jednak udało się konfederacji barskiej nakłonić Turcję do wypowiedzenia wojny Rosji za wtrącanie się do spraw Rzpltej. Turcję poparła, jak wiemy, Francja (Choiseul), rada, że może cudzemi rękoma Rosję niepokoić. Wojnę tę Turcja prowadziła niedołężnie i tylko zawdzięczając początkowym błędom dowódców rosyjskich, nie została odrazu rozbitą. Kostyczny Fryderyk II nazwał tę wojnę walką «ślepych» (Turków) z «jednookimi» (Rosjanami). Ale stopniowo Moskwa wzięła górę. W r. 1770 flota turecka została spalona przez Rosjan pod Orłowem, koło Czesme, miasteczka w Azji Mniejszej (na południowy zachód od Smyrny, naprzeciwko wyspy Chios).

Ks. Dołgorukij opanował Krym.

Rumiancew zajął Mołdawo-Wołoszczyznę i wkroczył za Dunaj, gdzie wkońcu obległ wielkiego wezyra w Szumli.

Koniec końcem, Polacy przez swe niezgody nie potrafili wyzyskać wojny rosyjsko-tureckiej, a przez to wojna ta nietylko nie pomogła Polsce, ale pośrednio stała się, jak wiemy, powodem pierwszego jej rozbioru. Mianowicie Katarzyna, mając na karku wojnę z Turcją, chciała się zabezpieczyć od interwencji pruskiej i austrjackiej i w tym celu zgodziła się na rozbiór. Zawarty w r. 1774 traktat w Kuczuk-Kajnardżi o Polsce nawet już nie wspomniał.

Druga wojna rosyjsko-turecka wywołana została nie przez Turcję, ale przez Rosję. Katarzyna, pod wpływem Potemkina, już oddawna marzyła o zdobyciu Konstantynopola,

i z tego powodu drugiego swego wnuka, przeznaczonego na przyszłego cesarza greckiego, nazwać kazała Konstantym. By zapewnić sobie zwycięstwo, carowa musiała zjednać sobie pomoc Austrji. Józef II odegrał smutną rolę narzędzia Katarzyny, bez żadnej dla swego państwa korzyści. Prologiem do tej drugiej wojny rosyjsko-tureckiej (1787—1792) była podróż Katarzyny do Krymu i spotkanie się w ciągu tej podróży z Józefem II i Stanisławem Augustem. Jak wiemy, Stanisław August pragnął, przez zawarcie z Rosją przymierza zaczepno-odpornego, wciągnąć Polskę do wojny z Turcją; myślał, że tą drogą, niezależnie od ewentualnych w razie zwycięstwa nabytków terytorjalnych, podniesie mocarstwowe znaczenie Polski, a jednocześnie uzyszcze zgodę Rosji na przeprowadzenie koniecznych reform wewnętrznych. Program ten, chłodno i podejrzliwie przyjęty przez Katarzynę, dał jednak powód do pertraktacyj o przymierzu zaczepno-odpornem, a przez to do zaalarmowania Prus. By więc program ten sparaliżować, Prusy rozwinęły w Rzpltej działalność prowokacyjną, i nawzajem zaproponowały swoje przymierze. Jak wiemy, by to ostatnie zażegnać, Kaunitz zgłosił się znów z propozycją przymierza polsko-austrjackiego. Polska stanęła na rozdrożu, a rozpoczęta wojna rosyjsko-austro-turecka dawała większą swobodę orjentacji.

I znów Polacy tę chwilę zmarnowali. A zmarnowali nie przez to, że wybierając między rosyjską Scyllą a pruską Charybdą, zdecydowali się zbliżyć do tej ostatniej, ale przez to, że nie oparli swej polityki na własnych siłach, na własnem wojsku i skarbie.

Znów więc wojna rosyjsko-turecka skończyła się — klęską Polski. Przez wzgląd na wojnę Katarzyna zmuszona była napozór obojętnie traktować zmiany w Rzpltej, a przez to łudziła Polaków, że Rosja tym zmianom się nie sprzeciwi. Tymczasem długo tłumiony gniew kobiety tak pysznej, jak Katarzyna, przetrawił się w szał zemsty, który miał Polskę zdruzgotać zaraz po zawarciu pokoju. Pokój ten stanął w Jassach na początku 1792 r., a zwracające z Turcji wojska rosyjskie zostały skierowane wprost do granic Rzpltej.

Gdy sejm Czteroletni wyznaczał poselstwa do wszystkich dworów zagranicznych, na posła do Stambułu wyznaczony został Piotr Potocki, starosta szczerzecki. Poselstwo to

kosztowało Polskę w przeciągu czterech lat 865.640 złp., Turcję zaś naraziło na 3 miljony piastrów wydatków, a to bez żadnej korzyści ani dla Polski, ani dla Turcji. Zamiast na nieudolne intrygi dyplomatyczne, trzeba było lepiej pieniądze te obrócić na wojsko. A Piotr Potocki jechał do Konstantynopola bez żadnego przygotowania dyplomatycznego; zato chciał nadrabiać zbytkiem, który nie licował ze smutnym stanem ówczesnym Rzpltej [1]).

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o Szwecji, nie przez wzgląd na jej znaczenie międzynarodowe i wpływ na sprawy polskie — chociaż wojna Gustawa III z Rosją 1788—1790 r. również zaprzątnęła Katarzynę w czasie sejmu Czteroletniego — ale by wykazać pewne charakterystyczne dla zrozumienia naszych dziejów analogje i różnice.

Szwecja w połowie XVIII w. pogrążona była w stan anarchji, nie ustępującej polskiej. Władza królewska sprowadzona była, jak w Polsce, do nicości. Wreszcie przekupstwo było tam powszechne, o wiele większe niż w Polsce, a z przekupstwa tego i anarchji korzystała Rosja. A jednak w r. 1772, w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, królowi Gustawowi III udał się zamach stanu, który władzę królewską do dawnego podniósł znaczenia i przedajną arystokrację poskromił. Gdy Rosja, po ukończeniu w r. 1774 wojny tureckiej, znów zaczęła intrygować w Szwecji i podjudzać przeciwko królowi opozycję, wszystkie te intrygi nie osiągnęły skutku. Wreszcie, gdy w r. 1788, korzystając z nowej wojny rosyjsko-tureckiej, Gustaw III rozpoczął wojnę z Rosją, i Rosji udało się zbuntować przeciwko niemu opozycję, nietylko ją zgniótł, ale w najcięższej chwili został przez cały naród poparty.

---

[1]) Koszt innych ambasad polskich z czasów Sejmu Czteroletniego był daleko mniejszy. Londyńska placówka kosztowała za czterolecie 250.542, wiedeńska 208.509, berlińska 132.000, petersburska tylko 59.779 złp. A właśnie ta ostatnia działała najlepiej — ministrem-rezydentem był rozumny, zacny, patrjotyczny, ale skromny Antoni Deboli. Dobrze spełniali swe funkcje także Franciszek Bukaty, rezydent w Londynie, i Franciszek Wojna, rezydent w Wiedniu. Posłowie Rzpltej z magnaterji, Józef Czartoryski i Stanisław Jabłonowski w Berlinie, Piotr i Jerzy Potoccy w Konstantynopolu i Stokholmie i Michał Ogiński w Hadze nie wykazali najmniejszych zdolności dyplomatycznych.

Skąd te różnice? Stąd, że, pomijając już lepsze położenie geograficzne, struktura społeczna narodu szwedzkiego nie była tak anormalną, jaką była w Polsce, że władza królewska miała na czem się oprzeć, że stan włościański stanowił tam już żywioł choć w pewnym stopniu politycznie uświadomiony, i że wreszcie Gustaw III, pomimo swych wad, dziwactw i fanfaronady, w chwilach ciężkich i krytycznych nie bawił się w mdłą ugodowość, lecz umiał sam się wznieść do wyżyn bohaterstwa i, uderzywszy w wielki dzwon szczerego patrjotyzmu, rozpalił nim serca swych poddanych.

Bo życie narodów nie może się obyć bez chwil zapału i stawienia wszystkiego na kartę. W chwilach tych milknąć muszą powszednie troski o dobrobyt i sam byt jednostek, oraz wyrachowana rozwaga «ludzi rozsądnych».

C. STRONA ETYCZNA ROZBIORÓW

Zatrzymaliśmy się dłużej na stosunkach europejskich, bo one to głównie doprowadziły do rozbiorów. Słabość Polski, dążącej do zreformowania swego anachronicznego ustroju państwowego i będącej na drodze do poprawy swej spaczonej budowy społecznej, była tylko czynnikiem pomocniczym, ułatwiającym zadanie państw rozbiorowych. Te dążyły jedynie do własnych celów egoistycznych, a wcale nie do zaprowadzenia porządku w kraju anarchicznym. Owszem, anarchja polska była właśnie najtroskliwiej pielęgnowana i popierana przez państwa rozbiorowe, a dążenie Polski do usunięcia anarchji i zaprowadzenia u siebie ładu wewnętrznego przyczyniło się tylko do przyśpieszenia akcji podziałowej.

Dla zdania sobie sprawy ze strony etycznej tego mordu politycznego, dokonanego na Polsce, musiały zachodzić różnice rażące w sądach o tem Polaków i obcych. I jedni i drudzy wpadali w przesadę, przyczem również wielu Polaków, sugestjonowanych przez sądy swych przeciwników, zaczęło zgadzać się z ich zdaniem, że upadek Polski był rzekomo koniecznością dziejową, wywołaną stosunkami wewnętrznemi, i że winy nie w polityce zaborczej państw odnośnych, ale we własnych błędach szukać należy.

Beznamiętny sąd dziejowy powinien oczyścić się z krań-

cowości subjektywnych i, z uwzględnieniem należytej perspektywy dla czynów przed stu kilkudziesięciu laty, czyny te sprowadzić do właściwych rozmiarów, przedewszystkiem zaś ustalić pojęcie etyki międzynarodowej.

Mówiąc o polityce Augusta II, mieliśmy już sposobność określić nasz pogląd na etykę zbiorową w przeciwieństwie do etyki indywidualnej, a to w zestawieniu do polityki wewnętrznej. Pogląd ten stosuje się również do stosunków międzynarodowych.

Jeżeli etyka zbiorowa nie może się rządzić niewolniczo prawami etyki indywidualnej, jeżeli nie można uczuć altruistycznych wymagać od narodów w takim stopniu, w jakim ich wymagamy od jednostek, wreszcie jeżeli za normę wszelkiej zdrowej polityki przyjąć nietylko można, ale nawet należy, uprawniony egoizm narodowy — to z drugiej strony nie należy iść za daleko, niepodobna zgodzić się na zasadę, że w polityce międzynarodowej wszystko wolno, że tylko siła jest prawem, i że choćby najbardziej krańcowy egoizm narodowy jest czynnikiem zdrowym i z cywilizacją zgodnym. Gdyby tak sądzić, tobyśmy musieli przekreślić cały dorobek cywilizacyjny ludzkości i znów stanęli na poziomie owego murzyna, stojącego na najniższym znanym stopniu uspołecznienia, którego pojęcie dobrego i złego sprowadza się do bardzo prostej formułki: dobrem jest, gdy on ukradnie sąsiadowi żonę, a złem gdy stanie się odwrotnie.

Do polityki zbiorowej, a więc także do stosunków międzynarodowych daje się czasem zastosować, jako czynnik łagodzący, tak niemoralna, a ile idzie o stosunki osobiste zasada, że «cel uświęca środki». Chodzi o to, że dla celów, stojących nieskończenie wyżej od potrzeb indywidualnych, ponoszone być muszą często znaczne ofiary, przyczem jednak skala odstępstw od etyki indywidualnej powinna być we właściwym stosunku do wielkości zamierzonego celu.

Zgodziwszy się na takie ograniczenie wymagań etyki, uzyskamy miarę właściwą dla oceny wypadków historycznych, i ustrzeżemy się od przesady w potępianiu dokonanej na naszem ciele zbrodni rozbiorowej. Przytem należy uwzględnić różnice, zachodzące między pojęciami i wymaganiami chwili obecnej a wieku XVIII, i nie stosować do tego czasu dzisiejszych pojęć narodowościowych i społecznych.

Dzisiejsze pojęcie narodowości było zupełnie obce wiekowi XVIII. Nie należy więc zmniejszać zbrodni podziałowej przez wzgląd na niejednolitość etnograficzną ludności Rzpltej, ani z drugiej strony zbrodni tej wyolbrzymiać z powodu rozdarcia samego narodu polskiego na części i oddania go, narodu zachodnio-słowiańskiego, na pastwę Niemcom i Moskalom.

Z temi zastrzeżeniami rozpatrzmy, czem powodowały się państwa rozbiorowe w swej akcji, która miała wszelkie cechy tego, co powszechnie nosi nazwę mordu politycznego.

Co za względy kierowały Rosją? Nie chodziło jej o przyłączenie Białorusinów i Rusinów, choć pretekst ten znalazł się w manifestach Katarzyny II i na wybitych z jej rozkazu medalach pamiątkowych. Przecież z największym spokojem oddała ona Austrji Ruś Czerwoną. Również nie chodziło Rosji o motywy religijne i o przyłączenie dyzunitów, bo z akcji Katarzyny II na korzyść dysydentów i dyzunitów wiemy, że, pomijając względy ambicji osobistej, dążyła ona jedynie do zawichrzenia Rzpltej i miała wogóle cele czysto polityczne. Nie chodziło również Rosji o bezpieczeństwo własne, gdyż Rzplta była zbyt słabą, i niczem Rosji zagrażać nie mogła, nawet po przeprowadzeniu reform; a przeciwnie, Rosja przez podziały Polski, zamiast sąsiada spokojnego, otrzymała sąsiada groźnego i zaborczego. Wogóle względy t. zw. racji stanu, które mogłyby usprawiedliwiać akcję rozbiorową, w zastosowaniu do Rosji nie istnieją; owszem, jak wiemy, większość ministrów rosyjskich była, ze względów na interes państwowy, rozbiorowi przeciwną i chciała tylko utrzymywać całą Polskę w pewnej od Rosji zależności.

Jeżeli więc Rosja, bez której udziału rozbiory Polski nie mogły mieć miejsca, jednak na nie przystała, należy to przypisać dwóm motywom: kaptowaniu sobie tą drogą życzliwości Prus i osobistym uczuciom Katarzyny II i jej faworytów. Katarzyna dogodziła swej obrażonej miłości własnej i zemście; faworyci szukali w rozbiorach Polski zysków materjalnych. Pierwszy motyw należy uznać za niewystarczający dla usprawiedliwienia tak okrutnego czynu, jak zniszczenie państwa sąsiedniego, tem bardziej, że był przeciwnym rzeczywistym interesom rosyjskim, stwarzając z Prus groźnego współzawodnika. Drugi motyw jest wprost wstrętny.

Również należy w każdym razie wstrętnemi uznać sposoby, których użyła Rosja dla utrzymania Polski w stanie anarchji i bezsilności i dla przeprowadzenia i zatwierdzenia rozbiorów. Na to niepodobna znaleźć jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Taką okolicznością nie może być, jakeśmy to już raz wskazali, fakt, że Rosja nie była odosobnioną, bo tak samo postępowały Prusy; tem bardziej, że postępowanie Rosji, nawet w zestawieniu z wiarołomstwem polityki pruskiej, było jeszcze okrutniejsze. Żądała ona, by grób Polsce wykopany został rękami samychże Polaków. Ofiara musiała być przed śmiercią zdeprawowana i zhańbiona; haniebne konfederacje radomska i targowicka były dziełem wyłącznie rosyjskiem.

Przechodzimy do Prus. Wskazywaliśmy już, że dążenie do zaborów w Polsce nakazywała im specyficzna pruska racja stanu, podnoszona do wysokości jakiegoś kultu, przed którym wszystko milknąć i ustępować musiało. Ale cywilizacja europejska nie zna takiego tabu, nie uznaje bezkrytycznego i okrutnego kultu Molocha, Baala, Astarty i innych bóstw pogańskich.

Czem były Prusy? Sztucznym zlepkiem różnych niewielkich obszarów, z ludnością niemiecką, litewską i polską, stworzonym i podniesionym do znaczenia talentem i bezwzględnością swoich władców. Pozbawione początkowo wszelkiej idei przewodniej, Prusy zdobywają ją sobie dopiero stopniowo. Wykłuwa się ona powoli i w swem przeobrażeniu przybiera coraz nowe kształty. Prusy walczą najprzód z Saksonją — o przodownictwo wśród księstw protestanckich, później z Austrją — o przodownictwo w Niemczech, wreszcie dążą do zjednoczenia Niemiec. Wszystkie te cele mają swe uprawnienie w ogólnej rywalizacji rzeczy ludzkich, ale nie są czemś nadzwyczajnem, wyższem od podobnych aspiracyj innych narodów.

Pozatem dla tych celów upadek Polski nie był potrzebny; nie był też potrzebny zabór ziemi polskiej, z wyjątkiem chyba Prus Królewskich, jako prowincji, oddzielającej Prusy Książęce od Brandenburgji.

Prusy Królewskie i Prusy Książęce przez samo swe położenie geograficzne musiały należeć albo do jednego państwa, albo do drugiego. W tej kolizji decydować mogła tylko

siła, a nie etyka międzynarodowa. Jeżeli, pomimo to, politykę względem Polski Fryderyka II uznajemy za niegodziwą, to nie dlatego, że dążył do uzyskania Prus Królewskich, ale dla haniebnych i nieludzkich środków, których do tego używał; środkami temi było, jak wiemy, wszystko, co mogło służyć do podkopania samego bytu Rzpltej, nie wyłączając nawet fałszerstwa pieniędzy.

Po pierwszym rozbiorze Prusy dążyły stale do uzyskania jeszcze Gdańska i Torunia. I tu, szczególnie co do Gdańska, dążenie to można usprawiedliwić; ale tylko znów co do celu, bo co do środków, były one arcyniegodziwe i z wytkniętym celem nie pozostawały w żadnej proporcji. Mówiąc tak, mamy na myśli nietylko niedotrzymanie przymierza w r. 1792, ale całą poprzednią pruską politykę zakulisową. Wszak traktując z Polską i zawierając z nią przymierze, Prusy dążyły świadomie do zdradzenia Polski i złączenia się przeciwko niej z Rosją. A gdy taktyka ta doprowadziła do drugiego rozbioru, Prusy już nie zadowoliły się Gdańskiem i Toruniem, ale chwytały jak najwięcej, tak, że w rezultacie zagarnęły tak dużo, że prawie połowa całego obszaru etnograficznego polskiego znalazła się w zaborze pruskim.

Czem usprawiedliwić tę politykę? Czyż racja stanu jakiegokolwiek państwa wymagała stałych, ciągłych zaborów? Czyż wszelki zabór był sam przez się tak wielkim celem, że usprawiedliwiał gwałt dlań dokonywany? Racja stanu pruska wynalazła na te pytania charakterystyczną odpowiedź. Jest nią potrzeba «zaokrąglania się». Przez takie zaokrąglanie się można wkońcu cały świat zabrać, i motyw taki jest oczywiście nie motywem, ale błahym pretekstem.

Województwa wielkopolskie, zabrane przez Prusy przy 2-im i 3-im rozbiorze, nie były im wcale potrzebne; doprowadziły tylko do zdeprawowania również wewnętrznej polityki pruskiej.

Nie potrzebujemy dodawać, że Polska nie przedstawiała dla Prus, a tem bardziej dla Niemiec, żadnego niebezpieczeństwa, i że również dla Niemiec, jak dla Rosji, było bardziej korzystnem sąsiedztwo słabej Polski, niż sąsiedztwo z potężnem państwem zaborczem.

Przechodząc z kolei do Austrji, powołujemy się na to, cośmy o jej udziale w rozbiorach powiedzieli już poprzednio.

Racją stanu austrjacką było utrzymanie równowagi politycznej, ale należy wątpić, by przyjęciem udziału w rozbiorach równowaga ta została utrzymaną, i powstaje pytanie, czy nie lepiej było dla Austrji rozbiorom się sprzeciwić, a tem bardziej nie dopuścić do zupełnego zniszczenia swego sąsiada. Stosuje się to przedewszystkiem do układów cesarza Franciszka z Fryderykiem Wilhelmem i Rosją, t. j. do 2-go i 3-go rozbioru. Trzeci rozbiór był tylko następstwem drugiego, a tymczasem układy o drugi rozbiór prowadzone były przez cesarza Franciszka, wbrew uczciwym radom Kaunitza, z takiem pogwałceniem wszelkich zasad, że w danym wypadku trudno polityki austrjackiej odróżnić od pruskiej. Różnica była chyba ta, że Austrja dała się wkońcu oszukać i nie dostała ani Bawarji, ani udziału w drugim rozbiorze Polski. W rezultacie straciła w Polsce życzliwego i spokojnego sąsiada, a na jej miejsce urosły dwa potężne, groźne państwa zaborcze.

A cóż pod względem etycznym powiedzieć o doskonałej obojętności na upadek Polski ze strony tak wielkich i potężnych państw, jak Francja i Anglja? Nietylko przeciwko rozbiorom nie protestowały, ale nawet sprawą tą się zajmować nie chciały. Anglja nawet pośrednio słuszność ich uznała, a Francja rewolucyjna powstaniu kościuszkowskiemu wszelkiego poparcia odmówiła. Zła to była etyka, obok jeszcze gorszej, bo krótkowzrocznej polityki. A sprawiedliwość każe przyznać, że niewielka jest różnica między tym, kto morduje i grabi, a tym, co się temu spokojnie przypatruje.

Ale teraz zwróćmy zkolei uwagę na różne okoliczności łagodzące; bezwzględna sprawiedliwość nie pozwala zamykać na nie oczu.

A więc przedewszystkiem pamiętajmy, iż zaborczość w w. XVIII była zjawiskiem powszechnem. Zbrodnia, którą popełniają wszyscy, przestaje być zbrodnią jednego narodu, staje się zbrodnią, grzechem, winą, czy cechą całego wieku.

Powtóre, absolutorjum moralne za wszelkie gwałty państwowe i międzynarodowe znajdowali ludzie XVIII w. w ówczesnej filozofji racjonalistycznej, nietylko pozbawionej wszelkiej etyki, ale z etyki wprost szydzącej. Tylko tam, gdzie racjonalizm ten łagodzony był przez religję, niezarażoną racjonalizmem, a taką jest w pierwszym rzędzie katolicyzm, tylko tam spotykamy pewne względy na sumienie, pewne skrupuły i wahania, pewną odrazę do gwałtu nawet międzynarodowego; widzimy to w pierwszym rzędzie w Austrji, w słabszym stopniu we Francji nawet Ludwika XV.

Po trzecie, nie należy zamykać oczu na to, że Polacy przedstawiali się zagranicy w w. XVIII jak najgorzej, i zagranica nie mogła z sympatją i szacunkiem patrzeć na ludzi, pogrążonych w tyloletniej anarchji, pełnych wad i narowów, niepoprawnych w niezgodach i warcholstwie, stale szukających interwencji zagranicy, obojętnych na bezpieczeństwo i godność swego kraju, skąpych do sknerstwa na potrzeby publiczne, a marnotrawnych dla popisu osobistego, często przekupnych, dla swoich pysznych i wyniosłych, a płaszczących się przed obcymi, wreszcie w chwilach największych klęsk narodowych oddających się tańcom, kartom i zabawom... Z klas wyższych, z ludzi często najgorszych lub dla spraw krajowych obojętnych zagranica sądziła o całym narodzie.

Po czwarte, kto dokonał tych gwałtów nad Polską i wymazał ją z mapy Europy? W małym tylko stopniu można o to oskarżać narody i ludy, gdyż dokonały tego ich rządy i monarchowie, często również ciężcy i bezwzględni dla własnych poddanych.

Wreszcie, o czem nie zapominajmy, rozbiory nie były kulminacyjnym punktem krzywd i nieszczęść, doznanych przez naród polski. Gwałt, dokonany na Polsce w końcu XVIII w., bezpośrednio stosował się tylko do państwa, nie do narodu. Państwa rozbiorowe przyrzekły sprawować rządy nad ludnością podbitą z łagodnością i zupełnem uwzględnieniem jej potrzeb narodowych i religijnych. Dopiero później zaczęły się prześladowania narodowościowe i wyznaniowe, orgje wynaradawiania i wywłaszczania. Naród budził się z dawnego letargu; klasy uprzywilejowane uświadamiały sobie dawne błędy i kajały się za grzechy przeszłości; wieśniak i mieszczanin stawali się obywatelami, walczyli i ginęli za upadłą ojczyznę; dawna obojętność zmieniła się w patrjotyzm gorący, często wybuchowy i nieostrożny, ale zawsze szlachetny i ofiarny. A tymczasem krzywdy wciąż rosły i potężniały, a kamień grobowy, pomimo tyloletnich wysiłków, zapadał się coraz głębiej. Wreszcie po wybuchu wielkiej wojny europejskiej Polacy znaleźli się w dwóch przeciwnych sobie obozach, i brat musiał mordować brata!...

Czyliż te męki kilku pokoleń nie były o wiele większe od tych, których doświadczyli ludzie epoki rozbiorowej? Wówczas lud wiejski narazie ledwie spostrzegł zmianę dokonaną, ogół szlachty zajęty był swemi sprawami materjalnemi, zaledwie jednostki odczuły prawdziwy rozmiar klęski, a i te pocieszały się nadzieją prędkiego wyzwolenia. To też gdy się czyta pamiętniki z tej epoki, tak dziś dla nas strasznej, mimowoli doznaje się zdumienia, że nie była ona tak bardzo straszną dla ludzi ówczesnych, że, pomimo dokonywującego się na ich oczach upadku własnego kraju, ani go rozumieli, ani go odczuli.

W ten sposób surowy sąd o stronie etycznej rozbiorów należy z wielu względów poddać rewizji i złagodzić. Gdyby wypadł zbyt bezwzględnie, jakże osądzilibyśmy to wszystko, co nastąpiło później, a co o wielekroć przewyższyło grozę rozbiorów?

Bądźmy też wyrozumiałymi dla naszych przodków z epoki rozbiorowej. Natomiast powinniśmy być surowymi dla nas samych, którzy korzystamy z doświadczeń poprzednich pokoleń. Błędy, które one popełniały, powinny być dla nas stałą przestrogą. Gdyby się miały powtórzyć, bylibyśmy stokroć winniejsi od ludzi wieku XVIII.

V. RADZIWIŁŁ «PANIE KOCHANKU».

Karol Radziwiłł, znany pod nazwą «Panie Kochanku», był synem Michała Kazimierza, hetmana w. litewskiego, znanego pod nazwą «Rybeńko», i Urszuli Wiśniowieckiej.

Parę słów o tych rodzicach.

Michał Kazimierz Radziwiłł, ur. w r. 1702, wychowany był w domu przez księży, głównie jezuitów. Gdy miał lat siedemnaście, odumarł go ojciec, a matka uważała, że ma już dość wiadomości. Chciała go ożenić z bogatą Zofją Sieniawską, późniejszą Augustową Czartoryską, ale ta mu się nie podobała, a natomiast, w czasie odwiedzin na Śląsku, w Olawie, u królewicza Jakóba Sobieskiego, który był jego cioteczny wujem, zakochał się w królewiczównie Karolinie, późniejszej księżnej de Bouillon. Ale energiczna matka nalegała na małżeństwo z bogatą Sieniawską, a książę Michał, tak przez przywiązanie do matki, jak przez słabość charakteru, bał się jej sprzeciwić. Licząc, że przez zwłokę od małżeństwa tego się wykręci, wybrał się w podróż zagraniczną. Trwała ona dwa lata, 1721—1723. Zwiedził Berlin, gdzie był przedstawiony królowi Fryderykowi Wilhelmowi, — Dessau, gdzie go przyjmował ks. Anhalt-Dessau (brat Marji Eleonory, wdowy po Jerzym Radziwille, stryju ks. Michała), — Lipsk, gdzie brał lekcje tańców, — Drezno, gdzie przyjmował udział w zabawach dworskich, — Wiedeń, gdzie był przedstawiony cesarzowi Karolowi VI i trochę hulał, — Monachjum, gdzie był przyjmowany przez elektora bawarskiego, Maksymiljana Emanuela, i jego żonę, Teresę Kunegundę Sobieską, cioteczną ciotkę ks. Michała, — Mannheim, gdzie odwiedził elektora palatyna reńskiego, ks. Neuburskiego (który miał za żonę

naprzód od r. 1688 Ludwikę Karolinę Radziwiłłównę, zmarłą w r. 1695, a powtóre Teresę Katarzynę Lubomirską, zmarłą w r. 1712), i był swatany z księżniczką Sulzbach, ciotką tych księżniczek Sulzbach, z których jedna miała później być narzeczoną jego brata, Hieronima Florjana, — Holandję, skąd po dłuższej chorobie chciał wyruszyć do Anglji, ale zniechęcony burzą i morską chorobą, wrócił z powrotem, — wreszcie Paryż, gdzie brał udział w zabawach dworskich i kształcił się w szermierce, tańcach, grze na flecie i matematyce (?!).

Wracał do kraju w r. 1723 przez Brukselę, gdzie go swatano z księżniczką Thurn-Taxis, — przez Pragę, gdzie asystował przy koronacji cesarza Karola VI na króla czeskiego i otrzymał to, czego się oddawna dobijali Radziwiłłowie, t. j. miejsce w sejmie rzeszy niemieckiej, — wreszcie przez Drezno, gdzie przedstawił się Augustowi II, już jako młodzian bywały i z polorem europejskim.

Polor to był nadzwyczaj powierzchowny, gdyż ks. Michał w długiej swej podróży niczego właściwie się nie nauczył, wrócił, jak wyjechał, człowiekiem zacofanym, z ogładą zewnętrzną, ale bez wiadomości nietylko w matematyce (!), ale nawet w rzeczach bardziej dostępnych.

O rozumieniu potrzeb krajowych nie było mowy. Ks. Michał, jak wielu innych panów ówczesnych, czuł się zupełnie dobrze w anarchicznej i oligarchicznej Rzpltej; czas swój trawił wśród łowów, bankietów i nabożeństw, na doglądaniu interesów bądź własnych, bądź cudzych, na rywalizowaniu z innemi domami możnowładczemi, głównie z Czartoryskimi, na dworowaniu królowi, bez jakichkolwiek chęci reform politycznych, wreszcie na pilnowaniu trybunałów, sejmików i sejmów, bez najmniejszej myśli ich poprawy. Był to żywot ruchliwy, ale ruch ten zasadzał się na deptaniu na miejscu.

W r. 1725 Michał Radziwiłł ożenił się z Urszulą Wiśniowiecką, córką jedynaczką Janusza, kasztelana krakowskiego. Była to kobieta względnie inteligentna, zebrała w Nieświeżu bogatą bibljotekę i była autorką kilku komedyj i dramatów, wprawdzie bardzo nieudolnych, ale które grywano na scenie nieświeskiej.

W r. 1728 Michał Radziwiłł mianowany został koniuszym lit. Potem posłował na wszystkie trzy sejmy, zerwane

z powodu walki o buławy, t. j. na sejmy 1729, 1730 i 1732 r., wreszcie na sejm Styczniowy 1733 r.

W czasie bezkrólewia należał do stronnictwa saskiego i do elektorów Augusta III. W nagrodę, już w r. 1734, został mianowany marszałkiem nadwornym lit., a w r. 1735 kasztelanem trockim i hetmanem polnym lit. W r. 1737 został wojewodą trockim, w r. 1742 kasztelanem wileńskim, wreszcie w r. 1744 wojewodą wileńskim i hetmanem w. lit. Hetmaństwo w owych czasach, jak wiemy, nie wymagało wiadomości, ani zdolności wojennych, ani nawet animuszu; był to tylko wysoki urząd bez żadnych obowiązków, ale z władzą prawie nieograniczoną nad wojskiem zbyt szczupłem, aby mogło się mierzyć z nieprzyjacielem, ale zupełnie dostatecznem, aby zaważyć, gdzie trzeba, na stosunkach wewnętrznych. Ks. Michał raz jeden wprawdzie wojował, ale właśnie jeszcze wtedy, kiedy nie był hetmanem, i nie przeciwko wrogom zagranicznym, ale z swoim hufcem nadwornym, wspólnie z wojskiem moskiewskiem, przeciwko stronnikom króla Stanisława Leszczyńskiego w latach 1734 i 1735.

W życiu prywatnem mógł zasługiwać na pewien szacunek i uznanie. W porównaniu do buty i zawziętości panów ówczesnych (nie wyłączając Czartoryskich), ten królik Litwy wyróżniał się spokojem i umiarkowaniem i jakąś rozbrajającą patrjarchalnością.

Także w walkach o trybunały litewskie unikał ekscesów. Jako dowód umiarkowania może służyć zachowanie się jego przy ufundowaniu trybunału 1756 r., który, pod laską Fleminga, najwidoczniej miał się zwrócić przeciwko całej partji radziwiłłowskiej. Gdy miało już dojść do przelewu krwi, Michał Radziwiłł ustąpił przed stroną przeciwną; wprawdzie wpłynął na to także rozkaz królewski, ale wiemy, jak takie rozkazy wówczas ignorowano. Obecny przy ojcu enfant terrible, młody ks. Karol, późniejszy «Panie Kochanku», który przedtem sam dokazywał, jako marszałek trybunału, był tą powolnością ojca wprost oburzony i krzyknął: «Czemuż to W. Ks. Mość tchórzysz?» Napadł za to na syna ks. Michał i decyzji swej nie zmienił; ustąpił z Wilna, jako zwyciężony, mówiąc z rezygnacją: «victor dat leges» [1]).

[1]) Zwycięzca dyktuje prawa.

Ks. Michał trzymał się zasady, by być zawsze dobrze postawionym u dworu, starał się więc pozostawać w przyjaznych stosunkach z Brühlem. Drugą jego zasadą było trzymać się Rosji, której nie chciał się narażać, i której gospodarce w Polsce, szczególniej w czasie wojny Siedmioletniej, w niczem się nie sprzeciwiał; był też nagrodzony przez carową Elżbietę najwyższym orderem rosyjskim św. Andrzeja.

Pierwsza żona ks. Michała, Urszula Wiśniowiecka, umarła w r. 1753, pozostawiwszy mu jednego tylko syna, Karola Stanisława, późniejszego «Panie Kochanku» (dwaj inni synowie umarli, jeden w dzieciństwie, drugi, Janusz, w r. 1759), i dwie córki: Teofilę (późniejszą 1-o v. Morawską, 2-o v. Rozwadowską) i Katarzynę, późniejszą żonę Stanisława Rzewuskiego. Ks. Michał ożenił się powtórnie w r. 1754 z krewną pierwszej żony, Anną z Mycielskich, kasztelanką pomorską, wdową po Leonie Radziwille (z odnogi na Szydłowcu); z tego małżeństwa byli, syn Hieronim i trzy córki: Weronika, wydana później za Franciszka Czapskiego, wojewodę chełmińskiego, Józefina, późniejsza 1-o v. Ksawerowa Massalska, 2-o v. Michałowa Grabowska, i Marja Wiktorja, późniejsza żona Benedykta Morykoniego, pisarza w. lit.

«Rybeńko» umarł w r. 1762, pozostawiając po sobie iście kolosalną fortunę, i, jako głowę rodziny, legendowego Karola Radziwiłła «Panie Kochanku».

Na fortunę ks. Michała w chwili zgonu składały się: ordynacja nieświeska (z hrabstwem mirskiem), ordynacja ołycka, Biała, Birże, Dubinki, księstwo słuckie, Kiejdany (na Żmudzi), Kojdanów (w Mińszczyźnie), Czarnawczyce (koło Brześcia), Newel i Siebież (w Witebszczyźnie), dobra żółkiewskie, złoczowskie i in. po Sobieskich. Do tego dodać należy fortunę Urszuli Wiśniowieckiej, która przechodziła na dzieci ks. Michała z pierwszego małżeństwa; do fortuny tej należały: Czartorysk, Białokrynica i Jampol na Wołyniu, Pohrebyszcze, Moszny, Białozierze i Międzyrzec na Ukrainie, Żmigród na Podgórzu karpackiem i in.

Można sobie wyobrazić, coby to było, gdyby do kolosalnej fortuny Radziwiłłów dołączone zostały, zamiast znacznych dóbr Wiśniowieckich, jeszcze znaczniejsze od nich dobra Sieniawskich, jak o tem marzyła matka ks. Michała, zapobiegliwa Anna Sanguszkówna! Dobra Sieniawskich, gdy się dostały

w rządne ręce Augusta Czartoryskiego, same przez się dawały dochody nie o wiele mniejsze od radziwiłłowskich.

Ks. Karol Stanisław Radziwiłł, znany pod przezwiskiem «Panie Kochanku», urodził się w roku 1734, jako młodszy z dwojga bliźniąt; ten jego brat bliźniak, Janusz Tadeusz, dożył tylko do lat szesnastu i umarł w r. 1750. Obaj bracia chowali się razem; wykształcenie początkowe otrzymali w domu i w miejscowej szkole jezuickiej w Nieświeżu; nauczyli się tam niewiele, ale bądź co bądź umieli czytać i pisać w kilku językach; opowieści o tem, że ks. Karola nauczono w ten sposób odróżniać litery, że strzelał do nich kulami, należą do rzędu wymysłów, związanych z legendową postacią księcia «Panie Kochanku».

W r. 1748, a więc mając zaledwie lat czternaście, zostali już młodzi książęta wybrani na posłów do sejmu — Janusz, jako poseł z sejmiku wileńskiego, a Karol z sejmiku oszmiańskiego. Posłowanie takich młodzieniaszków zdarzało się w owych czasach w rodzinach magnackich i miało na celu względy pedagogiczne — zaprawianie młodych paniczów do życia publicznego; o samo to życie publiczne oczywiście mniej chodziło. Na tym sejmie, który, jak inne, spełzł na niczem, Januszek i Karolek Radziwiłłowie nietylko zasiadali, ale nawet przemawiali (oczywiście pod czyjemś dyktandem), i wybrani byli od stanu rycerskiego prowincji litewskiej do sądu sejmowego, t. zw. sądów relacyjnych. O zachowaniu się ich na tych sądach wiadomości nie posiadamy; natomiast z diarjusza sejmowego widzimy, że Januszek zaraz w początkach sejmu wysunięty był przez posłów litewskich do zrobienia zastrzeżenia («prekustodycji»), ażeby w układaniu i czytaniu projektów, dotyczących Wielkiego Księstwa Litewskiego, przestrzegana była należna Litwinom kolej, i na tę «prekustodycję» J. O. posła wileńskiego posłowie litewscy ciągle się powoływali; Karolek zaś Radziwiłł wystąpił na jednej sesji z zwykłem «niepozwalam»! W diarjuszu o tem tak powiedziano: «ks. jmp. Radziwiłł i jmp. Sulistrowski, posłowie oszmiańscy, na abrogację cła brzeskiego nie pozwolili».

W r. 1750 młody ks. Janusz umarł, a ks. Karol zasiadł, jako deputat z powiatu pińskiego, w trybunale. W r. 1751 został pułkownikiem; w r. 1752 towarzyszył ojcu do Wschowy, gdzie miała się odbyć rada senatu; tam został mianowany

podczaszym lit. Wróciwszy na Litwę, w tym samym roku posłował z województwa wileńskiego na sejm grodzieński, na którym z podczaszego awansował na miecznika W. Ks. Lit.

W r. 1753 ks. Karol został małżonkiem. Ożenił się z Marją Lubomirską, córką Jana, starosty bolimowskiego (z linji rzeszowskiej), zmarłego w r. 1736, i Urszuli Branickiej, siostry hetmana Jana Klemensa Branickiego. Była ona powinowatą ks. Karola, ponieważ pierwszą żoną hetmana J. K. Branickiego była Radziwiłłówna, siostra ks. Michała. Małżeństwo to ks. Karola było, zdaje się, natury politycznej, a mianowicie miało na celu bliżej złączyć z Radziwiłłami rodziny Lubomirskich i Branickich; w każdym razie o prawdziwej miłości między nieletnimi nowożeńcami nie było mowy. Po ślubie państwo młodzi zamieszkali na zamku w Mirze, gdzie ks. Karol zaczął prowadzić życie podług swego gustu, nie oglądając się już na ojca, tem bardziej, że ten wkrótce po ślubie syna sam ożenił się powtórnie, jak wiemy, z młodą wdową po Leonie Radziwille, z domu Mycielską.

Gusta ks. Karola odpowiadały jego zaniedbanemu wychowaniu z jednej strony i wrodzonej żyłce do bałagulstwa z drugiej; otoczył się młodzieżą szlachecką, również jak on ciemną i nieokrzesaną; zaczęły się fety, zabawy, pijatyki i burdy, zaspakajające tężyznę tej niewybrednej kompanji. W takiem otoczeniu każda kobieta, choćby z cokolwiek wyższą ogładą, musiała się czuć skrępowaną. To też stosunki ks. Karola z żoną, już od początku dosyć chłodne, poczęły się psuć coraz bardziej — wreszcie w r. 1760 skończyło się na rozwodzie. Podług Brühla była to osóbka złośliwa, «djabeł nie kobieta». Ale nawet ten «djabeł» nie mógł wytrzymać w prostaczej kompanji również prostaczego, a w owe czasy nawet wprost szalonego ks. Karola.

Ale w r. 1755 ten «szalony» ks. Karol został marszałkiem trybunału litewskiego. Stało się to za usilnem staraniem jego ojca, hetmana, który chciał zrobić syna marszałkiem trybunału już w r. 1749, kiedy ks. Karol miał zaledwie lat piętnaście (!).

Dorwawszy się do laski trybunalskiej, ks. Karol pokazał, co umie! Jedną z jego burd opisał w swych pamiętnikach Matuszewicz, notabene gorący stronnik Radziwiłłów, a więc nie mogący być pomówiony o wrogie usposobienie względem

jej autora, tem bardziej, że burda ta wynikła zaraz po wygraniu przez Matuszewicza w tym trybunale jego sprawy z Michałem Czartoryskim. Oto w skróceniu ten opis [1]): «Już książę marszałek trybunalski był napiły, który kiedy był pijany, już zwyczajnie bywał violentus [2]). Powstał tedy huk, książę kazał dwunastu dragonji swojej wnijść do pokoju, gdzie był stół, i pili, i kazał im ognia dać w pułap... Zaraz tedy z pułapu piasek się zaczął sypać, a piec od huku rozwalił się. Weszli dobosze i surmacze janczarscy i węgierscy do pokoju. Zaczęli w bębny bić, trąbić, grać na piszczałkach: huk, pisk, od piasku kurzawa, dym z rozwalonego pieca, hałas pijących i wadzących się podobną do piekła reprezentowały scenę. Wtem Wołodkiewicz, deputat piński, przypomniawszy krzywdę swoją Danejce, deputatowi nowogrodzkiemu, który był complex [3]) porąbania jego na traktamencie frąckiewiczowskim w Wilnie, dał Danejce tak mocno w gębę, że ten jak snop padł na ziemię. Książę znów w tym większym huku kazał przyjść kilkunastu dragonji swojej, aby ognia dawali. Deputaci, przyjaciele księcia kanclerza [4]), w ostatnim strachu byli, chcieli oknami uciekać, ale ich nie puszczono... Potem deputaci zaczęli do nóg padać księciu, suplikując, aby im pozwolił odjechać. Książę tedy kazał zaprząc karetę swoją sześcią ogierami izabelowemi, dziwnie złemi, tak dalece, że niektórym koniom kagańce żelazne na gębę kładli, ażeby się nie gryzły. Gdy zatem czterech czy pięciu deputatów, przyjaciół księcia kanclerza, usiadło do karety, książę kazał stangretowi i forysiowi zsiąść, a konie, tak złośliwe ogiery, puścić wolno, biczami trzaskać i ognia kazał piechocie i dragonji dawać. Deputaci, będący w karecie, w ostatnim strachu byli; konie mało co ruszywszy się, zaczęły gryźć się między sobą, poplątały się i powywracały».

Odgłos awantur młodego Radziwiłła doszedł nawet do królowej, do Warszawy, gdzie właśnie młody magnat starał się o nadanie mu orderu Orła Białego; na przedstawienie królowej, orderu mu odmówiono. Więc ks. Karol pisał do Brühla: «Chcą mi zarzucić pijaństwo, mnie, który uroczyście ślubo-

[1]) Pamiętniki. Tom II, str. 169—170.
[2]) Gwałtowny.
[3]) Spólnikiem.
[4]) Czartoryskiego.

wałem wstrzymać się nienaruszenie od wszystkich napojów, oprócz czystej wody; że robię ogromne wybryki po pijanemu, szukając kłótni z deputatami, napastując ich i ścigając z bronią w ręku. Panie, wzywam po Bogu całą prowincję na świadectwo fałszywości i złośliwości tych kalumnij!»

Burdy ks. Karola ułatwiły Czartoryskim w następnym roku utworzenie trybunału już ze swojej partji, pod laską Fleminga. Trybunał ten był, jak wiemy, również daleki od bezstronności i mścił się na przeciwnikach, ale przynajmniej wolny od skandalicznych awantur.

Wkrótce jednak awantury znów się rozpoczęły. Bohaterem ich stał się tym razem najserdeczniejszy druh i przyjaciel ks. Karola, Michał Wołodkowicz, kanclerz jego znanej «bandy albeńskiej». Marszałkiem trybunału był wówczas Michał Ksawery Sapieha, starosta piński, krajczy lit.; ale był nieobecny, zastępował go wicemarszałek Michał Morykoni [1]). Wołodkowicz często się upijał i robił burdy, ale uchodziło to mu do czasu; dopiero 1 lutego 1760 r. miarka się przebrała. Było to wieczorem, i trybunał zajęty był pisaniem dekretu; układali go rejenci i wicemarszałek Morykoni, a paru deputatów siedziało przy stole i grało w karty; wtem wszedł Wołodkowicz pijany i zażądał od Morykoniego, aby kazał kapeli warty trybunalskiej zagrać w sali sądowej; gdy nań nie zważano, wyjął szablę, pościnał świece i pokaleczył dwóch deputatów; ledwie go obezwładniono. Poleciały listy do nieobecnego marszałka Sapiehy, do kanclerza Czartoryskiego, do hetmana Radziwiłła — a tymczasem nieprzyjaciele Wołodkowicza (a między nimi Antoni Przeździecki, wówczas referendarz w. lit., późniejszy podkanclerzy) przekonali trybunał, złożony przeważnie ze stronników Czartoryskich, że czyn Wołodkowicza powinien być ukarany przykładnie, a mianowicie śmiercią, jak to uczynił w r. 1753 trybunał piotrkowski, pod laską Karwickiego, z Sulerzyckim. Trybunał dał się przekonać, kazał Wołodkowicza uwięzić i niezwłocznie ferował nań wyrok śmierci, poczem zaraz go rozstrzelano. Wszystko to załatwiono błyskawicznie, a to z powodu wiadomości, że na odsiecz Wołodkowicza pośpiesza z swoją bandą Karol Radziwiłł. I rzeczywiście, gdyby egzekucja opóźniona została o kilka godzin,

[1]) Myrykonowie byli rodziną włoską, która otrzymała indygenat polski w r. 1673. Na Litwie doszli w w. XVIII do znaczenia.

Radziwiłł byłby już wpadł do Mińska, i zapewne doszłoby do wielkiego przelewu krwi.

Rozstrzelanie Wołodkowicza wywołało ogromne wrażenie. Wyrok był rzeczywiście zbyt srogi, gdyż, podług prawa burda Wołodkowicza podpadała jedynie pod karę wieży, a nie gardła; aby go uzasadnić, całe zajście wyolbrzymiono; również wbrew prawu nie dano oskarżonemu obrońcy; wreszcie pomimo, że w wyroku powiedziano, że egzekucja ma być dokonana w ciągu trzech dni, dokonano jej natychmiast.

Hetman Michał Radziwiłł zachował się w tej sprawie spokojnie; napisał do syna, aby się do sprawy nie wtrącał, a sam, potępiając zachowanie się Wołodkowicza, wskazywał tylko na zastosowanie, wbrew prawu, kary zbyt srogiej.

Pamięć o Michale Wołodkowiczu, ukochanym słudze i przyjacielu, przechowała się u Karola Radziwiłła aż do śmierci, a nienawiść do Czartoryskich i całej ich działalności stała się wprost nieubłaganą i fanatyczną.

W r. 1762 umarł ojciec ks. Karola. Zaraz rozpoczęły się u dworu gwałtowne starania o opróżnione urzędy. Ks. Karol wysłał list do króla z prośbą o województwo wileńskie i buławę polną lit. (wielka miała przejść do hetmana polnego, Massalskiego), a także o część starostw, które ojciec jego posiadał; rozesłał też listy do hetmana w. k., Branickiego, do Brühla i do wszystkich przyjaznych sobie senatorów. Pisał także do wszystkich posłów mocarstw zagranicznych, do nuncjusza, do pretendenta angielskiego, do wielu kardynałów, do Woroncowa, kanclerza rosyjskiego, donosząc im o śmierci ojca i prosząc, aby zachowali z nim również przyjazne i poufałe stosunki, jak z nieboszczykiem.

Wkrótce potem, w godności posła sejmowego z województwa inflanckiego, pośpieszył do Warszawy, aby lepiej dopilnować u dworu swych interesów, które stały niezbyt pomyślnie, a to nietylko skutkiem starań Czartoryskich, ale także dzięki własnej smutnej reputacji, na którą rzetelnie zapracował.

Sejm 1762 r., jak wiemy, zakłócony został sprawą o szlachectwo Brühla. Jednym z głównych obrońców tego ostatniego był właśnie ks. Karol, który w ten sposób chciał sobie zdobyć względy wszechwładnego ministra. Ale pomoc Radziwiłła była podobną do kamienia, którym niedźwiedź z bajki

spędzał muchę ze śpiącego pustelnika; wyraziła się w burdzie, w porwaniu się stronników radziwiłłowskich w izbie sejmowej do szabel; wywołało to okrutną awanturę, a Brühlowi przysporzyło tylko kłopotu. Koniec końcem, z wielkim trudem zdobył sobie ks. Karol województwo wileńskie, za które musiał Brühlowi zapłacić kilkakroć sto tysięcy złp.

W kwietniu 1763 r. odbył się wspaniały wjazd nowego wojewody wileńskiego na województwo. Witany był przez duchowieństwo świeckie i zakonne, magistrat i wielką ilość szlachty; ciągnęło za nim kilka tysięcy własnego wojska nadwornego. Za trzy dni miało się odbyć ufundowanie nowego trybunału, co należało do kompetencji starosty wileńskiego, którym był zawsze wojewoda wileński. Partja Czartoryskich, będąca w mniejszości, miała przy sobie pułkownika Puczkowa, delegowanego przez Katarzynę II dla jej obrony. Pomimo agitacji Czartoryskich, ks. Karol ufundował trybunał podług swojej myśli; marszałkiem został Stanisław Radziwiłł; wicemarszałkiem Bohusz, główny plenipotent radziwiłłowski. «Co miłość ojczyzny — pisał nowy wojewoda wileński do Mniszcha — osiągniona od przodków wierność i słodycz spokojności inspirować mogła, wszystkom w czystych myślach gorliwie czynił in sacrificium dobru powszechnemu, starając się o przykładne trybunału ufundowanie, i... najmniejszego nie popełniłem gwałtu i praw przestępstwa». Ale choć nadzwyczajnych gwałtów rzeczywiście nie było, «albeńczycy» dopuszczali się dzikich ekscesów, strzelali np. do okien pałacu Fleminga, zabili porucznika podskarbińskiego i odgrażali się na sprawców śmierci Wołodkowicza.

Wkrótce potem rozpoczęło się bezkrólewie.

Na 7 maja 1764 r. wezwany został ostatni sejm konwokacyjny. Niedołężna opozycja, ze starym hetmanem Branickim na czele, opuściła Warszawę, i wkrótce rozproszyła się. Branicki ustąpił na Spiż, Fr. Salezy Potocki i biskup Sołtyk wrócili do domu, a Karol Radziwiłł pomaszerował z swojem wojskiem nadwornem na Litwę, gdzie zawiązana została konfederacja pod laską Michała Brzostowskiego, szwagra Michała Ogińskiego, późniejszego hetmana.

Po drodze spustoszywszy Terespol Fleminga, przybył

Radziwiłł do Nieświeża i zebrał tam wiele szlachty. Wkrótce jednak, w czerwcu, sromotnie kapitulował przed wojskiem rosyjskiem i, poddawszy mu Nieśwież i Słuck, przez Polesie pomaszerował na Wołyń, do Ołyki, skąd uszedł dalej na południe. W lipcu przeszedł już Dniestr i znalazł się na ziemi tureckiej, by prawie przez lat trzy pozostawać poza krajem, jako banita, malkontent polityczny i «obrońca swobód narodowych» przed gwałtami, dokonanemi przez Rosję. Jednak wkońcu, odrzuciwszy próby pogodzenia się z własnym rządem, ukorzy się przed rządem obcym, przed Rosją, i wróci do ojczyzny, jako powolne narzędzie rosyjskie, które znakomicie wyzyskane zostanie w haniebnej konfederacji radomskiej i sejmie delegacyjnym 1767/8 r.

Latem 1764 r. sądy konfederackie odsądziły Karola Radziwiłła od urzędów (wojewodą wileńskim został wtedy Michał Ogiński), a dobra jego zostały zasekwestrowane. Ale kosztowności, które z sobą wywiózł, przedstawiały wartość niemałą, a i kredyt dla takiego bogacza zawsze się znajdywał. Zbrojno też, dworno i z przepychem wędrował Radziwiłł z Wołoszczyzny przez Siedmiogród do Węgier, a stamtąd przez Pragę do Drezna. Tam początkowo bawił się w dyplomację i nawoływał do walki z Rosją gabinety berliński, wiedeński i wersalski, a skończy na pośrednictwie posła rosyjskiego, ks. Białosielskiego, w celu powrotu do kraju, jako pupil rosyjski.

Oprócz polityki, dokuczały mu sprawy osobiste. Rozwiódłszy się z pierwszą żoną, ożenił się powtórnie na początku 1764 r. z siostrą swego szwagra, Stanisława Rzewuskiego (syna hetmana), Teresą Rzewuską. Była to kobieta, jak i on, prostacza. Może właśnie dlatego ją sobie upodobał. Widocznie jednak jej nie dogodził, bo wkrótce po ślubie zaczęła romansować z plenipotentem mężowskim, Ignacym Bohuszem, który wkrótce miał się wsławić, jako sekretarz jeneralności w konfederacji barskiej. Opuściwszy męża, który był już zagranicą, udała się do Warszawy i tam starała się, choć bez skutku, zjednać sobie hołdy zalotnego Stanisława Augusta; wkońcu przeniosła się do dóbr mężowskich do Białego Kamienia, gdzie któregoś dnia w gniewie każe zabić sługę, i skąd od czasu do czasu teroryzować będzie męża swemi nawiedzinami.

Wielkiego też zmartwienia doświadczył Panie Kochanku od najstarszej swej siostry Teofili. Kozakowata, 26-letnia księż-

niczka gustowała w hulaszczem życiu brata, stale dotrzymywała mu towarzystwa w Nieświeżu, a później konno towarzyszyła mu w peregrynacjach po kraju. Po udaniu się brata zagranicę, nie pytając się nikogo, wzięła ślub z pułkownikiem wojsk radziwiłłowskich, Ignacym Morawskim, w którym zapewne już oddawna się kochała. O tym mezaljansie dowiedział się dumny Panie Kochanku w końcu 1764 r. w Siedmiogrodzie. Wpadł w gniew straszliwy, ale gdy na list jego gwałtowny siostra odpowiedziała jeszcze gwałtowniej, powoli zaczął się godzić z faktem dokonanym i z siostrą się pojednał, tak że ta wkrótce go odwiedziła. Odtąd stosunek serdeczny trwał już do śmierci. Pani Morawska spełniała później w Nieświeżu, zwłaszcza przy przyjęciach uroczystych, obowiązki gospodyni domu.

Wogóle Panie Kochanku nie miał szczęścia do kobiet. Ani on do nich, ani one do niego nie miały pociągu. Doświadczył tylko statecznego przywiązania od swej macochy, która opiekowała się nim jak matka prawdziwa, ale pod względem politycznym wpływu na swego pasierba mieć nie mogła, gdyż na polityce się nie rozumiała.

Panie Kochanku nie miał nadziei mieć potomka; całą więc nadzieję pokładał na małoletnim jeszcze bracie przyrodnim, Hieronimie.

Siedząc w Dreźnie, przekonywał się ks. Karol, że wszelkie nadzieje na interwencję zagranicy względem usunięcia z tronu Stanisława Augusta należało porzucić; targował się więc już tylko o swe interesa osobiste. Ale i tu duma nie pozwalała ukorzyć się przed własnym rządem, zwłaszcza, że i Czartoryscy byli mściwi i zawzięci. Wolał więc kołatać do obcych. A że Polska była już faktycznie w zupełnej zależności od Rosji, udał się wkońcu do ambasadora rosyjskiego, ks. Białosielskiego.

Było to w r. 1766. Błędna polityka Czartoryskich zbliżała się do bankructwa, i Rosja wyraźnie już zaznaczyła wrogie swe stanowisko. A gdy Czartoryscy pomimo to chcieli zamiary swe przeprowadzić, Katarzyna II i Panin zwrócili uwagę na byłego królika Litwy, ofiarującego się służyć polityce rosyjskiej bez zastrzeżeń. Uznali, że znajdą w nim doskonałego «straszaka» na Czartoryskich i powolne narzędzie do przeprowadzenia swoich planów. Pertraktacje doprowadziły

wkońcu do porozumienia. 27 lutego 1767 r. Radziwiłł w liście do Repnina obiecywał, że «będzie zawsze należał do partji rosyjskiej, że we wszystkich czynnościach będzie się stosował do woli dworu petersburskiego, że z uszanowaniem i uległością przyjmie wszystkie rozkazy tego dworu i że wykonywać je będzie bez najmniejszego sprzeciwiania się». W dalszym ciągu prosił, by mu dodany był w Polsce urzędnik przyboczny z ramienia cesarzowej, w celu dawania mu znać o jej życzeniach, w sprawie zaś dysydentów godził się na wszelkie rozkazy Rosji.

Na tego urzędnika przybocznego, a właściwie «mentora» Radziwiłła naznaczony został przez Repnina pułkownik Karr. Radziwiłł powinien był słuchać go we wszystkiem. Zato miały być Radziwiłłowi wrócone wszystkie dawne prawa i godności, tylko województwo wileńskie miało pozostać przy Michale Ogińskim, który je otrzymał w r. 1764 za zgodą Rosji.

13 maja 1767 r. Radziwiłł wyjechał z Drezna i na Gdańsk i Królewiec dążył na Litwę, gdzie województwa konfederowały się już pod opieką wojsk rosyjskich. Ogólna konfederacja litewska zawiązywała się pod laską Stanisława Brzostowskiego, starosty bystrzyckiego, żonatego z Teofilą Radziwiłłówną, córką macochy ks. Karola z pierwszego małżeństwa, człowieka nikczemnego, który za swe «zasługi» w czasie konfederacji radomskiej zostanie wkrótce wojewodą inflanckim.

«W Królewcu znajdę już pułkownika Karra — pisał Radziwiłł do swej macochy — dn. 2 iunji ma stanąć dekret, przywracający mnie do wszystkiego; 3 iunji będę w Wilnie; 5 iunji w Białymstoku. Repnin niezmiernie kontent i monarchini jego, że na Litwie tak dobrze robota poszła... Konwój moskiewski będę miał na granicy pruskiej. Ekwipaże moje wysyłam prosto do Warszawy. Karr ma rozkaz z ust imperatorowej samej pilnować mnie nieodstępnie tak, jak własne dziecię imperatorowej, pod utratą głowy swojej».

Radziwiłł upojony był swym triumfem. Duma rozsadzała mu piersi. Pusta głowa nie zdawała sobie sprawy z upokarzającej i haniebnej roli, którą miał odegrać. W Wilnie całe zastępy równie niedalekowidzącej szlachty witały z entuzjazmem popularnego magnata. «Przyjęty byłem — pisał Panie Kochanku — z wielką radością. Województwa i powiaty wszystkie mnie spotykały o pół mili od miasta; złożyła się z nich

liczna bardzo kawalkata. Lud pospolity wielkie czynił okrzyki. Wieczorem całe miasto iluminowane. Wczoraj zaś całą noc bal i iluminacja».

Radziwiłł tańczył, pił, bratał się ze szlachtą i wojskiem rosyjskiem.

13 czerwca staje Radziwiłł w Radomiu, aby objąć marszałkowstwo przygotowanej przez Rosję konfederacji. 14-go podpisuje solenną deklarację, że «w funkcji, jakiej się ma podjąć, nie uczyni żadnego kroku, jak tylko w porozumieniu, ze współudziałem i za zgodą księcia ambasadora, którego w myśl tego uprasza, ażeby go uwiadamiał o zamiarach najłaskawszej monarchini, i że nie zmieni jednego słowa w akcie i w uniwersale konfederacji generalnej».

Akt konfederacji sporządzony był w kancelarji Repnina podług wskazówek wojewody kijowskiego, Franc. Sal. Potockiego. 23 czerwca nastąpiło ogłoszenie konfederacji jeneralnej koronnej; Radziwiłł został jej marszałkiem.

Zjazd konfederacki trwał w Radomiu do 24 lipca, poczem na rozkaz Repnina przeniósł się do Warszawy. Tam nastąpiło połączenie się konfederacji koronnej z litewską, a 5 października miał się zebrać sejm nadzwyczajny.

Można często spotkać się z twierdzeniem, że Rosjanie za mało znają Polaków, Polacy zaś jakoby dobrze znają Rosjan. Wypadki dziejowe już od w. XVII począwszy dowodzą jednak rzeczy wręcz przeciwnej. Wieleż to razy Polacy chcieli czujność Rosji uśpić lub wywieść ją w pole i zawsze ulegali sami. Tak było i w Radomiu, tylko w stopniu wprost karykaturalnym. Prawie cały «naród szlachecki» daje się zaprowadzić na podwórko repninowskie w przekonaniu, że za tę cenę pozbędzie się znienawidzonego króla, i wkońcu robi, co mu Repnin każe, pomimo że o detronizacji St. Augusta niema już mowy. Konfederację radomską tworzy obóz oligarchiczno-staroszlachecki, który jeszcze przed kilku miesiącami chciał rozsiekać każdego, ktoby głosował za zrównaniem praw dysydentów — i ten właśnie obóz zgadza się teraz na to zrównanie. Ci sami ludzie, którzy mieli za złe Czartoryskim sprowadzenie interwencji rosyjskiej — teraz czynią to samo, tylko w sposób o wiele haniebniejszy. Czem to wytłumaczyć? Nietylko terorem, nietylko podłością. Ci ludzie myśleli wciąż, że w ten sposób czujność Rosji uśpią i wkońcu własne przeprowadzą zamiary.

Tak pocieszał się też w rzadkich chwilach zastanowienia ograniczony królik litewski, a uspokojone w ten sposób sumienie pozwalało dumie i prywacie rozkoszować się stanowiskiem, które wynosiło go na chwilę ponad dawnych potężnych przeciwników — Czartoryskich, a nawet ponad tron znienawidzonego króla parwenjusza! Odezwanie się Radziwiłła do Stanisława Augusta: «Ta sama ręka, która wyniosła W. Król. Mość na tron, i mnie łaskawie wróciła do ojczyzny» — zapewne w tej formie nigdy nie miało miejsca, ale, jako legenda, dobrze maluje ówczesne usposobienie Radziwiłła.

Konfederacje polskie wywracały cały porządek państwowy, stawały ponad magistratury i samego króla. Zapragnął tych szczytów również Panie Kochanku, pragnęli ich także godni jego wspólnicy, zwłaszcza Franc. Sal. Potocki. Wojsko, skarb, a zwłaszcza wymiar sprawiedliwości, miały przejść na usługi triumfującego, kosztem niezależności Rzpltej, stronnictwa. Sądy konfederackie stać się miały narzędziem zemsty nad przeciwnikami, tak dalece, że w obronie sprawiedliwości stawać musiał nawet Repnin.

Radziwiłł otoczył się pompą iście monarszą, dawał uroczyste posłuchania deputacjom i poselstwom, przywłaszczył sobie nawet prawo ułaskawiania przestępców, prawo, którego bez sejmu nie posiadał sam król.

Katarzyna II przysłała Radziwiłłowi order św. Andrzeja. Był on przekonany, że imperatorowa pełna jest jak najlepszych intencyj dla niego i Polski, a wszystko złe pochodzi tylko od Repnina. Skarżył się więc na Repnina przez poselstwo, wysłane do Katarzyny z wyrazami wdzięczności za opiekę i z prośbą o gwarancję swobód polskich. Smutne to poselstwo składało się z ludzi, równie jak Radziwiłł, naiwnych: Michała Wielhorskiego, kuchmistrza w. lit., autora słynnego wniosku na sejmie 1766 r. o przywrócenie liberum veto, Józefa Potockiego, krajczego kor., Ludwika Pocieja, strażnika lit. i Józefa Ossolińskiego. Sekretarzem poselstwa był Szymon Kossakowski, przyszły konfederat barski, później jenerał rosyjski, wkońcu Targowiczanin.

5 października zagajony został sejm nadzwyczajny, na którym król przystąpił do konfederacji, a Radziwiłł, chociaż

nie był posłem, został, jako marszałek konfederacki, także marszałkiem skonfederowanego sejmu. Zaczął od tego, że wyrecytował przygotowaną przez Repnina mowę. Zawierała ona wezwanie, by sejm wyznaczył delegację, któraby wspólnie z Repninem ułożyła uplanowany przez Rosję traktat. Traktat ten miał oddać Polaków pod gwarancję imperatorowej.

Nie będziemy tu opisywali ani tego sejmu, ani czynności haniebnej delegacji. Opisał je szczegółowo Alkar (Al. Kraushar) w swej pracy: «Ks. Repnin i Polska». Podajemy tylko parę szczegółów, tyczących się samego Radziwiłła.

Rozpoczął on różne procesy ze znienawidzonymi i nienawidzącymi go Czartoryskimi. Z tego powodu byli Czartoryscy pod kondemnatą, a ta uwalniała ich od uczestnictwa w czynnościach sejmowych, mających na celu zniweczenie wszystkich ich reform. Otóż Rosji nie było to na rękę, pod wpływem więc Repnina Radziwiłł odgrywa rolę iście Judaszową. Zjawia się z uroczystą wizytą u starego kanclerza Czartoryskiego i tam wygłasza taką zgóry ułożoną przemowę: «Dom Waszej Książęcej Mości Dobrodzieja, jeszcze przed Unją wielk. ks. litewskiego z Koroną, bronił wiary, praw i wolności narodowych. Tych więc przodków swoich przykładem, bądź Wasza Ks. Mość spólnikiem naszym, oświecaj nas swojemi wielkiemi i sławnemi sentymentami, bądź ojcem Ojczyzny, nawet i naszym. Zapraszam zatem W. Ks. Mość, ażebyś z nami razem w senacie zasiadał i radził. W tak bowiem krytycznych okolicznościach prywatne niesnaski umorzone być powinny, i z tego powodu, lubo z interesów moich otrzymałem na W. Ks. Mość kondemnaty w sądach konfederackich, dla dobra jednak publicznego, nie chcę niemi w radach sejmowych Waszej Ks. Mości szkodzić».

Rezultatem tego pocałunku Judaszowego było to, że dwaj Czartoryscy, stary ks. Michał i młody ks. Adam, zmuszeni zostali do przyjęcia czynnego udziału w delegacji sejmowej i do położenia swoich podpisów pod haniebnemi jej uchwałami.

Początkowe gwałtowne mowy opozycji sejmowej, porwanie senatorów, brutalność Repnina, wreszcie oczywiste naigrawanie się jego z początkowych iluzyj przywódców radomskich — wszystko to przetrwał Panie Kochanku ze spokojem, a gdy pił zanadto, otrzymywał od Repnina upomnienia.

Skończywszy haniebne swoje dzieło, sejm został zamknięty 5 marca 1768 r. pompatyczną mową Radziwiłła. Podajemy z niej wyjątek: «...Gdy zaś sprzemierzenia generalne obydwóch narodów, na miłości Ojczyzny spojone, już się rozwiązują, i każdy z nas do domowego skłania się i spieszy cienia, należy najprzód Najj. Imperatorowej Imci całej Rosji głębokie złożyć dziękczynienia, że się łaskawie i skutecznie do interesów Rzpltej przez J. O. posła swego, ks. Repnina, wmieszać raczyła, przyczem należy mi z winnem wyznać uszanowaniem, iż to dzieło wielką mądrością, powagą i niesfatygowaną dla interesów Ojczyzny naszej pracą, przez tegoż J. W. Księcia posła, do skutku swego szczęśliwie przyszło...»

Zaraz po zamknięciu sejmu otrzymał Karol Radziwiłł nową nominację na województwo wileńskie (Michał Ogiński został hetmanem w. lit.).

Oto co pisze o Radziwille w swych pamiętnikach poseł angielski, późniejszy lord Malmesbury: «Widziałem ks. Radziwiłła tegoż samego dnia, gdy sejm rozwiązany został, i gdy wojsko rosyjskie, które w jego pałacu miało kwaterę, pałac ten opuściło. Przybywszy do Repnina pijany, chwalił się, że teraz już wolno mu dogadzać swej namiętności... Radziwiłł nie mówi po francusku, a zachowaniem się swojem mało się różni od swych podwładnych. W dzień urodzin cesarzowej wydał bal maskowy, na który się trzy tysiące masek zgromadziło; a nie licząc już innych win, wypito tysiąc butelek szampańskiego. Rozrzutność Polaków przy podobnych uroczystościach przechodzi wszelkie pojęcie. Książę Radziwiłł trzyma dom otwarty dla tylu osób, iż pięćdziesięciu kucharzy zaledwie jest w stanie zaspokoić ich żądania».

Rosja nauczyła się postępować z Polakami. Kierownicy jej polityki wiedzieli, że dość jest pewne jednostki moralnie słabsze usidlić, resztę można bałamucić i teroryzować, gdyż przeważna część ziemian składała się z ludzi spokojnych, bez wojowniczego usposobienia, obawiających się represyj, zrezygnowanych, a w swej rezygnacji pocieszających się iluzjami i mrzonkami. Karol Radziwiłł nie był zbrodniarzem, nie był nikczemnikiem w rodzaju prymasa Podoskiego lub Adama Ponińskiego, a pomimo to w ręku Repnina był również ślepem narzędziem obcej polityki, narzędziem o tyle wygodniejszem od Podoskiego i Ponińskiego, że dla swego nazwiska, majątku i popularności był doskonałą firmą, a dla swego ograniczo-

nego umysłu, wybujałej dumy i braku ofiarnego patrjotyzmu, był manekinem, którym kierować było rzeczą aż nazbyt łatwą.

Ale jeżeli Radziwiłł był pożądaną firmą dla Repnina, również pożądała pozyskać go dla siebie ta część malkontentów, która postanowiła orężem dochodzić tego, czego nie uzyskała od konfederacji radomskiej. Byli to ludzie, niezdolni wyjść z zaklętego koła zadawnionej anarchji, do której przywykli, nie orjentujący się w sprawach polityki i całe zło widzący tylko w narzuconym im królu, oraz w przywódcach ruchu reformistycznego, pozatem posiadający, obok pewnych cnót domowych, wszystkie braki, wytworzone przez wiekowe anormalne stosunki społeczne i polityczne. Ludzie ci, naiwni a chełpliwi, zasadzający swój patrjotyzm przedewszystkiem na nienawiściach partyjnych i osobistych, łatwo i nieopatrznie wpadli byli w matnię wytrawnego gracza politycznego, jakim był Repnin, ale również łatwo i nieopatrznie przerzucili się do drugiej ostateczności, i bez odpowiedniego przygotowania porwali się do zbrojnej ruchawki przeciw Rosji i przez nią zaprowadzonym w Polsce porządkom.

Radziwiłł był krew z krwi, kość z kości, nieodrodnym bratem duchowym tych ludzi, wczorajszych Radomian, dzisiejszych Barszczan, jutrzejszych w znacznej części Targowiczan. Dumie magnata dogadzało być wszędzie pierwszym, być przywódcą, ważyć na losach narodu. Był przytem przedmiotem pochlebstw i admiracji ze strony żywiołów, wśród których żył, któremi się otaczał i o które dbać musiał.

Tak przystał do konfederacji barskiej, której, podług pierwotnych zamiarów Józefa Pułaskiego, miał zostać marszałkiem, Michał Krasiński miał być tylko jego zastępcą. Wyrzutów sumienia za przeszłość nie odczuwał. Przełomu w jego charakterze ani w poglądach dopatrzeć się nie sposób. W jego rozumieniu, konfederacja barska to tylko ciąg dalszy radomskiej. Obie miały służyć dobru Rzpltej, podług rozumienia tego ograniczonego i zaślepionego umysłu. A zaślepienie to wypływało z pychy i dumy rodowej, każącej mu na sprawy publiczne patrzeć wyłącznie ze stanowiska swoich upodobań i interesów osobistych.

Chociaż po zamknięciu sejmu delegacyjnego Radziwiłł wyjechał do Nieświeża, by tam wśród zabaw i bankietów odpocząć od trudów poniesionych, jednak już wtedy porozumiewa się z konfederatami i prowadzi korespondencję z biskupem Adamem Krasińskim. Wkrótce zaczęły się tworzyć konfederacje także na Litwie, a Szymon Kossakowski rozpoczął partyzantkę. Panie Kochanku zaczął się zbroić już otwarcie i konfederatów ściągać do Nieświeża. Ale gdy w październiku 1768 r. nadciągnął pod Nieśwież nieznaczny oddział wojska rosyjskiego pod jenerałem Izmaiłowem, udało się będącemu przy tym oddziale dawnemu «mentorowi» Radziwiłła, pułkownikowi Karrowi, tak go nastraszyć, że nietylko sam kapitulował, ale jeszcze pomógł do rozbrojenia konfederatów. Zmuszony został zamieszkać w Białej, gdzie też przebył do lipca 1769 r. Wtedy, skompromitowawszy się przez wysłanie na Litwę 600 ludzi na pomoc konfederatom, potajemnie uszedł zagranicę, do Austrji. Tam na pograniczu zgromadzona była generalność. Wybitną rolę odgrywali w niej bliscy mu ludzie, jak Michał Pac, starosta ziołowski, marszałek konfederacji litewskiej, i Ignacy Bohusz, podwojewoda wileński, były jego plenipotent (i były amant żony), teraz sekretarz generalny i rzeczywiście wybitna głowa wśród areopagu miernot konfederackich.

Panie Kochanku, jako potęga sama przez się, zajmował względem generalności wyjątkowe stanowisko. Stałego urzędu nie piastował, mieszkał oddzielnie, niejednokrotnie wyłamywał się z pod dyrektywy konfederackiej i politykował na własną rękę. Pilnował tylko stale jednej rzeczy: by nie doszło do porozumienia z królem i Czartoryskimi.

W r. 1770 mianowany zostaje przez generalność posłem do Turcji. Wybiera się na to poselstwo z namaszczeniem, koresponduje z wezyrem, traktuje z nim, jak jaki książę udzielny. Pisze np. że starał się zawsze (on sam!) być w przyjaznych stosunkach z Portą i utrzymywać z nią niewzruszenie traktat karłowicki (!), wkońcu żąda od Porty deklaracji, że będzie go w Polsce tak podtrzymywała, jak dawniej Rosja podtrzymywała Czartoryskich, że tych ostatnich traktować będzie jako głównych swych wrogów, przyczem dobra ich mają być skonfiskowane na jego, Radziwiłła, korzyść za doznane od nich krzywdy (!).

Poselstwo to jednak nie doszło do skutku i w r. 1771 spieszy Panie Kochanku do Drezna, do umierającej macochy. Umarła jeszcze młodo, w 43 roku życia. Pochowana została

tymczasowo w Dreźnie, a dopiero znacznie później, w r. 1788, ciało jej przewieziono do Nieświeża.

Zostawszy jedynym opiekunem nieletniego przyrodniego rodzeństwa, Panie Kochanku umieścił 12-letniego brata, Hieronima, w Pradze, gdzie pobierał wychowanie pod kierunkiem jezuity, ks. Wulferta; siostry przyrodnie wychowywały się w Gdańsku, a to z powodu, że obok Gdańska posiadał Radziwiłł starostwo człuchowskie.

Wtem, jak grom z jasnego nieba, uderzyła na konfederatów wiadomość o podpisaniu konwencji podziałowej. Austrja wypowiedziała gościnę generalności, przebywającej w Cieszynie, i Radziwiłł musiał wyjechać na Zachód. Bawił najprzód w Bawarji, później w Frankfurcie nad Menem, Manheimie i Strasburgu. Chodziło o bliskość Francji, która w dalszym ciągu bałamuciła naiwnych konfederatów i ich posła uwierzytelnionego, Michała Wielhorskiego, dawnego smutnej pamięci delegata do Katarzyny II od konfederacji radomskiej. Radziwiłł bawi się w dyplomatę i pisze listy do samego Ludwika XV (wynosząc jednocześnie zasługi swego rodu), do ministra spraw zagranicznych, marnego ks. d'Aiguillon, do spokrewnionych z sobą księcia de Bouillon (przez Sobieskich) i księżnej de Trémouille-Talmont, z domu Jabłonowskiej.

Na tej placówce emigracyjno-dyplomatycznej Radziwiłł wytrwał dłużej od innych Polaków. Z tego czasu datuje się kilka jego listów, mających akcenty szczerze patrjotyczne, ale jednocześnie dowodzące dawnego ciasnego poglądu na sprawy polityczne, oraz zaciętości względem Stanisława Augusta i Czartoryskich. Srodze został dotknięty i oburzony, gdy się dowiedział o przyjęciu laski marszałkowskiej litewskiej na sejmie konfederackim 1773 r. przez Michała Radziwiłła (z linji kleckiej). Oburzony był tak ze względów publicznych, jak też, że widział w tem intrygę Czartoryskich, bo Michał Radziwiłł żonaty był z Przeździecką, a Przeździeccy należeli do najbliższych stronników «familji».

Sejm rozbiorowy ogłosił amnestję dla konfederatów barskich, z warunkiem, by zgłosili t. zw. reces podług przepisanej formy i powrócili do kraju. Większość emigrantów, a w tej liczbie Michał Ogiński i Michał Wielhorski, reces ten

podpisała i powróciła do kraju. Radziwiłł odmówił i pozostał. Wytrwali też na wygnaniu Michał Pac i Bohusz.

Ale Radziwiłł nie tracił nadziei. Jeżeli Francja zawiodła, to należy się starać o pomoc Turcji, którą wprawdzie w wojnie z Rosją trapiły klęski, ale która mogła jeszcze zwyciężyć. Pod koniec więc 1773 r. Radziwiłł wybiera się do Turcji z misją dyplomatyczną i przez Szymona Kossakowskiego posyła naprzód listy do sułtana, do wezyra, do chana tatarskiego i do innych osób wpływowych w Stambule, żąda firmanów na drogę, a nawet subwencji pieniężnej, a zawiadamiając, że pokłada całą nadzieję na zwycięstwach tureckich, nie zapomina na ten wypadek znów prosić o skonfiskowanie na swoją korzyść dóbr Czartoryskich!... Wkrótce potem, zostawiwszy brata Hieronima dla dalszej edukacji w Mannheimie, sam podąża na Wschód, i na początku 1774 r. przybywa do Wenecji. Tu, wciąż oczekując na firmany z Turcji, karnawałuje i bawi się wesoło, gościnnie podejmowany przez signorję i dożę. Latem, chcąc zbliżyć się jeszcze bardziej do Turcji, jedzie na brzeg dalmacki, do Raguzy, i tam spędza czas jakiś z głośną ówczesną awanturnicą, podającą się za córkę carowej Elżbiety, a w ten sposób za pretendentkę do tronu rosyjskiego.

Awanturnica ta, nazywająca siebie fantastycznie Aly Emettée princesse de Voldomir, znana jest w historji, jako księżniczka Tarakanow, przyczem miała jakoby zginąć w więzieniu petersburskiem od zalewu jej celi przez wezbrane wody Newy. Legendę tę uwiecznił znany obraz Flawicky'ego w galerji Tretiakowskiej w Moskwie. Jest dziś rzeczą dowiedzioną, że w całej legendzie o tej awanturnicy prawie wszystko jest fałszem, lub przesadą. Nie była wcale córką carowej Elżbiety, umarła rzeczywiście w twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu, ale śmiercią naturalną z suchot, i nigdy nie nazywała się księżniczką Tarakanow. Nazwisko to zostało jej później nadane w sposób iście fantastyczny, przez przekręcenie rosyjskiego nazwiska Daragan; Daraganowie byli krewnymi Razumowskich, a Razumowski był kochankiem, czy też nawet mężem morganatycznym carowej Elżbiety [1]).

Radziwiłł wcześnie się spostrzegł, zerwał znajomość

[1]) Ernest Łuniński: «Księżna Tarakanowa». 1907.

z awanturnicą i wrócił do Wenecji. Choć między Rosją a Turcją stanął już pokój w Kuczuk-Kajnardżi, on jeszcze się łudził, że traktat pokojowy nie będzie ratyfikowany, i że wojna dalej trwać będzie. Ale ratyfikacja nastąpiła, i ostatnia nadzieja zgasła.

Należało już koniecznie pomyśleć o uzyskaniu amnestji i wrócić do kraju. Ale Radziwiłł znów, jak w r. 1766, nie chciał się ukorzyć przed własnym królem i własnym rządem, i jak wtedy wolał zwrócić się do Rosji. Pisał więc błagalne listy do Katarzyny II, do kanclerza Panina, do ambasadora w Warszawie, Stackelberga, i do Repnina. Listy te, pomimo wstawienia się za wygnańcem Aleksego Orłowa, z którym się spotkał w Wenecji, zapewne niewieleby pomogły, bo Radziwiłł był teraz już Rosji niepotrzebny. Ale niespodzianie z pomocą zgłosił się nie kto inny, tylko ks. Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich, który teraz właśnie przeszedł do opozycji względem Stanisława Augusta i w liście do Radziwiłła tak pisał: «Wiadomo W. Ks. Mości, z jakiem zażaleniem patrzyłem się zawsze na szkodliwą emulację, którą domy nasze czyniły. Ja o tych powtórzonych tylokrotnie krwi obowiązkach pamiętać pragnę tylko, które nas łączą; w tym tedy umyśle mam honor odezwę czynić do W. Ks. Mości, ofiarując mu szczere i nieobłudne usługi moje. Znajoma mi jest dobrze gorliwość jego o dobro ojczyzny, której bez żadnej prywaty pragnąc istotnie służyć, z zaufaniem udawam się do W. K. Mości, prosząc, abyś liczny poczet przyjaciół swoich zagrzać raczył do znoszenia się ze mną i pomagania mi w krajowych robotach, w których żaden inny wzgląd prowadzić mnie nie będzie, prócz miłości ojczyzny i sławy».

Oprócz Adama Czartoryskiego, również dawni przyjaciele Radziwiłła zaczęli robić starania. Wreszcie dokazali tyle, że wszyscy niemal posłowie w Koronie i Litwie, udający się na sejm 1776 r., mieli w swych instrukcjach wpisany obowiązek starania się o amnestję dla Radziwiłła. Na skutek tych starań, i za zgodą ambasadora rosyjskiego, stanęła na sejmie uchwała o amnestji dla dawnych konfederatów barskich, którzy dotychczas recesu nie podpisali, z warunkiem podpisania tego recesu przez osoby, będące w kraju, w ciągu 12 tygodni, a dla osób, będących zagranicą, w ciągu jednego roku.

Ponieważ w formularzach recesu konfederacja barska

nosiła miano «spisku barskiego», starał się jeszcze Radziwiłł o zmianę tego terminu, ale, gdy starania te nie odnosiły skutku, wreszcie w r. 1777, będąc już u siebie w Żółkwi, reces podpisał.

Wracał do domu z 18-letnim bratem, Hieronimem, który właśnie świeżo się ożenił z Niemką, księżniczką Thurn-Taxis. Jechał rzemiennym dyszlem, zatrzymując się często po drodze; czas dłuższy przesiedział w Ołyce. Wreszcie przyjechał do Nieświeża i powoli wrócił do dawnego trybu życia. Ale przedewszystkiem musiał się zająć uregulowaniem swych interesów majątkowych i spłaceniem długów i zastawów. Przy ogromnych dochodach nie było to zbyt trudne, a pomimo to, zajęło mu kilka lat czasu, tak że np. słynne figury 12 apostołów ze złota wykupione zostały dopiero w r. 1787.

Stosunki rodzinne przedstawiały się niefortunnie. Z żoną, która mieszkała w Białym Kamieniu, a więc już w Galicji, i często awanturowała się w Wiedniu, zmuszony był Panie Kochanku prowadzić częste procesa. Żona brata Hieronima okazała się kobietą nie o wiele lepszą od bratowej; w r. 1783 uciekła z domu z klawicymbalistą z orkiestry swego męża, niejakim Duszkiem. Panie Kochanku napisał do jej ojca, księcia Thurn-Taxis, z żądaniem, by ją zabrał do siebie do Ratysbony, gdyż «jest to wypadek nie do odwołania; nie pozostaje nam, jak tylko wzajemnie się pocieszać i myśleć o sposobach, by przeszkodzić skutkom, pełnym wstydu, które mogą z tego wyniknąć tak dla W. K. Mości, jak dla naszej rodziny». Wkońcu jednak ks. Hieronim z żoną się pojednał, a ona w roku 1786 powiła mu syna Dominika.

Do spraw publicznych Panie Kochanku teraz mało już się wtrącał. Z Stanisławem Augustem się pogodził, w r. 1784 podejmował go nawet w Nieświeżu z królewskim przepychem. Stanisław August chciał sobie zjednać tą wizytą wpływy Radziwiłła, gdyż na sejmie grodzieńskim tegoż roku miała się rozstrzygnąć sprawa spłacenia przez skarb Rzpltej długów królewskich. Jak wiadomo, sprawa przeszła pomyślnie, i sejm uchwalił na te długi siedem miljonów złp.

W r. 1786, prawie jednocześnie z urodzeniem się synowca, Dominika, umarł jego ojciec, ks. Hieronim, mając zaledwie lat 27. Panie Kochanku sam wziął na wychowanie młodego ks. Dominika, a wdowa, znienawidzona «Taxicha», już

w kilka miesięcy po śmierci męża urządziła nowy skandal, i za fałszywym indultem zaślubiła swego plenipotenta, niejakiego Kaczanowskiego. Później ks. Hieronimowa wyszła zamąż za hr. Mikołaja Ostroroga (umarła w r. 1800).

W czasie sejmu Czteroletniego Panie Kochanku wziął się znów do polityki i tym razem został — gorącym stronnikiem pruskim. W obradach sejmu udziału nie brał, bo z powodu różnych procesów pozostawał pod kondemnatą. Stał się jednak w sejmie przedmiotem długich obrad, a także owacyj, a to z powodu t. zw. «ofiary radziwiłłowskiej». Ofiara ta zasadzać się miała na dostarczeniu dla wojska Rzpltej umundurowanych i uzbrojonych 6.200 żołnierzy. Ci, po dostawieniu, mieli pozostawać na żołdzie Rzpltej, ale przebywać w dobrach radziwiłłowskich, przyczem Radziwiłłowie mieli otrzymać dziedziczne prawo mianowania oficerów. Była to wcale sprytna propozycja, obliczona na znaną polską łatwowierność. Rzeczywiście posypały się patetyczne mowy dziękczynne, i dopiero po całym ich szeregu przypomniano sobie, że przecież każdy ordynat nieświeski obowiązany był utrzymywać dla Rzpltej 800 ludzi zbrojnych, że Karol Radziwiłł posiadał 4.000 ludzi swojej milicji nadwornej, i że w ten sposób nie o wiele chciał ten hufiec powiększyć, ale zato na przyszłość miał pozbyć się wszystkich kosztów jego utrzymania i jeszcze ciągnąć znaczne zyski z pozostawania tego wojska w dobrach radziwiłłowskich i z prawa mianowania oficerów. Trafnie też osądził ten projekt Stanisław August, który w liście do Debolego pisał, że skutki jego bardzo niedobre być mogą, bo ofiarodawca chce, by «w kolebce rodzili się wszyscy jenerał-lejtnanci Radziwiłłowie», za tym przykładem zaś mogliby zaraz pójść i inni wielcy panowie z podobnemi ofiarami, a wówczas «toby całe wojsko Rzeczypospolitej między Radziwiłła, Ogińskiego, Sapiehę, Czartoryskiego, Potockiego rozdzielone, cały polski rząd i naród i króla poddałoby kilku satrapom dziedzicznym». A król pruski pisał: «Jeżeli armja polska nie w inny sposób ma być powiększona, tylko w ten, jak proponuje Radziwiłł, z widocznym zamiarem osobistego zysku, to pozostanie ona długo na tej stopie, na jakiej ją widzieć pragniemy».

Pomimo bezsensowności całej tej sprawy, zajęła ona przecież na sejmie dużo czasu, i być może «ofiara» zostałaby przyjętą, gdyby nie nowa «ofiara» Szczęsnego Potockiego,

który ironicznie oświadczył, że on nie sześć, ale dziesięć tysięcy wojska na tych samych warunkach zaraz Rzpltej ofiaruje. Dopiero wtedy ucichli chwalcy, i sprawa została pogrzebana.

W pamiętnikach Ochockiego [1]) mamy opis wspaniałego przyjęcia, które urządził Panie Kochanku w swym pałacu w Warszawie [2]) w r. 1789, a które kosztowało podobno dwa miljony złp. Na tem przyjęciu Ochocki był obecny i tak opisuje postać Radziwiłła: «Książę Karol był wzrostu mniej niż miernego [3]), dosyć otyły, nosił się po polsku, najczęściej w mundurze województwa wileńskiego, któremu przewodniczył na senatorskiem krześle; kontusz granatowy, żupan i wyłogi karmazynowe, guziki złote, pałasz z furdymentem u boku, czasem karabela w złoto oprawna, osypana wielkiemi brylantami, rękawice łosiowe za pasem, na głowie czapka karmazynowa i wąsy zawiesiste, czupryna podgolona, na ciemieniu gulkę widać było, jak orzech laskowy».

Na przyjęciu było około 4.000 osób: «Trzy ogromne sale redutowe złączono w jedną amfiladę, w nich stół był tak długi, że z jednego końca jego na drugi fizjognomji niepodobna było rozpoznać; cztery obok obszerne sale zastawione były także stołami, w piątym przy ogromnym okrągłym stole, może czterdzieści łokci obwodu mającym, siedział król, księżna kurlandzka panująca (Biron) i dwadzieścia dwie damy z pierwszych domów, lub do familji królewskiej należące».

«Książę Radziwiłł chodził po wszystkich salonach po wszystkich grupach, gdzie jedli i pili, jedną tylko piosenkę powtarzając: Panie Kochanku, nie jecie, nie pijecie! niełaskawi!»

Zasługują też na uwagę następujące refleksje Ochockiego: «Ks. Karol nawykł do towarzystwa ludzi, sobie wyłącznie oddanych, zasklepił się w swej dumie, z której tylko potrzebując wynijść, ukazywał się w tych żartach gminnych, ma-

---

[1]) Wyd. Bibl. Dzieł wyborowych. T. II, str. 38.

[2]) Obecnie pałac Rady Ministrów na Krakowskiem Przedmieściu.

[3]) Stanisław August w swych pamiętnikach pisze wręcz przeciwnie, że Radziwiłł był wzrostu ogromnego (taille colossale) Memoires, str. 577. Sądząc z trumny Karola Radziwiłła, należy przypuszczać, że określenia Ochockiego było ściślejsze.

jąc w nich więcej swobody, niż w poważniejszem obejściu. To stanowisko wśród nierównych, nie poniżając go, dawało mu towarzyszów; z kuchtą pana Gałeckiego, z mężem Syreny i ojcem miljonów śledzi [1]), łatwiej było poufale mówić, niż z księciem wojewodą. Otoczony ludźmi, których albo wywiódł z nicości, albo niewiele sobie cenił, czując się wedle wyobrażeń wieku urodzeniem wyższym od wszystkiego, co go otaczało i zbliżało do niego, nie potrzebował dla nich ani dobierać wyrazów, ani silić się na koncepta, prawił co ślina do ust przyniosła; chorował z nudów czasem na neronowskie i heliogabalowskie fantazje, wojował z fantastycznymi nieprzyjaciółmi, szalał, dokazywał, lub kłamał, próbując, do jakiego też stopnia dworacy posuną posłuszną uległość, pochlebiając najdziwaczniejszym marzeniom. Powoli przywykł do tych poematów, które sobie tworzył, które powtarzał, które wreszcie jakąś całość niby stanowiły. W igraszkach lwich było czasem znać lwie pazury, ale często i królewską lwa wspaniałość».

Ta wspaniałość czyniła, że ks. Karol Radziwiłł wydzierżawiał swoje wsie licznej szlachcie litewskiej za półdarmo, był zato bożyszczem licznych swych klijentów i przyjaciół, a pomimo to dochód jego roczny stanowił sumkę niemałą, pięć miljonów kilkakroć stotysięcy złp.

W r. 1789 Radziwiłł zapadł na oczy i pojechał do Wrocławia, do mieszkającego tam słynnego okulisty. Przyjmowano go tam z honorami wojskowemi (był kawalerem pruskiego Orła Czerwonego), a gdy do Wrocławia przyjechał król pruski, Radziwiłł uzyskał prywatną audjencję, a później został zaproszony na obiad do króla, ale dla choroby z zaproszenia tego nie mógł skorzystać.

Wkrótce potem stracił wzrok zupełnie. Umarł w r. 1790 w Białej, mając lat 56. Żegnając się przed śmiercią z otoczeniem, podobno odezwał się w ten sposób charakterystyczny: «Przyjaciele i słudzy moi, darujcie mi, kiedym się Wam uprzykrzył; pamiętajcie na to, ż e m i j a c z ł o w i e k». Troszczył się o przyszłość swego ogromnego majątku, zapisanego synowcowi, małemu ks. Dominikowi. Na opiekunów wyznaczył osoby, posiadające dostateczną ewikcję, bo, jak mówił, «majątek mój nie żart».

[1]) Były to koncepty Księcia Panie Kochanku.

Między opiekunami, a zwłaszcza między Michałem Radziwiłłem (z linji kleckiej) a Maciejem Radziwiłłem (synem ks. Leona i Mycielskiej, późniejszej macochy Panie Kochanku), wkrótce zaczęły się procesy o tę łakomą opiekę. Ciekawą wzmiankę o tych procesach znajdujemy w pamiętnikach Ochockiego [1]).

[1]) Pamiętniki. Wydanie Bibl. Dz. Wyb., t. II, str. 90.

VI. KAJETAN SOŁTYK

Sołtykowie stanowią gałąź z rodziny rosyjskiej Sołtykowów; pochodzą od Mikołaja czy Iwana Sołtykowa, który na początku XVII w. stanął po stronie Dymitra Samozwańca, a później Zygmunta III i Władysława IV, wreszcie osiedlił się w odpadłej do Polski Siewierzczyźnie, w województwie czernihowskiem. Polscy Sołtykowie i rosyjscy Sołtykowowie mają herby prawie identyczne.

W dokumentach urzędowych po raz pierwszy występuje nazwisko Sołtyka w r. 1634, a mianowicie, gdy Paweł Sołtyk (genealogje Sołtyków uznają go za wnuka Mikołaja) otrzymał kilka wsi od Władysława IV. O tym Pawle Sołtyku wiadomo, że trzymał w dzierżawie od księcia Trubeckiego Trubeck; gdy w r. 1646 Trubeck przeszedł do Moskwy, zapadła konstytucja sejmowa o wyznaczeniu mu odszkodowania pieniężnego.

Znanym protoplastą późniejszych Sołtyków jest Bazyli Sołtyk, podczaszy czernihowski, którego pokrewieństwa z tym Pawłem Sołtykiem niepodobna bliżej określić — zwykle podają go za synowca owego Pawła.

Z wnuków Bazylego Sołtyka: 1) Maciej był księdzem kanclerzem prymasa Teodora Potockiego (zrodzonego, jak wiemy, z Sołtykówny), później biskupem sufraganem chełmińskim († 1749), 2) Mikołaj został w r. 1726 kasztelanem przemyskim, 3) Józef został w roku 1724 kasztelanem bełzkim, a w r. 1732 kasztelanem lubelskim, 4) Michał został w r. 1748 kasztelanem wiślickim, a w r. 1757 kasztelanem sandomierskim. Od dwóch ostatnich poszły dwie gałęzie rodziny Sołtyków — od Józefa starsza (wsławiona przez biskupa krakowskiego Kajetana), wygasła po mieczu w r. 1896, a od Michała młodsza, także wygasła prawie jednocześnie z starszą.

Z synów Józefa Sołtyka, kasztelana lubelskiego, zasiadali w senacie, oprócz biskupa Kajetana, najstarszy Tomasz, od r. 1761 wojewoda łęczycki († 1773) i Maciej, od r. 1756 kasztelan warszawski († 1780).

Kajetan Sołtyk, głośny biskup krakowski, urodził się w r. 1715. Pierwszą młodość spędził na dworze swego «krewnego», prymasa Teodora Potockiego, u którego, jak mówiliśmy, stryj Kajetana, ksiądz Maciej, był czas długi kanclerzem. Przeznaczony przez prymasa do stanu duchownego, otrzymał od niego, mając niespełna lat siedemnaście, kanonję łowicką, a później scholasterję łęczycką; w latach 1735—1737 bawił w Rzymie na studjach teologicznych. Od r. 1743 przebywał głównie przy boku biskupa krakowskiego, Jana Lipskiego, kardynała; umiał sobie zaskarbić jego względy, tak, że został naznaczony egzekutorem jego testamentu. W r. 1748 biskup kijowski, Jan Ożga, przybrał sobie Sołtyka na koadjutora z prawem następstwa; skutkiem tego został Sołtyk w roku 1749 prekonizowany na biskupstwo emauskie in partibus infidelium. Objąwszy sufraganję, Sołtyk wziął się z energją do swych obowiązków; biskup Ożga był stary, a diecezja kijowska była rozległą i zaniedbaną.

W r. 1756 umarł biskup Ożga, i Kajetan Sołtyk został biskupem kijowskim. Jako senator, połączył się najściślej z marszałkiem Mniszchem, Brühlem i Wacławem Rzewuskim; razem z nimi stanowił najbliższe stronnictwo dworskie. Zaczęto myśleć o zrobieniu go koadjutorem biskupa krakowskiego, Andrzeja Stanisława Załuskiego; gdy w trakcie tych starań umarł Załuski 16 grudnia 1758 r., już 19 grudnia nastąpiła nominacja Sołtyka na biskupstwo krakowskie; zawdzięczał je poparciu swych możnych przyjaciół, Brühla i Mniszcha.

Pamięć Kajetana Sołtyka zwykle łączy się z jego wystąpieniem na sejmie 1767 r. i długoletniem wygnaniem. Stąd bywała idealizowaną. Tymczasem w rzeczywistości był to człowiek próżny i gwałtowny, umysł pospolity, wkońcu, pomimo męczeństwa, wielki szkodnik polityczny.

Podstawą i cechą charakteru Sołtyka była duma z jego niższego gatunku odcieniami: pychą i próżnością. Stosownie do tego, dokąd pchały go te cechy charakteru, czyny jego chwiały się między dobrem a złem, zasługą a szkodnictwem publicznem. Pozatem należy pamiętać, że przez swą przeszłość

był gorącym stronnikiem saskim, zawziętym przeciwnikiem Czartoryskich i człowiekiem miernych zdolności, które nie pozwalały mu zdawać sobe sprawy ze skutków anarchji polskiej, tem bardziej, że anarchja ta karjerze jego nietylko nie przeszkadzała, ale owszem, jak tylu innym, nadawała jakieś wyjątkowe stanowisko ponadpaństwowe.

W czasie bezkrólewia po śmierci Augusta III Sołtyk był jednym z głównych filarów stronnictwa hetmańskiego. Był oburzony na Czartoryskich nietyle za oparcie się o przemoc rosyjską, ile za zagarnięcie w swoje ręce władzy, za zaprowadzenie niebezpiecznych reform, a jednocześnie za — zakazanie mu «dystynkcji baldachimu w pałacu biskupim». Ta sprawa baldachimu zajmuje długo Sołtyka, jako rzecz arcydoniosła. Co do reform, to te potępia w czambuł; przez nie władza królewska może się stać «niebezpieczną dla wolności».

Z Lubomli, gdzie po sejmie konwokacyjnym znalazł się Sołtyk razem z hetmanem Branickim, wyprawił on list do biskupa Hylzena [1]) z prośbą o zakomunikowanie ambasadorowi rosyjskiemu. Już w liście tym wskazawszy na niebezpieczeństwo przeprowadzonych na sejmie konwokacyjnym reform, i zauważywszy, że przeciw liberum rumpo należało uchwalać prawa, nie zaś przeciw liberum veto, jedynej podporze praw i swobód naszych, denuncjuje przed Rosją dokonane reformy w sposób następujący: «Osądź WPan te moje doniesienia, przeczytaj je J. E. Kayserlingowi; on Kurlandczyk, a więc obywatel Rzpltej, człowiek oświecony, znający prawa nasze, niechaj rozpatrzy je również. Przyznajcie WPanowie, że absolutną i despotyczną władzę chcą dać przyszłemu królowi. J. E. Kayserling, jako bystry polityk, zgłębi tę rzecz i rozstrzygnie, czy obce mocarstwa mogą z obojętnością patrzeć na przemianę wolnej Rzpltej w absolutną monarchję. Należy pomyśleć, jakie stąd wyniknąć mogą konsekwencje dla Rosji. Zali nie będzie to przeciwne jej interesom? Bo czyż król polski, mając w swych rękach duże dochody i silną armję, nie będzie mógł zawrzeć aljansu z potęgą, wrogą Rosji, jeśli będzie miał powód być z niej niekontent» (!).

[1]) Ksiądz Jerzy Hylzen był od r. 1745 biskupem smoleńskim; zrezygnował z tego biskupstwa w r. 1763.

Od rzemyczka do koniczka. To też wkrótce spotykamy już Sołtyka osobiście w ambasadzie rosyjskiej.

Tymczasem, bojąc się o swe stanowisko, biskup nie zrywa z partją triumfującą. Jedzie do Warszawy i wizytuje kandydata do korony, Stanisława Augusta Poniatowskiego; wprawdzie przed dniem elekcji z Warszawy wyjeżdża, ale po elekcji odstępuje od dawnego manifestu partji hetmańskiej i obranemu królowi składa życzenia.

Przez cały rok 1765 pozostawał Sołtyk zdala od polityki. Król chciał go sobie zjednać i obiecywał, że postanowienie, zabraniające Sołtykowi «zażywania baldachimu w pałacu», nie będzie ściśle przestrzegane, na sejmie zaś będzie uchwalona konstytucja o przyznaniu biskupowi tego zaszczytu; z okazji księstwa siewierskiego, należącego do biskupstwa krakowskiego, skutkiem czego Sołtyk uważał siebie za księcia udzielnego, król skłonny był przyznawać mu również pewne honory.

W r. 1766 Rosja postawiła kategoryczne żądanie przyznania praw politycznych dysydentom. Sołtyk zaczął się wygrażać przeciwko Repninowi, i w swej naiwności miał nadzieję przyczynić się przez Orłowa do upadku Panina i Repnina. Jednocześnie zaś, jakby rzeczywiście jaki książę udzielny, porozsyłał listy z prośbą o ochronę wiary w Polsce do wszystkich monarchów katolickich, a więc do cesarza Józefa, do cesarzowej Marji Teresy, do Ludwika XV, do króla hiszpańskiego, do króla Sardyńskiego, do elektorów katolickich i in. Wewnątrz kraju prowadził szeroką agitację antydysydencką, rozsyłając listy do sejmików przedsejmowych i roztrząsając w nich wszystkie sprawy polityczne.

6 października 1766 r. rozpoczął się sejm. Król i kanclerz Andrzej Zamoyski pragnęli przedewszystkiem przeprowadzić dalsze ograniczenie liberum veto, a natomiast porobić Rosji ustępstwa w sprawie dysydentów. Opozycja przeciwnie, a w tej liczbie Sołtyk, postanowiła właśnie tę ostatnią sprawę postawić na ostrzu noża i przez nią obalić wpływy króla i jego zamiary.

Ograniczenie liberum veto mogło nastąpić tylko w ten sposób, by Rosja tego nie spostrzegła. Dlatego projekt królewski, wzorując się na redakcji, przyjętej na sejmie konwokacyjnym, mówił tylko o tem, że wszystkie sprawy ekonomiczne, a więc również podatki, mają być rozstrzygane forma

judiciaria (to właśnie znaczyło większością głosów). Opozycja, a głównie Sołtyk i Wielhorski, nie zawahali się nietylko rzecz całą wyjaśnić Repninowi, ale uczynili to w ten sposób, że Rosja została zaalarmowana; odtąd, odkładając narazie sprawę dysydentów, przedewszystkiem zajęła się utrwaleniem «głosu wolnego», na co oddawna zwracał uwagę Rosji przebiegły Fryderyk II, radząc sprawy dysydentów użyć tylko jako środka do odwracania uwagi Polaków.

Stanisław August, przekonawszy się, że wniosek jego nie przejdzie, starał się zachować przynajmniej te ograniczenia liberum veto, które w podobnie zamaskowanej formie przeprowadzone zostały w r. 1764 na sejmie konwokacyjnym. W tym celu chciał zatrzymać agitację opozycji, a zwłaszcza Sołtyka. Na zebranie u biskupa łuckiego, Turskiego, na którym był Sołtyk i Wielhorski, przybył brat królewski, ks. podkomorzy Kazimierz Poniatowski, i imieniem króla prosił obecnych, by pomogli «co dobrego skrycie zrobić dla ojczyzny przed sąsiadami, którzy wcale u nas porządku nie dopuszczą». Tłumaczył zgromadzonym, że przez zręczną redakcję pożytecznych konstytucyj z r. 1764 udało się szczęśliwie uśpić czujność Kayserlinga; trzeba teraz koniecznie te konstytucje w całości utrzymać, bo nie masz nic szczęśliwszego, jako pluralitas w tych materjach i nawet w podatkowaniu». Na te prośby i propozycje Sołtyk począł ks. podkomorzemu wymawiać gwałtowności familji, i ks. podkomorzy wyjechał, nic nie wskórawszy [1]).

W kilka dni po tem zebraniu u biskupa Turskiego, znalazł się już Sołtyk na naradzie u ambasadora rosyjskiego. Na tę naradę Repnin zaprosił, oprócz Sołtyka, posła pruskiego, Wielhorskiego, Gozdzkiego, Gurowskiego i in. Postanowiono wszelkiemi sposobami przeprowadzić utrzymanie w całości liberum veto, nawzajem, co do sprawy dysydentów, Repnin wyraził się ogólnikowo, że «rzeczy pójdą spokojniej».

[1]) Kalinka: «Ostatnie lata», I, 123—127; Alkar: «Repnin i Polska», I, 182; Rudnicki: «Biskup Kajetan Sołtyk», 126, 130. Stanowisko w tej sprawie Repnina zdaje się najlepiej zrozumiał Kalinka, tłumacząc, że, płatny przez króla, nie byłby protestował przeciwko ograniczeniu liberum veto w zamaskowanej formie, gdyby opozycja swem postępowaniem do tego go nie zmusiła. Wtedy, chcąc zatrzeć wszelkie podejrzenia, prześcigał się już w gorliwości.

Sołtyk był przekonany, że prowadzi politykę arcyzręczną. Jeżeli nawet wniosek Wielhorskiego «o ubezpieczeniu głosu wolnego» stronnictwo dworskie odrzuci, wówczas nastąpi, myślał, burza, która zmiecie z tronu króla i razem z nim wszystkie reformy, obali Czartoryskich i otworzy drogę do korony księciu z dynastji saskiej. W razie zaś, jeżeli wniosek ów przejdzie, to Rosja i Prusy prawdopodobnie tem się zadowolnią i nie będą nastawały w sprawie dysydentów. Zresztą, co do tej sprawy, Sołtyk był pewny większości sejmowej, którą poprzednio zelektryzował gorącemi mowami i wnioskiem o konfiskacie dóbr każdego, kto przemawiać będzie za różnowiercami.

Sołtyk miał siebie naiwnie za wielkiego dyplomatę, a Repnina bagatelizował. To też, gdy liberum veto zostało utrzymane, a roszczenia dysydentów odrzucone, biskup triumfował i ani przypuszczał, że, stawszy się narzędziem Repnina, wkrótce zostanie jego ofiarą.

Tymczasem, w poczuciu łatwego triumfu, razem z opozycją łudził się, że Repnin stracił znaczenie u swego dworu, i że ten liczyć się będzie z polskimi malkontentami.

Wiarę tę podtrzymywał i wyzyskiwał sam Repnin, głosząc, że Rosja, zrażona do Czartoryskich, chce się oprzeć na opozycji i poprze ją tak, jak dawniej popierała Czartoryskich. Jako ukryty a zręczny ajent rosyjski, rozjeżdżał po kraju niecny Podoski; wiedział też, jak trafić do Sołtyka, nie żałował pochlebstw, obietnic, perspektywy osadzenia na tronie Sasa. Sołtyk był nieufny, ale coraz bardziej dawał się usidlić, zwłaszcza, gdy powracający z wygnania Radziwiłł miał stanąć na czele zawiązanej pod egidą Rosji konfederacji.

Zaślepiony Sołtyk popełnia teraz czyn haniebny. Staje się gorącym stronnikiem Podoskiego, sięgającego plugawemi rękoma po purpurę prymasowską.

Ale Podoski był wrogiem Stanisława Augusta i Czartoryskich. To roznamiętnionemu a ograniczonemu Sołtykowi wystarczało. A tymczasem ten nowy prymas, przeparty przez Repnina i Sołtyka, przyłoży się do aresztowania Sołtyka,

a w parę miesięcy później podtrzymywać będzie projekt Repnina o utworzeniu polskiego kościoła narodowego.

Długi czas Sołtyk nie przystępował do konfederacji radomskiej, która zbyt jaskrawo stawała po stronie różnowierców. Zaproszony do Repnina, konferował z nim przy udziale Podoskiego. Przystąpiwszy wreszcie do konfederacji, agitował jednak otwarcie przeciw dysydentom, nie wierzył groźbom Repnina, że go każe aresztować, łudził się wciąż, że «Repnin obawia się, abym o jego czynach nie doniósł Imperatorowej» (!), ale na wszelki wypadek postanowił wytrwać w bezwzględnej opozycji, a ewentualnie stać się męczennikiem za wiarę i ojczyznę. A motywów tego postanowienia szukać należy nie w rzeczywistej ofiarności Sołtyka dla sprawy publicznej, a tembardziej nie w fanatyzmie, od którego, właściwie mówiąc, był wolny, ale w dumie tego księcia siewierskiego, tego udzielnego księcia kościoła, który o tyle był konsekwentny i o tyle tylko wyższy od swych współczesnych, że, nie chcąc ugiąć czoła przed własnym królem i własnym rządem, nie chciał uczynić tego również przed przemocą cudzoziemską.

Tu na pochwałę wymowy Sołtyka zapisać należy, że ostatnie filipiki jego na sesji prowincjonalnej przeciwko projektowi gwarancji rosyjskiej, mającej, jak wiadomo, być ujętą w formę traktatu, odznaczały się męską i śmiałą argumentacją. «Zgadzam się na komisję, ale nie na traktat z ks. Imć Repninem... Nie jesteśmy w wojnie z potencją rosyjską, nie słyszymy w deklaracji N. Imperatorowej o żadnem nowem przymierzu, a przeto nie widzę żadnej potrzeby wnijścia w traktat z ks. posłem». «...Materję praw i prerogatyw każdego gwarancji poddawać mamy? A czyliżby stąd okropne nie wynikły konsekwencje, iżby potencji rosyjskiej, jako gwarantce de jure, należało przyszłe prawa nasze, nam niewiadome, jakby się podług okoliczności podobało, tłumaczyć, we wszystkie interesa kraju wpływać i wdawać, rekursa pretendujących się za uciemiężonych przyjmować, a nie zostałożby temi stopniami królestwo nasze jedną, dependującą od rządów mocarstwa rosyjskiego, prowincją?»

W nocy z 13 na 14 października 1767 r. Repnin kazał uwięzić Sołtyka, Wacława i Seweryna Rzewuskich i biskupa

Załuskiego (tego ostatniego przez pomyłkę, właściwie miał zamiar zaaresztować biskupa Turskiego). Aresztowanie Sołtyka nastąpiło w pałacu Mniszcha [1]). Uprzedzony o tem, że przed pałacem snują się oddziały rosyjskie, Sołtyk postanowił u Mniszcha zanocować. Wtedy Repnin polecił Igelströmowi wziąć rotę grenadjerów i zabrać biskupa z pałacu przemocą. Igelström, wysadziwszy bramę pałacową, wszedł na pokoje, gdzie Sołtyk, po uprzedniem na odgłos rozbijania bramy spaleniu niektórych papierów, spokojnie oczekiwał aresztowania. Sołtyk chciał zabrać ze sobą pazia, kucharza i przygotowany zawczasu wóz z rzeczami, lecz Igelström na to nie zezwolił i, wsadziwszy więźnia do zakrytej karety, powiózł na Pragę; tam też wkrótce przybyli zaaresztowani: biskup Załuski i dwaj Rzewuscy.

Okoliczności, towarzyszące uwięzieniu Sołtyka, Rzewuskich i Załuskiego, nie są dokładnie wyjaśnione, przedstawiają się też sprzecznie. Nie ulega tylko wątpliwości, że gwałt ten został zgóry omówiony w korespondencji między Paninem a Repninem i dokonany został za zgodą Katarzyny II, a prawdopodobnie także za wiedzą i cichą aprobatą Stanisława Augusta. To, że Stanisław August zawsze się tego wypierał i starał się oczyścić w swych pamiętnikach z wszelkich co do tego podejrzeń, niczego nie dowodzi; był on doskonałym dialektykiem i oczywiście, skoro o tem tylko wiedział i milczał, mógł poniekąd twierdzić, że w tem «udziału» nie brał. Że Repnina do tego kroku namawiał Podoski, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Relacja wreszcie Stanisława Augusta [2]), że jakoby o zaaresztowaniu Sołtyka i towarzyszy prosił Repnina urzędowo marszałek konfederacji litewskiej, Brzostowski, nie zasługuje na wiarę, nie dlatego, by Brzostowski nie był zdolny do takiego kroku, ale dlatego, że gdyby to był uczynił urzędowo, rzecz byłaby powszechnie wiadomą, a choć król wspomina, że o tem mówiono, z innych źródeł jednak o tem nie wiemy. Opowiadanie to Stanisława Augusta miało oczywiście na celu tylko własną obronę.

Tak czy inaczej, gwałt na senatorach był rzeczą tak potworną, że trudno dziś zrozumieć, jak nie wywołał odpowied-

[1]) Obecnie Resursa Kupiecka, na ulicy Senatorskiej.
[2]) Mémoires, 581.

niego odruchu ze strony społeczeństwa. Dowód to wymowny, jak ówczesna szlachta, a w szczególności górne jej warstwy zatraciły już były poczucie udzielności i godności narodowej, i były niezdolne do ich obrony. Jednocześnie dokonanie tego gwałtu przez Rosję dowodzi, jak dobrze już wtedy znała ona Polaków, daleko lepiej nawet, niż Fryderyk II, który, pogardzając, jak wiadomo, ówczesną szlachtą polską, jednak miał w danym wypadku pewne wątpliwości co do jej zachowania się.

W dziesięć dni po uwięzieniu, Sołtyk wraz z towarzyszami dostawiony został przez wartę rosyjską do Wilna, gdzie więźniów zatrzymano czas dłuższy. Dopiero w końcu grudnia przybył rozkaz Katarzyny wysłać więźniów do Smoleńska. Tam przebyli do końca 1768 r. Wtedy przewieziono ich do Kaługi.

Uwolnieni zostali dopiero w styczniu 1773 r. Niewola była z tego głównie powodu ciężką, że więźniowie mało mieli wiadomości z szerszego świata, a listy były odsyłane do Petersburga dla cenzury. Brakowało im także wielu najniezbędniejszych rzeczy; np. biskup Załuski chorował często na katar z powodu braku peruki, do której był przywykł, a o którą upraszał bezskutecznie. Pozatem mogli jeździć na spacery, wychodzić, kiedy chcieli, i komunikować się z miejscowymi mieszkańcami.

Sołtyk niewolę znosił bardzo dobrze i nie tracił werwy; sprzeczał się tylko z Załuskim, który nie miał takiego kultu do Sasów, jak Sołtyk.

12 lutego 1773 r. Sołtyk był owacyjnie witany przez tłumy ludu warszawskiego, który, z nuncjuszem Garampim i osobami z wyższego towarzystwa na czele, wyległ na Pragę, by spotkać powracającego wygnańca za wiarę i ojczyznę. Długo był przedmiotem hołdów i owacyj.

Zaraz potem Sołtyk wszedł w przyjazne stosunki ze Stackelbergiem; ale zachowywał się z godnością i marzył o tem, by sejm, który miał usankcjonować pierwszy rozbiór, do skutku nie doszedł. Miano go z tego powodu na oku, a Stackelberg z łatwością akcję jego paraliżował.

W tym czasie zaczął Sołtyk zdradzać objawy choroby umysłowej. Pisał np. do Mniszcha, jakoby przedstawiał Stackelbergowi, że dopóki będzie na tronie Stanisław August,

ani Polska, ani Rosja nie mogą się czuć bezpiecznemi, a gdy Stackelberg miał uznać słuszność tej uwagi, obadwaj zaczęli wybierać kandydatów na tron i wreszcie wybór padł na Stanisława Sołtyka, synowca biskupa. «Potem często mi nadmieniał i na pokojach trącał mię nogą, kiedy gadał z królem, albo ja, i to mi mówił, że mu się tylko nie podoba, że synowiec mój jest imiennikiem teraźniejszego króla».

Po powrocie do Krakowa Sołtyk zaczął urządzać bale i koncerty. Ale trwało to niedługo, bo już w początkach 1774 r. popadł w lekką melancholję, zamknął się u siebie, nie przyjmując nawet osób najbliższych. Diecezją faktycznie rządził poprzedni z czasów niewoli administrator, ks. Olechowski.

Zaczęto przemyśliwać o następstwie na biskupstwie krakowskiem. Narzucił się na koadjutora Ostrowski, wówczas biskup kujawski, ale Sołtyk «z właściwym mu ogniem» przeciwko temu zaprotestował. Jakim sposobem skłoniono go, że na koadjutora sam zaprosił Michała Poniatowskiego, wówczas biskupa płockiego — niewiadomo.

Ale melancholja Sołtyka daleką jeszcze była od obłąkania. Zachowywał się cicho i ekscesów żadnych nie popełniał. Tak trwało sześć lat. Dopiero w r. 1781 okazał wyjątkową gwałtowność w sprawie Kołłątaja, który miał zatarg z innym księdzem o dzierżawę wsi kościelnej; Kołłątaja wyklął i pozbawił go wszystkich beneficjów. Sąd metropolitalny wyrok ten uchylił.

W grudniu 1781 r. Sołtyk sporządził testament, którym cały majątek zapisał synowcowi, Stanisławowi, kasztelanicowi warszawskiemu (późniejszemu wybitnemu posłowi sejmu czteroletniego, a wkońcu senatorowi wojewodzie Król. Polskiego). Wkrótce po sporządzeniu tego testamentu znów wpadł w szał zabaw, jak w r. 1773. Zabawy te przeplatał procesjami i uroczystemi nabożeństwami, tłumnie nieraz podczas uczt udzielał sakramentu bierzmowania; wyświęcał kleryków, do święceń jeszcze nie przygotowanych, okazywał nadzwyczajną hojność. Zaczęły się tarcia z kapitułą, coraz gwałtowniejsze, tak, że wreszcie rozjuszony biskup rzucił interdykt na całą kapitułę. Widząc, że biskup zupełnie traci zmysły, kapituła zwróciła się do Michała Poniatowskiego, jako koadjutora krakowskiego, z prośbą o objęcie zarządu diecezją, a tymczasem, bojąc się nowych ekscesów, Sołtyka uwięziła.

W Krakowie, a później w całym kraju zawrzało. Zaczęto oskarżać kapitułę o gwałt nad senatorem, dokonany jakoby jedynie dla dogodzenia Michałowi Poniatowskiemu i królowi, który wspólnie z Radą Nieustającą nie kazał uwolnić Sołtyka, a tylko wyznaczył komisję dla rozpatrzenia sprawy. Szczególnie agitował przeciw królowi Seweryn Rzewuski. Pisał do króla i Rady Nieustającej w ten sposób: «Każdy się zdziwiony zastanawia, że król natychmiast wolności senatorowi polskiemu powrócić nie kazał, ale wprzód chciał wnijść w rozeznanie, dlaczego on jest zatrzymany, właśnie, jakby to godziło się wziąć w areszt obywatela bez dekretu, a wypuścić go nie godziło się... Los jego przeraża nas i ostrzega wszystkich. Boimy się, aby kiedy z nami to się nie stało, co dziś z ks. biskupem krakowskim. Majątek i urzędy nasze są to rzeczy łakome, pozory szaleństwa łatwe, przykłady więzienia sądownie nieprzekonanego obywatela już dane... władza hetmańska zniesiona, a Departamentu (wojskowego) władza na pognębienie wolności obywatela już zajęta; słowem, gotowe z nas ofiary dla pierwszego mocniejszego, który po nas sięgać zechce. Ja się pytam W. K. Mość, co ma uczynić obywatel, który na swój majątek, urząd, a może i życie, żadnego nie ma w kraju ubezpieczenia... Czyliż ów obywatel nie będzie miał prawa zaradzenia o skuteczniejszym bezpieczeństwa swojego sposobie; czyliż ten sposób, nie mogąc być dla niego w siłach jego własnych znaleziony, nie będzie mógł w siłach obcych być poszukany, a gdy tam będzie znaleziony, pytam się W. K. M., co w tym razie, gdzie każdy obywatel nie przez siebie, ale przez obcych będzie znaczył — król i Rzplta będą znaczyły?»

Tak pisał przyszły targowiczanin.

Komisja i delegowany biskup chełmski, Garnysz, przy udziale lekarzy orzekli, że obłąkanie Sołtyka nie może żadnej ulegać wątpliwości. Chorego wywieziono do pałacu biskupiego w Kielcach. Tam przebył jeszcze sześć lat i umarł z wodnej puchliny 27 lipca 1788 r.

Pomimo, że obłąkanie Sołtyka nie podlegało wątpliwości, sprawa jego uwięzienia była zbyt dobrą gratką do wichrzenia, by z niej nie skorzystali malkontenci, grupujący się pod egidą hetmana Ksawerego Branickiego. To też sprawą tą został zawieruszony cały sejm 1782 r.

VII. KATARZYNA Z POTOCKICH KOSSAKOWSKA

Mówiąc o ludziach, którzy z nienawiści do reform i narowów starej anarchji stali się głównemi narzędziami polityki rosyjskiej w czasie smutnej pamięci konfederacji radomskiej, niepodobna pominąć głośnej Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej. I ją legenda ubrała w różne barwy, zaczerpnięte z jej cech zewnętrznych, ale i w niej dowiodła płytkości obserwacji. Przydomki, które jej tylokrotnie, aż do znudzenia nadawano: «znana z dowcipu», «praczka Potockich», «matrona polska», «facecjonistka», «mądrocha», «fakcjantka» — wszystkie one, jedne lepiej, drugie gorzej, oddają którąś z jej cech charakterystycznych, żaden jednak z tych przydomków nie przypomina piętna, które niezatarte przy jej wspomnieniu pozostać powinno, a które najmocniej łączy się z jej indywidualnością i charakterem — piętna hańby radomskiej. Jest to tak, jakgdybyśmy, mówiąc o Szczęsnym Potockim, mówili: «Znany z troskliwości o lud wiejski», albo «słynny twórca «Zofijówki», a omijali epitet «targowiczanin».

Nic nie znaczy, że w tej «praczce Potockich», «facecjonistce», «fakcjantce» i t. d. mieściły się też pewne strony dodatnie — takie strony dodatnie znajdują się też u Szczęsnego Potockiego i u Karola Radziwiłła. Owszem, te strony dodatnie potęgowały raczej szkodliwość takich osobistości, nadając im pozory cnót obywatelskich, gdyż nie należy zapominać o tej prawdzie niezbitej, że największymi szkodnikami politycznymi nie są jawni zdrajcy i nikczemnicy, bo sama ich ohyda zewnętrzna pozbawia ich wpływu i znaczenia, ale właśnie ludzie, niepozbawieni pewnych cnót domowych i towarzyskich, a nawet publicznych, jeżeli z cnotami temi łączy

się pycha, prywata, zaciętość partyjna, lub obskurantyzm polityczny.

Takim szkodnikiem była właśnie Katarzyna Kossakowska, i taką widzimy ją w całej nagości na usługach Repnina w czasie konfederacji radomskiej, godnej poprzedniczki hańby targowickiej. A gdy pewne pozory przedstawiają ją nawet wówczas, jako gorącą patrjotkę, przypomnijmy sobie z pamiętników Wybickiego tę słuszną uwagę o wstrętnym Marcinie Matuszewiczu: «Jakże na powierzchowność się spuszczać, gdy sobie przypomnimy sekretarza sejmowego, Matuszewicza, starca zgrzybiałego, już nawpół w grobie będącego, codzień mszy słuchającego, a który jednak był wrogom zaprzedany, i dlatego za zwodniczego mentora księciu Karolowi Radziwiłłowi, marszałkowi sejmowemu, przydany».

Katarzyna Kossakowska urodziła się w r. 1721. Była córką Jerzego Potockiego, starosty grabowieckiego, i siostrą Eustachego, jenerała artylerji, Marjana, kasztelana lwowskiego, i Pelagji, żony Józefa Potockiego, starosty szczerzeckiego, później kasztelana lwowskiego. Wychowanie otrzymała staroświeckie i zaniedbane. Wyrażała się zawsze trywjalnie, po francusku mówiła bardzo źle. Niepowabna, w r. 1744 wydaną została za jeszcze mniej powabnego garbatego, o głowę od niej niższego, ale majętnego Stanisława Kossakowskiego, kasztelana podlaskiego, pana na Bohorodczanach, który w r. 1748 mianowany został kasztelanem kamieńskim [1]). Małżeństwo zawarte zostało oczywiście z rozsądku, dzieci nie było, i pani Kossakowska mogła oddawać się ulubionemu swemu sportowi, którym było — życie publiczne epoki anarchicznej, a więc intrygi sejmikowe, walki o obiór posłów i deputatów, burdy na sejmikach i przy fundowaniu trybunałów, jednem słowem, to życie, szczelnie od rana do wieczora zapełnione, a w gruncie rzeczy puste a chorobliwe, które tak wymownie przeziera przez pamiętniki Matuszewicza. Matuszewicz stale nazywa Kossakowską «fakcjantką», a Stanisław August, opisując w swych pamiętnikach zerwany trybunał piotrkowski z r. 1749, wspomina też o osobistej jej tam agitacji, przyczem dodaje, że «szukała zawsze sławy z popularności, oraz z wyrażeń i odpowiedzi, które miała za

[1]) Dawny gród Kamień jest dziś małą wioską niedaleko Konina.

dowcipne, ale które po większej części dalekiemi były od słodyczy i skromności płci jej właściwej».

Trudno sobie dziś wyobrazić, wiele ta kobieta się najeździła, nagadała, naintrygowała w sprawach publicznych, a właściwie takich, które się w owych czasach nazywały publicznemi. Stale, ciągle, jak Matuszewicz, obrabiała któryś sejmik, któryś trybunał, którąś intrygę publiczną. Nie miała w sobie nic kobiecego, nie zaznała, zdaje się, żadnego tkliwszego uczucia, oprócz przywiązania do nazwiska Potockich i starych, często strupieszałych zwyczajów, przesądów i nadużyć. Dość przytoczyć którykolwiek z jej listów z tej epoki, by scharakteryzować tę kobietę i jej język rubaszny, bardzo nawet piękny, gdy nim przemawiał Pasek, ale zgoła rażący w ustach kobiety z najwyższych sfer towarzyskich. Weźmy pierwszy lepszy list ze zbioru, wydanego przez K. Waliszewskiego, a więc choćby list z r. 1757 do hetmana J. Kl. Branickiego, pisany z Mościsk, gdzie, szwędając się po całym kraju, chwilowo się zatrzymała: «Mam honor z tego miejsca ucałować nogi JWPana Dobrodzieja, z doniesieniem, że sejmiki porwane, ponieważ JWPan Dobrodziej wyraziłeś do sługi swojej, że życzysz poczciwych i sprawiedliwych sędziów, o których wszyscy przyjaciele starali się, ale najpewniej trzebaby takich porodzić, i toby chyba za dziewięć miesięcy byli, toć poniewczasie. Wiesz JWPan Dobrodziej, że w Warszawie J. O. X. Warmiński Biskup [1]) u stołu szukał przez okulary poczciwego, a podobno nie znalazł. A do tego ciężko wierzyć poczciwości, bo się arcy psuje, czego dowodem teraźniejszy trybunał. Co wyrażam, zdając się protekcji i łasce...»

Nie było w owym czasie żadnego wypadku, którymby się ta herod-baba nie zajmowała. Jako Potocka, była zażartą nieprzyjaciółką Czartoryskich, ale nie cierpiała także Brühla, i gdy Fr. Sal. Potocki wydawał za młodego Brühla swoją córkę, Kossakowska poruszyła ziemię i niebo, by do tego nie dopuścić, uważając to za ujmę dla wielkiego swego rodu. Interes rodowy Potockich był dla niej racją stanu we wszystkiem, a tylko, gdy zaczynały się spory między samymi Potockimi, wówczas stawała po stronie tego, który jej był bliższy; więc gdy nastąpił spór między jej bratem, Eustachym,

[1]) Stanisław Grabowski.

a Fr. Sal. Potockim, oczywiście całą duszą popierała pierwszego.

Małżonek Katarzyny Kossakowskiej umarł dopiero w r. 1761, ale o nim nie było słychać. Mając taką żonę, zapewne kontent był, gdy wyjeżdżała i zajmowała się wszystkiem innem, tylko nie jego osobą. Nawzajem, gdy kasztelan umarł, wdowa łez nie przelewała, ale zagarnęła znaczną, pozostałą po nim fortunę w części na własność, w części jako dożywocie. Procesowała się z licznymi sukcesorami nieboszczyka.

Gdy zaczęło się bezkrólewie po Auguście III, taka osobistość, jak Katarzyna Kossakowska, nie mogła nie należeć do walki partyjnej. I rzeczywiście, widzimy ją krzątającą się koło konfederacji halickiej pod laską jej brata, Marjana Potockiego, skierowanej przeciwko Czartoryskim. Konfederację tę rozpędziło wojsko rosyjskie, a Katarzyna Kossakowska musiała czas jakiś tułać się po Wołoszczyźnie. Tułając się tam i bojąc się o swoje dobra, uderzyła w pokorę i we wrześniu 1764 r. wysłała do brata, Eustachego, list, który, pokazany gdzie należy, miał powrót jej ułatwić. Oto co w liście tym czytamy: «...Teraz zaś, kiedy z boskich wyroków rodowitemu przywrócona jest korona Polakowi, przez co uszczęśliwienia ojczyzny wszyscy jesteśmy pewniejsi, odtąd ukontentowanie swoje każdy łączyć powinien ze stanami Rzeczypospolitej i z niemi się zgadzać, które i ja moją pomnażając przychylnością, spodziewam się z tej korzystać sposobności, której używać zwykli zachowujący wierność swojemu monarsze i życzący obfitych z panowania pomyślności. Najnieznośniejsze jest dla mnie umartwienie z wiadomości niedawno odebranych, jakobym miała wdawać się w pismo, tyczące się honoru Imperatorowej Jejmości Rosyjskiej, i o niej miewać dyskursa. Ten błąd mnie przypisany, żeby miał mieć cokolwiek prawdy, charakter wszelkiej mazaćby powinien poczciwości; ale przecież mając honor w domu moim mieć teraźniejszego króla, pana naszego, który, spodziewam się, że w tej sam broniłby mnie okoliczności, iż nigdy we mnie takiej nie widział podłości i płochości, sam mi natenczas przyznając zdanie, choć partykularne, ale uważne, i w tem suplikuję JWPana Dobrodzieja, abyś te powieści roztropną przytłumił perswazją».

Była na chwilę zniechęcona do polityki i wkrótce potem pisała do brata: «Straciwszy zdrowie i oczy, wzięłam rezolucję nieodmienną mieszkać w klasztorze, w oddaleniu od dworu, z wypuszczeniem dóbr w arendę».

Ale przycichła tylko na chwilkę. Owszem, w sercu nienawiść do Czartoryskich i Stanisława Augusta jeszcze wzrosła. Czekała tylko na porę odpowiednią i możność odwetu; w środkach nie przebierała, pod tym względem była córą swego wieku i swojej klasy. Dla walki z własnym królem każdy cudzoziemiec, choćby wróg największy, mógł być pożądanym sprzymierzeńcem. To też orjentacje polityczne Katarzyny Kossakowskiej mieniły się blaskiem tęczy: przez czas jakiś była stronniczką pruską, i nad jej łóżkiem wisiał portret Fryderyka II, Rosjan znienawidziła w r. 1764, ale wpadła w ich objęcia w r. 1767, następnie, gdy dostała się z Galicją pod panowanie austrjackie, była zakochana w Marji Teresie i Józefie II. Mogła więc być lojalną poddanką każdego z państw rozbiorowych, tylko własnego króla i własnego rządu znosić nie była w stanie.

Gdy w r. 1767 Rosja postanowiła stworzyć patrję przeciwną Czartoryskim, dla obalenia ich reform, i zwróciła się do opozycji, a ta z radością stanęła do apelu, mając nadzieję zdetronizowania nienawistnego króla i zgniecenia przy protekcji Rosji Czartoryskich — w rzędzie najposłuszniejszych narzędzi Repnina spotykamy obok Fr. Sal. Potockiego oczywiście również Katarzynę Kossakowską.

Niepodobna bez upokorzenia czytać suchego «Dziennika» jenerała rosyjskiego, Kreczetnikowa, który miał sobie polecone od Repnina utrzymywanie przyjaznych stosunków z Katarzyną Kossakowską i pilnowanie, by gorliwie spełniała rozkazy ambasadora. Podług Repnina, była to osoba, mająca przeważny wpływ na familję Potockich i pragnąca, dla utrzymania kredytu swego w narodzie, by protekcja dworu rosyjskiego była «jawną i publiczną». Rozkazał przeto Repnin, by dla uczynienia jej przyjemności, oficerowie rosyjscy, podczas bytności swojej we Lwowie, oddawali jej wizyty, a nadto dla jej zabawy polecił odkomenderować «oficera młodego, przystojnej twarzy i przyzwoitego układu, mówiącego obcemi językami, któryby ciągle mieszkając we Lwowie, chodził codzień na obiady i wieczory, zabawiał ją i rozrywał, a jedno-

cześnie służył jako wywiadowca i pośrednik w korespondencji kasztelanowej z władzami rosyjskiemi».

Gdy Kossakowska okazywała się niekiedy za mało gorliwą i za mało pilnowała dalszych swych krewnych, Potockich, Repnin nie robił z nią ceremonji i puszczał w ruch pogróżki i represje, które zawsze skutkowały. Gdy np. sejmik halicki, pod wpływem jej brata, Marjana Potockiego, i Mikołaja Potockiego, starosty kaniowskiego, okazał za wiele samodzielności, Repnin kazał jej oświadczyć, że za to odpowie ona sama, tak osobiście, jak majątkowo; pośpieszyła więc z listem, w którym najsolenniej zapewniła, że wszystkie rozkazy Repnina spełnione będą najdokładniej.

Gdy na początku sejmu delegacyjnego 1767 r. trzeba było Repninowi wpłynąć na posłów, zaraz pobiegł kurjer po Kossakowską, a ta pocztą popędziła do Warszawy aż z za Lwowa. Po poufnej konferencji z Repninem, wzięła się do obrabiania posłów małopolskich, jako najoporniejszych. Uwięzienie senatorów nie zmieniło jej postępowania. Owszem, po utworzeniu delegacji, wyjechała do Lwowa i tam w czasie kontraktów umyślnie, w porozumieniu z Kreczetnikowem, dawała bale i uczty, by jednać stronników dla polityki rosyjskiej.

Wróciwszy do Warszawy, Kossakowska w dalszym ciągu dopomagała Repninowi, a nawet wyręczała go w jednaniu posłów datkami od 20 do 50 dukatów. Śmiało można powiedzieć, że przyjęcie przez sejm konstytucji repninowskiej i traktatu gwarancyjnego było w pewnym stopniu dziełem owej strasznej kobiety.

I wolno się zapytać, co też skłoniło tę bogatą damę polską do roli tak nikczemnej, jaką była rola naganiaczki w usługach Repnina. Odpowiedź nie będzie zbyt trudna: przedewszystkiem uczucie solidarności z domem Potockich, przejętym nienawiścią do króla i Czartoryskich, powtóre bezgraniczna ciasnota pojęć o sprawach publicznych, wreszcie nieprzeparta potrzeba tej kobiety, nie mającej w sobie nic kobiecości, do zajmowania się ruchliwą intrygą polityczną.

Czy odczuła kiedyś, jaką krajowi krzywdę przyniosła? Chyba nie. Wprawdzie nie udało się zrzucić z tronu znienawidzonego parwenjusza, ale udało się bądź co bądź upokorzyć Czartoryskich, złamać ich potęgę, zachować w całości

liberum veto i przez traktat z Rosją zabezpieczyć je od nowych zamachów ze strony nieproszonych reformatorów!...

Ale oto zaczęła się konfederacja barska, również skierowana przeciw królowi, ale tym razem także przeciw opiece rosyjskiej. Gorący udział przyjął w niej brat Kossakowskiej, Marjan Potocki. Kossakowska sympatyzuje więc w duchu z tym ruchem, ale boi się wystąpić otwarcie, i aby nie było podejrzeń, przesiaduje teraz w Warszawie. Gdy zakomunikowano jej, że brat jej w walce pod Berszadą zginął, miała odrzec, że ponieważ znalazł śmierć za wiarę, będzie mogła postarać się o jego kanonizację, i wtedy wszyscy będą musieli całować go w nogi.

W ogrodzie saskim, będąc w towarzystwie dam, spotkała króla, któremu od jego wstąpienia na tron nie chciała się przedstawić, a i teraz ukłoniła się tylko zdaleka i odeszła. Gdy jej o to robiono uwagi, miała podobno powiedzieć (tak przynajmniej sama pisała do swej siostry): «Jam nie kwiatek, abym w ogrodzie prezentowaną była». Tak samo zachowała się na obiedzie u hetmana w. lit. Ogińskiego. Oto co pisze o tem do swej siostry: «Pytano mnie się, czy wiem to, że król będzie na obiedzie, i czy będę. Ja dałam rezolucję, że kiedym jadała z królem Augustem trzecim, za cóż nie mam jeść ze Stanisławem. Pojechałam z tąż J. W. Panią Kasztelanową Wileńską do Hetmaństwa; tam, gdy dano znać, że król jedzie, damy radę czyniły, ktoby mnie miał prezentować i czyli ja tego chcę. Dałam rezolucję, że nie mam intencji być prezentowaną. Przyjechałam nie do zwyczaju warszawskiego, ale ze zwyczajem swoim. Wiem, że król Imć jest Polak i ja jestem Polka; zna imię moje i mnie samą; bywał w moim domu; nie odmieniłam stanu; te są przyczyny, że prezentowania nie miałam przyczyny żądać. Ukłoniliśmy się wszystkie zwyczajnie wraz zdaleka. Król Imć winszował J. W. Pani Kasztelanowej Wileńskiej i zaczął mówić z J. O. Księciem Kanclerzem i potem poszliśmy do obiadu. Siedzieliśmy, jak na stypie, cichusieńko. Po obiedzie jam się bawiła z J. O. Księżną Wojewodziną Ruską, a Król z J. O. Księciem Wojewodą Ruskim...»

W r. 1768, gdy umarł brat jej, Eustachy, i prawie jednocześnie z nim jego żona, Kossakowska stała się drugą matką dla ich dzieci, interesami ich materjalnemi zajmowała się

wzorowo, ale kierunek i rady moralne i polityczne dawała zwykle szkodliwe.

Wszystko, co tylko dotyczyło nazwiska Potockich, żywo ją zajmowało, i każdą sprawę Potockich uważała za swoją. Tak przyjęła gorący udział w sprawie Fr. Sal. Potockiego o zabójstwo Gertrudy Komorowskiej; należało tu ratować honor rodziny bez względu na słuszność. Płaciła długi licznych Potockich, i dlatego zwano ją «praczką Potockich».

W końcu 1771 r. Kossakowska kupiła od Józefa Potockiego Stanisławów za 1,148.000 złp. Tak o tem pisała do siostry: «Kupienie Stanisławowa, a bardziej przyjęcie długów J. W. Krajczego... nie z innej przyczyny, tylko że wśród moich dóbr ten klucz będący musiał mi dodać rezolucji. Żal i pamięć antecesorów naszych i te niemałą stały mi się okazją, abym nie wpuściła tych, którzy się naśmiewają i cieszą ze straty substancji domu naszego. Chcę być sama szyldwachem przy tych prochach tam leżących; chcę patrzyć na czynności poważne i dla wspaniałości kraju fundowane, chcę i leżeć z niemi, z których miałam ozdobę życia; a czas też przychodzi zamknąć się przed światem i myśleć bez wesela o przenosinach».

Jak dalece sprawy osobiste górowały u Kossakowskiej nad miłością do kraju, lub też jak ciasno, z egoistycznego tylko punktu widzenia tę miłość pojmowała, widać z jej zachowania się w czasie pierwszego rozbioru. Pod wpływem konfederacji barskiej była wtedy źle usposobiona dla Rosji, a dobrze dla Austrji, która generalności dawała przytułek. Pisze więc do siostry: «Ja Bogu dziękować będę, gdy mnie już weźmie cesarz, byle na zawsze!» Jak dawniej z Repninem, tak teraz czuliła się z baronem Rewiczky, posłem austrjackim. Mówiła mu: «Jeśli mogę liczyć na ochronę Najwyższego Dworu przed prześladowaniami mych wrogów (t. j. Rosjan), to utworzę tak potężne austrjackie stronnictwo, że sejm rozbrzmieje okrzykami: «Vivat imperator». Jeśli mi zostawicie majątek i religję, czegóż mam jeszcze żałować?»

W tym samym czasie (w 1772 r.) odbył się ślub jej siostrzeńca, Ignacego Potockiego, z Lubomirską, wnuczką starych Czartoryskich, ślub, mający wreszcie pogodzić tak długo walczące z sobą dwie rodziny. Kossakowska i tu musiała wprowadzić nutę niezgody: nie chciała po dawnemu zaprezentować się królowi, a przez to ślub odbył się bez obecności królewskiej.

Kossakowska była czas długi zupełnie zadowoloną z przyłączenia Galicji do Austrji. Stała się gorącą zwolenniczką Marji Teresy i Józefa II. Ci mieli jednak z nią ambaras, bo była babą gadatliwą, a po francusku mówiła haniebnie. Istnieją też różne anegdotki o jej odezwaniach się przed Marją Teresą i Józefem II, ale mało wiarogodne [1]). Wogóle Polacy, którzy lubią facecje i facecjonistów, często znają wiele swych postaci historycznych tylko z facecyj, po większej części zmyślonych. Tak było z Radziwiłłem Panie Kochanku, tak było też ze «znaną z dowcipu» i «facecjonistką» Kossakowską.

W r. 1774 Kossakowska pisze ze Stanisławowa do siostry: «Książę Ksawery [2]) zaprosił mnie na wesele; dałam sprawiedliwą ekskuzę, że do kochanej Polski nigdy nie pojadę. Siedzę w Stanisławowie i tylko jeżdżę po moich dobrach, a przecież gabinet warszawski w francuskich gazetach każe drukować o mnie bajki, a dopieroż, gdybym się gdzie miała oddalić, konceptówby więcej przybyło niegodziwym ludziom, którzy przez swoją zajadłość chcieliby sposób wynaleźć zmartwienia i przykrości dla ludzi niewinnych...»

Przytoczymy tu jeden list z r. 1777, pisany do siostrzeńca, Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego, charakterystyczny tak ze względu na jędrność i dosadność stylu, jak na słuszność wielu zapatrywań, i zakończony wiadomością o uzyskaniu dla siebie i dwunastu Potockich tytułu hrabiowskiego: «Księdzu Kajetanowi [3]) perswadować nie będę, aby jechał do Warszawy, a to z tej przyczyny, że zawsze sobie życzę w moim domu, aby we płci męskiej albo być dobrym chłopem, albo być dobrym popem. Ubrać się za biskupa w maski światowej kolor, a wewnątrz nie być biskupem, nie jest to rada nas starych dla młodych. Gołąbki pieczone w Dubienku lepsze, niż żaby w Warszawie dla księdza. Ksiądz zwykł być póty księ-

---

[1]) Patrz «Pamiętnik Anegdotyczny Anonima» (Cieszkowskiego) i Kraszewskiego «Starościna Bełzka».

[2]) Ksawery Lubomirski ożenił się z Antoniną Potocką, siostrą Szczęsnego.

[3]) Także siostrzeniec Kossakowskiej, brat Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego.

dzem, póki mało ma. Pacierze ma czas odmawiać, w kościele codzień mszę mieć, z książką nie z damą się bawić, nie mieć myśli więcej chcieć, tylko to, co mu Pan Bóg dał. Na dzieci nie trzeba zbierać, bo ich mieć nie powinien. Za mego wieku żadna familja nie wsparła się substancją księżą, i owszem kara się ściągała zawsze Pana Boga, że i w familji ludzie nie udawali się. Już tedy moje zdanie nie godzi się z teraźniejszem, bo u mnie data pięćdziesiąt i sześć lat, a W. M. Pana zaś daleko młodsza. Bądźże zdrów, kochany Starosto; przebieraj się do Wiednia, bo to potrzebniejsza, niż w Warszawie siedzieć. J. W. Gubernator powrócił z orderem św. Stefana; na kontostwo tak dla mnie, jako i dla J. Panów dwunastu mam przysłane obwieszczenie z pieczęcią z kancelarji Wiedeńskiej J. C. K. Mości...»

W rok później znów znajdujemy w liście do Piotra Potockiego wzmiankę o tem hrabstwie: «Uważ J. W. Pan, że dyplomatu na grafostwo dotąd doczekać się nie mogę... dotąd jestem grafową przez dekret, ale nie przez dyploma, które nie wiem dlaczego kancelarja wstrzymuje, ile że J. W. Panów dwunastu ma być w niem wyrażonych, jako i w dekrecie, który oryginalny mam sobie tu przesłany».

W r. 1788 siostrzeniec Kossakowskiej, Piotr Potocki, chciał koniecznie zostać marszałkiem sejmowym. Skoro został nim kandydat króla, Stanisław Małachowski, Kossakowska oczywiście uznała to za obrazę osobistą. Ale powoli w sejmie tym przeważną rolę zaczął odegrywać bardziej jeszcze ukochany inny siostrzeniec, Ignacy Potocki. Stopniowo więc Kossakowska również nabiera gorliwości patrjotycznej, zjeżdża nawet do Warszawy, a później czas dłuższy przebywa niedaleko od niej, w rodzinnym Radzyniu. Gdy po uchwaleniu konstytucji 3 maja, Szczęsny Potocki zaczął przeciwko niej wichrzyć i prowadzić konszachty z Potemkinem, Kossakowska, mając do wyboru między nim a ukochanym siostrzeńcem, stanęła oczywiście przy ostatnim, a do pierwszego zaczęła pisać morały. Oto co pisała do Szczęsnego Potockiego w lipcu 1791 r.: «Dochodzą mię wieści, że się J. W. W. Mość Pan z kraju wybierasz, i wyczytuję to znowu w liście JWWMc. Pana do króla pisanym i wydrukowanym; pojąć nie mogę, jak przy tej determinacji porzucenia ojczyzny los jej tak bardzo JWWMc. Pana obchodzi? Jak JWWMc. Pan spodziewać się możesz ufności od tych, do których mówisz: ja wyniosę się z kraju dla mego spokoju, lecz wy, którzy pozostajecie, kłóćcie się, swarzcie, gubcie się dla waszego spokoju... Przebóg! Mości Panie generale! czas się opamiętać... Ponieważ w pismach JWWMc. Pana często znajduję wzmiankę o przodkach naszych, przypominam JWWMc. Panu, iż ja bliższą byłam od JWWMc. Pana życia i postępowania ich, a latami memi bliższą jestem odwiedzić ich w chwale wiecznej, w której spoczywają. Bogdajbym tedy nie była w przypadku donieść im, że ojczyzna zginie, i przez kogo zginie».

W maju 1792 r. Kossakowska, po 37 latach ignorowania króla, wreszcie postanowiła przedstawić się Stanisławowi Augustowi. Stało się to w mieszkaniu siostry królewskiej, Pani Krakowskiej. Ale zgoda trwała niedługo. Stanisław August uczynił akces do konfederacji targowickiej, p. Kossakowska wyjechała jednocześnie z Ignacym Potockim z Warszawy, a później, rozstawszy się z nim, pisała do niego z oburzeniem o Stanisławie Auguście: «Co przez cztery lata chwalił, na końcu gani. Któżby chciał z takim radzić, lub być pod jego panowaniem, któren nie wolnością kraju chce się zaszczycić, ale niewolą». Ale dalej tak pisze: «Tak tu mówią wszyscy, aby się Bóg zmiłował i podział kraju stanął» (!). Tu już przemówiła dawna Katarzyna Kossakowska. To też w roku 1795 ze Lwowa tak pisze do siostry: «Bogu zato trzeba dziękować, że przyszedł czas, że już wiedzieć będziemy, kto jest panem którego kraju, a tak siedzieliśmy, jak żydzi na Zarwanicy po utraconej Jerozolimie...»

Często podawano szczegół sympatyczny, jakoby Kossakowska miała była zamiar darować jakieś dobra Kościuszce. Tak daleko hojność jej nie sięgała. Oto co sama pisała w tej kwestji do Ignacego Potockiego po akcesie króla do Targowicy i podaniu się Kościuszki do dymisji: «W Warszawie rozgłosili, że ja Kościuszce zapisałam 20.000; to nieprawda; ale wieś mu puszczę dobrą, co czyni kilka tysięcy». Chodziło więc tylko o dzierżawę, lub dożywocie, ale i do tego nie doszło.

Miała wtedy już lat 74. Ogłuchła. Nie było zresztą już nad czem intrygować. Stała się szanowaną matroną. Z dawnego szkodnictwa politycznego nie zdawano sobie sprawy,

zresztą wyszło to z pamięci. Umarła w Krystynopolu w roku 1801, otoczona powszechnym szacunkiem i sympatją.

I gdyby nie jej działalność publiczna, byłaby rzeczywiście mogła zostawić piękne o sobie wspomnienie; nie nosiłaby piętna, które pomimo wszystko każe pamięć Katarzyny Kossakowskiej łączyć z grabarzami ojczyzny.

VIII. SEWERYN RZEWUSKI

Seweryn Rzewuski urodził się w r. 1743. Był najmłodszym synem Wacława, hetmana, i Anny z Lubomirskich. Z ojca należał do rodziny choć niezbyt starożytnej, ale wpływowej, której tradycją było zachowywanie anarchicznych wolności polskich. Tak dziad jego, Stanisław Mateusz Rzewuski, hetman w. kor. umierając, nakazał swemu potomstwu pilnować następujących kardynalnych podstaw Rzpltej: wiary świętej, wolności elekcji, całości władzy hetmańskiej i liberum veto. Przez matkę mógł się uważać za spadkobiercę idei rokoszowych Jerzego Lubomirskiego; z braci matczynych starszy, Antoni, był zdeklarowanym przeciwnikiem «familji» i jej reform, a młodszy, Stanisław, marszałek w. kor., choć żonaty był z Elżbietą Czartoryską, ale niechętny był Stanisławowi Augustowi, Elżbieta zaś Lubomirska z przyjaciółki królewskiej przemieniła się wkońcu na zawziętą jego przeciwniczkę.

Młodym chłopcem Seweryn Rzewuski odbył podróż po Włoszech i Francji. Wróciwszy do kraju, mając lat 17, dostał rangę jenerał-majora wojsk koronnych, ale służby wojskowej nie pełnił. Po śmierci Augusta III ojciec był jednym z przywódców opozycji i przeciwnikiem dokonanych przez Czartoryskich reform. Pomimo to, w czasie konfederacji radomskiej, zachowanie się Rzewuskich, ojca i syna, odznaczało się godnością, dodatnio odbijając od postępowania Radziwiłła, Fr. Sal. Potockiego, Katarzyny Kossakowskiej, a nawet Sołtyka. Seweryn Rzewuski został wówczas wybrany posłem na sejm od województwa podolskiego. Gdy Repnin przysłał do Podhorzec, do Rzewuskich, oficera z pogróżkami za ich zachowanie się na sejmiku, Seweryn Rzewuski zapowiedział,

że na pogróżki zwracać uwagi nie będzie; i rzeczywiście, gdy sejm został otwarty, śmiało wystąpił przeciwko Repninowi, tak osobiście, jak też przez swego dawnego dworzanina, teraz również posła z Podola, Golejewskiego, któremu układał mowy. Wystąpienia te odznaczały się jednak, obok śmiałości, kierunkiem wybitnie reakcyjnym, przeciwnym wszelkim reformom.

Gdy Repnin uciekł się do porwania senatorów, Seweryn Rzewuski został uwięziony razem z ojcem i dzielił z nim, z biskupem Sołtykiem i Załuskim pięcioletnią niewolę w Smoleńsku i Kałudze.

Z niewoli wrócił w r. 1773. Zaraz w następnym roku ojciec jego ustąpił otrzymaną buławę wielką Ksaweremu Branickiemu, a buławę polną po Branickim dostał Seweryn Rzewuski.

Odtąd reakcyjny kierunek Seweryna Rzewuskiego w życiu publicznem otrzymuje cel wyraźny; jest nim — podniesienie władzy hetmańskiej. Chodzić mu będzie nie o obronę od wrogów zewnętrznych, ale o obronę «wolności narodowych» od uzurpacji władzy królewskiej, a to zgodnie z tradycją dawnej anarchji, podług której zadaniem buławy jest nietyle obrona kraju, ile przedewszystkiem pośredniczenie *inter majestatem et libertatem.*

Aby lepiej zrozumieć dalszą działalność publiczną nowokreowanego hetmana, przyjrzmy się bliżej jego charakterowi. Człowiek to suchy, zamknięty w sobie, nieużyty, skąpy, wymagający, ambitny, zręczny sofista i dialektyk, w swych teorjach dochodzący do manjactwa politycznego. Przejęty tradycją oligarchiczno-staroszlachecką, ślepy wyznawca testamentu politycznego swego dziada, hetmana Stanisława Mateusza, uważał, jak on, za konieczne dla Polski wolną elekcję, liberum veto i zupełną udzielność władzy hetmańskiej. W obronie tych podstaw przesadnej wolności Stanisław Mateusz Rzewuski polecał swemu synowi krew swą poświęcić, ale nie przewidywał, by już jego wnuk w obronie tej przesadnej wolności chciał poświęcić nawet — niepodległość ojczyzny.

A jednak Seweryn Rzewuski szedł właśnie tak daleko. Bez dawnych wolności Polska nie przedstawiała dlań uroku i wartości. Patrjotyzm jego nie obejmował Polski, jako kraju i narodu, ograniczał się tylko do dawnych zaskorupiałych

form jej anarchicznego ustroju. Czy za ten ustrój anarchiczny przelałby krew ofiarną, trudno wiedzieć. W każdym razie zapewne był gotów na pewne poświęcenia. Natomiast, gdy dla utrzymania niepodległości Polski należało się wyrzec tego ustroju, do takiej ofiary był niezdolny.

Zresztą takiej ofiary nie rozumiał. Ciasny horyzont jego myśli nie rozszerzył się w wędrówkach zagranicznych; klęski krajowe i smutne doświadczenia narodowe i własne nie skierowały jego umysłu na drogę analizy i krytycyzmu; argumenty przeciwników politycznych mijały bez wrażenia; owszem, wywoływały większe jeszcze zacietrzewienie, dawały powód do coraz obfitszej szermierki sofistycznej, a głównej przyczyny tego dziwnego krótkowidztwa, wprost ślepoty, lub obłędu politycznego szukać należy w owym grzechu pierworodnym wielu naszych ludzi publicznych — w pysze, która bielmem wzrok zaciemnia.

W życiu prywatnem był Rzewuski człowiekiem twardym, często sknerą, pedantem bez serca. Posiadając znaczny majątek własny i kilka starostw, zwykle przemieszkiwał, widocznie dla bliskości od Warszawy, w Siedliskach, wsi, należącej do starostwa stuleńskiego w ziemi chełmskiej. Prowadził tam życie skromne i pracowite, zajęty bądź drobiazgami gospodarczemi, bądź ulubioną pracą w laboratorjum.

W gospodarstwie był wymagający dla oficjalistów i robotników; z propinacji starał się wyciągać zyski jak największe, bez żadnej uwagi na rozpajanie ludu; nie bawił się w żadne filantropje, ale obliczał najskrupulatniej, ile z korca zboża wypaść powinno bochenków chleba i bułek, ile z wołu funtów mięsa; wydawał edykty, oznaczające liczby grząd pod selery, pory, kapustę włoską, kalafjory, brukiew, ogórki i t. p. Był tak drobiazgowy, że sam prowadził rejestra swej garderoby, porcelany i sreber; nie zapomniał zanotować talerza, który zginął mu w Warszawie, i zawieruszonych szczypców.

W laboratorjum, z którem nie rozstawał się nawet w podróżach, topił kruszce, mieszał płyny, robił różne eksperymenta. Prowadził pilnie dociekania alchemiczne. Nosił się z najróżnorodniejszemi pomysłami architektonicznemi, mechanicznemi, nawet lekarskiemi. Próbował wyrabiać wosk z oliwy. Wpadł na pomysł bielenia wosku zapomocą siarki. Fabrykował dachówkę papierową. Budował machiny: do

ściągania wody z powietrza, do prania bielizny i do wyrywania krzaków. Lepił ule z gipsu. Wpadł na nowy pomysł pędzenia wódki. Wynalazł środek do tępienia wilków. Pędził miód z jabłek. Preparował «proszek na długie życie, którym co wieczór i rano kadzić trzeba po łyżce od kawy i w siebie trochę wciągnąć dymu» [1]).

Jako hetman polny najakuratniej pobierał pensję 80.000 złp rocznie, choć od obowiązków, związanych z tym urzędem, systematycznie się uchylał.

I oto taki człowiek został w r. 1774 ministrem Rzpltej. Sejm rozbiorowy, choć hojnie wynagrodził Rzewuskich oddaniem im na dziedzictwo starostwa kowelskiego na Wołyniu, głęboko uraził Seweryna Rzewuskiego — ale nietyle przez to, co było w nim smutnego i wstrętnego (podział kraju i roboty Ponińskiego i spólników), ile przez to, co zdziałał dobrego t. j. przez utworzenie Rady Nieustającej i skasowanie rozdawnictwa starostw. Seweryn Rzewuski nie uznał nad sobą władzy departamentu wojskowego Rady Nieustającej, a gdy następny sejm 1776 r. władzę tę najwyraźniej zawarował, Rzewuski poczytał to za przemianę rządów republikańskich na rządy despotyczne, za zgubę krajową, z którą należy walczyć do upadłego, choćby przy pomocy państw zagranicznych.

Miał znaczne dobra w Galicji (klucze podhorecki i oleski). Okoliczność ta zbliżyła go do Austrji, wbrew innym targowiczanom, których dobra leżały na Ukrainie, lub na Litwie, t. j. w najbliższem sąsiedztwie rosyjskiem, i którzy już z tego powodu oglądali się przedewszystkiem na Rosję. Ku Austrji zbliżyli się też wówczas z tego samego powodu Adam Czartoryski i Stanisław Lubomirski, obaj szukający w polityce austrjackiej poparcia swej opozycji przeciwko królowi. W r. 1778 Rzewuski jeździł do Wiednia w misji politycznej skłonienia Austrji do przywrócenia dawnych porządków w Rzptej, ale nic nie wskórał.

Zato dotkliwie dał się uczuć królowi w r. 1782 w sprawie Sołtyka, a w r. 1785 w sprawie Dugrumowej. W sprawie Sołtyka chciał względem obłąkanego stosować zasadę *nemi-*

[1]) Wł. Smoleński: «Konfederacja Targowicka». Str. 17.

nem captivabimus i napisał o tem zuchwały list do króla; z listu tego daliśmy wyjątek, mówiąc o Sołtyku.

W r. 1782 Rzewuski ożenił się z siostrą cioteczną, Konstancją Lubomirską, córką marszałka Stanisława Lubomirskiego i Elżbiety z Czartoryskich, wówczas już zawziętej przeciwniczki króla.

Trudno uwierzyć, jak mógł hetman, a więc minister, przez lat kilkanaście nie być w Warszawie, a jednak tak było z Rzewuskim. Choć zwykle przebywał niedaleko od Warszawy, bo, jak wiemy, mieszkał w Siedliskach obok Lublina, do Warszawy nie zaglądał, przynajmniej oficjalnie, przez całych lat dwanaście, od 1776 do 1788 r.!

Gdy w końcu 1787 r. wybuchła wojna rosyjsko-turecka, a pod jej wrażeniem przygotowywano się w Polsce do sejmu czteroletniego, Rzewuski uznał, że wobec odwrócenia uwagi Rosji od Polski, należy tentować o skasowanie nienawistnej Rady Nieustającej i o powrót do dawnego ustroju, a głównie do niezależnej władzy hetmańskiej. W tym celu znów zwrócił się do rządu wiedeńskiego i przesłał Józefowi II memorjał; przedstawiał w nim, że dwór wiedeński powinienby skorzystać z pory odpowiedniej, dopomóc do usunięcia istniejącej konstytucji Rzpltej, znienawidzonej od narodu, bo jego wolność gwałciła, zabezpieczyć elekcję, przywrócić dawny rząd, jak był za Augusta III, z całością władzy hetmańskiej. Za to przyrzekał cesarzowi wpływ nieograniczony w Polsce. Na memorjał ten Rzewuski otrzymał od ks. Kaunitza zasłużoną odpowiedź. «Jedyną reformę» — pisał kanclerz austrjacki — «którą ten projekt podaje, a jak z jego czytania wnieść można, jedynym celem, do którego zmierza, jest przywrócić, a nawet powiększyć jeszcze, niepodległą i nieograniczoną władzę, którą posiadali hetmani w najburzliwszych czasach Rzpltej. Te czasy na nowo do niej wprowadzać, ich powrót w przyszłości ułatwić, byłby to zaprawdę najsmutniejszy dla Rzeczypospolitej podarek».

Gdy przy otwarciu sejmu czteroletniego zawiązała się konfederacja w tym celu, by sejm mógł stanowić większością głosów, Rzewuski był jedynym z ministrów, który aktu związkowego nie podpisał. Udziału w pracach sejmowych nie przyjął, ale do Warszawy przyjechał i działał poza sejmem. Zajęty był głównie popieraniem projektu zniesienia departa-

mentu wojskowego; gdy jednak 3 listopada zapadła uchwała o ustanowieniu zamiast departamentu komisji wojskowej, ale władza hetmańska powiększoną nie została, uznał, że poparcia dla swej myśli dalej szukać musi zagranicą. Postanowił zwrócić się do dworu pruskiego, który zdobywał sobie w Polsce coraz więcej znaczenia, a Luchesini wszystkich czarował. Już 16 listopada wyjechał do Wrocławia; stamtąd, dla przygotowania gruntu, wysłał naprzód do Berlina żonę, kobietę zręczną i energiczną. Przedstawiła ona ministrowi Herzbergowi memorjał męża, z wyrażeniem głównych jego poglądów co do powrotu do stosunków z czasów Augusta III i z krytyką uchwał sejmowych. W memorjale tym autor przestrzegał, że Rosja, choć jest w tej chwili w Polsce znienawidzona, może znów Polaków pozyskać, jeżeli przywróci w niej dawne porządki, bo, jak twierdził, dewizą Polaków jest zawsze «nic ponad wolność»; rozumiał to Piotr Wielki, kiedy w r. 1717 przyczynił się do ograniczenia władzy króla polskiego i podniesienia władzy hetmańskiej; dziś tę samą przysługę powinny okazać Polakom Prusy, a wtedy pozyszczą ich w zupełności. «Rzecz prawdziwie nie do uwierzenia — powiada z tego powodu Kalinka[1]) — jak człowiek, który przecież był Polakiem i kochał ojczyznę, mógł przyjść do takich pojęć i w dobrej wierze dawać obcemu dworowi takie rady! Fatalny r. 1717, od którego zaczęła się zależność Rzpltej od Rosji, jest u niego początkiem wolności i szczęścia Polaków; zaślepiony nienawiścią do nowego króla, czyni wszystko, co może, aby Polskę podać w podległość sąsiadom. Godność narodu, jego potęga, jego stanowisko w rzędzie państw europejskich, to wszystko u niego nic nie znaczy, skoro buława straciła swoje przywileje. Rzewuski jest przykładem, jaką klęską dla kraju może być człowiek przedsiębiorczy, a jednostronny, zakochany w swej doktrynie!...»

Memorjał Rzewuskiego oczywiście bardzo się w Berlinie podobał; nie dlatego, by miano zaraz zeń skorzystać, ale był dowodem, że na wypadek czego będzie z kim znów Polskę zawichrzyć. Z tego powodu Rzewuska wróciła do męża,

[1]) Kalinka: «Sejm Czteroletni». T. II, str. 518.

wprawdzie bez odpowiedzi urzędowej, ale z najlepszą myślą, że zapewne wkrótce mąż jej zostanie wezwany do Berlina.

Należało więc czekać. Rzewuscy udali się do Drezna. Tam w oczekiwaniu wypadków Rzewuski wziął się do publicystyki. Najprzód napisał broszurę, w której bardzo zręcznie i plastycznie przestrzegał szlachtę przed reformą ustroju Rzpltej. «Kiedy u innych pisarzy — mówi Kalinka[1]) — nuży rozwlekłość, razi styl zaniedbany i niepoprawny język, a u Staszyca nadto niesmaczny patos i przesada, Rzewuski wszędzie jest jasny, zwięzły, dosadny i trzeźwy. Ale trzeźwy jedynie w sposobie wyrażania się, bo to, co mówi, najczęściej jest paradoksem; tylko że jego paradoksy doskonale trafiają w jakiś przesąd utarty, albo głaszczą szlachecką pychę, albo schlebiają zadawnionym nałogom i nadużyciom. Tak, kiedy w dziedzicznym królu polskim każe lękać się Tyberjusza, kiedy liberum veto na sejmach polskich usprawiedliwia prawem veto króla angielskiego, kiedy twierdzi, że tron polski od tysiąca lat zawsze był obieralny, lub kiedy grozi, jako najcięższą dla szlachcica niewolą, że chłop poskarży się na niego za swe krzywdy przed sądem. Wszystkie te argumenta przejmowały, zapalały, upajały większość publiczności szlacheckiej. Popierała je powaga możnego pana, urok buławy hetmańskiej, aureola nieszczęścia i męczennika wiary i wolności, i nieskalana cnota trybuna, który od Moskwy zawsze stronił, a wobec dworu żadnem pochlebstwem się nie splamił, owszem, nieubłaganym był jego przeciwnikiem. Jak nie wierzyć, gdy taki mąż z najczystszej miłości Ojczyzny przemawia, a tyle ma tytułów do wiary!»

Broszura ta, rozpowszechniona w całej Polsce przez Ksawerego Branickiego, wywołała zaniepokojenie wśród stronników reform i wywołała liczne odpowiedzi. Tymczasem Rzewuski, zwątpiwszy o pomocy pruskiej, przeniósł się do Wiednia i podjął starania u dworu austrjackiego o powstrzymanie reform sejmu czteroletniego. Uczciwy Kaunitz znów odrzucił te starania. Wtedy Rzewuski zaczął przemyśliwać o pozyskaniu dla swych projektów poparcia Rosji, a spotkawszy się z Szczęsnym Potockim, który również wyjechał był za-

[1]) Kalinka: «Sejm Czteroletni». T. II, str. 524.

granicę, niezadowolony z czynności sejmowych, znalazł w nim dla swoich robót pożądanego sprzymierzeńca.

Szczęsny Potocki o wiele przewyższał Seweryna Rzewuskiego bogactwem i wpływami; zwłaszcza teraz cenne były stosunki Potockiego z Rosją. Zato zdolnościami i energją górował Rzewuski. «Ograniczonego Potockiego — powiada Smoleński [1]) — Rzewuski czarował ponętami swego ideału politycznego, przekonywał dobitnością i dostępnością niezawiłej sofistyki. Nie przerażał go w swych pismach i rozmowach poufnych tem, coby mu nie dogadzało — niepodległością władzy hetmańskiej; cały system polityczny ujął w formułę elekcyjności tronu. Z właściwą sobie wytrwałością apostołował potrzebę czynnej obrony swobód narodowych, z zimnym uporem teroryzował sumienie Potockiego, aż je zniewolił całkowicie. Zniewolił Potockiego tem łatwiej, że ustępował mu przodownictwa w zamierzonej akcji około ratowania Rzeczypospolitej; że sam usuwał się na stanowisko podrzędne — doradcy i bezinteresownego współdziałacza w pracy. Metodą Rzewuskiego było krycie się plecami innych, operowanie z za węgła. Potocki przyswoił sobie nietylko tezy polityczne mistrza, lecz i całą jego argumentację. Pisał stylem hetmana, posiłkował się jego frazeologją».

Stanisław August, chcąc wyrwać Potockiego z pod wpływów «nalewającego mu głowę» Rzewuskiego, posłał do Wiednia «na odsiecz» Stanisława Potockiego, bezskutecznie.

Gdy deputacja do poprawy formy rządu wypowiedziała się latem 1790 r. za dziedzictwem tronu, Rzewuski i Szczęsny Potocki wspólnie ogłosili manifest protestujący. Gdy później Potocki z Wiednia wyjechał, Rzewuski pozostał i dalej konspirował przeciwko czynnościom sejmowym.

Po uchwaleniu konstytucji 3 maja, Rzewuski przekonał ostatecznie Szczęsnego Potockiego, że należy zwrócić się o pomoc do Rosji. Wspólnie też udali się do Jass, wspólnie po śmierci Potemkina układali się z Bezborodką, jednocześnie otrzymywali od rządu polskiego rozkazy powrotu, jednocześnie przez sejm pozbawieni zostali urzędów.

Gdy Katarzyna II po raz pierwszy posłyszała od Potemkina o Sewerynie Rzewuskim, jako jednym z tych, któ-

[1]) Wł. Smoleński: «Konfederacja Targowicka». Str. 19.

rzyby mogli działać w interesach Rosji, zapytała: «Czy to ten sam, który był w r. 1767 aresztowany i trzymany w Kałudze? Jeżeli ten sam, trudno na niego liczyć». Pomyliła się. Należał właśnie do tych polityków, którzy, zacząwszy od nienawiści do Rosji, nietylko godzili się z nią ze względów na korzyści materjalne, ale, nie znając Rosji, stawali się często narzędziami jej polityki.

Gdy na początku 1792 r. znalazł się Rzewuski wraz z Potockim, Branickim i innymi w Petersburgu, został tam przyjęty z odznaczeniem, na które zasługiwał przez swe nawrócenie do Rosji. W rozmowach z Katarzyną najmilej był słuchany, gdy dawał jej oręż przeciwko własnemu krajowi, oskarżając rząd i społeczeństwo polskie o jakobinizm; oszczerstwa te przeplatał różnemi wiadomostkami, z których jedna jest charakterystyczna, bo maluje bezdenną próżność tego człowieka. Oto dowodził przed zdumioną cesarzową, że księżna Olga (żona Igora) była emigrantką z dóbr Rzewuskich (!) i na poparcie tego składał jakieś różne dowody. Niewiadomo tylko, czy przytem opowiedział Katarzynie i o pochodzeniu swego rodu od Rzewina, króla Jadźwingów, którego potomek, Lubicz, dla małego wzrostu nazwany został Rewusiem; genealogję tę Seweryn Rzewuski spisywał własnoręcznie [1]).

Rzewuski był zadowolony. Rosja miała się zaopiekować jego ojczyzną i przywrócić dawne wolności, a w ich rzędzie także niezależną od króla władzę hetmańską! Akt konfederacji malkontentów polskich podpisany i zaprzysiężony został w Petersburgu 27 kwietnia. Ale ponieważ akt taki należało podpisywać w kraju, wyrażono w nim, że jakoby sporządzono go w jednej z pogranicznych posiadłości Szczęsnego Potockiego — Targowicy, 14 maja, w dniu, kiedy wojska rosyjskie miały wkroczyć do Polski. Ta sama data figuruje też w ordynansie Rzewuskiego do wojska polskiego. «Seweryn na Rzewuskach, księstwie (sic) Oleskiem, księstwie (sic) Kowelskiem, Podhorcach, Jezierzanach etc. Rzewuski, hetman polny koronny doliński, stuleński etc. starosta, orderu Orła Białego kawaler», ordynasem tym nakazywał wojskom polskim ściągać pod Bracław i czekać rozkazów konfederacji.

[1]) Wł. Smoleński: «Konfederacja Targowicka». Str. 12.

Jak wiadomo, w odpowiedzi na ten rozkaz, otrzymał Rzewuski od księcia Józefa Poniatowskiego z obozu pod Lubarem list z zasłużoną odprawą. «Tacy jak J. W. Pan — pisał ks. Józef — są ohydą narodu i zdrajcami ojczyzny. Te są moje sentymenta i wszystkich moich podkomendnych, zacząwszy od prostego żołnierza».

Należąc do jeneralności targowickiej, Rzewuski w czynnościach jej stosunkowo mniejszy przyjmował udział od innych przywódców konfederackich, bo czekał wciąż na urzeczywistnienie swoich marzeń — na przywrócenie dawnego ustroju Rzpltej i niezależności buławy. Doczekał się — wkroczenia Prusaków do Wielkopolski na mocy ułożonej już z Rosją, ale jeszcze ukrywanej, konwencji podziałowej. Prusacy wkroczyli pod pozorem obrony od «szerzącego się w Polsce jakobinizmu». Argumentu tego dostarczyli mocarstwom rozbiorowym, jak wiadomo, sami targowiczanie, a przedewszystkiem właśnie Rzewuski.

Choć konwencja podziałowa narazie trzymaną była w tajemnicy, domyślali się jej już wszyscy. Nie chciał się jej tylko domyślać Seweryn Rzewuski. Na posiedzeniu jeneralności 31 stycznia 1793 r. dowodził w mowie napuszystej, że naród polski jest naturalnym obrońcą Rosji przed Prusami, skoro więc wystąpi przeciwko Prusom, tem samem zjedna sobie Rosję. «Wie cały świat — wołał — iż wielka owa Katarzyna, która nam, wzamian zaufania naszego do niej bez granic, podała swą przyjacielską rękę, była jedna, która, ustawnie o nowy rozbiór kraju nalegana, ustawnie go wrodzoną wielkością duszy swojej odrzucała... Ale ta wielka Katarzyna będzież li chciała dalej walczyć za naród ten, któryby sam za siebie walczyć nie chciał? Będzież li ona przekładała nad związki z potężnym sąsiadem, którego nieprzyjaznych skutków podczas ostatniej tureckiej wojny doznała, związki z tym narodem, któryby, nie chcąc się bić za siebie, zapewne i za nią bićby się nie chciał?... I ta wielka Katarzyna, choć wielką jest, gdy ujrzy, iż Polska ani do zachowania państw jej, ani do obrony przydatną być nie może, nie zechce zapewne walczyć za nią; bo walczyć za nią wtenczas byłoby trwonić krew poddanych swoich. Idzie stąd, iż Polakowi tak się postawić potrzeba, aby Rosja uznać mogła, iż Polak do obrony i zachowania Rosji użytecznym być może». Wzywał

więc do zbrojnego oporu przeciwko Prusom i otrzymał od konfederacji wraz z Szymonem Kossakowskim naczelne dowództwo nad wojskiem Rzpltej.

Słomiany ten ogień trwał jednak niedługo. Rzewuski wysłał do wojsk rozkaz wymaszerowania przeciwko Prusakom, a konfederacja wezwała naród do pogotowia na wypadek pospolitego ruszenia. Ale gdy Rosja zaprotestowała przeciwko jednemu i drugiemu, Prusacy bez przeszkody dokonali okupacji, a wkrótce potem konwencja podziałowa została publicznie ogłoszona.

Chcąc wpłynąć na Katarzynę, Potocki, jak wiemy, udał się do Petersburga osobiście, Rzewuski zaś napisał list, w którym żalił się, że i on, i Potocki znaleźli się w przykrem położeniu (!). Sekretarz Katarzyny, Chrapowickij, zanotował w swym dzienniku, że imperatorowa list ten przeczytała z drwinami. Tylko Sievers otrzymał polecenie oszczędzania zasłużonych przywódców Targowicy, a nawet nieprzeszkadzania Rzewuskiemu zanoszenia protestów, «gdyby zechciał dla umycia rąk od oczekiwanych następstw użyć ku temu sposobów, jakie dozwalają prawa i zwyczaje krajowe...»

Na tem też Rzewuski się ograniczył. Wygotował napuszystą protestację, którą 17 kwietnia umieścił w aktach konfederackich, i wyjechał z Grodna do Podhorzec.

Ciekawy jest list Rzewuskiego, pisany z Podhorzec 2 lipca 1793 r. do gen. Lubowidzkiego [1]). Rzewuski nietyle boleje w nim nad rozbiorem kraju, ile dba o to, by wiedziano, że wydawał «ordynanse» przeciwko rozbiorowi, że pisał do Katarzyny, że protestował, że, jednem słowem, jest bez zarzutu. A koroną listu jest frazes nadzwyczajny: «Wolność nam się wróciła (sic), całości kraju nie mamy!» Innemi słowy: choć doszło do rozbioru kraju, jednak działalność Targowicy nie pozostała bez pożytku, bo konstytucja 3 maja, zagrażająca wolności — została wreszcie skasowana!... Oto do jak potwornych wniosków mógł dojść pełen pychy i bez serca manjak polityczny.

Ale nie na tem koniec. Naród porwał się do broni pod wodzą Kościuszki i spłynął krwią ofiarną. Rzewuski nietylko pozostał chłodnym widzem powstania, nietylko nie uczynił

---

[1]) Wł. Smoleński: «Konfederacja Targowicka». Str. 442.

nic, by ojczyźnie dopomóc, ale, łudząc się jeszcze co do zachowania resztek państwa polskiego, już w końcu 1794 r. posłał do Petersburga swego adjutanta z projektem konstytucji, w której waruje udzielność władzy hetmańskiej!!...

Zamieszkał w Wiedniu i tam, zawsze zimny i spokojny, bez cienia wyrzutów sumienia, czy przyznania się do błędu, umarł w r. 1811. Walki legjonów, utworzenie Księstwa Warszawskiego, wojna 1809 r. — przeszły dlań bez wrażenia. Cóż dziwnego? Nie było mowy o jego władzy hetmańskiej!... Tacy ludzie otrzymywali najwyższe stanowiska w Polsce! Tacy ludzie długo kierowali opinją publiczną!

IX. KSAWERY BRANICKI

Franciszek Ksawery Branicki, głośny w epoce Stanisława Augusta, pochodził ze szlacheckiej rodziny herbu Korczak. Rodziny tej nie należy utożsamiać ze starodawną rodziną Branickich herbu Gryf, której ostatnim potomkiem był Jan Klemens Branicki, hetman w. kor. za Augusta III, właściciel Białegostoku. Braniccy Korczakowie doszli do pewnego, acz niezbyt jeszcze wielkiego, znaczenia dopiero na początku w. XVIII. Wprawdzie już w w. XVI Sebastjan Branicki, herbu Korczak, był biskupem kamienieckim, później chełmskim, wreszcie poznańskim, ale pokrewieństwo jego z rodziną Branickich, z której pochodził smutnej pamięci hetman Ksawery Branicki, nie daje się ustalić. Ścisła genealogja zaczyna się dopiero od dziada Ksawerego Branickiego, co dowodzi, że była to jeszcze w w. XVII rodzina bez znaczenia.

Dziad Ksawerego, Józef, porucznik husarski i stolnik buski, zrobił karjerę w czasie konfederacji tarnogrodzkiej, skierowanej przeciwko Augustowi II. Marszałkiem jej jeneralnym był Stanisław Ledóchowski, marszałkiem wojskowym Górzyński, a substytutem tego ostatniego Józef Branicki. Gdy Górzyńskiego przyłapano na konszachtach z zausznikiem Augusta II, Flemingiem, usunięto go z urzędu, a na marszałka wojskowego obrano substytuta Branickiego. Gdy wreszcie między królem a konfederatami stanęła ugoda, przywódcy konfederaccy dostali różne odznaczenia; wtedy to Józef Branicki został mianowany kasztelanem halickim, poczem widocznie został regalistą, bo zaczął otrzymywać królewszczyzny, a następnie wyswatał syna Piotra z Walerją Szembekówną; Szembekowie zaś stale należeli do stronników dworu, przez co doszli za Augusta II do wielkiego znaczenia. Koligacja więc z Szembekami zapewniła synowi dalszą krescy-

tywę. Córka wydana została za Jana Potockiego, kasztelana bracławskiego.

Piotr Branicki, kasztelanic halicki, starosta berwałdzki, poseł na sejm 1740 r., został w r. 1744, po swoim szwagrze, Janie Potockim, kasztelanem bracławskim. Był to człowiek, umiejący chodzić koło swoich interesów, jowialista i zasad niezbyt surowych. Wypisano mu później na nagrobku, że był «całe życie do rozpusty skłonny». Umarł w r. 1762. Żona jego (Szembekówna), wychowana po cudzoziemsku, również, zdaje się, niewiele dbała o zasady moralne; przynajmniej dzieciom swym ani tych zasad, ani uczuć wyższych nie wdrożyła. Dzieci tych było tylko dwoje: syn, Franciszek Ksawery, i córka, Elżbieta, małżonka pokolei dwóch Janów Sapiehów, matka Kazimierza Sapiehy, marszałka konfederacji litewskiej na sejmie Czteroletnim, kochanka Stanisława Augusta, i wkońcu jego zażarta przeciwniczka.

Franciszek Ksawery Branicki urodził się około r. 1730, był więc rówieśnikiem Stanisława Augusta. Wychowanie otrzymał cudzoziemskie i powierzchowne; od dziecka był szaloną pałką i zabijaką; pozbawiony wszelkich zasad moralnych, oprócz konwencjonalnego honoru, w życiu szukał tylko użycia i karjery. Protegowany przez Potockich, którzy lubili jowjalnego jego ojca, dostał się na dwór królewicza Karola. Ten, sam lekkoduch, upodobał sobie towarzystwo wesołego kasztelanica, zwłaszcza, gdy wkrótce po zaczęciu wojny siedmioletniej razem znaleźli się w obozie. Na początku 1758 r. królewicz Karol, mając na widoku objęcie księstwa kurlandzkiego, podążył do Petersburga, by sobie zjednać względy cesarzowej Elżbiety. W orszaku królewicza wyróżniali się Polacy: Franciszek Rzewuski i Ksawery Branicki. Rzewuski zwracał na siebie uwagę pięknością, a Branicki brawurą. Obaj ściśle zaprzyjaźnili się z przebywającym wtedy nad Newą Stanisławem Augustem Poniatowskim.

Właśnie romans przyszłego króla z Katarzyną dobiegł punktu kulminacyjnego. Stanisław August przyłapany został przez wielkiego księcia na gorącym uczynku. Ale wielki książę mało dbał o Katarzynę, a jego kochanka, Elżbieta Woroncowa, przyrzekła zapośredniczyć zgodę. Poniatowski otrzymał zaproszenie przybycia w nocy do wielkiego księcia. Ponieważ wyprawa była bądź co bądź ryzykowną, Stanisław

August poszukał sobie towarzysza. Był nim Branicki. Jak wiadomo, wszystko skończyło się ku ogólnemu zadowoleniu. Wielki książę z wybuchem śmiechu sam rzucił Katarzynę w objęcia kochanka, poczem bawiono się razem, w ścisłem kółeczku; składało się ono z pary wielkoksiążęcej, Elżbiety Woroncowej, Poniatowskiego, Branickiego i Naryszkina [1]).

To zetknięcie się Branickiego z przyszłym królem, Katarzyną i towarzystwem petersburskiem miało na dalszą karjerę Branickiego wpływ decydujący. Stanisław August prawdziwie po królewsku odwdzięczył się Branickiemu, tak za towarzyszenie mu w opałach petersburskich, jak później za usługi w czasie konfederacji barskiej. Katarzyna II stale zaszczycała Branickiego swą protekcją. Wreszcie stolica nadnewska na tyle wystudziła i bez tego niezbyt głęboki patrjotyzm Branickiego, że, jak igła magnesowa, wiecznie zwrócony ku północy, stał się obojętny na losy własnego kraju.

Narazie zbliżenie się Branickiego do młodego dworu w Petersburgu wywołało pewne niezadowolenie w otoczeniu królewicza, bo, jak wiadomo, para wielkoksiążęca okazała się niechętną dla królewicza Karola i dla nadania mu Kurlandji. Pozatem wyraźną niechęć okazywała Branickiemu Franciszka Krasińska, wywierająca wówczas wielki wpływ na królewicza, a mająca wkrótce potem (w r. 1760) zostać jego żoną. Te i inne względy skłoniły Branickiego do wyjazdu w r. 1759 na służbę wojskową do Francji. Bawił tam niedługo. Gdy wrócił do kraju, odumarł go w r. 1762 ojciec, po którym został rotmistrzem chorągwi pancernej, a w r. 1763 został starostą halickim.

Po śmierci Augusta III Branicki, ściśle zaprzyjaźniony z Stanisławem Augustem, w wyniesieniu jego na tron widział rękojmię świetnej dla siebie przyszłości. To też gorąco poślubił jego sprawę. Stanął, za zgodą Czartoryskich, na czele ich wojska, które wspólnie z Rosjanami wystąpiło przeciwko partji hetmańskiej. Wtedy to dorabiający się fortuny, a przyszły hetman, Ksawery Korczak Branicki, wypierał z kraju ostatniego ze starożytnego rodu Gryfów Branickich, ówczesnego hemana w. kor., Jana Klemensa Branickiego.

Stanisław August obiecał Ksaweremu Branickiemu urząd

[1]) Stanisław August: «Mémoires», str. 326—331.

jenerała artylerji kor., urząd, którego na sejmie konwokacyjnym pozbawiony został Fryderyk Brühl. Gdy jednak na sejmie koronacyjnym Brühl uzyskał indygenat polski, i Stanisławowi Augustowi wypadło pozostawić przy nim jeneralstwo artylerji, Branicki zwolnił króla z obietnicy, a wzamian został podstolim koronnym i dostał intratne starostwo przemyskie, oraz kilka pomniejszych królewszczyzn.

Branicki pozostawał w najbliższych stosunkach ze Stanisławem Augustem, ale nietylko on. Jedną z pierwszych kochanek Stanisława Augusta (jeszcze przed wstąpieniem jego na tron) była siostra Branickiego, Elżbieta Sapieżyna, i pomimo licznych następczyń pozostawała z królem długo w dawnej zażyłości, dopóki nie stała się zawziętą jego przeciwniczką.

Starzy Czartoryscy, a zwłaszcza ks. August, nie cierpieli faworytów Stanisława Augusta, Branickiego, Franciszka Rzewuskiego i Kazimierza Poniatowskiego; ci zaś odpłacali im wzajemnością.

Na sejmie 1767 r. Branicki, za staraniem króla, wszedł do delegacji. Stanisławowi Augustowi chodziło chociażby o częściowe ograniczenie liberum veto i zaprowadzenie ładu na sejmikach. Ale Branicki ani był odpowiedni do dopilnowania takich spraw, ani dbał o nie. Pomimo to, widocznie z wyraźnego polecenia króla, gdy w delegacji rozpatrywana była sprawa sejmików, postawił wniosek, by szlachta nieosiadła pozbawiona była na nich głosu. Oczywiście Repnin temu się sprzeciwił, i wniosek Branickiego upadł, zapewne bez żalu ze strony wnioskodawcy, bo gdy kwestja ta podniesiona została później na sejmie Czteroletnim, właśnie Branicki należał do najzawziętszych zwolenników głosowania na sejmikach «hołoty szlacheckiej». Przytem należy pamiętać, że Branicki był ślepem narzędziem w ręku Repnina i starał się wysługiwać się mu we wszystkiem.

Z tego czasu mamy notatkę o Branickim w pamiętnikach Jamesa Harrisa (późniejszego lorda Malmesbury), ówczesnego posła angielskiego przy dworze berlińskim, który bawił w Warszawie w czasie sejmu 1767 r. Oto odnośny ustęp: «Jest to zadziwiające, że król, który obdarzony jest rozumem i humanitarnemi dążnościami, dobrał sobie jako zausznika człowieka, tych zalet zupełnie pozbawionego. Mówię tu o Ksawerym Branickim, mężu bez żadnych zasług, odznaczającym się chyba jedynie męstwem nieustraszonem. Wadami jego są nałóg pijaństwa, kłótliwość, gadatliwość i przewrotność».

W r. 1768 Branicki otrzymał intratny urząd jenerała artylerji litewskiej, a po wybuchu konfederacji barskiej mianowany został regimentarzem wojska polskiego, walczącego wspólnie z Repninem przeciwko konfederatom. Na tem stanowisku odznaczył się furją przeciwko własnym rodakom; był bezwzględny i bez litości tak dla konfederatów, jak dla chłopów, podejrzanych o hajdamactwo; karał ich okrutnie. Obojętną mu była opinja kraju; chciał tylko dogodzić własnemu animuszowi, przypodobać się królowi i Repninowi, i w ten sposób utorować sobie drogę do dalszej karjery.

Mamy z tego czasu ciekawą korespondencję pomiędzy królem a Branickim [1]). W korespondencji tej stale mowa o «wyłabudaniu» pieniędzy od Repnina, przyczem Branicki występował jako zdecydowany stronnik zupełnego oddania się Rosji. i radził królowi zawrzeć z nią wieczyste przymierze, co da możność nie powiększać wojska i podatków. «Tą drogą — pisał — dojdziesz W. K. Mość do wielkiej chwały, więcej zrobisz, niż wszyscy monarchowie, i pokażesz się właśnie ojcem tej nieszczęśliwej ojczyzny» (!!).

Tak ćwicząc się w sztuce wojennej na karkach rodaków, a wkońcu posłując od króla do Francji, dosłużył się Branicki hetmaństwa. W przededniu sejmu rozbiorowego, w r. 1773, dostał buławę polną kor., niespełna w rok potem buławę wielką.

I znowu król, chcąc ratować w delegacji sejmu rozbiorowego swoją władzę, postarał się umieścić w niej Branickiego; a gdy na początku 1774 r. Prusy posunęły swój zabór poza granice, umówione z Rosją, król wyznaczył Branickiego na posła do Petersburga; miał się tam starać o pomoc przeciwko Prusom i o zachowanie prerogatyw królewskich, wobec zamierzonej Rady Nieustającej. Branicki podążył nad Newę, bawił i bawił się tam długo, wreszcie powrócił z pięknemi obietnicami dla Polski i króla, ale przedewszystkiem dla siebie samego. Z tych obietnic pierwsze zawiodły, ale ostatnie dopomogły do uzyskania tego, co brakło jeszcze nowoupieczonemu

[1]) Wydanie L. Gumplowicza. 1872.

hetmanowi — fortuny magnackiej. Król, otrzymując w darze od stanów sejmujących cztery starostwa, na wyraźne żądanie rządu rosyjskiego, największe z nich, białocerkiewskie, ofiarował Branickiemu.

Szczęście (jeżeli to nazwać można szczęściem) stale dopisywało karjerowiczowi. Gdy, podług uchwały stanów, rozdawane starostwa miały być dożywotnio wytrzymywane przez dotychczasowych posiadaczy, i ci często, jak na złość, cieszyli się długiem zdrowiem, posiadacz starostwa białocerkiewskiego, Jerzy Mniszech, umarł już wkrótce, bo w r. 1778, i Branicki wszedł w posiadanie miljonowej fortuny.

Oprócz Białocerkiewszczyzny na Ukrainie, Branicki stał się jeszcze przedtem właścicielem rozległej Lubomelszczyzny na Polesiu wołyńskiem. Tę nabył za bezcen od sukcesorów hetmana Jana Wyhowskiego. Za bezcen dlatego, że Lubomelszczyzna (tak samo jak starostwo barskie), choć darowana była w w. XVII hetmanowi Wyhowskiemu, później znów traktowana była jak królewszczyzna, i w chwili kupna jej przez Branickiego była na prawie królewszczyzny w posiadaniu Antoniny Rzewuskiej. Sejm delegacyjny 1768 r. nietylko ostatecznie uznał Lubomelszczyznę za dobra dziedziczne Branickiego, lecz jeszcze usunął z niej Rzewuską, której wzamian kazał ze skarbu Rzpltej płacić po 70.000 złp. rocznie dożywocia.

W ten sposób doszedł Branicki do szczytu powodzenia, do jednego z najwyższych urzędów państwowych i do ogromnego majątku. Nastąpiła więc chwila, kiedy dotychczasowy regalista mógł się już przeistoczyć w frondującego możnowładcę, a osobisty przyjaciel króla — w zaciętego jego wroga.

Dla marnego karjerowicza bez zasad, jakim był Branicki, ta zmiana radykalna frontu była rzeczą zupełnie naturalną. Co zdobyć było można od króla, to już zdobył; zdobył majątek, zdobył buławę; teraz należało z tych zdobyczy skorzystać dla dogodzenia swej ambicji. A że ambicja Branickiego pozbawiona była wszelkich celów wyższych i motywów szlachetniejszych, dążeniem jego stało się wyłącznie — uwolnienie swojej władzy hetmańskiej od krępujących ją ograniczeń, wprowadzonych w imię reformy za panowania Stanisława Augusta. Nie chodziło mu wprawdzie, jak Sewerynowi Rzewuskiemu, o dostosowanie władzy hetmańskiej do ideologji dawnej Rzpltej szlachecko-możnowładczej, o rolę medjatora *inter majestatem et libertatem;* w tę dziedzinę nie wkraczał, i w miarę potrzeby, jak widzieliśmy, mógł być regalistą, nawet krańcowym. Chodziło mu tylko o to, by, zresztą również zgodnie z tradycją dawnej anarchji polskiej, szczupłe wojsko Rzpltej stanowiło jego królestwo, było jego rzeczą, zabawką i dekoracją, by mógł nominować oficerów, sądzić, kaptować sobie przyjaciół, gnębić przeciwników, burmistrzować na zjazdach i sejmikach, burzyć i warcholić, a wobec otoczenia, nie wyłączając króla, móc stawać hardo, jako osoba od nikogo nie zależna i przed nikim nie odpowiedzialna.

Ponieważ Stanisław August nie chciał i nie mógł tym roszczeniom dawnego swego, a tak hojnie obdarzonego, przyjaciela i sługi zadość uczynić, należało więc króla do tego zmusić, a to tak przy pomocy opozycji krajowej, jak przy pomocy zagranicy. To też Branicki staje się opozycjonistą i dla tej opozycji szuka oparcia przedewszystkiem w przemożnej protekcji rosyjskiej.

Sejm rozbiorowy, choć pozostawił utworzoną w r. 1764 komisję wojskową, utworzył jeszcze oddzielny departament wojskowy w Radzie Nieustającej. Nad malutką armją Rzpltej, liczącą wówczas wprost śmieszną cyfrę 11.000 głów, rządy miało sprawować dwóch hetmanów koronnych, dwóch hetmanów litewskich, dwie komisje wojskowe, koronna i litewska, i departament wojskowy Rady Nieustającej! Branicki najzupełniej godził się ze znikomością armji, ale żądał, by większa część tej armji, t. zw. wojsko koronne, nie od kogo innego, tylko od niego, była zależna, stanowiła jego uposażenie, jak Korona Rzpltej stanowiła uposażenie jego przyjaciela, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Obaj mieli zawdzięczać te uposażenia Katarzynie II. Dlatego poddanie władzy hetmańskiej pod autorytet departamentu wojskowego wydawało się Branickiemu krzyczącą niesprawiedliwością, upoważniającą go do najdalej idącej samoobrony i do walki z królem, jako inicjatorem tego uzależnienia hetmana od władzy centralnej.

Między Branickim a królem, teraz zupełnie zależnym od Stackelberga, ale też przez niego popieranym, rozpoczęła się więc walka o władzę nad wojskim. Branicki dążył do emancypacji i od komisji wojskowej i od departamentu wojskowego, a król do faktycznego uzależnienia hetmanów od Rady

Nieustającej, którą Stanisław August stopniowo opanowywał, i właśnie przez nią chciał w Polsce zaprowadzić choć względny ład i porządek.

Król i Stackelberg zwyciężyli. Pomimo szalonych intryg Branickiego, pielgrzymek jego na Północ i połączenia się z wszystkiemi niechętnemi królowi żywiołami, sejm 1776 r. jeszcze bardziej ograniczył władzę hetmanów nad wojskiem i poddał ich zupełnie departamentowi wojskowemu Rady Nieustającej, z jednoczesnem zniesieniem komisyj wojskowych.

Cios ten głęboko dotknął Branickiego, a «niesprawiedliwość» oburzyła, tem bardziej, że w szeregach ówczesnej opozycji, złożonej z najpierwszych osób w kraju, nie było nikogo, ktoby mu wytłumaczył, że nie miał racji. Owszem, opozycja ówczesna, złożona z pogodzonych teraz, na tle nienawiści do króla, dwóch dawniej zwalczających się obozów, a więc z Adama Czartoryskiego, jego żony, jego siostry, Lubomirskiej, jego szwagra, Lubomirskiego, z Ignacego i Stanisława Potockich, Seweryna Rzewuskiego, hetmana Ogińskiego i in. — najściślej połączyła się teraz z owym Branickim, którego tak niedawno jeszcze tak starzy Czartoryscy, jak też główna przedstawicielka Potockich, Katarzyna z Potockich Kossakowska, uważali za złego ducha nowego panowania, za zakałę otoczenia królewskiego.

Ale ponad opozycję krajową Branicki wyżej stawiał protekcję rosyjską. Szukać jej trzeba było nie w Warszawie, bo właśnie Stackelberg był twórcą Rady Nieustającej, z jej nienawistnym departamentem wojskowym, i trzymał z królem; szukać jej trzeba było nad Newą, w najbliższem otoczeniu imperatorowej. Szukajcie a znajdziecie. To też w r. 1781 doszło do skutku małżeństwo Branickiego z siostrzenicą wszechwładnego Potemkina, Aleksandrą Engelhardt, którą wielu uważało (zdaje się niesłusznie) za córkę Katarzyny i Potemkina. Małżeństwo to zapewniło Branickiemu stałe poparcie ze strony Rosji, przynajmniej w sprawach osobistych; bo co do spraw publicznych, to z jednej strony Katarzyna zbyt dobrze znała się na ludziach, by traktować takiego Branickiego poważnie, a z drugiej ministerjalna polityka rosyjska w Polsce niezawsze utożsamiała się z projektami co do niej Potemkina.

Bądź jak bądź, Branicki mógł sobie teraz bezkarnie frondować wobec króla i Stackelberga, a taka fronda, choć w gruncie rzeczy zupełnie jałowa, nie mogła nie przyczynić się w społeczeństwie małokrytycznem i kochającem się w pozorach — do popularności hetmana, któremu teraz wybaczono dawne grzechy i przewinienia. Posiadał też Branicki liczne warunki do zdobywania sobie życzliwych. Piękny mężczyzna, z którego czarnych oczu tryskał dowcip i wesołość, posiadał w całym swoim sposobie bycia tyle cech swojskiej brawury, że jednał tem najbardziej uprzedzonych. Adam Czartoryski, syn jenerała ziem podolskich, który od dziecka widywał Branickiego w domu swych rodziców, tak o nim później pisał [1]): «Żywy specimen dawnej polakierji, Branicki naprzemiany popełniał wszystkie grzechy ojców i gładził je wszystkiemi pociągającemi narodowemi formami. W jego rzutkim dowcipie tyle było polskiej soli i akcentu, iż z nim obcując, trudno było (co sam na sobie doznałem) nie zapomnieć wkrótce o różnych czynionych mu zbyt ważnych zarzutach».

«Był to» — powiada Kraszewski [2]) — «charakter, a raczej temperament, czysto polski: butna krew, warchoł okrutny, śmiały aż do zapamiętania, szalona pałka, w miłości gwałtowny, w nienawiści nieubłagany, rozrzutny do marnotrawstwa, wspaniały bez miary, gnający za wszelkiem życiem i użyciem, ambicja nie władzy, ale bogactw i blasku. Nie zbywa mu na zdolnościach, ale wytrwałości w niczem. Cechuje go brawura, talent przypodobania się i pozyskiwania sobie ludzi, owładywania nimi. Stanisław August, po najboleśniejszym z nim rozbracie, daje mu się na nowo wziąć i przejednać, ilekroć zechce. Potemkin ulega mu i jest dlań słabym. Szlachta, z którą pije do zdechu, dałaby się zań posiekać. Wesoły, dowcipny, namiętny, niestały, chciwy znaczenia, organizacja żelazna, szczęście niezmierne; z tem wszystkiem jednej rzeczy tylko dobił się rzeczywiście — majątku».

Wreszcie Kalinka tak go określa [3]): «Odwaga osobista wielka, umysł bystry i rzutki, dowcip żywy i wesoły, wymowa łatwa i której na argumentach choćby kłamanych nie brakowało, zapewniały mu wziętość u ludzi, wśród których żył.

---

[1]) «Żywot Niemcewicza», str. 72.
[2]) J. Kraszewski: «Polska w czasie trzech rozbiorów». II, str. 43.
[3]) Kalinka: «Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta». I. 217.

Krzykacz, ale i filut zarazem, nigdy przytomności umysłu nie tracił, nigdy (bo nawet wtedy, gdy był pijany) nie opuszczała go wrodzona przebiegłość. Umiał imponować i w razie potrzeby gęstą miną nadrabiać, umiał też być niziutkim i pokornym; łasił się lub deptał naprzemiany, wedle okoliczności. Jego hulaszczość, jego rubaszna, choć udana, otwartość dawała mu pewien pozór szczerości, którym doskonale zwodzić potrafił i wzbudzał o sobie mniemanie, że w swem słowie i w swych uczuciach będzie wiernym i niewzruszonym. Każdy więc chciał go mieć po sobie, i każdy, naprzód król, potem opozycja, wkońcu Potemkin i carowa, uważali go za swego. Z nikim jednak nie był szczery; nigdy go nie wiązały ani zasady polityczne lub moralne, ani kraj, któremu służył, ani nawet osobiste uczucie wdzięczności. W Polsce będąc, gdy nie mógł dla siebie, pracował dla Moskwy. Przeniesiony do Petersburga, Moskali nienawidził; wszakże ostatnie lata swego życia, stroniąc od nich i polskiego szukając otoczenia, na wsi przepędził».

Ostatnia uwaga Kalinki co do uczuć Branickiego do Rosjan, niewątpliwie zgodna z prawdą, wysoce jest charakterystyczna. Tacy ludzie, jak Branicki, wprawdzie łaszą się do ręki, która ich karmi, ale rękę tę w głębi duszy nienawidzą, i tę zamkniętą w sobie nienawiść do obcych uważają za patrjotyzm, niezdolni do patrjotyzmu wolnego od nienawiści, a opartego na przywiązaniu i ofiarności dla własnego społeczeństwa.

Branicki stał się duszą opozycji w Polsce. W r. 1782 na sejmie, zaburzonym sprawą Sołtyka, gwałtownie występuje przeciw królowi, i przy tej okazji wypomina mu wielki błąd, dokonany przez ukrócenie władzy hetmańskiej. Z gwałtownemi mowami występują też znani jego zausznicy, posłowie Kurdwanowski i Suchodolski [1]). W r. 1785, gdy wybuchła głośna sprawa Dogrumowej, Branicki rozdmuchiwał ją, jak mógł, i podjudzał opozycję, by nie dopuścić do pogodzenia się jej z dworem; przytem miał nadzieję, za jednym zamachem, dokuczyć królowi i zaszkodzić znienawidzonemu jenerałowi Komarzewskiemu, który był duszą departamentu wojskowego. A gdy wkońcu w dekrecie, potępiającym Dogrumową, znalazło się wspomniane jego nazwisko, uderzył na alarm i, poparty przez dwór rosyjski, zaburzył cały sejm 1786 r., który wkońcu zmuszony był uchwalić usunięcie z aktów sprawy nazwiska Branickiego i Adama Czartoryskiego. Na tym sejmie, napadając na jenerała Komarzewskiego za jego reformy wojskowe, Branicki stawał w obronie archaicznego ustroju kawalerji narodowej, jej «towarzyszy» i «namiestników», i wkońcu przeprowadził najzgubniejszą uchwałę, zabraniającą przyjmowania na służbę oficerów cudzoziemców; bez nich zmodernizowanie wojska polskiego było nadzwyczaj trudne.

[1]) Kurdwanowski był posłem czernichowskim, t. j. właściwie z powiatu włodzimierskiego na Wołyniu, a Suchodolski posłem chełmskim. Te okręgi wyborcze stały zawsze po stronie Branickiego.

W r. 1787 cała magnaterja polska podążyła do Kijowa dla oddania hołdu Katarzynie. Stawił się też Branicki z żoną i pięcioletnim synkiem. Katarzyna dziecko to bardzo polubiła i pieściła, Branicki zaś mógł pokazać rodakom, jak wielkie ma stosunki u wszechwładnego dworu, a zwłaszcza jak silne poparcie posiada u Potemkina. Katarzyna pobyt swój w Kijowie znacznie przedłużyła, tak, że Stanisław August, oczekujący na nią w Kaniowie, mógł ją powitać dopiero 6 maja. «Król polski» — pisał dowcipny ks. de Ligne — «stracił trzy miesiące i trzy miljony, by widzieć imperatorową przez trzy godziny». Spotkanie, jak wiadomo, odbyło się na galerze na Dnieprze. Znudzona Katarzyna skarżyła się później przed otoczeniem, że zmuszona była bawić króla «aż język zasechł», a tymczasem król zamęczał ją prośbami, by została. W takiej właśnie chwili doznał Stanisław August nowej nieprzyjemności od Branickiego. Potemkin chciał go pogodzić z królem, ale Branicki tak się hardo stawił, że nietylko Potemkin ale podobno sama Katarzyna wyrazili mu swe niezadowolenie.

Wobec układów Stanisława Augusta o udział Polski w wojnie rosyjsko-tureckiej, Branicki, wspólnie z Szczęsnym Potockim, wystąpił z projektem zawiązania nie konfederacji przy królu, ale licznych konfederacyj wojewódzkich, na których czele miał nadzieję sam stanąć. Autorowie projektu przestrzegali Rosję, że, w razie zawiązania konfederacji przy królu, nie będzie ona miała na celu interesów rosyjskich, ale własne, od osób zaś prywatnych obawiać się tego nie należy. Tak przestrzegali obcy rząd dwaj wysocy dygnitarze polscy, z których jeden był widomą głową sił zbrojnych Rzpltej!

Wspominając o tem, Kalinka tak pisze[1]): «Byliż to ludzie, Rosji na ślepo oddani, dla niej z uczucia, z przekonania pracujący, o Polskę niedbający wcale? Takie zdania nieraz się słyszało. Nam się to jednak nie zdaje. My bądź co bądź sądzimy, że oni nie przestali być w duszy Polakami, ani wówczas ani później, i za nic w świecie nie wyrzekliby się polskości. Pycha i anarchiczne nawyknienia pozbawiły ich rozsądku, przezorności i wstydu; niczem była dla nich Polska, w której oni pierwszej roli nie wiedli, w której owszem swojemu musieli ulegać. Coby się stało, gdyby projekt ich wydał się Rosji dogodnym podówczas? Prawdopodobnie to, co się stało w pięć lat później: interwencja obcych i rozbiór kraju».

Ale Katarzyna II, jak wiadomo, z projektu tego narazie nie skorzystała; stanie się on dopiero wzorem dla przyszłej konfederacji targowickiej.

Pomimo, że Polska w wojnie rosyjsko-tureckiej udziału nie przyjęła, Branicki udał się do sztabu Potemkina, i sam dla junakierji, wystawiając na pośmiewisko dostojeństwo hetmańskie, przyjął komendę nad pułkiem kozackim i bawił się w podjazdowe utarczki z Turkami.

Król, chcąc zabezpieczyć się na sejmie przed intrygami popularnego u szlachty warchoła, szukał pomocy w Petersburgu; ale minister Osterman dał do zrozumienia rezydentowi polskiemu, Debolemu, że przez wzgląd na Potemkina nic zrobić nie może. Wtedy Deboli udał się do posła austrjackiego. «Na to my nic nie poradzimy — otrzymał odpowiedź — ależ to rzecz dworu rosyjskiego nakazać Branickiemu milczenie» (!). Wkońcu sama Katarzyna, na prośbę króla, poleciła Potemkinowi, by na początek sejmu zatrzymał Branickiego przy sobie.

Zaczął się więc sejm Czteroletni i zawiązała się konfederacja sejmowa w nieobecności Branickiego. Ale już wkońcu 1788 r. zjawił się w Warszawie; teraz przymknął do obozu patrjotycznego, gdyż był to wówczas obóz opozycyjny, i właśnie zniósł znienawidzony przez Branickiego departament wojskowy. Utworzyła się sytuacja arcydziwna i podejrzana: Branicki, zausznik Potemkina, nietylko łączył się z patrjotami,

[1]) «Sejm Czteroletni» I, 76, § 13. Sam projekt z uwagami Katarzyny II wydrukowany u Kalinki «Ostatnie lata», cz. II, str. 100—110

występującymi przeciwko Rosji, ale jednocześnie zalecał się posłowi pruskiemu, Lucchesiniemu.

Taktyka Branickiego na Sejmie Czteroletnim zasadzała się na stałej obstrukcji, zwykle pozorowanej gorliwością patrjotyczną. Celom tym służyły mu przesadne alarmy o gotujących się na Ukrainie buntach chłopskich. Stronnictwo jego, t. zw. hetmańskie, składało się z największych krzykaczy sejmowych, w rodzaju Suchodolskiego; miał on także wielki wpływ na swego siostrzeńca, Kazimierza Nestora Sapiehę, marszałka konfederacji litewskiej. W sprawie powiększenia armji, postawił Branicki wspólnie ze swym krewnym, Michałem Walewskim, wojewodą sieradzkim, szkodliwy wniosek pomnożenia, bez uwzględnienia innych rodzajów broni, przedewszystkiem kawalerji narodowej. Szlachta miała zawsze do kawalerji słabość, a Branicki umiał zagrać na tej strunie. «Ta kawalerja — wołał — z nas samych składać się będzie; jak więc jedni z nas szczodrzy będą na zapłatę wojska, tak drudzy szczodrzy do wylewu krwi. Wiem z praktyki, bom bywał na kampanjach; mówię, że gdy postawi się żołnierza, podług taktyki wyćwiczonego, choć on bywały na wojnie, już ma w sobie ducha napół wybitego i nie inaczej, jak kijem można go naprzód popychać; kiedy w kawalerji narodowej dosyć będzie, gdy brat na brata zawoła: dalej, panie Pawle, dalej panie Michale, i już wszyscy — wskok do ognia!...» Sejm wniosek Branickiego uchwalił, a te przedwczesne i niekarne zacięgi kawalerji w zarodku sparaliżowały całą reformę wojskową. Czy Branicki zdawał sobie z tego sprawę? Zapewne nie, pomimo, że był żołnierzem; ale zapewne też wniosek jego nie był bez myśli ukrytej; prawdopodobnie myślał, że uda mu się tę kawalerję poprowadzić do Potemkina, który piechoty i artylerji miał dosyć, ale właśnie kawalerji bardzo potrzebował.

W 1789 r. podniesiona została sprawa Ponińskiego. Wywlókł ją pierwszy stronnik hetmański, głośny krzykacz, Suchodolski; dopiero po nim został delatorem Wojciech Turski (również goniący tylko za oklaskiem). Branicki wyznaczony został do kompletu sądu sejmowego, ale, gdy Poniński zażądał przypozwania do sprawy wspólników jego robót na sejmie rozbiorowym, a w ich liczbie również Branickiego, ten, pomimo że sejm żądania tego nie uwzględnił, uznał za stosow-

niejsze zanadto w oczy się nie rzucać, i nie pokazywał się na sądach aż do końca sprawy.

Gdy zarządzono w następnym roku rewizję donatyw, dokonanych na sejmie rozbiorowym, miano na myśli przedewszystkiem Branickiego, który otrzymał wtedy, jak wiemy, ogromne starostwo białocerkiewskie. Po długich dyskusjach stanęło jednak na tem, że donatyw nie skasowano, a natomiast donatarjusze, a więc również Branicki, zobowiązali się opłacać z dóbr im nadanych nie zwykły podatek dziesiątego grosza, ale 30% dochodu (oczywiście nominalnego, o wiele niższego od rzeczywistego). Podatek ten Branicki zapłacił chyba tylko raz jeden, gdyż w r. 1792 podatek ten został przez Targowicę skasowany.

Branicki był oczywiście zawziętym przeciwnikiem sukcesji tronu; ale, gdy konstytucja 3 maja wywołała entuzjazm powszechny, stulił uszy i ani na sesji nie odezwał się przeciw ustawie, ani do protestujących w grodzie się nie przyłączył; owszem, odkładając intrygi na później, konstytucję z innymi zaprzysiągł, a Stanisław August, typowy ugodowiec, chcąc skaptować opozycję, nieopatrznie mianował do Straży aż trzech przeciwników konstytucji, a w ich liczbie Branickiego.

Branicki udawał pogodzonego. Ale czekał niedługo. 15 października 1791 r. umarł Potemkin właśnie w chwili, gdy Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski wybrali się do Jass dla wezwania przeciwko «rewolucji polskiej» pomocy imperatorowej. Branicki, pod pozorem windykowania spadku po Potemkinie, również pośpieszył na południe i tam wkrótce spotkał się w Jassach z Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim, którzy prowadzili układy z Bezborodką. Do układów tych Branickiego przypuszczono tylko połowicznie, gdyż traktowano go, jak człowieka lekkomyślnego, i obawiano się, że przed czasem wszystko rozgłosi. Tymczasem Branicki, nie wiedząc jeszcze, jak rzeczy się obrócą, nie chciał zrywać zupełnie z krajem, i wybrał się znów z żoną do Warszawy. Tu zabawił do marca 1792 r., ale zaczął się starać o pozwolenie wyjazdu do Petersburga, zawsze rzekomo w sprawach sukcesji po Potemkinie. Gdy król robił trudności, prośbę Branickiego poparł ambasador rosyjski, Bułhakow, ostrzegając, że w razie zabronienia Branickiemu wyjazdu do Rosji, imperatorowa wzięłaby to za obrazę osobistą. Branicki uzyskał więc

urlop na wyjazd do Petersburga na trzy miesiące, ale podpisał deklarację i dał słowo honoru, że zostanie wierny konstytucji i że, wezwany w interesie Rzpltej, wróci natychmiast.

Pojechał więc w połowie marca i, stanąwszy w Petersburgu, trafił akurat na ostateczne układy względem przyszłej konfederacji. Tu odegrał rolę tylko drugorzędną wobec Potockiego i Rzewuskiego, gdyż i tu miano go za człowieka niepewnego charakteru, a po śmierci Potemkina nie miał już wpływów dawniejszych; ale bądź co bądź był pożądany dla swego wysokiego urzędu, a Rzewuski chciał go mieć do pomocy, do przywrócenia niepodległej władzy hetmańskiej.

Po ogłoszeniu konfederacji targowickiej, wojska rosyjskie ruszyły wgłąb Polski. Branicki zajął się skonfederowaniem województw wołyńskiego, bełzkiego i lubelskiego, oraz ziemi chełmskiej. Tu dopuścił się tak krzyczących gwałtów, że Szczęsny Potocki widział się zmuszony przeciwko temu wystąpić.

Gdy jesienią 1792 r. przez rezydującą już w Grodnie konfederację targowicką wyprawiona została do Petersburga delegacja dla podziękowania Katarzynie za pomoc i ofiarowanie jej uroczystego przymierza, Branicki na audjencji urzędowej wygłosił wielką mowę; mówił stylem napuszystym i wskazywał, że w Polsce miała zapanować niewola skutkiem nowej konstytucji, ale obronili od niej Polaków «Bóg i Katarzyna». Gdy reszta delegatów wracała do kraju, Branicki z porady swych przyjaciół petersburskich, pod pretekstem interesów familijnych, pozostał nad Newą.

Drugi rozbiór kraju Branicki przyjął najspokojniej. W rzędzie donatyw, które poczyniła wówczas Katarzyna swym faworytom i dostojnikom, spotykamy też donatywę dla pani Branickiej (z dóbr skonfiskowanych Ignacemu Działyńskiemu, Rafałowi Tarnowskiemu i biskupstwu kamienieckiemu).

Branicki wykonał przysięgę na poddaństwo rosyjskie, złożył urząd hetmański i został jenerałem rosyjskim.

W czasie powstania kościuszkowskiego, na mocy zaocznego wyroku sądowego, Branicki skazany został na śmierć, jako zdrajca (razem z Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim). Podobizny ich zawieszono na szubienicy. Z trzech przywódców Targowicy, wyrok ten, jak też i upadek ojczyzny — najmniej odczuł właśnie Branicki.

Zamieszkał na stałe w Białocerkwi, skąd dojeżdżał do Petersburga. Odtąd żadnego już udziału w życiu politycznem Polski nie przyjmował. Pozostał obojętny na utworzenie Księstwa Warszawskiego, na walki napoleońskie. Z upadkiem kraju pogodził się w zupełności. Został nawet antecesorem tych, którzy stopniowo zaczęli powątpiewać o utrzymaniu się samego narodu polskiego. Na kontraktach kijowskich powtarzał: «Nie jestem Francuzem, ani Moskalem, bom się Polakiem urodził, nie jestem też Polakiem, bo Polski niema». Mówił prawdę — mógł być Polakiem tylko o tyle, o ileby Polska dawała mu zaszczyty, bogactwa i znaczenie; gdy tego zabrakło, czyż warto było przyznawać się jeszcze do polskości?...

Ksawery Branicki umarł w r. 1819 w Białejcerkwi. Pozostawił jednego syna, Władysława, i trzy córki: Katarzynę 1° v. za Stanisławem Potockim, synem Szczęsnego, 2° v. za Konstantym Sanguszką; Zofję, za Antonim Potockim z Krzeszowic, i Elżbietę za ks. Michałem Woroncowem (była przyjaciółką Mickiewicza).

Żona Branickiego, Aleksandra z Engelhardtów, była kobietą zapobiegliwą i oszczędną, a pod względem wartości osobistej stała w każdym razie o wiele wyżej od męża; pomimo, że była Rosjanką i spokrewnioną z arystokracją rosyjską [1]), nie przeciwdziałała wychowaniu dzieci na Polaków.

---

[1]) Siostry jej powychodziły za ks. Jusupowa, za Szepelowa, za ks. Golicyna i za hr. Litta.

X. JOZEF I SZYMON KOSSAKOWSCY

Przywódcami konfederacji targowickiej na Litwie byli Józef i Szymon Kossakowscy.

Kossakowscy, herbu Ślepowron (stąd używają też czasem przydomku, a nawet herbu Korwin), pochodzili z Mazowsza, gdzie w w. XVI byli rozrodzeni w ziemiach nurskiej, wiskiej i ciechanowskiej. Genealogja ich z XV i XVI w. nie da się ściśle ustalić, co dowodzi, iż w owym czasie byli jeszcze szlachtą bez znaczenia. Szlachta mazowiecka bogaciła się zwykle dopiero, wędrując na Wschód. To też na początku XVII w. wysuwa się ponad szeregi szlacheckie kilku Kossakowskich, którzy powędrowali na Litwę i na Ruś, i wtedy, obok licznych Kossakowskich, pozostałych na Mazowszu w zwykłym stanie szlacheckim, zaczyna się wyróżniać kilka odłamów tego rodu. Do jednego z tych odłamów, do t. zw. linji na Bohorodczanach, Twierdzy i Kuryłowcach, należał mąż Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, o której mówiliśmy już poprzednio.

Józef i Szymon Kossakowscy pochodzili z gałęzi litewskiej, z jej linji starszej, po Franciszku Nikodemie, staroście łomżyńskim. Syn tego Franciszka Nikodema, Jan Eustachy, pierwszy z tej linji osiedlił się na Litwie, i pierwszy został senatorem, a mianowicie w r. 1646 został mianowany kasztelanem mścisławskim. Syn Jana Eustachego, Stanisław, za pierwszą swoją żoną, Zawiszanką, wziął w posagu znaczne dobra na Litwie: Szyły, Marciniszki, Janów i in. Wnuk jego, Dominik, sędzia ziemski kowieński († 1743), żonaty z Zabiełłówną, był ojcem czterech synów: Michała, wojewody witebskiego, Antoniego, kasztelana inflanckiego, Józefa, biskupa inflanckiego i Szymona, hetmana w. lit.

Józef Kossakowski, późniejszy biskup inflancki, urodził się w r. 1738. Ojca stracił już w szóstym roku życia, w ósmym

oddany został do szkół jezuickich w Kownie, a po ich skończeniu w siedemnastym roku życia przebywał przy matce, w majątku rodzinnym Janowie nad Wilją (niedaleko Kowna). Już od dziecka lubił bawić się w księdza, więc przebierać się w ornat i odprawiać nabożeństwo, a zachęcany przez jezuitów do wstąpienia do zakonu, zaraz po skończeniu szkół chciał wstąpić do stanu duchownego; jednak matka wpłynęła nań, by zamiar swój odłożył do dalszej rozwagi.

Pani Kossakowska była kobietą pobożną i zacną, ale czy umiała kierować wychowaniem synów — rzecz wątpliwa. Przyzwyczajała ich do strojów, pilnowała zewnętrznej przyzwoitości, uczyła cnót domowych, ale nie umiała udzielić im ideałów wyższych; należy nawet powątpiewać, czy je sama posiadała. Była z domu Zabiełłówną z Czerwonego Dworu, a Zabiełłowie, posiadając wielkie znaczenie w swoim powiecie kowieńskim, odznaczali się realizmem, graniczącym z negacją wszelkich dążeń i uczuć podnioślejszych. Brat Kossakowskiej, Antoni Zabiełło, obywał się doskonale bez wszelkich zasad i był mistrzem w lawirowaniu między partjami; przechylał się zawsze wkońcu na stronę silniejszego; żonaty był ze Szczytówną, siostrą pani Marcinowej Matuszewiczowej; wstrętny zaś «realizm» Marcina Matuszewicza dobrze przebija z jego pamiętników. Synowie Antoniego Zabiełły odegrali smutną rolę w ostatnich chwilach Rzpltej: syn Józef był zastępcą marszałka konfederacji targowickiej na Litwie, wkońcu hetmanem polnym lit.; zginął w r. 1794 na szubienicy; drugi syn, Michał, był po Judyckim nieudolnym wodzem naczelnym na Litwie w r. 1792.

Młodzi Kossakowscy nie mogli nie brać przykładu i nie karmić się maksymami «ukochanego» wuja Zabiełły, Marcina Matuszewicza i osób podobnego typu. Józef był najzdolniejszym, najbardziej, zdaje się, przez matkę i miłowanym i przeznaczonym na intelektualną głowę rodziny. Odznaczał się moralnością płciową, za to wcześnie nabrał zamiłowania do gry w karty.

W r. 1758 młody Józef Kossakowski, pod kierownictwem wuja, Zabiełły, zaczął się zaprawiać do życia publicznego; został podczaszym kowieńskim i posłem na sejm. Przy kartach zapoznał się z księdzem Ignacym Massalskim, wówczas referendarzem lit., niebawem biskupem wileńskim. Wpływ,

a głównie przykład tego karciarza i światowca w sukni duchownej również nie mógł być dodatnim. W domu wuja Zabiełły młodego Kossakowskiego poznał królewicz Karol, wówczas świeżo upieczony książę kurlandzki, i bardzo polubił inteligentnego, umiejącego się akomodować młodzieńca, ofiarując mu swą protekcję. Protekcję tę wyzyskał jednak nie on, ale Ignacy Massalski, który nawzajem obiecał ustąpić Kossakowskiemu kilka swoich beneficjów duchownych; ale obietnicy tej nie dotrzymał i wkońcu ustąpił Kossakowskiemu tylko probostwo w Wołpie. Bądź jak bądź, otrzymanie tego probostwa przyspieszyło wstąpienie Kossakowskiego do stanu duchownego. Zaraz przyjął niższe święcenia (w r. 1761) i dla ukończenia seminarjum wyjechał do Warszawy, gdzie w roku 1762 wyświęcony został na kapłana. Prawie jednocześnie został kanonikiem wileńskim, a w rok później, skutkiem protekcji królewicza Karola i wuja Zabiełły, miał zostać biskupem inflanckim, i gdyby nie śmierć Augusta III, być może biskupstwo, które dostał dopiero w r. 1781, otrzymałby o lat osiemnaście wcześniej.

Józef Kossakowski pozostawił pamiętniki z opisem swego życia od dzieciństwa do r. 1788 [1]). Zaczął je pisać w r. 1777. Młodość swą przedstawił względnie szczerze i prawdziwie, zato z późniejszego swego życia starał się zatuszować wiele szczegółów, które na niego cień rzucały, a które wystawił jako rzeczy naturalne i niewinne. Tak o swojej grze w karty, o zażyłym stosunku ze Stackelbergiem i najgorszymi ludźmi ówczesnymi, jak Ożarowskim, Siestrzeńcewiczem, Augustem Sułkowskim i Raczyńskim, wreszcie o swej niedbałości w rzeczach religji, mówi albo mało, albo wymijająco, wypisując tylko czasem zdawkowe sentencje o konieczności oddania się woli Opatrzności. Pozatem czytanie tych pamiętników robi wrażenie również przygnębiające, jak pamiętników Matuszewicza — bo też byli ludźmi o typie pokrewnym, cali przejęci interesami materjalnemi, zasłaniającemi im cele wyższe i szlachetniejsze.

Jak Marcin Matuszewicz, a dawniej w w. XVII Andrzej Morsztyn, tak też Józef Kossakowski, przy całym prozaiźmie

---

[1]) Wydane zostały w Warszawie w r. 1891 (z przedmową i uwagami, zawierającemi mnóstwo błędów).

swojej psychiki, oddawał się także piśmiennictwu; pisał powieści dydaktyczne, «Ksiądz Pleban» i «Obywatel», oraz kilka komedyj. Gdyż są ludzie, u których życie codzienne i przejawy intelektualne jaskrawo z sobą się nie godzą, istniejąc obok siebie niezależnie jedno od drugiego; cały zakres ich idealizmu wyczerpuje się w chwilowych porywach, czy w tworach piśmienniczych, a dla życia realnego, codziennego, pozostaje tylko najgrubszy, najprzyziemniejszy materjalizm.

Nie będziemy tu podawali wszystkich szczegółów z życia Józefa Kossakowskiego, opisanych w jego pamiętnikach. Zaznaczymy tylko daty i wypadki najgłówniejsze.

Zostawszy kanonikiem wileńskim, Kossakowski stale kłopocze się o zdobywanie wpływów i stosunków dla siebie i braci. Z braci tych najstarszy, Michał, ożenił się z wdową po Michale Tyzenhauzie, staroście podolskim, bracie Antoniego, wszechpotężnego wówczas na Litwie podskarbiego nadw. lit.; małżeństwo to sprowadziło na Kossakowskich wiele kłopotów, skutkiem długoletnich zatargów z Antonim Tyzenhauzem, który przemocą odebrał swej b. bratowej jej dzieci z pierwszego małżeństwa i stale występował przeciwko Kossakowskim, nie dopuszczając do ich wyniesienia [1]). Dopiero po upadku Tyzenhauza w r. 1780, długoletnie zabiegi Kossakowskich osiągnęły skutek: w r. 1781 Michał został kasztelanem witebskim, a Józef biskupem inflanckim.

Do upadku Tyzenhauza mógł Józef Kossakowski przy najwyższym wysiłku wyrobić sobie tylko w r. 1775 sufraganję trocką i pisarstwo w. lit., bracia zaś zajmowali skromne urzędy: Michał był pisarzem skarbowym lit., Antoni pisarzem ziemskim kowieńskim, a Szymon podczaszym kowieńskim.

Zostawszy biskupem i senatorem, Józef Kossakowski niewiele dbał o sprawy religijne i krajowe, ale w dalszym ciągu kłopotał się wyłącznie sprawami doczesnemi, a zwłaszcza odziedziczonym po matce Janowem. Pozatem, jak Marcin Matuszewicz, uczestniczył we wszystkich drobnych zabiegach politycznych ówczesnych, z tą tylko różnicą, że posiadał wyższą

[1]) Opinję o Antonim Tyzenhauzie, jako zacnym obywatelu i użytecznym reformatorze, obalił Korzon w swych «Dziejach Wewnętrznych». Wyd. 2-gie. Tom IV, str. 250 i nast.

od Matuszewicza pozycję socjalną i, zamiast zabiegać u hetmana Radziwiłła i Mniszcha, zabiegał u króla i Stackelberga.

By zdobyć sobie wpływy u króla, Kossakowski najprzód wysługiwał się jego faworytowi, Franciszkowi Rzewuskiemu, a gdy tego kredyt upadł, zbliżył się do faworyty królewskiej, pani Grabowskiej, i wyswatał swego brata ciotecznego, Józefa Zabiełłę, z jej siostrzenicą, Sobolewską. By zjednać zaś Stackelberga, stał się jego zaufanym przyjacielem i stałym partnerem do gry w karty; poddawał mu także myśl promowania w przyszłości na tron polski jednego z książąt rosyjskich. Skutkiem tych zabiegów, tak Józef, jak Szymon Kossakowscy dostali się do Rady Nieustającej, a Józef wyrobił uposażenie dla istotnie biednego swego biskupstwa i otrzymał różne obietnice co do dalszej promocji.

Pamiętniki biskupa Kossakowskiego kończą się na roku 1788, u progu sejmu Czteroletniego. Dają jednak dosyć materjału, by zrozumieć dalsze, coraz smutniejsze losy tego człowieka. Z tych czasów mamy wizerunek biskupa, skreślony ręką Niemcewicza: «Ten prałat miał wzrost kolosalny, fizjognomję pantery, a wzrok lisa. Będąc zagorzałym przeciwnikiem partji reformy, rzadko przemawiał na sesji w ciągu Czteroletniego sejmu, ale ciągle nurtował skrycie i w poszeptach. Posła rosyjskiego, Bułhakowa, zwykle odwiedzał sekretnie w porach nocnych i wtenczas udzielał mu wszystkich potrzebnych wiadomości, oraz udzielał rady. Nigdy nie wystąpił otwarcie przeciwko jakiemubądź projektowi, a nawet niekiedy pochwalał; lecz natomiast za pośrednictwem swoich zwolenników potrafił stawić przeszkody, gmatwać, przedłużać i, jeżeli nie zupełnie obalić, to przynajmniej paraliżować». Mamy więc tu wiadomości o doskonałej komitywie biskupa inflanckiego również z następcą Stackelberga. Ten odwołany został w r. 1790; przed odwołaniem zaś poróżnił się był z królem z powodu dwóch ludzi, a mianowicie Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego, którego żona była jego kochanką, a którego promował na podskarbiostwo nadw. kor., i Józefa Kossakowskiego, którego chciał gwałtownie przeprzeć na biskupstwo krakowskie; gdy żądaniu jego zadość się nie stało, napisał do króla pamiętny list, w którym, grożąc królowi, dodawał, że — «piszę ten list nie jako polityk i nie jako minister, ale jako przyjaciel». List ten Stanisław August posłał do

Petersburga, gdzie Stackelbergowi bardzo zaszkodził. Aby jednak Kossakowskiemu osłodzić odmowę, przyznał mu król z własnej szkatuły 2.000 dukatów rocznej pensji na cztery lata.

Zachowanie się Józefa Kossakowskiego na sejmie Czteroletnim trafnie zostało scharakteryzowane w powyższym ustępie pamiętników Niemcewicza; szczegóły tu pomijamy. Przypominamy tylko zachowanie się jego po ogłoszeniu konstytucji 3 maja. Przysiągł na nią z innymi, nazajutrz jednak, gdy deputacja konstytucyjna, której wówczas był przewodniczącym, wezwaną została do podpisania konstytucji, oświadczył, że sumienie nie pozwala mu jej podpisać, bo członkowie deputacji przysięgali, iż żadnego prawa nie podpiszą, któreby jednomyślnie lub większością głosów nie było postanowione, a tymczasem żadnego głosowania nad ustawą nie było. Skutkiem tego 5 maja musiano ustawę raz jeszcze wnosić na posiedzenie sejmu, i dopiero wtedy Kossakowski zmuszony został konstytucję podpisać. Od tego czasu udawał, że się pogodził z nowym porządkiem rzeczy, ale potajemnie porozumiewał się z malkontentami i bratem Szymonem, który już od r. 1790 służył w wojsku rosyjskiem, i z którym teraz wypada nam się zapoznać, zanim rozpatrzymy udział obu braci w konfederacji targowickiej.

Szymon Kossakowski urodził się w r. 1740. Trzymany był do chrztu przez Marcina Matuszewicza. Pod wielu względami niepodobny był do brata Józefa. Sam biskup w swych pamiętnikach charakteryzuje go jako człowieka, który od młodości czuł pociąg nie do książek, ale do życia czynnego, nawet awaturniczego; miał temperament gwałtowny, nie poddający się działaniu zastanowienia lub perswazji; chciał wszędzie być pierwszym, traktował ludzi zgóry, a często nawet obelżywie, wreszcie bywał zwykle zaciętym i niewdzięcznym [1]). Biskup inflancki, wręcz przeciwnie, lubił książki, a zamiast życia awanturniczego — subtelne intrygi; miał temperament skryty i przebiegły, krył się z pożerającą go ambicją, płaszczył się przed możnymi, a choć również był zaciętym, jednak zaciętość tę miarkował rozwagą. Ale obok tych różnic w charakterach, wspólnemi cechami obu braci były: egoizm, interesowność, brak dążeń i uczuć szlachetniejszych.

[1]) Pamiętniki, str. 42, 62, 73, 141, 209.

Wbrew radom brata, został Szymon Kossakowski, wówczas podczaszy kowieński, jednym z najczynniejszych konfederatów radomskich, a później barskich. W pamiętnikach Józefa Kossakowskiego [1]) znajdujemy wzmiankę o powodach, dla których Szymon Kossakowski przyłączył się do Radomian. Oto król odmówił mu starostwa, na które liczył. Zaraz też, obrażony, przyłączył się do robót malkontentów i ks. Repnina, tem bardziej, że był dawniej dworzaninem królewicza Karola, a stąd stronnikiem saskim. Przez Repnina posłany był do Drezna dla towarzyszenia wracającemu pod egidą Rosji Karolowi Radziwiłłowi, przeznaczonemu na marszałka przyszłej konfederacji radomskiej. Później jeździł do Petersburga z delegacją od konfederacji, jako jej sekretarz. Delegacja ta, jak wiadomo, składała się z Michała Wielhorskiego, Józefa Potockiego, Józefa Ossolińskiego i Ludwika Pocieja; delegaci ci nie bardzo byli zadowoleni ze swego sekretarza, z powodu jego popędliwości. Widocznie jednak umiał przypodobać się Paninowi, gdyż ten czas jakiś chciał go użyć za «kanał» do komunikowania się z przywódcami konfederacji.

Gdy zaczął się ruch barski, Szymon Kossakowski zebrał oddział zbrojny na Litwie. Choć brat jego, Józef, był temu przeciwny, jednak, jak pisze w swych pamiętnikach, «przez czułość krwi braterskiej», napisał akt konfederacji litewskiej i namówił Szymona Kossakowskiego, żeby wyjechał zagranicę i tam się zorjentował co do widoków tego ruchu. Szymon Kossakowski udał się więc do Drezna, a stamtąd został przez generalność wysłany do Stambułu. Tam przybrał cechy posła, uwierzytelnionego do najdalej idących układów, i wymagał stosownych honorów. Wróciwszy do generalności, zachowywał się wyniośle, pretendował do stanowiska głównego przedstawiciela Litwy, wkońcu wszystkich przeciwko sobie obruszył.

W chwili przyłączenia się do konfederacji barskiej hetmana Ogińskiego, widzimy Szymona Kossakowskiego na Litwie. Tam tworzy oddziały konfederackie i maszeruje ku granicy Kurlandji, gdzie z przyczyny zrzeczenia się w r. 1769 przez starego Ernesta Birona rządów na rzecz syna, Piotra, stronnictwo królewicza Karola znów zaczęło się ruszać. Po-

[1]) Pamiętniki, str. 59.

rażka Ogińskiego pod Stołowiczami działaniom tym położyła koniec.

Po upadku kampanji barskiej, Szymon Kossakowski uchodzi zagranicę. Tam, z tytułem marszałka konfederacji smoleńskiej, wspólnie z niedobitkami konfederackimi prowadzi akcję dyplomatyczną i od ramienia Karola Radziwiłła, którego był zaufanym, znów jeździ do Stambułu.

Gdy powrócił do kraju, nie mógł z powodu swojej przeszłości i narażenia się nietylko królowi, ale wielu ludziom wpływowym, a także wobec niechęci do Kossakowskich Tyzenhauza, liczyć na krescytywę. Pozostawał więc wciąż na dawnem skromnem stanowisku podczaszego kowieńskiego. W r. 1777 ożenił się; rozkochała się w nim Teresa Hylzenowa, wojewodzina mińska, z domu Potocka (córka Michała, wojewody wołyńskiego) i aby oddać mu swą rękę, rozwiodła się z mężem — posiadała oprócz nadziei sukcesji do 400.000 złp. posagu.

Szymon Kossakowski zamieszkał na wsi, obok Janowa, i pomagał bratu w walce z Tyzenhauzem. Gdy ten upadł w r. 1780, i Kossakowskim zaczęło się lepiej powodzić, Szymon Kossakowski dostał się do Rady Nieustającej, ale do większych rzeczy, zapewne skutkiem swego charakteru niezgodnego, nie doszedł, pomimo, że pozostawał w dobrych stosunkach ze Stackelbergiem.

Stosunki te z ambasadą rosyjską naprowadziły Szymona Kossakowskiego na myśl szukania karjery w wojsku rosyjskiem. Należy też pamiętać, że żona jego była ciotką (cioteczną) Szczęsnego Potockiego. Zarekomendował Szymona Kossakowskiego Katarzynie II Potemkin. Oto co pisał do imperatorowej: «Generał major polski[1]), Kossakowski pragnie wejść w służbę W. C. Mości. Był on jednym z szefów konfederacji barskiej. Obecnie znany z przywiązania do Rosji, ma wszelkie kwalifikacje do wielkich przedsięwzięć w Polsce na wypadek, gdyby zaszła potrzeba zawiązania w niej konfederacji». Kossakowski otrzymał wkrótce nominację na jenerał-majora w wojsku rosyjskiem.

---

[1]) Rotmistrz kawalerji narodowej, t. j. dowódca chorągwi (około 40 koni), gdy przechodził do armji cudzoziemskiego autoramentu, uzyskiwał tytuł jenerał-majora.

Kiedy w końcu 1791 r. Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski przebywali w Jassach, przebywał tam również z wojskiem rosyjskiem Szymon Kossakowski, i przez niego porozumiewał się z malkontentami pozostający w Warszawie biskup inflancki.

Przed udaniem się w r. 1791 do wojska rosyjskiego, Szymon Kossakowski, wyjeżdżając z Warszawy, zapewnił coprawda króla, że, w razie zatargu zbrojnego Rosji z Polską, zaraz służbę rosyjską porzuci i wróci do kraju, jednak, gdy w r. 1792 wybuchła wojna rosyjsko-polska, rzeczywiście wrócił do kraju — ale na czele wojska rosyjskiego. Był teraz już w randze jenerał-porucznika. Był też jednym z głównych inicjatorów konfederacji targowickiej. W Petersburgu miał opinję najwierniejszego poddanego imperatorowej, korzystał z jej zaufania i umiał sobie zdobyć względy wszechwładnego jej faworyta, Platona Zubowa.

Przeciwko wkraczającym na Litwę zastępom rosyjskim wystąpiło nieliczne wojsko polskie, pod naczelnem dowództwem najprzód zdrajcy, księcia Ludwika Wirtemberskiego, później nieudolnego Judyckiego, wreszcie Michała Zabiełły. Ten, chociaż brat rodzony Józefa Zabiełły, proklamowanego zastępcą marszałka konfederacji litewskiej, a brat cioteczny Kossakowskich — był wiernym krajowi i miał niewątpliwie dobre chęci, ale okazał się również nieudolnym, jak Judycki; Mińsk i Wilno bez boju oddane zostały Rosjanom.

Szymon Kossakowski zaczął tworzyć na Litwie konfederacje wojewódzkie i miał takie znaczenie, że sam wódz rosyjski, Kreczetnikow, słuchał go we wszystkiem. Wilno zajęli Rosjanie 14 czerwca 1792 r., a 19 czerwca przybył tam z Janowa biskup inflancki. Zaraz utworzyli Kossakowscy generalną konfederację litewską, przyczem na marszałka zaproszono nieobecnego kanclerza Sapiehę (licząc, że ten od funkcji tej się odmówi), a na jego zastępcę Józefa Zabiełłę, nad wojskiem zaś naznaczono wodzem Szymona Kossakowskiego, którego mianowano hetmanem polnym litewskim, przywracając przez to urząd, skasowany na sejmie Czteroletnim. Z aktem zawiązania konfederacji jeneralnej wysłano do Petersburga Michała Kossakowskiego, synowca Józefa i Szymona.

Zaraz potem Szymon Kossakowski, «z ogłoszenia narodu

hetman polski Wielkiego Księstwa Litewskiego», wydał dwa uniwersały. W jednym, podnosząc własne zasługi, wskazywał, że «służąc wielkiej monarchini, służę oraz najszlachetniej mojemu krajowi». W drugim, nawołując do łączenia się z konfederacją, między innemi pisał: «Nie widzę, i nikt dostrzec nie może ogólnego szczęścia kraju naszego, tylko w poważaniu tego sąsiedzkiego mocarstwa ogromnego, mającego własny interes widzieć nas rządnych i szczęśliwych, i tylko w osobie, którą wieki następne między cuda natury i wielkości kłaść będą, w Najjaśniejszej Imperatorowej Wszech Rosji». Będący innego, niż Kossakowski, mniemania «są to jaszczurki, wnętrzności własnej matki szarpiące, padalce, własny płód pożerające; ich zajadłość do krwi braterskiej, ich junakierja, do majątków i urzędów naszych ściągała się, któremi się karmić i przyodziewać chcieli, nie zaś do prawdziwej posługi narodowi własnemu...»

Szymon Kossakowski odegrywał na Litwie rolę dyktatora, a biskup sekundował mu swym rozumem. Rządy swe zaznaczyli gwałtami, zdzierstwem i nienasyconą chciwością; jak Poniński, przez sancita konfederackie zamienili wymiar sprawiedliwości na narzędzie frymarku i łupiestwa.

Ale nietylko zwykli obywatele doznali ciężkiej ręki Kossakowskich. Przygniotła ona i Stanisława Augusta. Zachowanie się względem króla Szymona Kossakowskiego było tak wyzywające, że król aż musiał szukać ratunku w protekcji Bułhakowa. Dzięki wstawiennictwu posła rosyjskiego osiągnął tyle, że Kreczetnikow, pobłażający Kossakowskiemu we wszystkiem ze względu na Zubowa, wysłał listy do Petersburga w interesie zabezpieczenia króla od zuchwalstwa samozwańczego hetmana litewskiego. «Znając — donosił Zubowowi — porywczość, a bardziej jeszcze butę pana Kossakowskiego, pisałem do jego brata, biskupa inflanckiego, z radą i prośbą, iżby udał się do Warszawy. Jest to potrzebne dla Bułhakowa i byłoby pożyteczne dla króla. Biskup, człowiek trzeźwo myślący, przenikliwy i obznajmiony ze wszystkiemi sprawami, obecnością swoją powstrzymałby brata od wielu uchybień».

Ale Józef Kossakowski także zhardział i na zaproszenie króla odpowiedział lekceważąco. Faktycznie to on właśnie był przywódcą konfederacji na Litwie, gdyż «hetman»

nie dorównywał mu zdolnościami, Zabiełło we wszystkiem mu ulegał, kanclerz Sapieha nie chciał się wtrącać do niczego i przesiadywał w swoich dobrach, wreszcie synowcowie, Józef, wojewoda witebski, i Michał, kasztelanic inflancki, spełniali wszelkie polecenia stryja biskupa.

Dopiero przyjazd Sieversa zepsuł szyki Kossakowskim. Stawała nad ich samowolą władza wyższa, z którą liczyć się musieli. Sievers, jak na rolę oprawcy, którą przyjął, był serca zbyt miękkiego; był człowiekiem względnie uczciwym; należał do rzędu tych tak zwanych zacnych biurokratów, którzy chętnie robią dobrze, ale jednocześnie podejmują się każdej misji, choćby najbardziej haniebnej i wstrętnej; wtedy czynią wszystko, by ją przeprowadzić do końca. To też Sievers gotów był na wszelkie środki, by zmusić sejm do traktatów rozbiorowych i do zupełnego oddania się Rosji, ale łupiestwa Kossakowskich były dlań wstrętne.

Między Kossakowskim a Sieversem musiało więc dojść do starcia. Wprawdzie tam, gdzie szło o rozkazy Katarzyny, Kossakowscy ulegali im narówni z ambasadorem, owszem, szli jeszcze dalej, gdyż chcieli nawet całą Polskę oddać pod panowanie rosyjskie, ale, gdy szło o ich wpływy i znaczenie, o ich władzę, zdobytą przy pomocy konfederacji targowickiej, Kossakowscy ponad głową Sieversa szukali opieki na dworze imperatorowej i u jej faworytów, Zubowych. Sievers, wbrew życzeniom Kossakowskich, 15 września rozwiązał konfederację targowicką i wzamian kazał podpisać nową sejmową konfederację grodzieńską — zato Kossakowscy odemścili mu się, denuncjując go w Petersburgu i przyczyniając się do jego niełaski.

Wszystkich korzyści materjalnych, uzyskanych przez Kossakowskich za ich rządów na Litwie, wyliczyć niesposób. Wskażemy tylko najgłówniejsze. Józef Kossakowski uzyskał od konfederacji przyznanie sobie olbrzymich dochodów z dóbr biskupstwa krakowskiego, przejętych przez sejm Czteroletni na skarb Rzpltej (biskup krakowski miał pobierać tylko 100.000 złp. pensji rocznej i w tej sumie wydzielono mu część dóbr biskupich). Szymon Kossakowski został mianowany hetmanem w. lit. i otrzymał prawem lennem dobra Lachowicze, oraz skonfiskowane Kazimierzowi Sapieże dobra Geranony i Lipniszki, a także 500.000 złp. na starostwie bra-

cławskiem i 200.000 złp. z sekwestru majątku Michała Ogińskiego; otrzymał nadto pensję jenerał-lejtnanta za 3½ lat w sumie 42.000 złp., oraz pensję hetmańską. Pamiętał też biskup o synowcach; z nich Józefa, syna Michała, wojewody witebskiego, wyswatał z bogatą Ludwiką Potocką, córką Szczęsnego (wniosła Kossakowskim dobra Brzostowicę).

Ale już zbliżała się chwila kary. Prawie jednocześnie, w r. 1794, zawiśli obaj Kossakowscy na szubienicy: najprzód Szymon 25 kwietnia w Wilnie; po nim Józef 9 maja w Warszawie. Pierwszego skazał na śmierć sąd kryminalny powstania litewskiego, drugiego — sąd powstania warszawskiego. Wprawdzie obu tych wyroków, a zwłaszcza drugiego, jako zapadłego pod presją pospólstwa, niepodobna uznać za akty sprawiedliwości sądowej, ale raczej za akty polityczne, w każdym jednak razie stały one wyżej od haniebnych sancitów sądowych konfederacji targowickiej. Jeżeli pierwsze wypływały bądź jak bądź z pobudek troski o dobro publiczne, to drugie były jedynie narzędziem prywaty i grabieży.

XI. POLITYKA POLSKA ZEWNĘTRZNA I WEWNĘTRZNA W PIERWSZEJ POŁOWIE W. XVII

Dezorganizacja życia państwowego w Polsce posuwała się szybko naprzód od początku w. XVII. Ale Polska była jeszcze państwem potężnem i ważyła na szalach Europy, i cały szereg spraw wagi pierwszorzędnej stawał przed oczyma narodu, domagając się tego lub innego rozwiązania.

Przyjrzyjmy się najprzód stosunkom zewnętrznym.

W wojnę ze Szwecją wciągnął Polskę Zygmunt III, jak wiemy, tak ze względów dynastycznych, jak z pobudek prozelityzmu katolickiego. Wojna rozpoczęła się w r. 1600, a skończyła się dopiero w r. 1667 pokojem oliwskim. Właściwie rozpada się na trzy wojny oddzielne, z których pierwsza trwała 1600—1610, druga 1617—1629, a trzecia za Jana Kazimierza 1655—1660. Wszystkie wypadły dla Polski niepomyślnie. W pierwszej odnieśli wprawdzie Polacy zwycięstwo w r. 1605 pod Kirchholmem pod wodzą Jana Karola Chodkiewicza, ale sama liczba wojska polskiego (niespełna 4.000 ludzi) dowodzi, jak niebacznie wojna ta była prowadzona; to też rozejm 1610 r. pozostawił w posiadaniu Szwedów nietylko Estonję, której ustąpieniem Zygmunt III Polskę do wojny przeciągnął, ale i znaczną część Inflant. W drugiej wojnie Polacy ponieśli cały szereg klęsk, i tylko Stanisław Koniecpolski ratuje honor oręża polskiego, między innemi zwycięstwem w r. 1629 nad Gustawem Adolfem pod Trzcianą, w Prusach Królewskich. Ostatecznie rozejm, zawarty w r. 1629 na lat sześć w Altmarku, pozostawiał Szwedów przy wszystkich ich zdobyczach w Inflantach i nadmorskich

miastach w Prusach; miasta te zostały zwrócone Polsce dopiero w r. 1634, za Władysława IV, traktatem w Sztumdorfie, który przedłużył rozejm na lat dwadzieścia sześć, pozostawiając zdobycze Szwedów w Inflantach w ich posiadaniu; zrzec się tytułu króla szwedzkiego Władysław IV nie chciał. Polska z całej tej wojny korzyści żadnej nie odniosła, owszem, same straty; do wojny tej została przez Zygmunta III wciągnięta wbrew woli, podtrzymywała ją też słabo i niechętnie, uważając ją za interes — tylko króla.

Również niepopularny był narzucony Polsce przez Zygmunta III więcej niż przyjazny stosunek do Austrji. Stosunek ten wyraził się w dwukrotnem małżeństwie króla z Austrjaczkami; wreszcie w roku 1613 w przymierzu Zygmunta III z cesarzem Maciejem. Szlachta polska, jak już wspominaliśmy, z dwóch powodów obawiała się Austrji: widziała w niej przedstawicielkę absolutyzmu i wroga wszelkich swobód narodowych w Czechach i na Węgrzech, i obawiała się, że przyjaźń z nią doprowadzi wkońcu do starcia z Turcją. Co do magnatów, to ci podzielali obawy co do Turcji, mniej zaś straszyły ich porządki austrjackie, zaprowadzone w Czechach i na Węgrzech, a to z powodu, że Austrja zawsze podtrzymywała arystokrację rodową w przeciwieństwie do szlachty mniejszej, co nadawało magnatom w Czechach i na Węgrzech stanowisko społeczne uprzywilejowane. Również wyższe duchowieństwo polskie, pod wpływem Rzymu, sprzyjało zbliżeniu się do Austrji. Ale antyaustrjacki nastrój szlachty był tak silny, że nie mógł nie oddziałać i na senat i na duchowieństwo, i z tego powodu cały naród z zadowoleniem przyjął dwukrotne zbliżenie się Władysława IV do Francji, pierwszy raz na początku jego panowania przy zawarciu rozejmu sztumdorfskiego ze Szwecją, i powtórnie w r. 1645 przy małżeństwie króla z Marją Ludwiką. Potrzeba było dopiero niezręcznych praktyk Marji Ludwiki i Jana Kazimierza w r. 1660 w sprawie elekcji Kondeusza, by szlachcie wszelki sojusz z Francją obrzydzić, a przez to zrobić popularnem zbliżenie się do Austrji, zainicjowane za króla Michała i niefortunnie dokonane za Jana Sobieskiego. Tymczasem szlachta tak bała się zetknięcia się ze stosunkami austrjackiemi, że nietylko nie dbała o odzyskanie przez Polskę Śląska, jako mającego już hierarchję szlachty niższej i wyższej,

ale przyłączenia tego wprost się obawiała. Tem się tłumaczy dziwny napozór fakt, że od końca XVI w. Polacy o Śląsku zupełnie zapominają, i nawet nie spotykamy się z projektami o jego odzyskaniu. A odzyskać go można było nie raz jeden i w XV w. i później. Ale na przeszkodzie stało przesunięcie interesów Polski na Wschód, a później i ta psychika klasowa demokracji szlacheckiej.

Natomiast, skutkiem przesunięcia się interesów Polski na Wschód, właśnie wojna z Moskwą cieszyła się względną popularnością. Na tym punkcie schodziły się w pewnym stopniu interesy króla, możnowładców i szlachty; rozbieżność zachodziła tylko co do celów ostatecznych: Zygmunt III miał na widoku głównie względy katolicyzmu, Władysław IV pragnął nowego tronu, możnowładztwo i wielu ze szlachty szukało tam karjery i bogactw, reszta szlachty pragnęła zabezpieczenia się od zaborczości carów. W ten sposób jednolitej, świadomej swego celu polityki względem Moskwy Polska nie miała, i w tem leżała główna przyczyna jej niepowodzenia.

Przy wstąpieniu na tron Zygmunta III trwał z Moskwą pokój, właściwie rozejm dziesięcioletni, zawarty w r. 1582 przez Polskę z Iwanem Groźnym w Zapolu (lub Kiwerowej Horce), zwykle zapolskim zwany. Rozejm ten przetrwał do początku XVII w., a w r. 1601 przedłużony został na lat dwadzieścia. Ale w r. 1604 wypłynął Dymitr Samozwaniec, pociągnął za sobą panów polskich, Wiśniowieckich i Mniszchów, a przez tajemne przyjęcie w Krakowie katolicyzmu zyskał sobie pomoc jezuitów i Zygmunta III. Do awantury Samozwańca Polska, jako państwo, nie należała; dopiero w r. 1609 niektórzy bojarzy moskiewscy, niechętni dla nowego cara, Wasyla Szujskiego, zwrócili się do Zygmunta III, by zajął tron moskiewski dla siebie lub syna; Zygmunt III bez zgody i wiedzy sejmu wypowiedział carowi Wasylowi wojnę. Po zwycięstwie pod Kłuszynem w r. 1610, Stanisław Żółkiewski zawarł umowę z bojarami, mocą której królewicz Władysław zostawał carem, a Wasyl i Dymitr Szujscy zostali wydani Żółkiewskiemu. Zygmunt III układu tego nie potwierdził i, za radą jezuitów, zażądał korony wprost dla siebie. Sprowadziło to ogromne zamieszki w państwie moskiewskiem, wreszcie wybuch powstania, i w r. 1613 wybór na cara Michała Romanowa, syna metropolity Filareta. Wojna skończyła się

w r. 1618 szesnastoletnim rozejmem w Dywilinie, o tyle korzystnym dla Polski, że zostały przy niej Smoleńszczyzna, Nowogród Siewierski i Czernihów. W r. 1632, korzystając z bezkrólewia po śmierci Zygmunta III i chcąc powetować straty poprzednie, car Michał, nie czekając końca rozejmu, rozpoczął znów wojnę. Ale zwycięstwa Władysława IV wkrótce ją zakończyły, i w r. 1634 podpisany został pokój t. zw. polanowski, mocą którego Władysław IV zrzekł się wszelkich pretensyj do korony moskiewskiej, otrzymując za to dla Polski ziemie smoleńską, siewierską i czernihowską. Pokój polanowski był szczytem przewagi Polski na Wschodzie — wkrótce zacznie się powolne cofanie.

Pomimo całej ostrożności szlachty, stosunek Polski do Turcji, dotychczas zajętej wojną z Persją, zaczął się psuć skutkiem sympatji Zygmunta III do Austrji, i ciągłych wypraw kozaków przeciw Turkom i Tatarom, tudzież wypraw panów polskich na Wołoszczyznę. W r. 1617, wobec zupełnego nieprzygotowania Polski do wojny z Turcją, musiał Stanisław Żółkiewski zawrzeć z Iskander-baszą i Tatarami pokój w Buszy [1]), zobowiązując się do poskromienia kozaków i niewtrącania się do Siedmiogrodu i Wołoszczyzny. Lecz już w r. 1620 wybucha wojna z Turcją, bez żadnego przygotowania ze strony Polski. Stary Stan. Żółkiewski, posłany jak na jatki, zginął wśród zdemoralizowanego wojska, ustępując z pól cecorskich. Dopiero wtedy (1621) gromadzi się armja polska pod dowództwem J. K. Chodkiewicza; zostaje oblężona w Chocimiu przez pięciokrotnie silniejszych Turków; jednak wszystkie szturmy Turków zostały odparte. Po nagłej śmierci Chodkiewicza i objęciu dowództwa nad wojskiem przez Stanisława Lubomirskiego, zawarty został z Turkami rozejm, a później traktat pokoju t. zw. chocimski, mocą którego zobowiązały się do trzymania na wodzy: Polska — kozaków, a Porta — Tatarów, a na hospodarstwo mołdawskie miał sułtan mianować chrześcijan, Polsce przychylnych. Był to pokój bardzo korzystny, jeżeli weźmiemy pod uwagę okoliczność, że w chwili podpisania rozejmu pozostała w obozie polskim już tylko jedna beczka prochu!

[1]) Busza — wieś w pow. jampolskim na Podolu, nad rzeką Morachwą.

W r. 1633 Turcja znów zaczepiła Polskę, lecz po zwycięskich potyczkach Stanisława Koniecpolskiego i wobec zbrojeń Polski, sułtan Amurat IV ponowił traktat chocimski, zobowiązując się nadto wyrugować z pól białogrodzkich Tatarów budziackich, a przy obsadzaniu hospodarów w obu Wołoszczyznach (t. j. w Mołdawji i na Multanach) porozumiewać się z Polską. Odtąd Polska pozostaje w pokoju z Turcją aż do poddania się jej kozaków w r. 1671. Stałe zamysły Władysława IV o podjęciu wielkiej wyprawy na Turków wzbudzały w nich wielki respekt przed Polską. Szajnocha mówi, że Polskę długo bronił od Turków sam «cień Władysławów».

Że szlachta polska, sekundowana w tem przez ówczesne możnowładztwo, unikała stale wojny z Turcją, wbrew wszelkim zachętom i przedstawieniom ze strony króla, jest rzeczą zrozumiałą. Wojna ta nic Polsce dać nie mogła i byłaby tylko wyciąganiem kasztanów z ognia dla bezpośrednio w walkach z Turcją interesowanych Austrji i Wenecji. Ale z Tatarami rzecz miała się inaczej. Byli oni stałą grozą dla województw południowych i żyli tylko z grabieży i ze straszniejszego od grabieży jasyru ludzkiego. A chociaż potrzeba walki z nimi była dla wszystkich oczywista, jednak zamiłowanie szlachty do spokoju, a także coraz więcej rozwijający się w Polsce partykularyzm sprowadzają dziwne zjawisko: walkę z Tatarami prowadzi Polska jedynie od wypadku do wypadku, zawsze obronną, nigdy z zamiarem poskromienia na długo lub na zawsze marnych tych drapieżników; często przeważa nawet zdanie, że najlepiej od napadów tatarskich okupywać się i składać im przyjęte już jako zwyczaj «upominki». Upominki te trudno traktować jako haracz, gdy się zważy prawdziwą marność tego nieprzyjaciela w XVII w. Ordę krymską stanowili nomadzi, co do liczebności zapewne nie przenoszący z kobietami i dziećmi jakiegoś miljona ludności — ujarzmić ich nie było wielką trudnością, gdyby wzięto się do tego, jako do jednego z zadań państwowych. Ale, jak wiemy, nie było komu zadań państwowych pilnować i przeprowadzić. Zygmunt III i Władysław IV mieli głowę zajętą zawsze jakiemiś wielkiemi, choć zawsze mało realnemi pomysłami; od marnego tatarstwa jedynie się odmachiwali, jak od natrętnej muchy. Władysław IV nawet drażnił ich umyślnie, by wywołać starcie z Turcją; o izolowaniu zaś Tatarów od Turcji, przez

zawarcie z Turcją stosunków przyjaznych, i o zupełnem ich ujarzmieniu nawet nie pomyślał, tak nędzną i tak małą zapewne wydawała mu się ta sprawa. Szlachta zaś znajdowała, że to sprawa lokalna, sprawa bezpośrednio interesowanych województw południowych. Wreszcie możnowładztwo broniło się od tych napadów własnemi pocztami zbrojnemi. Tak szlachta jak możnowładztwo zgadzali się na jedno, że najlepszą polityką względem Tatarów było nie drażnić ich, «upominki» w razie konieczności dawać, a przedewszystkiem kozaków, którzy urządzali napady na Tatarów, w ryzach trzymać.

W ten sposób walki z napadającymi Tatarami były częste, ale sporadyczne, wywoływane rzeczywiście w większości wypadków najazdami kozackiemi na ułusy tatarskie. Polska broniła się, a odpędziwszy napad, zaprzestawała dalszej walki, ograniczając się do nowych zarządzeń względem kozaków. O kozaczyźnie i jej związku z napadami Tatarów mówić będziemy jeszcze niżej. Napady te powtarzały się tak często, że wyliczać ich nie będziemy; przypominamy tylko niektóre daty. W r. 1618, pomimo zawartego w roku poprzednim pokoju w Buszy, Tatarzy wespół z baszą tureckim napadli na Polskę i oblegli wojsko nasze pod Stanisławem Żółkiewskim w taborze pod Oryninem; wojsko polskie było szczupłe, składało się przeważnie z hufców Zborowskich, Sieniawskich i Tomasza Zamoyskiego, który, chcąc popisać się odwagą, oddzielny sobie obóz założył; wobec tego waleczny ale przezorny Żółkiewski bitwy nie przyjął i tylko się bronił, dopóki Tatarzy nie ustąpili. Wojna turecka z r. 1620—1621, zakończona pokojem chocimskim, była oczywiście również wojną z Tatarami. W r. 1628 nadarzyła się okazja skorzystania z wojny domowej w Krymie, gdy jeden z pretendentów do chaństwa, Szahin Girej, zwrócił się o pomoc do Polski; ale pomocy tej poskąpiono, pozwolono tylko iść do Krymu kozakom, którzy sami nic wskórać nie mogli, i okazję zmarnowano. Tymczasem granic polskich bronił dzielnie od Tatarów słynny Stanisław Chmielecki († 1630). Był to prawdziwy rycerz kresowy, waleczny i pełen miłosierdzia dla ludu wiejskiego, «którego płaczu znieść nie mógł», i którego mnóstwo z jasyru Tatarom odebrał. Władysław IV, marzący całe życie o wojnie z Turcją i pragnący wciągnąć do niej Polskę przez walkę z Tatarami, przestał im posyłać «upominki». Gdy w r. 1644 wpadli do Polski, zostali srodze pobici pod Ochmatowem przez Stan. Koniecpolskiego. Klęskę tę odpłacili Tatarzy w r. 1648, złączywszy się z buntem Chmielnickiego. Bunt ten wybuchł przed samą śmiercią króla Władysława.

Między Polską, Turcją a Ordą tatarską leżała Wołoszczyzna, dzieląca się na dwa oddzielne hospodarstwa: Mołdawję i Multany [1]). W r. 1595 Jan Zamoyski osadził na hospodarstwie mołdawskiem Jeremjasza Mohyłę, jako lennika polskiego, a w r. 1599 zdobył także Multany i osadził na nich na hospodarstwie Szymona Mohyłę, brata Jeremjasza. Jeremjasz jeszcze w r. 1593 uzyskał indygenat polski, i cztery jego córki powychodziły za Polaków, a mianowicie: Regina za ks. Michała Wiśniowieckiego, starostę owruckiego; Marja najprzód za Stefana Potockiego, wojewodę bracławskiego, a następnie za Mikołaja Firleja; Katarzyna za ks. Samuela Koreckiego; czwarta Anna miała aż czterech mężów Polaków: najprzód Jana Czarnkowskiego, kasztelana kaliskiego, powtóre Maksymiljana Przerębskiego, wojewodę sieradzkiego, po trzecie Władysława Myszkowskiego, wojewodę krakowskiego, wreszcie Stanisława Rewerę Potockiego, hetmana w. kor.

Przez cały wiek XVII Wołoszczyzna jest przedmiotem pożądliwości panów polskich, którzy przez swe wyprawy stają się powodem gniewów Turcji na Polskę. W r. 1612 Konstanty Mohyła, syn Jeremjasza, został wypędzony z hospodarstwa mołdawskiego. Pospieszył mu na pomoc z własnem wojskiem Stefan Potocki, a napadnięty przez Turków pod Sasowym Rogiem, dostał się do niewoli — Polskę zaś napadli Tatarzy. W r. 1616 drudzy dwaj szwagrowie Konstantego Mohyły, ks. Samuel Korecki i ks. Michał Wiśniowiecki, wybrali się znów do Mołdawji, chcąc szwagra osadzić na hospodarstwie, ale bez skutku; Wiśniowiecki umarł ze zgryzoty, a Korecki, rozgromiony przez Turków, dostał się do niewoli. W wojnach z Pol-

[1]) Co do tych nazw, u naszych historyków często zachodziła plątanina, a to z powodu, że nazwa Wołoszczyzna miała dwojakie znaczenie: albo ogólne dla obu hospodarstw razem, albo szczególne dla jednego z nich. Plątanina powiększała się przez to, że Wołoszczyzną w ostatniem znaczeniu Polacy i Węgrzy nazywali hospodarstwo dla nich bliższe, więc Polacy nazywali Wołoszczyzną Mołdawję, a Węgrzy Multany. Późniejsza Wałachja to właśnie polskie Multany.

ską w r. 1621 i 1634 Turcja zobowiązała się, jak o tem mówiliśmy, hospodarów wołoskich mianować za zgodą Polski, ale oczywiście warunek ten nie był dotrzymywany, a Wołoszczyzna słusznie otrzymała od Polaków nazwę «pola przepiórczego», tak często następowały tam zmiany. Polska, jako państwo, z tego sąsiedztwa z Wołoszczyną miała stały i wieczny niepokój. Była to ziemia obiecana jedynie dla kilku rodzin możnowładczych, później dla Tymoszki Chmielnickiego, wkońcu dla aspiracyj dynastycznych Jana Sobieskiego. Ale i dla nich wszystkich została jedynie — polem przepiórczem.

Jeżeli Wołoszczyzną zajmowali się — panowie, Szwecją — król, Moskwą — w pewnych chwilach cały naród, to o posterunek tak ważny, jak Prusy Książęce, właściwie nikt się nie troszczył i nikt nie przewidział, jak fatalną dla Polski drogą potoczą się dalsze dzieje tego lenna polskiego. Znać tu różnicę, jaka zachodzi między państwem, choć obszernem, lecz pozbawionem ciągłości w polityce, a państwem, choć drobnem, ale stale i konsekwentnie dążącem do raz wytkniętego celu. Prusy Książęce były, jako lenno polskie, w posiadaniu młodszej, t. zw. anspachskiej linji Hohenzollernów, których linja starsza panowała w elektorstwie brandenburskiem. Linja anspachska była spokrewniona z Jagiellonami w ten sposób, że matka pierwszego księcia pruskiego, Albrechta, była siostrą Zygmunta I. Już wcześnie również starsza linja stara się zbliżyć wszelkiemi sposobami do Polski i do lenna pruskiego. Elektor brandenburski, Joachim II, poślubił w r. 1535 Jadwigę Jagiellonkę, najstarszą córkę Zygmunta I. W r. 1563 Zygmunt August, bez wiedzy sejmu, przyznał linji elektorskiej prawo do dziedziczenia Prus na wypadek wymarcia linji anspachskiej. Ostatnią okoliczność można było przewidywać, gdyż Albrecht Pruski liczył już lat siedemdziesiąt trzy i miał tylko jednego słabowitego dziesięcioletniego syna, Albrechta Fryderyka. Ten po śmierci ojca w r. 1568 objął księstwo będąc nieletnim, a w r. 1573 zaraz po ożenieniu dostał obłąkania. Opiekunem został, za zgodą Batorego, brat jego stryjeczny, Jerzy Fryderyk, który umarł w r. 1603. Wobec braku Hohenzollernów z linji anspachskiej, powinna była Polska naznaczyć opiekę, złożoną z Polaków, a po śmierci obłąkanego Albrechta Fryderyka wcielić Prusy do Polski, gdyż przywilej Zygmunta Augusta, wydany w r. 1563 linji brandenburskiej

bez zgody stanów, nie był właściwie obowiązującym. Jednak Zygmunt III, na prośbę elektora Joachima Fryderyka, dopuścił go do objęcia rządów w księstwie, po jego śmierci opiekunem został jego syn, elektor Jan Zygmunt. Jak Hohenzollerni pilnowali swego interesu, widać nietylko z ich stałych w Polsce zabiegów, ale i z faktu, że wzmiankowani elektorowie, Joachim Fryderyk i jego syn, Jan Zygmunt, obaj pożenili się z córkami obłąkanego księcia pruskiego, Albrechta Fryderyka: ojciec Jan Fryderyk z młodszą Eleonorą, a Jan Zygmunt syn z starszą Anną! W r. 1611 zapadła na sejmie konstytucja, mocą której Zygmunt III, za zgodą stanów, przeniósł lenno pruskie na dom elektora brandeburskiego, Jana Zygmunta, oraz trzech jego braci i ich potomków. Odtąd rzecz była przesądzona, i gdy w r. 1618 umarł obłąkany książę Albrecht Fryderyk, lenno pruskie przeszło ostatecznie do elektorów brandenburskich.

Wnuk elektora Jana Zygmunta, Fryderyk Wilhelm, «wielki elektor», objął rządy po śmierci ojca w r. 1640. Poznał go dobrze Jerzy Ossoliński w czasie swej urzędowej podróży do Królewca; po powrocie tak o nim mówił do kanclerza Alb. Stan. Radziwiłła: «To będzie drugi Gustaw Adolf, i niech nas Bóg broni, gdyby żądzą sławy zagrzany zechciał z nami wojować. Młody ten książę nie służy ani Bachusowi, ani Wenerze, ani grze; oddany cały radom stanu i ćwiczeniom wojskowym, umiał sobie dobrać mądrych i godnych doradców. Trzeba nam się mieć przed nim na ostrożności i prosić Boga, aby mu dał mądrą radę, a ukrócił zbytnią żądzę sławy».

«Wielki elektor» zerwał z Prus lenne więzy z Polską już w r. 1657. Syn jego, Fryderyk, zostanie w r. 1701 pierwszym królem pruskim.

Nieświetną była zewnętrzna polityka Polski, prowadzona bez planu jasnego, bez ciągłości, ulegająca sprzecznym interesom dworu, panów i szlachty. Ale bądź co bądź do śmierci Władysława IV prestige Polski trzyma się jeszcze dość wysoko. I Zygmunt III i Władysław IV, wobec znacznych jeszcze sił państwa, mogli poniekąd podtrzymywać zagranicą ułudę dawnej świetności; nie mogli wprawdzie często dotrzymywać swych obietnic zagranicy, ale w polityce niedotrzymywanie

bietnic to rzecz zwykła. Nie wiedziano zagranicą, że dotrzymać tych obietnic często chcieli, ale — już nie mogli. Ustrój Polski był już na początku w. XVII w ówczesnej Europie absolutystycznej tak wielką anomalją, że dziwić się należy tym stałym akcjom dyplomatycznym, które państwa zachodnie prowadziły z Zygmuntem III i Władysławem IV. Ci dobrze jeszcze wobec zagranicy grali swe role królewskie, i dlatego słuszność każe przyznać, że polityka zewnętrzna Polski w pierwszej połowie XVII w., pomimo znacznych błędów, stała jednak nieskończenie wyżej od jej polityki wewnętrznej.

Śmiało można powiedzieć, że polityka wewnętrzna stała już bardzo źle.

Politykę zewnętrzną przedstawiał bądź co bądź — król i to król, jak np. Władysław IV, związany już z Polską, szukający nie gdzie indziej, lecz w Polsce, swej sławy, dbający więc siłą rzeczy o potęgę państwa, choć zewnętrzną. Natomiast polityka wewnętrzna jest w ręku samowładnej szlachty, a ta ma na celu wyłącznie korzyści klasowe. Sekunduje jej możnowładztwo, związane z nią wspólnością wielu interesów materjalnych, wyzyskujące ją swą przewagą ekonomiczną, lecz w rzeczach dobra publicznego coraz bardziej uległe, bo obojętne.

Oprócz interesu klasowego, na politykę wewnętrzną XVII w. wpływ ma pierwszorzędny — polska orjentacja wschodnia, spowodowana przyłączeniem do Polski krajów litewsko-ruskich. Orjentacja ta wyciska na stosunkach ówczesnych piętno wybitne i tłumaczy cały szereg zjawisk życia wewnętrznego.

Na czele tych zjawisk stoi ruch kolonizacyjny. Ośrodek interesów państwa przesuwa się na Wschód. Rozwój narodu nie idzie w głąb, nie zmusza do postępu i doskonalenia się, do życia ogólnoeuropejskiego, lecz idzie w kierunku mniejszego oporu — na kresy wschodnie, mało zaludnione, z inną, niższą kulturą, a bogate, wabiące ogromem przestrzeni i możnością łatwego i wolnego życia. Dąży więc tam i możnowładca, tracący grunt w zdemokratyzowanej Polsce, i szlachcic, szukający łatwego dorobku, lub życia pełnego przygód, i mieszczanin, spragniony większych zysków, i chłop, zwabiony wieścią o nowych «wolach» i «swobodach», i zwykły hultaj, awanturnik, lub banita, czujący się źle wśród swoich, a witany najlepiej na pustyniach kresowych; wreszcie dąży tam i żyd-arendarz, ów stały zwiastun niezdrowych stosunków społecznych. Ruch ten właśnie w pierwszej połowie XVII w. przybiera ogromne rozmiary, by się zatrzymać po wybuchu wojen kozackich i znów się odrodzić, w nieco zmienionej szacie, na początku XVIII w.

Kolonizacja Rusi Czerwonej datuje się, jak wiemy, od XIV w.; na końcu tegoż wieku przyłączoną została do Polski zachodnia część Podola, a choć o resztę Podola i Wołyń panowie polscy upominali się stale u Litwinów, kraje te, a także Ukraina, zostały ostatecznie przyłączone do Korony dopiero przy unji lubelskiej. Z krajów tych nowouzyskanych Wołyń był siedzibą starego kniaziowskiego możnowładztwa i do kolonizacji mniej się nadawał; zato Ukraina, w obszernem tego słowa znaczeniu, była ziemią ledwie zaludnioną, prawie pustą, a ta ludność, którą kolonizacja tam zastała, luźnie tylko była z ziemią związana, a to z powodu, że częste napady tatarskie czyniły pobyt w tych stronach często niemożliwym, zawsze niebezpiecznym. Dla obrony od drapieżców, a również z zamiłowania do życia rycerskiego i awanturniczego, rozwinęła się na tych krańcach dawnego państwa litewskiego, a teraz Korony, kozaczyzna, organizacja samorodna, a żywotna, gdyż przystosowana do warunków kresowych. Nazwa «kozak» jest, jak wiadomo, pochodzenia tatarskiego: «kazak» oznaczał człowieka wolnego, wojaka-ochotnika. Kto więc szedł na dalekie kresy, na wolność, na wojaczkę z tatarstwem — ten «kozakował», był kozakiem. Polska kozaczyznę tę zastała i musiała nadać jej ten, lub inny kierunek.

W przeszłości kozaczyzna miała już organizatorów: za czasów Zygmunta I w osobie sławnego Ostafiego Daszkiewicza, starosty czerkaskiego, i Przecława Lanckorońskiego, starosty chmielnickiego; za czasów Zygmunta Augusta w osobie Dymitra Wiśniowieckiego, wreszcie za czasów Stefana Batorego w osobie samego króla. Wszyscy oni, nie wyłączając Batorego, traktowali kozaczyznę wyłącznie ze stanowiska wojskowego i chcieli z niej stworzyć rodzaj wojska kresowego. Wiemy, że już Rzym tworzył osady wojskowe, w nowszych czasach Austrja stworzyła pogranicze wojskowe, a Rosja kozaków dońskich, uralskich, orenburskich, twerskich i in.

Ale aby podobne organizacje wojskowe mogły rzeczy-

wiście przynosić korzyść, powinny podlegać stałej i surowej dyscyplinie. Takiej dyscypliny Rzeczpospolita stworzyć nie była w stanie, nie mając jej nigdzie u siebie i będąc społecznością, opartą na skrajnej wolności. To też kozaczyzna, wobec ciągłych napadów i najazdów samowolnych na ziemie tatarskie i tureckie, więcej Polsce kłopotu niż korzyści przynosiła, a stałe zaleganie przez skarb Rzeczypospolitej w wypłacaniu żołdu, należnego kozakom regestrowym, samowolne ich wyprawy niejako usprawiedliwiało.

Wobec takich stosunków i niechęci wszechwładnej wówczas szlachty do utrzymywania stałej siły zbrojnej, dostatecznej bądź do zupełnego podbicia Krymu tatarskiego, bądź do ciągłej obrony granic, wytworzyła się wprost potrzeba nadania znacznych przestrzeni na Ukrainie możnowładztwu, mającemu dostateczną siłę, by na własną rękę zorganizować obronę kresów od stałych napadów tatarskich, a jednocześnie utrzymać w ryzie swawolną ludność miejscową.

Oto jest geneza powstania konstytucyj sejmowych z roku 1590, jednej o nadawaniu «pustyń» za Białocerkwią, drugiej p. t. «Porządek ze strony Niżowców na Ukrainie» o urządzeniu kozaczyzny i zabezpieczeniu się od kozackiego «swawoleństwa».

Co do pustyń za Białocerkwią, to te miał prawo król nadawać na wieczność osobom szlacheckiego stanu podług swego uznania. Ale co to były za pustynie, to sądzić można z tego, że jednocześnie z tem stanęła konstytucja p. t. «Aprobacja daniny pustyni rzeki Suły Hrybowiczowi-Bajbuzie uczynionej»; nadanie to dla Bajbuzy jeszcze z czasów króla Stefana, ustąpione następnie Aleksandrowi Wiśniowieckiemu, staroście czerkaskiemu, dotyczyło, jak wiemy, całego dorzecza rzeki Suły i stanowiło późniejsze «państwo» Zadnieprzańskie Wiśniowieckich. Zawierało ono około 10.000 klm. kw., czyli więcej, niż np. całe województwo podlaskie (9.600 klm. kw.), lub województwo bełskie (9.100 klm. kw.).

Co do konstytucji p. t. «Porządek ze strony Niżowców na Ukrainie», to zaczyna się ona od skargi na nierząd i «swawoleństwo» kozaczyzny, poddaje ją pod władzę hetmana, poleca mu, wzamian dawnego samorządu kozackiego, mianować «starszego» i «setników» ze szlachty, zabrania kozakom bez wiedzy hetmana przekraczać wskazane im granice, wkłada

obowiązek pilnowania tego zakazu i ewentualnego karania na starostów, panów («książąt» i szlachtę), burmistrzów i wójtów i, w razie niedopilnowania, podaje ich samych karze w trybunale koronnym; rejestr kozaków powinien być utrzymywany przez hetmana.

Jak widzimy, starano się zaprowadzić w kozaczyźnie dyscyplinę. «Ale z tego wszystkiego» — jak powiada kronikarz Bielski — «nie było nic».

Już w r. 1592 widzimy bunt kozacki pod Kosińskim, wymierzony głównie przeciwko ks. Ostrogskim i uśmierzony przez Janusza Ostrogskiego. W r. 1596 wybuchł bunt Nalewajki i Łobody, poskromiony przez Żółkiewskiego. Oburzony sejm postanowił tegoż roku, z powodu że na Ukrainie swawola kozaków im dalej, tem bardziej ze szkodą Rzeczypospolitej się szerzy, by hetman «te swawolniki *ad internecionem* (do cna) wyniszczył», przyczem potwierdzono konstytucję z r. 1590.

Ale by uspokoić kozaków, pozostawionych jako siła zbrojna, trzeba im było — żeru, wojny. Tymczasem szlachta pragnęła pokoju.

Chcąc utrzymać pokój, należało kozaczyznę przemienić na ludność rolniczą. Tymczasem ilekroć podejmowano wyprawy wojenne, panowie i nawet król — sami wzywali kozaków. W ten sposób stworzyło się prawdziwe, a w skutkach opłakane, koło błędne. Cała pierwsza połowa XVII w. do wybuchu wielkiej wojny kozackiej pod Chmielnickim jest szeregiem wzajemnie sprzecznych uchwał i rozporządzeń.

W r. 1601 konstytucja sejmowa chwali kozaków, że w wojnie wołoskiej «godnie służyli», a w rozpoczętej szwedzkiej «służyć obiecali». W wyprawie na Moskwę Dymitra Samozwańca i Mniszchów, w wyprawach do Wołoszczyzny Potockich, Samuela Koreckiego i Michała Wiśniowieckiego, w wojnie moskiewskiej — wszędzie widzimy coraz liczniejsze zastępy kozaków, dochodzące do 30.000. Były to wyprawy, jeżeli nie wszystkie *de jure*, to *de facto* legalne. Ale kozacy na tem nie poprzestawali i, po ustaniu wypraw legalnych, urządzali sobie, wbrew wyraźnej woli Rzeczypospolitej, łupieskie «chadzki» do krajów tatarskich i tureckich. W odpowiedzi na te wyprawy, Turcja groziła wojną i w r. 1617 Iskander-basza w połączeniu z Tatarami zbliżył się już do wojska polskiego

celem rozpoczęcia kroków wojennych, tak że hetman Żółkiewski zmuszony był zawrzeć traktat w Buszy, o którym już mówiliśmy, i w którym zobowiązał się w imieniu Rzeczypospolitej kozaków należycie powściągać.

Na czele kozaków stał wówczas sprytny człowiek, sławny Piotr Konaszewicz, zwany Sahajdacznym. Ten, znaglony przez Żółkiewskiego, zgodził się zaraz po pokoju w Buszy zmniejszyć ilość kozaków rejestrowych do tysiąca — wiedział, że nikt tego nie dopilnuje, owszem, że w razie pierwszej potrzeby, znów zgoda na zwiększenie rejestru zapadnie. Tak się też stało. Właśnie królewicz Władysław wyprawiał się wtedy do Moskwy i zawezwał kozaków — stanęło ich 20.000, i najmilej zostali przez królewicza przyjęci. Tymczasem z Moskwą stanął w Dywilinie pokój (1618 r.) i zebrane kozactwo, nie otrzymawszy żołdu i nie wiedząc co robić, rzuciło się na miasta tureckie. Znów zapadły na kozaków nowe ograniczenia. Ale wnet wybuchła wojna z Turcją, i pod Chocimem widzimy znów pod Konaszewiczem 30.000 kozaków.

Po śmierci Konaszewicza zabrakło człowieka, któryby umiał radzić jakoś wśród tak sprzecznych prądów w polityce względem kozaków. «Starszym» został Michał Doroszenko, przy którym rejestr ograniczono do 6.000, ale następnie pozwolono kozakom w r. 1628 urządzić wyprawę do Krymu, gdzie panowała w tym czasie, jak o tem już wspomnieliśmy, wojna domowa. Wyprawa ta, nie podtrzymana przez Rzeczpospolitą, nie udała się, i Doroszenko zginął. Zaczęło się szamotanie hetmana Koniecpolskiego z swawolnem kozactwem. Zbudowano twierdzę Kudak na Niżu, by wyprawy kozaków siłą powstrzymać; wkrótce jednak kozacy Kudak zburzyli.

Wreszcie w r. 1637 wybucha ogromny bunt kozaków pod wodzą Pawluka. Pod Kumejkami zostali kozacy zupełnie rozgromieni przez hetmana Mikołaja Potockiego i kniazia Jeremiego Wiśniowieckiego; Pawluk został ścięty.

Cierpliwość szlachty wyczerpała się. Na sejmie r. 1638 stanęła sroga konstytucja, podobna do konstytucji z r. 1590. Liczba kozaków rejestrowych została oznaczona na 6.000, na ich czele miał stać już nie «starszy», ale szlachcic-komisarz, naznaczany od sejmu do sejmu; reszta kozaków miała być traktowana, jako zwykli chłopi. Zaraz po wydaniu tej konstytucji wybuchł nowy bunt kozacki pod wodzą Ostrzanina, który wnet stłumiono, poczem Ostrzanin uciekł do Moskwy.

Szlachcie i panom zdawało się, że kozactwo zostało ostatecznie złamane. Ułuda ta trwała aż do samego wybuchu powstania Chmielnickiego; była tak silną, że kwestja kozacka zdawała się ostatecznie załatwioną, i cała ludność polska na Ukrainie zajęła się wyłącznie cichą pracą kolonizacyjną. Praca ta była bezwątpienia pochodem cywilizacyjnym i, z tego punktu widzenia, została pięknie opisana przez Szajnochę w jego szkicu «Zdobycze pługa polskiego», ale miała też swoje strony ciemne, których rezultatem było powstanie Chmielnickiego, a następnie ostateczna ruina ziem kresowych.

Ale w chwili, gdy cała szlachta uważała sprawę kozacką za ostatecznie załatwioną, a ludność kresowa chwilowo przycichła i oddała się pracy rolniczej, rozbieżność w Polsce interesów króla i narodu sprawiła, że Władysław IV, zajęty swym planem wielkiej wojny tureckiej, i przygotowując się do niej w tajemnicy przed narodem — znów zwrócił się o pomoc do kozaczyzny i, dmuchając niebacznie na zagasający ogień, ożywił go na nowo. Z planów wojennych Władysława IV pozornie, prócz długów, nic nie pozostało — w rzeczywistości zostało rozpalone na kresach ognisko, które rozbłysło ogromnym płomieniem pod Chmielnickim.

Przyjrzawszy się polityce polskiej względem kozaczyzny, musimy zkolei kwestję rozszerzyć i zastanowić się wogóle nad stosunkiem Polski do przyłączonych do niej ziem ruskich.

Cały obszar zunjowanej Rzeczypospolitej, nie licząc Smoleńszczyzny [1]) ale z Zadnieprzem, wynosił około 800.000 klm. kw. Z tej przestrzeni do obszaru etnograficznego Polski należało zaledwie 185.000 klm. kw. z ludnością (na początku XVII w.) około 3 miljonów; do obszaru etnograficznego Litwy należało około 70.000 klm. kw. z ludnością około ½ miljona, pozostałe około 545.000 klm. kw. z ludnością około 2½ miljona stanowią kraje ruskie. Z krajów tych obszar około

[1]) Smoleńszczyznę opuszczamy, gdyż krótka jej przynależność do Polski niewielkie miała w dziejach naszych znaczenie, prócz względów strategicznych.

200.000 klm. kw., z ludnością niespełna miljona, stanowiły kraje z ludnością białoruską (narzecze krzywiczańskie), obszar zaś około 345.000 klm. kw. z ludnością przeszło 1½ miljona stanowiły kraje z ludnością, którą dziś nazywamy ruską, rusińską lub ukraińską.

Województwo ruskie	miało	55.200	klm. kw.
» bełskie	»	9.100	» »
» wołyńskie	»	38.000	» »
» podolskie	»	19.000	» »
» bracławskie	»	34.500	» »
» kijowskie	»	69.000	» »
» brzesko-litewskie . .	»	50.000	» »
Zadnieprze	miało około	70.000	» »
	Razem	344.800	klm. kw.

Z tych województw z ludnością rusińską (ukraińską) na początku XVII w. województwo ruskie i bełskie miały już znaczną kolonizację polską, a szlachtę i możnowładztwo prawie wyłącznie polskie. Również część Podola należała w części już znacznej do szlachty polskiej. Wołyń miał ludność polską przeważnie tylko po miastach, i na całym swym obszarze był głównie gniazdem możnowładztwa kniaziowskiego, oraz licznych rodów szlachty rusińskiej. Dalsza Ukraina (Kijów, Bracław, Zadnieprze) miała ludność rzadką i szlachtę miejscową bardzo nieliczną.

Co do kultury, to były to wszystko kraje, w których im dalej na Wschód tem kultura była niższa, wreszcie graniczące z dziczą tatarską. Kraje ruskie jeszcze w X w. przyjęły chrześcijaństwo z Bizancjum i w ten sposób cywilizacja bizantyjska wycisnęła swoje piętno na zwyczajach i pojęciach narodu. W początkach XIII w. kraje ruskie dostały się pod władzę Mongołów, i rozwój cywilizacyjny został w nich zatrzymany na długo, wiele zaś zwyczajów tatarskich zespoliło się z wyobrażeniami ludu. Najmniej wpływowi tatarskiemu uległa Ruś Czerwona, następnie Polesie i Wołyń; wpływy zaś tatarskie na Ukrainie, w Bracławszczyźnie

i wschodniem Podolu były bardzo znaczne i trwały długo, wobec sąsiedztwa tatarskiego, aż do końca XVII w.

Tak więc kultura na ziemiach ruskich, w porównaniu do kultury polskiej, była pod każdym względem daleko niższa, tak co do swego pochodzenia, jak i rozwoju. Wobec różnicy wyznaniowej, wpływ cywilizacji zachodniej na masy był bardzo utrudniony i ograniczał się przeważnie do klas wykształceńszych.

Mieliśmy już sposobność wyrazić nasze zdanie o unji politycznej lubelskiej, jak również o unji kościelnej brzeskiej, dokonanej przy udziale jezuitów w r. 1596. Nie chcąc się powtarzać, podkreślamy tylko raz jeszcze, że błąd obu tych unij tkwił w samem ich założeniu. Pierwsza dążyła do zlania z sobą dwóch odrębnych społeczności o kulturach nietylko różnych, lecz wręcz sobie przeciwnych, a druga poświęcała dla pośpiechu treść istotną ułudzie zewnętrznej i, zamiast usunięcia różnic religijnych, różnice te powiększała i jakościowo i ilościowo, gdyż odtąd niechęć wzajemna coraz bardziej wzrasta, i do walki stają nie dwa, lecz trzy już wyznania. Jedność dogmatyczna między obrządkiem łacińskim i unją nic nie znaczy, skoro faktycznie wyznania te się nie pokrywają, a unja, wbrew zasadom katolicyzmu powszechnego, stała się religją nietylko narodową — rusińską, ale i społecznie wyosobnioną — wiarą chłopską. Taki jest zawsze koniec rzeczy połowicznych i nieszczerych, i apologeci unji, miast uskarżać się na niechęć do niej nietylko szlachty, ale i kleru polskiego, powinni zrozumieć, że właściwymi winowajcami smutnych skutków unji kościelnej byli właśnie sami jej założyciele duchowi. Zamiast bowiem zapewne daleko dłuższej, ale jedynie słusznej, bo szczerej drogi szerzenia na zunjowanej z Polską Rusi katolicyzmu, w postaci przyjętej już w Polsce, t. j. w obrządku łacińskim, wybrali oni pozornie krótszą, ale faktycznie zwodniczą i fałszywą drogę zastąpienia właściwego nawracania religijnego jedynie bałamuceniem ludności daleko idącemi ustępstwami, napozór jedynie zewnętrznemi, w rodzaju unarodowienia Kościoła powszechnego i zrzeczenia się bezżeństwa księży. Było naiwnością przypuszczać, że pod jednym dachem da się utrzymać katolicyzm w dwóch tak różnych postaciach, i że z tych dwóch postaci de facto nie wyrobi się dwóch oddzielnych wyznań,

które ludzi nie łączyć, ale dzielić będą; a także, że wprowadzenie takiego *deus ex machina* w postaci unji nie podetnie normalnego szerzenia się katolicyzmu na Wschodzie drogą powolnego, ale trwałego przenikania do coraz dalszych okolic i coraz niższych warstw społecznych.

Jakkolwiek dalecy jesteśmy od twierdzenia, by katolicyzm nie mógł się szerzyć w innej szacie, jak tylko w obrządku łacińskim, to przecież jesteśmy zdania, że dziać się to może tylko tam, gdzie niema jeszcze zupełnie obrządku łacińskiego, i gdzie w ten sposób katolicyzm nie występuje w dwóch konkurujących z sobą postaciach. Pozatem prawdziwą chlubą katolicyzmu jest jego powszechność, a tymczasem z unji zrobiono jakąś specyficzną religję rusińską. Również przez zniesienie celibatu księży w obrębie państwa, w którem celibat ten istniał od wieków, obniżono lekkomyślnie cały ten obrządek unicki, wszczepiono w duchowieństwo unickie, wobec troski o chleb powszedni, nienawiść do łacinników i zrobiono z unji jakiś katolicyzm niższego rzędu. Wielka szkoda, że jezuici czasów Zygmunta III nie kierowali się głęboką prawdą, tkwiącą w dumnych napozór, ale jakże słusznych słowach swego późniejszego wielkiego jenerała z XVIII w.: «*Sint ut sunt, aut non sint*», co w zastosowaniu do katolicyzmu w krajach, złączonych z Polską, brzmi jak następuje: niech będzie, jakim jest, to jest łacińskim, albo nie będzie go wcale.

Tymczasem tak Polska, jak katolicyzm, miały na Wschodzie tylko jedną rozumną i skuteczną politykę: politykę nie podboju, nie ułudy, nie asymilacji zewnętrznej, lecz powolnego pokojowego szerzenia swoich zasad. Gdyby nie unja, Kościół katolicki mógłby w zwykłej swojej szacie, jedynie przez swoją wyższość, szerzyć się coraz bardziej na Wschodzie. Tak samo Polska, zamiast uczynić z ziem ruskich jedynie teren dla ostatecznego zwyrodnienia swego możnowładztwa, a przez to i zupełnego zwichnięcia swojego rozwoju, mogła była uszanować odrębność świata ruskiego i, nadawszy mu autonomję, w zakresie przynajmniej autonomji litewskiej, przyciągnąć go do siebie temi samemi środkami, jakiemi zdobyła Litwę, t. j. dopuszczeniem odpowiedniej ilości Rusinów do tych praw i przywilejów, jakie posiadała sama.

Współżycie ludzi bez pewnych łączników, t. j. pewnych

wspólnych cech i interesów, nie da się na długo pomyśleć. Takiemi łącznikami mogą być: wspólna narodowość, wspólne prawa i przywileje, jednostajna budowa i aspiracje społeczne, wspólne interesy ekonomiczne, wspólna tradycja. Im więcej będzie tych łączników, tem zgodniejsze i spoistsze będzie społeczeństwo, im mniej, tem kruchsze i do rozpadnięcia się łatwiejsze.

Unja Litwy z Polską dokonała się przez co? Kraje litewsko-ruskie zaludnione były przez Litwinów, Białorusinów i Ukraińców — jedności więc narodowej i językowej z Polską nie było żadnej. Jedność wyznaniowa była także tylko częściową, bo znaczna część ludności była obrządku wschodniego. Sama tylko Litwa otrzymała stopniowo wszystkie polskie prawa i przywileje, wyrobiła sobie stosunki społeczne na wzór polskich, interesy ekonomiczne miała wspólne z Polską, powoli czuła się z Polską tradycyjnie związaną. Jednocześnie zaś w sprawach lokalnych, językowych i kulturalnych Litwa korzystała z zupełnej autonomji; nawet najwyższe urzędy państwowe były podwójne. Polska z końca XVI w. była skończoną demokracją szlachecką. Klasą panującą był liczny «naród szlachecki», cały kierunek rozwoju ówczesnego Polski opiera się na szlachcie. Otóż, gdyby Polska, łącząc z sobą kraje ruskie, zastała lub stworzyła w nich jakąś klasę szlachecką, a jednocześnie zapewniła im dostateczną autonomję lokalną, kulturalną i narodową, kto wie, może to małżeństwo polityczne narodu polskiego z Rusią ułożyłoby się pokojowo, potrwałoby czas dłuższy i nie skończyłoby się walką bratobójczą i ostatecznem dwóch narodów wyniszczeniem.

Że tak być mogło, dowodem dzieje poszczególnych ziem ruskich. Te, które miały stosunki społeczne zbliżone do polskich, zespalały się z Polską coraz bardziej, w czasie wojen kozackich przy Polsce stały wiernie, a po ich ukończeniu tak były do rdzennej Polski podobne, że jeszcze w XIX w., dopóki lud prosty nie odgrywał roli politycznej, mogły uchodzić za prowincje zupełnie polskie. Taką była w pierwszym rzędzie Ruś Czerwona, dalej Wołyń, część Podola i Białoruś. Inaczej było z Ukrainą. Ta była pozbawiona prawie zupełnie szlachty osiadłej, na wzór szlachty polskiej; miała klasę wojenną, w tem do szlachty polskiej zbliżoną, że również roz-

miłowaną była w wolności, choć jeszcze bujniejszej, jeszcze bardziej nieokiełznanej. Pomyślmy tylko, coby to być mogło, gdyby owa bujna klasa wojenna została, wzorem unji horodelskiej, przyjętą do herbów polskich, zrównaną ze szlachtą Rzeczypospolitej?! A nadto gdyby, jeżeli już nie wszystkie z ziem ruskich, to choć trzy województwa Ukrainy (Kijów, Bracław, Zadnieprze) uzyskały wcześnie rozumną autonomję, choćby nawet mniejszą od tej, jaką im przyznała spóźniona ugoda hadziacka z r. 1658?!

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z tak zw. bojarów służebnych i starszyzny kozackiej można było z wielką łatwością utworzyć szlachtę ukrainną, która, uzyskawszy prawa i przywileje szlachty polskiej, stanowiłaby silną podstawę dla rządów polskich na Ukrainie. Gdyby jednocześnie nie narzucano unji kościelnej, Kościół wschodni odpowiednio zorganizowano i od Konstantynopola uniezależniono, a katolicyzmowi pozwolono szerzyć się tylko zwykłą drogą pokojową, jednocześnie zaś przez rozumną ordynację kozactwa i zaprowadzenie należytej obrony kraju od Tatarów zapewniono kresom pokój i bezpieczeństwo — wszystko każe przypuszczać, że i Ukraina, na wzór Rusi Czerwonej i Wołynia, byłaby coraz bardziej zbliżała się do Polski, a sroga zawierucha kozacka nigdy nie miałaby miejsca.

Wszystkiego tego nie zrobiono. Starano się kozaków schłopić i ich starszyznę poniżyć, ziemie rozdano magnatom i przez to zaprowadzono rządy podstarościch i arendy żydowskie, obrządek wschodni sponiewierano i sprowokowano, katolicyzm i szlachtę zrobiono przedmiotem nienawiści. Jednem słowem, zrobiono wszystko naopak. Ale pomimo to, nawet po ostatecznem bankructwie systemu, po strasznych rzeziach na Ukrainie, jeszcze wtedy nawet na odpadłem Zadnieprzu wśród starszyzny kozackiej kiełkowały jakieś wspomnienia polsko-szlacheckie, dowodzące możliwości pokojowego Ukrainy z Polską współżycia.

Wszystko to jest prawdą, ale jednocześnie jest prawdą, że cała ta polityka unjowania z sobą obcych krajów i narodów, choćby przeprowadzana najrozumniej, pełna była zawsze dla nas, jako narodu, niebezpieczeństw, brzemienna w złe skutki na przyszłość. Pamiętajmy, że byliśmy narodem względnie nielicznym i unjowaliśmy z sobą przestrzenie zbyt wielkie; czy zamiast złączyć innych z sobą, nie rozpłynęlibyśmy się raczej wśród obcych sami?...

Tymczasem w XVII w. samo zetknięcie się ze Wschodem obniżało kulturę naszą nieskończenie i odwracało nas od cywilizacji zachodniej. Cóżby to było, gdybyśmy przesunęli się jeszcze dalej na Wschód?...

Gdyby narody mogły czytać w przyszłości choćby tak niedokładnie, jak czytają w przeszłości, zapewne naród polski w całej tej polityce unji umiałby pójść drogą pośrednią; połączyłby się z Litwą i Rusią w celach ściśle politycznych, wytworzyłby z nich drogą autonomij dwa organizmy oddzielne, sobie przyjazne, i w pewnej chwili dziejów — rozstałby się z niemi pokojowo, jak niedawno rozstały się z sobą bez walki dwa kraje tak sobie bliskie i pokrewne, jak Szwecja i Norwegja.

Pozwoliliśmy sobie tu na powyższe refleksje nietylko dlatego, że dotykają one wogóle pierwszorzędnego w dziejach Polski zagadnienia, ale i dlatego, że zagadnienie to dotyczy przedewszystkiem całokształtu stosunków polskich w pierwszej połowie XVII w.

Przejdziemy teraz do ogólnych stosunków wewnętrznych. Na stosunki te, jak już mówiliśmy, władza królewska, w osobach Zygmunta III i Władysława IV, zwracała uwagę tylko nieznaczną; ani Zygmunt III, ani Władysław IV nie uczynili nic, by ustrój polityczny Polski poprawić i rażące jego braki usunąć. Pochłonięci każdy własnemi sprawami, Zygmunt III Szwecją i szerzeniem katolicyzmu jezuickiego, Władysław IV planami wojny tureckiej, woleli zamiast trudnej walki z wadliwą, ale popularną konstytucją polską, poprostu o ile można ją omijać, pocichu jej nie spełniać, oraz różnemi sztuczkami do swych celów naginać, czasem z ogólnego zamętu dla swoich celów korzystać. Większy wpływ wywarł Zygmunt III tylko na stosunki religijne. Oprócz tego w latach 1607 i 1609 ograniczono nieco artykuł o prawie wypowiadania posłuszeństwa królowi *(de non praestanda oboedientia)*, a to naskutek rokoszu Zebrzydowskiego.

Pozatem cała polityka wewnętrzna zawisła w zupełności od wszechpotężnej szlachty, kierowanej jednak często, ale

w kierunku coraz gorszym, przez degenerujące się możnowładztwo.

Aby zdać sobie sprawę z ewolucji, dokonanej w pierwszej połowie XVII w., przyjrzymy się pokolei: przedewszystkiem stosunkom, dotyczącym ustroju społecznego, a więc ludu wiejskiego, mieszczan, żydów, szlachty i możnowładztwa; następnie ustrojowi państwowemu, skarbowości i polityce ekonomicznej, obronie zbrojnej, administracji i sądownictwu, wreszcie oświacie i stosunkom wyznaniowym.

Zaczynamy od ustroju społecznego. Stosunki miejskie i włościańskie były oczywiście coraz smutniejsze — ale nietyle skutkiem nowych praw i rozporządzeń, ile przez coraz ściślejsze wykonywanie praw dawnych, wydanych jeszcze w XVI w., oraz skutkiem warunków ekonomicznych, stworzonych z jednej strony przez przywileje szlacheckie, z drugiej przez konjunktury handlu, zwłaszcza zbożem.

Tak zwana konfederacja warszawska z czasów pierwszego bezkrólewia, wprowadzając zasadę tolerancji religijnej w Polsce, jednocześnie stwierdziła ostateczne pozbawienie włościan, z wyjątkiem włościan z dóbr królewskich, wszelkich praw politycznych, i usankcjonowała zupełną ich zależność tak prawną, jak i ekonomiczną od władzy patrymonjalnej dziedziców. Czwarty punkt aktu konfederacji z r. 1573 wyraźnie zastrzegał, że nie ma ona w niczem uwłaczać władzy panów nad poddanymi tak w rzeczach świeckich, jak i duchownych *(tam in saecularibus quam in spiritualibus)*. Co do rzeczy duchownych, to pozornie wygląda to na przyjęcie ogólnej zasady, obowiązującej w Niemczech w wojnach reformacji *cuius regio eius religio*, przyczem patrymonjalna władza dziedzica utożsamioną została z władzą panujących w Niemczech tak licznych książątek. W rzeczywistości tak daleko stosunki nie zaszły; pomimo, że znaczna część szlachty-dziedziców trzymała się wyznań reformowanych, o przymusowem nawracaniu chłopów nigdy mowy nie było; najwyżej tyczyły się te prawa dziedzica wprowadzania swoich nabożeństw do kościoła miejscowego, o ile temu nie przeszkodziła baczna na to hierarchja katolicka. Jeżeli w ten sposób władza dziedzica w rzeczach wiary faktycznie była skrępowana, to prawa jego w rzeczach świeckich nie ulegały żadnemu ograniczeniu. Jeszcze Zygmunt I, w drodze tłumaczenia prawa na

sądach, przyznawał, że dziedzic ma nieograniczoną władzę nad chłopem i jest jedyną instancją we wszystkich jego sprawach, tak że od decyzji dziedzica chłop z dóbr dziedzicznych nie mógł się odwoływać do innych instancyj. Ale, gdy sobie uprzytomnimy, że ta zależność patrymonjalna miała swoje źródło w dawnych prawach jeszcze z r. 1496 i w dokonanym w XVI w. przez szlachtę skupie sołectw, po którym dziedzic sam stawał się sołtysem, lub sołtysa naznaczał — będziemy musieli uznać, że pod względem prawnym wiek XVII nie miał już co tworzyć, i że pogorszenie się stanowiska chłopów wypływało wyłącznie z coraz większego zapotrzebowania pracy na roli, tak z powodu powiększenia obszarów folwarcznych, jak też znacznej kolonizacji kresowej. Ta ostatnia wabiła ku sobie rolnika z głębi kraju, a szlachta zatrzymywała go na miejscu przez częste ponawianie konstytucyj o nietrzymaniu cudzych chłopów i wydawaniu ich dziedzicom. W tej polityce można zauważyć pewną różnicę między szlachtą średnią a możnowładztwem: to ostatnie, posiadając znaczne obszary kresowe i zainteresowanie w ich zaludnieniu, nietyle domaga się unieruchomienia ludu wiejskiego i jego przykucia do ziemi, ile właśnie szlachta średnia, dla której ucieczka chłopów równała się często zupełnej ruinie.

Na pogorszenie doli chłopów wpływ bardzo znaczny mają już w XVII w. — żydzi. Ci zjawiają się po wsiach w roli arendarzy i stają się w ręku dziedziców narzędziem coraz większej eksploatacji ludu wiejskiego. Nie ulega wątpliwości, że do wybuchu nienawiści chłopów ukraińskich przeciwko szlachcie i panom przyczyniło się w stopniu bardzo znacznym oddawanie przez nich żydom w dzierżawę karczem, młynów, a nawet całych folwarków. Gdzie żyd się zjawił, tam dola chłopa stawała się z konieczności coraz cięższą i opłakańszą.

Podobne czynniki działały i na upadek miast. Jak rozwinięcie się gospodarstwa folwarcznego sprowadzało kurczenie się łanów kmiecych, tak wywóz zboża i bydła do Gdańska przez samą szlachtę musiał źle oddziaływać na handel miast. Jak prawa, ograniczające włościan, wydane były jeszcze w XVI w., lecz zaczęły być ściśle wykonywane i włościan rzeczywiście przygniatać dopiero w XVII w., tak prawa co do mieszczan, rujnujące ich w XVII w., są pochodzenia znacznie

wcześniejszego, tylko że dawniej mniej szkód sprawiały. Dotyczy to głównie ceł i zakazu wywozu zagranicę wyrobów krajowych, o czem jeszcze mówić będziemy. Wreszcie tak samo jak lud wiejski, cierpiały miasta w XVII w. coraz bardziej od żydów.

Żydzi stworzyli miastom groźną konkurencję. Sadowiąc się pod miastami na różnych «jurydykach» szlacheckich, wyłamywali się oni z pod ograniczeń, nakładanych na nich przez zarządy miejskie. Miasta widziały się zmuszone zawierać z żydami «ugody», którym początek dał jeszcze w r. 1485 Kraków — ugody te miały na celu określić zakres praw żydów do handlu i rzemiosł w miastach, ale oczywiście nie były przez żydów przestrzegane, na co się miasta stale skarżyły, zwykle bez skutku.

Cechą znamienną stosunku panów i szlachty do żydów w Polsce była zawsze ogromna różnica, zachodząca między tem, co się o nich mówi, a tem, co się z nimi robi. Słowa są często groźne, czyny jednak prawie zawsze im przeczą. To też, gdybyśmy o stosunkach żydów w Polsce w wiekach ubiegłych sądzili z konstytucyj, zawartych w Voluminach Legum, doszlibyśmy do wniosków od rzeczywistości dalekich, często wręcz fałszywych. Tak szereg konstytucyj z XVI, XVII i XVIII wieku zakazuje żydom dzierżawienia ceł i myt — tymczasem cła i myta były przeważnie w rękach żydowskich, czego dowodzi choćby stałe powtarzanie tych samych zakazów, których widocznie nikt nie przestrzegał. A jeżeli żydzi umieli wyłamywać się z pod działania konstytucyj sejmowych, to również mało liczyli się z zarządami miast.

Prawo odróżniało trzy kategorje żydów: królewskich, szlacheckich i mieszkających w dobrach duchowieństwa. Względnie najtrudniej było żydom z duchowieństwem, które niechętnie ich do swych dóbr dopuszczało, najłatwiej z panami i szlachtą, ale niezbyt trudno i z przedstawicielami władzy królewskiej — wojewodami i starostami. Jurysdykcja nad żydami w miastach królewskich należała do wojewodów, z których wielu odznaczało się wyjątkową dbałością o interesy żydowskie; w miastach szlacheckich do dziedziców, z którymi żydzi wchodzili w coraz ściślejsze stosunki ekonomiczne i stawali się powoli ich doradcami i głównymi wykonawcami w dziedzinie finansowej, oczywiście z coraz większem ucie-

mężeniem ludności wieśniaczej. Szlachta dopomagała też żydom przeciwko miastom królewskim, a to w sposób dwojaki: przez odciąganie handlu z miast królewskich do wsi, lub miast szlacheckich, i przez t. zw. «jurydyki», t. j. przedmieścia, tworzone przez szlachtę pod bokiem miast królewskich, podlegające nie jurysdykcji miejskiej, lecz dziedzica.

Zupełna powolność względem interesów żydów nie przeszkadzała zresztą szlachcie polskiej żywić do nich tej samej pogardy, jakiej żydzi doznawali w całej Europie, dzięki swym zwyczajom, swoistej etyce względem chrześcijan, oraz niepomiernej uniżoności wobec silniejszego. Pogarda ta przeniosła się w Polsce sposobem fatalnym i na główne zajęcie żydowskie, jakiem był już w XVI w. handel. Tu szukać należy motywów moralnych i psychologicznych, które, obok motywów natury ekonomicznej, doprowadziły do ostatecznego zakazu szlachcie «bawienia się łokciem i miarką», pod grozą utraty szlachectwa.

Gdyż o ile w oczach społeczeństwa polskiego w XVII w. zajęcia miejskie poniżane były coraz bardziej, o tyle wzrastało znaczenie tak społeczne, jak i prawne, klejnotu szlacheckiego. Na sejmie w r. 1601 stanęła konstytucja: «O nowej szlachcie». Czytamy w niej (pisownię modernizujemy): «Szlachty nowej zagęściło się bardzo wiele i coraz to jej więcej rozmaitemi sposoby przybywa; przeto, zabiegając temu, postanawiamy to na potem, że My i Potomkowie nasi żadnego do szlachectwa przypuszczać nie mamy, jedno któryby był Nam od Senatu i Posłów Sejmowych, a w wojsku od Hetmana zalecony, z znacznych zasług jego w Rzeczypospolitej. Ażeby potajemnie to się nie odprawowało, przeto każdego takowego szlachectwo konstytucją objaśniać będziemy: inaczej żaden list na szlachectwo ważny być niema. Tego też dokładając, że niczyjego poddanego przeciwko woli i zezwoleniu pana dziedzicznego do szlachectwa nie przypuścimy: inaczej ktoby otrzymał i otrzymywać będzie, takowego szlachectwo ważne być niema». Z konstytucji tej widzimy, jak zazdrosną już była szlachta o swoją wyłączność klasową. Dawniej, w r. 1578, stanęła była konstytucja p. t.: «*Plebeiorum nobilitatio*», mocą której plebeje nie mogli być wyniesieni do szlachectwa inaczej, jak tylko na sejmie, z wiadomością senatu, albo w wojsku dla znacznego swego męstwa i dzielności. Otóż, jak wi-

dzimy, w r. 1601, zamiast «wiadomości senatu», król potrzebował już «zalecenia senatu i posłów sejmowych», a nobilitacja pozasejmowa w wojsku została zupełnie skasowaną. Nowe jest także wymaganie zgody dziedzica na nobilitację włościanina z dóbr szlacheckich.

Szlachta jest wszechwładną, na elekcji, na sejmie, na sejmiku, na swem dziedzictwie, które bez względu, czy przedstawia latyfundjum, czy też kawałek łanu, przypomina państwo udzielne, gdyż dziedzic panuje nad swym kmieciem niepodzielnie, nie podlega żadnym ograniczeniom co do wolności osobistej, oraz żadnej rewizji (nawet jeżeli banita jest w jego domu), nie płaci żadnych podatków od roli, uprawianej pracą pańszczyźnianą, a od roli kmiecej, z wyjątkiem dwóch groszy z łanu, tylko tyle, ile bracia za ogólną zgodą uchwalą na sejmach lub sejmikach. I owe dwa grosze z łanu, datujące się jeszcze od paktu koszyckiego z r. 1374 (zwane zwykle poradlnem lub podymnem), i właściwie będące na początku XVII w. wobec deprecjacji grosza jedynie starodawną pamiątką bez znaczenia [1]) — właśnie dlatego, że «pachniały niewolą», zostały także w tym czasie, a mianowicie na sejmie elekcyjnym z r. 1632 skasowane. Odtąd szlachcic do płacenia jakiegokolwiek podatku nie był zobowiązany; mógł na podatek jedynie — pozwolić. Ale nawet w razie uchwalenia podatku, wolne od niego były ziemie folwarczne. Zresztą tak było wszędzie w Europie, z wyjątkiem Anglji, a to z powodu, że szlachta płaciła podatek krwi, t. j. służby wojskowej. Służba ta jednakże od XVI w. staje się coraz bardziej problematyczną, gdyż, wobec udoskonalenia taktyki wojennej, regularne wojska zaciężne stały się koniecznością, a pospolite ruszenie, jeżeli dawało się jeszcze komu ciężko we znaki, to już nie nieprzyjacielowi, ale jedynie ludności krajowej, którą objadało i niszczyło. To też pospolitego ruszenia zwykle już nie powoływano, a głośne oświadczania się szlachty z ochotą wojenną były zwykle pokrywą do nieuchwalenia potrzebnych podatków wojennych, lub środkiem do wytargowania czegoś od króla. Znanem jest przemówienie Jana Kazimierza na sejmie z r. 1668, gdy szlachta napierała się pospolitego ruszenia:

[1]) Cały ten podatek dwugroszowy z łanów kmiecych w całej Polsce w r. 1569 wyniósł zaledwie 10.000 złp.

«Znam ja» — mówił król — «że w tem pospolitem ruszeniu jest żyd zagrzebany; jeśli go macie, odkopcie go, a powiedzcie, czego wam niedostaje».

Nie orjentując się w potrzebach ogólnopaństwowych, nie znając stosunków zagranicznych i nie dbając o nie wcale, obawiając się wszelkich wojen zaczepnych, a jeszcze bardziej dążeń absolutystycznych ze strony własnych królów — szlachta nie odczuwała potrzeby uchwalania podatków, zresztą była zawsze skąpą na ofiary publiczne. Nawet największe niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciół ościennych, Turków, Tatarów, Moskwy lub Szwedów, nie było w stanie skłonić szlachty sejmującej lub sejmikującej do uchwalenia potrzebnych podatków — były one zawsze spóźnione i niedostateczne, a wypłata zawsze niezupełna. Jeden tylko nieprzyjaciel miał wpływ magiczny na kieszeń szlachecką — to grasujący w dobrach szlacheckich niezapłacony własny żołnierz zaciężny.

Ale jeżeli szlachta w XVII w. nie płaciła podatków i ceł, to pamiętać należy, że tak było nie w jednej tylko Polsce, ale wszędzie w Europie, z wyjątkiem Anglji; tylko że wszędzie władza centralna, pod wpływem absolutyzmu, znajdowała sposoby przeciwdziałania złym skutkom przywilejów szlachty. W Polsce, zaś wobec zupełnego upadku władzy królewskiej i zniszczenia równowagi stanów, ewolucja państwowa i społeczna dąży nie ku poprawie, lecz ku stosunkom coraz anormalniejszym; szlachta, przez nikogo nie powstrzymywana, zbliża się wielkiemi krokami do tego obłędu z drugiej połowy XVII w., którego wyrazem będzie uczony doktryner «złotej wolności» A. M. Fredro, i który popchnie naród szlachecki do wyboru w r. 1669 możliwie najgłupszego króla, w osobie Michała Wiśniowieckiego. Pamiętać należy, że już na elekcji Władysława IV w r. 1632 jedynym zarzutem, który mu stawiała część szlachty, była obawa — by nie był mędrszy, niż Polsce było potrzeba [1]).

Możnowładztwo w XVII w. stanowiło tylko piętro najwyższe w budowie licznego «narodu szlacheckiego» — jako takie, dzieli ono z całą szlachtą wszystkie jej przywileje, ale, choć bardziej obeznane z tem, co się dzieje po świecie, stara się wprowadzać stamtąd do Polski nie ów ład, który zaczął

[1]) Czermak: «Plany wojny tureckiej Władysława IV», str. 14.

już tworzyć się w Europie w XVII w., pod wpływem coraz potężniejszego tam absolutyzmu, lecz jedynie pewne zwyczaje zachodnie, mające styczność z uprzywilejowanem tam stanowiskiem arystokracji rodowej. Do takich zwyczajów należały: ordynacje i tytuły.

Ideałem szlachty polskiej od XVI w. była wolność, ale ideałem również była fikcja szlacheckiej równości. Wiadomo, że te dwa ideały trudno się z sobą łączą, będąc właściwie w życiu społeczeństw pojęciami sprzecznemi: wolność prowadzić musi do różnic socjalnych, a dążenia równości nie dadzą się pomyśleć bez ograniczeń wolności. Ale prawda ta jasna, jak słońce, w teorji, w życiu narodów nie ma debitu. Ludzkość chętnie oddaje się ułudom i, w dążeniu do raju ziemskiego, przerzuca się to w jedną, to w drugą ostateczność. Szczęśliwe te społeczeństwa, które, jak angielskie, mało dbając o teorje, hasła i ideały, wskazań szukają w praktyce dziejowej i tą drogą wytwarzają współżycie społeczne, oparte na kompromisach wzajemnych i interesach realnych. Mniej szczęśliwe te, które w pogoni za ideałem, jednostronnie równość poświęcają dla wolności, lub odwrotnie; dochodzą do ostateczności i kończą na rewolucjach. Ale najnieszczęśliwsze są te, które, jak Polska szlachecka, chcąc łączyć z sobą ostateczności i dążąc w dwie przeciwne strony — muszą stanąć w miejscu.

Na początku XVII w. szlachta, osiągnąwszy maksimum wolności, zazdrośnie dążyć zaczęła do fikcji równości zupełnej. Uczucie równości stało się jej drugą naturą.

W XVI w. dwie rodziny stworzyły ordynacje: Radziwiłłowie i Zamoyscy. Na początku XVII w. spotykamy jeszcze dwie konstytucje sejmowej co do ordynacyj: w r. 1601 pozwolono na utworzenie ordynacji braciom Myszkowskim, a w roku 1609 Januszowi Ostrogskiemu. Odtąd tworzenie nowych ordynacyj stało się tak niepopularnem, że ich nie spotykamy aż do sejmu rozbiorowego 1773—1775, na którym, jak wiadomo, zatwierdzoną została nowa ordynacja ks. Sułkowskich.

Co do tytułów arystokratycznych, książąt, hrabiów etc., wybuchła o nie sroga burza na sejmie r. 1638.

W Polsce piastowskiej byli książęta i komesowie — ale książętami były wyłącznie osoby rozrodzonej panującej rodziny piastowskiej, a komesowie piastowscy nic nie mają wspólnego z późniejszym tytułem hrabiów. W wiekach średnich wyraz łaciński *comes*, niemiecki *Graf* (skąd nasz hrabia) zmieniał dwa razy znaczenie, a rozróżniać tu należy trzy epoki. Początkowo do X w. nazwą tą oznaczano członków rady panującego i wszystkich dostojników państwowych; była to więc nazwa czysto urzędnicza. Następnie od X w., z rozwinięciem się feudalizmu, nazwa ta traci powoli znaczenie urzędnicze i staje się oznaką pewnego stanowiska w hierarchji feudalnej, zależnie od posiadanej ziemi na prawie lennem. Wreszcie już w XIV w. nazwa ta staje się oznaką honorową i coraz bardziej uniezależnia się od posiadania ziemi. Otóż Polska znała komesów głównie w pierwszem, urzędniczem, znaczeniu; mniej w drugiem, gdyż feudalizm w Polsce się nie rozwinął, a rezultatem tego było powolne zaniknięcie nazwy comes i nieprzyjęcie się jej później, jako oznaki czysto honorowej. Gdy więc następnie spotykamy się w Polsce jagiellońskiej z nazwą hrabiowską, honorową, t. j. z tytułem rodowym, jest to bądź reminiscencją z czasów komesów urzędniczych (rzadziej quasi feudalnych), bądź tytułem przywiezionym z zagranicy. Tylko Władysław Jagiełło, poślubiwszy wdowę, Elżbietę Granowską, z domu Pilecką, nadał jej synowi z pierwszego małżeństwa, Janowi z Granowa i Pilicy, tytuł hrabiego «na Pilicy i Jarosławiu». Innych nadań królów polskich nie spotykamy, bo szlachta ziemiańska stale się sprzeciwiała tworzeniu się arystokracji rodowej, jako szlachty wyższej. Ale królowie polscy niejednokrotnie potwierdzali przywileje na tytuły, otrzymane zagranicą od cesarzów rzymsko-niemieckich, oraz w aktach uznawali tytuły komesowskie, często wprost przez zwyczaj nadawane pewnym rodom, lub miejscowościom.

Cesarze rzymsko-niemieccy w nadawaniu Polakom tytułów nie byli skąpi, zwłaszcza, że tą tanią drogą mogli kaptować sobie lub wynagradzać możnych panów polskich, a kancelarja cesarska zwykle dobrze na tem zarabiała. W XIV w. dwaj bracia Lanckorońscy otrzymali tytuł hrabiów św. państwa rzymskiego, uznany przez Kazimierza Wielkiego. W XV wieku taki tytuł od cesarza otrzymali Ostrorogowie, Leszczyńscy i Komorowscy. Po zjeździe Jagiellonów z cesarzem Maksymiljanem w Wiedniu w r. 1515, na którym Maksymiljan zabezpieczył dla swego domu następstwo tronu na Węgrzech i Czechach, sypnęły się na panów polskich tytuły cesarskie.

Więc Krzysztof Szydłowiecki i Mikołaj Firlej zostali hrabiami, a Mikołaj Radziwiłł księciem. W ciągu XVI w. tytuły hrabiowskie św. państwa rzymskiego otrzymali: Górkowie, Tęczyńscy, Latalscy, Tarnowscy, Rozrażewscy, Chodkiewiczowie, Iliniczowie, Lubomirscy, Kmitowie, Oleśniccy i Łascy. W r. 1547, po zaślubieniu przez Zygmunta Augusta Barbary Radziwiłłówny, Radziwiłłowie (których tylko jedna linja była uksiążęcona w r. 1518 i wygasła w r. 1546) wyrabiają sobie (za drogie pieniądze) nowe dyplomy na tytuł książęcy św. państwa rzymskiego «na Ołyce i Nieświeżu» i na «Birżach i Dubinkach». W r. 1598 Zygmunt Myszkowski, wskutek adoptacji przez księcia Mantui, margrabiego Gonzagi, otrzymał tytuł margrabiego, co mu w roku 1605 potwierdził papież Klemens VIII.

Wszystkie te tytuły gniewały szlachtę. Widziała ona obok, na Węgrzech i w Czechach, jak Habsburgowie, oparłszy się na znaczniejszych rodach i wyróżniwszy je tytułami, przygnietli szlachtę drobniejszą i zaprowadzali coraz bezwzględniejsze rządy absolutystyczne. Znane są przemówienia Jana Zamoyskiego: «Czemże są owe nazwiska książąt, hrabiów, margrabiów? Ci, co je zrazu dostali, byli poprostu rycerskiego stanu ludźmi, nie wynieśli się przeto ponad poziom stanu rycerskiego, a jeżeli te tytuły potomstwu swemu przekazali, ganić ich raczej trzeba, że to, co do całego stanu należało, wyłącznie sobie przywłaszczyli», a także: «Wkradło się w ciało Rzeczypospolitej zło wielkie, zło toczące żywotność jej... ta nierówność, co się w stan nasz szlachecki zewsząd wciska. Prosimy WKMości, abyś jej nie dopuszczał i, jakieś swobody i wolności nasze zastał, takie zachować raczył. Nic nam po tych obcych tytułach, za któremi się u cudzych książąt niektóre rody uganiają; nie dopuszczaj WKMość jednym familjom wynosić się nad drugie. Co do mnie, wolę z cną bracią swoją równe wolności zażywać; jakoż dalibóg i najmniejszego szlachcica równym sobie kładę we wszystkiem».

Ale życie jest silniejsze od wszelkich doktryn. Żadne społeczeństwo nie może się składać z samych Katonów, a i sam Jan Zamoyski w końcu życia wysoko się wyniósł ponad szlachtę.

Przytem nierówności majątkowe i umysłowe stawały się z biegiem czasu coraz większe, zwłaszcza po przyłączeniu się do możnowładztwa polskiego bogatych rodzin litewskich i ruskich, z których większość składała się z dawnych rodzin kniaziowskich. Na mocy aktów unji, tytuły te kniaziowskie zostały im urzędownie przyznane i żadnemu zaprzeczeniu ulec nie mogły. Przy takim stanie było rzeczą naturalną, że i bogatsze rodziny z Korony, nie chcąc ustępować możnym rodzinom litewskim, a także cudzoziemcom, z którymi się spotykano w czasie licznych w owym czasie podróży zagranicą, także dbały o tytuły i starały się je pozyskać. Nienaturalną natomiast rzeczą było to, że po te tytuły musiano się udawać zagranicę, zamiast otrzymywać je od własnego króla. Ale logika nie jest udziałem polityki tłumów, i nadanie tytułu przez króla polskiego okrzyczanemby zostało przez szlachtę (a i przez zawistnych współzawodników z możnowładztwa), jako pogwałcenie równości szlacheckiej i dążenie do absolutyzmu.

To też i na początku XVII w. spotykamy się z nadaniami tytułów przez cesarza. Hrabiami św. państwa rzymskiego zostali w r. 1631 Marcin Krasicki, a wkrótce potem Kacper Denhoff. Ale burza wybuchła dopiero, gdy Jerzy Ossoliński, piszący się już hrabią na Tęczynie, wysłany w r. 1633 z poselstwem do Rzymu, wrócił do kraju bez wszystkich spodziewanych ustępstw ze strony papieża, ale zato z nadanym mu świeżo i przez papieża i przez cesarza tytułem książęcym; papież mianował go księciem na Ossolinie *(dux in Ossolin)*, cesarz księciem św. państwa rzymskiego *(princeps)*.

Ossolińscy w owym czasie byli rodziną senatorską dopiero na dorobku. Jerzy Ossoliński posiadał zaledwie siedem folwarków dziedzicznych, był więc zaledwie zamożnym szlachcicem. Nagłe i tak ostentacyjne wywyższenie młodego posła dotknęło nietylko szlachtę, ale i wielu magnatów. Wskazywano na to, że papież ośmielił się dla nadania tytułu stworzyć nowe terytorjalne księstwo w Polsce (książę «na Ossolinie»), i że Ossoliński, jako książę św. państwa rzymskiego, będzie miał prawo kupować dobra w Niemczech, na Węgrzech i w Czechach, i tworzyć ordynacje obok granic Rzeczypospolitej. Przykład taki mógłby pobudzić innych możniejszych panów do szukania również takich odznaczeń, i tytuły, z którymi panowie dotychczas starali się ukrywać, zaczęłyby się rozpowszechniać i zagrażać równości szlachec-

kiej. Wśród szlachty wrzało, przygotowywała się burza, która też, poprzedzona przez sejmiki, wybuchła na sejmie w r. 1638.

Instrukcje posłów ziemskich, uchwalone na sejmikach, wyraźnie zastrzegały, aby wszystkie tytuły cudzoziemskie raz na zawsze zostały z kraju wyświecone, i by król nawet projektowanego orderu Niepokalanego Poczęcia nie wprowadzał. Na sejmie gotowała się też gorąca opozycja przeciwko królowi; podejrzywano go o zachcianki absolutyzmu. Szlachta mówiła: «Że mu nie brak na chęciach zniszczenia wolności, od tego jest królem. Niema takiego króla, któremuby wolność narodu uciążliwą nie była».

Po długich krzykach i sporach, stanęła na sejmie r. 1638 konstytucja «O tytułach cudzoziemskich». Czytamy w niej, co następuje[1]):

«Lubo tak wysoką jest prerogatywa wolności, którą stan rycerski w tej Rzeczypospolitej jest ozdobiony i znacznie przewyższa wszystkie tytuły i preminencje, któremi gdzie indziej znaczenie rodowe odznacza się, i dlatego też wiele książęcych familij, zasmakowawszy sobie ozdoby stanu szlacheckiego, wyżej sobie poczytały być przyjętemi do grona ogólnej wolności i równości, niżeli się swojemi szczycić preminencjami; jednak, aby sobie kto przez różnorodność tytułów większych, aniżeli na to pozwala równość szlachecka, preminencyj nie pretendował, ani uzurpował, deklarujemy, że jako równością praw w tem najwolniejszem z państw wszyscy stanu rycerskiego ludzie równi są sobie, tak ta różnorodność tytułów równości szlacheckie znosić nie może, ani różnicy w urodzeniu wnosić; i tak prawem wiecznem zastrzegamy, że żadnych tytułów ani świeższych, ani dawniejszych nikt zażywać, ani nowych upraszać nie może, ani będzie (prócz tych, które są w Unji przyjęte). A w kancelarjach naszych grodzkich i ziemskich dawane nikomu i przyjmowane nie będą; wszakże jednak i ci[2]) jednostajności prawa i równości stanu rycerskiego, jako dawniej, tak i teraz, podlegać mają».

Zastrzeżenie to co do tytułów litewsko-ruskich ledwie przez sejm przeszło. Wielu starało się je obalić, jednak nowa

[1]) Dajemy pisownię dzisiejszą i wyrażenia łacińskie tłumaczymy.
[2]) T. j. mający tytuły, przez unję przyjęte.

konstytucja z r. 1641 znów wyraźnie zastrzeżenie to powtórzyła.

Czy jednak konstytucje te przeszkodziły szukaniu przez panów polskich tytułów zagranicznych, t. j. zdobywaniu sobie tą drogą przez cesarzy wpływów w Polsce? Oczywiście nie; i już zaraz w r. 1647 Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski, mający już dyplom ojcowski na hrabiego św. państwa rzymskiego, dostaje nowy dyplom na księcia św. państwa rzymskiego — dyplom ten leżeć będzie czas jakiś w schowaniu, ale synowie wojewody powoli zaczną zeń korzystać.

Bo też, odmawiając tytułów, jako szkodzących równości, szlachta jednocześnie z tem nietylko nie walczy z coraz bardziej rosnącą przewagą materjalną możnowładztwa, ale owszem, widocznie coraz umiejętniej przez nie kierowana, sama do jego bogactw się przyczynia. Widzimy to np. w zachowaniu się szlachty w sprawie starostw. Stanowiły one ogromne obszary, a wiele z nich przedstawiało prawdziwe latyfundja. Wszystkie te dobra koronne, z małym wyjątkiem, a jeżeli mowa o ważniejszych z nich, to bez wyjątku, oddawane były przez królów jedynie przedstawicielom rodów magnackich. Oddawane były dlatego, że gdyby król tego nie zrobił, wywołałby nietylko natychmiastowe «urazy» ze strony petentów, ale, co ważniejsza, urazy te byłyby podtrzymane przez szlachtę sejmikującą i sejmującą. Rzecz w tem, że magnaterja umiała już «czapką i papką» i zyskiwaniem klientów i przyjaciół zapewniać sobie w osobistych swych sprawach poparcie szlachty; pośredniczący stale między królem a szlachtą, potrafiła stać się (oczywiście znów głównie w zakresie interesów mniej lub więcej prywatnych) potrzebną i dworowi i szlachcie, mogąc w miarę potrzeby strony te godzić lub jątrzyć. Interes magnata zastępuje coraz częściej interes publiczny. Przypomnijmy sobie jeszcze, że gdy w r. 1632 część szlachty, chcąc uwolnić się częściowo od podatków, zamierzała przeznaczyć ze starostw podwójną kwartę na wydatki wojskowe, panowie umieli ją odwieść od tego zamiaru argumentem charakterystycznym, że, jeżeli nadzieja nagrody osłabnie, to osłabnie i ochota służenia ojczyźnie.

Szlachta zgadzała się także na ogromne nadania, czynione magnatom na kresach Ukrainy. Tłumaczono szlachcie, że tą drogą najlepiej będą zabezpieczone kresy tak od napa-

dów tatarskich, jak i od swawoli kozackiej, gdyż bogaci panowie trzymali znaczne poczty zbrojne, które zastępowały siłę zbrojną państwową, zawsze niedostateczną z powodu stałej niechęci szlachty do wszelkich ciężarów podatkowych.

W ten sposób możnowładztwo, straciwszy możność kierowania sprawami publicznemi na rzecz szlachty, w sprawach osobistych nietylko na siłach nie upadło, lecz, owszem, podnosiło się coraz bardziej, dzięki gromadzonym ogromnym środkom materjalnym. Z arystokracji rodowej możnowładztwo stało się plutokracją szlachecką, a zdobywszy znaczne wpływy na szlachtę, zaczęło coraz bardziej przyczyniać się do anarchji w Polsce. Cała zaś ofiarność magnaterji zaczyna stopniowo, z postępem bigoterji, ograniczać się do coraz powszechniejszego fundowania kościołów i klasztorów.

Ewolucja ustroju państwowego Rzeczypospolitej polskiej w pierwszej połowie XVII w. nie przedstawia zmian zasadniczych w porównaniu z tem, do czego doszła Polska w końcu XVI w., a to z powodu, że już wtedy doszła ona do ostatnich konsekwencyj ustroju jednostanowego i federacyjnego. Nie możemy tu wchodzić w bliższy rozbiór tego ustroju. W ogólnych tylko zarysach zaznaczymy, że ustrój ten był nietylko gorszym od wyjątkowo szczęśliwego, bezstanowego ustroju angielskiego z końca XVII w., ale też gorszym od ustrojów stanowych Europy kontynentalnej. W Anglji, skutkiem nadmiernie twardego absolutyzmu, wytworzyło się wcześnie poczucie ogólnonarodowe, a stąd i przedstawicielstwo, kierowane interesem publicznym. Na kontynencie Europy stany oddzielne przez całe średniowiecze pilnowały tylko własnych interesów, i reprezentacja stanowa była tylko federacją przedstawicieli oddzielnych stanów; jeżeli ta reprezentacja stanowa uwzględniała w pewnym stopniu również interesy ogólnonarodowe, to tylko o tyle, o ile to wynikało ze ścierania się sprzecznych interesów poszczególnych stanów. Zmiany w kierunku poddania interesów stanowych pod wymagania dobra publicznego dokonał na kontynencie Europy dopiero absolutyzm czasów nowożytnych.

W sejmach polskich z końca XVI w., choć napozór mają tam swych przedstawicieli trzy stany, szlachta, duchowieństwo i miasta (w czasach późniejszych król, stan senatorski i szlachta), jednak w rzeczywistości supremacja szlachty jest tak zupełną, że jeżeli usunie się na bok kazuistykę prawną, sejmy i sejmiki polskie od końca XVI w. można nazwać reprezentacjami w zupełności jednostanowemi. W ten sposób reprezentacja ta, pilnując interesów stanowych, nietylko nie była wyrazicielką potrzeb ogólnonarodowych, ale będąc jeszcze pozbawiona w swojem łonie wszelkiej przeciwwagi ze strony stanów innych, oprócz szlachty, żywiołowo była skazana na coraz większą jednostronność i fatalnie dążyć musiała do zwyrodnienia.

Mało tego. Do przyśpieszenia tego zwyrodnienia przyczynia się druga właściwość ustroju Polski — jej federalizm. Federalizm w państwie, złożonem z tak różnorodnych żywiołów narodowych, jak Rzeczpospolita polska po unji lubelskiej, był zasadą zdrową. Ale nie o federacji oddzielnych obszarów etnograficznych lub historycznych tu mówimy. Mowa tu o zupełnem rozbiciu się państwa pod względem terytorjalnym na drobne jednostki, województwa i ziemie, (a sczasem i powiaty), i o uzurpowaniu przez te drobne jednostki funkcyj nietylko samorządu lokalnego, lecz także funkcyj ogólnopaństwowych. Wprawdzie i w Anglji samorządy lokalne nie były pozbawione pewnych funkcyj ogólnopaństwowych, ale, gdy w Anglji funkcje te ograniczały się do wykonywania ustaw i uchwał rządów centralnych, w Polsce sejmiki zajmują względem sejmów stanowisko nie podrzędne, lecz równorzędne, a właściwie przeważające.

W ten sposób wytworzyła się w Polsce sytuacja wyjątkowa. Gdy inne państwa Europy kontynentalnej miały federacje stanów, polska reprezentacja jednostanowa była także federacją, ale nie stanów, lecz interesów drobnolokalnych. Stąd jednostronność jednostanowego ustroju Polski potęgowała się przez odśrodkowy i antypaństwowy charakter przedstawicielstwa interesów lokalnych. Interesy ogólnopaństwowe musiały ustępować nietylko przed interesami klasowemi ogółu szlachty, ale także przed interesami lokalnemi szlachty poszczególnych prowincyj, województw, ziem lub powiatów. Na tem tle wyrobiły sobie wreszcie posłuch i interesy — jednostek szlacheckich.

Oba te kierunki ustroju państwowego Polski, jednosta-

nowość i wybujała decentralizacja, rozwinęły się zupełnie, jakeśmy to powiedzieli, już w końcu XVI w. Władza państwowa przeszła do tłumów szlacheckich, i przewaga sejmików nad sejmami, chwilowo, zdawało się, powstrzymana i zmniejszona przez prąd egzekucyjny za Zygmunta Augusta, nie ulegała żadnemu zaprzeczeniu. W XVII w. kierunki te, nie mogąc się już wznosić wyżej, umacniają się tylko, kombinują wzajemnie i wykwitają w wczesne owoce zaczynającej się anarchji. Przedewszystkiem zjawia się rokosz Zebrzydowskiego.

Przebiegiem samego tego ruchu anarchicznego, jakim był rokosz Zebrzydowskiego, zajmować się tu nie możemy; zwrócimy tylko uwagę na jego wpływ na ustrój państwowy. Napozór rokosz Zebrzydowskiego skończył się zwycięstwem idei porządku nad żywiołami destrukcyjnemi; znakomita większość narodu stanęła po stronie króla, rokoszanie zostali pobici, Zebrzydowski i Radziwiłł stracili wszelki wpływ i musieli się usunąć od życia publicznego, wreszcie artykuł *de non praestanda oboedientia*, który posłużył za podstawę prawną rokoszu, został przez konstytucje z r. 1607 i 1609 w ten sposób wyjaśniony, a właściwie zmodyfikowany, że wypowiadanie królowi posłuszeństwa, na wypadek pogwałcenia przez niego praw, mogło mieć miejsce nie samowolnie, lecz po całym szeregu formalności prawnych, jak zwrócenie uwagi króla przez senatorów i posłów, wreszcie zapadnięcie odpowiedniej uchwały na sejmie. Cóż z tego, kiedy nasiona, rzucone przez rokosz, trafiły już na grunt odpowiedni i, pomimo wszelakich praw zapobiegających, musiały wydać plon odpowiedni. A plon ten był obfity: poniżenie w oczach narodu władzy królewskiej, nieufność do wszystkiego, co pochodziło od dworu, wreszcie ustalenie się zasady zawiązywania konfederacyj, jako środka niejako legalnej obrony wolności w chwilach niebezpieczeństwa.

Zasada federacyjna tkwiła głęboko w całym ustroju stanowym średniowiecza. Życie narodowe rozbite było na życie oddzielnych stanów; wspólne potrzeby wywoływały konieczność łączenia się stanów, lub pewnych ich części. «Zwyczaj łączenia się w związki» — mówi Hofman — «znanym był w całej Europie. We Francji zwano je Ligami, w Hiszpanji Juntami, w Niemczech Hanzami, Kommuniami, Konstytucjami, Konjuracjami; w Polsce zatrzymały nazwę Konfederacyj». Z tego ducha federacyjnego wynikły i stałe reprezentacje stanów w rodzaju zjazdów, a później sejmów, a o ile one nie wystarczały, uciekano się do konfederacyj doraźnych, zwoływanych ad hoc. Taką doraźną konfederacją była np. konfederacja, utworzona w r. 1438 w Nowym Korczynie przez stronnictwo Zbigniewa Oleśnickiego przeciwko stronnictwu Spytka z Melsztyna, który znów stworzył swoją kontrkonfederację. Taką konfederacją, choć na mniejszą skalę, była utworzona w r. 1464 konfederacja ziemi lwowskiej, powiatu żydaczowskiego i miasta Lwowa przeciwko burzycielom porządku (Odrowążom). Taką konfederacją, choć utajoną, była właściwie i wojna kokosza w r. 1537. Wreszcie, gdy dzwony wawelskie obwieściły w r. 1572 śmierć ostatniego Jagiellona, i «padł strach na całe osierocone królestwo», zaczęły się zjazdy panów i szlachty, oraz różne konfederacje (kaptury) oddzielnych województw, które doprowadziły do utworzenia w r. 1573 jeneralnej konfederacji, zawiązywanej odtąd stale po śmierci króla na sejmie konwokacyjnym.

W r. 1606 rokoszanie zawarli między sobą konfederację na zasadach prawa *de non praestanda oboedientia*. Odtąd konfederacje były zawiązywane stale, jako naturalny sposób obrony w wypadkach nadzwyczajnych; stały się surogatem, dopełnieniem lub negacją samych sejmów. A skoro wymyślony został taki środek dla wypadków nadzwyczajnych, można było już mniej dbać o sejmy, i nie widziano konieczności ich udoskonalać i doprowadzać do sprawności.

To też sejmy zaczęły nie dochodzić. Właściwie i instrukcje poselskie i nieuznawanie zasady większości wynikały z samej istoty reprezentacyj stanowych, jakiemi, pomimo ich faktycznej jednostanowości, pozostały sejmy polskie. Ale co dawniej było wyjątkiem, dziś stawało się regułą, gdyż, gdy dawniej starano się interesy poszczególne godzić, a konkluzja do śmierci Zygmunta Augusta właściwie należała do króla, od końca XVI w. coraz częściej myślano nie o godzeniu, lecz o burzeniu i rwaniu. By jednak burzyć i rwać, należało prócz prawa formalnego mieć dostateczne podstawy faktyczne, a między niemi odpowiednią siłę, któraby się nie bała przewagi, jaką zawsze daje większość. Tą siłą coraz częściej stawali się magnaci. Za podstawę do burzenia sejmów służyły

sny żołnierz zaciężny, rabujący wszystkich gorzej od Tatarzyna.

Głównym z uchwalanych podatków był t. zw. pobór, wybierany z łanów (oprócz folwarcznych). Zwał się on symplą, gdy wynosił 30 groszy z łanu; lecz uchwalano także dublę, t. j. pobór podwójny, triplę, t. j. potrójny itd. Od r. 1629 miejsce poboru zajmuje podymne, obliczone nie od łanu, ale od dymu, t. j. domu o jednym kominie. Miasta płaciły podatek zwany szos, później także podymne. Żydzi płacili pogłówne, które pobierano ryczałtowo, gdyż żydzi systematycznie uchylali się od spisu. Jako podatek pośredni występuje czopowe. Jak widzimy, narazie nie tak wiele było rodzajów podatków; dopiero od drugiej połowy XVII w. zacznie się prawdziwa powódź podatków przeróżnych, idąca równolegle z coraz większym upadkiem skarbu państwowego.

Kontrolę nad uiszczaniem uchwalonych podatków sprawowały od r. 1613 t. zw. trybunały skarbowe; w Koronie radomski, na Litwie wileński. Szlachta polska wolną była od ceł, a uchwalone podatki obciążały tylko łany, uprawiane osobiście przez samych gospodarzy, więc przeważnie łany kmiece. Zjawisko to w XVI w. wspólne było z całą Europą [1]), z wyjątkiem Anglji. W XVII w. jednak w innych państwach europejskich następują stopniowe co do tego zmiany, a to pod wpływem absolutyzmu, który, otrzymawszy z czasów feudalnych skarbowość państwową w stanie zupełnego rozprzężenia, doprowadza ją powoli do form bardziej nowożytnych. Wobec ogólnego więc pochodu naprzód, konserwatyzm polski w XVII w. staje się coraz większem zacofaniem.

Polityka ekonomiczna jest umiejętnością, jak wiemy, trudną; potrzebuje orjentowania się w skomplikowanym mechaniźmie gospodarstwa społecznego, znajomości technicznych, miary w sądzie, doświadczenia. Kto w Polsce w XVII w. miał się polityką ekonomiczną zajmować? Jak wiemy, wszyscy byli zajęci tylko sobą, nikt całością. Jednostronny kierunek ustroju państwowego i społecznego, oparty na wszechwładzy rolniczej demokracji szlacheckiej, nakładał na całe życie,

[1]) **Korzon** zapewne przez pomyłkę w § 32 «Dziejów wewnętrznych» (tom II, str. 6, podług wyd. 2-go) wyraził się o wolności szlachty polskiej od cła, jako o «pierwszym wielce oryginalnym, bodaj jedynym w Europie wynalazku».

a więc i na życie ekonomiczne ówczesne piętno jednostronności; zanikające żywe źródło wyższej oświaty i bliższego kontaktu z Zachodem usuwało możność badań naukowych i porównań. Poniżenie kupiectwa polskiego tłumaczy brak odpowiedniego zrozumienia w społeczeństwie dla rzeczy handlowych. Wreszcie, chociaż Polska posiadała wyjątkowo znaczną ilość żydów, którzy tak wybitną odegrali rolę w przewrocie handlowym w XVI i XVII w., to przecież pamiętać należy, że ci żydzi, którzy tę rolę odegrali w Europie zachodniej, mało byli podobni do żydów, zapełniających Polskę; pierwsi byli wychodźcami głównie z Hiszpanji i Włoch, i nieśli z sobą bogactwa i wykształcenie, drudzy rekrutowali się bądź z wychodźców ze Wschodu, bądź z biedniejszych i ciemniejszych wychodźców niemieckich, i nieśli z sobą tylko separatyzm rasowy, religijny i obyczajowy, i spryt do drobnego handlu; nadmierne skupienie żydów polskich czyniło ich elementem mało rzutkim i utrudniało wybicie się na stanowiska wybitniejsze.

Pojęcia ekonomiczne szlachty polskiej, nie wyłączając możnowładztwa, tkwiły przez cały XVII w., a nawet w pierwszej połowie XVIII w., w średniowieczu i opierały się na dawnej zasadzie «sprawiedliwych cen». Zasada ta wypływała z kombinacji pojęć chrześcijańskich z średniowiecznemi pojęciami stanowemi — każdy miał prawo żądać od społeczeństwa, by w granicy stanu, do którego należał, miał zapewnione środki do życia. Mając prawo tego wymagać, nie powinien też był tego zakresu przekraczać. Stąd też wypływało pojęcie «wyzysku». Wyzyskiwać mógł z jednej strony spożywca, gdy chciał płacić za towar zbyt mało, z drugiej wytwórca, gdy żądał za towar zbyt drogo. Stąd regulatorami handlu średniowiecznego są wszelakiego rodzaju taryfy cen czyli taksy.

Dopóki to tempo życia ekonomicznego, jak w wiekach średnich, było powolne i tylko powoli zmieniały się ceny, taksy mogły jeszcze z biedą ceny regulować. Ale w XVI w. nastąpił ogromny przewrót we wszystkich dziedzinach życia ekonomicznego. Złożyły się na to różne przyczyny: odkrycie Ameryki, a z niem pojawienie się ogromnych ilości drogich kruszców, zwłaszcza srebra, wzmożenie się handlu, potężny rozwój kredytu, upadek feudalizmu, wreszcie przymusowe

wychodźtwo żydów hiszpańskich i włoskich do krajów północno-zachodnich Europy. Tempo życia ekonomicznego zaczęło wzrastać szalenie, a z niem ceny wszystkich towarów i drożyzna życia. Oczywiście w Polsce działo się tak samo. A właściwie przewrót w Polsce był jeszcze większy, a to z dwóch przyczyn. Polska miała walutę opartą na srebrze, i w Polsce jednocześnie z tem dokonał się inny jeszcze przewrót, ściśle gospodarczy, a mianowicie Polska zaczęła produkować masowo zboże i stała się spichrzem Europy.

Słówko o walucie srebrnej w Polsce. Podstawą dawnego systemu monetarnego w Polsce była waga — grzywna krakowska, która miała $^1/_2$ funta srebra. Grosz polski był od czasów Kazimierza Wielkiego $^1/_{48}$ częścią grzywny. Tymczasem do Polski przychodziły również pieniądze złote, zwłaszcza z Węgier. Złoty węgierski (dukat) w XIV w. wart był 14 do 16 groszy polskich. Skutkiem spadku cen srebra, złoty węgierski w r. 1496 odpowiadał już 30 groszom polskim. Ponieważ od tego czasu zaczęto liczyć w Polsce na złote, ustaliła się zasada, że złoty polski ma 30 groszy. W ten sposób złoty polski stał się walutą srebrną, bo była to właściwie tylko nazwa dla 30 groszy srebrnych; to też skutkiem dalszego spadku cen srebra, spadła i wartość złotego polskiego. A tymczasem Polska, trzymająca się stale swej waluty srebrnej, musiała przy rachunkach z zagranicą, która rządziła się walutą przeważnie złotą, wypłacać znaczne agio na złoto. Wszystko to działało deprymująco na wartość złotego polskiego, który też w r. 1620 wart był już tylko $^1/_4$ dukata, by w r. 1650 spaść do $^1/_6$ dukata. Równolegle z obniżeniem się wartości złotego polskiego, choć niejednakowo na wszystkie towary, wzmagała się ciągle drożyzna; względnie najwolniej podnosiła się wartość pracy ludzkiej.

Widzimy, jak skomplikowane były przyczyny podnoszenia się cen w Europie, a zwłaszcza w Polsce. Nic dziwnego, że przyczyn tych nie była w stanie zrozumieć szlachta polska, a choćby jej warstwy najwyższe, zajęte wyłącznie rolnictwem. Nie rozumieli tego i nasi ministrowie finansów, podskarbiowie koronni i litewscy, pochodzący ze sfer magnackich, bez żadnych kwalifikacyj zawodowych. Szlachta całą winę drożyzny widziała jedynie w «wyzysku» kupieckim, i tem

się tłumaczy, dlaczego polityka ekonomiczna szlachty dąży odtąd, przy ustaleniu «słusznej ceny», jedynie do zabezpieczenia interesów własnych, nie dbając już o słuszną cenę dla bez tego już «obdzierających ze skóry» kupców i rzemieślników.

W Polsce od końca XVI w. rozwija się jakiś samorodny, skrajny fizjokratyzm szlachecki. Państwo opiekuje się wyłącznie rolnictwem, o przemysł nie dba, w handlu stara się pośrednictwo kupców fachowych usuwać. Więc widzimy: spławianie przez samą szlachtę (bez cła) coraz większych ilości zboża, bydła i potażu, sprowadzanie bezpośrednio przez szlachtę (bez cła) potrzebnych jej towarów z zagranicy, ponowienie w r. 1621 konstytucji z r. 1565 o zakazie kupcom polskim wywożenia zagranicę towarów z Polski, wreszcie całą powódź wszelakich taks wojewodzińskich na towary (z wyjątkiem zboża, jako produktu szlacheckiego).

Szlachcic polski wprost nie rozumiał potrzeby protekcji przemysłu i handlu swojskiego. Widząc, że ceny stale się podnoszą, traktował kupca jak wroga — wyzyskiwacza, stronił od niego i całą swoją usilność zwracał ku obronie swego mienia, t. j. ziemi od wyzysku kupieckiego.

Rezultat narazie był świetny: eksport polski do Gdańska rósł na drożdżach. Gdy w połowie XVI w. przychodziło z Korony do Gdańska niewięcej nad 10.000 łasztów [1]), w pierwszej połowie XVII w. przychodzi już 100.000 łasztów. Maksimum przyszło z «końcem pomyślności polskiej» w r. 1648, a mianowicie 128.790 łasztów. Od tego czasu zaczyna się gwałtowny spadek.

Jednocześnie handel, przemysł i rękodzielnictwo zatrzymane zostały w swym rozwoju, a gdy przyszły jeszcze klęski wojenne za Jana Kazimierza, ruina miast stała się zupełną.

Po finansach zobaczmy, jak wyglądała gospodarka polska w pierwszej połowie XVII w. w stosunku do drugiego czynnika wszelkiej zdrowej państwowości — siły zbrojnej. Wspomnieliśmy już o niej, mówiąc o zupełnej bezwartościowości pospolitego ruszenia, o małej liczbie (do 3.000 ludzi) wojska kwarcianego, o znacznej ilości pocztów pańskich. Te

[1]) Laszt = 30 korcom.

ostatnie nie mogły zastąpić zwykłego wojska, odgrywały jednak znaczną rolę we wszystkich wojnach. Wielką pomoc w wyprawach wojennych stanowili także kozacy, ale organizacja ich nigdy nie była racjonalnie przeprowadzona, a liczba kozaków rejestrowych ciągle się zmieniała i spadała czasem, przynajmniej nominalnie, do 1.000 ludzi.

Tak więc nie ulega wątpliwości, że siła zbrojna w rzeczywistości nie odpowiadała potrzebom tak obszernego państwa, jakiem była Polska, i tem się tłumaczy, dlaczego wszystkie wyprawy wojska polskiego, nawet w razie zwycięstwa, kończyły się na niczem, lub na rezultatach połowicznych.

Wiadomo, że wszystkie urzędy w Polsce nadawane były dożywotnio, a działo się to głównie w celu ograniczenia władzy królewskiej. Skutki tego systemu musiały być niepomyślne, bo do wielu dziedzin władzy wykonawczej, wymagających rzutkości i narażonych na przeróżne zmiany, wprowadzoną została zasada nieusuwalności urzędników, racjonalna jedynie w sądownictwie. To też urząd dożywotnich i nieusuwalnych wodzów naczelnych i jednocześnie ministrów wojny, jakimi byli hetmani, był prawdziwą anomalją. Siłą rzeczy stopniowo urząd hetmana musiał nabrać niewłaściwego znaczenia politycznego, i rzeczywiście od końca XVII w. hetman stanie się medjatorem *inter majestatem et libertatem*.

Również wadliwym był system zaciągów, gdy je postanawiano. Król posyłał, głównie magnatom, listy na jedną lub parę chorągwi, a ten, co je otrzymał, organizował wskazane oddziały wojskowe. W ten sposób, zamiast tak potrzebnej w wojsku jednolitości, wkradała się coraz większa rozmaitość i dezorganizacja. System ten istniał wprawdzie wszędzie w Europie, ale gdy w innych krajach spotykamy próby reform, w Polsce nietylko nie zanosiło się na nie, ale przeważnie przestarzałe porządki potężniały i utrwalały się.

Stosuje się to także do nieuwzględniania zmian, dokonywujących się na Zachodzie co do rodzajów broni. Jazda pozostaje główną bronią Polski, gdy jednocześnie w całej Europie zyskuje przewagę piechota. Szlachta, w swym konserwatyźmie, zaczęła zatracać poczucie postępu, i nawet tak zbawienna reforma, jak stworzona przez Batorego piechota łanowa wybraniecka (jeden żołnierz z każdych 20 łanów dóbr królewskich), była niechętnie widziana przez magnatów, będących zwykle tenutarjuszami dóbr królewskich. I już w r. 1649 zapadła konstytucja stanowiąca, że zamiast wybrańców ma starosta uiszczać pewną nieznaczną nadwyżkę do kwarty, t. zw. łanowe.

Ale najgorszą plagą administracji wojskowej w Polsce były stałe zalegania w wypłacie żołdu, pociągające za sobą związki i konfederacje wojskowe.

Na sejmie 1601 r. stanęła konstytucja p. t. «Deklaracja władzy hetmańskiej w wojsku», w której zakazano wszystkich konfederacyj i buntów w wojsku, a także zbierania koła wojskowego. Dodano jednak «krom kiedy, za rozkazaniem Hetmańskiem, do namów o usłużeniu Jego KMości i Rzeczypospolitej będą wezwani, i dla przełożenia potrzeb swych, albo niedojścia zapłaty». Redakcja tej konstytucji co do jasności wiele pozostawiała do życzenia. Można ją było tłumaczyć w ten sposób, że pozwolenie hetmańskie na zbieranie się mogło być udzielone w trzech wypadkach: dla usłużenia królowi i Rzeczypospolitej, dla przedłożenia potrzeb, wreszcie w razie niedojścia zapłaty. Ale można ją było tłumaczyć, i oczywiście wojsko tłumaczyło ją w ten sposób, że «rozkazanie» hetmańskie potrzebne było tylko dla dyskusji o usłużeniu królowi i Rzeczypospolitej, ale gdy chodziło o przedłożenie potrzeb samego wojska, lub o żołd zaległy, pozwolenie hetmańskie było niepotrzebne, i wojsko było w prawie zbierać się i łączyć bez żadnej przeszkody.

Ponadto w konstytucji z r. 1601 na końcu powiedziano, iż siła jej ma trwać tylko do przyszłego sejmu. W ten sposób konstytucja ta żadnego wpływu na usunięcie konfederacyj wojskowych mieć nie mogła; przeciwnie, usankcjonowała zasadę, że w razie niepłacenia żołdu, związki wojskowe są uprawnione. Choć więc w latach późniejszych spotykamy w konstytucjach nowe zakazy co do zawiązywania konfederacyj wojskowych, żadnego to znaczenia już nie miało, tembardziej, że skutkiem coraz gorszej gospodarki skarbowej, a później ogólnego zamętu, żołd wojska nigdy akuratnie nie dochodził. Nie otrzymując w porę żołdu, wojsko przyzwyczajało się do rabunku, a gdy zaległości rosły, wiązało się w konfederacje i rekwirowało wprost bajeczne sumy, które zwykle szlachta musiała, choć po długich mitręgach, płacić. Tak w r. 1613, po wyprawie moskiewskiej, aż trzy konfede-

racje wojskowe objadały kraj, a później wymusiły od sejmu ogromną zapłatę, o wiele przewyższającą sam żołd zaległy. Konfederacje wojskowe miały miejsce także w r. 1623 i 1628. Powoli utrwaliło się przekonanie, że wojsko zaciężne cięższe było dla swoich, niż dla obcych. Ale rządy szlachty były bezradne, by to zło usunąć.

Były bezradne, bo osobliwością Polski było, że gdy wszędzie indziej w Europie monarchizm zaprowadzał coraz silniejszą administrację i wogóle władzę wykonawczą, jedna Polska właściwie obywała się bez wszelkiej administracji i policji, i w tej dziedzinie, jak w wielu innych, trwały porządki średniowiecza. Jedynym urzędnikiem, który miał obowiązek czuwania nad wykonywaniem prawa, był starosta grodowy. Urząd ten, stworzony na przełomie XIII w., był najważniejszym organem administracji państwowej w czasach piastowskich i jagiellońskich. W XVI w. zaczęto nazywać starostami także zwykłych tenutarjuszy dóbr królewskich — nazywano ich starostami niegrodowymi lub prowentowymi; tacy starostowie żadnej władzy państwowej nie wykonywali i urzędnikami nie byli; otrzymywali starostwa jedynie, jako dochód w nagrodę zasług *(panis bene merentium)*. Starostwa grodowe, choć ich posiadacze władzę dawnych starostów zatrzymują, stopniowo zaczynają być również nadawane, jak starostwa niegrodowe, jako chleb dobrze zasłużonych; i przez to są uważane także przedewszystkiem, jak dochód. To też stopniowo, choć starosta jest jedynym organem administracyjnym, wykonawcą wyroków sądowych, a jednocześnie sędzią w sprawach kryminalnych (o zabójstwo, grabież, podpalenie i gwałt nad niewiastą), spełnia on swój urząd osobiście tylko wyjątkowo, po większej zaś części do spraw administracyjnych i wykonawczych naznacza od siebie podstarostę, a do spraw sądowych sędziego i pisarza; ci trzej tworzą razem t. zw. gród i sąd grodzki.

Jeżeli starosta grodowy miał prawo naznaczać sobie substytuta do spełniania różnych funkcyj swego urzędu, miał również prawo utrzymywać pewną ilość ludzi zbrojnych dla wykonywania swych rozkazów. Jeżeli miał być rzeczywistą prawicą króla *(brachium regale)*, musiał mieć do tego odpowiednią siłę. Środki jednak potemu musiał czerpać z dochodów samego starostwa, które były często bardzo znaczne; ale

nikt go do tego nie zmuszał, i zwykle żadnej straży starościńskiej, oprócz pachołków, nie było. Podług konstytucyj, w razie znaczniejszego oporu, miał starosta prawo zwrócić się o współudział do całej okolicznej szlachty, ale taka egzekucja «*mota nobilitate*» (pospolite ruszenie lokalne) oczywiście bardzo rzadko się zdarzała i niewiele skutkowała. Oprócz tego paraliżowała energiczną interwencję starosty obawa odpowiedzialności na wypadek skarg o pogwałcenie wolności szlacheckiej. Prawo *neminem captivabimus* pozwalało na uwięzienie przed sądem szlachcica w wypadku zabójstwa, grabieży, podpalenia, lub gwałtu nad niewiastą jedynie wtedy, gdy szlachcic został na takiem przestępstwie przychwycony na gorącym uczynku *(in recenti)*.

Przy wykonywaniu wyroków sądowych, szlachta bardzo często ich wykonaniu siłą się sprzeciwiała i przepędzała woźnego, który choć nosił tytuł szumny «woźny ziemski jenerał koronny» *(ministerialis regni generalis)*, zwykle bywał człowiekiem niskiej kondycji i bez wykształcenia.

W pierwszej połowie XVII w. trwał jeszcze poczęści w Polsce stary zwyczaj rycerski, importowany dawniej z Niemiec, t. zw. «odpowiedź». Mający do kogoś urazę posyłał mu pisemne wyzwanie, by się go strzegł na wszelakiem miejscu «chodząc, śpiąc, jedząc, pijąc, w domu, w drodze, w kościele, w łaźni». Taka «odpowiedź» zwykle była zapowiedzią rzeczywistego później gwałtu, często zabójstwa. Że zwyczaj ten był rozpowszechniony, widać z konstytucji sejmowej z roku 1588, która wyznacza za przysłanie takiej «odpowiedzi» [1]) karę pieniężną i jednocześnie zastrzega, że takie uprzedzenie przeciwnika w tym tylko razie będzie mogło służyć za podstawę do pewnego złagodzenia odpowiedzialności za gwałt późniejszy, jeżeli było zapisane osobiście w grodzie i poprzedzało sam gwałt przynajmniej o sześć tygodni. Dziwna była to logika, gdyż w ten sposób «odpowiedzi» zostały niejako ulegalizowane, a grody musiały je przyjmować! By zapobiec gwałtom, królowie niejednokrotnie zmuszeni byli posyłać stronom zwaśnionym mandaty, wyznaczające t. zw. vadium, t. j. uprzedzenia, że kto pierwszy gwałtu się dopuści, ten wi-

[1]) Nazwa ta była przekręconem tłumaczeniem niemieckiego terminu Absage, Absagebrief — właściwie «wypowiedzenie».

nien będzie zapłacić określoną karę. Kary te określane były czasem na 200.000 złp. (np. w czasie wojny Djabła Stadnickiego z Opalińskim), zwykle jednak niczemu nie zapobiegały i nigdy też egzekwowane nie były. Wreszcie konstytucja z r. 1633 wyjaśniła, że kto, broniąc się przed «odpowiedzią», przeciwnika swego zabije, nie ma być karanym. Odtąd «odpowiedzi» stopniowo giną.

Przy takiej bezsilności władzy wykonawczej, nie dziw, że szczególniej zamożniejsi coraz częściej uciekali się do samoobrony i t. zw. zajazdy stawały się instytucją uświęconą zwyczajem. Skoro władza państwowa była bezsilną, skoro inaczej nie można było wykonać wyroku sądowego, jednostka uciekała się do gwałtu i tylko zapomocą gwałtu dochodziła swego prawa.

Ale jeżeli wykonać wyrok sądowy było trudno, nie łatwo było też sam wyrok uzyskać. Wiele spraw kryminalnych należało do kompetencji sądów sejmowych, a sejmy zbierały się zwykle co lat dwa i często się rwały. Proces był zawiły i dawał pole do nieskończonych wybiegów. Styl sądowy staje się coraz bardziej napuszystym i lubującym się w powtarzaniach, synonimach i hiperbolach. Zamiast naprzykład napisać «zabił», pisało się: «ważył się zabić, zamordować, uśmiercić i z żywego nieżywym uczynić, jakoż i zabił, zamordował, uśmiercił i z żywego nieżywym uczynił». Trybunały, choć jeszcze niezdeprawowane, jak w czasach późniejszych, były też sądami niezwykłemi; zbierały się tylko perjodycznie, a odbywały się w Koronie tylko w Lublinie i Piotrkowie, a na Litwie w Wilnie i Nowogródku (lub Mińsku), były więc często dla stron bardzo odległe, a przez to kosztowne.

Wobec takich stosunków sądowych, a bardziej jeszcze wykonawczych, przy braku choćby cienia policji poza obrębem miast, zdawałoby się, że życie w Polsce było wprost niemożebne, i że gwałty musiały się zdarzać na każdym kroku. Tak jednak nie było. Tłumaczy się to łagodnością charakteru, zwyczajów i obyczajów narodowych, jak i oryginalnym systemem karnym Polski szlacheckiej.

System ten (miasta rządziły się innemi prawami) opierał się na zasadzie zupełnego niekarania małych przewinień i stosowania za większe ogólnej kary banicji i infamji. Rzeczpospolita szlachecka chciała się we wszystkiem opierać na

cnocie swych obywateli, główną więc podstawą całego systemu karnego była utrata czci; w rzeczach mniejszej wagi wystarczała nagana opinji publicznej, i dopiero w rzeczach ważnych, na skutek skargi osób pokrzywdzonych, wkraczała władza sądowa. Kto nie poddał się wyrokowi sądowemu, tem samem podpadał banicji cywilnej, t. zw. doczesnej, był zawieszonym w wykonywaniu swoich praw obywatelskich (tracił *activitatem)* i mógł być więzionym, póki nie uczynił zadość prawu; uczyniwszy to, wracał do czci i praw poprzednich. Kto dopuścił się znacznego przestępstwa, ten skazywany był na siedzenie w wieży *in fundo,* zwykle przez rok i sześć tygodni; była to bardzo ciężka kara, wobec warunków tego więzienia; o ile od kary się uchylał, traktowany był jako infamis i banita, i mógł być przez każdego zabity; po odsiedzeniu zaś wieży wracał do czci. Wreszcie za najważniejsze przewinienia, mające charakter zbrodni stanu, albo obrazy majestatu królewskiego lub Rzeczypospolitej, skazywano przestępcę odrazu na banicję wieczną, połączoną z wieczną infamją, i wtedy skazany mógł być przez każdego schwytany i zabity.

W ten sposób system karny oczywiście był wadliwy, gdyż, choć zawierał pod względem psychologicznym ziarno prawdy, doprowadzony został zadaleko. Czytając dzieło Władysława Łozińskiego «Prawem i lewem», opisujące awantury i gwałty dokonywane w pierwszej połowie XVII w. przez szlachtę na Rusi Czerwonej, zwłaszcza przez takiego Stanisława Stadnickiego, Djabła, lub Jerzego Krasickiego, starostę dolińskiego, nie można się oprzeć wrażeniu, które Łoziński w ten sposób wypowiada na wstępie: «Co za świat!! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy, świat bezwzględny, bez rządu, bez ładu, i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina. Człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwiej zabić, trudniej nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna». Jednak, oto co mówi Łoziński, po bliższej analizie tego świata:

«Przy wydawaniu sądu o społeczeństwie tego czasu należy liczyć się z dwoma rozstrzygającemi czynnikami; z jednym wewnętrznym i bezwzględnym, z drugim niejako zewnętrznym i zawisłym od wyjątkowych stosunków czasu. We-

wnętrznym i bezwzględnym czynnikiem jest ów nieszczęsny ustrój, a raczej zupełny rozstrój urządzeń prawnych i politycznych, przy którym chyba tylko społeczeństwo, złożone z samych ludzi bez namiętności i bez egoizmu, z samych wyznawców «kategorycznego imperatywu» Kanta, z samych istot o nieziemskich cnotach, mogło żyć w spokoju, w ładzie, w bezpieczeństwie mienia i życia. Czynnikiem drugim, zewnętrznym, jest pora ze swemi wypadkami, która była tego rodzaju, że nawet w doskonale zorganizowanem i pod ścisłą opieką prawa żyjącem społeczeństwie musiałaby była wywoływać koniecznie objawy obyczajowej anarchji i zdziczenia. Troje bezkrólewi, połączonych z zawichrzeniem całej Polski, rokosz Zebrzydowskiego, nieszczęsna awantura z Dymitrem Samozwańcem, wojny moskiewskie, szwedzkie, tureckie, kozackie, zaciągi rot swawolnych na służbę zagraniczną — opłakane akcje, skierowane nazewnątrz, a wracające zgubną falą klęsk, nieszczęść i spustoszenia we wnętrze kraju — buntownicze konfederacje wojskowe, które były potężnem źródłem anarchji nietylko politycznej, ale i społecznej, i daleko więcej przyniosły klęsk Polsce, niż tego były warte zdobycze oręża; ustawiczne zagony tatarskie, których sam Stanisław Żółkiewski, jak to powiada w jednym z swych listów z r. 1618, zapamiętał trzydzieści... zważmy to wszystko i zapytajmy, gdzie jest na świecie naród, gdzie kraj taki, w którymby wśród takich czasów i takich wypadków nie pękały podwaliny publicznego ładu, nie dziczały obyczaje, nie wyradzał się nierząd społeczny?...»

«Dopiero porównanie społecznych stosunków w Polsce z tem, co się równocześnie działo w innych krajach, co się działo przedewszystkiem w Niemczech, o tyle dalej posuniętych w organizacji władz publicznych, może nam dać miarę sprawiedliwego sądu. Porównanie to wychodzi stanowczo na korzyść Polski. Właśnie w ostatnich latach XVI i pierwszych XVII wieku... zdziczenie obyczajów niemieckich doszło do takiego stopnia, że nawet to, co najgorszego i najzdrożniejszego wydać mogła anarchja obyczajowa w Polsce, blednąć musi i tracić znaczenie wobec rozbestwienia, wobec straszliwego rozpasania się wszelkich zbrodni i nikczemności w niektórych krajach niemieckich. Czem były nasze «odpowiedzi» wobec Fehdebriefów niemieckich uszlachconych zbójców, które

w r. 1603 tak się rozmnożyły, że żadne miasto, żadne sioło nie było bezpieczne przed bandami, domagającemi się okupu pod groźbą rzezi i pożogi? Czem były nasze najazdy i zajazdy wobec napadów niemieckich Mordbrennerów, zorganizowanych nietylko pod tajnemi hasłami, ale i pod otwartemi znakami zbrodniczego związku, jak np. bandy «skaczącego lwa», «krzyża św. Andrzeja», «strzały z pierścieniem» i t. p., które pustoszyły całe okolice Meklemburgji, Saksonji, Turyngji? Czemże była lepsza od naszej szlachta niemiecka, której cesarz Rudolf II w r. 1616 zarzuca, że dopuszcza się «morderstw, zabójstw, samowolnych gwałtów i zbrodni, cudzołóstwa, kazirodztwa», którą jeden ze spółczesnych pisarzy nazywa «bandą epikurejczyków, obrzydłych wieprzów, zuchwalców, pyszałków, bluźnierców, warchołów sprośnych, pasibrzuchów, żarłoków i pijaków, dla których obyczajność i honor są hańbą, a wszelka hańba i nikczemność honorem, którym za prawo stoi gwałt, bunt, zuchwalstwo i samowola». Gdzie było więcej morderstw, czy w Polsce, którą właśni jej pisarze osławili, jako ojczyznę bezkarnych mężobójstw, czy w Niemczech, gdzie w r. 1581 stracono dwóch złoczyńców, z których jeden zamordował 964 osób i 6 dzieci, drugi 544 osób, gdzie na tak małej przestrzeni, jaką zajmowało księstwo Ansbach-Beireuth, liczące razem tylko 90.000 dusz, w przeciągu lat 28 (od 1575 do 1603) torturowano 1441 złoczyńców, stracono 174, a innemi ciężkiemi katuszami skarano 309?...»

«I nie w tem leży cały smutek rzeczy w Polsce, że o tej porze tak się działo, ale w tem, że nie miało być lepiej. Równie źle działo się poza granicami Polski, ale tam właśnie już w samej porze najgorszej zaczęła działać represyjna siła władzy państwowej. W chwili, kiedy w Polsce zaczynają triumfować żywioły anarchji, we Francji Henryk IV ustala władzę publiczną i społeczną sprawiedliwość; razem z głową Birona upada buta i swawola szlachecka; w kraju ustaje ucisk ludu, rozpoczyna się epoka prawa i ładu. W Niemczech rusztowanie, na którem okrutną śmiercią stracono Grumbacha [1]), było niejako słupem granicznym dwóch epok; on sam jest już poniekąd ostatnim bohaterem anarchji społecznej i politycznej,

[1]) Wilhelm von Grumbach, szlachcic frankoński, znany w XVI w. ze swych gwałtów.

z jego straceniem kończy się okres buntowniczych magnatów, zamyka się pora zbiorowych, na szeroką skalę organizowanych gwałtów i wojen prywatnych. W Polsce stan rzeczy pozostaje niezmieniony, te same przyczyny wywołują te same, ale w miarę postępu czasu, coraz zgubniejsze skutki — i tak trwa ciągle, aż do smutnego końca».

Pozostaje nam wspomnieć o oświacie i stosunkach wyznaniowych.

Polska w pierwszej połowie XVII w. nie może się skarżyć na brak zakładów naukowych; jest ich dosyć; mnożą się kolonje akademji krakowskiej, kolegja jezuickie, szkoły klasztorne, szkoły bazyljańskie, szkoły różnych wyznań różnowierczych; w r. 1642 przybyli do Polski pijarzy. Sam sposób nauczania nie pozostaje jeszcze wtyle w porównaniu do reszty Europy, ale czuć już zbliżające się czasy upadku. Walka jezuitów z akademją krakowską prowadzoną była nietyle o zasady, ile o osoby. Wśród tej walki akademja jurydycznie zwyciężyła, de facto jednak ustępuje pierwszeństwa jezuitom. Ci coraz bardziej zdobywają sobie uznanie; coraz więcej młodzieży kształci się w szkołach jezuickich. «System edukacyjny jezuitów — mówi Szujski — jak wszędzie, tak i w Polsce wymierzony był przeciw herezji i wolnomyślności, pilnował skrzętnie, aby żaden promyk wiedzy, żadna książka niezbadana i nieosądzona przez zakon nie doszła wychowańców, aby tenże zakon pozostał dla nich na całe życie panem i sędzią sumienia, jedynym areopagiem. Z tym celem wyraźnym obojętnie patrzyli jezuici na wszystkie inne, a znając wybornie naród, który wiedzą swą karmili, dogadzali mu we wszystkiem, obchodząc wszystko, byle głównego celu dopiąć».

Jezuici umieli się doskonale przystosować do panujących w Polsce stosunków i nietylko nie starali się im przeciwdziałać, ale nawet stosunkom im schlebiali. W szkołach ich skrzętnie zachowywano różnice stanów: syn senatorski, choć słabej głowy, mógł być pewien wyróżnienia. Egzamina odbywały się szumnie. Niepospolitą rolę odgrywały dialogi i dysertacje, niemniej ćwiczenia oratorskie, gdzie młodzież przemawiać musiała za odebraniem praw dysydentom, lub przeciw uchwaleniu nowych podatków.

Młodzież magnacka odbywała w celu kształcenia się podróże zagranicę, głównie do Wiednia, do Bolonji, do Padwy i Lowanjum. Wobec panującej w tych miastach uniwersyteckich reakcji katolickiej, młodzież polska wracała stamtąd z pojęciami przeciwnemi tolerancji religijnej, a bez dostatecznych wiadomości dla zrozumienia reform Polsce potrzebnych.

Stosunki wyznaniowe względem dysydentów de jure regulowały się po dawnemu aktem tolerancyjnym, wyrażonym w konfederacji warszawskiej z r. 1573. Akt ten nie uległ zmianom i był potwierdzany kolejno przez Batorego, Zygmunta III i Władysława IV. Prąd ogólny nie sprzyjał zmianom w prawodawstwie. Znanem jest, jak przemawiał Jan Zamoyski do różnowierców: «Kiedyby to mogło być, abyśmy wszyscy byli papieżnikami, dałbym na to połowicę zdrowia swego; dlatego połowicę, żebym drugą połowicą żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności. Ale, jeśli wam będzie kto gwałt czynił, dam wszystko zdrowie swe, abym na tę niewolę nie patrzał». Jednak, de facto, za czasów Zygmunta III zaczęła się wyraźna reakcja. Klasy niższe w Polsce nigdy nie sprzyjały reformacji, to też częste były t. zw. tumulty, t. j. wybryki tłumu miejskiego przeciwko zborom, lub obrzędom religijnym różnowierców. Zygmunt III na te tumulty patrzał przez palce, a przez to do nich zachęcał. Różnowiercy pod różnemi pozorami bywali pomijani w urzędach — był to sposób zachęcania panów różnowierczych do powrócenia do katolicyzmu, jak się okazało, bardzo skuteczny. Ale system ten jednocześnie odstręczał od Polski i przygotowywał późniejszą obojętność dla ojczyzny, a nawet prowadził do zdrady kraju, że tu wspomnimy tylko Radziwiłłów birżańskich.

Władysław IV nie poszedł pod tym względem śladami ojca. Zaraz po wstąpieniu na tron zaczął powoływać do senatu różnowierców, surowo karał tumulty, a w r. 1645 urządził zjazd dysydentów z katolikami *(colloquium charitativum)* w Toruniu w celu, jeżeli nie pogodzenia, to zbliżenia wrogich sobie wyznań. Gdy zelanci religijni namawiali Władysława IV do środków gwałtownych, nietylko tym naleganiom nie uległ, lecz, przeciwnie, stale je odrzucał i na takich doradców niejednokrotnie wybuchał gniewem. Ale prąd nietolerancyjny był już silniejszy od króla — hasło wojny z różnowiercami podjęła już szlachta. Znać to z jej zachowa-

nia się na sejmach. Tak na sejmie w r. 1637 pozwano Sienieńskiego, arjanina, właściciela Rakowa, o zrzucenie krzyża, postawionego na jego gruncie przez któregoś z jego sąsiadów. Sienieński ledwo głowy nie postradał, musiał przysiąc, że nigdy krzyża tego obalać nie nakazywał, ale także zobowiązać się do zamknięcia szkół rakowskich i wydalenia ministrów arjańskich. Na sejmie 1640 r. podniosła się ogromna wrzawa przeciwko kalwinom wileńskim o t. zw. sprawę św. Michalską; w dzień św. Michała kilku chłopców szkoły kalwińskiej wypuściło ze zboru kalwińskiego kilka strzał ku klasztorowi pp. franciszkanek, naprzeciwko stojącemu, przyczem jedna strzała ugodziła w posąg św. Michała. Sprawę tę chciał jakoś załagodzić przywódca kalwinów litewskich, Krzysztof Radziwiłł, wojewoda wileński, hetman w. lit., skłaniał się do tego także król Władysław IV, ale szlachta, której sekundowali głównie z panów Jerzy Ossoliński i Alb. Stan. Radziwiłł, kanclerz w. lit., ostatecznie zmusiła sąd sejmowy, zostający pod prezydencją króla, do decyzji, nakazującej, po złożeniu przez pp. franciszkanki przysięgi, zburzyć zbór kalwiński w Wilnie, z prawem wybudowania nowego już tylko na przedmieściu.

Ta, coraz bardziej wzmagająca się niechęć w Polsce ku różnowierstwu, dochodząca do skrajnej nietolerancji, miała swe źródło nietylko w reakcji katolickiej duchowieństwa, oraz w długoletniej polityce Zygmunta III, ale także w samym narodzie polskim, który przez cały czas walk reformacji pozostał wierny katolicyzmowi. Reformacją przejęła się tylko część szlachty i możnowładztwa, i ci w znacznej mierze jedynie pod wpływem walki o swobody narodowe. Katolicyzm był i pozostał ulubionem wyznaniem w Polsce. Że narody mają swe wyznania ulubione, widzimy to na wielu przykładach. Racjonalistyczny kierunek myślenia Niemców północnych zżył się doskonale z racjonalistyczną nauką religijną, jaką jest luteranizm; wśród surowej Szkocji rozwinął się purytanizm. Narody zaś, szukające w religji przedewszystkiem zaspokojenia uczucia, pozostały wierne katolicyzmowi; takiemi są narody romańskie, lubujące się prócz tego w okazałości kultu zewnętrznego; takimi są Niemcy południowi, takimi Słowianie zachodni; suchy racjonalizm Lutra nie mógł przemawiać do

ich wyobraźni, również jak dążenie pewnych reformatorów do stworzenia w Polsce kościoła narodowego.

Dążenie do kościoła narodowego, jako w gruncie rzeczy sprzeczne z zasadą chrześcijaństwa, będącego religją powszechną, opartą na miłości wszechludzkiej, nie miało nigdy w Polsce uznania. Najlepszem potwierdzeniem słów powyższych są warunki, wśród których dokonaną została za Zygmunta III unja kościelna z r. 1596 r. Unja ta przeprowadzoną została właśnie bez wszelkiego współudziału narodu polskiego i była dziełem wyłącznie jezuitów, Zygmunta III i wyższych sfer samego społeczeństwa ruskiego. Naród polski był i pozostał unji niechętnym, przedewszystkiem dla jej piętna religji wyłącznie narodowej.

Religja narodowa właściwie nie jest religją, tylko jednym z przejawów kultury narodowej, lub polityki. Unja brzeska nie zaprowadzała na Rusi zwykłego katolicyzmu, jedynie z językiem dodatkowym ruskim. Ona zostawiała kościół ruski całkowicie w tym stanie, w którym go znalazła w r. 1595, poddawała go tylko hierachicznej władzy papieża. Pozostawiono narazie unitom nawet nicejskie wyznanie wiary bez dodatkowego *filioque*, i zadowolono się jedynie zaręczeniem biskupów, że dogmat o Trójcy świętej wykładać będą zgodnie z nauką kościoła rzymskiego. Nie wprowadzono celibatu, a kalendarz starego stylu i język cerkiewny słowiański stanowić miały cechę zasadniczą kościoła ruskiego. Inicjatorzy tego kościoła ruskiego nie zwrócili uwagi, że obok niego, w tem samem państwie, na tem samem terytorjum, istniał katolicyzm obrządku łacińskiego z najściślej przestrzeganym celibatem księży, z kalendarzem gregorjańskim, z językiem ludności miejscowej, dopuszczanym jedynie do nabożeństw dodatkowych.

Nie mówimy tu o dogmatach, ani o równorzędności obrządków w kościele katolickim, ale mówimy o tem, na cośmy wskazywali już wyżej, mówiąc o błędach Polski względem Rusi: o zaprowadzeniu w jednem państwie, na jednem terytorjum, obok siebie dwóch tak różnych postaci katolicyzmu — jednej powszechnej, drugiej narodowej. Psychologicznie dwie te postacie jednego kościoła siłą rzeczy stały się fatalnie dwoma odrębnemi kościołami, wzajem z sobą konkurującemi.

Tak też zapatrywał się na unję i naród polski, i nawet biskupi polscy. Przedstawiali oni w Rzymie, że różne obrządki w jednym kościele narażają na kłótnie i swary, że i bez unji katolicyzm stale się szerzył, i że wogóle unje kościołów wschodnich zwykle bywały nietrwałe. Ze strony zaś świeckiej dodawano, że unja sprzeciwia się uznanej w Polsce tolerancji religijnej, że niepotrzebnie stwarza się w państwie wrogów wewnętrznych i rozpala na kresach waśń społeczną. Że unja była niepotrzebną, dowodzi fakt, że jak przed nią, tak później przy niej, szlachta ruska przyjmowała katolicyzm w obrządku łacińskim, a kościołów unickich unikała, tak, że właściwie unici pozbawieni zostali zupełnie szlachty, i unja stała się wiarą jedynie — chłopską. A chłopi ci przeszli do unji bezwiednie, by w dwa wieki później, również bezwiednie, złączyć się z prawosławiem. Owszem, dzięki unji, obrządek wschodni wyszedł ze swego letargu, w który wpadł w XV i XVI w. i począł się odradzać, występując jako czynnik coraz groźniejszy na kresach państwa.

Nie ulega wątpliwości, że inicjatorowie unji, w tym rzędzie i biskupi uniccy, jak Pociej, Terlecki, Rutski i Kuncewicz, działali z pobudek szlachetnych — ale gdy jezuici, Zygmunt III i papież Klemens VIII mieli na względzie jedynie dobro kościoła, w biskupach ruskich, pomimo ich późniejszej niepopularności wśród Rusinów, znać gorliwych patrjotów ruskich, chcących z unji stworzyć koniecznie katolicyzm ruski, ruski kościół narodowy; cała więc rzecz pomyślaną była w samem założeniu swojem nieszczęśliwie.

Rozpatrzmy dzieje unji i dyzunji w pierwszej połowie XVII wieku.

Na synodzie brzeskim w r. 1596 zebrany episkopat ruski, a więc Michał Rahoza, metropolita, Hipacy Pociej, biskup włodzimierski, Cyryl Terlecki, biskup łucki, Jan Hohol, biskup piński, i Hermogen, arcybiskup połocki, złożyli z katedr biskupich, jako niechętnych unji, dawnego jej zwolennika, Gedeona Bałabana, biskupa lwowskiego, i Michała Kopystyńskiego, biskupa przemyskiego. Król Zygmunt III uniwersałem do «narodu ruskiego», zatwierdzającym dokonany przez biskupów akt unji, nakazał usunąć Bałabana i Kopystyńskiego od zarządu eparchjami. Ale z powodu agitacji Konstantego Wasyla Ostrogskiego, oraz bractwa lwowskiego, rozporządzenie to królewskie nie osiągnęło skutku; przeciwnie, patrjarcha konstantynopolitański w r. 1597 ogłosił złożenie ze swej strony z urzędu wszystkich biskupów ruskich, którzy przyjęli unję, i nakazał, by w ich diecezjach sprawowali tymczasem rządy duchowne w imieniu patrjarchy właśnie odsądzeni przez unitów i króla Bałaban i Kopystyński, mający oprócz tego pozostać na swych dotychczasowych biskupstwach. Wszystko to wywołało ogromne zamieszanie i gwałty wzajemne.

Sprawa wytoczoną została na sejmie w r. 1600. Po obronie unji, wygłoszonej osobiście przez Hipacego Pocieja, który świeżo mianowany został przez króla metropolitą po śmierci Rahozy, sejm orzekł, że biskupi, przyjmujący unję, nie uchybili prawom krajowym i w urzędach swych pozostać mogą; postanowienie to nie stało się jednak prawem z powodu, że sejm nie doszedł. Gdy znów sprawa ta podniesioną została na sejmie w r. 1603, sejm został zerwany. Dyzunici, prowadzeni przez ks. Konstantego Wasyla Ostrogskiego, zwrócili się do trybunału litewskiego, w którym rządzili różnowiercy, z prośbą o złożenie z urzędu metropolity i biskupów unickich. Trybunał wydał rzeczywiście w r. 1605 wyrok zaoczny przeciw metropolicie i biskupom, lecz król wyrok ten wstrzymał, jako wydany z pogwałceniem kompetencji trybunału.

Na sejmie 1606 r., w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, dysydenci stanęli po stronie rokoszan i wymagali od króla spełnienia swych żądań. Gdy na sejmie tym żądań swych przeprowadzić nie mogli, podnieśli je znów na sejmie w r. 1607, na którym ostatecznie przeprowadzili konstytucję treści następującej:

«Uspakajając religję grecką, która zdawna ma swe prawa, warujemy, iż dostojeństw i dóbr duchownych inakszym prawem nie mamy rozdawać, jedno wedle ich fundacji i dawnego zwyczaju przodków naszych im nadanych: to jest ludziom szlacheckim narodu ruskiego i mere religji greckiej nie czyniąc im *praejudicium* w sumieniu i prawie ich, ani wolnego odprawowania nabożeństwa według dawnych obrzędów ich zabraniając i przeszkadzając; beneficyj też cerkiewnych dwojga osobie jednej konferować nie mamy; ale metropolicie metropolję, władyctwa władykom itd. Bractwa też cerkiewne religji greckiej przy prawach i przywilejach ich zo-

stawujemy... procesy przytem i postępki prawne i banicje, które na osobach duchownych w którymkolwiek sądzie zaszły, tak w Koronie, jak i w W. X. Litewskiem kasujemy i pozwanych od nich wolnymi czynimy».

Zdawałoby się, że konstytucja ta powinna była dyzunitów zabezpieczyć. Tymczasem zwolennicy unji zaczęli dowodzić, że wyrażenie «religji mere greckiej» stosuje się właśnie do nich, a nie do trwających w dyzunji. Tłumaczenie to było oczywiście naciąganem, ale król je podtrzymał, co mógł łatwo uczynić, skoro żądanie dyzunitów o usunięcie metropolity i biskupów unickich nie zostało w konstytucji uwzględnione. Stanowczą korzyścią dyzunitów było więc tylko to, że konstytucja ta zatwierdziła bractwa cerkiewne, będące głównem ogniskiem opozycji przeciwko unji, oraz stauropigjalne ich prawa, zwalniające je od posłuszeństwa władzy biskupiej.

Oczywiście zamieszania i gwałty nie ustawały, i w r. 1609 stanęła nowa konstytucja tej treści:

«Iż ludzie religji greckiej gruntowniejszego uspokojenia religji swej i objaśnienia artykułu, na przeszłym sejmie o tem uczynionego, potrzebowali: tedy teraz przez nawalność spraw przejść do tego nie mogąc, odkładamy to do drugiego sejmu blisko przyszłego. A *interim* zachowawszy w cale konstytucję przeszłego sejmu, warujemy, aby ci przełożeni duchowni, którzy unję z kościołem rzymskim przyjęli, tym którzy przestawać z nimi nie chcą, żadnym sposobem i pretekstem opresji i przenagabania jeden drugiemu nie czynili, ale w pokoju w władyctwach, monasterach, cerkwiach i dobrach cerkiewnych tak w Koronie jako i W. X. Litewskiem zachowani być mają, pod winą 10.000 złotych, o co forum na trybunale. Tego dokładając, iż jeśliby co która strona gwałtem, albo jakimkolwiek sposobem od sejmu przeszłego drugiej stronie zdziałała, tedy o to wolne prawem czynienie przed Trybunałem *compositi iudicii* zostawujemy».

Dyzunici, gdy ta konstytucja wydrukowaną została, protestowali przeciwko wyrażeniu: «*compositi iudicii*», twierdząc, że wyrazy te dodano później do konstytucji, i że postanowiono na sejmie, aby wyrokował trybunał zwykły. A wiedzieć należy, że trybunał litewski składał się z czterech duchownych i czterdziestu siedmiu świeckich, po większej części różnowierców, trybunał zaś *compositi iudicii* składał się

z czterech duchownych i z czterech świeckich deputatów. Zrobiwszy to oświadczenie, zanieśli dyzunici skargę przed trybunał litewski i rzeczywiście uzyskali w nim wyrok, odsądzający metropoltę od metropolji i nakazujący wypędzenie unitów z Wilna. Przeciwko temu wyrokowi król zaprotestował i wstrzymał go, jako wydany ponad kompetencję trybunału.

Zamieszanie i gwałty trwały dalej. Pozycja dyzunitów stała się o tyle gorszą, że pozostali bez biskupów, gdyż prawnie mianowanie biskupów tak katolickich, jak i greckich przysługiwało od czasów Kazimierza Jagiellończyka królowi, co niedawno jeszcze sejm z r. 1588 potwierdził. Statut zaś litewski zagrażał banicją i zaborem dóbr przyjmującym godności duchowne bez pozwolenia królewskiego. W czasie synodu brzeskiego w r. 1596 pozostali przy dyzunji, jak wiemy, z siedmiu biskupów tylko władycy, lwowski, Gedeon Bałaban i przemyski, Michał Kopystyński; pierwszy umarł w r. 1607, drugi w r. 1612; po ich śmierci król władyką lwowskim mianował unitę, Jeremjasza Tyszarowskiego, a władyką przemyskim unitę, Atanazego Krupeckiego.

Rzeczy tak stały do r. 1620. W tym roku Polska doznała od Turków niepamiętnej klęski pod Cecorą; hetman Żółkiewski zginął, hetman polny Koniecpolski dostał się do niewoli. Zbierano zewsząd wojsko i udano się o pomoc do kozaków. Na czele kozaków stał dzielny, ale przebiegły Konaszewicz, Rusin, do dawnej tradycji szczerze przywiązany, unji nieprzychylny. Właśnie przyjechał doń do Kijowa, w przejeździe z Moskwy na Południe, patrjarcha jerozolimski, Teofan, z pełnomocnictwem patrjarchy carogrodzkiego do wyświęcenia nowych biskupów na Rusi. Konaszewicz postanowił wskrzesić w tajemnicy całą hierarchję dyzunicką. W cerkwi Ławry Peczerskiej, przy zamkniętych drzwiach, zabitych deskami oknach, Teofan wyświęcił 15 sierpnia 1620 r. metropolitę schyzmatyckiego i sześciu władyków na te same stolice, które były przez biskupów unickich zajęte. Postawił zatem biskupa przeciwko biskupowi, przyczem wybór osób, przynajmniej na główne stolice, dokonany był z wielką zręcznością: na metropolitę wyświęcony został Hiob Borecki, archimandryta Ławry Peczerskiej, na arcybiskupa połockiego Melecy Smotrycki, obaj ludzie uczeni, zdolni i energiczni. Zwłaszcza Melecy Smotrycki, wychowany u jezuitów, był teologiem i polemistą zna-

komitym i bywalcem zagranicą; był wrogiem zaciętym unji i, jako taki, wydał w r. 1610 znany «Trenos» («Lament»).

Zaledwie wyświęcenie przez Teofana rzeczonych władyków dokonane zostało, zaraz rozesłano na całą Ruś listy z wiadomością o tem i z zapowiedzią, że nowi pasterze, z ramienia patrjarchy carogrodzkiego ustanowieni, niebawem obejmą przeznaczone sobie stolice biskupie. Następnie złożył Teofan z nowo wyświęconymi synod, na którym ułożono jednolity plan dalszej walki przeciw unji. Między innemi postanowiono burzyć wciąż lud przeciw biskupom unickim i z pomocą ludu ich wypędzać, stolice biskupie, monastery i kościoły parafjalne przemocą zabierać, a od rządu królewskiego żądać zatwierdzenia faktów dokonanych. Całą akcję złożono w ręce bractw, jako mających najbliższą z ludem i mieszczaństwem styczność, i w ręce kozaków. By zaś kozaków z sprawą dyzunji tem ściślej związać, wpisano ich na członków bractwa kijowskiego, które Teofan na nowo zorganizował. Odtąd każda uchwała tego bractwa była niejako rozkazem dla Zaporoża.

Polska znalazła się wobec faktu dokonanego. Był on pogwałceniem prawa, którego nie można było tolerować, ale z drugiej strony, wobec potrzeby pomocy kozaków w wojnie przeciwko Turkom, starano się ich nie drażnić. Król ograniczył się tylko do wydania uniwersału do wszystkich miast litewskich i ruskich, aby samozwańczych biskupów, w razie ich zjawienia się, uwięzili. Uniwersałów tych nowo wyświęceni biskupi się nie ulękli, jak również nie zwrócili uwagi na klątwę, rzuconą na nich przez metropolitę unickiego, Weliamina Rutskiego (został on metropolitą po śmierci Pocieja w r. 1613). Zamieszanie stawało się coraz większe; biedny lud nie wiedział, czego się trzymać.

Tymczasem zbliżał się sejm, złożony w końcu 1620 r., na którym trzeba było radzić o poborze na przyszłą wojnę i o środkach obrony. Na sejm przybyli liczni dyzunici. Nietylko różnowiercy, ale i wielu katolików podtrzymywało ich w żądaniu uznania przez króla wyświęconych przez Teofana biskupów. Był też obecny na sejmie Konaszewicz. Unitów zaś nie było, bo, jakeśmy mówili, szlachta ruska od unji stroniła i, przechodząc na katolicyzm, przyjmowała zwykle obrządek łaciński. Konaszewicz obiecywał pomoc kozaczyzny pod

tym tylko warunkiem, jeżeli żądanie dyzunitów będzie spełnione. Król, mimo trudnego położenia, w jakiem się znajdował, oświadczył, że «przybyli na sejm dla radzenia o sprawach państwa, nie Kościoła; że zresztą banicję na wyświęconych przez Teofana biskupów do przyszłego sejmu się zawiesza». Konaszewicz, jak to było jego systemem, pozornie ustąpił i zapowiedział, że kozaków przyprowadzi.

Na nowym sejmie w r. 1621 większość posłów, nawet katolików, zgadzała się, by uznać wyświęconych biskupów dyzunickich, a w ich imieniu śmiało przemawiał poseł wołyński, Rusin, Wawrzyniec Drewiński, przyczem domagał się, by unja została wprost zniesiona. Król sprawę znów odłożył do następnego sejmu.

Tymczasem wojna turecka została szczęśliwie zakończoną pokojem chocimskim (1621 r.). Panowie, szlachta, a nawet episkopat polski coraz bardziej skłaniali się ku myśli, by unję znieść, a unitów przeprowadzić na obrządek łaciński, z pozostawieniem im języka ruskiego w nabożeństwie dodatkowem. Ta opinja publiczna znalazła swój wyraz na sejmie w r. 1623. Większość była unji nieprzychylna; tylko interwencji króla zawdzięczać należy, że celem rozpatrzenia wzajemnych skarg unitów i dyzunitów ustanowiono komisję pod prezydencją niechętnego zresztą unji prymasa Gembickiego. Narazie stanowczej decyzji nie powzięto i odroczono ją do sejmu przyszłego; jednocześnie jednak skasowano wszystkie banicje i wyroki sądowe w sprawach, wynikłych z powodu unji.

Zdawało się, że unja dogorywa. Tymczasem w tymże roku (1623) nastąpiło zdarzenie, które unję uratowało, urok jej znacznie podniosło i wywołało ogólne poruszenie przeciwko dyzunitom. Mówimy tu o zamordowaniu przez dyzunitów w Witebsku unickiego arcybiskupa połockiego, Józefata Kuncewicza. Jego krew męczeńska stała się nasieniem życiodajnem dla unji. Pozyskała dla niej, między innemi, dawnego jej przeciwnika, Melecego Smotryckiego; w r. 1625 przeszedł on ostatecznie na unję i odtąd służył jej wiernie nieporównanem swojem piórem.

Czas od r. 1623 do śmierci Zygmunta III jest czasem względnego pokoju w sprawach unitów z dyzunją. Dyzunici postanowili czekać śmierci Zygmunta III, licząc na znane usposobienie tolerancyjne jego syna, Władysława.

Nie zawiedli się. W paktach konwentach Władysława IV czytamy: «A co się tyczy ludzi religji greckiej rozróżnionych, te uspokoić według podanych na elekcji teraźniejszej na afektację Rzeczypospolitej przez Nas przy deputatach *ex utroque ordine* punktów będziemy powinni nieodwłocznie». Punkta te były następujące (podajemy je, nie trzymając się ściśle ich numeracji i dosłownego brzmienia): 1) Dyzunici mają wolne wyznanie wiary na całym obszarze Rzeczypospolitej; wolno im posiadać, wznosić i naprawiać cerkwie, seminarja, szpitale, otwierać drukarnie i piastować urzędy miejskie bez wyjątku. 2) Pozostają w posiadaniu cerkwi, które były w ich ręku; bractwa ich zachowują swoje prawa, wolno im także nowe bractwa zakładać. 3) Zaraz po koronacji będzie z pośród szlachty dyzunickiej mianowany nowy metropolita dla dyzunitów, z tytułem metropolity kijowskiego; ten będzie obowiązany postarać się o inwestyturę u patrjarchy carogrodzkiego; oprócz tego przyznano dyzunitom trzy biskupstwa: łuckie, przemyskie i mścisławskie, oddzielone od połockiego. 4) Metropolicie unickiemu, Rutskiemu, pozostawiono tytuł metropolity kijowskiego i dochody z dóbr metropolitarnych na Ukrainie, ale te ostatnie mają przejść po jego śmierci do metropolity dyzunickiego. Wszystkie cerkwie kijowskie, z wyjątkiem małego monasteru wydubickiego, wracają do dyzunitów. 5) Ponieważ dochody eparchji przemyskiej mają należeć do biskupa dyzunickiego, biskup unicki w Przemyślu (Krupecki) otrzymywać będzie dożywotnio od króla rocznie po 2.000 złotych. 6) Władyka unicki w Łucku, Jeremjasz Poczapowski, ustąpi swoje biskupstwo biskupowi dyzunickiemu; wolno mu tylko będzie używać dożywotnio tytułu władyki i zatrzymać archimandrję żydyczyńską. 7) Biskupstwo dyzunickie mścisławskie oddziela się od unickiego połockiego, z tytułem biskupa mścisławskiego, orszańskiego i mohylowskiego, z rezydencją w Mohylowie. 8) Metropolita dyzunicki otrzymuje monastyr pod Grodnem, aby jego sufragan mógł tam rezydować i święcić księży dyzunickich dla Litwy. 9) Po koronacji królewskiej ma być ustanowiona komisja, złożona z dwóch dyzunitów i dwóch unitów, którzy bez dalszych apelacyj powinni rozdzielić klasztory między dyzunitów i unitów w miarę liczby ludności każdego wyznania. 10) Zezwala się na przechodzenie z unji na dyzunję i odwrotnie.

Zaraz po koronacji, wysłał Władysław IV w poselstwie do Rzymu Jerzego Ossolińskiego; chodziło królowi między innemi o to, by papież przeciwko owym punktom niezbyt protestował. Również mimo opozycji ze strony duchowieństwa, w r. 1633 nominował biskupów dyzunickich; Piotr Mohyła został potwierdzony na dyzunickiej metropolji kijowskiej.

Na to zachowanie się Władysława IV wpływały niewątpliwie z jednej strony jego zamiary zdobycia korony moskiewskiej, z drugiej chęć pozyskania kozaków. Ale nie można zaprzeczyć, że główną podstawą jego polityki była rozumna tolerancja religijna, gdyż bezstronne jego i przyjazne zachowanie się wobec dyzunitów nie zmieniło się i po zrzeczeniu się wszelkich pretensyj do korony moskiewskiej w r. 1634, ale trwało przez cały ciąg jego panowania aż do śmierci.

Zmieniło się jedno. Gdy dawniej Zygmunt III był promotorem i obrońcą unji, a naród spoglądał na nią obojętnie, lub się od niej odżegnywał, teraz, z postępem reakcji katolickiej, król był liberalniejszy od narodu. Naród ulegał coraz bardziej wpływom nietolerancji religijnej, a buntująca się kozaczyzna coraz częściej wysuwa dyzunję jako hasło bojowe.

W każdym razie dzieje narodzin unji kościelnej dowodzą, że nie była ona dziełem ani szlachty, ani duchowieństwa polskiego — była dziełem jezuitów, Zygmunta III i części samego wyższego społeczeństwa ruskiego. Naród polski powodował się zdrowym instynktem, uważając unję za niepotrzebną, nawet za szkodliwą. Polska dotychczas nie występowała wrogo przeciwko wyznaniu wschodniemu na Rusi, a katolicyzm zdobył sobie najwięcej adeptów świadomych (o ludzie nieuświadomionym nie mówimy) właśnie przed i poza unją; mógł się on powoli rozpowszechniać bez unji, a przez dodatkowe nabożeństwa, równoległe w języku polskim i ruskim, mógł w wspólnym obrządku łacińskim zbliżać do siebie Polaków i Rusinów. Unja, jak klin, wbiła się między Polskę a Ruś, między katolicyzm łaciński a wyznanie wschodnie. To, co miała złączyć, rozjątrzyła i rozdzieliła na długo; dopięła tylko jednego — odsunęła od ludu ruskiego szlachtę ruską, która, stroniąc od unji, a przechodząc na katolicyzm, jednocześnie spolszczyła się. Wdzięcznymi unji za to być nie możemy. Nietylko, że natomiast zrutenizowała setki tysięcy kolonistów polskich z ludu prostego, ale, co gorsza, pozbawia-

jąc naród rusiński własnej szlachty, uczyniła zeń organizm już nietylko narodowościowo, ale kulturalnie i społecznie tak do Polski niepodobny, że różnica ta musiała fatalnie zaważyć na współżyciu dwóch narodów, tak blisko z sobą historycznie i terytorjalnie złączonych.

Pomyślmy, o ile łatwiej, pomimo wszelkich błędów Polski względem Ukrainy, ułożyć się mogły stosunki polsko-rusińskie, gdyby Rusini nie byli dziś wybitnie społeczeństwem chłopskiem (nie w pogardliwem tego słowa znaczeniu), ultrademokratycznem, lecz gdyby mieli, jak naród polski, również swoją historyczną klasę wyższą. Dziś nowe zrutenizowanie się rodzin polskich, noszących dawne nazwiska rusińskie, byłoby już tylko tragikomedją i, jak każda rzecz śmieszna, zgóry skazaną na niepowodzenie; pierwsi Rusini wyśmialiby się z takich «synów marnotrawnych» i traktowali ich jak lisy farbowane, lub prowokatorów. Dziś musimy czekać, zanim naród ukraiński, wbrew tradycjom kozacko-hajdamackim, znów wytworzy zdrową inteligencję o ideałach kulturalnych, a naród polski, wbrew dawnym narowom szlacheckim, przystosuje się do wymagań zdrowego demokratyzmu.

XII. STAN POLSKI W DRUGIEJ POŁOWIE W. XVII.

Rozpatrując stan Polski w pierwszej połowie XVII w., wskazaliśmy na jej niedomagania, ale też na fakt, że niedomagania te, wobec ogólnej pomyślności kraju, nie tak były widocznie; nazewnątrz Polska nie była pozbawioną pozorów nawet znacznej siły, która mogła ważyć na szalach losów Europy. Złudzenia te prysły pod wrażeniem zwycięstw Chmielnickiego i grasowania w Polsce Kozaków, Tatarów, Moskali, Szwedów i Rakoczego. Choć wszystkich tych napastników udało się Polakom odpędzić, jednak dawny urok nie wrócił, i dyplomacja europejska coraz lepiej zaczęła sobie zdawać sprawę z rzeczywistego stanu Rzplitej. Po najściu Turków w r. 1672, przez upadek Kamieńca i haniebny pokój w Buczaczu, słabość Polski i łatwość jej opanowania zostały raz jeszcze stwierdzone. Opinji tej nie mogło zmienić ani świetne zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem w r. 1673, ani jego wyprawa pod Wiedeń w dziesięć lat później — Europa wiedziała już, że poza temi wybuchami świetnemi dawnej siły państwa polskiego, pozostaje ono w stanie zupełnej dezorganizacji i zacofania.

W całej Europie ówczesnej panował absolutyzm oświecony — ciężki dla klas uprzywilejowanych, ale poprawiający ich błędy, wzmacniający ideę państwową, zaprowadzający ład i porządek, dający pewną opiekę klasom najniższym i pokrzywdzonym. Polska, po chwilowym błysku w XVI w., pozostała przy swych dawnych instytucjach średniowiecznych, skostniała w swej wadliwej budowie społecznej, stała się anachronizmem wśród państw europejskich. Potrzebowała nagwałt reform, choćby opłaconych najcięższemi ofiarami ze swobód stanowych i narodowych, choćby zdobytych

drogą klęsk i nieszczęść krajowych. Niestety, nie było komu przeprowadzać reform; klęski, których nie brakło, minęły bez śladu i przeszły w zapomnienie. Ta względna pomyślność, która cechuje i nadal dzieje Polski do samej chwili jej upadku, stanowi ich tragizm największy. Nie pomogła burza kozacka — magnaci wrócili na Ukrainę; nie pomógł najazd szwedzki — Częstochowa i Tyszowce wzmocniły wiarę szlachty w jej siły niespożyte; nie pomogła hańba buczacka — zmazały ją zwycięstwa Sobieskiego; nie pomogła ogólna wśród tych napaści ruina materjalna kraju — szlachta w części zepchnęła ją przy pomocy usłużnych żydów na mieszczan i chłopów, w części przywykła do większej prostoty przez obniżenie swych wymagań kulturalnych; wreszcie nie pomógł ucisk, nierozłączny z anarchją wewnętrzną — szlachcic albo uciekał od życia publicznego i stawał się domatorem, albo też oddawał się pod opiekę możnego pana, który odtąd stawał się jego obrońcą, protektorem, a często i chlebodawcą.

Inaczej być nie mogło, skoro wobec zupełnego zniszczenia w Polsce równowagi stanów, zabrakło w niej tak koniecznego warunku zdrowia i postępu, jakim jest ścieranie się sił, które zmusza do stałych przeobrażeń, nagina je do potrzeb życia, chroni od zwichnięcia, zastoju i rozkładu. Nie było też jednostki genjalnej, któraby, uchwyciwszy władzę silną dłonią, nagięła napowrót społeczeństwo do form rozwoju bardziej zdrowych i normalnych. Sam tłum szlachecki, ani też zajęte rywalizacją wzajemną możnowładztwo ówczesne zadania tego spełnić nie mogły. Więc bieg rozwoju narodu zatrzymał się, i to w chwili, gdy cała Europa zajęta była zaprowadzeniem u siebie ładu i porządku, podnoszeniem swych sił ekonomicznych i militarnych. Gdyby więc Polska nawet się nie cofała, lecz stała tylko w miejscu, pozostałaby w porównaniu z innemi ludami Europy w tyle. Ale cofanie się Polski na wielu polach jest nawet bezwzględne, a tłumaczy się to dalszem działaniem owych czynników pierwotnych, które doprowadziły do zrujnowania struktury społecznej w Polsce. Orjentacja wschodnia oddala Polskę coraz bardziej od wpływów cywilizacji zachodniej i poddaje ją pod wpływy kulturalne coraz niższe. Zamiast jeździć, jak dawniej, do Padwy, Bolonji i Paryża, Polak z drugiej połowy XVII w. dziczeje w walkach z kozaczyzną, Tatarami i Turcją, zwiedza dobrowolnie lub z musu Krym i Turcję, przyzwyczaja się do prostaczych zwyczajów wschodnich.

Stosunek Polski do sąsiadów zmienił się radykalnie na jej niekorzyść; w kombinacjach politycznych Europy zajmuje Polska miejsce coraz mniej wpływowe, zaczyna być nie czynnikiem, lecz narzędziem, by stopniowo w XVIII w. spaść jeszcze niżej i z narzędzia stać się — łupem polityki zaborczej.

Przyjrzyjmy się po kolei sąsiadom Polski ówczesnej.

Ze Szwecją po długich wojnach stanął nareszcie w roku 1660 pokój wieczysty w Oliwie. Poprzedziła go niesłychana hańba narodu polskiego — poddanie się królowi szwedzkiemu w r. 1655. Wprawdzie nastąpiła reakcja, ale zrzucenie jarzma szwedzkiego odbyło się nie tak łatwo i nie bez znacznych, a upokarzających ofiar. By zyskać pomoc sąsiadów, wystawiono koronę polską na targowisko, obnoszono ją jak przedmiot handlu, poniżono godność państwa i narodu; korzono się przed Austrją, Moskwą, Francją, a nawet elektorem brandenburskim. W rezultacie kraj cały został przez najazdy Szwedów, Moskwy, kozaków i Rakoczego, wreszcie przez nadużycia własnego wojska niepłatnego złupiony do szczętu i doprowadzony do ostatecznej ruiny ekonomicznej. A Szwecja wyszła z walki, jeżeli nie znacznie powiększoną, to z chwałą wojenną i z zatrzymaniem przy sobie większej części Inflant.

Kurfirst brandenburski, przez traktat welawski z r. 1657, potwierdzony przez pokój oliwski w r. 1660, został zwolniony od hołdu z Prus, które przestały być lennem Polski; miały tylko pozostawać z Polską w przymierzu wieczystem, t. j. obowiązane były dostarczać Polsce na każdego nieprzyjaciela po 1500 żołnierzy, a Polska obowiązana była je bronić, gdyby zostały napadnięte. Jednocześnie elektor brandenburski traktatem, zawartym w Bydgoszczy w r. 1657 (zaraz po traktacie welawskim), otrzymał od Polski prawem lennem dwa powiaty z województwa pomorskiego, lęborski (Lębork po niemiecku Lauenburg) i bytowski — powiaty te do r. 1637 były na prawie lennem w posiadaniu ks. pomorskich z nadania Zygmunta I, a dawniej dostały się Polsce razem z Prusami królewskiemi przez pokój toruński z r. 1466. Jak «wielki elektor» coraz bardziej lekceważył Polskę, na którą miał stale oczy zwrócone i której słabość znał doskonale, widać z całego dalszego jego postępowania. W r. 1670 kazał porwać

z Warszawy Ludwika Kalksteina Stolińskiego, który, będąc poddanym Prus książęcych, był jednocześnie szlachcicem polskim i oficerem wojsk koronnych; będąc w Prusach, naraził się kurfirstowi swą opozycją przeciw kasowaniu dawnych wolności; gdyż pamiętać należy, że stany Prus książęcych wszystkiemi siłami sprzeciwiały się zerwaniu łączności z Polską, kurfirst zaś i jego gubernator pruski, Bogusław Radziwiłł, dążyli do zatarcia nawet cienia wszystkiego, co mogło dawną łączność z Polską przypominać. Porwanie Kalksteina z Warszawy było pogwałceniem najelementarniejszych praw międzynarodowych i mogło być tolerowane jedynie przez państwo tak niedołężne, jakiem w owym czasie była już Polska. Skończyło się na kilku reklamacjach króla Michała Wiśniowieckiego, o które elektor nie dbał, i Kalkstein został przez sąd w Królewcu za zdradę stanu osądzony na śmierć i ścięty. Postępując w ten sposób, elektor swoim zwyczajem nie stawiał się hardo; owszem, pokornie przepraszał za wywiezienie Kalksteina, dokonane przez jego agenta, Brandta; pozornie nawet Brandta ukarał, a w r. 1672 przesłał królowi Michałowi do obozu pod Gołąb, jako wierny aljant, oddział wojska, złożony z 500 jeźdźców.

Znając stosunki polskie doskonale, kurfirst umiał się asekurować od wszelkich nieprzyjemności. Robił, co chciał, ale — miał w Polsce stałych przyjaciół. Takimi *gut brandenburgisch*, a nawet wprost oddanymi mu ludźmi byli: Jan Leszczyński (kolejno wojewoda łęczycki, wojewoda poznański, kanclerz, wreszcie wojewoda krakowski) i Krzysztof Grzymułtowski. Wogóle elektor umiał zawsze sobie zjednać wszystkich panów wielkopolskich, a przedewszystkiem Leszczyńskich.

Charakterystyczną sprawą jest zajęcie przez niego starostwa drahimskiego [1]). Jan Kazimierz był winien kurfirstowi 120.000 talarów, które traktatem welawskim z r. 1657 zobowiązał się zapłacić za trzy lata; suma ta została zabezpieczoną na starostwie drahimskiem. Zwyczajem polskim sumy tej w terminie nie wypłacono, a kurfirst jej nie wypowiadał; dopiero w r. 1668, korzystając z bezkrólewia, nie wypowiedziaw-

[1]) Starostwo drahimskie leżało w województwie poznańskiem w pow. welawskim na granicy Pomorza.

szy swej sumy (co uczynić był powinien podług umowy zastawu), zajechał zbrojnie Drahim. Załagodziwszy pieniędzmi ówczesnego posesora tego starostwa, ks. Dymitra Wiśniowieckiego, kurfirst przy starostwie pozostał. Nietylko on, ale i jego następcy, bo Rzplita starostwa tego ostatecznie nie wykupiła aż do r. 1773, kiedy razem z Prusami królewskiemi zostało ono ustąpione Fryderykowi II.

Kurfirsta Fryderyka Wilhelma pierwszy nazwał «wielkim elektorem» historyk Puffendorf, zaproszony przez niego do napisania historji jego panowania. Tytuł ten pozostał przy nim w historji, gdyż zasłużył nań w zupełności. Już Jerzy Ossoliński, jak o tem wspominaliśmy, przewidział w nim dzielnego panującego, ale i niebezpiecznego dla Polski sąsiada. Miał swe posiadłości porozrzucane, a jednak potrafił niemi rządzić sprężyście; stworzył t. zw. Radę Tajną *(Geheimsrat)*, złożoną z 10 radców, właściwie ministrów. Jednocześnie tak w swych posiadłościach w Niemczech, jak i w Prusach książęcych zniósł wszystkie prerogatywy szlachty, utrudniające rządy. Był typowym «Prusakiem», poprzednikiem Fryderyka II i Bismarka.

Jak wielkie już wtedy zachodziły różnice między nierządem w Polsce a tą, choć wiarołomną, ale mocną i przewidującą polityką «wielkiego elektora» — za dowód niech służy fakt, że choć Polska liczyła w owym czasie do 10 miljonów ludności, a elektor miał zaledwie 1,200.000 poddanych, jednak miewał w szeregach 26.000 żołnierzy, gdy Sobieski w czasie najazdu tureckiego w r. 1672 mógł przeciwstawić nieprzyjacielowi zaledwie 4.000 ludzi; a po nadzwyczajnych wysiłkach zgromadziła Polska na wyprawę chocimską 40.000 ludzi.

O mądrości «wielkiego elektora» świadczy też fakt, że gdy Polska wypędziła w r. 1658 arjanów, a Francja w r. 1685 hugonotów, przyjął do siebie jednych i drugich; hugonoci przynieśli mu z Francji znaczne kapitały i przemysł, który w krótkim czasie zmienił do niepoznania ubogie okolice Berlina.

W r. 1701 syn «wielkiego elektora» został królem pruskim.

Nie lepiej układały się dla Polski stosunki ze wschodnim jej sąsiadem, państwem moskiewskiem. I tam również, pomimo niskiego poziomu cywilizacji, rosła potęga państwa dzięki systematycznej i wytrwałej pracy panujących, dzięki ciągłości polityki, której tak brakło Polsce. Pod koniec zaś tego stulecia danem było Moskwie posiąść jednego z największych genjuszów w budownictwie państwowem, Piotra Wielkiego.

Po zaburzeniach wewnętrznych na początku XVII stulecia Moskwa zmuszona była w r. 1618, na mocy traktatów w Dywilinie, zawrzeć z Polską rozejm na lat szesnaście, z pozostawieniem przy niej Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny. Odtąd, w miarę wzmagania się sił wewnętrznych, Moskwa dąży nietylko do odebrania tych ziem, ale do rozszerzenia swego terytorjum kosztem Rzplitej. Spróbowała to uczynić w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III; nie czekając końca rozejmu, wkroczyła ze znacznem wojskiem w granice polskie; wojska moskiewskie przystąpiły do oblężenia Smoleńska. Ale król Władysław IV wkrótce zmusił obóz moskiewski do kapitulacji, i traktatem t. zw. polanowskim [1]) Moskwa musiała Smoleńszczyznę i Siewierszczyznę (w rozszerzonych granicach) ostatecznie Polsce odstąpić i wypłacić jej 200 tys. rub. kosztów wojennych; nawzajem Władysław IV zrzekł się tytułu cara moskiewskiego. Pokój polanowski był już nie rozejmem, lecz pokojem wieczystym — ale, jak wiemy, pokoje takie trwają czasem krócej od rozejmów. Moskwa oczywiście aspiracyj swoich się nie wyrzekła i tylko czekała na wzmożenie się swoich sił wewnętrznych i na chwilę stosowną, która wobec ustroju Rzplitej mogła się nadarzyć bardzo łatwo, tem bardziej, że Polacy lekceważyli sobie znaczenie Moskwy i spokojnie patrzyli na wzmagający się jej dobrobyt i potęgę.

W traktacie polanowskim istniało zastrzeżenie, że, w razie śmierci jednego z monarchów, traktat ten powinien być nanowo przez obu monarchów zaprzysięgany; wynikało to ze znaczenia przysięgi, jako aktu osobistego, i pojmowania traktatów, jako umów, zawieranych nie przez państwa, lecz przez ich monarchów. W ten sposób od czasu do czasu za-

[1]) Polanów — między Wiaźmą i Drohobużem.

chodziła potrzeba potwierdzania owego wieczystego pokoju; z tego korzystała Moskwa, by posyłać poselstwa do Polski, dowiadywać się o jej stanie wewnętrznym i, pod pozorem różnych pretensyj, żądać zmiany traktatów. Pretensje te, w braku innych, opierały się na pomyłkach, popełnianych przez Polaków w zawiłej tytulaturze carów moskiewskich. Poselstwa moskiewskie żądały np. kary śmierci na Jeremiego Wiśniowieckiego za to, że w jakimś akcie, przezeń podpisanym, pisarz przez pomyłkę, mówiąc o carze, napisał Aleksander zamiast Aleksy; lub np. że Polacy opuścili gdzieś w tytule: «i mnogich hospodarstw hospodara i obładatiela» i t. p. Jeszcze za Władysława IV, wkrótce po pokoju polanowskim, a mianowicie na sejmie r. 1637 stanęła była przez wzgląd na drażliwość Moskwy co do owych tytułów konstytucja tej treści: aby nikt z osób prywatnych nie ważył się pisać listów do wojewodów moskiewskich, lecz czynił to przez władze polskie, a więc przez wojewodów, kasztelanów, starostów i innych, którzy o tytułach byli należycie poinformowani, «a na takowych, którzyby się ważyli pisać, albo tytuły zmniejszać, albo odmieniać, *poenam perduellionis* (t. j. karę jako za zdradę stanu) nakładamy». Na tę właśnie konstytucję powoływały się później poselstwa moskiewskie, żądając na winnych choćby najmniejszych uchybień w tytulaturze kary śmierci. Ponieważ te pretensje stawały się coraz natarczywsze, i rząd polski zmuszony był niejednokrotnie, pod przymusem ze strony swego wschodniego sąsiada, powoływać różne osoby przed sąd sejmowy na mocy owej konstytucji z r. 1637, przeto po zwycięstwach polskich nad Moskwą w r. 1660, na sejmie r. 1661 stanęła nowa konstytucja następująca: «Niemało mieszaniny konstytucja anni 1637... w państwie naszem uczyniła, gdy z małych bardzo pretensyj obywatele Rzplitej pociągani bywali *ad poenam perduellionis*. Zaczem całą tę konstytucję znosimy i kasujemy na wieczne czasy, rozkazując, aby na potem nigdy drukarze pomienionej konstytucji w państwie naszem nie ważyli się przedrukowywać itd.».

W czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV, Moskwa znów chciała skorzystać z zamieszania w Polsce, spotęgowanego przez wybuch powstania Chmielnickiego. Jednak zapobiegły temu bunty w samem państwie moskiewskiem — wybuchły one właśnie w r. 1648, skutkiem zdzierstwa boja-

rów, zwłaszcza Miłosławskich, Morozowa i Pleszczejewa. Car zmuszony był oddać w ręce zbuntowanego tłumu Pleszczejewa, którego w okrutny sposób zamordowano; Morozowa zesłano do monasteru.

Ale po bezkrólewiu nastało w Polsce jeszcze gorsze zamieszanie, bo — burza kozacka, najazd Szwedów, łupieska wyprawa Rakoczego, wojna z Tatarami i Turcją. System Chmielnickiego, jak wiemy, zasadzał się na oddawaniu się w poddaństwo wszystkim pokolei sąsiadom — a więc w roku 1649 począł on słać poselstwa do Moskwy z prośbą o przyjęcie go «pod wysoką rękę», t. j. w poddaństwo z całą kozaczyzną. Ostrożna Moskwa zdecydowała się na to nie odrazu. Najprzód wysłano do Polski, jako gońca, sprytnego Kunakowa (którego relacje, choć często bałamutne, stanowią ciekawy przyczynek do poznania stosunków polskich ówczesnych), a później w r. 1650, jako posłów wielkich, dwóch bojarów Puszkinów. Poselstwo to szczegółowo opisane zostało w pierwszym tomie «Szkiców Historycznych» Kubali. Groziło ono wojną w razie nieukarania śmiercią tak winnych uchybienia w tytułach carskich, jak też kilku autorów pism ulotnych, w których znajdowały się niepochlebne wzmianki o Moskwie. Polska tak pragnęła pokoju, że zgodziła się na publiczne spalenie kilku takich książek, i obiecała, choć nie doraźną, jak żądało poselstwo moskiewskie, ale sądową represję za uchybienia w tytulaturze; żądania posłów oddania Moskwie różnych grodów pogranicznych odrzucono. Wojna została na czas jakiś zażegnana.

Wybuchła dopiero w r. 1654, gdy Moskwa zdecydowała się nareszcie przyjąć kozaczyznę w poddaństwo. Krok ten uczyniony przez nią został z rozwagą i przygotowaniem, które przynoszą zaszczyt rozumowi stanu rządu carskiego. Przygotowano do wojny ogromne siły zbrojne, propozycję Chmielnickiego przyjęto za dobrą monetę i stosownie do tego wysłano na Zadnieprze i do Kijowa poselstwo (z Buturlinem na czele), które z wielką godnością i stanowczością dokonało aktu przyjęcia kozaczyzny w poddaństwo moskiewskie. Chmielnickiemu zdawało się, że z Moskwą będzie sobie radził jak z Polską, Tatarami lub Turcją — będzie korzystał z jej potęgi, zwróci ją na Polskę, odciągnie w ten sposób siły polskie od Ukrainy, a sam dalej będzie manewrował od wy-

padku do wypadku, od jednej protekcji do drugiej. Ale trafiła kosa na kamień. Monarchja moskiewska nie była anarchiczną Polską — poddaństwo wzięła na serjo i, choć nie odrazu, stopniowo, systematycznie dążyła do trwałego spojenia z sobą całej «Małorosji» (wtedy dopiero po raz pierwszy zaczęto nazwy tej używać).

Stary lis Chmielnicki dostał się w pułapkę, z której już nie wyszedł. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy w r. 1655 zdobył sobie nowego protektora, króla szwedzkiego, gdy w r. 1656 car zawarł z Polską rozejm w Niemierzy (pod Wilnem). Rozejm ten został spowodowany podsunięciem carowi perspektywy następstwa po Janie Kazimierzu, tudzież zupełnem wyczerpaniem skarbu moskiewskiego. Po śmierci Chmielnickiego, stały jego powiernik, Wyhowski, próbował przez unję hadziacką z r. 1658 oderwać się od Moskwy przy pomocy Polski — ale akcja ta była już spóźnioną. Rząd carski nie dał się zbić z tropu, zgniótł malkontentów na Zadnieprzu i wznowił wojnę z Polską. Wojna ta prowadzona była ze zmiennem szczęściem; dla Polski najszczęśliwszym był rok 1660, dzięki zwycięstwom pod Lachowiczami i Cudnowem. Wreszcie obie strony były tak wyczerpane, że w r. 1667 stanął na lat 13 i pół rozejm w Andruszowie (między Smoleńskiem i Mścisławiem). Na mocy tego rozejmu, Polska odstąpiła Moskwie całe Zadnieprze i Smoleńszczyznę, a Kijów miał wrócić do Polski za dwa lata, t. j. w r. 1669.

Ale już nie wrócił. Moskwa chciała i umiała rosnąć, Polska rosnąć nie chciała i — kurczyła się. Moskwa nie oddawała Kijowa pod różnemi pretekstami. Wreszcie w r. 1678 przedłużono rozejm andruszowski do r. 1693, przyczem car «tymczasowo» zatrzymywał nadal Kijów, za co zapłacił 2 miljony złp. Układu tego dokonało w Moskwie poselstwo polskie, mające na czele Michała Czartoryskiego, wówczas wojewodę wołyńskiego. Przyjęcie warunku co do Kijowa tłumaczy się postępującą abdykacją Polski w kwestjach wschodu ruskiego, a także polityką Jana III, coraz bardziej przejmującego się myślą walki na życie i śmierć z Turcją. O polityce tej mówić zaraz będziemy, tu tylko zaznaczamy, że w stosunku do Moskwy doprowadziła ona w r. 1686 do poniżającego dla Polski tak zwanego pokoju Grzymułtowskiego, którym Polska, mająca wówczas na tronie bohatera z pod Wied-

nia, odstąpiła Moskwie, będącej pod rządami carewny Zofji, już na zawsze nietylko Smoleńszczyznę i Zadnieprze, ale i Kijów z pięciomilowym okręgiem, za wynagrodzenie pieniężne półtora miljona talarów i problematycznej wartości przymierze przeciwko Tatarom.

Jednocześnie w tymże r. 1686 Moskwa dokonała innej korzystnej transakcji: kupiła od patrjarchy carogrodzkiego, Dionizego, metropolję kijowską i przyłączyła ją do patrjarchatu moskiewskiego. Wypadek ten miał skutki doniosłe, a dla Polski złowrogie. Wprawdzie przez to znaczna część dyzunitów polskich połączyła się z unją (diecezja przemyska w r. 1692, lwowska w r. 1700, łucka w r. 1702), ale wzamian za to Moskwa stawała się stolicą duchowną całej pozostałej w Polsce ludności dyzunickiej. Państwo, które na takie przesunięcie się sił patrzyło obojętnie, musiało być pozbawione wszelkiego zmysłu politycznego. Tak też było istotnie, i ani Sobieski, ani magnaterja, ani szerokie warstwy szlacheckie nie zdawały sobie sprawy ze skutków coraz bardziej postępującej abdykacji z najelementarniejszych potrzeb państwowych. Szerokie masy szlacheckie zobojętniały już oddawna dla polityki państwowej i nie rozumiały jej; ale nawet umysły światlejsze i szlachetniejsze, ludzie stojący na wyższym szczeblu społecznym i kulturalnym, tracili wszelką orjentację w sprawach państwowych i ogólnoeuropejskich i w końcu XVII w. przejęli się z Janem Sobieskim jedną myślą — myślą o walce z półksiężycem.

Walka ta ma swą historję. Turcja nie odrazu, lecz stopniowo stawała się względem Polski potęgą zaczepną i zaborczą. Wprawdzie zaborczość leżała w samej istocie państwa Osmanów, ale żeru dla tej zaborczości szukała Turcja przedtem u sąsiadów najbliższych, a tymi byli w Europie Wenecja i Węgry. Starcia Polski z Turcją w czasie ostatnich lat panowania Zygmunta III tłumaczą się przymierzem króla z Austrją, nieustającemi napadami kozaczyzny, oraz wyprawami panów polskich do księstw wołoskich. Ale od r. 1621 przez lat 50 panuje pomiędzy Polską a Turcją pokój. Za czasów Władysława IV, nie Turcja myśli o wojnie z Polską, lecz król polski trawi swe życie na przygotowaniach do wyprawy na Turków; Turcja boi się Polski. Ten lęk, ten respekt trwa i po śmierci Władysława IV, lecz stopniowo rozwiewa się, jak

dym. Turcja staje na szczycie swej potęgi. Na tronie sułtańskim zasiada w r. 1648, jeszcze jako dziecko siedmioletnie, Mahomet IV; nie umrze na tronie, gdyż na siedem lat przed śmiercią rewolucja pałacowa usunie go od rządów i odda je spokojniejszemu odeń bratu. Ale pozostaje na tronie lat trzydzieści dziewięć, dosyć, by zaważyć na szalach Europy. Ledwie doszedłszy do pełnoletności, Mahomet IV okazał cechy, które, choć często tylko na krótką metę, dają jednak rezultaty imponujące. Był dumnym, ambitnym, chciwym sławy, umiejącym dobierać ludzi, a jednocześnie srogim i okrutnym. Takimi byli też ludzie, którym powierzał rządy, a zwłaszcza sławna rodzina Kiupriulich. W r. 1656 wielkim wezyrem został stary już Mehmed Kiupriuli; ten rządził samowładnie, jak Richelieu, aż do śmierci w r. 1661. Po nim przez lat 15 rządził syn jego, Ahmed Kiupriuli († 1676). Wreszcie po mniej szczęśliwym jego następcy, Kara Mustafie (1676 do 1683), wielkim wezyrem został syn Kiupriulego, na imię Mustafa, człowiek również zdolny i energiczny, za którego sprawą zbyt drapieżny już Mahomet IV został wreszcie w r. 1687 zdetronizowany.

Była to potęga ogromna ta Turcja Mahometa IV i Kiupriulich! Sam Ludwik XIV przez szpary patrzał na obelgi, wyrządzane w Turcji jego ambasadorom, a wiadomo, jak był w tym względzie wymagającym. Tak np. w r. 1664 ambasador francuski został na audjencji u Ahmeda Kiupriulego obity i spoliczkowany — ale zajście to zostało zatuszowane, i wielki wezyr, wyznaczywszy mu drugą audjencję, odezwał się z uśmiechem: «Co było, to minęło, nadal możemy być przyjaciółmi!» Wszyscy posłowie cudzoziemscy musieli poddawać się upokarzającemu ceremonjałowi; przed audjencją u sułtana dostawali się w ręce urzędników pałacowych, którzy ich przebierali w złociste kaftany, porywali za ręce i tak wprowadzali do sali tronowej, wlekli przed tron padyszacha, rzucali prawie o ziemię i wreszcie cofali ich do przeciwległej ściany. Radziejowski, posłany do Turcji w r. 1667, jako poseł Rzplitej, przekupił owych urzędników pałacowych (kapudżich), by go wprowadzili na audjencję bez tych upokarzających dodatków; głowę sam schylił przed sułtanem; za to urzędnicy ci skazani zostali na śmierć, i tylko w drodze łaski kara śmierci zamienioną została na skatowanie knutem.

W czasie panowania Jana Kazimierza, Turcja na szczęście zajęta była wojną z Wenecją. Wojna ta skoncentrowała się wkrótce w bohaterskiej obronie przez Wenecję doskonale opatrzonej twierdzy Kandji na Krecie. Po strasznych ofiarach z obu stron, po dwudziestu latach oblężenia, twierdza została przez Turków zdobyta w r. 1669; przy oblężeniu zginęło 100 tys. wyznawców proroka.

Koniec wojny weneckiej zbiegł się z nieszczęsnym wyborem w Polsce Michała Wiśniowieckiego; wkrótce też potem Doroszenko poddał Turcji Ukrainę; starcie się Polski z Turcją stało się nieuniknionem.

Wojna turecka trwała długo, gdyż z przerwami lat 28 (1671—1699). Prowadzoną była ze zmiennem szczęściem, ale ostatecznie była fatalną tak dla Polski, jak dla Turcji — obie podupadły, a na ich miejsce podniosły się Rosja i Austrja.

Za rządów szlacheckich, pod panowaniem niedołężnego Michała Wiśniowieckiego, Polska pozwoliła się najść Turkom bez żadnej obrony. Turcy zdobyli Kamieniec i całe Podole, i komisarze polscy pośpieszyli się zawrzeć haniebny pokój buczacki (w końcu 1672 r.). Pokój ten nie został ratyfikowany, i wojnę wznowiono. Tym razem Turcy zostali 11 listopada 1673 r. pobici przez Sobieskiego pod Chocimem; w chwili tego zwycięstwa król Michał już nie żył († 10 listopada), a zwycięstwo to nie wróciło utraconych krajów. Dopiero przez traktat żórawiński w roku 1676 Polska odzyskała dwie trzecie Ukrainy, reszta zaś Ukrainy została pod zwierzchnictwem Turcji; sprawa Podola miała być przedmiotem dalszych układów w Konstantynopolu. Do Konstantynopola wysłany został, jako poseł Rzplitej, Jan Gniński, wówczas wojewoda chełmiński. Wybrał się z wspaniałą świtą. Konie orszaku miały srebrne podkowy, które naumyślnie odlatywały z łatwością. Widząc ten przepych, wielki wezyr ówczesny, Kara Mustafa, słusznie zauważył: «Podkowy srebrne, ale głowy ołowiane, poseł biednej Rzplitej powinien lepiej używać pieniędzy!» Skutkiem uciążliwego ceremonjału i stawianych przez Turków coraz większych trudności, poselstwo Gnińskiego trwało siedm miesięcy i skończyło się niczem, gdyż i Jan III, skutkiem protestów papieża i starań Austrji, stawał się do układów trudniejszym. Wtedy to, by sobie zabezpieczyć pokój ze strony Moskwy, Sobieski przedłużył, jak wiemy, rozejm andruszowski do r. 1693, z dalszem pozostawieniem w ręku Moskwy Kijowa. Ale do prowadzenia wojny z Turcją brakowało Sobieskiemu wojska, a sejm wciąż odmawiał potrzebnych podatków. Sobieski zaczął się starać o powszechną ligę przeciw Turkom i przez te starania oddalał się od Francji i zbliżał do Austrji.

Tymczasem w r. 1684 miał upłynąć termin rozejmu, zawartego przez Austrję z Turcją. Turcja odnowienia pokoju odmawiała, a wódz powstańców węgierskich, Emeryk Toekely, uznany został przez Portę królem górnych Węgier i otrzymał od niej posiłki. W ten sposób władza turecka miała sięgać Karpat i Spisza. Tak bliskie sąsiedztwo rzeczywiście stawało się groźnem i ostatecznie skłoniło Sobieskiego do zawarcia z Austrją przymierza.

Nie w zawarciu przymierza z Austrją leży wina Jana Sobieskiego, ani też w daniu odsieczy Wiedniowi, ale w niewyzyskaniu tego przymierza na korzyść Polski, w oddaniu się na usługi Austrji i w szukaniu jej, zresztą zawodnego, poparcia w widokach osobistych i dynastycznych. Stąd za daleko idąca powolność wobec nawzajem nielojalnej Austrji, stąd odrzucenie najkorzystniejszych propozycyj Francji, stąd wszystkie rozczarowania Jana III publiczne i osobiste. Do nikłych rezultatów dla Polski wojny tureckiej przyczyniły się oczywiście i polskie stosunki wewnętrzne, rosnąca anarchja, zrywanie sejmów, zanik wszelkiego zapału dla spraw publicznych. Nic nie pomógł tak upokarzający dla Polski pokój Grzymułtowskiego z r. 1686 z Moskwą, nic ponawiane wyprawy wojenne króla i hetmana Jabłonowskiego.

Ale potęga turecka została złamana. Austrja postanowiła skorzystać z chwili i rzeczywiście poprowadziła dalszą walkę umiejętnie i wytrwale. W r. 1699, a więc dopiero w trzy lata po śmierci Sobieskiego, zawarty został pokój karłowicki. Turcja utraciła wszystkie dawne zdobycze Solimana Wspaniałego i zepchnięta została do półwyspu Bałkańskiego, Austrja uzyskała całe Węgry, Wenecja Moreę i Dalmację, Rosja Azow, Polska wróciła do Kamieńca.

Odtąd Europa uwolnioną została od stałego niebezpieczeństwa tureckiego — a sąsiedzi Polski mogli w spokoju zająć się przygotowaniem do przyszłych jej rozbiorów.

Z upadkiem Turcji, podupada także Krym tatarski. Od-

dawna był on już satelitą tureckim i karmił się słabością Polski i waśnią polsko-ukraińską. Ludność Krymu była koczowniczą i zajmowała się rolnictwem tylko w stopniu bardzo ograniczonym. Tatarzy pługa nie używali; czekali na deszcz, ten pulchnił ziemię. Dopiero po deszczu zaprzęgał Tatar konia do brony, sam siadał na konia z workiem ziarna i rozrzucał je po mokrej ziemi. Niezmiernie urodzajna gleba czarnoziemna zadawalniała się taką uprawą, i w razie sprzyjających warunków atmosferycznych urodzaje były nienajgorsze. Młócenie odbywało się kopytami końskiemi. Nieliczne wioski składały się z namiotów wojłokowych. Tatar spędzał przeważnie czas na próżnowaniu i, przepędzając swój dobytek z jednego miejsca na drugie, wiódł życie nędzne i głodne, zadawalniając się nawet zdechłą koniną. Na sąsiednią Ruś i Polskę patrzył, jak na źródło bogactw; stamtąd musiał otrzymywać bądź upominki, bądź, gdy tych nie było — jasyr ludzki, który sprzedawano na wielkiem targowisku niewolników w Kaffie (dzisiejszej Teodozji). Polska nigdy nie pomyślała o stałem uspokojeniu Krymu, ale odpędzała się od Tatarów, jak od much dokuczliwych. Za Władysława IV przestano im posyłać upominki, a gromiono, gdy szli po jasyr ludzki, więc chętnie połączyli się z Chmielnickim, który im obiecał łupy bogate, a przedewszystkiem jasyru, wiele zechcą.

Tatarzy nie czuli żadnej do Polski nienawiści. Stosunek ich do niej był naogół zawsze przyjaźniejszy od stosunku kozaczyzny, chętnie garnęli się do Polski i przybierali charakter wojsk posiłkowych Rzplitej, a za swą służbę żądali «upominków», jako należnej zapłaty. To też Chmielnicki nigdy nie mógł być pewien Tatarów: tak pod Zborowem, jak i pod Żwańcem, Polacy łatwo pogodzili się z nimi wbrew kozaczyźnie. Tatarzy, lennicy Turcji, dalecy byli od wyniosłości i pychy tureckiej, owszem, przebija się u nich uszanowanie dla majestatu króla polskiego i Rzplitej; żądali tylko, by Polska, jak i Moskwa, udzieliła im części swych bogactw. Wystarczyć samym sobie Tatarzy, jako koczownicy, nie mogli.

Gdy Chmielnicki poddał się Moskwie w r. 1654, Tatarzy krymscy chętnie przeszli na stronę Polski. Widzimy ich, jako wojsko posiłkowe Rzplitej, na Rusi i pod Warszawą w bitwie ze Szwedami. Ale, pożal się Boże, co to był za sprzymierzeniec! Doświadczył tego Chmielnicki, doświadczyła i Polska,

a zwłaszcza kraje ruskie. Powszechnie sądzą, że Tatarzy wybrali w owym czasie do miljona ludzi jasyru! Choć cyfra ta jest oczywiście przesadna, ale sama możność wybierania jasyru była hańbą zawieruchy polsko-kozackiej.

W r. 1667 zawarty został rozejm między Polską a Moskwą. Polska chciała odetchnąć. Zapomniała, że uspokojenie krajów pogranicznych z Krymem godzi wprost w egzystencję Tatarów. Przerzucili się też zaraz do przymierza z kozakami, a później, do końca XVII w., wspomagali Turcję w jej walkach z Polską, żałując zresztą, że nie mogą służyć Rzplitej. Oto, co poufnie mówił chan Selim Gerej posłowi polskiemu Karwowskiemu w r. 1672: «Z duszy żałuję tracić przyjaźń Waszą, jako ten, który siła dobrego doznawał od przeszłego króla. Mam znajomość wielką i przyjaźń ze wszystkimi waszymi panami, a osobliwie z marszałkiem [1]), z którym byłem tak długi czas na wojnie na Ukrainie. Ale cóż mam czynić? Nie moja wola, ale cesarza, mego pana... a do tego wierz mi, co ci powiem (tylko mnie nie wydawaj) — że kiedybym widział was tak mocnych, jakoście bywali przedtem, tedybym stanął przy was i rzekłbym: stój cesarzu! nie winni nic Polacy; są to przyjaciele nasi, dotrzymują nam w złem i dobrem. Takby rzekł i cały Krym, bo i oni wolności siła mają naruszonych od Porty. Ale kiedy widzą i słyszą tak was ubogich teraz i słabych i nie mających przyjaciół, cóż mam czynić? I siebiebym zgubił i was nie uratował. My wiemy, co się na świecie dzieje: Moskal was posiłkować nie będzie, z którym ja od cesarza pertraktuję i Szeremeta [2]) mu odsyłam i kilkuletnich ustępuję upominków; ani Szwedzi także, ani Brandenburczyk; innych także monarchów rozgniewaliście na siebie. Jeden tylko cesarz, szwagier teraźniejszego waszego króla, mógłby dać wam posiłki; ale i ten, aby dla swojej siostry miał rozrywać z Portą przyjaźń, o którą się tak stara i wiele upominków tak wezyrowi, jak i innym opłaca — nie wierzymy. Długo się Porta na was gotowała i zdawna, ale albośmy odradzali, albośmy ich

[1]) T. j. Janem Sobieskim.

[2]) W rezultacie go wtedy nie wysłał. Mowa tu o Bazylim Szeremietiewie, który kapitulował w r. 1660 pod Cudnowem przed hetmanami Potockim i Lubomirskim i zaprowadzony został do Krymu, jako zakładnik. Car, jak wiadomo, układu cudnowskiego nie potwierdzi, i Szeremietiew szesnaście lat przebył w niewoli. Wrócił dopiero w r. 1676.

straszyli, żeście mocni, żeście bogaci, ale teraz, gdy się w was wpatrzyli, cale was lekce sobie ważą». Jak widzimy, Selim Gerej (człowiek wyjątkowo rozumny i podobno pisarz) dobrze zdawał sobie sprawę ze stanu Rzplitej i stosunków Krymu względem Polski.

Czy w Polsce ówczesnej byli ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z możności ucywilizowania Tatarów i pogodzenia ich z Rzplitą? Należy wątpić, bo pokolenia ówczesne, t. j. z końca XVII w. zatraciły rozumienie potrzeb państwowych i, nie umiejąc sobie radzić w domu i nie mogąc się zdobyć na programy szersze, jak pogodzenie z sobą Rusi, odzyskanie Śląska, zabezpieczenie się od Moskwy i t. d., nie mogły oczywiście marzyć o zdobywaniu dla siebie i cywilizacji Krymu tatarskiego. Wyręczyła nas w tem później Rosja.

Polska przestała być w końcu XVII w. czynnikiem samodzielnym w międzynarodowych stosunkach Europy, ale jeszcze liczono się z nią, jako z pewną siłą, mogącą zaważyć na szali w walce, którą prowadziła Francja z domem panującym austrjackim. Walka ta trwała przez cały wiek XVI, cały wiek XVII i połowę XVIII. Polska stanowiła pozycję, o którą ubiegały się obie strony. W XVI w. Jagiellonowie pozostawali w przyjaźni z Austrją. Po krótkiem intermezzo z Henrykiem Walezjuszem, wpływy austrjackie wróciły znów za Batorego, by stać się wszechwładnemi za Zygmunta III. Choć szlachta usposobiona była wrogo dla Austrji i jej polityki, o czem już mówiliśmy, jednak polityka dworu polskiego za Zygmunta III była na usługach Austrji. Po wstąpieniu na tron Władysława IV, a zwłaszcza z przybyciem do Polski Marji Ludwiki, wpływy austrjackie zaczynają ustępować sympatjom francuskim. A za Jana Kazimierza, pod naciskiem Marji Ludwiki, dwór polski staje się posłusznem narzędziem Ludwika XIV. Równolegle do tej zmiany, dokonała się inna zmiana na dole, w sympatjach narodu — w kierunku wręcz przeciwnym, przeciw Francji na korzyść Austrji; a dokonała się dzięki dwom czynnikom: reakcji narodu przeciwko intrygom elekcyjnym Kondeuszów i wzrastającemu klerykalizmowi szlachty.

Elekcja Michała Wiśniowieckiego położyła kres wpływom polityki francuskiej w Polsce. Nie uratowało ich już wyniesienie na tron stronnika francuskiego, Jana Sobieskiego.

Po chwilowych sympatjach francuskich, wpływy austrjackie doprowadziły w r. 1683 do zawarcia formalnego przymierza Polski z Austrją, do wyprawy wiedeńskiej i do dalszego służenia Polski interesom Austrji, aż do końca XVII w.

Oceniając te zmiany zewnętrznej polityki Polski w XVII wieku, nie o to idzie, która z tych orjentacyj politycznych, francuska czy austrjacka, była dla Polski właściwszą, ale o to, jak je wyzyskiwano, czem się w ich wyborze kierowano. Otóż, wcale ich nie wyzyskiwano, i wybór ich dokonywał się jedynie pod wpływem chwili, intryg, lub sympatyj osobistych, a nie z pobudek rozumowych i planowych akcyj politycznych.

Dyplomacja polska właściwie nie miała programów, a nie miała dlatego, że wszelka akcja dyplomatyczna, czy polityczna wymaga ciągłości, wymaga rządu, wymaga poczucia idei państwa, jako organizmu, stojącego ponad interesami grup, lub jednostek poszczególnych. Otóż Polska w XVII w. wszystkie te czynniki powoli zatraciła: o ciągłości nie mogło być mowy, wobec tronu elekcyjnego i wymarcia dynastji Wazów; rządu nie było, wobec wybujałej decentralizacji i wciąż wzrastającej anarchji, a sama idea państwowa stała się synonimem interesów poszczególnych, rozprysła się w nieskoordynowane z sobą wolności szlacheckie i interesy klasowe, dzielnicowe, wyznaniowe i osobiste.

Przy takim braku wszelkiej celowości w polityce zagranicznej, antagonizm Francji i Austrji objawiał się w Polsce w XVII w. w ten sposób, że zysków z tego antagonizmu szukała nie Polska jako taka, ale król, lub magnaci w swoich celach mniej lub więcej osobistych, dalej szlachta, działająca bądź pod wrażeniem haseł choćby najniedorzeczniejszych, ale błyskotliwych i popularnych, bądź kierowana potężną ręką protektora-magnata.

A tymczasem, korzystając z tego antagonizmu francusko-austrjackiego, mogła była Polska, gdyby była wówczas państwem normalnem, wyciągnąć w XVII w. znaczne korzyści: stając po stronie Francji przeciwko Austrji, mogła była mieć ułatwione stosunki ze Szwecją i Turcją, zdobyć Śląsk, wzmocnić władzę królewską; stając po stronie Austrji, musiałaby wojować z Turcją, ale mogłaby Śląsk wytargować i władzę królewską również wzmocnić. Ale Polska nie była już pań-

stwem normalnem, a nie była państwem normalnem przedewszystkiem skutkiem swej spaczonej struktury społecznej.

By jednak skończyć z polityką zewnętrzną Polski w XVII wieku w związku z antagonizmem francusko-austrjackim, nie należy zapominać, że od 1668 r. między Austrją a Francją zapanowało pewne porozumienie, zapoczątkowane 31 grudnia 1667 r. w Wiedniu przez ambasadora francuskiego, kawalera de Gremonville. W dniu tym przyszedł on do ministra austrjackiego, ks. Auersperga, i zaproponował mu, na wypadek śmierci Karola II hiszpańskiego, podział posiadłości hiszpańskich między Francję i Austrję. Propozycja ta została przyjętą, i na znak przyjaźni cesarz Leopold I przywdział strój francuski z peruką. Tem porozumieniem tłumaczy się utrwalenie wpływów austrjackich w Polsce za panowania Michała Wiśniowieckiego bez protestów ze strony Francji — w ciągu całego panowania króla Michała, Ludwik XIV nie posyłał do Warszawy swoich agentów dyplomatycznych, a malkontenci polscy raczej karmili się iluzjami uzyskania poparcia ze strony Ludwika XIV, podtrzymywanemi zwłaszcza przez Morsztyna, niż byli do swej opozycji wyraźnie przez Francję zachęcani. Ale przyjaźń francusko-austrjacka trwała niedługo, gdyż już w r. 1674 rozleciała się w strzępy.

Przyjrzeliśmy się polityce zewnętrznej Polski w drugiej połowie XVII w. Stanowisko jej mocarstwowe obniżyło się znacznie, a z niem i zrozumienie przez ludzi ówczesnych całej polityki zewnętrznej. Rozejrzenie się w błędach poszczególnych polskiej polityki zewnętrznej, czy to będzie nieopatrzne zachowanie się względem Prus i Moskwy, czy niekorzystanie z antagonizmu Francji i Austrji, czy sentymentalna działalność i wysługiwanie się innym w walce ze światem mahometańskim — prowadzi nas do wniosku ostatecznego, że wszystkie błędy wypływały nietyle z winy tych, czy innych jednostek, lecz ze stosunków wewnętrznych, ze spaczonego ustroju społecznego i państwowego Polski w XVI w. datującego się, jak wiemy, jeszcze od końca XV w., rozwiniętego w XVI w., a wydającego owoce już w nieszczęsnych czasach Jana Kazimierza i dwóch królów rodaków.

Przyjrzyjmy się stosunkom społecznym. Są one wytworem dalszej ewolucji zniszczenia równowagi stanów, o której mówiliśmy już dostatecznie. Tu więc tylko zwrócimy uwagę na dalsze, coraz smutniejsze etapy tej ewolucji.

Losy Polski XVII w. są w rękach szlachty. Stoi ona zdala od innych stanów, jak drzewo samotne, pozbawione naturalnego zwarcia leśnego, wykręcone przez wiatry i burze, nie pnące się równo do słońca w uścisku drzew sąsiednich. Drzewo to jest grube, sękate, pokręcone, nieforemne, dziuplaste i zmurszałe; rosną na niem grzyby, gnieździ się robactwo.

Poziom umysłowy tej szlachty obniżył się w sposób zastraszający. Świadectwo tego ubóstwa umysłowego złożyła ona na elekcji Michała Wiśniowieckiego i w konfederacji gołąbskiej; w XVIII w. złoży je w konfederacjach tarnogrodzkiej i barskiej. Stan moralny trzyma się lepiej; karmi się cnotą rodzinną. Warunki ekonomiczne i bezpieczeństwo publiczne pcha szlachtę w objęcia możnowładztwa i przewadze jego poddaje. Możnowładztwo rozrasta się, jak pasorzyt na chorem ciele społeczeństwa. Pozbawione władzy legalnej przez motłoch szlachecki, mści się na nim przewagą ekonomiczną, supremacją de facto. Samo zdemoralizowane, demoralizuje naród szlachecki. Wzwyczaiło się do anarchji, z anarchji ciągnie zyski osobiste. Z klęsk publicznych za Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego, z zawieruchy kozackiej, z ruiny powszechnej tylko grube ryby wychodzą cało, a nawet w porównaniu zyskują.

Gdyby te grube ryby, trzęsące już sprawami publicznemi, zjednoczyły się do harmonijnej pracy nad reformą Rzplitej, wytworzyłyby siłę, która mogłaby przełamać wszechwładzę ustawodawczą gminu szlacheckiego i nawet państwo skierować na nowe tory. Mówimy o tem dlatego, by zaznaczyć, jak wielka była ta siła magnatów w Polsce przy końcu XVII w., ale nie dlatego, by się dziwić, że taka harmonijna praca twórcza nie nastąpiła. Nastąpić nie mogła. Ludzie są ludźmi, i społeczeństwa nie mogą stać jedynie na cnotach i ofiarności jednostek przy ogólnej dezorganizacji społecznej i państwowej. W XVII w. zamożniejsze klasy społeczeństwa polskiego siłą rzeczy musiały ulec i uległy też nieuniknionemu zepsuciu i zwyrodnieniu, o którem mówiliśmy już niejednokrotnie. Rozumne prawa i urządzenia społeczne same przez się w krótkim czasie nie stwarzają silnych i wielkich cha-

rakterów, ale niezawodnie dopomagają do ich powstawania; złe prawa i spaczone stosunki społeczne również nie odrazu, ale stopniowo i to w tempie przyspieszonem muszą oddziaływać na charaktery ludzkie i na ich wartość moralną.

Wybujałe prerogatywy państwowe, narodowe i społeczne, zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że powinny wytwarzać u ich posiadaczy wzmożony patrjotyzm i ofiarność w ich obronie. Ale jakżeż złudnem jest to mniemanie! Cała historja uczy, a psychologja potwierdza, że o to, czego mamy zanadto, najmniej dbamy, że wielkie hasła narodowe, przemienione na synekury i karjery, nie wytwarzają bohaterów. To też w Polsce drugiej połowy XVII w. daje się zauważyć dziwne napozór zjawisko. Patrjotyzm przenosi się z klas uprzywilejowanych do klas niższych, uboższych, których matka ojczyzna nie darzyła pieszczotą, nie skaziła karygodną pobłażliwością. Spojrzmy na najazd szwedzki — jak cała magnaterja i bogatsza szlachta, z nielicznemi wyjątkami, odwraca się od króla, frymarczy ojczyzną, spotyka się z zasłużoną pogardą najeźdźcy. Kto powstaje w obronie godności narodu i jego skarbów duchowych? Skromny mnich Kordecki, z pochodzenia — pamiętajmy o tem — ubogi mieszczanin z małego miasteczka Iwanowic (dziś osady w powiecie kaliskim), górale na Podgórzu krakowskiem, szlachta uboższa, wreszcie, dzięki Czarnieckiemu, kmieć polski. Temu powołaniu chłopów do obrony ojczyzny szlachta była przeciwną, jak będzie przeciwną «chłopomanji» Kościuszki, lub Mochnackiego. A w walce z Chmielnickim palma bohaterstwa przyznaną być musi nie poszczególnym jednostkom, jak dumny Jeremi Wiśniowiecki, nie szlachcie i magnatom, uciekającym z pod Piławiec, opuszczającym wojsko po bitwie beresteckiej, zniechęcającym się lada niepowodzeniem — lecz mieszczańskiej ludności Lwowa, który po dwakroć przez Chmielnickiego oblegany, w r. 1648 (na współkę z Tatarami) i w r. 1655 (na współkę z wojskiem moskiewskiem), bram swoich wrogom nie otworzył i, pomimo szturmów i zniszczenia, bronił się tak długo, dopóki nieprzyjaciel, pełen szacunku dla tych prawdziwych obrońców ojczyzny, nie zadowolnił się okupem. I w r. 1672, gdy nawała turecko-tatarska zalała kraje ruskie, a szlachta nie myślała nawet o obronie Rzeczypospolitej, miasto Lwów zostało otoczone przez 50 tys. Turków i niezliczoną

moc Tatarów pod wodzą samego chana — miasto się nie poddało, odparło kilka szturmów i doczekało się pokoju z nieprzyjacielem. Szekspir był wielkim psychologiem, gdy pisał swego «Króla Lira».

Patrjotyzm szlachty i magnaterji sprowadza się powoli do słów; zamiast treści, zaczął panować frazes, emfaza, krasomówstwo napuszyste. Język staje się puklerzem godności narodowej. «Dziwna rzecz» — powiada Bohomolec — «że na cześć tego kawałka mięsa pomnika dotąd nie wystawiono», a Kubala, cytując te słowa, dodaje: «Przeszło sto lat, począwszy od połowy XVII w. język rządził niemal samowładnie Rzplitą, królów z tronów zsadzał, wojska by największe niszczył, fortece najmocniejsze zdobywał — był hojny dla przyjaciół, miłościwy dla bliźnich, występkiem się brzydził, a nad wszystko kochał ojczyznę, dla niej wszystko robił, o jej szczęście i sławę się starał, piersi swe za nią nadstawiał, krew do ostatniej kropli, życie na pewną śmierć wydawał; najpotężniejszych nieprzyjaciół nieustraszony rozpraszał i gromił...» Ironja zupełnie zasłużona, dająca się zastosować i do wielu frazesowiczów czasów późniejszych.

Burza kozacka, a następnie najazdy Szwedów, Moskwy, Rakoczego, Tatarów i Turków doprowadziły kraj do strasznej ruiny ekonomicznej — ale najbardziej ucierpiała na tem ludność miejska i ludność wieśniacza. Jak zawsze w takich razach, bogatsi się utrzymali, a ubogi popadł w gorszą zależność od bogaczy. Szlachta chętnie zwalała ciężary wojen na biedną ludność poddańczą, a w swej ciemnocie i zaślepieniu przyczyniała się chętnie do ostatniego pognębienia wszystkiego, co nie było gospodarstwem rolnem, lub przemysłem z rolą związanym; mieszczan w dalszym ciągu traktowała jako «wyzyskiwaczy», jako nieprzyjaciół — w swej ślepocie ekonomicznej mściła się na kupcach i rzemieślnikach za wciąż wzrastającą drożyznę. Opieką otaczała tylko — żydów.

Ci byli już zagospodarowani w Polsce, jak we własnym domu. Siedzą nietylko w miastach i jurydykach miejskich, ale i po wsiach; dostarczają szlachcie pieniędzy, zajmują się drobnym handlem i dzierżawami karczem, młynów, ziemi, ceł i myt wszelakich. Mają najpełniejszą autonomję religijną, narodową, sądowniczą i podatkową. Podstawą ich organizacji były kahały, czyli gminy; gminy te łączyły się w związki te-

rytorjalne, zwane ziemstwami. W Koronie ziemstw było cztery: Wielkopolska z Mazowszem i Prusami ze stolicą w Poznaniu, Małopolska (Krakowskie i Sandomierskie) ze stolicą w Krakowie, Lubelszczyzna z województwem bełskiem, ziemią chełmską i częścią Wołynia ze stolicą w Lublinie, wreszcie Ruś Czerwona z Podolem i Ukrainą ze stolicą we Lwowie. Od końca XVII w. ziemstwa te dzielą się na mniejsze, tak że w drugiej połowie XVIII w. będzie ich aż dwanaście. Na Litwie stolicami ziemstw były: Brześć, Grodno, Pińsk, Wilno, wreszcie Słuck. Oprócz łączności dzielnicowej, delegaci gmin zjeżdżali się na sejmy, czyli synody ogólne — te odbywały się zwykle w czasie jarmarków, w Koronie w Lublinie i Jarosławiu, na Litwie w Wilnie, lub innem mieście. Sejmy te wydawały uchwały nietylko w kwestjach religijnych, ale również w sprawach handlowych, finansowych, a zwłaszcza podatkowych. Wiadomo, że podatki nakładano na żydów ogólne, i repartycję podatków uchwalali żydzi sami.

Jedynym urzędnikiem państwowym, wykonywującym jurysdykcję nad żydami, był wojewoda, właściwie podwojewodzi, lecz i ten sądził tylko sprawy między żydami a chrześcijanami; sprawy czysto żydowskie rozsądzał sąd duchowny żydowski.

Jak dalece żydzi byli żywiołem w państwie polskiem odrębnym, a jednocześnie jak się czuli u siebie w domu, widać doskonale ze znanej kroniki, spisanej przez żyda Natana Hannowera [1]), który urodzony w Krakowie, mieszkał przy teściu w Zasławiu na Wołyniu i w r. 1648 uciekł przed okrucieństwami kozackiemi do Włoch, gdzie w r. 1653 swoją kronikę wydrukował. Jest to jedno z ważnych źródeł do poznania pierwszych chwil powstania Chmielnickiego.

Natan Hannower opisuje życie żydów w różnych znanych mu gminach w Polsce, życie tak odrębne od reszty ludności kraju, że o tej ostatniej autor wspomina tylko o tyle, o ile skutkiem zawieruchy kozackiej była ona żydom pomocną, lub wrogą; pozatem gmina, lub miasto u autora oznacza tylko ludność żydowską. Mówiąc o sądownictwie w Polsce, powiada: «Filar prawa był w Polsce tak silny, jak w Jerozolimie przed zburzeniem świątyni. W każdem mieście ustanawiano sąd. Kto nie chciał stanąć przed sądem swego miasta, mógł pójść przed sąd miasta sąsiedniego, a jeśli strony nie chciały stanąć przed tym sądem, mogły oddać sprawę «sądowi wielkiemu». W każdej bowiem ziemi był «sąd wielki», jak np. w Ostrogu sąd dla Wołynia i Ukrainy i t. d.». Mowa tu o sądach wyłącznie żydowskich. Dopiero rozpisawszy się o całej organizacji sądownictwa żydowskiego, Hannower wspomina łaskawie i o sądach polskich, ale tylko w sposób następujący: «A jeśli poszedł syn Izraela szukać sprawiedliwości u sądów narodów» (t. j. w sądach polskich), karano go wstydem i hańbą, by spełnić wiersz Pisma św.: «a wrogowie nasi naszymi sędziami». Innemi słowy, ci Polacy, których w innem miejscu autor chwali za to, że bronili żydów przed okrucieństwami kozaków, są pomimo to «wrogami», i żydowi należy być daleko od ich sądownictwa.

[1]) Została w całości ogłoszoną drukiem przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego w zbiorze «Sprawy i Rzeczy Ukraińskie».

Żydzi są tułaczami, kolejno osiadali w różnych krajach i kolejno z nich emigrowali, ale tam, gdzie chwilowo rozbijali swe namioty, odgradzali się murem od ludności miejscowej, żyli życiem własnem, a kraj chwilowo zamieszkiwany i jego ludność uważali jedynie za źródło dochodów. Nawet wszystkie kraje europejskie otrzymały u nich nazwy biblijne; gdy Niemcy mają tylko nazwę Aszkenas (tak się nazywał pewien lud w Małej Azji), Słowiańszczyzna nazwaną została pięknem imieniem Hanaan, była też dotychczas dla żydów, przynajmniej Polska, ziemią obiecaną, a zamieszkujący Polskę «wrogowie», choć wyszli najfatalniej na tej tłumnej immigracji żydowskiej, poznali się na tem dopiero w czasach późniejszych.

Jeżeli ustrój społeczny w Polsce przy końcu XVII w. był do gruntu spaczonym, to siłą rzeczy i ustrój państwowy musiał być jednostronnym, a przez jednostronność skazanym na coraz silniejsze rozprzężenie.

Zdrowa budowa społeczna jest dla narodu rzeczą o wiele ważniejszą, niż jego ustrój państwowy: ustrój państwowy można względnie szybko poprawić, dla poprawy zaś budowy społecznej trzeba pracy szeregu pokoleń. Naród, mający zdrową budowę społeczną, może mieć chwilowy ustrój państwowy jak najgorszy, ale naród, mający budowę społeczną

wadliwą, zawsze do złego ustroju państwowego dojść musi. A w chwilach kataklizmów dziejowych, które zdarzają się u wszystkich narodów, ustrój społeczny jest czynnikiem ważniejszym od ustroju państwowego. Konstytucja 3 maja nie zbawiła Polski, gdyż nie było komu jej bronić — sama szlachta nie mogła starczyć za naród.

Otóż, rozpatrując wady polskiego ustroju państwowego z XVII i XVIII w., niepodobna ich zrozumieć bez należytego uwzględnienia anormalnej w Polsce struktury społecznej. Stwierdziwszy tę ostatnią, przestańmy się dziwić wybujałościom i spaczeniu całego ustroju państwowego. Przestańmy się również dziwić, iż ludzie XVII w. nie pomyśleli o reformie swego cudacznego ustroju państwowego, gdyż jeżeli przypuścić można dziwowanie się faktom historycznym, daleko większem dziwowiskiem dla przyszłych naszych pokoleń będzie nasze zaślepienie, z którem przez wiek cały naród pracował nad swojem odrodzeniem, nie pomyślawszy o uzdrowieniu przedewszystkiem swojej struktury społecznej, wypaczonej jeszcze w XVI i XVII w. i do chwili bieżącej trawionej anemją klas średnich, znanych powszechnie pod nazwą stanu trzeciego. O doniosłości kwestji żydowskiej nie mieli zrozumienia ani reformatorowie sejmu Czteroletniego, ani ludzie Królestwa Kongresowego, ani Wielopolski, ani pokolenie, wychowane pod hasłem pracy organicznej. Bądźmy więc pobłażliwymi dla naszych przodków z XVII w. I oni żyli życiem nierealnem, i oni liczmany brali za dobrą monetę, i oni, zagrzani ideałami wolności i równości, zatracili zmysł twardych warunków rozwoju narodów. Główny doktryner polityczny XVII w., A. M. Fredro, był człowiekiem zacnym, obywatelem miłującym, umysłem skądinąd wykształconym. Przemawiał do tłumów i sugestjonował je powabem swoich teoryj o wolności, ale sam był sugestjonowany psychologją tłumu. Rzeczy, które głosił, wydawały się szlachcie objawieniem, a zdawało mu się, że Polska, będąc słabą, wrogów ościennych mieć nie będzie, a jedynym wrogiem jej wolności wydawał mu się — król własny; dlatego nie pozwalał na trzymanie znaczniejszego wojska i na budowanie fortec, dlatego żądał jednomyślności w obradach i bronił *liberum veto*, dlatego żądał, by wszystkie stopnie elekcji były zachowane, i by nowy król wybierany był dopiero po śmierci króla. A ucho szlacheckie mile

łechtały takie zdania Fredry, jak to, że kto gani, ten nie kocha, kto więc Polskę kocha, ten jej ustroju ganić nie powinien. Jednocześnie bronił Fredro zależności chłopów od dziedziców, a także fortun możnowładczych, koniecznych dla zdobycia odpowiedniej niezależności («doskonałej powagi»).

Sejmy polskie, będąc dalszym ciągiem średniowiecznych reprezentacyj stanowych, nigdy nie kierowały się zasadą przewagi większości; zawsze dążyły do jednomyślności. *Liberum veto* było tylko skarykaturowaniem dawnej zasady dążenia do jednomyślności; wypływało z przejęcia się szlachty teorjami Fredry i innych doktrynerów złotej wolności, a stało się możliwem w wykonaniu jedynie dlatego, że było wykonywane w interesach grup lub jednostek dość silnych, by się przeciwstawić większości; stało się narzędziem magnatów, często samego dworu królewskiego.

Dziś, zamiast *liberum veto*, mamy w parlamentach europejskich obstrukcję. Różnica między niemi nieznaczna. Teoretycznie jedno i drugie da się uzasadnić, jak i potępić; jedno i drugie staje się groźnem przy istnieniu innych stosunków nienormalnych. Jak obstrukcja dzisiejsza, tak *liberum veto* w Polsce drugiej połowy XVII w. było złego nietyle przyczyną, ile skutkiem, jednym z objawów fatalnych stosunków ówczesnych. Innemi objawami tych stosunków były: przesadna decentralizacja, pochodząca z zatracenia idei państwowej, jednostanowość sejmów i sejmików, upadek miast, przewaga magnatów i stała między nimi rywalizacja, ogólny upadek oświaty i zmysłu politycznego. Dopiero na tle wszystkich tych czynników *liberum veto* stało się narzędziem najprzód prywaty, a wkrótce potem — intryg mocarstw zagranicznych.

Sejmiki, zdobywszy sobie już w pierwszej połowie XVII wieku przewagę nad sejmami walnemi, w dalszym ciągu przewagę tę utrzymują, ale także wyrodnieją. I do nich zakrada się *liberum veto*, i niemi trzęsą możnowładcy, a to tem bardziej, że na sejmikach bierze udział cała szlachta miejscowa, bez względu na to, czy ma posiadłość ziemską, czy nie, a więc również słudzy pańscy i zależna od panów hołota szlachecka. Obrady na sejmikach były jeszcze bezładniejsze, niż na sejmach walnych, tak że «rządy sejmikowe» przemieniły się wkrótce w sejmikową samowolę, zależną w zupełności od samowoli magnatów.

Instytucja konfederacyj w wypadkach niebezpieczeństwa publicznego spopularyzowała się skutkiem zawiązywania za najazdu szwedzkiego całego szeregu konfederacyj, znanych ogólnie pod nazwą jednej konfederacji tyszowieckiej. Właściwie zawiązały się oddzielne konfederacje w Tyszowcach (29 grudnia 1655 r.), w Nowym Sączu, w Łańcucie (generalna przy królu, z powołaniem się na tyszowiecką), krakowska, sandomierska i wielkopolska. Wszystkie te konfederacje, połączone w jedną, złączyły kraj dla wspólnej obrony i pozostały w pamięci naszych przodków, jako dowód zbawienności tego rodzaju związków nadzwyczajnych. Ale nie mówiąc już o tem, że w 17 lat później konfederacja gołąbska postawiła kraj nad brzegiem przepaści, sprowadziła haniebną klęskę od Turków i ledwie nie doprowadziła do wojny domowej, już sam fakt istnienia formy legalnej, która zapobiegać miała oczywistej niedostateczności władzy prawodawczej i wykonawczej, mógł usuwać z wielu umysłów troskę o potrzebę reformy sejmu i innych instytucyj państwowych i przyzwyczajał naród do radzenia sobie nie przez stałe doskonalenie swego życia publicznego, lecz przez gwałtowne akcje w chwilach niebezpieczeństwa, przynoszące w rezultacie zawsze więcej szkody, niż pożytku. Jedną z głównych wad życia publicznego w Polsce szlacheckiej była właśnie jego rapsodyczność i fragmentowość, t. j. brak stałej, spokojnej pracy publicznej, brak ciągłości we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Do rzędu tych wybuchów dorywczych należały i konfederacje. Teoretycznie mogły one być użyte jako narzędzie dla dokonania swego rodzaju zamachu stanu w sprawie naprawy Rzplitej. Ale, powtarzamy raz jeszcze, zło leżało przedewszystkiem w spaczonym ustroju społecznym, przy którym żadna reforma, skierowana ku ukróceniu samowoli szlachty, nie mogła mieć widoków powodzenia.

Stan ogólnego upadku, w którym się Polska znajdowała w drugiej połowie XVII w., uwidocznił się najlepiej w jej stanie ekonomicznym. Po latach spokoju i dobrobytu ogólnego za czasów Zygmuntów i Władysława IV, nastała epoka stałych okrutnych spustoszeń i klęsk wszelakich. Nie było literalnie ani jednego kątka w Polsce, gdzieby nie dotarła łupieska ręka

nieprzyjacielska, nie obdarła ludności z oszczędności i dobytku, i nie poniszczyła domów, zabudowań i innych urządzeń gospodarczych; nie oszczędzono przytem niczego i nikogo, ani kościoła, ani pałacu, ani dworu, ani dworku, ani miasta, ani chaty wieśniaczej; czego zaś nie zniszczył nieprzyjaciel, tego dokonał własny żołnierz niepłatny, lub zwykły opryszek, czujący się jak ryba w wodzie w tych czasach niespokojnych. Liczba ludności zmalała; uciekano, gdzie kto mógł, przed wrogiem, wielu zabito, lub uprowadzono do niewoli, dużo wyginęło z morowego powietrza i różnych chorób, grasujących wśród ruiny i nędzy powszechnej. Czem dla Niemiec była wojna trzydziestoletnia, zakończona w r. 1648, tem dla Polski była zawierucha, rozpoczęta właśnie w tym samym 1648 r. i nieustająca przez całe panowanie Jana Kazimierza.

Choć wśród ogólnej ruiny kraju wszyscy musieli ucierpieć, najwięcej jednak, jak o tem już mówiliśmy, ucierpiały miasta. Były one zawsze pierwszym i najpożądańszym łupem najeźdźcy, a nie były oszczędzane i przez swoich. Wprawdzie przemysł był już dawniej zniszczony przez ultrafizjokratyczną politykę szlachty, ale bądź co bądź resztki jego istniały jeszcze w kraju, istniały rzemiosła, nie zamarł jeszcze handel. Wszystko to, już wątłe i nieodporne, podkopane zostało doszczętnie przez zawieruchę za Jana Kazimierza. Życie cofnęło się wstecz; miasta się wyludniły, znaczna część polskiej ludności miejskiej zeszła na rolników, zamiast zajmować się handlem lub przemysłem, zmuszona była zająć się, na wzór chłopów, uprawą roli podmiejskiej; a z Zachodu, jak po nawale tatarskiej w XIII w., ruszyło się znów osadownictwo niemieckie, szczególnie do miast wielkopolskich. Żydzi, wypierani dawniej z miast, teraz zdobywali je jedno za drugiem. Do tych stosunków opłakanych, jako stały ich towarzysz, dołączało się wzmożone pijaństwo; przy ogólnym upadku przemysłu, rozwinęło się tylko gorzelnictwo, a zgromadzenia cechów stają się miejscem pijatyki.

Skutkiem ogólnej ruiny kraju i spodlenia monety obiegowej, o czem zaraz mówić będziemy, nastaje straszna drożyzna. Odbija się ona przedewszystkiem na ludności uboższej, a w dalszym ciągu podburza także ciemną i zubożałą szlachtę przeciwko «wyzyskowi» ludności miejskiej.

Bo i główne źródło dochodów szlachty, rolnictwo, mocno

podupadło. Cyfra eksportu zboża do Gdańska zaczęła się cofać gwałtownie. Doszła ona do swego maksimum w r. 1648 (128.790 łasztów). W drugiej połowie XVII w. zmniejszyła się więcej niż o połowę. Pierwszy impuls do zmniejszenia eksportu dało powstanie Chmielnickiego. Ukraina, która powoli stawała się spichrzem Polski, jak Polska była spichrzem Europy, nietylko przestała eksportować, ale sama zaczęła zboże sprowadzać. Najazd szwedzki zamącił kraj cały i zburzył cały trud gospodarczy ludności — nietylko nie przybywało nowych, ale dawne pola zaczęły leżeć odłogiem; gospodarstwo zostało zapuszczone, inwentarz zniszczony, komunikacja i stosunki handlowe przerwane. Gdy burza minęła i znów względny pokój nastąpił, wobec ogólnej ruiny i mniejszenia ludności, wiele pól ornych przemieniono na pastwiska, i zamiast produkcji zboża zaczyna się chów bydła i owiec, a dzieje się to nietylko w miejscach bardziej oddalonych, ale nawet w Wielkopolsce.

Przy takim ogólnym upadku ekonomicznym, a ciągłej potrzebie utrzymywania znacznej bądź co bądź ilości wojska, nic dziwnego, że finanse państwa, zawsze w Polsce nieświetne, wchodzą na drogę najsmutniejszą — na drogę dewaluacji pieniężnej, czyli fałszerstwa legalnego. Dewaluacja ta związana jest z dwoma nazwiskami: Niemca Tümpe (z Torunia), twórcy tynfów, i Włocha Tytusa Liwjusza Boratyniego, znakomitego matematyka, nobilitowanego później w Polsce, dzierżawcy mennicy szelężnej. Zaczęło się od tego, że gdy po wojnach w pierwszych latach panowania Jana Kazimierza dawał się odczuwać dotkliwy brak pieniędzy obiegowych, z porady Boratyniego postanowiono wypuścić pewną ilość pieniędzy mniej wartościowych; był to bilon miedziany, szelągi. Wybito ich wtedy ogółem na sumę 2,150.000 złp. Wypuszczone w kurs w tak niewielkiej ilości, nie mogły one narazie zaszkodzić rynkowi pieniężnemu — ale posłużyły, jako zły przykład na przyszłość.

I rzeczywiście, gdy po prawie dwuletnich buntach niepłatnego wojska stanęła z niem wreszcie w r. 1663 ugoda, trzeba było na gwałt pieniędzy dla zaspokojenia ogromnej zaległości wojskowej, a tymczasem w skarbie były pustki. Postanowiono więc powtórzyć poprzedni eksperyment, ale już na wielką skalę. Wypuszczono szelągów na 7 miljonów złp., a drugie 7 miljonów wypuszczono niskiej próby srebrne złotówki. Mennicę szelężną wydzierżawiono znów Boratyniemu, a srebrną Andrzejowi Tümpe i jego bratu. Wybijane przez braci Tümpe złotówki nazywano odtąd tynfami; miały one napis 30 groszy, a miały srebra zaledwie na groszy trzynaście; przynajmniej nie robiono z tego tajemnicy i na tynfach wybity był napis: *Dat pretium servata patria potiorque metallo est* (cenę nadaje ocalona ojczyzna i lepszą jest od metalu). Miało to znaczyć, że lepiej jest stracić kilkanaście groszy na złotówce, niż postradać ojczyznę. Jednocześnie poczęto wyławiać wszelką krążącą po kraju monetę lepszej stopy i przetapiano ją na owe tynfy.

Była to więc przymusowa redukcja pieniędzy państwowych mniej więcej o połowę. Skutki jej oczywiście musiały być opłakane. Wstrząsnęła ona całem życiem gospodarczem w kraju, ceny na wszystko podskoczyły w dwójnasób. Wszyscy stracili, z wyjątkiem niewielkiej ilości spekulantów. Wyciśnięte na tych tynfach inicjały królewskie J. C. R. *(Joannes Casimirus Rex)* tłumaczono na: *Initium Calamitatis Regni* (początek nieszczęść królestwa). Gdy dawniej pieniądze polskie były w porównaniu z zagranicą za dobre i były przez to z kraju wywożone, teraz stosunki się zmieniły. Pieniądze polskie straciły wszelki kredyt zagranicą. Ale i w samej Polsce wytworzyła się dwojaka rachuba: na monetę złą, t. zw. obiegową *(currens)* i na monetę dobrą, pochodzącą z dawnych czasów, lub z mennicy gdańskiej.

Przeciwko braciom Tümpe i Boratyniemu podniosły się krzyki, tak że jeden z Tümpów uciekł zagranicę. Oskarżono ich, że bili monetę jeszcze gorszą, niż to było umówione w kontraktach z podskarbimi. Podskarbimi tymi byli: do r. 1660 Bogusław Leszczyński, a po nim Jan Kazimierz Krasiński — obaj ludzie chciwi. Jeżeli nadużycia były (co dowiedzionem nie zostało), to nie bez wiedzy owych pp. podskarbich.

W r. 1667 sejm postanowił dalszego wybijania spodlonej monety zaniechać i mennicę zamknąć. Pozwolił tylko do czasu wybijać Boratyniemu szostaki. Ale i wybijanie szostaków wstrzymano w r. 1668 na sejmie konwokacyjnym. Odtąd do r. 1677 mennica była zamknięta; w r. 1677 znów ją otworzono, a w r. 1685 zamknięto, tym razem na długo, bo otworzono ją znów — dopiero w r. 1765!... Przez cały ten czas

Polska była otwarta dla monet państw ościennych. W ten sposób Polska pozbywała się dobrowolnie jednej z najważniejszych funkcyj państwa udzielnego.

Warto zapamiętać, że jeszcze przed dewaluacją pieniężną w Polsce dokonano jej w r. 1656 w Moskwie, gdzie zaczęto wybijać ruble miedziane, mające mieć ten sam kurs co ruble srebrne. Oczywiście taki kurs przymusowy utrzymać się nie mógł, i w r. 1662 za rubel srebrny musiano dawać 12 miedzianych; nadto wybuchł wskutek tego ogólny bunt, który uśmierzono nie bez przelewu krwi. W r. 1663 wyszedł ukaz, nakazujący wycofanie wszystkich rubli miedzianych i powrót do dawnej dobrej waluty. Zaprowadzenie rubli miedzianych wpływało między innemi i na zniechęcenie się kozaczyzny do Moskwy. W ten sposób dewaluacja pieniężna trwała nie tak długo i, gdy skutki jej ujemne zostały ujawnione, sprawę tę wkrótce załatwiono; nie tak jak w Polsce, w której nie było już ani rządów, ani poczucia potrzeb państwowych.

Ciągła potrzeba pieniędzy na opłatę wojska zmusiła sejm z drugiej połowy XVII w. do podwyższenia podatków, przyczem wprowadzano coraz to nowe. Wymieniać wszystkich ich nazw tu nie będziemy, stwierdzić tylko musimy, że i w tej dziedzinie nietylko nie było postępu, ale coraz większe zamieszanie, spotęgowane okolicznością, że województwa zaprowadziły swoje własne skarby, i w ten sposób sprawy podatkowe przeniosły się w znacznej części na sejmiki. Wprawdzie w r. 1677 na sejmie uchwalono, by sejmiki nie zmieniały podatkowych uchwał sejmowych, a radziły jedynie o rozkładzie podatków — ale uchwała ta nie skutkowała.

Tak opłakane stosunki ekonomiczne i skarbowe musiały się odbić najfatalniej na potrzebach państwowych z jednej strony, na dobrobycie ludności, szczególnie warstw ekonomicznie słabszych, z drugiej. Najmniej ucierpiały rodziny magnackie, a wielu ich przedstawicieli właśnie w tym czasie na ubóstwie innych fortuny swoje znacznie podniosło, szczególnie przez nabycie znacznych dóbr ziemskich; bo co do kapitałów, to tych w Polsce było zawsze bardzo mało, nawet u magnatów. Stwierdza to poseł Bonzy w r. 1666, który tak pisze w depeszy swojej, żądając przysłania znacznych sum dla panów polskich ze stronnictwa francuskiego: «Są to wielcy

panowie na obszar ziemi i na produkta żywności, lecz o pieniądze im trudno; jak tylko trzeba co kupić, zaraz robią się im pustki w kieszeni».

Zdawałoby się, że duże mocarstwo, jakiem była Rzplita polska, zmuszone prowadzić jednocześnie tyle długoletnich wojen z kozakami, z Tatarami, z Moskwą, ze Szwecją, z Rakoczym, a nareszcie z Turcją, wystawi w czasie tych wojen wielką siłę zbrojną i wyrobi się na państwo militarne. Wręcz przeciwnie. Wszystkie te wojny właśnie dlatego ciągnęły się tak długo, że Polska odwykła już od wypraw wojennych i, choć stale przez wojny nękana, niczego więcej nie pragnęła, jak pokoju. Była społecznością rolniczą, sytą dostatków i ziemi, daleką od wszelkiej zaborczości. Tylko na początku tego okresu, w bitwie pod Beresteczkiem w r. 1651, Rzplita polska zdołała jeszcze zgromadzić około 100.000 żołnierzy — cyfry tej już nigdy później nie dosięgnie, nawet w chwilach największej potrzeby i największych wysiłków.

A tymczasem w całej Europie było inaczej — wszędzie armje wzrastały. Francja na początku 1678 r. miała 280.000 ludzi pod bronią, Turcja wyprowadzała w pole po 200 i 300 tysięcy ludzi, Moskwa w r. 1654 przygotowała na wojnę z Polską 290.000 ludzi, Austrja, gdy potrzeba wymagała, mogła wystawić armję 100 tysięczną. Nawet kurfirst brandenburski doprowadził swoją siłę zbrojną do 26.000. Wobec tych cyfr, jakże znikome są cyfry, któremi rozporządzała w owym czasie Rzplita. Gdy Karol Gustaw wkroczył do Polski, wszystkie siły Rzplitej, razem zebrane tak w Koronie, jak i na Litwie do walki z Moskwą, Szwecją i kozakami, nie przekraczały 20.000 ludzi, rozbitych na kilka oddziałów. Wojnę ze Szwedami musiano prowadzić przy pomocy zwerbowanych Tatarów. Tatarzy zastępowali teraz kozaków, którzy dawniej stanowili znaczną pomoc we wszystkich wyprawach wojennych Polski. Ostateczne pokonanie Szwedów zawdzięczała Polska jedynie zupełnemu ich osłabieniu przez ogólne powstanie szlachty, a nawet mieszczan i ludu wiejskiego. W wojnie moskiewskiej Polacy mieli przewagę jedynie dzięki niższemu jeszcze poziomowi sztuki wojennej u sąsiada wschodniego. Kozaków zwykle ubezwładniano przez odciągnięcie od nich Tatarów,

lub przez wywoływanie wśród nich samych waśni wzajemnych. Wreszcie, jeżeli Sobieski bił Tatarów i Turków, to to zawdzięczać należało wielkim jego zdolnościom strategicznym i umiejętności gromadzenia w chwili niebezpieczeństwa względnie znaczniejszych sił wojennych; jednak i te znaczniejsze siły były zawsze bardzo skromne. Tak pod Chocimem miał Sobieski 30.000 ludzi (Turcy nie o wiele więcej, lecz byli zasłonięci przez silne fortyfikacje), pod Żórawnem 16.000, pod Wiedeń 26.000. Pod Wiedniem, prócz wojsk polskich, było 21.000 cesarskich, 11.000 elektora bawarskiego, 10.000 elektora saskiego i około 10.000 innych książąt niemieckich, razem więc było około 78.000.

W r. 1667 stanęła konstytucja sejmowa, nie pozwalająca królowi na trzymanie więcej niż 12.500 głów w wojsku i nie inaczej, jak pod rotmistrzami z pomiędzy szlachty osiadłej; szlachta obawiała się narzucenia Polsce przez dwór znienawidzonego Kondeusza. Po wyborze popularnego u szlachty Michała Wiśniowieckiego, w r. 1670 ta liczba wojska została podwojona, ale tylko na papierze, bo w czasie nawały tureckiej w r. 1672 Sobieski, jako hetman w. kor., miał do rozporządzenia wszystkiego 4.000 ludzi! Dopiero sejm 1673 r. uchwalił zaciągi, które dały możność Sobieskiemu pobić Turków pod Chocimem. Na sejmie koronacyjnym w r. 1678 uchwalono konstytucję p. t. «auctio sił Rzeczypospolitej», która stanowiła, aby z każdych 28 dymów stawał jeden żołnierz z muszkietem — mogło to stworzyć znaczną siłę zbrojną, ale skończyło się na słowach.

Szlachta i magnaci nie pragnęli, by Rzplita miała silne wojsko; nie chcieli ponosić ciężarów podatkowych, bali się absolutyzmu, sądzili, że słabej Rzplitej nikt, wśród wzmagających się w Europie zbrojeń, zaczepiać nie będzie.

Nawet poczty pańskie, które dawniej bywały wielką podporą wypraw wojennych, tracą swe znaczenie tak ilościowo, jak jakościowo, i stają się wyłącznie hufcami dekoracyjnemi.

Wreszcie pospolite ruszenie, choć pozostaje nominalnie główną obroną przed nieprzyjacielem zewnętrznym, straciło całą swoją wartość; wykazała to najlepiej konfederacja gołąbska; odtąd prawie wzywane nie było.

Tak więc i pod względem siły zbrojnej Rzplita abdykowała ze swego znaczenia wielkiego mocarstwa. Wojsko polskie przestało być straszne dla wrogów zewnętrznych; strasznem pozostało tylko, jako niepłatne, dla własnych obywateli. Związki wojskowe z lat 1662 i 1663 dały się Polsce we znaki narówni prawie z najazdami Chmielnickiego i Szwedów.

Przejrzeliśmy smutny stan Polski drugiej połowy XVII wieku. Stwierdziliśmy jej upadek mocarstwowy, jej cofanie się na wszystkich polach w porównaniu z wzmożoną ruchliwością całej Europy, jej brak odporności zewnętrznej i wewnętrznej, wyczerpanie jej klas przodujących. Kultura i oświata przez cały XVII w. stale się obniżały, łączność z Zachodem coraz bardziej malała, wzrastał wpływ dzikiego Wschodu muzułmańskiego. Rozwinęła się przesadna pobożność zewnętrzna, jezuici wychowywali młodzież, ofiarność publiczna skierowała się wyłącznie ku budowie kościołów i klasztorów i zapisom na cele duchowne, zakony stały się, narówni z dworami magnatów, przytułkami dla rozprózniaczonej szlachty, mnożyły się nadmiernie przeróżne bractwa kościelne i pielgrzymki pobożne, a jednocześnie liczne zabobony i nietolerancja religijna. Cała ta dewocja pochłaniała lepsze porywy jednostek szlachetniejszych i uspokajała sumienia występnych.

Obniżył się patrjotyzm, zwłaszcza w klasach wyższych, u benjaminków Rzplitej; tlił jeszcze w szeregach prostaczków. Stworzona przez unję lubelską Rzplita uległa zupełnemu przeobrażeniu. Z demagogji szlacheckiej wyrosła chytra oligarchja. Rządy gminu szlacheckiego skończyły się. Teorja Jana Zamoyskiego i A. M. Fredry doprowadziła je do absurdu; rządy te zepchnęły państwo nad brzeg przepaści. Szlachta stała się dekoracją, pionkiem, manekinem; na czoło wysunęło się znów możnowładztwo.

Nie jest to już możnowładztwo typu XV w., lub choćby czasów Zygmuntowskich, ale możnowładztwo zdeprawowane, stawiające własne interesy powyżej dobra ogólnego, oparte na ogromnych posiadłościach ziemskich, koligacjach i popularności.

Wśród tego możnowładztwa były jednostki złe i dobre, mniej zdolne i uzdolnione; byli mężowie wybitniejsi, niektó-

rzy o szanownych cnotach publicznych, lub wielkich zdolnościach wojennych; nie było tylko — męża stanu.

A tymczasem męża stanu w wielkim stylu potrzebowała Polska już od dwóch wieków, męża stanu, któryby zrozumiał, że przyszłość Polski zależna była przedewszystkiem od poprawy jej wypaczonej struktury społecznej i reformy jej ustroju państwowego.

W w. XVII myśl reformy ustroju państwowego zacznie już poruszać światlejsze umysły w Polsce; ale potrzeba poprawy spaczonej budowy społecznej długo jeszcze rozumianą nie będzie, i wobec tego, niezależnie od kataklizmów dziejowych, Polska na długo skazana zostanie na przewlekłą niemoc wewnętrzną.

XIII. POLSKA A EUROPA W PIERWSZEJ POŁOWIE WIEKU XVIII

Koniec XVII w. uwydatnił się pokojem w Karłowicach w r. 1699 między Turcją z jednej strony a Austrją, Wenecją, Polską i Moskwą z drugiej. Ogromna potęga Turcji XVI i XVII wieku została złamana, Europa od strony tureckiej zabezpieczona, Austrja wzmocniona; Turcja z państwa zaborczego staje się przedmiotem stałej pożądliwości Austrji i Rosji, a z wroga Polski — naturalnym jej sprzymierzeńcem.

Biegowi dziejów europejskich w w. XVIII nadały kierunek dwa czynniki wagi pierwszorzędnej: nadzwyczajny wzrost Rosji i Prus, i wpływ filozofji francuskiej.

Rosja i Prusy, wywalczając sobie w w. XVIII, jako najmłodsze organizmy państwowe, miejsca wybitne wśród dawnych mocarstw europejskich, z natury rzeczy dążą do zaborów. Dawny system utrzymywania równowagi europejskiej przez przestrzeganie «status quo» przetwarza się na system równoważenia zaborów jednych przez zabory drugich; w ten sposób polityka zaborcza Rosji i Prus staje się systemem ogólnoeuropejskim.

Rozwinięciu tego systemu sekunduje potężnie coraz wpływowsza filozofja francuska. Montesquieu, Voltaire, Diderot i encyklopedyści, wreszcie pod koniec XVIII w. Rousseau, byli to mocarze, których wpływ na dzieje w. XVIII dorównywał czynom ówczesnych najwybitniejszych kierowników państwowych. Jeżeli polityka tych ostatnich wyzbyła się w zupełności wszelkich względów na zasady moralne, owszem, chełpiła się swym skrajnym machiawelizmem, to taki stan rzeczy wypływał w pierwszym rzędzie z idei, rozpowszechnianych przez filozofję francuską, szerzącą cynizm pod błyskotliwą

a wytworną szatą haseł postępowych. W tym względzie filozofja ta spełniła, wobec prądów umysłowych w. XVII i XVIII, rolę analogiczną do humanizmu z dwóch wieków poprzednich, który pod szatą klasycyzmu i umiłowania piękna podciął swoiste zasady etyczne średniowiecza, zapewniające każdemu stanowi pewne prawa określone, i stał się najmocniejszą podwaliną i uzasadnieniem oświeconego absolutyzmu.

Polityka zaborcza, połączona z przemożnym wpływem filozofji francuskiej, stanowi podstawę całej ruchliwej, a w skutki brzemiennej, ewolucji politycznej i obyczajowej Europy wieku XVIII. Wynikną z niej dwa kataklizmy dziejowe: rozbiory Rzpltej polskiej i rewolucja francuska.

Zanim jednak dojdzie do tych kataklizmów, dokonywują się przegrupowania w ustosunkowaniu wzajemnem państw europejskich, przy zachowaniu jednak dawnego antagonizmu francusko-angielskiego.

Ten ostatni antagonizm rozżarzył się na dobre w końcu w. XVII i z siłą niesłabnącą trwał aż do upadku Napoleona I. Wiadomo, że polityka Anglji od czasu, gdy stała się potęgą *par excellence* morską, zasadza się na stałem dążeniu do bezwzględnej przewagi na morzach nad wszystkiemi państwami europejskiemi. Dlatego Anglja walczyła w w. XVI z Hiszpanją, w w. XVII najprzód z Holandją, później z Francją, w w. XVIII już z samą Francją, w w. XIX z Rosją, a wkońcu z Niemcami.

Otóż w w. XVIII, przy wciąż trwającym antagonizmie francusko-angielskim, drugi, daleko starszy antagonizm europejski, francusko-austrjacki, ustał już na początku drugiej połowy XVIII w., gdy tak Austrja jak Francja nareszcie spostrzegły, że rywalizacja ich wychodzi na korzyść jedynie nowej potędze niemieckiej, młodemu królestwu pruskiemu.

Choć pani Pompadour niezaprzeczenie dopomogła do zawarcia w r. 1756 przymierza francusko-austrjackiego, jest jednak bajką, by zmiana ta dokonaną została przez umizgi listowne dumnej Marji Teresy wobec faworyty Ludwika XV. Pani Pompadour rzeczywiście pozyskaną była przez dwór austrjacki i chętnie występowała przeciw Fryderykowi II, któremu darować nie mogła kilku uwag uszczypliwych, uczynionych pod jej adresem; ale nawet pod Ludwikiem XV polityka francuska w sprawie tak ważnej, jak zupełna zmiana tradycyjnego systemu walki przeciw domowi habsburskiemu, musiała mieć i miała motywy o wiele głębsze, oparte na nowej konstelacji stosunków europejskich.

Walka przeciw Habsburgom nie była jakimś zatargiem rodowym, ale walką Francji przeciw dążeniom domu habsburskiego utworzenia groźnej dla Francji potęgi mocarstwowej, przez połączenie w jednym ręku ogromnych posiadłości środkowo-europejskich, nie mówiąc już o Hiszpanji, wydartej Habsburgom na samym początku XVIII w. Jądrem tych posiadłości środkowo-europejskich były posiadłości w Niemczech, a największą obawą Francji było zjednoczenie wszystkich ziem niemieckich, tak umiejętnie rozproszkowanych, za staraniem Richelieu, przez traktat westfalski z 1648 r. (a tak nieprzezornie, dodajmy, obecnie znów scementowanych przez świeży traktat wersalski z r. 1919). Polityka francuska musiała stale dążyć do podtrzymywania w Niemczech małych państewek przeciwko Austrji, a w rzędzie tych państewek znajdował się elektor brandenburski. Ale ten elektor przedzierżgnął się w króla pruskiego, a w osobie Fryderyka II stał się potęgą, z którą liczyć się musiała cała Europa. Instynktownie więc Francja poczuła, że zjednoczenie Niemiec może być dokonane nietyle przez Austrję, będącą państwem różnoplemiennem, ile właśnie przez dawnego swego pupila, króla pruskiego. Ten wzgląd nakazywał zawczasu podciąć skrzydła przyszłemu antagoniście, tem bardziej, że Fryderyk II już niedwuznacznie zaczął się wyemancypowywać z pod opieki francuskiej i, aby dowieść swej zupełnej niezależności, przez traktat westminsterski (w styczniu 1756 r.) zawarł z największym ówczesnym wrogiem Francji, Anglją, przymierze, wprawdzie tylko odporne, ale bądź co bądź dla Francji, będącej z Anglją w stanie wojny morskiej, obraźliwe i niebezpieczne. Oto rzeczywiste powody, dla których w maju 1756 r. Francja, wbrew półtrzeciawiekowej swej tradycji, zdecydowała się na zawarcie przymierza z Austrją przeciwko Prusom, i w ten sposób dokonane zostało w Europie rzeczywiste, ogólne «odwrócenie» przymierzy. Francja przez Austrję łączyć się zaczyna z Rosją i, przez wzgląd na Rosję, wyrzeknie się swej dotychczasowej polityki opiekuńczej względem Polski, Szwecji i Turcji. Prusy przerzucają się do obozu antyfrancuskiego, łączą się z głównym wrogiem Francji — Anglją; wspólnie z tą ostatnią

podburzają wszystkie żywioły w Europie nieprzyjazne Francji i Austrji, i kokietują Rosję. Ta, choć w koncercie europejskim jest partnerem świeżym, przez sam swój ogrom i potrzebę czynu zaczyna przygniatać sobą stosunki międzymocarstwowe i, przechylając się raz na jedną, drugi raz na drugą stronę, wysuwa się powoli na stanowisko pierwszorzędne, szczególnie na północnym wschodzie Europy.

Po tych uwagach ogólnych, zwróćmy się do polityki względem Polski za czasów saskich, głównych państw europejskich, z których niektóre, a zwłaszcza Rosja, zaczynają wywierać w Polsce wpływy tak przemożne, że sama niepodległość Rzpltej wydaje się złudą.

Przejrzyjmy po kolei politykę względem Polski Francji, Austrji, Rosji, Prus, Turcji, Szwecji i Anglji.

W chwili śmierci Jana Sobieskiego Polska pozostawała w przymierzu z Austrją dla walki z Turcją. Jednak, dzięki agitacji i przekupstwom rozrzutnego posła francuskiego, księdza Polignac'a, stronnictwo francuskie tak wzrosło, że prawie całe możnowładztwo pozyskane zostało dla kandydata Francji, ks. Conti. Gdyby elekcja odbyła się o parę miesięcy wcześniej, ks. Conti zostałby prawdopodobnie królem polskim; ale sejm elekcyjny naznaczony został dopiero na 15 maja 1697 r. Gdy Austrja straciła nadzieję przeprowadzenia swego kandydata w osobie ks. Neuburskiego, lub ks. Lotaryńskiego, w ostatniej chwili poparła obiór młodego elektora saskiego, Fryderyka Augusta, który w celu uzyskania korony polskiej nie zawahał się przejść na katolicyzm i przez swych pełnomocników, Fleminga i Przebendowskiego, rzucił w ostatniej chwili na szalę znaczne sumy korupcyjne. 27 czerwca 1697 r. elekcja została rozdwojoną; głosy podzieliły się między ks. Conti a Fryderykiem Augustem; pierwszego proklamował królem prymas Radziejowski, drugiego biskup kujawski, Dąbski. Oba obozy szły kolejno do katedry św. Jana dla odśpiewania «Te Deum». Teraz zależało od tego, który z kandydatów prędzej i energiczniej wybór swój wyzyska. Fryderyk August był na pogotowiu. Już 27 lipca zaprzysiągł pacta conventa, a 15 września uroczyście został ukoronowany. Natomiast Conti wcale się nie spieszył i dopiero 25 września przybył morzem do

Gdańska; nie podtrzymany przez Francję, już 27 listopada tąż drogą odjechał zpowrotem. Cała Polska musiała uznać Augusta.

Analizując politykę Francji w Polsce, pamiętać należy, że w w. XVI i XVII szukała ona oparcia na Wschodzie w Turcji, w Polsce, Szwecji, wreszcie u elektora brandenburskiego; daleka Moskwa nie wchodziła w rachubę i ignorowaną była do tego stopnia, że np. o śmierci pierwszego cara z dynastji Romanowów, Michała Fiodorowicza, zmarłego w r. 1645, dowiedziano się przy dworze francuskim dopiero w r. 1657, to jest w 12 lat później. Po Moskwie, najmniej miano pojęcia we Francji o Polsce, a to z powodu, że ta usuwała się od spraw europejskich, gdy przeciwnie Szwecja Gustawa Adolfa i Karola Gustawa i Brandenburgja Wielkiego Elektora przyjmowały stały udział w zawikłaniach mocarstwowych. Pozatem sam ustrój Polski, tak odmienny od ustroju Francji i wogóle innych państw europejskich, utrudniał sąd o niej narodów zachodnich, tak, że w stosunkach dyplomatycznych bywała Polska naprzemian bądź przeceniana, bądź lekceważona, a o ciągłości polityki francuskiej względem Polski mowy być nie mogło. Również nie mogło być mowy o jakichś specjalnych sympatjach Francji dla Polski i Polaków, dla kraju i narodu tak mało wówczas rozumianych. Polityka francuska ograniczała się do rzeczy z natury swej bardziej zewnętrznych i namacalnych, niezależnych od głębszych koncepcyj i przewidywań.

Więc starała się Francja o swatanie swoich księżniczek za królów polskich — w rezultacie jedna tylko Marja Ludwika Gonzaga wyszła za króla polskiego; starała się o elekcję swoich kandydatów do korony — w rezultacie ani Kondeusz, ani ks. Neuburski, ani ks. Conti tronu polskiego nie osiągnęli, a Jan Sobieski, choć ożeniony z Francuzką, choć popierany przez Francję, zawarł w r. 1683 najściślejsze przymierze z Austrją. Wobec tych niepowodzeń, Francja już wcześnie zaczęła na szeroką skalę uprawiać korupcję wśród magnaterji polskiej i tą drogą, a nie drogą ideową, lub pewnego programu politycznego, utrzymywała w Polsce stronnictwo francuskie. Głową tego stronnictwa za Jana Kazimierza była — królowa Marja Ludwika, za króla Michała — Jan Sobieski, za pano-

wania tego ostatniego — Morsztyn, Stan. Jabłonowski i Sapiehowie. W ten sposób wpływy francuskie nietylko nie przyczyniały się do poprawy ustroju państwowego Rzpltej, ale przeciwnie, opierając się na przekupstwie i malkontentach, podkopywały systematycznie powagę korony i rządu, szerzyły rozprzężenie i anarchję. Stronnictwo francuskie staje się synonimem malkontentyzmu i warcholstwa.

Wobec tak czysto mechanicznego traktowania przez Francję spraw polskich, było rzeczą naturalną, że przy krzyżowaniu się interesów Rzpltej z interesami jej sąsiadów, z wyjątkiem Austrji, poparcie Francji kierowało się zwykle nie w naszą stronę, lecz w stronę naszych przeciwników politycznych, zwłaszcza Szwecji i Brandenburgji. W walce zaś z Portą otomańską pomocy od Francji, przez wzgląd na Austrję, nigdy doznać nie mogliśmy.

Elekcja Conti'ego, przeprowadzona drogą najszerszej korupcji, i mająca na celu sparaliżowanie zabiegów Austrji, w chwili stanowczej nie została przez Francję dostatecznie poparta i skończyła się sromotną porażką; przyczyniła się tylko do rozdwojenia partyjnego i demoralizacji magnaterji polskiej; programu reform wewnętrznych nie zawierała wcale i minęła, jak epizod bez znaczenia politycznego.

Gdy zaczęła się wojna Północna, sympatje Francji stanęły oczywiście po stronie Szwecji, a przez nią po stronie Stanisława Leszczyńskiego. Ta także zawierucha, korzystna dla Francji, jako przeciwwaga wpływom austrjackim, skończyła się dla Polski fatalnem zamieszaniem ogólnem, wreszcie utrwaleniem się przewagi Rosji. O tej ostatniej Francja wciąż jeszcze nie miała wyobrażenia. Ludwik XIV nie chciał przyjmować cara Piotra, a za Ludwika XV regent Filip Orleański oglądał go jak jakąś osobliwość zamorską.

Ale w r. 1724, gdy dzięki kaprysowi losu królową francuską została Marja Leszczyńska, Francja siłą rzeczy zaczęła się bliżej interesować sprawami polskiemi. Gdy w r. 1733 zaczęło się w Polsce bezkrólewie, stronnictwo francuskie, mające na czele prymasa, Teodora Potockiego, okazało się tak silnem, a niechęć do Sasów była tak powszechną, że, pomimo gróźb Rosji i Austrji, Leszczyński został obrany królem prawie jednomyślnie. Ale, gdy zaraz potem wkroczyło wojsko rosyjskie, i pod jego presją dokonana została kontrelekcja

Augusta III, Francja znów opuściła swego kandydata, choć teścia swego króla, nie dotrzymała obietnic, hojnie przedtem szafowanych swoim stronnikom, i wydała ich na pastwę Rosji i Sasów.

W tak zwanej wojnie sukcesyjnej polskiej (1733—1735) Francja wcale nie dbała o Polskę, tylko o własne zdobycze. To też przez traktat wiedeński z r. 1738 uzyskała Lotaryngję, którą ks. Franciszek Stefan Lotaryński (od r. 1736 mąż Marji Teresy) ustąpił wzamian za otrzymaną po wymarciu Medyceuszów Toskanę; Lotaryngja miała dożywotnio stanowić uposażenie zdetronizowanego teścia króla francuskiego, a po jego śmierci stać się prowincją francuską.

Po pokoju wiedeńskim stosunki pomiędzy Francją a Polską nawiązały się nie odrazu. Francja, obrażona na rząd polski za uwięzienie swego posła, Monti'ego, który przez 18 miesięcy trzymany był jako jeniec w Toruniu, czas długi nie miała w Polsce swego przedstawiciela; utrzymywała tylko posła w Dreznie. Stronnictwo francuskie, zawiedzione w swych nadziejach przez króla arcychrześcijańskiego, rozpadło się. Stanisław Poniatowski i Czartoryscy, którzy w czasie bezkrólewia przerzucili się od Sasów na stronę Stanisława Leszczyńskiego, uniknęli prześladowania tylko dzięki protekcji Rosji, którą potrafili sobie zjednać przy pomocy wszechwładnego Birona.

Od chwili, gdy wojska rosyjskie w r. 1735 po raz pierwszy dotarły do Renu, Francja zaczęła poważnie liczyć się z nową potęgą na Wschodzie i nie śpieszyła się z wznowieniem stosunków z Polską. Dopiero w r. 1744 naznaczony został do Polski poseł nadzwyczajny, hr. St. Severin, dyplomata zręczny i obrotny. Francja była wtedy w ścisłem przymierzu z Prusami przeciwko Austrji, i St. Severin, chcąc przeszkodzić przymierzu Austrji z Polską, wszystkiemi siłami starał się rozbić sejm grodzieński z r. 1744, który miał uchwalić pewne reformy. Od tego czasu znów powstaje w Polsce stronnictwo francuskie, i po dawnemu złoto i obietnice francuskie zaczynają podburzać malkontentów polskich przeciwko dworowi.

W r. 1745, gdy zdawało się, że August III może uzyskać koronę cesarską, kilku panów polskich zgłosiło się do ks.

Conti [1]), proponując mu koronę na wypadek, gdyby August III. skutkiem obioru na cesarza, musiał zrzec się tronu w Rzpltej. Jako poseł tych panów polskich, jeździł wtedy do Paryża Andrzej Mokronowski, powiernik hetmana Jana Klemensa Branickiego. Ks. Conti, za zgodą Ludwika XV, przystał na tę kandydaturę i, choć August III korony cesarskiej nie uzyskał, a w r. 1747 został teściem Delfina (syna Ludwika XV), tem niemniej stronnictwo francuskie w Polsce nabiera znaczenia i nadal pozostaje z ks. Conti w stałem porozumieniu. Programem tego stronnictwa (kierowanego głównie przez Potockich i hetmana Branickiego) była stała fronda przeciwko rządom Augusta III, popieranym przez niego Czartoryskim i wszelkim projektom reform, wychodzącym od dworu i Czartoryskich.

W r. 1751 umiera głowa stronnictwa francuskiego, hetman w. kor., Józef Potocki. Na czele stronnictwa stają J. K. Branicki, teraz hetman w. kor., i Antoni Potocki, wojewoda bełzki; otrzymują znakomite podtrzymanie w nowonaznaczonym za staraniem ks. Conti ambasadorze francuskim w Polsce, hr. Broglie [2]). Był to człowiek wielkiej ambicji, dyplomata energiczny i zdolny, Polaków przyjaciel szczery, często entuzjastyczny, ale przez swoją gwałtowność przynoszący zwykle więcej szkody, niż korzyści, tem bardziej, że potrzeb polskich nie rozumiał. Miał zadanie arcytrudne, gdyż od czasu jego naznaczenia zaczyna się jedyna w swoim rodzaju intryga polityczna: polityka francuska w Polsce rozszczepia się na dwoje; obok polityki oficjalnej, ministerjalnej, zaczyna być prowadzona dodatkowa polityka zakulisowa, sekretna, tem ciekawsza, że nie jest polityki oficjalnej uzupełnieniem lub kontrolą, lecz jest jej wręcz przeciwną, dąży do celów wprost odmiennych.

O Ludwiku XV zwykle wie się tyle tylko, że miał dużo kochanek i powiedział: «Après moi le déluge». Postać to jednak ciekawa; wstąpił na tron jako dziecko pięcioletnie, wy-

[1]) Ks. Ludwik Franciszek Conti († 1776) był wnukiem ks. Franciszka Ludwika Conti († 1709), obranego w 1697 na króla polskiego; ten ostatni był synem ks. Armanda Conti, brata «wielkiego» Kondeusza.

[2]) Karol Franciszek hr. Broglie był synem uksiążęconego marszałka, Franciszka Broglie, i młodszym bratem Wiktora Franciszka Broglie, również marszałka.

chowywany był przez regenta, ks. Orleańskiego, w duchu jego zapatrywań, t. j. wśród ogólnego zepsucia; mając lat 14, ogłoszony był za pełnoletniego, a więc został samowładcą francuskim; mając lat 15, już był żonaty ze starszą od siebie Marją Leszczyńską; przez całych lat jedenaście pozostawał tak wiernym małżonkiem, że tą swą wiernością wywołał zgorszenie na przyzwyczajonym do innych porządków dworze francuskim; dopiero zrażony postępowaniem Marji Leszczyńskiej (której zdradziecko wmówiono, że zanadto dogadza chuciom cielesnym małżonka), uległ zastawionym nań sidłom i wznowił zaprowadzone za Ludwika XIV stanowisko oficjalnej metresy królewskiej; różnił się tylko od swego pradziada większą zmiennością, a wkońcu zepsuciem. Jedynie dwie jego kochanki, pochodząca z mieszczaństwa, margrabina de Pompadour (1745—1764), i wzięta z rynsztoku hr. Dubarry (od roku 1769 — zginęła na gilotynie w r. 1793), utrzymywały się czas dłuższy na stanowisku. Inne zmieniały się, jak w kalejdoskopie, przeplatane miłostkami jednodniowemi. A jednak, pomimo takiego życia, Ludwik XV nie był pozbawiony pewnych zalet: nie był okrutnym, miał poczucie swego dostojeństwa i sąd, choć zamroczony lenistwem, przesytem i chłodną na wszystko obojętnością, nie pozbawiony rozwagi i pewnej szlachetności. Pewne przebłyski szlachetności dają się właśnie odczuć w powyżej wskazanej jego polityce sekretnej, szczególnie w zestawieniu z oficjalną polityką ministerjum francuskiego, na którego czele stali kolejno: markiz d'Argenson, Rouillé, ksiądz Bernis, wreszcie od r. 1758 ks. Choiseul i pod kierownictwem tego ostatniego jego kuzyn, hr. Choiseul, znany bardziej jako ks. Praslin.

Wszyscy ci ministrowie proklamowali, z początku nieśmiało, później coraz bezwzględniej, zasadę zupełnej abdykacji polityki francuskiej w Polsce, która podług ich przekonania powinna była, jak na to zasługiwała, pozostawać w stanie zupełnego bezwładu i anarchji; dodawali wprawdzie pobożne życzenie, by nie stała się łupem sąsiadów, ale w tym względzie polegali tylko podobnie, jak Polacy, na niezgodzie sąsiadów. Aby dać miarę tego zniechęcenia, a właściwie nieżyczliwości urzędowej Francji ówczesnej do Polski, niepodobna nie przypomnieć tu choć paru ustępów ze znanej instrukcji ks. Choiseul'a dla rezydenta francuskiego w Polsce.

«Z Polską — wykładał ks. Choiseul — postępowano dotąd, jak z mocarstwami, mającemi prawidłowy rząd, od których można się czegoś obawiać, lub spodziewać — i popełniano ciężki błąd. Król sądzi, że w Polsce dwa tylko punkta powinny go obchodzić: po pierwsze, aby anarchja, jaka ustaliła się na dobre w tem królestwie, panowała tam bezwzględnie, powtóre, aby żadne mocarstwo nie powiększyło swego obszaru kosztem królestwa polskiego. Oto do czego bezwarunkowo trzeba zredukować nasz system polityczny w tej dziedzinie; każdy inny pomysł byłby iluzoryczny. Nie można bez żalu widzieć, że podejmowano tyle zabiegów i przypisywano dotychczas we Francji takie znaczenie wytwarzaniu w Polsce skutków, które nie omieszkałyby nastąpić, choćbyśmy nie zadawali sobie tyle trudu. Trud byłby niczem, gdyby go nie popierano marnotrawstwem pieniędzy, równie źle skombinowanem z sytuacją, jak śmiesznem samem przez się. Francja miała w tem ambicję, aby za pieniądze narzucać Polsce królów. Pod tym względem projekty jej się nie udały, ale gdyby się nawet udały, Francja zdołałaby tylko stworzyć tytuł bez władzy nad Polakami, tytuł, na którego utrzymaniu w takiem położeniu jej samej zależy. Gdyby się zdarzyło, że pewien król miałby dość genjuszu i talentów, aby wzniosłym duchem przywrócić porządek w Polsce, Francja powinnaby łożyć koszta na pokrzyżowanie operacji podobnego władcy. Tak więc, zabiegi, czynione celem wywyższenia jakiegoś króla polskiego, podobne są do zabiegów nad zrobieniem zera. Dawaliśmy dużo pieniędzy na zrywanie sejmów polskich. Nie wiem, kto to doradzał; atoli wiem, że gdybyśmy dwa razy tyle wydali na ich utrzymanie, nie dopięlibyśmy swego. — Z tych faktów wynika, że prawdziwym naszym programem w Polsce jest nierząd, i że w danej chwili nie potrzebujemy ponosić ani trudów, ani kosztów dla utrzymania tego nierządu».

Otóż tego poglądu, a przynajmniej w całej jego rozciągłości, nie podzielała polityka sekretna Ludwika XV. Ludzie, powołani do jej prowadzenia, wszyscy byli Polsce życzliwi, i wszyscy w miarę możności starali się paraliżować skutki bezwzględnej polityki ministerjalnej; rezultat jednak ich działalności był raczej szkodliwym, a to z powodu, że karmili stale Polaków iluzjami co do życzliwości Francji i ewentualnej jej pomocy. Nawet po odwróceniu przymierzy w r. 1756, odwołaniu Broglie'go i naznaczeniu z umysłu na jego miejsce takiej nicości zupełnej, jaką był margrabia Paulmy, «sekret» królewski urzeczywistniał w dalszym ciągu sekretarz ambasady francuskiej, Hennin; ten, broniąc w miarę możności stronników francuskich od nadużyć ze strony przechodzących wojsk rosyjskich, nie przestawał podtrzymywać mglistej ułudy życzliwości francuskiej dla Polaków[1]).

Cała ta tragikomiczna podwójna gra dyplomacji francuskiej przygotowała ostatecznie zupełną abdykację Francji w sprawach Rzpltej i to właśnie w chwili dla tej ostatniej najważniejszej. Ostatnie fatalne bezkrólewie w Polsce przejdzie już bez udziału Francji; dopiero w r. 1768 ten sam ks. Choiseul na chwilę przejrzy i niefortunnie podtrzyma konfederację barską, ale wkrótce sam upadnie, a jego następca, ks. d'Aiguillon, zaskoczony pierwszym rozbiorem Polski, pocieszy się wątpliwością «Czy ten wypadek może obchodzić Francję?...»

Przechodzimy do polityki względem Polski dawnej antagonistki Francji, Austrji. Należy przedewszystkiem stwierdzić, że była ona nie tak błyskotliwą, jak w pierwszych chwilach była polityka francuska, ale była bardziej konsekwentną i wpływową.

W bezkrólewiu po Janie III Austrja zobowiązała się popierać do tronu królewicza Jakóba, ale czyniła to niechętnie i niedbale, a później zaczęła popierać kandydatury ks. Neuburskiego i ks. Lotaryńskiego; gdy zaś te kandydatury nie miały szans powodzenia, a elekcja kandydata francuskiego, ks. Conti, stała się niewątpliwą, Austrja całym swym wpływem poparła kandydaturę saską, tak, że August II winien był swe wyniesienie w znacznej mierze Austrji.

Ale z biegu wypadków wynikło, że August II w walce swej z Karolem XII i Stanisławem Leszczyńskim oparł się nie na Austrji, lecz na Rosji, i dopiero wtedy, gdy ta zaczęła mobilizować przeciw niemu opozycję w Polsce i, korzystając

---

[1]) Dzieje «sekretu» Ludwika XV opisał znany pisarz polityczny, ks. de Broglie w pracy: «Le secret du roi». Dwa tomy. Wyd. III-e. 1879.

z zaślepienia konfederacji tarnogrodzkiej, stawać się arbitrem pomiędzy królem a stanami w Rzpltej, August II zwrócił się znów po poparcie do Austrji.

Na początku 1719 r. zawarte zostało w Wiedniu przymierze odporne pomiędzy cesarzem Karolem VI, królem angielskim, Jerzym, jako elektorem hanowerskim, i Augustem II, jako elektorem saskim; August II obiecywał skłonić do przymierza także Rzpltę. Wkońcu tegoż roku doszło do skutku małżeństwo synowicy cesarskiej, Marji Józefy, z królewiczem polskim, przyszłym Augustem III.

Gdy o traktacie wiedeńskim dowiedział się Piotr W., zrozumiał, że chodzi o emancypację Augusta II z pod jego wpływu, poruszył więc wszystkie sprężyny, by te zamysły pokrzyżować. Poseł carski, Dołgoruki, zaczął energiczną agitację, oskarżając króla o złe zamiary i o projekta obalenia wolności szlacheckich. Sprawa wniesiona została na sejm, który się zebrał 30 grudnia 1719 r. Sejm ten, dzięki intrygom Dołgorukiego, wyparł się traktatu wiedeńskiego, poczem 23 lutego 1720 r. rozszedł się na niczem. Podobnie stało się także z sejmem, zwołanym przez króla 30 września 1720 r. Car dopiął swego.

W 1725 r. Marja Leszczyńska została królową francuską. Fakt ten zaniepokoił Austrję przez wzgląd na możliwość wzmożenia się wpływów francuskich w Polsce. Nie ulegało wątpliwości, że Francja będzie podtrzymywała w przyszłem bezkrólewiu kandydaturę króla wygnańca. Na dobitek złego Austrja nie była pewną także Augusta II, który zaczął wchodzić z Francją w jakieś konszachty co do przyszłej sukcesji austrjackiej. Wprawdzie przy małżeństwie królewicza polskiego z arcyksiężną Marją Józefą oboje nowożeńcy zrzekli się najuroczyściej wszelkich pretensyj do ziem austrjackich, ale wiadomo, jaką takie zrzeczenia mają wagę. Wszystko to skłoniło Austrję do porozumienia się względem spraw polskich z Rosją. W ten sposób stanął w r. 1732 t. zw. traktat Loewenwoldowy, zawarty między pełnomocnikiem carowej Anny Iwanówny, Gustawem Loewenwolde[1]), i Austrją, do

[1]) Było jednocześnie przy dworze Anny Iwanówny trzech braci Loewenwoldów: wielki marszałek, Karol-Rajnhold, wielki koniuszy, Gustaw, i najmniej zdolny Fryderyk-Kazimierz, poseł rosyjski w Warszawie.

którego przystąpił też król pruski, Fryderyk Wilhelm, skuszony obłudną i później nie ratyfikowaną obietnicą Kurlandji. Mocą tego traktatu Rosja i Austrja obowiązywały się po śmierci Augusta II wszelkiemi sposobami zwalczać kandydaturę Stanisława Leszczyńskiego i popierać do tronu Rzpltej infanta portugalskiego, Emanuela, lub ostatecznie jednego z «Piastów» polskich; dopiero w razie zupełnej niemożliwości przeprowadzenia tych kandydatów, Rosja i Austrja miały się zgodzić na elekcję syna Augusta II, po spełnieniu przezeń pewnych wymagań dworów sprzymierzonych.

Wkrótce potem nastąpiła śmierć Augusta II. Z Lizbony otrzymano wiadomość, że infant, Emanuel, zrzeka się kandydatury na rzecz młodszego swego brata; jednocześnie elekcja Stanisława Leszczyńskiego zdawała się być zapewnioną. Wobec tego dwór austrjacki okazał się powolnym względem zabiegów saskich, i latem 1733 r. doszedł do skutku układ Augusta III z Austrją i Rosją. August III uznał solennie sankcję pragmatyczną i zobowiązał się, po przewidywanem wkrótce wygaśnięciu ostatniego z Kettlerów, nadać lenno kurlandzkie kandydatowi rosyjskiemu (t. j. ulubieńcowi carowej, Bironowi).

12 września 1733 r. dokonaną została pod Wolą zgodna elekcja Stanisława Leszczyńskiego. Nie przeszkodziło to, że 5 października pod osłoną bagnetów rosyjskich, pod wsią Kamieniem obranym został przez garstkę wyborców August III. Siła przełamała prawo; pomoc Francji zawiodła; Leszczyński musiał uchodzić, i August III utrzymał się na tronie. Odtąd jest on faktycznie zależnym od Rosji i z małemi przerwami sprzymierzeńcem Austrji.

Z przerwami, gdyż Francji i Prusom udało się wciągnąć na pewien czas (1741—1743) Saksonję do walki z Austrją. Sparzywszy się na tej imprezie, August III odtąd pozostaje już stale z Marją Teresą w stosunkach przyjaznych, lub nawet, jako elektor saski, sprzymierzonych. Mając na widoku reformy w Polsce i utrwalenie w niej swej dynastji, August III dąży tak w czasie wojen o sukcesję austrjacką (1740—1748), jak też w czasie wojny siedmioletniej (1756—1763) do otrzymania od Austrji choć skrawka Śląska, dla terytorjalnego połączenia Saksonji z Polską — dążenie to traktowane jest przez Austrję wogóle niechętnie. Natomiast dwór wiedeński starał

się wciąż o wciągnięcie Polski do walki z Fryderykiem II i pod tym warunkiem zgadzał się na wzmocnienie władzy królewskiej w Rzpltej. Nie osiągnąwszy tego, wobec niechęci szlachty polskiej do jakiejbądź wojny, Austrja widziała się zmuszoną łączyć się coraz bliżej z Rosją, a przez to milcząco potakiwać stanowczej wszechwładzy rosyjskiej w Polsce.

Początek przewagi Rosji w Polsce datuje się od zjazdu Augusta II z Piotrem W. w Rawie Ruskiej w r. 1698. Tam August II namówił Piotra W. do napadu na Szwecję i w ten sposób sam, wywoławszy burzę północną, wpadł we własne sidła, sprowadził bicz boży w osobie Karola XII i wpuścił wilka do owczarni w osobie Piotra W.

August II miał pewne zalety, ale jeszcze większe wady, o całe niebo stał niżej od swego wschodniego sąsiada. Nic dziwnego. Ten był niezaprzeczonym genjuszem państwowym, chociaż, jak zwykle każdy genjusz, nie pozbawionym jednostronności. Zadaniem Piotra W. stało się carstwo moskiewskie, pod względem cywilizacji nietylko zacofane, ale od zachodniej Europy zasadniczo różne, siłą z tą zachodnią Europą jednym zamachem zespolić i uczynić potężnem państwem europejskiem. W samem założeniu tego zadania tytanicznego leżał błąd kapitalny: brak odczucia różnic dwóch cywilizacyj, dwóch różnych światów i utożsamienie kultury zewnętrznej z istotą cywilizacji.

Pod cywilizacją rozumiemy nie sumę wiedzy praktycznej i technicznych wynalazków i udogodnień, t. j. nie kulturę zewnętrzną, ale przeciwnie, pewien zakres pojęć abstrakcyjnych, stanowiący bezwiedne credo i treść psychiki szerokich mas — duszę narodową. Otóż ta dusza narodowa jest tworem szeregu pokoleń i uwarstwieniem pewnych czynników samorodnych, lub wpływów postronnych, nigdy więc, w przeciwieństwie do kultury zewnętrznej, nie może być dziełem doraźnej i krótkotrwałej reformy. Owszem, wszelka reforma liczyć się powinna z osobliwościami danej duszy narodowej i do niej się naginać, a nie odwrotnie; podobnie, jak rolnik stosować musi do właściwości gleby swój system gospodarczy.

Ale prawda powyższa stale bywała i dotychczas bywa zapoznawaną, tak, że ludzie, często skądinąd rozumni, a nawet genjalni, w zbyt wysokiem rozumieniu o wszechpotędze czy to państwa, czy to wiedzy, czy to kultury zewnętrznej, nie wahali się i nie wahają się gwałcić duszy narodowej środkami zewnętrznemi, technicznemi lub intelektualnemi i — wywoływać skutki zwykle opłakane, zawsze niezgodne z celem zamierzonym.

Naród rosyjski wytworzył swą indywidualność narodową, swą duszę narodową w zupełnie odmiennych warunkach w porównaniu do Europy zachodniej i środkowej, pod wpływem zasadniczo odmiennych czynników wewnętrznych i zewnętrznych, po przyjęciu odmiennej, skostniałej w swej odmienności i na tej skostniałości swą istotę opierającej cywilizacji grecko-bizantyjskiej; po ostatecznem zdeptaniu praw jednostki pod wpływem długoletniego jarzma tatarskiego, naród rosyjski na początku XVIII w. był społecznością inną od społeczeństw zachodnich i środkowo-europejskich, miał własną, odmienną cywilizację, nie był plastyczną gliną, której rzeźbiarz mógł te lub inne formy nadawać.

Tych osobliwości duszy narodowej rosyjskiej nie uląkł się Piotr W., postać iście tytaniczna. Za bary chwycił przeszłość rosyjską i kazał jej upodobnić się do Europy zachodniej. Współczesny z Piotrem W., gorący jego wielbiciel, Pososzkow, mówi obrazowo, że «car ciągnie Rosję pod górę, a miljony ciągną ją na dół»; wkońcu car, choć z trudnością, siłą swego genjuszu napozór zwycięża.

W rzeczywistości zwycięstwo to było czysto zewnętrznem. Dusza rosyjska nietylko obroniła swą indywidualność, ale ją wzmocniła. Tylko zaprowadzone zostały zewnętrzne porządki europejskie. Ale to wystarczyło, by Rosja stała się państwem, które skutkiem swego ogromu mogło dyktować prawa Europie; co gorsza dla nas, mogła lec na Polskę całym ciężarem nietylko swej przewagi politycznej, ale też swej odrębnej cywilizacji. Odtąd Polsce, po utracie bytu politycznego, groził zamach na jej duszę narodową.

A pomimo to, my, Polacy, nietylko z podziwem ale z zazdrością przyglądać się musimy wszystkokruszącej postaci Piotra W. Był on wielkim reformatorem Rosji nowożytnej, ale byłby większym reformatorem, gdyby reformował nie Rosję, lecz Polskę.

Piotr W., cywilizując swój naród, sam był przepełniony

indywidualnością swego narodu, a więc posiadał jej cechy dodatnie i ujemne. Do tych ostatnich należy w pierwszym rzędzie zanik poczucia praw jednostki wobec supremacji państwa, w rażącem przeciwieństwie do wady kardynalnej polskiej psychiki szlacheckiej — zaniku poczucia praw państwa wobec samowoli jednostki. Reformując Polskę, genjusz typu Piotra W. byłby nie zniszczył indywidualizmu duszy polskiej, ale choć w pewnym stopniu podporządkowywał go wymaganiom społeczno-państwowym; natomiast, reformując Rosję, Piotr nie ulżył zbyt sponiewieranej jednostce, ale skrępował ją jeszcze mocniej; supremację państwa, przez udoskonaloną biurokrację, doprowadził do granic ostatecznych, ewolucję wewnętrzną społeczeństwa zastąpił mechanicznem zeuropeizowaniem, a całą siłę i energję swego narodu skierował ku nowym zaborom.

Celem tych zaborów stały się brzegi morza Bałtyckiego i Czarnego i — Rzplta polska.

Dążenie Rosji do morza na Północy i Południu wynikało z oczywistej potrzeby państwowej — widoki na Polskę wynikały ze słabości Rzpltej. O tej słabości przekonywał się Piotr W. coraz bardziej, w miarę rozwoju wypadków. Przytem wszystkie czynniki w Polsce: król, magnaci, szlachta — same szły na lep polityki rosyjskiej. August II sam narzucił się Piotrowi, jako sprzymierzeniec, a później opierał się na nim przeciw Szwedom, Leszczyńskiemu i jego stronnikom; wielka ilość panów polskich, a zwłaszcza litewskich (Adam Sieniawski, Stanisław Denhoff, Wiśniowieccy, Pociej, Ogińscy i in.) szukali protekcji Piotra W. w swych zatargach z Augustem, a konfederacja tarnogrodzka posunęła się w swem zaślepieniu do tego stopnia, że uczyniła Piotra W. medjatorem i jakoby sędzią między narodem a — własnym królem!

Przypomnijmy tu stopniowe etapy tej rosnącej przewagi Rosji w Polsce.

W 1698 r. zawarty został traktat tajny zaczepno-odporny między Piotrem W. a Augustem II przeciwko Szwecji.

W r. 1701, po klęskach Augusta II w Inflantach, a Piotra W. pod Narwą, odbył się zjazd obu panujących w Birżach, na którym Piotr zobowiązał się dostawić Augustowi II 20.000 ludzi i 100.000 rb. subsydjów; dowiedziawszy się jednak

później o układach Augusta II z Karolem XII, pozostawił Augusta własnemu losowi.

W r. 1702, za zachętą Rosji, rozpoczyna się ruch kozacko-hajdamacki na Ukrainie polskiej pod Palijem i Samusiem.

W 1703 r. następuje porozumienie Piotra z Augustem, przy pośrednictwie Patkula, ze szkodą Polski, która nie chce wojny ze Szwecją. Po stronie Rosji stają tylko panowie litewscy: Michał Wiśniowiecki i Ludwik Pociej.

W r. 1704 Tomasz Działyński, wojewoda chełmiński, zawiera z Piotrem traktat w imieniu Rzpltej.

W r. 1705 wojska rosyjskie wkraczają do Polski; rada konfederacji sandomierskiej pod Stanisławem Denhoffem ratyfikuje ów traktat Działyńskiego.

Po zrzeczeniu się korony polskiej przez Augusta II na mocy traktatu pokojowego, zawartego z Karolem XII w r. 1706 w Altranstädt, Piotr W. nie przestaje dalej wtrącać się do spraw Polski. W r. 1707 zjeżdża osobiście do Ostroga i Dubna, wreszcie do Żółkwi, gdzie pozostając przez cztery miesiące, skupia koło siebie własne już, dawniej Augusta II, stronnictwo, nieuznające Leszczyńskiego. Przebywali tu: prymas Stanisław Szembek, hetman Adam Sieniawski, marszałek konfederacji sandomierskiej Stanisław Denhoff, efemeryczny z ramienia Augusta II hetman polny litewski, Grzegorz Ogiński, i in. Wszyscy ci dygnitarze słuchają rozkazów cara i jego posła, Grzegorza Dołgorukiego.

Mając zamiar wyniesienia na tron polski syna swego, Aleksego, Piotr osobiście zjeżdża na zwołany przez prymasa Szembeka sejm konfederacki do Lublina; stamtąd podąża do Warszawy; wojska rosyjskie zalewają całą Polskę, ale wkrótce muszą się cofać przed wojskiem Karola XII i Stanisława Leszczyńskiego, a car przez Grodno podąża na Wschód.

W r. 1709, po pogromie Szwedów pod Połtawą, upadku Leszczyńskiego i powrocie Augusta II, Piotr W., który tymczasem uwięził i do niewoli zaprowadzić kazał, jako stronników Leszczyńskiego, arcybiskupa lwowskiego, Zielińskiego i Michała Wiśniowieckiego, zjeżdża do Warszawy, gdzie stronnictwo saskie wita go jak wybawiciela, lecz bez skutku wstawia się za uwięzionymi.

W r. 1710 na zjeździe walnym w Warszawie zostają znów

ratyfikowane traktaty Rzpltej z Rosją, więc traktat Krzysztofa Grzymułtowskiego z r. 1686 i traktat Tomasza Działyńskiego z r. 1704 [1]). W Polsce znów gospodarują wojska rosyjskie i poseł carski, Dołgoruki.

W r. 1711 Piotr W., podążając na wypowiedzianą mu przez Turcję wojnę, zjeżdża się z Augustem II w Jarosławiu. Trzymają oni wtedy do chrztu trzynastoletnią córkę Adama Sieniawskiego, późniejszą Augustowę Czartoryską. Wojska rosyjskie przechodzą przez Polskę, jakby przez kraj własny. Po klęsce nad Prutem, wojska te wracają znów przez Polskę. Odtąd przez lat kilkanaście Polska była od nich wolną, z wyjątkiem Litwy, która nawet później służyła jeszcze za teatr walk orężnych.

Uwolniwszy się od obaw ze strony Szwedów i Leszczyńskiego, August II dąży do uwolnienia się też od zbyt już wybujałej zależności od Rosji i do wzmocnienia swej władzy w Polsce. Dążenia te wywołują ze strony Piotra W. intrygi w Polsce przeciwko Augustowi II i jego zamysłom. Intrygi te znajdują grunt podatny w nieufności szlachty i jej ucisku ze strony wojsk saskich. Ruch szlachecki przeciwko Sasom doprowadza w r. 1715, ku wielkiemu zadowoleniu Rosji, do zawiązania konfederacji tarnogrodzkiej. Pod pozorem obrony wolności polskich, Piotr W. rozpoczyna na wielką skalę podbój Rzpltej pod protektorat rosyjski.

Przez ślepotę panów i szlachty, wszystkie próby Augusta II doprowadzenia do porozumienia bez pomocy Rosji spełzły na niczem; August II widzi się zmuszonym ugiąć się przed Piotrem. W r. 1716 następuje zjazd Augusta II z carem.

Przybyli wtedy do kwatery carskiej posłowie konfederacji tarnogrodzkiej. Uniżeni wobec obcego monarchy, lekceważyli sobie własnego króla, pokłonili mu się tylko na wyraźny rozkaz cara. Wobec takich stosunków nie było dla Piotra W. rzeczą trudną narzucić się na rozjemcę między narodem polskim a jego królem; stanęła medjacja rosyjska.

Piotr W. zapowiedział, że przeciw stronie, która decyzji jego nie spełni, wyśle swoje wojsko. Na medjatora został przez cara wyznaczony ambasador rosyjski, ks. Grzegorz Dołgoruki, pierwowzór przyszłych Repninów, Stackelbergów i Sieversów.

[1]) Vol. Leg. VI. 145—168.

Medjacja rosyjska była twardą, stało za nią liczne wojsko carskie. Między królem a narodem ułożony został traktat formalny, jak między dwiema stronami sobie obcemi. Pierwszy podpis na traktacie położył ks. Dołgoruki, dopiero po nim podpisali go pełnomocnicy króla i komisarze konfederacji.

Traktat podpisany został dn. 3 listopada 1716 r. i potwierdzony dn. 1 lutego 1717 r. przez zwołany jedynie w tym celu, bez prawa dyskusji, sejm Rzpltej. Był to pierwszy sejm «niemy» — drugim będzie ostatni sejm dawnej Polski, sejm grodzieński w r. 1793.

Od r. 1717 datuje zbliżenie się Piotra W. z królem pruskim, Fryderykiem Wilhelmem, szczególnie w sprawach, dotyczących Polski. Jak Rosja, tak też Prusy dążą do uniemożliwienia Augustowi II ukrócenia anarchji polskiej. Wobec tego August II szuka zbliżenia się z Austrją i w r. 1719 kojarzy małżeństwo syna z arcyksiężniczką Marją Józefą, oraz zawiera z Austrją traktat przymierza. Dowiedziawszy się o tem, czujny Dołgoruki podburza przeciw temu przymierzu panów i szlachtę; przez swe intrygi zrywa kolejno dwa sejmy w roku 1720 i przez to grzebie oparcie się Polski na Austrji przeciw Rosji. Polityka rosyjska zawsze miała w Polsce zwolenników, olśnionych bądź złotem i obietnicami, bądź samym ogromem wschodniego sąsiada.

Dłuższe przebywanie w Polsce Grzegorza Dołgorukiego stało się dla powagi króla rzeczą wprost niemożliwą.

August II, przy wszystkich swoich wadach, wysoko dzierżył majestat królewski i nie poniewierał swego wysokiego dostojeństwa, jak to uczyni ostatni król Rzpltej, Stanisław August Poniatowski. Aby doprowadzić do odwołania Dołgorukiego, August skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności. Dołgoruki kazał porwać w Warszawie pewnego kozaka, oskarżonego podobno o jakieś knowania przeciwko Rosji. Zwykły kozak w r. 1720 znaczył jeszcze dla Augusta II więcej, niż trzech senatorów w r. 1768 dla sponiewieranego majestatu Stanisława Augusta. Rząd polski podniósł energiczny protest, i Grzegorz Dołgoruki został odwołany. W Dreznie zastąpił go jego syn,

Sergjusz, a w Warszawie, nieco później, jego synowiec, Wasyl [1]).

W r. 1720 w Poczdamie zawarty został między Piotrem W. a królem pruskim, Fryderykiem Wilhelmem, formalny traktat, zobowiązujący Rosję i Prusy do zgodnego działania w sprawach polskich, a mianowicie do utrzymania wszystkich anarchicznych wolności polskich i sprzeciwienia się zamysłom Augusta II tak co do zmiany ustroju Polski, jak i co do ewentualnej sukcesji po nim jego syna. Umowa ta powinna być pamiętną, bo jest pierwszą w całym szeregu umów podobnych, zawieranych przez Rosję w celu zniszczenia Rzpltej.

Już niedługo przed śmiercią († 1725) wystąpił Piotr W. łącznie z Prusami przeciwko Polsce w znanej sprawie toruńskiej. Odtąd także sprawy dysydentów i dyzunitów polskich staną się wspólną bronią Rosji i Prus w walce z Rzpltą.

Jak widzimy, Piotr W., dążąc do osłabienia Polski, łączył się kolejno: z Augustem II, z rozmaitymi panami polskimi i szlachtą, wreszcie z królem pruskim. Przewodnią jego ideą stało się zupełnie uzależnienie Polski od Rosji. Idea ta otrzymała w publicystyce XIX w. nazwę «testamentu» Piotra W.; nazwę tę nadał jej jenerał Michał Sokolnicki († 1816) w memorjale, złożonym na emigracji dyrektorjatowi francuskiemu i wydobytym później z archiwum za Napoleona przed wyprawą moskiewską w r. 1812.

Idea przewodnia Piotra W. w sprawach polskich przetrwała jego panowanie; stała się podstawą polityki rosyjskiej

---

[1]) Rodzina Dołgorukich, inaczej Dołgorukowych, szczepu Ruryka (linji czernihowskiej, tak samo, jak Odojewscy, Massalscy, Barjatyńscy, Oboleńscy, Repninowie, Szczerbatowie i in.), uległa dwukrotnie okrutnym prześladowaniom: w r. 1682, w czasie buntu Strzelców w Moskwie, zostali rozstrzelani Jerzy i syn jego Michał Dołgorukowowie; w r. 1739, za panowania Anny Iwanówny, straceni zostali wspomnieni przez nas Sergjusz i Wasyl, oraz Iwan Dołgorukowowie. Za poprzednika Anny Iwanówny, Piotra II, Dołgorukowowie mieli ogromne znaczenie; Piotr II miał nawet zamiar zaślubić siostrę wspomnianego Iwana — Katarzynę. Po śmierci Piotra II Dołgorukowowie i ks. Golicyn wynieśli na tron Annę Iwanównę, lecz chcieli ograniczyć jej władzę; Anna zrazu na to ograniczenie się zgodziła, lecz później zgodę swą cofnęła, Dołgorukowowie zaś wpadli w niełaskę. Pamiętny dla Polski Grzegorz Dołgoruki umarł w r. 1727.

względem Rzpltej. Tylko samo urzeczywistnienie tej idei ulegało zmianom i wahaniom, zależnie od ludzi, którzy nawą państwową Rosji kierowali.

Na tronie rosyjskim zasiadały kobiety: nieumiejąca pisać Katarzyna I (1725—1727), otoczona Niemcami z Bironem na czele Anna Iwanówna (1730—1740), płocha, ale dobrego serca, i patrjotyczna Elżbieta Piotrówna (1741—1762), wreszcie cyniczna tak w miłości, jak w polityce, ale ambitna i mądra «wielka» Katarzyna II. W krótkich przerwach tron dostawał się dzieciom: 12-letniemu Piotrowi II (1727—1730), niemowlęciu Iwanowi VI (1740—1741), wreszcie nieodpowiedzialnemu degeneratowi, Piotrowi III (1762). Faktycznie państwem rządzili ulubieńcy, rzadziej wybitniejsi mężowie stanu; więc za Katarzyny I prostaczy ulubieniec Piotra W., Mienszykow, za Piotra II oligarchiczni Dołgorukowie, za Anny Iwanówny Niemcy — Biron, Loewenwoldowie, Ostermann i Münnich, za Iwana VI i regentki Anny Leopoldówny — Münnich i Ostermann, za Elżbiety Piotrówny — ulubieńcy Szuwałowowie i Razumowscy, ale także wybitny mąż stanu, kanclerz Bestużew-Rjumin (zastąpiony w r. 1758 przez Michała Woroncowa), za Piotra III — różni dworacy, na początku panowania Katarzyny II i pod jej kierunkiem — zdolny, a dla Polski fatalny, dyplomata Nikita Panin.

Przy takich zmianach, jeżeli polityka Rosji względem Polski nieznacznym tylko ulegała wahaniom i w istocie swej wiernie strzegła «testamentu» Piotra W., tłumaczy się to żywiołową antytezą dwóch największych państw słowiańskich — jednego o kulturze zachodniej, ale o ustroju przestarzałym i anarchicznym, drugiego o kulturze wschodniej, ale o ustroju zmodernizowanym przez potężną prawicę Piotra W. Wyższość ustroju państwowego zdecyduje o zwycięstwie Rosji nad Polską; antyteza cywilizacyjna, wyższa ponad wspólność rasową, zdecyduje o stosunkach polsko-rosyjskich.

Ciągłość polityki rosyjskiej względem Polski zaznaczyła się w sposób jaskrawy w r. 1732 w wspomnianym już traktacie Loewenwoldowym między Rosją, Austrją i Prusami, mającym na celu zachowanie anarchicznych wolności polskich i obiór na króla polskiego bądź infanta portugalskiego, Emanuela, bądź nieszkodliwego «Piasta». Jeżeli koniec końców w r. 1733, przez obawę Francji i Leszczyńskiego, elekcja Augu-

sta III nietylko nie znalazła oporu ze strony Rosji, ale przeciwnie przez nią została poparta siłą, było to wprawdzie odchyleniem się od linji wytycznej, ale sprostowanem przez zupełne uzależnienie się Augusta III od Rosji i jej polityki.

Więc w dalszym ciągu, jak za Piotra W., widzimy stałe układy z Prusami i Austrją, a zwłaszcza z pierwszemi, o zachowanie cennej anarchji polskiej, widzimy zagarnięcie Kurlandji, «worywanie się» w granice polskiej Ukrainy, przemarsze wojsk rosyjskich przez terytorjum Polski, jakby przez kraj własny, popieranie w celach politycznych dyzunitów polskich, wreszcie rosnący wpływ Rosji na stosunki wewnętrzne Rzpltej.

Stosunki między Rosją a Prusami były popsute po r. 1733, kiedy Rosji i Austrji udało się uśpić czujność Fryderyka Wilhelma przez gruby żart obiecania mu Kurlandji. Wystrychnięty na dudka, ojciec Fryderyka II zapałał chęcią zemsty, ale jeszcze bardziej — potrzebował Rosji. Z temperamentu gwałtowny, wybuchający uniesieniem nawet pod adresem swego cesarskiego suzerena, Habsburga — nieśmiały jest wobec wschodniego kolosa i dąży do wyrównania wynikłego nieporozumienia. Oczywiście Polska zapłaci koszta tej zgody, a dojdzie do niej już wkrótce, zaraz po śmierci niezdecydowanego Fryderyka Wilhelma. Jednym z pierwszych kroków Fryderyka II będzie zawarcie z Rosją w r. 1740 układu, potwierdzającego dawną umowę co do spraw polskich, a wkrótce potem w r. 1743 stanie nowy aljans obronny prusko-rosyjski, z naciskiem utrzymujący status quo w Rzpltej: nigdy Rosja i Prusy nie pozwolą na zniesienie wolnej elekcji, ani nie ścierpią za żadną cenę, aby władza króla polskiego była kiedykolwiek powiększona!...

Ale są to czasy wojen śląskich. Rosja sprzymierza się z Austrją, Anglją i Saksonją przeciwko Francji i Prusom. Rząd Elżbiety Piotrówny, chcąc dopomóc Augustowi III i wzmocnić jego siły, popuszcza cugli, i choć połowicznie i nieszczerze, jednak obiecuje nie sprzeciwiać się pewnym reformom w Polsce i aukcji w niej wojska, przeznaczonego do wspólnego działania. Z chwili tej Polska skorzystać nie umiała, a intrygi Prus i Francji dopomogły do zerwania mających decydować o tych reformach sejmów 1744, 1746 i 1748 r.

Przyszła wojna siedmioletnia. Rosja znów stanęła w obozie przeciwnym Prusom; ale i bez Prus o reformach w Polsce już nie było mowy. A z wstąpieniem na tron Katarzyny II dawne układy z Prusami co do Polski znów zostały solennie odnowione w r. 1764.

Gospodarka Rosji w Kurlandji datuje się od r. 1710, kiedy Piotr W. wydał swą synowicę Annę Iwanównę za młodego ks. Kurlandji, Fryderyka Wilhelma; książę ten umarł niebawem w r. 1711. Z książęcego rodu Kettlerów pozostawał tylko jeszcze, jako ostatni potomek, stryj zmarłego księcia Ferdynand, stale przebywający w Gdańsku; będzie on do swojej śmierci w r. 1737 tylko nominalnym księciem Kurlandji, pozostając stale w niezgodzie ze szlachtą kurlandzką, a w nielepszych stosunkach z Polską, której hołdu nie złożył. Tymczasem w Mitawie rządziły wojska rosyjskie, przybyłe, aby się opiekować pozostałą wdową. Miała ona oparte na dobrach stołowych książęcych znaczne sumy posagowe, i te służyły za pretekst do okupacji całego księstwa.

Rzplta, jak w innych sprawach, tak i w sprawie Kurlandji zachowywała się bezradnie; wybuchała tylko od czasu do czasu słomianym ogniem obrażonej godności, lub krótkotrwałej energji. Sejm 1717 r. wysadził do spraw kurlandzkich osobną komisję, «aby to księstwo od wszelkich impetycyj postronnych wolne było». Komisja ta ogłosiła usunięcie księcia Ferdynanda od rządów, dopóki hołdu nie złoży, i oddała zarząd księstwa t. zw. Radzie Kurlandzkiej, złożonej z wyższej szlachty. Właściwie rządził, kto miał siłę, a tę miały przedewszystkiem wojska rosyjskie.

W r. 1725 umarł Piotr W. Nacisk Rosji osłabł. W Kurlandji zjawił się przedsiębiorczy i waleczny ks. Maurycy Saski, marszałek Francji, syn Augusta II i Anny Königsmark. Przy cichem poparciu tak różnorodnych czynników, jak August II, hetmanowa litewska, Pociejowa (w Maurycym zakochana), sama księżna wdowa Anna Iwanówna (chwilowo zdecydowana oddać mu swą rękę), wreszcie szlachta kurlandzka, której śmiały i hulaszczy wojownik bardzo się podobał — dokonana została w Mitawie 4 lipca 1726 r. elekcja Maurycego na księcia Kurlandji. Chodziło o zgodę Rzpltej, a jeszcze bardziej Rosji.

Sejm polski, zwołany w końcu września 1726 r. do Grodna, nietyle przez wzgląd na dobro publiczne, ile przez niechęć do Augusta II, podniósł alarm, uznał elekcję Maury-

cego za nieważną i uchwalił konstytucję o zupełnej unji Kurlandji z Rzpltą po śmierci Ferdynanda (zgodnie z dawną konstytucją z 1589 r.). Wyznaczona przez sejm liczna komisja do uregulowania spraw kurlandzkich, pod prezydencją biskupa Szembeka, zjechała do Mitawy i usunęła nietylko rządy Maurycego, ale nawet wojska rosyjskie.

Rosja miała w owym czasie na tronie Katarzynę I, a później Piotra II. Rządził głównie Mienszykow, otwarty wróg Maurycego; ale Mienszykow wkrótce usunięty został przez Dołgorukich i zesłany. Rząd rosyjski rozumiał, że w żadnym razie nie powinien się godzić na połączenie Kurlandji z Polską, i z tego powodu przeciwko działaniu komisji polskiej zaprotestował, a względem Maurycego zajął stanowisko względnie przychylne.

Ale rzeczy się zmieniły z wstąpieniem w r. 1730 na tron rosyjskiej księżnej kurlandzkiej wdowy, Anny Iwanówny. Opuszczając Mitawę, nie miała o niej zapomnieć, przeznaczając Kurlandję swemu faworytowi, Ernestowi Bironowi (właściwie Büren'owi), należało tylko doczekać się śmierci księcia Ferdynanda.

Tymczasem w r. 1732 Kurlandja użytą została przez Rosję i Austrję (Loewenwolde i Sickendorf) jako przynęta u wędki, nastawionej na nieufnego «aż do łatwowierności» Fryderyka Wilhelma, króla pruskiego. Połknąwszy haczyk z przynętą, Fryderyk Wilhelm został unieruchomiony na czas bezkrólewia polskiego w r. 1733. A tymczasem August III (główny cel obaw Fryderyka Wilhelma) dobił targu z Rosją i Austrją, i zobowiązał się za poparcie swej elekcji w Polsce uznać księciem kurlandzkim po śmierci Ferdynanda kandydata rosyjskiego. Sejm pacyfikacyjny w r. 1736, pod grozą świeżej przewagi rosyjskiej, zgodził się na konstytucję, przyznającą królowi prawo nadania inwestytury książęcej po śmierci ks. Ferdynanda komu innemu z prawem następstwa. W r. 1737 ks. Ferdynand umarł, i Ernest Biron został obranym i uznanym księciem Kurlandji; hołd Rzpltej złożył, za pozwoleniem Augusta III, nie osobiście, lecz przez pełnomocnika.

Ale w 1740 r. umarła Anna Iwanówna, a nowy kierownik państwowej nawy rosyjskiej przy regentce Annie Leopoldównie, Münnich, zaczął od zesłania Birona na Syberję. Wprawdzie w rok potem niemowlęcy cesarz Iwan VI został

z tronu usunięty wraz ze swą matką regentką, ale Ernest Biron do Kurlandji nie wrócił, tylko z rozkazu cesarzowej Elżbiety Piotrówny przeniesiony został do Jarosławia. Rząd polski polecił zarząd Kurlandji t. zw. oberratom, wojsko zaś rosyjskie dalej pozostawało w księstwie «dla obrony» osieroconego kraju.

Taki stan nienormalny wywołał znów różne projekty i kandydatury. Znów zgłasza się Maurycy Saski, kandydują ks. hesko-homburski, ks. Zerbst (ojciec Katarzyny II), królewicz polski, Ksawery i in.

W r. 1758 wyłania się kandydatura królewicza polskiego, Karola. W czasie jego bytności w Petersburgu, w asystencji takiej złotej młodzieży, jak piękny Franciszek Rzewuski, i dziarski, a na wszystko gotów Ksawery Branicki, Karolem zainteresowała się Elżbieta Piotrówna, wzruszona jego opowiadaniem o niedoli Saksonji i roztargniona wobec pięknego Rzewuskiego. Łaska carowej stworzyła podstawę do inwestytury królewicza, którą mu przyznał ojciec August III na radzie senatu po zerwanym sejmie 1758 r.

Na nieszczęście łaska carowej nie szła w parze z życzliwością «młodego dworu». Następca tronu, przyszły Piotr III, prusofil od stóp do głowy, znienawidził w nim Sasa. Katarzynę zaś raził brak wykształcenia królewicza, szczególnie w porównaniu z świetnym polorem młodego Stanisława Poniatowskiego; miała na myśli innego kandydata, a głośno dowodziła, że «jeżeli być niesprawiedliwym, to już chyba dla własnej wygody».

Zgodnie z tą dewizą, po wstąpieniu na tron zwróciła księstwo w r. 1763 Bironowi, a w r. 1795 przyłączy je do Rosji.

Wszelkie reklamacje Augusta III na korzyść syna, cieszącego się w Polsce popularnością i przez swe małżeństwo spokrewnionego z częścią magnaterji polskiej, pozostały wobec Katarzyny II bez skutku — Kurlandja stała się już od r. 1763 faktycznie prowincją rosyjską.

Równolegle z posuwaniem się do Polski na północy przez Kurlandję, Rosja «worywała się» na południu do Ukrainy polskiej. W r. 1743 wyznaczyli miernicy rosyjscy znaczny obszar na Ukrainie polskiej dla założenia miasta, które miało się nazywać «Archangełogorod» — pomimo wszystkich protestów polskich, Rosja nietylko zajęty pas ziemi zatrzy-

mała, ale stopniowo, pod pretekstem prostowań granicy, zajmowała coraz to nowe przestrzenie. August III, w zupełności uzależniony od dobrych chęci dworu rosyjskiego, albo milczał, albo poprzestawał na nieśmiałych protestacjach, a panowie polscy o tyle tylko tem się interesowali, o ile te coraz nowe zabory osobiście ich dotykały.

Tak samo bezsilnie reagował rząd i społeczeństwo polskie na częste przemarsze wojsk rosyjskich przez ziemie Rzpltej. Przemarsze te zaczęły się za Piotra W. w czasie wojny Północnej, powtórzyły się za niefortunnej konfederacji tarnogrodzkiej, na wielką skalę trwały w czasie bezkrólewia po śmierci Augusta II, dały się we znaki Ukrainie w czasie wojny turecko-rosyjskiej w latach 1736—1739, odbywały się w warunkach względnie spokojnych w r. 1748, gdy Rosja przyjęła udział w walkach o sukcesję austrjacką, wreszcie zgnębiły ostatecznie Polskę w czasie wojny siedmioletniej 1756—1763. «Lata tresury — mówi Konopczyński [1]) — zrobiły swoje: po oburzeniu nastała bezgraniczna depresja, po krzyku — przygłuszony «skwierk». Męciński jęczał: «I biją i płakać nie dają», Miaskowski: «Rozumy tępieją, co się z nami dzieje», Zbijewski: «Toniemy bez ratunku...». Ministerjum Rzeczypospolitej milczało. Niewinny przemarsz zaprzyjaźnionej armji dosięgał szczytu niewinności. Na całym obszarze zmartwiałej Wielkopolski, jak okiem sięgnął, srożyła się nędza i głód».

Niejednokrotne skargi Rzpltej Rosja stale zbywała lekceważeniem, jak na to słabość Polski w zupełności zasługiwała. Owszem, zamiast się tłumaczyć, Rosja często wyrażała zdziwienie, że słyszy podobne skargi od państwa zaprzyjaźnionego, bądź sama się uskarżała, że straty Polaków są nie w porównaniu mniejsze od pretensyj, które mogłaby Rosja rościć do Rzpltej za zatrzymywanie w Polsce zbiegów rosyjskich, t. j. chłopów, którzy, wobec strasznego ucisku, uciekali do sąsiednich z Rosją województw i chętnie tam osiadali. Ilość tych zbiegów rząd rosyjski określał na setki tysięcy.

Wyliczyliśmy główne przejawy polityki rosyjskiej w Polsce, a więc stale powtarzające się umowy z Prusami względem zachowania anarchicznego ustroju Rzpltej, faktyczne

[1]) W. Konopczyński: «Polska w dobie wojny siedmioletniej». T. II, str. 248.

opanowanie Kurlandji, «worywanie się» w granice Ukrainy, wreszcie częste przemarsze wojsk rosyjskich przez prowincje polskie. Wszystko to potęgowało przewagę Rosji w Rzpltej i miało na celu ujarzmienie jej przez wschodniego sąsiada. Ale nie na tem koniec. Gorzej było, że prócz tych objawów przemocy zewnętrznej, wpływy rosyjskie potrafiły dotrzeć do samych wewnętrznych stosunków polskich, i w tych stosunkach czerpały środki do zupełnego podkopania niezależności Rzpltej.

Wspomnieć tu musimy przedewszystkiem o stosunku Rosji do dyzunitów polskich i o jej stałej ingerencji do różnych przejawów życia wewnętrznego w Polsce, tak charakteru publicznego, jak nawet prywatnego.

Pretensje do opiekowania się dyzunitami polskimi Rosja uzasadniała traktatem Grzymułtowskiego z r. 1686 i ich przynależnością do metropolji kijowskiej. Piotr W., choć na rzeczy religijne był wogóle obojętny, jednak w czasie swych pobytów w Polsce okazywał niejednokrotnie jawną nienawiść do unitów (np. w Połocku) [1]) i opiekę dla «błahoczestia». Już wtedy opieka dyzunji była przeważnie sprawą polityczną, sprawą wpływów Rosji w Polsce. Z Rosji — z Moskwy, z Kijowa, z Ukrainy rosyjskiej — wkracza w granice Rzpltej, pod płaszczykiem religijnym, propaganda nienawiści do «Lachów» i znajduje dla siebie posłuch szczególnie nad Dnieprem w Smilańszczyźnie i w Czehryńszczyźnie, gdzie wśród ciemnych lasów kryją się monastery: Motroneński, Moszneński, Korsuński i Żabotyński. Po przyjęciu unji przez diecezję przemyską w r. 1692, lwowską w r. 1700 i łucką w r. 1702, ludność dyzunicka w Rzpltej za czasów saskich wynosiła zapewne mniej niż pół miljona głów, rozproszonych grupami głównie na Ukrainie i na Białej Rusi. W r. 1704 zabrakło w Rzpltej władzy, któraby mogła wyświęcać popów dyzunickich, i święcenia zaczęły iść z Rosji.

Niepojęte to niedbalstwo polskie pomaga polityce rosyjskiej coraz bardziej do wkraczania do stosunków wewnętrznych Rzpltej i do zjednywania sobie w niej półmiljonowego odłamu ludności, coraz bardziej poczuwającego się do zależności od opiekuńczej Moskwy.

[1]) Likowski: «Historja unji».

Pomimo nietolerancji, która zapanowała w Polsce już w w. XVII, i różnych ograniczeń dla różnowierców, położenie ich, a zwłaszcza dyzunitów, dalekiem było od ucisku religijnego; ograniczało się głównie do pozbawienia pewnych praw politycznych, a mianowicie piastowania urzędów; sama wolność religijna nie była krępowana. Mieli większe prawa, niż katolicy angielscy do r. 1829, lub Polacy katolicy na Litwie i Rusi prawie przez cały wiek XIX. Pomimo to napływały ciągłe skargi Rosji na ucisk dyzunitów; i już w r. 1730 zawarta została tajna umowa Rosji z Prusami o podtrzymywaniu, równolegle z anarchją, także różnowierstwa w Rzpltej.

W 1743 r. Elżbieta Piotrówna (ta była rzeczywiście przywiązana do swej wiary) ponowiła skargi na ucisk dyzunitów i od ustępstw w tej sprawie uczyniła zależną swą pomoc w walce Augusta III z Prusami. Rząd polski wyznaczył komisję w Drohiczynie dla rozpatrzenia nadużyć! Nikt jednak skarg nie wnosił, i komisja została rozwiązana.

Jednocześnie, na żądanie Rosji, rząd polski zamianował biskupem dyzunickim dla całej Białej Rusi Hieronima Wołczańskiego (brat jego, Józef Wołczański, został biskupem moskiewskim), przyczem biskup dyzunicki otrzymał od Rzpltej olbrzymie dobra w województwie mścisławskiem i dwa piękne pałace w Mścisławiu i Mohylowie.

Po śmierci Hieronima Wołczańskiego w r. 1754, następcą jego został głośny później wróg Polski, Jerzy Koniski. Rządy w swej diecezji rozpoczął od zalecenia podwładnemu duchowieństwu, aby za najwyższą swą władzę uznawało synod petersburski, przyczem rozesłał rosyjskie katechizmy i elementarze.

Ale nietylko Wołczańscy i Koniscy oddawali się pod przemożną opiekę rosyjską. Opieki tej zaczęli szukać i wielcy panowie polscy, a na krótko, w r. 1716, nawet cała szlachta, złączona w konfederacji tarnogrodzkiej.

Już w drugiej połowie XVII w. magnaterja polska zaczęła korespondować bezpośrednio z rządami zagranicznemi, a, rywalizując między sobą, szukała w widokach osobistych protekcji dworów obcych. W w. XVIII zjawisko to staje się powszechnem; magnaterja zaczyna się dzielić na stronnictwa, stosownie do zależności od państw zagranicznych. Otóż w rzędzie tych protekcyj zagranicznych, protekcja rosyjska, nie-

znaczna jeszcze w w. XVII, góruje już w połowie w. XVIII nad wszystkiemi innemi.

Już w r. 1706 stronnicy Augusta II, hetman Adam Sieniawski, prymas Stanisław Szembek, Stanisław Denhoff, Grzegorz Ogiński i in., stają się właściwie stronnikami Piotra W. Nawet królewicz Jakób Sobieski zwraca się do cara Piotra, który czas jakiś myśli szachować tak Leszczyńskiego, jak Augusta II jego kandydaturą. Gorącym stronnikiem Piotra W. jest także Ludwik Pociej, który, dzięki protekcji cara, zostaje hetmanem w. lit. Po zwycięstwie połtawskiem cała magnaterja, z małemi wyjątkami, ciśnie się przed oblicze i do łaski cara Piotra. Poseł carski, Grzegorz Dołgoruki, jest arbitrem magnatów, zanim zostanie oficjalnym medjatorem między królem a narodem w r. 1716. Hetman w. kor., Adam Sieniawski, dobija się w r. 1711 zaszczytu, by trzynastoletnia jego córka, Zofja (późniejsza Augustowa Czartoryska), trzymaną była do chrztu z ceremonji przez Piotra W. Za Katarzyny I Jan Sapieha, starosta bobrujski, były hetman w. lit., z ramienia Leszczyńskiego jedzie do Petersburga swatać swego syna, Piotra, z córką Mienszykowa; ojciec otrzymuje godność feldmarszałka rosyjskiego i wstęgę św. Andrzeja, a syn, Piotr, zamiast ręki Mienszykówny (przeznaczonej dla przyszłego cara Piotra II), otrzymuje rękę Zofji Skowrońskiej, siostrzenicy Katarzyny I.

W czasie bezkrólewia po Auguście II Rosja staje się faktycznie panią Rzpltej. Magnaterja polska zmuszona jest uznać narzuconego jej przez Rosję Augusta III. Kto chciał uniknąć zemsty lub niechęci dworu saskiego, musiał szukać protekcji Rosji. Rosyjskiej protekcji zawdzięczali Czartoryscy powrót do łask dworu. Odtąd stają się partją jednocześnie dworską i rosyjską, ale ta ostatnia cecha przeważa, bo już od r. 1752 przestają być stronnictwem dworskiem, ale tem silniej stają się stronnictwem rosyjskiem; wreszcie budują przyszłość Polski na pomocy Rosji i przygotowują smutne wypadki końca XVIII wieku.

Żaden sejm nie dochodził, żadna reforma nie mogła być urzeczywistniona bez zgody Rosji. Wszelkie spory między dworem królewskim a magnaterją decydują się przedewszystkiem w Petersburgu, jak później decydować się będą u ambasadora rosyjskiego w Warszawie. Łaski królewskie, obsadza-

nie najważniejszych urzędów w Rzpltej, podział ordynacji ostrogskiej, sprawy trybunalskie — wszystko to staje się przedmiotem rozważań i decyzji gabinetu petersburskiego.

Jeżeli błędy anarchji polskiej przeistaczały się w wieku XVIII w cudze dobro, to przedewszystkiem należy to powiedzieć o Rosji. Do roju pszczół zakradł się niedźwiedź północny, a lis pruski jeszcze kornie patrzał mu w oczy i, połykając ślinkę, czekał na swą kolej.

Za czasów saskich na postawę Prus wobec Polski wpływały głównie trzy czynniki: dawniejsze dążenie dworu brandenburskiego do korzystania ze słabości Polski dla zdobyczy terytorjalnych, rywalizacja z domem saskim i początek rywalizacji z Austrją.

Jeżeli Brandenburgja powstała i urosła w wiekach średnich drogą podboju plemion słowiańskich, Wendów, Sorabów, Lutyków, Wilków, Hawelanów i in., to Prusy powstały i urosły przez krótkowidztwo i słabość Polski.

Zygmunt I, przez zgodzenie się na sekularyzację Prus krzyżackich i oddanie ich swemu siostrzeńcowi, Albrechtowi Brandenburskiemu, położył fundament przyszłego połączenia Prus Książęcych z Brandenburgją. Wprawdzie Polska miała zupełną możność lenno pruskie przyłączyć do siebie po wygaśnięciu w r. 1618 potomstwa pierwszego księcia Albrechta — ale, jak wiemy, nie uczyniła tego. Owszem, już w r. 1657 Polska zgodziła się na zwolnienie elektora brandenburskiego od stosunku lenniczego, a w r. 1701 syn «wielkiego elektora», Fryderyk, ogłosił się królem «w Prusiech» (in Preussen). Tytuł ten Rzplta uznała dopiero w r. 1764, a do tego czasu, właśnie z powodu tytulatury, stosunki dyplomatyczne Polski z Prusami stały się wysoce utrudnionemi, z czego Prusy umiały doskonale skorzystać ku wielkiej naszej szkodzie.

Kilka słów o sprawie tytulatur — tytulatury Prus, jako królestwa, i tytulatury Rosji, jako cesarstwa (to ostatnie również uznane zostało przez Polskę dopiero w r. 1764, co również utrudniało normalne stosunki dyplomatyczne polsko-rosyjskie).

Polska protestowała nie przeciwko królewskości Hohenzollernów, lecz przeciwko określeniu tej królewskości, jako «pruskiej», gdyż połowa Prus należała przecież do Polski. Również nie chodziło o cesarskość carów moskiewskich, ale o tytuł «Wszech-Rusi» lub «Wszech-Rosji» (totius Russiae), w czasie, gdy ogromne przestrzenie ruskie wchodziły w skład Rzpltej. Ale choć protesty te nie były bezzasadne, należało je Polsce w ten lub inny sposób załatwić, tak, jak zostały załatwione w r. 1764 (przez uroczyste deklaracje Rosji i Prus, że tytuły te w niczem nie dotyczą ziem tejże nazwy, będących w posiadaniu Rzpltej). Zamiast tego, wolała anarchiczna Polska sprawy te zostawiać w zawieszeniu i przez to zamknąć sobie drogę do wszelkich not i reklamacyj urzędowych.

Bądź jak bądź, nietyle z powodu tytułu, ile ze względów terytorjalnych, nowe królestwo pruskie wciąż marzy o zdobyciu Prus Królewskich, dzielących posiadłości domu brandenburskiego na dwie części. Marzenie to Prus nie może im przynosić ujmy — natomiast tylko zupełnym zanikiem idei państwowej i zmysłu politycznego wytłumaczyć można fakt, że Polska nie myślała o przyłączeniu do siebie Prus Książęcych. A o przyłączenie to można było kusić się niejednokrotnie, np. w czasie wojen o sukcesję austrjacką, lub w czasie wojny siedmioletniej. Projekta takie, oddania Polsce Prus Książęcych wzamian za ustąpienie Rosji części Białej Rusi, rzeczywiście powstawały, ale nie u Polaków.

Skoro więc Polacy o połączeniu swojej prowincji pruskiej, t. j. Prus Królewskich z Prusami Książęcemi nie myśleli, nic dziwnego, że tem bardziej myśl ta stała się jednym z głównych celów polityki domu brandenburskiego w wieku XVIII. Jednym z celów głównych, ale nie najpilniejszym. Cel ten może poczekać, owoc sam przez się, w razie podtrzymywania anarchji polskiej, dojrzeje. Narazie mają Prusy cele bliższe, naglejsze. Chodzi o upokorzenie Saksonji, o podkopanie potęgi Austrji.

Hohenzollernowie stali się margrabiami brandenburskimi dopiero w r. 1415. Przedtem marchja ta, jak Saksonja, była w posiadaniu książąt pochodzenia saskiego, z domu askańskiego, spokrewnionego z Wettynami. Ci ostatni byli margrabiami Miśnji, Turyngji i Łużyc, a od r. 1423 elektorami saskimi. Starożytnością rodu i potęgą o wiele przewyższali

Hohenzollernów. Od w. XVI elektorowe sascy stanęli na czele ciała ewangelickiego w Niemczech (corpus evangelicorum) i byli wikarjuszami rzeszy niemieckiej. Jednak już w drugiej połowie w. XVII szale chwiać się zaczęły. Było to dziełem «wielkiego elektora», Fryderyka Wilhelma.

Niespodzianie w r. 1697 młody elektor saski, Fryderyk August, został królem polskim. Choć korona polska była elekcyjną, jednak w ten lub inny sposób, prawnie czy faktycznie, mogła się stać u Wettynów dziedziczną. Musiało to wywołać odruch ze strony Hohenzollernów — i dlatego już w roku 1701 elektor brandenburski, Fryderyk, ogłosił się królem pruskim.

Dla tronu polskiego Wettynowie przeszli na katolicyzm. Choć przez to nie zrzekli się przodownictwa w corpus evangelicorum, gdyż Saksonja pozostała krajem protestanckim, faktycznie jednak musieli stracić przedownictwo Niemiec ewangelickich, i przodownictwo to obejmują królowie pruscy, awansując przez to w hierarchji książąt niemieckich.

Zadaniem Hohenzollernów staje się, gdzie tylko można, poniżyć Wettynów, a w pierwszym rzędzie nie dopuścić do ich wzmocnienia się w Polsce. Każda więc próba Augusta II i Augusta III zaprowadzenia reform w Rzpltej zwalczana jest przez Prusy, nietylko jako zamach na tak błogosławioną anarchję w Polsce, ale też jako groźba wzmocnienia się sił wettyńskich.

Ale Prusom staje na zawadzie nietylko mała Saksonja. Już w w. XVIII zaczynają rywalizować z potęgą daleko większą — z Austrją. Walka z starym, potężnym domem Habsburgów wymagała przygotowań. Misję tę spełnił ojciec Fryderyka II, surowy, nieokrzesany, chciwy, a wciąż lękający się czynu, Fryderyk Wilhelm. W chwili więc jego zgonu młody Fryderyk odziedziczył wprawdzie jeszcze małe, ale już znakomicie zagospodarowane państwo, skarb pełen talarów, wyćwiczone wojsko prawie ośmdziesiąttysięczne. Z temi zasobami można było zadrzeć z cesarstwem.

A właśnie nadeszła chwila wprost wymarzona. W 1740 r. umarł ostatni Habsburg, Karol VI, większą część swego życia straciwszy na zapewnienie bogatego dziedzictwa swojej córce. Wprawdzie zapewnienie to uzyskał drogą najuroczystszych traktatów z całą Europą, ale zaniedbał traktaty te zabezpieczyć pogotowiem wojennem. Europa liczyła się jeszcze z traktatami, i Marja Teresa mogła się spodziewać spokojnego objęcia spadku po ojcu. Stanęły jednak temu na przeszkodzie Prusy, które zagrabieniem Śląska, zapoczątkowały wojny o sukcesję austrjacką.

Dlaczego zagrabiły właśnie Śląsk? Czy Prusy miały doń jakiekolwiek prawa? Wcale nie. Tylko Śląsk był najbliższy i wrzynał się klinem między Saksonję a Polskę. Ten ostatni wzgląd napewno nie był zapoznawany przez takiego gracza, jakim był Fryderyk II, w jego walce przeciwko usadowieniu się domu saskiego w Rzpltej. Nawet wciągnąwszy na krótko Augusta III do walki przeciw Austrji, Fryderyk II nie obiecywał mu Śląska, tylko dalekie Morawy.

Wyszedłszy z wojen o sukcesję austrjacką szczęśliwym posiadaczem Śląska, Fryderyk II stał się przedmiotem nienawiści Austrji. Tak Kaunitz jak też Marja Teresa są jego nieubłaganymi wrogami i mobilizują przeciwko niemu całą Europę. Fryderyk II odpłaca się im równą nienawiścią. Walka rozpoczyna się nanowo w r. 1756.

Fryderyk II, sprzymierzywszy się z Anglją, która zresztą słabo go podtrzymywała, przez lat siedem stawia czoło zjednoczonym siłom takich potęg, jak Austrja, Francja i Rosja, nie licząc Saksonji, złupionej tym razem przez Fryderyka II bez żadnego miłosierdzia.

W r. 1761 zdawało się, że koniec Prus już nieodwołalnie nastąpi. Fryderyk II sposępniał i posiwiał, ale się nie ugiął i doczekał się cudu — w r. 1762 umiera Elżbieta Piotrówna, nowy car Piotr III przechodzi na jego stronę, a choć wkrótce ginie, Katarzyna II wycofuje się z walki. W r. 1763 zawarty został pokój w Hubertusburgu, i Fryderyk II utrzymał się przy wszystkich swych posiadłościach. Odwet Austrji został ostatecznie udaremniony.

Wszystkie te ogólne czynniki polityki pruskiej (dążność do opanowania Prus Królewskich, rywalizacja z Saksonją i walka z Austrją), nadawały kierunek także ściślejszej polityce Prus względem Polski. Narazie chodziło o utrzymanie w całej pełni anarchji polskiej. Na tym punkcie spotkały się Prusy z Rosją; i tu jest węzeł tak długiej przyjaźni prusko-rosyjskiej; z małemi przerwami przetrwała ona lat dwieście.

Cele jednakie stwarzały metody podobne. To też wszystko, co mówiliśmy o polityce Rosji względem Rzpltej, da się zastosować również do polityki względem niej Prus. Oczywiście z zachowaniem proporcji. Małe Prusy nie mogły się jeszcze mierzyć z potężną monarchją północną, i wpływy pruskie w Polsce były jeszcze zaledwie cieniem wszechwładnych wpływów rosyjskich.

Przypatrzmy się w szczegółach temu podobieństwu polityki pruskiej względem Polski do omówionej poprzednio takiejże polityki rosyjskiej.

Mówiąc o Rosji, wspominaliśmy o jej umowach z Prusami w sprawie utrzymywania anarchji polskiej. Umowy te, ponawiane w latach 1720, 1740, 1743, wreszcie w r. 1764 — wszystkie odzwierciadlają zarówno tak politykę rosyjską, jak pruską.

Jeżeli Rosja zagarnęła Rzpltej Kurlandję i worywała się w granice polskiej Ukrainy, zupełnie podobnie, tylko na mniejszą skalę, Prusy zagarnęły Polsce starostwo drahimskie i Elbląg. O zagarnięciu starostwa drahimskiego mówiliśmy już w innem miejscu. Co do Elbląga, to ten, podobnie jak Drahim, oddany został w zastaw elektorowi brandenburskiemu w r. 1657 traktatem bydgoskim; gdy suma zastawowa, wynosząca 400.000 tal., nie została przez Rzpltę zapłaconą, elektor brandenburski, Fryderyk III (późniejszy król pruski, Fryderyk I), samowolnie w r. 1698 zajechał Elblążczyznę i już jej nie oddał. Wprawdzie w obu wypadkach Prusy mogły się powoływać na słuszność formalną — nieuiszczenie przez Rzpltę należności — ale w rzeczywistości tak w jednym, jak w drugim wypadku same pobrane dochody, tak ze starostwa drahimskiego, jak też i Elbląga, należności te z lichwą dawno pokryły. Nie mówiąc już o tem, że należności te wyniknęły z porachunków w czasie wojny szwedzkiej, podczas której, jak wiadomo, elektor brandenburski Polskę zdradził, a później za porzucenie Szwedów kazał sobie zapłacić.

Mówiliśmy o częstych przemarszach wojsk rosyjskich przez terytorjum Rzpltej — to samo czyniły Prusy w czasie wojny siedmioletniej, przyczem zagarniały nietylko furaże, ale też ludzi do wojska.

Rosja ze względów politycznych stała się opiekunką dyzunitów polskich — na takiego samego opiekuna dysydentów narzucił się król pruski. Jakeśmy mówili, już w r. 1730 między Rosją i Prusami stanął układ o wspólnem opiekowaniu się dyzunitami i dysydentami w Polsce.

Rosja wtrącała się do wszystkich stosunków wewnętrznych Rzpltej — to samo starały się czynić także Prusy. Miały zawsze swoich stronników, głównie z obozu «republikantów» polskich; takim był np. Antoni Potocki, Jan Kajetan i Stanisław Wincenty Jabłonowscy, Piotr Sapieha, Mikołaj i Udalryk Radziwiłłowie. Przez tych stronników można było wichrzyć w Rzpltej, przeciwdziałać zamiarom dworu polskiego, zrywać sejmy i t. p.

Powtarzamy, stosunek Prus do Polski nie różnił się od takiegoż stosunku Rosji, tylko skala była skromniejsza. Tylko pod jednym względem Fryderyk II prześcignął Rosję: na wielką skalę fałszował pieniądze polskie.

Osobistość Fryderyka II, genjusza w dziedzinie szalbierstw politycznych, ale także na polu strategji i administracji państwowej, jest ze wszechmiar ciekawą pod względem psychologicznym. Niezawodnie urodził z się właściwościami, któremi się później odznaczył, ale chyba nie da się zaprzeczyć, że takie środowisko, w jakiem go wychował prostaczy a przewrotny ojciec, nie mogło nie wpłynąć na ostateczny zanik jego uczuć moralnych i cynizm krańcowy.

Pisząc swego «Antimachjawela», arcymachjawel XVIII wieku zapewne jeszcze nietyle drwił z przyszłego czytelnika, ile sam starał się siebie przekonywać o rzeczach, o których już zwątpił; pisał obronę cnoty i, nieznalazłszy dość argumentów na jej uzasadnienie, pogrążył się w jeszcze skrajniejszy nihilizm moralny. Zupełnie podobnie, jak człowiek, już wątpiący o dogmatach wiary, gdy szuka jej uzasadnienia nie w tajnikach duszy własnej, ale w racjonalizmie nauki, często pogrąża się w gorszą jeszcze niewiarę.

Nietylko jednak przez własne czyny oddziałał Fryderyk II na dzieje w. XVIII; gorzej, że stał się wzorem dla mężów stanu całej Europy. Ziarna skrajnego cynizmu politycznego, opromienionego sukcesami genjalnego siewcy, zeszły bujnie w kancelarjach ministerjalnych i dyplomatycznych i zachwaściły sumienia ludów. «Testament» Fryderyka II,

sprzęgłszy się z podobnym «testamentem» Piotra W., dokona za jego następcy ostatniej zagłady Rzpltej polskiej.

Gdy w ten sposób trzy późniejsze państwa rozbiorowe zdobyły sobie w Polsce, za apatyczną zgodą Francji, przewagę zupełną i los Polski zależał już jedynie od chwili, w której te mocarstwa porozumieją się o podział gotowego łupu — dawne antagonistki Polski, Turcja i Szwecja, same pokonane, stopniowo przeistaczają się w przyjaciółki Polski, a daleka Anglja, zawsze zajęta jedynie pogonią za zyskiem i walką na śmierć i życie z tem lub innem państwem morskiem, pierwsza wystąpi z projektem zagarnięcia przez Fryderyka II Prus Królewskich.

Turcja i Szwecja zawsze stanowiły straż Francji na Wschodzie. Gdy więc po klęsce pod Połtawą Karol XII i stronnicy polscy Leszczyńskiego szukali schronienia w Turcji, zostali przyjęci najgościnniej, i niebawem Turcja wydała wojnę Rosji. W r. 1711 Piotr W. dostał się nad Prutem w pułapkę i tylko dzięki przekupstwu uzyskał względnie łagodne warunki pokoju. Karol XII, Leszczyński i jego stronnicy polscy opuścili Turcję dopiero w r. 1714; wrócili wtedy z Turcji do kraju: Józef i Michał Potoccy, Jan Tarło, Michał Wiśniowiecki, Jan Sapieha i in.

Ale nawiązane przez malkontentów polskich stosunki z Turcją nie przerywają się. Gdy za Augusta III malkontenci (t. zw. republikanci) wciąż przemyśliwali o konfederacji dla obrony Rzpltej od przewagi Rosji, zawsze największe nadzieje pokładali w Turcji i jej pomocy, przy współudziale Szwecji, czasem Francji i Prus. Tymczasem Turcja wytrzymać musiała dwie wojny: jedną z Austrją i Wenecją (1714—1718), zakończoną ciężkim pokojem w Passorowicach [1]), drugą z Austrją i Rosją (1738—1739), zakończoną cokolwiek lepszym pokojem w Białogrodzie. Choć «republikanci» polscy wciąż narzucali się Porcie z swym projektem konfederacji, Turcja już coraz mniej liczyła na Polskę, i gdy w r. 1743 «republi-

[1]) Właściwie Pożarewac — w Serbji, niedaleko Białogrodu.

kanci» znów się zgłosili, wielki wezyr mógł im ze słusznością powiedzieć: «Czyż możemy liczyć na naród, gdzie dla dopięcia czegokolwiek trzeba wprzód trzydzieści tysięcy głów nakryć jedną czapką?»

A jednak Turcja nie przestawała opiekować się Polską i, jak mogła, broniła jej nietykalności przed samowolą wojsk rosyjskich. Rosja wiedziała, że wszelki zamach na Polskę oznacza nieuniknioną wojnę turecką. Odkąd Europie już nie Turcja, ale Rosja grozić zaczęła, interesa Turcji i Polski cocoraz bardziej się zacieśniają, i Turcja pragnie w Polsce znaleźć wał ochronny przeciwko zalewowi Północy.

Ostatnim samodzielnym krokiem «republikantów» polskich pod adresem Turcji było poselstwo pułkownika Karola Malczewskiego, wysłanego w r. 1755 przez hetmana J. K. Branickiego do wielkiego wezyra, niby z powinszowaniem wstąpienia na tron nowego sułtana, Osmana III, właściwie jednak z tajną misją wytłumaczenia Turkom, jak dalece rządy rosyjskie w Polsce tudzież kolonizacja Nowej Serbji zagrażają ich własnemu bezpieczeństwu. Jak wiadomo, hetmanom w. kor. przysługiwało prawo samodzielnego komunikowania się z Portą. Misja ta, słabo podtrzymywana tak przez malkontentów polskich, jak też przez Francję, a zwalczana przez rząd Augusta III, żadnego skutku nie odniosła, dowiodła tylko raz jeszcze przed Turcją, jak daleko posunęła się już naprzód zupełna dezorganizacja Rzpltej. Pomimo to, Turcja nie zniechęciła się jeszcze do Polski w tym stopniu, co Francja, i wciąż, choć w drodze dyplomatycznej, pilnowała, w miarę możności, nietykalności Rzpltej.

Jeszcze mniej pomocy udzielić mogła Polsce druga sojuszniczka Francji na Wschodzie — Szwecja. Awantura Karola XII skończyła się z jego śmiercią; Szwecja wyszła z niej rozbita i osłabiona. Stany szwedzkie podniosły głowę i wymogły na następczyni Karola XII, jego siostrze, Ulryce Eleonorze, oświadczenie, że tron stanie się elekcyjnym; a gdy wkrótce potem w r. 1720 Ulryka Eleonora za zgodą stanów zrzekła się tronu na rzecz swego męża, Fryderyka, księcia Hessen-kasselskiego, ten również potwierdził zasadę elekcyjną i zobowiązał się rządzić wspólnie z Radą Państwa (Rigsrad).

Szwecja zmuszona była w r. 1720 ustąpić Prusom część Pomorza i Szczecin, a w r. 1721 Rosji pokojem nysztandzkim — Inflanty, Estonję i Ingermanlandję.

Stosunki wewnętrzne stawały się coraz bardziej opłakane. Podobnie jak w Polsce, również w Szwecji wpływy zagraniczne otrzymały taką przewagę, że utworzyły się stronnictwa rosyjskie, francuskie i angielskie. W r. 1741 wybuchła nowa wojna z Rosją, zakończona w r. 1743 ciężkim pokojem w Abo, mocą którego Szwecja zmuszoną była odstąpić Rosji część Finlandji i przyznać następstwo tronu kandydatowi i krewnemu cesarzowej rosyjskiej, księciu holsztyńskiemu, Adolfowi Fryderykowi. Został on królem w r. 1751. Za jego panowania Szwecja staje się areną walki głównie dwóch stronnictw: francuskiego (Kapeluszy) i rosyjskiego (Czapek); przekupstwo staje się powszechnem, a władza królewska spada coraz niżej. W takich warunkach wszystkie nadzieje opozycji polskiej na pomoc Szwecji przeciwko przewadze Rosji w Polsce nie miały za sobą żadnej podstawy realnej.

Najmniej mogła liczyć Polska na pomoc dalekiej i obojętnej na jej losy Anglji. Jak wiadomo, polityka angielska od wieku XVI zasadza się na walce, na śmierć i życie, z tem państwem na kontynencie Europy, które w danej chwili najwięcej zagraża jej potędze morskiej i kolonjalnej. Takiem państwem była w XVI w. Hiszpanja, w w. XVII Holandja, w w. XVIII Francja, w w. XIX Rosja, ostatnio Niemcy. W dobie więc upadku Rzpltej polskiej cała polityka angielska skierowana była ku obezwładnieniu Francji, i w tym celu wchodziła w sojusze kolejno ze wszystkiemi mocarstwami europejskiemi. W czasie wojny o sukcesję austrjacką, Anglja walczyła przeciwko Francji i Prusom w przymierzu z Austrją, w wojnie zaś siedmioletniej przeciwko Francji i Austrji w przymierzu z Prusami. Polska także była dla Anglji, od wypadku do wypadku, raz przedmiotem godnym poparcia, drugi raz przedmiotem frymarku, bądź grabieży. Nawet w czasie sojuszu Anglji z Austrją przeciwko Francji i Prusom, ponieważ Anglji chodziło o zgnębienie nie Prus, ale Francji, polityka angielska robi dziwne skoki: w r. 1744 widzimy, jak gwinee angielskie starają się dopomóc Augustowi III w jego staraniach o dojście sejmu polskiego i aukcję wojska przeciwko Fryderykowi II, a zaledwie dwa lata przedtem, w r. 1742, minister angielski, Carteret (późniejszy lord Granville), proponował Fryderykowi II zagarnięcie Polsce Prus Królewskich wzamian za oddanie Austrji Śląska, pod warunkiem przejścia na jej stronę i rzucenia się na Francję. Propozycja ta nie została przez Fryderyka II przyjętą — wolał on zatrzymać Śląsk, a na Prusy Królewskie poczekać.

XIV. CZARTORYSCY I PONIATOWSCY

Rodziny Czartoryskich i Poniatowskich sprzęgły się z sobą dopiero w w. XVIII, ale sprzęgły się tak ściśle, że mówiąc o jednych, niepodobna nie mówić o drugich. Dlatego, chcąc się z niemi zapoznać, najlepiej zapoznać się jednocześnie.

Czartoryscy wywodzą się od Bazylego księcia na Czartorysku, przyrodniego brata Władysława Jagiełły. Choć wywód ten wzbudza pewne wątpliwości, faktem jest, że Czartoryscy zawsze uchodzili i uważani byli za książąt krwi Gedymina.

Syn Konstantego, Michał Czartoryski, dostał od księcia Świdrygiełły dobra Klewań i Żuków na Wołyniu. Wnuk tego Michała, Aleksander, został w r. 1565 pierwszym wojewodą wołyńskim i wiele się przyczynił do dojścia do skutku unji lubelskiej.

Czartoryscy byli do końca w. XVI wyznania wschodniego; później stali się gorliwymi katolikami.

Mikołaj Jerzy Czartoryski, od r. 1657 wojewoda wołyński, żonaty z Izabellą Korecką, miał trzech synów: Florjana Kazimierza biskupa († 1674 prymasem), Michała, wojewodę sandomierskiego, protoplastę linji na Klewaniu i Żukowie, i Jana Karola, protoplastę linji na Korcu.

Na przełomie w. XVII na XVIII w senacie polskim Czartoryscy świecili nieobecnością. Było ich wtedy w wieku dojrzałym tylko dwóch: Kazimierz, i brat jego stryjeczny, Józef. Kazimierz, od r. 1699 podczaszy litewski, zostanie dopiero w r. 1707 krótkotrwałym podskarbim w. lit. z nominacji Leszczyńskiego, w r. 1712 podkanclerzym lit., wreszcie w r. 1724 kasztelanem wileńskim. Józef (z linji koreckiej) od r. 1698 był

chorążym w. lit., i, jako człowiek cichy i bez ambicji politycznej, o dalsze dostojeństwa się nie ubiegał.

Jednocześnie jednak właśnie na schyłku wieku XVII ujrzeli światło dzienne dwaj luminarze rodu Czartoryskich: w r. 1696 urodził się Fryderyk Michał Czartoryski, przyszły kanclerz w. lit., a w r. 1697 August, przyszły wojewoda ruski. Nieco zaś starsza od nich siostra Konstancja miała wychować jednego z swoich synów na ostatniego króla dawnej Rzpltej.

Na tak potężne wyniesienie się Czartoryskich w pierwszej połowie w. XVIII, oraz na kierunek ich działalności politycznej, złożyły się: wyjątkowe ich zdolności, rozumna matka, wychowana w atmosferze wpływów francuskich, polityka Augusta II, dążąca do podniesienia rodzin nowych, lub mniej potężnych, zdobycie mocnego oparcia materjalnego przez małżeństwo ks. Augusta z dziedziczką ogromnej fortuny Sieniawskich, wreszcie zetknięcie się i zbliżenie z dwoma ludźmi miary niepowszedniej — Stanisławem Poniatowskim i Jakóbem Henrykiem Flemingiem.

O feldmarszałku Flemingu, owym Machjawelu przy Auguście II, tu mówić nie będziemy; przypominamy tylko, że był on inspiratorem, duszą i głównym wykonawcą wszystkich planów Augusta II zreformowania Polski i zapewnienia jej domowi wettyńskiemu; miał poglądy szerokie, umysł bystry i przenikliwy, śmiałość czynu, a więc wszystkie zalety, które spotykamy też w późniejszej działalności «familji»; ale jednocześnie zbyt łatwo zwątpił o zreformowaniu Rzpltej drogą ewolucji samorodnej i zbyt jednostronnie oparł się na czynnikach zewnętrznych i sztuczkach machjawelistycznych. A był to błąd kardynalny, który wybaczalny jeszcze u cudzoziemca, odziedziczony przez Czartoryskich, stał się przekleństwem ich całej pracy reformistycznej.

Z Flemingiem zbliżył Czartoryskich S t a n i s ł a w P o n i a t o w s k i.

Karjera Poniatowskiego była w każdym razie nadzwyczajną. Wprawdzie w Polsce każdy, choćby najuboższy szlachcic, mógł zostać królem; wprawdzie jeszcze w r. 1573 w rzędzie kandydatów do korony po Zygmuncie Auguście wymieniony został na polu elekcyjnem szlachetka, Andrzej Słupski Bandura — ale to była teorja lub humorystyka. Prawda także, że magnaterja nie egzystowała, jako kasta; szlachcic na

zagrodzie był równy wojewodzie, i ciągle nowe rody szlacheckie podnosiły się na stopę wielkopańską; ale działo się to zwykle bądź drogą łask królewskich, bądź przez szczęśliwie zdobytą potęgę materjalną. Inaczej Poniatowski. Podobny on raczej do owej przysłowiowej primadonny polskiej, która, aby nią zostać, musi wprzód śpiewem swoim zachwycić zagranicę. Poniatowski to, do czego doszedł, zawdzięczał pozycji, wywalczonej nie w Polsce, ale poza jej granicami; gdy wrócił, był już sławnym, był człowiekiem, z którym trzeba było się liczyć.

Tak, czy inaczej, karjera biednego szlachetki, który został pierwszym senatorem polskim, kasztelanem krakowskim, była rzeczą trudniejszą, niż późniejsze wyniesienie na tron jego syna, wychowanego wśród magnaterji polskiej i od młodości przyjmowanego w najwyższych towarzystwach całej Europy, co mu dało łatwy przystęp do dworu Katarzyny II.

Stanisław Poniatowski, herbu Ciołek, urodził się w roku 1676; był synem nieznanego bliżej szlachcica, Franciszka Poniatowskiego z województwa krakowskiego; nie pochodził więc od żadnych lombardzkich Torellich hrabiów Montechiaragullo, jak głosiła późniejsza genealogja Poniatowskich, ale nie był też synem naturalnym któregoś z Sapiehów, jak głosili różni potwarcy. Nauki początkowe pobierał w Krakowie, następnie wraz z starszym bratem Józefem (późniejszym cześnikiem wyszogrodzkim, zmarłym bezpotomnie) wysłany był na nauki do Wiednia, lecz stamtąd uciekł do wojska austrjackiego i uczestniczył w wojnie tureckiej, zakończonej dopiero pokojem karłowickim w r. 1699.

Podczas tej wojny zbliżył się do Michała Sapiehy, syna hetmana Kazimierza, będącego wówczas generałem w wojsku cesarskiem, i wrócił z nim razem po skończonej wojnie do kraju. Tu Sapieha, chcąc zapewnić swemu protegowanemu pozycję materjalną, wyswatał go z leciwą damą, Teresą Ogińską, z domu Wojnianką-Jasieniecką, wdową po Ogińskim, wojewodzie mścisławskim, matką kilkorga dorosłych dzieci, dziedziczką dóbr wprawdzie rozległych, ale obciążonych znacznemi długami. Niedobrane to małżeństwo wkrótce się rozeszło; Stanisław Poniatowski niechętnie o niem wspominał, tak, że nawet szczegółów rozejścia się nie znamy; wiemy tylko, że Teresa Poniatowska żyła jeszcze w r. 1710, gdyż była

wtedy przez Rosjan wzięta do niewoli i trzymana naprzód w Połocku i Smoleńsku.

Zresztą 24-letni mąż starej baby miał co innego do czynienia, niż pilnowanie hymenu. W r. 1700 uczestniczył po stronie Sapiehów w bitwie olkienickiej, którą Michał Sapieha przypłacił życiem; inni Sapiehowie, a z nimi Poniatowski, zmuszeni byli ratować się ucieczką. Odtąd Poniatowski dzieli czas jakiś dolę i niedolę Sapiehów, a od nich przechodzi na służbę do ich protektora, króla szwedzkiego, Karola XII.

W ciągu lat szesnastu Poniatowski wiernie służył nowemu panu, a pośrednio także Stanisławowi Leszczyńskiemu. Po bitwie połtawskiej jemu to głównie zawdzięczał Karol XII swą ucieczkę i przedostanie się do Turcji. Wysłany do Konstantynopola przez Karola XII, Poniatowski dokonał rzeczy wprost nadzwyczajnych: intrygami swemi potrafił obalić dwóch wezyrów i przyczynił się do wypowiedzenia przez Turcję wojny Rosji. Został jenerałem szwedzkim i jednym z bliższych doradców Karola XII. Dopiero po śmierci Karola XII († 10 grudnia 1718) Poniatowski zapragnął powrócić do kraju, a sposób, w jaki tego dokonał, dowodzi wielkiego sprytu i zręczności. Uczynił się posłem nowej królowej szwedzkiej, Ulryki Eleonory, i zawiózł Augustowi II dwie cenne dlań rzeczy: propozycję pokoju ze Szwecją i pewne dokumenta, których otrzymanie napełniło Augusta II wielką radością. Bliższe określenie tych dokumentów nastręcza różne wątpliwości — prawdopodobnie był to albo dyplom elekcyjny Augusta II z r. 1697, albo dyplom o zrzeczeniu się przezeń tronu w r. 1706.

August Mocny był człowiekiem skłonnym do wybuchów zemsty, ale też do wybuchów serdeczności. Poniatowski, gracz nielada, zaprawiony w sztuce dyplomatycznej, umiał zręcznie zażyć impulsywnego króla. Upewniony przez życzliwe sobie osoby (a taką była też wpływowa i nieobojętna dla pięknego jenerała hetmanowa Sieniawska), że August II przyjmie go życzliwie, stawił się przed jego oblicze bez zbytniej uniżoności i po rycersku zapewnił go, że, jak wiernie służył Karolowi XII, takim też wiernym odtąd mógłby być jego sługą. A takich sług, wiecznie czynny, wiecznie zaprzątnięty dalekonośnemi planami co do Polski, August II potrzebował, szukał i cenił. Był to czas, kiedy naród szlachecki w czasie konfederacji tar-

nogrodzkiej skrępował króla fatalną medjacją moskiewską; polityka królewska stawała się coraz trudniejszą i potrzebowała graczów. August II posiadał wprawdzie Fleminga, ale ten sam jeden wydołać wszystkiemu nie był w stanie.

Poniatowski ostatecznie w roku 1719 zwolniony przez Ulrykę Eleonorę ze służby szwedzkiej, staje się odtąd współpracownikiem Fleminga i negocjatorem Augusta II w wielu sprawach politycznych.

W r. 1720 widzimy Poniatowskiego zagranicą, w misji dyplomatycznej, mającej na celu sparaliżowanie różnych machinacyj przeciw Augustowi II cara Piotra W. Towarzyszy Poniatowskiemu młody Michał Czartoryski. Dwaj ci ludzie zaczynają rozumieć, że wzajemnie mogą sobie być użyteczni. Wkrótce Poniatowski pośredniczy między Michałem Czartoryskim a feldmarszałkiem Flemingiem w zapewnieniu Czartoryskiemu ręki młodocianej siostrzenicy Fleminga, hrabianki Waldstein, choć ta miała wtedy dopiero lat osiem. Otrzymawszy obietnicę, Czartoryski przeczekał lat sześć i rzeczywiście zaślubił siostrzenicę Fleminga w r. 1726. Nawzajem Czartoryski zapośredniczył małżeństwo Poniatowskiego ze swoją siostrą, Konstancją; tu czekać nie było powodu, wkrótce też, bo już w końcu 1720 r., choć bardzo przystojny, ale już 44-letni wdowiec, Stanisław Poniatowski, stał się mężem o lat 20 młodszej od siebie księżniczki. Związek ten wytrawnego selfmademan'a ze starą, choć nie bogatą, rodziną magnacką zapewniający Poniatowskiemu potrzebne koligacje, a Czartoryskim poparcie wyjątkowo zręcznego i wpływowego człowieka, miał dla dziejów Polski znaczenie pierwszorzędne, gdyż stworzył ową «familję», która zaważyła wkrótce na całym przebiegu kilku ostatnich dziesięcioleci trwania Rzpltej..

Poniatowski, pracując gorliwie w interesie Augusta II, doznawał też niezmiennie szczodrobliwości królewskiej. W ciągu trzech lat (1719—1722) został kolejno: łowczym lit., jenerałem-lejtnantem, podstolim lit., wreszcie w r. 1722 podskarbim w. lit. Jednocześnie Czartoryscy, dzieląc jego i Fleminga działalność polityczną, dzielili fawory szwagra u dworu; tak w tymże 1722 r. zaledwie 25-letni Michał Czartoryski uzyskał u króla szóste miejsce w senacie, kasztelanję wileńską. W r. 1724 został Poniatowski szefem pułku gwardji pieszej koronnej, a po śmierci, w r. 1728, hetmana w. kor., Stanisława

Mateusza Rzewuskiego, August II postanowił ofiarować Poniatowskiemu buławę wielką koronną. Zamiar ten spowodował wybuch nienawiści ze strony zazdrosnych rodzin magnackich, jak Potoccy, Wiśniowieccy, Ogińscy i in., którzy, widząc forytowanie parwenjusza, postanowili zamiar królewski udaremnić, co było rzeczą łatwą, gdyż buławy mogły być ofiarowane tylko na sejmach po wyborze marszałka. To też sejmy 1729, 1730 i 1732 r. zostały, za staraniem przeciwników «familji», zerwane. Tymczasem król, pozostawiając Poniatowskiego przy urzędzie podskarbiego w. lit., z którego w r. 1731 postąpił na województwo mazowieckie, powierzył mu jednocześnie regimentarstwo nad wojskiem koronnem, które sprawował aż do r. 1733.

Zanim przejdziemy do bezkrólewia po śmierci Augusta II, musimy rozejrzeć się bliżej w składzie reszty członków «familji».

Nominalna jej głowa (faktyczną był Stanisław Poniatowski), ks. Kazimierz na Klewaniu i Żukowie Czartoryski, zaledwie o dwa lata starszy od zięcia (urodził się w r. 1674), z natury ułomny, cichy, lubiący jedynie życie towarzyskie, był 1707—1709 r. podskarbim w. lit. (z nominacji Leszczyńskiego), w r. 1712 został podkanclerzem lit., a gdy syn jego, Michał, otrzymał w roku 1722 kasztelanję wileńską, wkrótce, bo już w r. 1724, za zgodą króla zrobił z synem zamianę, oddał mu uciążliwy dlań urząd podkanclerski i zajął spokojne krzesło senatorskie. Przesiadywał zwykle w Warszawie, gdzie żona jego, Izabella Morsztynówna, córka podskarbiego, prowadziła świetny salon na modłę francuską. Była to kobieta wykształcona, z umysłem wyższym, to też wczesnym wpływom matki młodzi Czartoryscy zawdzięczali kulturę europejską i to zrozumienie potrzeby reform gruntownych, które stało się odtąd cechą późniejszej ich działalności.

Brakło jednak Czartoryskim koniecznej do większego wpływu podstawy materjalnej, t. j. wielkiej fortuny, którąby im pozwoliła mierzyć się z takiemi wielkiemi domami, jak Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Sapiehowie, Potoccy, Lubomirscy. Najłatwiejszą drogą zdobycia bogactwa były małżeństwa. To też gdy starszy syn, Michał, miał niespełna lat 20, już swatali go rodzice z bogatą dziedziczką, Łaszczówną, wojewodzianką bełzką; ubiegł go jednak szczęśliwszy konkurent, Stanisław

Potocki, syn Józefa Potockiego, późniejszego hetmana w. kor. i zażartego przeciwnika «familji». Małżeństwo córki Konstancji ze Stanisławem Poniatowskim zapewniało wprawdzie rodzinie łaski królewskie, ale pod względem fortuny było niepoczesne — Poniatowski w owym czasie miał tylko starostwo tucholskie. Małżeństwo w r. 1726 starszego syna, Michała, z siostrzenicą Fleminga, hr. Eleonorą Moniką Waldstein, było już lepszem, gdyż łączyło protekcję przemożnego Fleminga z niepośledną fortuną oblubienicy; ciotka i opiekunka Waldsteinówny, Antonina z Waldsteinów Sapieżyna, wdowa po ekshetmanie Kazimierzu Sapieże, zapisała Michałowej Czartoryskiej dobra, które miała od pierwszego swego męża Giełguda: Turów w pow. pińskim i Giełgudyszki i Poniemuń nad Niemnem [1]). Ale, choć znaczna, fortuna ks. Michałowej Czartoryskiej daleką była od magnackiej. Taką fortunę zdobył dopiero w r. 1731 drugi z rzędu syn starych Czartoryskich, przez swe małżeństwo z arcybogatą wdową po Stanisławie Denhoffie, hetmanie polnym lit., Zofją, córką nieżyjącego już, ostatniego z rodu Adama Sieniawskiego, hetmana w. kor., i Elżbiety z Lubomirskich. Młoda wdówka miała wielu starających się o jej rękę i posag, i trzy lata zeszły, zanim wybór swój zrobiła; uczyniła go nie bez starań ze strony Stanisława Poniatowskiego, z którym matka jej († 1729) była w zażyłości.

Do bogactwa przychodziły zaszczyty. Zaraz po ślubie Augusta Czartoryskiego, król ofiarował na ręce Poniatowskiego dla niego i jego szwagra, Augusta, dwa województwa: ruskie i mazowieckie; Poniatowski wybór pozostawił szwagrowi, który wybrał sobie województwo ruskie.

Nawzajem Poniatowski i Czartoryscy popierali, wspólnie z Flemingiem, politykę królewską i nawet pisemnie zobowiązali się popierać, w razie bezkrólewia, kandydaturę syna królewskiego.

Sejmy 1729, 1730 i 1732 r. zostały zerwane przez przeciwników «familji», głównie Potockich, aby nie pozwolić Augustowi II rozdać buław, które wszystkie już wakowały. W r. 1728 zmarli Stanisław Mateusz Rzewuski, hetman w. kor., Stanisław Chomętowski, hetman polny kor., i Stanisław Den-

[1]) Odróżnić od miasteczka Poniemunia na lewym brzegu Niemna w pobliżu Kowna.

hoff, hetman polny lit., a w r. 1730 Ludwik Pociej, hetman w. lit. Poniatowski miał obiecaną buławę w. kor., tymczasem mianowany był regimentarzem. W r. 1733 zwołany został nowy sejm nadzwyczajny na styczeń; król umyślnie przybył z Drezna; buława hetmańska była już prawie w ręku Poniatowskiego, tymczasem król nagle życie zakończył.

Wiemy, jaki był przebieg bezkrólewia po Auguście II, i że «familja» wspólnie z Potockimi poparła kandydaturę Leszczyńskiego. Aby krok ten zrozumieć, należy pamiętać, że cała Polska była zrażona do polityki Augusta II i bała się jej powtórzenia, że wybór Leszczyńskiego mógł przemawiać do narodu, jako gwarancja niezależności Rzpltej od coraz więcej rosnącej przewagi Rosji, że za Leszczyńskim stała w ten sposób znakomita większość wyborców, i że wreszcie stosunek Leszczyńskiego do Poniatowskiego, pomimo pogodzenia się jego z Augustem II, był niezmiennie przyjazny. W ten sposób względy natury prywatnej godziły się z interesem publicznym, niepodobna tylko określić, czy myśl o reformie ustroju państwowego grała jaką rolę w wyborze kandydata do korony — chyba bardzo podrzędną. To też, gdy sprawa Leszczyńskiego została zachwiana, gdy Ludwik XV kandydaturę swego teścia traktował raczej, jako środek do osiągnięcia celów dla Francji bliższych, niż Polska, a natomiast, gdy Rosja całą swą potęgą poparła Augusta III — widzimy, jak «familja» przerzuca się na stronę silniejszego, uznaje Augusta III i stara się pozyskać poparcie Rosji.

Rosja też staje się główną protektorką «familji». Gdyby nie wzgląd na Rosję, dwór Augusta III, pod wpływem licznych jej przeciwników, nigdyby jej nie dopuścił do tego wpływu, jaki miała za Augusta II. Ale Stanisław Poniatowski, jak umiał sobie zyskać względy Karola XII, później Augusta II, wreszcie znów Stanisława Leszczyńskiego — tak teraz, przez wszechwładnego Birona, stanął tak mocno na dworze Anny Iwanówny, że dwór polski stale otrzymywał z nad Newy naglące przedstawienia na korzyść «familji». A gdy w r. 1738 zazdrosny o swą władzę faworyt Augusta III, Aleks. Józ. Sułkowski, dzięki zręcznej intrydze, stracił łaski króla i został usunięty od dworu, a zastąpił go dawny pracownik przy Auguście II, Brühl — wpływy «familji» nietylko podniosły się do dawnego poziomu, ale nabrały jeszcze wagi i znaczenia. Czter-

nastolecie od r. 1738 do 1752 jest to okres czasu, w którym «familja» stara się przy pomocy Brühla rządzić Rzpltą i skierować ją na drogę reform.

Warto poznać się bliżej z mechanizmem wewnętrznych prac «familji» i z charakterem oddzielnych jej członków. W tym względzie korzystać będziemy z pamiętników Stanisława Augusta, z których niektóre, nawet dłuższe, ustępy zasługują, aby były tu przytoczone dosłownie.

«Aż do roku 1752 mniej więcej — pisze Stanisław August — rodzina moja w sprawach krajowych rządziła się pewnego rodzaju radą familijną, w której różność charakteru członków, za domyślnem przyzwoleniem wszystkich, podzieliła role sposobem następującym.

Książę kanclerz, jako najbardziej mówny, największy statysta w kraju, imaginacji płodnej, zazwyczaj odzywał się pierwszy i przedstawiał kwestję pod wszystkiemi względami; kilku doborowych przyjaciół, wezwanych do rady, roztrząsało ją, matka moja i wojewoda ruski najczęściej wyjaśniali ją ostatecznie, a mój ojciec, szczery, otwarty, kochający, wesoły, czynniejszy, silniejszy i więcej od innych uczynny, bardziej też kochany i popularny, bywał wykonawcą; zdanie jego rozstrzygało jedynie w razach niespodzianych i nagłych: nikt wtenczas rychlej i szczęśliwiej nad niego nie przejrzał tego, co czynić należało, i wówczas zwykle innych pociągał za sobą. Takim był aż do 76 roku życia: wtenczas dopiero widocznie posuwać się zaczął i od roku 1752 coraz się bardziej uchylał od spraw publicznych, kiedy tymczasem dwaj jego szwagrowie, pozyskawszy już stałą i dobrze ugruntowaną wziętość, a licząc mnóstwo własnych klientów, mniej jego pomocy potrzebować i żądać zaczęli. Matka moja ze swej strony, z wielu powodów na nich rozżalona, oddała się odtąd prawie wyłącznie dwom przedmiotom: pielęgnowaniu swojej matki, księżny Czartoryskiej, kasztelanowej wileńskiej, i dokończeniu wychowania swych dzieci».

Matka Stanisława Augusta, Konstancja z Czartoryskich Poniatowska, najstarsza z dzieci ks. Kazimierza, była kobietą silnego charakteru, dumną, zaciętą, groźną dla otoczenia, powszechnie «gradową chmurą» zwaną. Ona to dopilnowała wysokiej ogłady swoich synów, ale jednocześnie zaszczepiła w nich tę chorobliwą ambicję, ten egoizm, ten brak wyższych

dogmatów życiowych, które obniżały ich wartość moralną, a co do Stanisława Augusta, uczyniły zeń, pomimo wszystkich jego przymiotów, postać bądź co bądź odrażającą w naszych dziejach.

Trafną charakterystykę obu braci Czartoryskich podaje Stanisław August w swych pamiętnikach. Podajemy ją prawie w całości.

Oto co pisze Stanisław August o starszym z braci, ks. Michale: «Posiadając więcej nauki, niż jej w ogólności miano wtenczas w Polsce, skłonny do uszczypliwości, pod rządami ministra potężnego, a lubiącego dowcipne słówka i przycinki, ks. Michał Czartoryski przyzwyczaił się wypowiadać każdemu myśl swoją bez ogródki. Wielu ludzi, którym wpływy jego u Fleminga były potrzebne, znosiło to; wkrótce przyznał sam sobie prawo cenzurowania i karcenia, a długie trwanie jego urzędu i rzeczywiste zasługi, jakie na nim położył, przyzwyczaiły zwolna i samą publiczność do znoszenia w jego ustach tego tonu, w którym on sam i wiele osób upatrywało wkońcu cnotę Katona, zwłaszcza od czasu, gdy się nią posługiwać zaczął na karcenie błędów i słabości panowania i dworu Augusta III. Istotna jego zasługa wykazała się głównie w tem, że do urzędów i na starostwa prowadził zwykle najuczciwszych ludzi na Litwie, pozyskując czasem dobrodziejstwa dworu nawet dla osób, z urodzenia lub stosunków mianych za należące do nieprzyjaznego mu stronnictwa; podobnego rodzaju promocji podejmował się o tyle często, aby zauważono jego bezstronność, a znowu o tyle rzadko, aby te liczbą swoją dalszym jego planom zaszkodzić nie mogły. Ponieważ z natury rządu wypływało, że skład coroczny trybunałów był dla wszystkich sprawą najważniejszą, zjednał więc sobie pochwały i wdzięczność współobywateli, starając się zawsze, aby do nich wchodzili ludzie zdolniejsi i uczciwsi od tych, których zazwyczaj prowadzili tam inni panowie litewscy, współubiegający się z nim o wziętość... Miał to szczęście, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat panowania Augusta II i przez dwie trzecie panowania Augusta III miał nad sobą tylko dwór i faworyta, którzy na sprawy litewskie patrzyli jedynie jego oczyma, a w rzędzie współzawodników swoich w tej prowincji znajdował tylko ludzi, których wady, albo nawet występki stawiały nieskończenie niżej od niego. Miał jeszcze dar wielkiej

cierpliwości w słuchaniu procesów i procesujących się, obok rozwagi i poczucia sprawiedliwości, skąd łatwo obejmował sprawy i, wydając wyrok jako sędzia, zawsze prawie umiał zadowolnić obie strony. Zrazu wsparł go wziętością i stosunkami swojemi mój ojciec: w czasie, o którym mówię [1]), miał on już własną swą popularność, szeroko ugruntowaną na Litwie, a w Koronie posiadał poszanowanie i miłość znacznej części stronników brata swego, wojewody ruskiego. Ci mieli go za wyrocznię w przedmiocie prawa, ba nawet za pracowitszego od brata; tem bardziej, że lubił się popisywać swemi zatrudnieniami, obszerną korespondencją, działalnością wielką, okazałą rządnością i wielu rzeczami, których był, lub zdawało mu się, że jest główną sprężyną. Próżność, posunięta aż do śmieszności, była nieraz jego wadą, i wielu ludzi skorzystało z niej, żeby go ująć dla siebie, albo oszukać; ale istotnie mógł się poszczycić, że, w porównaniu do współczesnych sobie rodaków, bardzo często i umysłem i charakterem górował nad wszystkiem, co go otaczało. Nie tracił nigdy nadziei, a to, czego pragnął, uważał prawie za niezawodne, w klęskach zaś i niepowodzeniu umiał dopatrzyć zawsze dobrą stronę. Z wewnętrznego usposobienia (byleby mógł krytykować i sprzeczać się trochę) był zawsze towarzyskim i wesołym. Tak lubił oddawać usługi, że można mu było przebaczyć, iż chluby z nich szukał. Z natury serdeczny, byłby skuteczniej dobrym, gdyby w ostatnich zwłaszcza latach życia rządzonym nie był przez ludzi, którzy umieli nim kierować, wmówiwszy mu, że on nimi rządzi».

Zupełnie innym był ks. August. «Przyszedłszy na świat» — pisze Stanisław August — «z charakterem gwałtownym i dumnym, czego najoczywistsze dowody składał już w dzieciństwie, ale obdarzony zarazem bardzo niespokojnym umysłem, od dwunastego roku życia potrafił już tak nad sobą zapanować, iż wydał się zupełnie zmienionym, do tego stopnia, że od tego czasu ktokolwiek go zbliska nie znał, albo ciągle za nim nie śledził, miał go za człowieka umiarkowanego pod wszystkiemi względami. W szesnastym roku życia posłano go w podróż ze starszym bratem i nauczycielem; miał już wtenczas dosyć rozwagi i zręczności, aby oszczędzać mi-

[1]) 1748 r.

łość własną starszego brata, któremu zdawał się ustępować we wszystkiem. Nie przeszkodziło to temu starszemu bratu, dziś w. kanclerzowi litewskiemu, być często oń zazdrosnym, chociaż przez całe życie nie omieszkał korzystać z przewagi, jaką sobie nad młodszym bratem przypisywał. Rozdzielili się wkrótce: młodszy został w Malcie, gdzie przywdział krzyż zakonu i rozpoczął swój zawód na jego galerach, po niewielu latach oddano go do służby austrjackiej, gdzie odbył kilka kampanij... Książę August Czartoryski pozostałby zapewne w Austrji, gdyby nie matka, którą zdawał się najbardziej z całej rodziny kochać; dołożyła ona wszelkich starań, podczas krótkiego pobytu jego w Polsce w celu odwiedzenia krewnych, aby go skłonić do zbliżenia się znowu do ojczyzny, której obyczaje, rząd i całe położenie stały mu się zarówno nienawistnemi, jak obcemi; myślał, że nigdy w niej do znaczenia nie dojdzie. Ojciec mój, bardzo lubiany przez Augusta II, ofiarował mu swą pomoc i wpływy; nie byłoby to jednak zdecydowało do pozostania w kraju, gdyby nie powzięta nadzieja zaślubienia wdowy po Denhoffie, wojewodzie połockim, jedynej dziedziczki rodu Sieniawskich i niezmiernych ich bogactw, prócz tego pięknej, miłej i o której rękę dobijano się w całej Polsce. Jeden z Potockich, wówczas starosta bełzki, dzisiaj wojewoda kijowski, był jego współzawodnikiem, i to się stało zarodkiem ich obopólnej i trwałej ku sobie niechęci. Szwagier mój, Branicki, z którym wuj przypadkiem miał jakieś zajście jeszcze w Wiedniu, był także przez czas pewien w rzędzie starających się o piękną wdowę. Starosta stężycki, Tarło, zmarły później jako kasztelan lubelski, szukał z nim nawet osobistej sprzeczki, w której wuj mój, dawszy mu dwa razy do siebie wystrzelić, sam nie strzelając, poprzestał na zapytaniu, czem jeszcze teraz mógłby mu służyć? Odpowiedź ta zrobiła wrażenie na wdowie; wszakże, zaledwie po trzech latach stałych i często wszelkiej nadziei pozbawionych zabiegów, potrafił nareszcie zniewolić serce swej pani, w czem nawet, jak w wielu innych rzeczach, niezmiernie mu pomogły zręczne i wytrwałe starania moich rodziców.

Gdy województwa mazowieckie i ruskie zawakowały, ojciec mój, któremu August II wybór między niemi zostawił, ustąpił tego przywileju księciu Czartoryskiemu; ten wybrał województwo ruskie, ojciec więc mój objął mazowieckie, ustą-

piwszy mu jeszcze pierwej za zgodą króla pułk gwardji pieszej koronnej, pod warunkiem, iż książę go starszemu jego synowi napowrót odstąpi, skoro ten do lat dojdzie. Ponieważ ta umowa zawartą była tylko ustnie, po dwudziestu więc latach wojewoda ruski zaprzeczył jej we wszystkich prawie punktach, co w matce mojej stało się powodem gorzkiego bardzo do końca życia uczucia, którego nie mogła się pozbyć, choć je potępiała, a to dlatego, że (mimo całego rozumu) powzięła była prawie nadludzkie wyobrażenie o charakterze brata, który od czasu, gdy ujrzał przyszłość swą przez ożenienie zupełnie zapewnioną, zaczął stygnąć w tej nieograniczonej ufności, jaką matce mej okazywał. Jednakże długo jeszcze w naradach familijnych i naradach swego stronnictwa układał z nią projekta i kroki, jakie przedsiębrać miano.

Wkrótce wypadki, zaszłe po śmierci Augusta II, zaprowadziły go razem z całą rodziną moją do Gdańska, gdzie o mało nie umarł z ciężkiej choroby, która zdrowie jego na resztę życia podkopała. Gdy spokojność w Polsce została przywróconą, wojewoda ruski zdawał się zajmować wyłącznie urządzeniem niezmiernych dóbr, jakie mu żona wniosła, i tak pomyślnie tego dokonał, że utrzymywano powszechnie, iż podwoił dochody, spłaciwszy miljon czerwonych złotych długu, który je obciążał.

Im bardziej zdawał się być oddany temu jedynemu przedprzedmiotowi, tem mniej dwór i Potoccy zważali na politykę wojewody. Upodobanie jego w wygodach i lenistwo, tak istotne, jak też to, które tylko udawał, były przyczyną, iż myślano, że nienawidził zachodów o popularność i, że jeżeli się kiedy zajmował sejmikiem jakim, albo składem trybunału, lub czynnościami na sejmie, to czynił to nie z upodobania, ani przez ambicję, ale dlatego jedynie, że stanowisko, jakie zajmował, nie pozwalało mu całkiem od tych spraw się usunąć; zawsze prawie tak się umiał urządzić, że proszono go o to, czego w istocie sam najgoręcej pragnął. Ostrożność jego wyrażeń, umiejętna choć starannie ukrywana gra życiowa i głęboka rozwaga, kierująca wszystkiemi jego krokami, temi zwłaszcza, które za najbardziej naturalne uchodzić miały, tak utrwaliły przekonanie o jego mądrości, łagodności i prawości, że nieraz usuwały się przed nim największe zawady, i że umiał wmówić najzaciętszym wrogom swej familji i jej

interesów, że osobiście zasługiwał na wyjątkowe z ich strony traktowanie, a to z powodu umiarkowania, które mu przypisywano i dlatego, że wszystko, co najbardziej raziło nieprzyjaciół i współzawodników mojej rodziny, składano na karb księcia kanclerza; tymczasem w rzeczywistości wojewoda ruski o wiele dalej od całej swej rodziny posuwał zasady panowania egoizmu, ilekroć zdawało mu się, że może tego dopełnić skutecznie, ukrywszy jeszcze rękę, z której pocisk wypadał. Głęboka przenikliwość i bystrość zdumiewająca, jaką się odznaczał, służyły mu szczególnie w ocenianiu okoliczności i ludzi, których chęci a nawet wady najlepiej w danym razie usłużyć mu mogły. W gruncie rzeczy nie lubił wcale dawać, i wszystko, co w jakikolwiekbądź sposób dotykało jego własności, obchodziło go tak mocno, że z trudnością zachowywał wtenczas maskę umiarkowania; jednakże przyznać należy, że jest panem, nie zaś niewolnikiem grosza, umie dawać i to w sposób zobowiązujący; daje nawet dość często i w wielkiej tajemnicy; tylko nigdy nie daje dla przyjemności dania; tego w nim niema; robi to zawsze w jakimś celu, odnoszącym się do niego samego, chociaż umie wmówić, że czyni to z uczucia, przez szacunek i przywiązanie.

Gdybym nie przeżył z wojewodą ruskim lat kilku w najbliższej poufałości, podziwiałbym w nim tylko, jak tylu innych, duszę najpogodniejszą, najbardziej oświeconą i wyższą nad wszystkie drobne namiętności i usterki tłumu; sąd prawie nieomylny, ilekroć się nie śpieszy (co mu się zresztą bardzo rzadko zdarza); wiadomości rozległe we wszystkich gałęziach, wymowę szlachetną a trzeźwą, talent pozostawania w cieniu i usuwania by najlżejszych podejrzeń u wszystkich, którymi chce rządzić, oczarowania ich niejako, nie pozwalając sobie nigdy nietylko zjadliwej uszczypliwości, ale nawet krytyki publicznej».

O wzajemnym stosunku do siebie dwóch starszych braci Czartoryskich znajdujemy w pamiętnikach Stanisława Augusta jeszcze taki ustęp: «Wojewoda ruski wywierał na starszego swego brata wpływ wprost nadludzki. Brat ten miał o sobie ogromne mniemanie, chętnie też i często, szczególnie mówiąc o polityce, nie szczędził sobie pochwał, a młodszemu bratu nagany, zarzucając mu lenistwo i inne braki, a jednak wystarczało, aby ten brat młodszy się pokazał i jednem sło-

wem lub spojrzeniem wyraził swe niezadowolenie, zaraz ks. Michał milknął i we wszystkiem szedł za jego zdaniem» [1]).

Powyższe charakterystyki uzupełnić należy kilku rysami.

Ks. Michał miał pamięć fenomenalną; opowiadano o nim, że z imienia i nazwiska znał tysiące szlachty, ich stosunki, interesa i potrzeby. Od swoich stronników wymagał bezwarunkowego posłuszeństwa; umiał mścić się srogo (dowodem sprawy Matuszewicza, Abramowicza, Bohusza, Szamockich i in.), był twórcą systemu gwałtownego fundowania trybunałów, na sejmiki posyłał swych «wilków Wołczyńskich», rębaczów, którzy przeprowadzali wolę «familji». Sam, nie będąc dość bogatym, otrzymywał od brata Augusta corocznie 100.000 złp. na koszta agitacyjne. Z lapidarnych aforyzmów ks. Michała jeden jest szczególnie dla nas Polaków godnym zapamiętania: «*Il vaut mieux ne rien faire que faire des riens*».

Ks. August znany był jako milczek; nawet mowy używał na to, aby nie wiedziano, co myśli. Stanisław August w innem miejscu swych pamiętników [2]) wspomina, że raz tylko, już jako król, otrzymał od ks. Augusta dwie szczere rady: po pierwsze, aby popierał rodziny drugorzędne w przeciwieństwie do pierwszorzędnych, powtóre — aby nie krępował się danem słowem. «Królowie» — mówił — «nie mogą być niewolnikami danego słowa, gdyż przy największej przenikliwości nie są w stanie przewidzieć wszystkich wypadków, które następnie mogą w dotrzymaniu słowa stanąć na przeszkodzie».

Wszelkie zapewnienia ks. Augusta, że nie dążył nigdy do korony [3]), pozbawione są wszelkiego znaczenia. Owszem, zdaje się dziś nie ulegać wątpliwości, że myśl ta zrodziła się w nim zapewne w r. 1758 [4]), jeżeli nie istniała już poprzednio, a Stanisław August przytacza wiele faktów, dowodzących, że ks. August do ostatka marzył o koronie i do śmierci nie przebaczył swemu siostrzeńcowi, że mu ją zagarnął [5]).

---

[1]) Pamiętniki. Wyd. francuskie z r. 1914. Str. 265.

[2]) Wydanie francuskie 1914, str. 504.

[3]) Patrz Wł. Konopczyński: «Polska w dobie wojny siedmioletniej». I, str. 497, 498.

[4]) Tamże, str. 290.

[5]) Pamiętniki. Wydanie francuskie z 1914 r. Str. 385, 496 i 497.

Jeżeli dwaj starsi bracia Czartoryscy byli tak czy inaczej ludźmi niepospolitymi, to niepodobna tego powiedzieć o najmłodszym z braci, księdzu Teodorze, od r. 1738 biskupie poznańskim. Postać to zupełnie powszednia, człowiek niezły, tolerant do indyferentyzmu, bierny wykonawca decyzyj familji, czasem tylko sarkający na jej względem niego despotyczną opiekę. Umarł w r. 1768.

Oprócz Konstancji Poniatowskiej mieli bracia Czartoryscy jeszcze jedną siostrę, Ludwikę Elżbietę — była ona zakonnicą, przełożoną panien wizytek w Warszawie; umarła już w r. 1745.

Przechodzimy do następnego pokolenia, które także w znacznej mierze przyjmowało udział w działalności «familji» Poniatowskich-Czartoryskich.

Stanisławowstwo Poniatowscy mieli siedmioro dzieci: Kazimierza, ur. w 1721 r.; Franciszka, ur. w r. 1723 r. (został księdzem i umarł młodo w r. 1754); Ludwikę, ur. w 1728 r.; Izabellę, ur. w 1730 r.; Stanisława Augusta, ur. w 1732 r.; Andrzeja, ur. w 1734 r. i Michała, ur. w 1736 r.

Córki wydane zostały zamąż: Ludwika za Jana Zamoyskiego, późniejszego wojewodę podolskiego, a Izabella w roku 1748 za Jana Klemensa Branickiego.

Najstarszy syn, Kazimierz, mając lat 20, brał udział w wojsku francuskiem i saskiem w wojnie przeciwko Austrji; wkrótce potem, w r. 1742, mianowany został podkomorzym w. kor.; wsławił się w latach 1743—4 pojedynkiem z Adamem Tarłą, a w r. 1749 swem zachowaniem się na trybunale piotrkowskim; w r. 1751 ożenił się z miłości z Apolonją Ustrzycką, kasztelanką przemyską, panną z posagiem, ale nie magnackim. Na kilka lat przedtem starał się o Teresę Sapieżankę, rozwódkę po Hieronimie Florjanie Radziwille, ale ojciec jej, Józef Franciszek Sapieha, podskarbi nadw. lit., pan na Bockach, lekce sobie ważył Poniatowskich i propozycję odrzucił; rozwódka wyszła później za Joachima Potockiego. Ze swej strony Kazimierz Poniatowski zlekceważył sobie inną partję, bądź co bądź nie bagatelną; chodziło o córkę wszechwładnego Brühla; Brühl sam mu o niej wspomniał, ale Kazimierz Poniatowski odpowiedział, że i bez tego małżeństwa cała jego rodzina należy do przyjaciół ministra, lepiej więc zrobi, jeżeli córkę wyda za Mniszcha, a przez to zdobędzie

sobie Potockich i cały przeciwny obóz; Brühl posłuchał, i Mniszech, stawszy się zięciem ministra, wkrótce odsunął «familję» od faworów dworu.

Kazimierz Poniatowski brał udział w życiu publicznem, posłował, na sejmach przemawiał zwykle rozumnie; natomiast charakter i zasady miał małej wartości, był sybarytą i egoistą; miał wielki wpływ na młodszego swego brata, Stanisława Augusta; uczestniczył w naradach «familji», choć wujowie go nie lubili, a zwłaszcza ks. August; przyczyniła się do tego w znacznej mierze sprawa o szefostwo gwardji pieszej koronnej; szefostwa tego August Czartoryski, wbrew obietnicy, nie ustąpił Kazimierzowi Poniatowskiemu, a ten pozwalał sobie publicznie o to na wuja się uskarżać.

Drugi syn Poniatowskiego, Franciszek, został księdzem; umarł młodo w r. 1754 proboszczem krakowskim.

Trzeci syn — to Stanisław August, ostatni król dawnej Polski. Mamy jego autoportret [1]), spisany, jak zeznaje Stanisław August, w r. 1756, t. j. w chwili sukcesów romantycznych na Północy; nie od rzeczy będzie go tu przypomnieć. «Naczytawszy się rozmaitych portretów, ochota mię wzięła napisać swój własny. Byłbym zadowolony ze swej postaci, gdybym był o jeden cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niższe, wzrok bystrzejszy i bardziej widoczne zęby. Nie dlatego, abym myślał, że przy takich zmianach stałbym się bardzo pięknym, lecz, że nie pragnąłbym niczego więcej, bo sądzę, że mam twarz szlachetną i bardzo znaczącą, ruchy doborowego towarzystwa i całe ułożenie, wyróżniające mnie na tyle od innych, bym wszędzie był zauważony. Z powodu krótkiego wzroku wydaję się jednak często nieco zakłopotanym i ponurym; ale to nie trwa długo, a gdy raz minie, miewam wygląd raczej zbyt siebie pewny. Staranne wychowanie, które odebrałem, pomaga mi do zasłonięcia braków mej powierzchowności i umysłu, i do korzystania z nich ponad ich rzeczywistą wartość. Mam dosyć rozumu, aby należeć do każdej rozmowy, lecz nie zawsze i nie na długo zdołam nią kierować, chyba, że ją głównie podsyca uczucie lub żywe we mnie od natury zamiłowanie wszystkiego, co tylko ma związek ze sztuką.

[1]) Pamiętniki. Wyd. francuskie z r. 1914. Str. 175.

Z łatwością dostrzegam śmieszności i fałsze, jak również ludzkie wady, i często zbyt skwapliwie daję to uczuć. Mam wstręt nieprzezwyciężony do złego towarzystwa. Wielki zasób lenistwa nie dozwolił mi rozwinąć, jakbym mógł, swoich zdolności i wiedzy. Kiedy pracuję, to jakby z natchnienia; robię wiele odrazu, albo nic zgoła. Nie daję siebie łatwo skompromitować i przez to uchodzę często za bardziej zręcznego, niż nim jestem. W prowadzeniu tak zwanych interesów grzeszę zbytnią szczerością i pośpiechem, przez co często popełniam omyłki. Osądzę trafnie każdą sprawę, dostrzegę słabe strony projektu i omyłki w jego wykonawcy, ale sam potrzebuję jeszcze rady i wędzidła, abym ich także nie popełnił. Jestem nadzwyczaj wrażliwym, ale więcej na działanie smutku, niż radości i zbyt łatwo oddawałbym się smutkowi, gdybym nie nosił w głębi serca przeczucia niezmiernego w przyszłości szczęścia. Z urodzenia obdarzony jestem rozległą i palącą ambicją, stąd projekty reform, chwały i pożytku dla ojczyzny stały się jakby osnową mego życia. Nie zdawało mi się, bym był stworzony dla kobiet; pierwsze zawiązane z niemi stosunki przypisywałem przypadkowi. Nareszcie poznałem miłość i kocham z taką namiętnością, że gdybym miał doznać zawodu, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi i czuję, żebym się zniechęcił do wszystkiego. Obowiązki przyjaźni są dla mnie świętemi, i posuwam je bardzo daleko. Chociażby przyjaciel względem mnie zawinił, nie masz rzeczy, jakiejbym uczynić nie był gotów, byle nie dopuścić do zerwania, i długo po doznanej od niego obrazie pamiętam, że mam dla niego obowiązki. Sądzę, że jestem przyjacielem bardzo dobrym. Prawda, że ścisłych przyjaciół mam bardzo niewielu, choć nieskończenie wdzięczny jestem za każdy rodzaj oddanej mi przysługi. Skory w dostrzeżeniu wad bliźniego, uniewinniam je łatwo, a to z powodu spostrzeżenia, które sobie nieraz uczyniłem: że mając się nawet za bardzo cnotliwego, każdy, badając siebie bezstronnie, zawsze znajdzie w swem wnętrzu zarodki upokarzającego powinowactwa z wielkiemi zbrodniami, zarodki, którym, być może, potrzeba tylko silnej pokusy, aby się rozwinęły, o ile nie zwrócimy na nie bacznej uwagi. Lubię być hojnym, nienawidzę skąpstwa, ale też nie najlepiej umiem rządzić tem, co posiadam. Powierzonej mi tajemnicy dochowuję nierównie

skrupulatniej, niż swojej własnej. Jestem bardzo litościwy. Tak lubię być kochanym i chwalonym, że próżność moja rozwinęłaby się nadzwyczajnie, gdyby obawa śmieszności i znajomość świata nie nauczyły mnie w tym względzie powściągliwości. Zresztą nie kłamię, tak z zasady, jak też przez wstręt wrodzony do wszelkiego fałszu. Nie jestem wcale tak zwanym pobożnisiem; ale śmiem twierdzić, że miłuję Boga, i zwracam się często do Niego w tem błogiem przekonaniu, że On lubi nam dobrze czynić, kiedy Go o to prosimy. Mam jeszcze szczęście kochać ojca i matkę nietylko z obowiązku, ale też ze skłonności serca. Powziętego w pierwszej chwili uniesienia zamiaru zemsty nie byłbym w stanie wykonać w rzeczywistości; zdaje mi się, że myśl taka ustąpiłaby we mnie zawsze przed uczuciem litości. Przebacza się często raczej przez leniwą słabość, niż przez wspaniałomyślność, i lękam się, aby ta przyczyna nie stała się później powodem niewykonania wielu moich zamiarów. Oddaję się z zamiłowaniem rozmyślaniom i dosyć mam wyobraźni, by sobie wystarczać, zwłaszcza od czasu, gdy kocham».

W całym tym autoportrecie wiele cech swego charakteru przyszły król uwydatnił bardzo trafnie — ale też wiele cech brakuje, zwłaszcza tyczących się strony moralnej. I łatwo zrozumieć dlaczego; bo moralna strona Stanisława Augusta była mocno zaniedbaną; poprostu nie miał zasad i prawdziwie wyższych dążeń, mogących zrównoważyć jego słabą wolę. Miał «rozległą i palącą ambicję», ale płytką, pełną sybarytyzmu i filisterstwa; sam zeznaje, że nawet wiele stron jego dodatnich wynikały z «leniwej słabości», a nie z szlachetności uczuć. Inteligencją górował nad innymi, sąd miewał zdrowy i prędki, umysł oświecony i daleki od barbarzyństwa czasów saskich — ale jednocześnie brak rzeczywistej godności osobistej, brak ofiarności dla dobra ogółu, lub dla idei jakiejkolwiek, brak wszelkiego hartu duszy, nawet tego, który przejawia się w dumie osobistej.

Stanisław August jest dowodem jaskrawym, o ile niżej cenić należy wartość intelektualną człowieka od jego charakteru.

Zajęliśmy się na tem miejscu postacią Stanisława Augusta, gdyż już w epoce saskiej odgrywa on rolę niepowszednią, jako poseł i przedstawiciel «familji» przy dworze północnym.

Zgnilizną wieje od tego poselstwa, zgnilizną od posła i ostatecznie od tych, co go posłali, zgnilizną wreszcie od tej reformy, która na takich podstawach miała się oprzeć. Przeklętym niech będzie dzień, w którym «mądre głowy» familji oparły swój system ratowania ojczyzny na sukcesach zmysłowych młodego Poniatowskiego.

Wielka szkoda, i sam Stanisław August tego żałował, że nie mógł on zamłodu skosztować zawodu wojskowego i nie powąchał, jak tego pragnął jego ojciec, prochu w wojnie o sukcesję austrjacką. Miał lat 16, gdy w r. 1748 pokój akwizgrański na lat kilka uspokoił Europę. Gdy nowa wybuchła zawierucha w r. 1756, wojna siedmioletnia, już młody Stanisław Poniatowski był zajęty swą smutną rolą na Północy. W międzyczasie zaprawiał się do życia publicznego i w r. 1752 był już posłem sejmowym z ziemi łomżyńskiej. Następnie podróżował i zwiedzał Niemcy, Austrję, Holandję, Francję i Anglję, wszędzie korzystając z wielkich stosunków swego ojca, i przez to przyjmowany z należnemi honorami, poznał wielu ludzi, monarchów, ministrów, uczonych i światowców; w Paryżu kierowała nim głośna pani Geoffrin (ur. 1699 † 1777); ale najważniejszą znajomością był dyplomata angielski, Williams, który stał się przyjacielem młodego Stanisława Augusta, jego kierownikiem w sprawach dworskich i dyplomatycznych. Wróciwszy do kraju w r. 1754, został Stanisław August stolnikiem w. lit. (od r. 1753 był już starostą przemyskim). W r. 1755 przyjaciel Williams, jadąc jako ambasador angielski do Petersburga, zaproponował, aby Stanisław August mu towarzyszył. «Familja», dbała o stosunki z dworem północnym, chętnie zgodziła się na tę podróż. Rezultat przeszedł oczekiwania, gdyż niespodzianie zawiązał się romans z Katarzyną.

W r. 1756 Stanisław August wrócił do kraju, aby posłować do sejmu. Na posła został wybrany w Inflantach, ale sejm nie mógł się zebrać z powodu nieprzybycia króla, wobec wybuchu wojny siedmioletniej. Wzywany przez Katarzynę, Stanisław August wyrywał się zpowrotem nad Newę. «Familja» się naradzała — pomimo opozycji matki, Konstancji Poniatowskiej, przywódcy «familji» zgodzili się na tę podróż, przyczem wyrobili Stanisławowi Augustowi stanowisko oficjalne, jako posła saskiego przy dworze petersburskim. Na

tem stanowisku (od końca 1756 r.) Stanisław August pracował niekoniecznie zgodnie z interesem swego dworu, ale stosownie do zapatrywań Katarzyny i Williamsa. Poseł francuski przy dworze Augusta III, Broglie, słynny przyjaciel Polaków i przeciwnik «familji», podniósł alarm; latem 1757 r. Poniatowski został z poselstwa odwołany, pomimo to udało mu się, bez narażenia swego stanowiska wobec Augusta III, nietylko przesiedzieć w Petersburgu jeszcze kilka miesięcy, ale w sposób nieoczekiwany [1]) uzyskać formalną zgodę wielkiego księcia (zajętego swą metresą, Woroncową) na widywanie się z jego żoną.

Stanisław August wyjechał z Petersburga w r. 1758. Z Katarzyną zobaczył się znów dopiero — w r. 1787, a do Petersburga zawitał znów — w r. 1797!...

Tymczasem, wróciwszy do Polski w r. 1758, młody Stanisław Poniatowski stał się ważną osobą, a «familja» oparła całą swą działalność na protekcji Katarzyny.

Młodsi bracia Stanisława Augusta do końca panowania Augusta III nie odgrywali żadnej roli: Andrzej służył w wojsku austrjackiem, a Michał, wyświęcony na kapłana, w r. 1761 został kustoszem gnieźnieńskim.

Przechodzimy do dzieci Czartoryskich.

Ks. Michał miał tylko córki: Antonina wyszła w r. 1744 za Jerzego Fleminga i miała z nim córkę Izabellę (Elżbietę), od r. 1761 Adamową Czartoryską; po śmierci żony, Jerzy Fleming ożenił się w r. 1749 z drugą córką ks. Michała, Eleonorą, z którą żył bezpotomnie; wreszcie trzecia córka ks. Michała — Aleksandra, była od r. 1748 trzecią żoną Michała Antoniego Sapiehy (od r. 1752 podkanclerzego lit.), a po jego śmierci wyszła w r. 1761 za Michała Ogińskiego, późniejszego hetmana w. lit.

Ks. August miał dwoje dzieci: syna Adama i córkę Elżbietę. Stanisław August twierdzi w swych pamiętnikach, że August Czartoryski był fanatycznie przywiązany do swojej córki, wprost był o nią zazdrosny; gdy zauważył, że między nią i Stanisławem Augustem powstaje jakiś stosunek bardziej serdeczny [2]), pośpieszył z wyprawieniem Stanisława Augusta

[1]) Pamiętniki Stan. Augusta. Wyd. franc. 1914. Str. 326—331.
[2]) Była później kochanką Stanisława Augusta.

zagranicę, a córkę wydał za człowieka, którym miał nadzieję zupełnie kierować, za Stanisława Lubomirskiego, wówczas strażnika kor., a później marszałka w. kor.; ten, jako kuzyn Augustowej Czartoryskiej, przebywał w domu Augustostwa Czartoryskich i podobno nawet (jak twierdzi Stanisław August) Augustowa Czartoryska była w nim zakochana.

Adam Czartoryski, jedyny syn ks. Augusta, urodził się w r. 1734 w oblężonym wtedy przez Rosjan Gdańsku; stąd później zwykł był swe prace ogłaszać pod pseudonimem Dantyszka (Gdańszczanina). Wychowanie jego było przeważnie francuskie; uzupełnił je licznemi podróżami po Niemczech, Włoszech, Francji i Anglji. Na dworze francuskim znalazł dawne stosunki swej babki Morsztynówny. W Anglji przebył czas dłuższy w domu lorda Mansfelda, przyjaciela ks. Augusta, i tam zapoznał się z instytucjami i prawami angielskiemi. Po powrocie do kraju zaprawiał się do służby publicznej i był posłem na sejmy 1756, 1758 i 1761 r.; ale pierwszy sejm, jak wiemy, nawet się nie zebrał skutkiem nieobecności króla, a dwa drugie zostały zerwane. W r. 1758 ojciec ustąpił mu jeneralstwa ziem podolskich [1]). W r. 1761 ożenił się z Izabellą (Elżbietą) Flemińzanką.

Książę Adam jeździł dwa razy za Augusta III do Petersburga: raz jeszcze za życia cesarzowej Elżbiety, drugi raz po jej śmierci; uważano go wtedy za kandydata do tronu polskiego; Piotr III przyjął go bardzo łaskawie; nadał mu order św. Andrzeja. Ale sam ks. Adam wcale nie dążył do korony, pomimo, że «familja» przeznaczała ją jemu przedewszystkiem (bezpośrednio, lub pośrednio po śmierci ks. Augusta). Stanisław August w swych pamiętnikach opowiada [2]), że gdy po śmierci Piotra III przyszedł list od Katarzyny z zapewnieniem, że będzie popierała kandydaturę któregoś z członków «familji», książę August dawał do zrozumienia, że należy myśleć o ks. Adamie, ponieważ wybór Stanisława Augusta będzie zbyt trudny do przeprowadzenia, a on sam nie przyjąłby rzekomo korony inaczej, jak z prawem następstwa dla ks. Adama; jednak ks. Adam, wziąwszy Stanisława Augusta na

[1]) Tak nazywało się posiadanie dwóch połączonych starostw grodowych, kamienieckiego i latyczowskiego — dawały one dochodu prawie 100.000 złp.
[2]) Wyd. franc. str. 385.

stronę, zapewnił go, że korony nie pragnie i chętnie mu ją odstępuje.

Ks. Adam pod wielu względami był podobny do Stanisława Augusta: to samo wykształcenie encyklopedyczne, te same poglądy oświecone, to samo zamiłowanie do nauk i sztuk pięknych; jeżeli Stanisław August przewyższał go przenikliwością i giętkością dyplomatyczną, to ks. Adam poświęcał więcej czasu studjom poważniejszym. Co do zasobów woli, to także ks. Adam nie miał ich zanadto; nie odznaczał się, jak i Stanisław August, ani energją, ani stanowczością. Ale co do zasad moralnych, to te bądź co bądź ks. Adam miał wyższe i szlachetniejsze: nie pożerała go pozioma ambicja, w koronie nie widział jedynie splendoru zewnętrznego i zaspokojenia próżności, ale jednocześnie obowiązki, którym należy sprostać; posiadał godność osobistą i narodową; szlachetność wrodzona, poparta dumą wielkiego pana, czego właśnie brakło karjerowiczowi Poniatowskiemu, zabezpieczały go od takich poniżeń i upadków, jakie okryły hańbą panowanie Stanisława Augusta. Postawiony w warunkach, które musiał znosić ostatni król dawnej Polski, ks. Adam prędzejby zrzekł się tronu, niż tak go splamił, jak to uczynił Poniatowski.

Przejrzeliśmy wszystkich członków potężnej za Sasów «familji» — była ona, jak mówił Kayserling, «małą rzeczpospolitą karną, wśród wielkiej Rzpltej anarchicznej»; ale i w jej łonie żyły i trawiły się antagonizmy. Ks. August nie cierpiał Kazimierza Poniatowskiego, nawzajem do ks. Augusta zapałała gniewem Konstancja Poniatowska (skutkiem sprawy o szefostwo gwardji), a Konstancji Poniatowskiej nie znosiła Augustowa Czartoryska. Ale wszystkie te kwasy godzili: naprzód stara księżna, Kazimierzowa Czartoryska, później stary Stanisław Poniatowski, kasztelan krakowski; dopiero gdy oni pomarli, szeregi się nieco rozluźniły, zwłaszcza, że młodsze pokolenie dorastało i starało się emancypować z pod despotyzmu wujów. Zięć ks. kanclerza, Fleming, nie cierpiał drugiego zięcia jego, Sapiehy, a Sapieha nie dotrzymywał teściowi wierności politycznej. Najgorzej jednak omylono się na zięciu Poniatowskich, J. Kl. Branickim — liczono, że młoda i przystojna Izabella weźmie pod swój pantofel «familijny» podwójnego i starego już wdowca; stało się inaczej, i stosunek z Branickim był stałem utrapieniem «familji». A tymczasem czasy

nastały ciężkie, dawne fawory domu zmieniły się na niechęć, która miała doprowadzić wkońcu do zupełnego zerwania.

Od chwili małżeństwa Mniszcha z córką Brühla (1750 r.) wpływy dworskie «familji» zostały podkopane, ale jeszcze przez lat cztery stosunki się wahały. W r. 1752, po śmierci kanclerza Jana Fryderyka Sapiehy, Michał Czartoryski objął wielką pieczęć litewską, a mniejszą wydarł Brühlowi dla swego zięcia, Michała Sapiehy; wydarł — gdyż zagroził zerwaniem sejmu grodzieńskiego i potrzebą w takim razie powtórnej pielgrzymki do oddalonego Grodna. Czując grożące im niebezpieczeństwo, Czartoryscy chcą wzmocnić swe szeregi przez przeciągnięcie na swą stronę nowych sił, i w r. 1753 przykładają rękę do podziału ordynacji ostrogskiej. Zdawało się, że odtąd cała rodzina Lubomirskich, Małachowscy, część Sapiehów, Fr. Sal. Potocki, związani z «familją» wspólnem pogwałceniem prawa, staną w zwartym szeregu z «familją», a przynajmniej będą musieli z nią się liczyć. Rachuby zawiodły. Pierwszy uderzył na alarm nie kto inny, tylko zięć Branicki, jakoby z obowiązku swego urzędu hetmańskiego, a właściwie jako narzędzie wrogów «familji», a Brühl i Mniszech wymogli na Auguście III również nieprawną decyzję zasekwestrowania ordynacji bez sądu. Wojna ta o ordynację trwała lat cztery — sekwestr został cofnięty w r. 1758; ale Lubomirscy, Franciszek Salezy Potocki i Ignacy Sapieha nie dopisali i wypadło całą akcję oprzeć na własnej opozycji czynnej i, co gorsza, na interwencji rosyjskiej.

Z Brühlem, gdy chodziło o rzeczy osobiste, szło jeszcze jako tako; można go było przekupić za pośrednictwem Flеminga. Ale sprawy publiczne uległy ostatecznemu zabagnieniu; a była to chwila wielkiej doniosłości, czasy wojny siedmioletniej i zupełnej zmiany w ugrupowaniu mocarstw europejskich. W rezultacie cały program «familji» miał się oprzeć na interwencji rosyjskiej i na dążeniu do zdobycia korony dla jednego z swoich członków.

Przyznanie szlachectwa Brühla na trybunale piotrkowskim w r. 1748 było dziełem «familji». Gdy skutkiem Mniszcha stosunek Brühla do Czartoryskich od r. 1752 się zmienił, Czartoryscy zaczęli tego fałszywego kroku żałować. Już w r. 1759 między Michałem Czartoryskim a Brühlem wynikła ostra korespondencja: Czartoryski zarzucił Brühlowi naduży-

cie władzy, zasłanianie sobą osoby królewskiej, a Brühl w odpowiedzi, robiąc aluzje do dawnego przymierza z «familją», zapytywał go ironicznie, odkąd to Czartoryski przejrzał jego nadużycia, i czy nie widział ich, póki dystrybuta łask i wakansów szła przez jego ręce. W r. 1762 doszło do zerwania ostatecznego. Na sejmie, przy rugach posłów, wśród których figurował syn Brühla, Fryderyk, starosta warszawski, Stanisław August Poniatowski z decyzji «familji» zarzucił Brühlowi brak indygenatu polskiego; powstał tumult, który stał się przyczyną zerwania sejmu.

Słówko o ostatnich latach starych Poniatowskich. Stanisław Poniatowski w r. 1752 zasiadł na najwyższem krześle senatorskiem, został kasztelanem krakowskim. Ale odtąd usuwa się stopniowo od czynnego życia publicznego. Starzy Poniatowscy nie mieszkali we własnych dobrach (między innemi Stanisław Poniatowski kupił w r. 1746 klucz Jazłowiecki od Stanisława Lubomirskiego z linji przeworskiej), ale w Rykach, gdzie urządził sobie wygodną rezydencję. Ryki (w pow. garwolińskim) były starostwem niegrodowem, które posiadał Stanisław Poniatowski, a później syn jego, Kazimierz. Za Rykami przemawiało wygodne ich położenie, niedaleko od Warszawy, a także od Wołczyna i Puław.

Konstancja Poniatowska umarła w r. 1759, a starszy od niej o lat 20 Stanisław Poniatowski przeżył ją o trzy lata; umarł w Rykach w r. 1762; został pochowany w tamtejszym kościele.

W chwili śmierci Augusta III Michał i August Czartoryscy byli już starcami; Michał, jak wiemy, urodził się w r. 1696, a August w roku 1697. Ale starość to była krzepka, przy pełni władz umysłowych, popartych doświadczeniem długoletniem i energją zdumiewającą; szkoda, że zaciemniała je często zaciętość stronnicza.

Jeżeli na sejmie koronacyjnym w r. 1764 zostały przeprowadzone pewne reformy, zasługa to wyłącznie starych Czartoryskich. Nie zdawali sobie tylko sprawy z całego niebezpieczeństwa tak nieopatrznie sprowadzonej interwencji rosyjskiej. Liczyli, że potrafią Rosją kierować, zręcznie manewrując i usypiając jej czujność. Wprawdzie mieli wówczas do

czynienia z Kayserlingiem, człowiekiem zupełnie sobie oddanym; był to człowiek już wiekowy, jednych lat z Augustem Czartoryskim; posłował w Polsce już w czasie bezkrólewia, po śmierci Augusta II, i wtedy zaprzyjaźnił się z Stanisławem Poniatowskim, ojcem króla, i z Czartoryskimi, i to do tego stopnia, że, będąc zamiłowany w naukach, dawał młodemu Stanisławowi Augustowi lekcje logiki. Teraz został przez Katarzynę II przysłany do Polski z rozkazem wyniesienia na tron dawnego swego elewa.

Ale staremu Kayserlingowi dodany był do pomocy powinowaty i ulubieniec Panina, 29-letni wówczas generał-major, ks. Mikołaj Repnin. Z tym musieli Czartoryscy więcej się liczyć. W trzy tygodnie po elekcji Stanisława Augusta Kayserling umarł, i Repnin został wszechwładnym ambasadorem rosyjskim w Polsce.

Dwulecie od końca 1764 r. jest czasem zmagania się programu reformistycznego z niechętną dla tego programu polityką rosyjską; zmagania się wpływów na chwiejnego Stanisława Augusta z jednej strony Czartoryskich, z drugiej Repnina.

W pamiętnikach Stanisława Augusta znajdujemy liczne jego żale na zachowanie się wujów, zwłaszcza Augusta Czartoryskiego. Król twierdzi, że starzy Czartoryscy nie mogli mu darować zeskamotowania im korony, którą miał posiąść albo ks. August, albo ks. Adam, i że z tego powodu byli dlań niechętni i podkopywali jego popularność. Pozatem żądali, by król zupełnie i wyłącznie im ulegał [1]).

Nie może ulegać wątpliwości, że w oskarżeniach tych jest znaczna część prawdy; tylko że postępowanie Czartoryskich tłumaczy się nietylko względami osobistemi, ale również zawodem, doznanym w swych nadziejach politycznych. Zawód ten Czartoryscy zwalali w zupełności na Stanisława Augusta, nie chcąc się przyznać do własnych błędów. Chcieli przy pomocy Stanisława Augusta użyć Rosji za narzędzie swych planów, a tymczasem Rosja zawiodła i samego Stanisława Augusta uczyniła narzędziem planów rosyjskich. Fatalna orjentacja polityczna musiała sprowadzić skutki opłakane, i wprost naiwnie brzmi skarga starego księcia kanclerza, który

---

[1]) «Memoires» str. 516, 522, 525, 530, 531, 532, 553, 564, 565, i passim.

w r. 1767, po bankructwie polityki oparcia się o Rosję, miał powtarzać, że «on te drewka nanosił, a kto inny i w innej myśli je podpalił».

Bo też oparcie dzieła reform na interwencji zagranicy, a zwłaszcza państwa, które już oddawna czyhało na ujarzmienie Rzpltej, było wielkim błędem politycznym. Również błędem politycznym było interwencję tę łączyć z wyniesieniem na tron ekskochanka władczyni tego państwa interwenjującego, zwłaszcza, że Czartoryscy nie mogli nie wiedzieć o słabym charakterze swego siostrzeńca. Ale sprowadziwszy już to wszystko, należało z faktem dokonanym się liczyć i być mądrym choćby po szkodzie. Należało więc żyć zgodnie tak z Rosją, jak ze Stanisławem Augustem, a przedewszystkiem z własnym narodem. Ani jednej z tych rzeczy Czartoryscy nie potrafili.

Zamiast oparcia reform na siłach własnego społeczeństwa, Czartoryscy oparli wszystko na przemocy zewnętrznej; o zjednanie sobie opozycji wcale nie dbali. Działali terorem i przez to najzbawienniejsze swe reformy przed narodem zohydzili. «Oceniając mądrość polityczną Czartoryskich» — mówi Kalinka [1]) — «i otrzymane przez nich rezultaty, historyk nie może w sobie stłumić żalu, że po dokonanem zwycięstwie Czartoryscy twardszymi byli dla swych przeciwników, niż tego wymagał rozum stanu. Niedarmo żyli oni w kraju, którego znaczniejsze rodziny prowadziły z sobą od dwóch wieków walkę nieustającą. Ducha walki przenieśli do reformy Rzpltej, nim zatruli, jak słusznie Rulhière uważa, swoje dzieło, i pastwiąc się nad zwyciężonymi, siebie i swój triumf podkopali. Bo jeśli zrozumieć można potrzebę usunięcia do czasu ludzi, których nawyknienia anarchiczne, lub charakter zdziczały, przy niezmiernych dostatkach i wiekowym wpływie mogły stawić w początkach opór niebezpieczny, to niepodobna usprawiedliwić owej zaciętości, jaką partja królewska (t. j. właściwie Czartoryskich), okazała w chwili, gdy naród poddał się nowemu monarsze, a wygnańcy prosili, jak o łaskę, o możność powrotu. Ów Radziwiłł «Panie Kochanku», który przyszedłszy do pełnoletności, przez pięć lat ani razu

[1]) «Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta». Część I, str. 114, 115.

nie był trzeźwym, niebezpieczniejszym był bezwątpienia na wygnaniu, «jako ofiara despotyzmu», niż gdyby, wróciwszy na Litwę, żył bezmyślnie po swojemu... Nikt wojny domowej nie ukończył, nie podawszy dłoni przyjaznej zwyciężonym, a była to ze wszystkich wojen domowych najgorsza, bo prowadzona cudzoziemskim żołnierzem. Nie tajno było Czartoryskim, że kraj nie rozumiał wcale ulepszeń, których dokonali, że większość narodu dlatego tylko wobec nich przycichła, że poza niemi spostrzegała siłę Moskwy; mogli przewidzieć (jakoż przewidywali), że gdyby tej siły im zabrakło, z trudnościąby się utrzymała ich budowa. Było więc rzeczą naglącą, dokonawszy jakkolwiek reformy, starać się rozbroić niechęć i domowe przesądy nieprzyjaciół, a zwłaszcza wielkich rodzin, za któremi szedł kraj. Ale ze wszystkich najtrudniejsze jest podobno zwycięstwo nad samym sobą. Już Repnin mawiał, że «nigdy Czartoryscy nie szli razem z Potockimi»; nienawiść rodowa silniejsza była od rozumu stanu. A tak, choć stanął gmach rządowy, i wyszło z niego wiele zbawiennych postanowień, nie było w nim trwałości, bo nie miał poparcia w narodzie; zaciętość stronnicza pozostała w nim, jakby wyłom otwarty, przez który wdarła się doń wraz z anarchją już wszechwładna tym razem Moskwa».

Odpowiedzialność za tę politykę zaciętości ponoszą właśnie obaj starzy Czartoryscy, a nie Stanisław August. Ten przeciwnie wszelkiemi sposobami starał się o zjednanie opozycji, ale przez to wywoływał stale gniew i niezadowolenie swoich wujów; widzieli oni w tych staraniach króla jedynie chęć wyłamania się z pod ich wpływów i stworzenia sobie własnej, niezależnej od nich, partji [1]).

Cały stosunek starych Czartoryskich do Stanisława Augusta był z gruntu fałszywy, a dla dobra publicznego nad wyraz zgubny.

Wszelka polityka realna operować musi czynnikami istniejącemi; tylko w wypadkach wyjątkowych, gdzie wszelka taka kooperacja staje się niemożliwą, może być mowa o wstrzymaniu pracy politycznej, a wytężeniu wszystkich sił do zamiany czynników istniejących na inne; w tym ostatnim wypadku staje się rzeczą konieczną staranne obliczenie strat,

[1]) «Memoires», str. 522.

związanych z walką, i zapewnienie się, że te nie będą jeszcze większe od spodziewanych korzyści.

Już wielkim błędem «familji» była walka z Augustem III i Brühlem, nienagięcie się do sytuacji i przerzucenie się nietylko do opozycji, ale wprost do pracy dezorganizacyjnej przez nienawiść do dworu, Brühla i swych przeciwników politycznych. Hasłem Czartoryskich było: przeczekać gnuśnego Augusta III i przekupnego Brühla, i odłożyć reformy do nowego panowania.

Teraz na miejsce Augusta III mieli na tronie własnego siostrzeńca; przyczem wybór ten dokonany został z ich wolą i przy ich poparciu. Nie wolno więc było znów rozpoczynać dawnej frondy i znów narażać kraj na klęski niezgód domowych.

Wprawdzie okropną wadą Stanisława Augusta była jego słaba wola — ale należało go wszelkiemi sposobami podtrzymywać. Nieszczęsny król z ramienia Katarzyny, ale też z ramienia «familji», był jednak rzeczywistym królem Polski, czynnikiem, który ważył na losach państwa, często rozstrzygał. Nie marnego Stanisława Augusta Poniatowskiego, ale panującego króla polskiego należało otoczyć opieką i pieczołowitością, pozbawioną drażniącej impozycji, i nietylko chcieć, ale także potrafić nim kierować. Dla dobra publicznego należało miarkować swój ton wyniosły, liczyć się z usposobieniem i słabostkami króla, stać się podporą jego tronu, bo to był tron własnej ojczyzny.

Stanisława Augusta należy oceniać surowiej, niż to uczynił Kalinka, ale niepodobna nie zgodzić się z tym jego wytrawnym obrońcą, że w razie odpowiedniego podtrzymania ze strony własnych poddanych, okropny dramat tego ostatniego króla dawnej Polski mógł być złagodzony, a przez to dałoby się zażegnać wiele klęsk publicznych. A winę wrogiego stosunku narodu do Stanisława Augusta ponoszą w pierwszym rzędzie Czartoryscy.

Stanisław August był człowiekiem światłym i niewątpliwie miał zawsze dobre chęci, ale nie był stworzony nietylko na bohatera, ale nawet na działacza samodzielnego. Zdolny był do czynów szlachetnych, ale w każdej chwili, pod naciskiem wpływów, przerastających jego odporność, mógł popełnić najgorszą nikczemność. Był trzciną, gdy Polsce trzeba

było dębu. Należało tę trzcinę stale, wiecznie podtrzymywać, by nie narażać jej na złamanie.

Starzy Czartoryscy, a zwłaszcza ks. August, niecierpieli ulubieńców Stanisława Augusta. Zapewne — byli to ludzie małej wartości moralnej: starszy brat królewski, Kazimierz, Franciszek Rzewuski i Ksawery Branicki. Ale historja zna daleko gorsze upodobania monarchów, a przecież ludzie z tem musieli sobie dawać radę. Nie sztuka jest prowadzić politykę wśród okoliczności sprzyjających — czynny polityk powinien się zastosować do warunków istniejących i musi często dogadzać małostkom, ambicji lub chciwości ludzi, byle osiągnąć cel, do którego dąży.

Niekonsekwentny był również stosunek Czartoryskich do Rosji. Sami ją wezwali i rozzuchwalili, teraz zbierali tylko owoce własnej nieostrożności. Nie chcąc się jednak przyznać do błędu, prowadzili również względem Rosji małostkową frondę, tę frondę, która w naszych dziejach tak często psuła politykę, a miała zastępować prawdziwą opozycję. Zamiast zdecydować się na jedno z dwojga, walkę z Rosją, albo uznanie jej supremacji, starzy Czartoryscy w dalszym ciągu chcieli się na niej opierać, ale wciąż postępowali tak, jakby ta Rosja musiała im służyć, a nie odwrotnie. Ta naiwność polityczna razi w ludziach wytrawnych, jest jednak dalszą logiczną konsekwencją tego zaślepienia, z którem opierano u nas tak często politykę na bezinteresowności zagranicy, zamiast ją oprzeć w pierwszym rzędzie na sile własnej.

Nie umiejąc albo nie chcąc się przyznać do rzeczy tak oczywistej, jak ta, że przez swój udział w bezkrólewiu i w elekcji Stanisława Augusta Rosja uzyskała w Polsce stanowisko wyjątkowe i mogła już nie prosić, ale rozkazywać, starzy Czartoryscy nie w porę zaczynają chorować na samodzielność, chcą się układać z Rosją, jak równy z równym. Mobilizują przeciwko Rosji nie wojsko Rzpltej, ale słabego króla Stanisława Augusta, robią małostkowe trudności w wyznaczeniu granic, a w sprawie dysydentów bawią się w efektowne i na popularność obliczone *non possumus;* nie chcą się zniżyć do upokarzającej wprawdzie, ale już koniecznej roli patrzenia wciąż w oczy moskiewskiemu wielkorządcy.

Stanisław August gorzko skarży się w swych pamiętnikach na tę niezręczność polityczną swoich wujów i ówcze-

snych doradców. On sam bądź co bądź konsekwentniej zrozumiał swoją rolę, i nie raziło go to, że stale ze wszystkiego musiał się opowiadać mentorowi rosyjskiemu i wyszukiwać różne drogi dla otrzymywania jego zezwolenia. I właśnie przez to, że urodzony ten ultraugodowiec w chwili tak trudnej pozyskał w Czartoryskich nie rozumnych współpracowników, lecz jedynie gderliwych i napuszonych mentorów, właśnie przez to sytuacja, już bez tego tak groźna, wikłała się coraz bardziej i doprowadziła do zupełnego bankructwa akcji reformistycznej, do hańby radomskiej, do zamieszek konfederacji barskiej, a wkońcu do zupełnej prostracji narodowej w chwili pierwszego rozbioru.

Wszystko to, cośmy tu powiedzieli o starych Czartoryskich, dotyczy w pierwszym rzędzie ks. Augusta, który faktycznie kierował starszym swoim bratem, Michałem.

Książę Michał, będąc zniechęcony do króla, już w r. 1765 przeniósł się do siebie na wieś do Wołczyna i stamtąd przysyłał Stanisławowi Augustowi bardzo piękne listy (cytowane u Bronisława Zaleskiego w «Żywocie ks. Adama Jerzego Czartoryskiego»). Gdybyśmy o Czartoryskich mieli sądzić tylko z tych listów, musielibyśmy przekreślić wszystko, cośmy tu o nich powiedzieli. Niestety, ks. Michał był dialektykiem, niegorszym od Stanisława Augusta i, gdy się czyta pierwszego listy, a drugiego pamiętniki i korespondencję, należy być równie ostrożnym i nie dać się omylić piękną frazeologją.

Ks. August więcej pozostawał w Warszawie i więcej, tak bezpośrednio, jak też przez swe dzieci, syna i córkę, stykał się z królem. A pamiętać należy, że tak synowa ks. Augusta, księżna Adamowa, jak też córka, księżna Stanisławowa Lubomirska, były kochankami królewskiemi i, jako rywalki, nienawidziły się nawzajem [1]). Udział tych dwóch kobiet zapewne nie przyczyniał się do stworzenia pomiędzy królem a ks. Augustem atmosfery przyjaznej.

Jest rzeczą naturalną, że zadaniem dyplomacji rosyjskiej, jak również pruskiej, było dążyć do zupełnego zerwania między Czartoryskimi a królem. Faktycznie stało się tak

[1]) Oczywiście król w swych pamiętnikach był dyskretny i przyznaje się tylko do wielkiej dla swych kuzynek tkliwości, ale nawet z tego, co znajdujemy w tych pamiętnikach, pomijając inne źródła współczesne, możemy się domyślić istotnego stanu rzeczy.

już w r. 1766, i odtąd z pewnemi przerwami król i Czartoryscy prowadzą politykę niejednolitą, przyczem każda strona pragnie zdobyć sobie zaufanie Rosji, ta zaś, przerzucając się od Czartoryskich do króla, i odwrotnie, a od nich do opozycji, znajduje zawsze wśród samych Polaków fatalne narzędzia do przeprowadzania swoich planów.

W r. 1766, przed sejmem, mającym rozstrzygnąć żądanie Katarzyny nadania dysydentom pełni praw politycznych, Panin i Repnin starali się przeciągnąć Czartoryskich na swoją stronę, ale bezskutecznie; Czartoryscy wszelkiej pomocy w tej sprawie odmówili. Natomiast Stanisław August skłaniał się do ustępstw, mając nadzieję wzamian przeprowadzić cichaczem dalsze ograniczenie liberum veto. Czartoryscy byli zdania odmiennego i radzili tej sprawy narazie nie podnosić, bali się opozyzycji i obudzenia nowej podejrzliwości Rosji i Prus. W tym względzie mieli rację. Opozycja, jak wiadomo, zadenuncjonowała przed Repninem istotne znaczenie projektu królewskiego, jako dążącego do wzmocnienia Rzpltej. W rezultacie sprawa dysydencka pozostała niezałatwioną, a projekt królewski nietylko upadł, ale spowodował znany wniosek Wielhorskiego o zabezpieczeniu wolnego głosu, t. j. o zachowaniu liberum veto w całej jego rozciągłości. Czartoryscy, łudząc się, że tą drogą odzyskają zaufanie Rosji i zapobiegną dalszym żądaniom w sprawie dysydentów, zdecydowali się głosować za tym wnioskiem i za skasowaniem konfederacji, zawiązanej w r. 1764, której marszałkiem był ks. August [1]).

Oczywiście znów się omylili. Sprawy dysydentów Rosja się nie wyrzekła, owszem, dopiero teraz rozdmuchała ją na dobre. Uchwalenie zaś wniosku Wielhorskiego było początkiem zwalenia całego dzieła reform z r. 1764.

Nastała haniebna konfederacja radomska, intryga Rosji, oparta na nieubłaganej nienawiści opozycji do Stanisława Augusta i Czartoryskich. Ów Karol Radziwiłł, który przez zaciętość Czartoryskich zmuszony był tułać się po Europie, jako wygnaniec, teraz wracał do ojczyzny z ramienia Rosji, jako jej narzędzie, by na gruzach reform Czartoryskich utrwalić

[1]) Konfederacja jeneralna z r. 1764 zawiązaną została 23 czerwca 1764 r. przy końcu sejmu konwokacyjnego.

dawną anarchję w Rzpltej i poddać ją pod gwarancję imperatorowej.

August Czartoryski był przewodniczącym w komisji wojskowej. Nie chcąc mieć nic wspólnego z konfederacją, urząd ten złożył. Dopiero, gdy sam król na początku sejmu przystąpił do konfederacji, Czartoryscy zmuszeni byli uczynić to samo.

Ale Rosji sam akces nie wystarczał. Jej chodziło o to, by starzy Czartoryscy, jak inni, przyczynili się czynnie do poniżenia własnego kraju, by przyjęli udział w delegacji, mającej, pod dyktandem Repnina, ułożyć nową konstytucję i traktat gwarancyjny z imperatorową. Jak dalece o ten udział Repninowi chodziło, widać z jego manewru względem Michała Czartoryskiego. Ten, zapozwany przez Radziwiłła do sądów konfederackich, pozostawał pod kondemnatą, i z tego powodu nie miał prawa do sprawowania urzędu; była to dlań dobra sposobność, by pozostać zdaleka od wstrętnej roboty delegacyjnej. Otóż niewątpliwie z nakazu Repnina, Radziwiłł odegrał znaną komedję wspaniałomyślności, zjawił się z wizytą u ks. Michała i cofnął swą kondemnatę. W ten sposób zmuszono ks. Michała do udziału w delegacji; wyznaczono do niej również młodego ks. Adama.

Bolesny był widok tego starca, zmuszonego uczestniczyć w stypie długiej pracy swego żywota! Miał z gronem sterroryzowanych i spodlonych współrodaków obedrzeć ojczyznę z resztek jej udzielności i znaczenia!... Siedział milczący, zgnębiony, a gdy się zrzadka odezwał w rzeczach błahych i bez znaczenia, czuć było, że czynił to dla pozorów... pod grozą gwałtu ze strony strasznego Repnina.

A Repnin donosił tymczasem Paninowi: «Postrach, rzucony na sejm wzięciem biskupa krakowskiego i jego kolegów, zdziałał swoje... Byłem zmuszony do rzucenia na wszystkich tej grozy, głównie zaś na Czartoryskich, głośno rozgłaszając, że i ich wezmę, jeśli się przekonam, że intrygują przeciw projektowi. Tak to poskutkowało, że na sejmie żadnego protestu nie usłyszano, a Czartoryscy, nie mając odwagi sprzeciwić się, rozkazali księciu Adamowi przyjąć udział w delegacji». A nieco później pisze: «Czartoryscy zupełnie się już od króla odstrychnęli i żadnego wpływu na sprawy mieć nie będą; lecz zupełne ich wytępienie (iskorenienje) uważam za przeciwne naszym interesom. Nie trzeba dawać im przewagi

nad stronnictwem naszem, lecz należy ich zostawić jako straszydło (pugało), zapomocą którego będziemy silniej trzymać w ręku naszych stronników; bo jeśli ci stronnicy nie będą mieli żadnej obawy, to zechcą być, jak Czartoryscy, od nas niezależnymi».

Pomimo tych przedstawień, rozkazano Repninowi z Petersburga zmusić księcia kanclerza do złożenia urzędu. Na skutek tego żądania, cała rodzina Czartoryskich nastawała na ks. Michała, by się nie narażał carowej i ustąpił. Ale starzec odmówił stanowczo. «I tak nie wiem, co począć — pisał Repnin do Panina — nie wiem, czy mi się uda usunąć staruszka ze stanowiska; jeśli nie, to udawać będę, że się to stało z miłosierdzia imperatorowej».

By zrozumieć motywy tej pewnej bądź co bądź względności gwałtownego Repnina, należy sięgnąć do kroniki skandalicznej tej epoki. Oto ustęp z głośnych pamiętników ks. de Lauzun, późniejszego kochanka ks. Adamowej Czartoryskiej; zawiera on następujące wynurzenia księżnej Adamowej. «Ks. Repnin zakochał się we mnie, ale był źle przyjęty. Zaburzenia, które wybuchły w mojej nieszczęśliwiej ojczyźnie, dały mu sposobność dowieść, jak dalece byłam mu drogą. Mój mąż i nasi rodzice wzbudzili przeciwko sobie gniew imperatorowej, sprzeciwiając się jej żądaniom. Ks. Repnin otrzymał najsurowsze co do nich rozkazy. Rozkazów tych jednak nie wykonał. Oburzona imperatorowa znów wydała ks. Repninowi rozkaz uwięzienia książąt i zajęcia ich dóbr. Ks. Repnin miał życiem odpowiedzieć w razie niespełnienia tych rozkazów. Książęta byliby zgubieni. Ale wspaniałomyślny ks. Repnin miał odwagę nieposłuchać. Zdało mi się, że obowiązkiem moim było własną osobą nagrodzić tak wielkie poświęcenie. Powiem więcej. Choć oddawałam się przez wdzięczność, zdało mi się, że ustępuję z miłości. Pozostałam wkrótce jedynym skarbem ks. Repnina. Stracił on ambasadę, swą pensję i łaski imperatorowej, i temu, co swą rozrzutnością zadziwił całą Polskę, zostało zaledwie tysiąc dukatów dochodu».

Jeżeli pominiemy przesadę co do rozmiarów poświęcenia, przyczyn tego poświęcenia, oraz przyczyn odwołania Repnina (który tą przesadą starał sobie zaskarbić wdzięczność damy swego serca), reszta zgodna jest z prawdą. Gdyby nie zajęcie się Repnina ks. Adamową, Czartoryscy napewno ule-

gliby o wiele większym prześladowaniom ze strony Rosji, jak również swoich przeciwników politycznych. Stanisław August w swoich pamiętnikach wyraża się w ten sposób: «Możnaby się zapytać, jak się to stało, że Czartoryscy, tak bardzo zagrożeni w r. 1767, wkońcu tak mało ucierpieli. Nastąpiło to poczęści dzięki pewnym względom na osobę króla, poczęści wskutek zręczności wojewody ruskiego, który zawsze sobie przygotowywał jakieś drogi potajemne, wreszcie dzięki uprzejmości (amabilité) członków jego rodziny. Zresztą syn jego i brat, jako minister, podpisali z innymi członkami delegacji wszystko, co uchwalono na tym sejmie».

Mamy z tej właśnie epoki wizerunek ks. Michała Czartoryskiego, skreślony ręką ówczesnego rezydenta angielskiego przy dworze Fryderyka II, James'a Harris'a, późniejszego lorda Malmesbury [1]). Oto odnośny ustęp: «W owym czasie — pisze pamiętnikarz — często bywałem u kanclerza. Był to dla mniej istotnie imponujący obraz stałości i wielkości duszy, w jaki sposób znosił swoją przykrą dolę. «Nie otrzymałem swego urzędu od imperatorowej — mawiał — i dlatego wybaczy mi, że go nie złożę na jej życzenie. Jestem stary już bardzo, bardzo stary, i niewiele mi się złego stanie, jeśli mi skróci te dnie, które mi jeszcze pozostają. Honor mój zbyt mi na sercu leży, bym na schyłku życia, które, jak dotąd, śmiało to powiedzieć mogę, strawiłem na usługach mej Ojczyzny, zhańbił je czynem, któryby kraj mógł poczytać za tchórzostwo».

«Siedział starzec na skraju długiego stołu, otoczony swą rodziną i przyjaciółmi, i czynił honory z uprzejmością i swobodą, jakby mu nic nie zagrażało. Rozmawiał z gośćmi wymownie, wypytując cudzoziemców o zwyczaje i obyczaje ich krajów. Nie znać było na nim najlżejszego przymusu, nie wpadał nigdy w zadumę i spełniał swe kanclerskie czynności z niezmienną punktualnością».

Katarzyna, zajęta wojną z Turcją, pragnęła prędszego stłumienia partyzantki barskiej. System Repnina, oparty na terorze i gwałtach, uznany został dla chwili ówczesnej za nie-

[1]) Pamiętniki lorda Malmesbury zostały w r. 1846 wydane w Londynie pod tytułem: «Diaries and Corespondance». W języku niemieckim wyszły w r. 1848 pod tytułem: «Tagebücher und Briefwechsel».

odpowiedni. W kwietniu więc 1769 r., na miejsce Repnina, ambasadorem mianowany został ks. Wołkoński z poleceniem utworzenia przeciwko konfederacji barskiej, przy pomocy króla i Czartoryskich, przyjaznej Rosji kontrkonfederacji.

Starzy Czartoryscy politykowali. Nie chcieli występować przeciwko Barzanom, ale nie mówili tego zbyt głośno, nie zrywali z Rosją. Sami zamieszkali w Warszawie, gdzie czuli się bezpieczni i byli na oczach ambasadora rosyjskiego. Młodego ks. Adama wraz z żoną wyprawili w podróż zagraniczną i — czekali. Czekali razem z Barzanami na skutki wojny tureckiej, na możność pogodzenia się z opozycją i na wspólne wtedy wystąpienie przeciwko Rosji.

Otóż i ta polityka przyniosła najgorsze owoce, bo znów była błędną w samem swem założeniu. Fatalny grzech pierwotny oparcia się nie na własnym narodzie, ale na zagranicy, mścił się na Czartoryskich: z jednej strony sprowadzona przez nich Rosja zbyt mocno Polskę związała, by więzy te można było łatwo potargać, z drugiej, było rzeczą oczywistą, że ruch barski skierowany był zarówno przeciwko gwałtom rosyjskim, jak przeciw samym Czartoryskim. W takim stanie rzeczy wszelka połowiczna polityka była zabójczą. Przeciwnie, należało nie wyczekiwać, a otwarcie wybrać już jedną drogę; albo iść dalej z Rosją, utworzyć przy jej pomocy nową konfederację i tą drogą kraj uspokoić i co można dla niego wytargować, albo, pociągnąwszy za sobą króla, połączyć się z Barzanami i rozpocząć z Rosją walkę, opartą o cały naród. Dobrze pokierowana akcja ta mogła doprowadzić do zrzucenia gwarancji moskiewskiej, do pogodzenia narodu z królem i «familją». Ale trzeba odrazu powiedzieć, że na tę drugą alternatywę szans było niewiele. Ani zniewieściały król do tego się nie nadawał, ani zbyt dyplomatyzujący Czartoryscy. Było więc lepiej nie zrywać z Rosją i dążyć do uspokojenia kraju przy jej pomocy.

Zamiast tego Czartoryscy zabawili się w «opór bezsilny», jak to później określił Stanisław August; żałował on, że dał się wtedy powodować swoim wujom. Miał rację. Ten «opór bezsilny» rozdroczył tylko Katarzynę i wiele się przyczynił do jej zgody na pierwszy rozbiór. Najbardziej zaś oburzył Katarzynę wynik rady senatu z dnia 30 września 1769 r., na której, pod naciskiem Czartoryskich, postanowiono: wysłać posel-

stwa do gwarantów traktatu karłowickiego, t. j. do Anglji i Holandji, z prośbą o usunięcie wszystkich nieporozumień między Polską a Turcją, wysłać poselstwo do Rosji z prośbą o złagodzenie praw, zapadłych pod naciskiem gwałtów Repnina na sejmie 1768 r., i o usunięcie wojsk rosyjskich, wreszcie wysłać poselstwa także do innych dworów, jako gwarantów traktatu w Oliwie, z prośbą o przyczynienie się do uspokojenia Rzpltej. Należy najbardziej surowo ocenić całą tę niebezpieczną bufonadę polityczną; tak przemawiać można było tylko, zgromadziwszy wprzód 100.000 wojska. Ale wojować frazesami było cechą wszystkich narodów słabych, a Polaków w szczególności.

Zerwawszy z carową, Czartoryscy starali się zbliżyć do Barzan. Ale czynili to zdaleka i połowicznie, a w takich warunkach nie mogło być mowy o dobrych wynikach. A tymczasem ks. Wołkoński, odepchnięty przez Czartoryskich, zbliżył się do tak niecnych ludzi, jak Podoski i Wessel, i przez nich sam trafił do Barzan i podjudził ich przeciwko Czartoryskim. Świadczy to zapewne o słabych głowach łatwowiernych konfederatów, ale też nie dowodzi przezorności politycznej u Czartoryskich.

Tymczasem Katarzyna odmówiła przyjęcia posła, wysłanego do niej z rady senatu, i zaczęła się mścić nad głównymi jej uczestnikami. Przestała odpowiadać na listy Stanisława Augusta, a dobra trzech kanclerzy, Czartoryskiego, Borcha i Przezdzieckiego, oraz marszałka Lubomirskiego, uległy najazdowi wojsk rosyjskich; tylko kanclerz Młodziejowski został oszczędzony, jako zaprzedany zausznik Rosji.

Tak trwały rzeczy do końca 1770 r. Do Stanisława Augusta zaczęły dochodzić wieści o układach podziałowych. Czartoryscy jednak wieści te lekceważyli, uważając rozbiór za rzecz niemożliwą.

Na początku 1771 r. na miejsce starego i spokojnego Wołkońskiego mianowany został wybitny dyplomata, Saldern, człowiek zdolny, ale gwałtowny. W przekonaniu, że Wołkoński nie umiał się wziąć do rzeczy, zmienił taktykę; z pogardą odsunął się od niecnego prymasa Podoskiego i tak zaczął go prześladować, że ten uciekł z swoją kochanką do Gdańska, a zwrócił się znów do Czartoryskich. Ale ci i teraz odmówili współdziałania; nie wierząc w możność rozbioru kraju, nie

widzieli potrzeby chwytania się środków ostatecznych i zawiązywania nowej konfederacji. Sprowadziło to nowe na nich prześladowania, a ostatecznie zdecydowało Katarzynę do zawarcia układów podziałowych.

W cztery lata później stary ks. Michał zamknął oczy, w sierpniu 1775 r. Do śmierci nie złożył urzędu kanclerskiego, choć przez to zmuszony był podpisać traktaty podziałowe!...

Wdowa po nim, księżna Eleonora z Waldsteinów, «pani nabożna i święta», jak ją nazywa Matuszewicz [1]), przeżyła go o lat kilkanaście; dokładna data jej śmierci jest niewiadoma; żyła jeszcze w r. 1792 [2]).

Ks. August w sejmie rozbiorowym udziału nie przyjmował, a to ze względu, że jego województwo ruskie odeszło już było do Austrji. Usunął się zupełnie od spraw publicznych, ale mieszkał zwykle w Warszawie, gdzie prowadził dom otwarty i chętnie przyjmował odwiedzających go, swoich i cudzoziemców. Umarł dopiero w r. 1782. Nie chorował wcale, tylko na kilka dni przed śmiercią uczuł się słabszym; pomimo to trybu życia nie zmienił i przyjmował gości. W dniu śmierci zaniewidział, a gdy go odwiedził nuncjusz, odbył przed nim spowiedź i wszystkich domowników do siebie powołał; zacząwszy odmawiać modlitwy za nuncjuszem, cicho skonał.

Po jego śmierci Stackelberg powtarzał, że niema przed kim zdjąć kapelusza w Warszawie.

Zofja z Sieniawskich Augustowa Czartoryska o wiele wyprzedziła męża — umarła jeszcze w r. 1771.

O młodości Adama Kazimierza Czartoryskiego już mówiliśmy. Urodzony w r. 1734, umarł dopiero w r. 1823, należał więc do trzech epok: saskiej, stanisławowskiej i porozbiorowej. Gdy dla ostatniej był tylko pięknym i szanownym okazem dawnej oświeconej części magnaterji polskiej z końca XVIII w., za panowania Stanisława Augusta, szczególniej po roku 1775, t. j. po śmierci księcia Michała i usunięciu się z widowni politycznej ks. Augusta, odegrywał wielką rolę polityczną; wprawdzie nie miał do niej ani upo-

---

[1]) «Pamiętniki», tom III, str. 88; tom IV, str. 232.

[2]) B. Zaleski: «Żywot ks. Adama Czartoryskiego», str. 280.

dobania, ani zdolności odpowiednich, ale jako pan ogromnej fortuny, jako spadkobierca nazwiska i sławy starych Czartoryskich, wreszcie jako bliski kuzyn króla, nie mógł stać na uboczu i stale był wysuwany do różnych robót publicznych. W braku samodzielności, kierowany był głównie przez dwie najbliższe mu kobiety, żonę i siostrę, obie z początku czułe przyjaciółki Stanisława Augusta, później nieubłagane jego przeciwniczki.

Podobny z usposobienia do Stanisława Augusta, również jak ten światły, oczytany i wypolerowany na modłę europejską, pozbawiony silnej woli, różnił się od swego królewskiego kuzyna brakiem tej małostkowej ambicji i tej żądzy błyszczenia, które stanowiły istotę charakteru Poniatowskiego, a które trąciły parwenjuszostwem wobec wielkopańskiej dystynkcji ks. Adama.

Różnił się też ks. Adam od ojca i stryja. Gdy ks. August dumnem i chłodnem obejściem, a ks. Michał uszczypliwem słowem, zrażali sobie często ludzi, a przez swą zaciętość stronniczą wywoływali wprost fanatyczną nienawiść w swych przeciwnikach politycznych, o ks. Adamie powiadano, że nieprzyjaciół nie miał a popularność w narodzie zachował przez cały ciąg swego 89-letniego żywota. «I nie rozkarmiał, ani upajał szlachty, jak niejeden jeszcze z ówczesnych jej ulubieńców; sam osobiście szumnych biesiad nie lubił, stół jego nawet zawsze był skromny, niewykwintna piwnica. Wiadomo, że dowcip jego nie był ani tak rubaszny, ani dziwaczny, a prawie wschodnią fantazją zaprawiony, jak księcia «Panie Kochanku», był owszem zawsze miły, wykwintny, trzymający swawolę na złotem, jak się wyrażano, wędzidle, a nie raniący nikogo; nazywał go żartobliwością, którą sam w prostej linji od prawdy wywodził, czyniąc ją wnuczką zdrowego rozumu, a wesołości córką; to też swobodę duszy i umysłu zachował do końca wobec najrozmaitszych wypadków, jakich w długiem swem życiu był świadkiem, a dowcipne jego słowa obiegały całą Polskę i były powtarzane w dworach i dworkach szlacheckich. Podobnie do księcia kanclerza, stryja swego, mnóstwo szlachty znał po nazwisku i imieniu, o sprawach domowych chętnie z nimi rozprawiał, a chociaż powtarzano, że przyciskając do piersi brać sejmikową, guzy swojego ubrania i ordery na ich szlacheckich wyciskał obliczach i tem się ba-

wił, ponieważ jednak potrzebującym z szeroką zawsze śpieszył pomocą, dostępnym był dla wszystkich i w obejściu łatwym, więc serca ludzkie niewolił i chętnie mu pańskość jego przebaczano» [1]).

Niepodobny też był ks. Adam Kazimierz do najpatrjotyczniejszego przedstawiciela swego rodu, do syna swego, Adama Jerzego; niepodobny zwłaszcza z charakteru swego patrjotyzmu. W trzech następujących po sobie pokoleniach słabła stopniowo duma możnowładcza, rósł patrjotyzm ofiarny, topniała pod wrażeniem wielkich kataklizmów oschłość serca przy dominującym intelektualiźmie. Ks. Adam Kazimierz w tej miłości ojczyzny o wiele został prześcignięty przez swego syna, ale sam już więcej rządził się uczuciem od swego ojca i stryja, był pomiędzy nimi ogniwem przejściowem.

Ks. Adam Kazimierz znany był powszechnie pod mianem ks. jenerała ziem podolskich. Tytuł ten przysługiwał posiadaczom dwóch starostw podolskich, kamienieckiego i latyczowskiego. Otrzymał je był, za zgodą króla, od ojca w roku 1758, i odtąd o żadne godności się nie ubiegał; został tylko w r. 1768 komendantem korpusu kadetów i w r. 1777 jenerał-lejtnantem wojsk litewskich. Oprócz tego z powodu podwójnego poddaństwa (po odpadnięciu Galicji) został w Austrji w r. 1781 jenerałem-feldzeugmeistrem, a daleko później (w r. 1805) feldmarszałkiem.

Dziedziczna fortuna ks. Adama, którą otrzymał po ojcu (z działu z siostrą, Elżbietą Lubomirską), po stryju i po teściu, Flemingu, była ogromna. Należały do niej: w Lubelskiem — Puławy, Przybysławice, Garbów i Tarnogóra; pod Warszawą — Powązki; na Podlasiu — Terespol i Międzyrzec; na Podolu w powiecie latyczowskim — ogromne klucze sieniawski, nowokonstantynowski, międzybożski i zińskowski; również na Podolu w pow. płoskirowskim — klucz mikołajowski, a w pow. hajsyńskim — klucz granowski; na Wołyniu — dobra klewańskie; w Galicji — dobra Sieniawa, Jarosław, Wysock i Oleszyce; wreszcie na Litwie — Wołczyn i 63 wsie w trzech kluczach. Oprócz tego, po teściu Flemingu odziedziczył znaczne kapitały. Fortuna ta ustępowała tylko radziwiłłowskiej, a równoważyła się z fortuną Szczęsnego Potockiego,

[1]) Bron. Zaleski: «Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego».

lub ją nieco przewyższała. Pomimo to, dochody, wynoszące przeszło 3 miljony złp., często nie wystarczały na wystawne życie, podróże kosztowne i wrodzoną hojność ks. Adama i jego żony — w chwili trzeciego rozbioru dobra ich obciążone były długami na sumę około 12 miljonów złp.

Stroniąc od polityki i od interesów majątkowych, ks. Adam oddawał się z zamiłowaniem naukom i literaturze. Wiadomości miał encyklopedyczne i mówił z łatwością, oprócz języka polskiego i francuskiego, także po niemiecku, po angielsku, po włosku, po rosyjsku i po łacinie. Znał się na książkach i był wielkim bibljofilem. Pióro miał łatwe. Napisał, prócz znanego «Katechizm dla kadetów», kilka komedyj, «Listy Doświadczyńskiego» i «Myśli o pismach polskich». Gdy podróżował po kraju (a dwór jego stanowił całą karawanę wozów, powozów i jeźdźców), miał zwykle z sobą bibljotekę, którą w skrzyniach niosło na sobie kilka wielbłądów.

Jako kierownik korpusu kadetów, ks. Adam czynny był bardzo; na tem polu położył wielkie zasługi; kierunek, nadany korpusowi, był wysoce patrjotyczny.

W r. 1782 zgodził się przewodniczyć trybunałowi wileńskiemu i na tem stanowisku odznaczył się wzorową bezstronnością.

Najsłabszą stroną ks. Adama była polityka. Okazało się to najlepiej po roku 1775, po śmierci stryja i usunięciu się ojca od spraw publicznych. Gdy do tego czasu był tylko narzędziem w ręku stryja i ojca, odtąd działa niby samodzielnie, ale właściwie pod wpływem otoczenia, zwłaszcza, jakeśmy to już wspomnieli, żony i siostry.

Złe stosunki starych Czartoryskich z Stanisławem Augustem nie mogły nie oddziaływać również na zachowanie się księcia Adama; nie mógł też nie wiedzieć o czułościach króla względem swej żony i siostry.

Przytoczymy tu wyjątek z pamiętników Stanisława Augusta. Stosuje się on do końca 1764 r., kiedy Stanisław August dopomógł młodym Brühlom do otrzymania indygenatu polskiego i pozostawił ich przy niektórych urzędach. Względność swą tłumaczy Stanisław August poczęści motywami politycznemi, bo Fryderyk Brühl był zięciem Fr. Sal. Potockiego, poczęści słowem, danem w tym względzie Kayserlingowi, wreszcie pamięcią na dawną przyjaźń, okazywaną Poniatowskim

przez matkę młodych Brühlów. Ale względność ta wywołała niezadowolenie tak starych Czartoryskich, którzy w niej widzieli chęć króla zbliżenia się do ich wrogów, Potockich, jak też ks. Adama, który wówczas podejrzywał swą żonę o zajęcie się Fryderykiem Brühlem. «Wytłumaczono ks. Adamowi — pisze Stanisław August — że to jego żona nominację tę wyrobiła u króla». Licząc na znaną prawdomówność króla, ks. Adam przyszedł wprost do niego i zapytał: «Czy to prawda, że urząd dla Brühla wyprosiła moja żona na współkę z księżną Poniatowską (z domu Kińską), będącą z nim w zażyłych stosunkach». Król odpowiedział tak, jak było w rzeczywistości: «Moja bratowa raz tylko jeden mówiła mi o Brühlu, i to w sposób zupełnie ogólnikowy, prosząc jedynie, bym miał nad nim trochę litości, a twoja żona nawet mi o tem nie wspominała». Tu król powinien był się zatrzymać, tymczasem uniesiony szczerością, dodał: «Wiem, że ci podsuwają powody do zazdrości względem Brühla, ale najniesłuszniej. Wiesz przecie, ile razy chciałeś, bym się wstawiał za twą żoną i przed twym ojcem i przed twą siostrą i w ten sposób zażegnywał wasze nieporozumienia domowe. Otóż to wzbudziło w niej dla mnie pewne uczucie wdzięczności, które ją przywiązuje do mnie więcej, niż do kogo innego, chociaż w sposób w niczem nie ubliżający jej powinnościom». Tutaj należy dodać, że w czasie bezkrólewia, kiedy ks. Lubomirska, siostra ks. Adama strasznie dokuczała swej bratowej i podburzała przeciw niej swego ojca, a ks. Adamowa przez nieśmiałość nie umiała sama za sobą przemówić, król, wówczas jeszcze stolnik litewski, często wspierał ją radą, układał jej listy, a nawet pewnego razu w Puławach wymógł na ks. Lubomirskiej, że się udała do pokojów bratowej wówczas chorej, by się z nią pojednać. Chociaż wszystko to nie pomogło, z powodu nieprzezwyciężonej antypatji ks. Lubomirskiej do swej bratowej, przywiązanie ks. Czartoryskiej do stolnika rosło z dniem każdym. Zdarzyło się raz, że wszedłszy niespodzianie do jej pokoju, zastał ją, jak stojąc przed zapylonem zwierciadłem nad kominkiem, wypisywała na niem palcem jego imię. Spostrzegłszy stolnika, powiedziała: «Jeżelibyś nawet nie miał dla mnie uczucia, powinienbyś jednak choć trochę mię kochać przez samą wdzięczność». Sam mąż jej do tego stopnia przyzwyczaił się widzieć w stolniku, a później królu, najlepszego

przyjaciela swojej żony, która nie miała jeszcze 22 lat, że bardzo często przyprowadzał ją wieczorem na zamek i posyłał ją samą do pokojów króla, przekonawszy się wprzód, czy niema tam jego siostry (ks. Lubomirskiej); gdy ta tam była, zabierał żonę gdzie indziej, i przyprowadziwszy ją znów za godzinę, gdy u króla już nie było nikogo, sam odchodził. Co dawało królowi do myślenia, że jego kuzyn, zabawiając się gdzie indziej, sam chciał, by jego żona bawiła się u króla. A jednak powyższe, zbyt szczere wyznanie (o przywiązaniu ks. Adamowej do króla) boleśnie dotknęło ks. Adama i ochłodziło go bardzo do króla. Jednocześnie inne damy, które były z nim w stosunkach, oskarżały przed nim jego żonę, że nie jest z nim szczerą, nigdy jednak nie zdołały doprowadzić go do skandalu. Przeciwnie, całe życie był on poufałym przyjacielem swojej żony i najwyrozumialszym mężem» [1]).

Przytoczyliśmy cały ten ustęp, gdyż odzwierciedla się w nim stosunek wzajemny króla, księcia Adama, księżny Adamowej i ks. Stanisławowej Lubomirskiej. Dwie te rywalki, później obie zaniedbane, połączą się w przyszłości w wspólnej nienawiści do ukoronowanego kochanka.

Na tej drodze nienawiści, owe dwie kobiety, mogące przez swą bliskość mieć stały wpływ na księcia Adama, znalazły w r. 1775 nowego sprzymierzeńca w osobie dawnego powiernika, przyjaciela i pierwszego faworyta Stanisława Augusta, hetmana Ksawerego Branickiego. Stał się on w owym czasie nieubłaganym przeciwnikiem króla, bo uzyskał był odeń wszystko, co ten w stanie był mu ofiarować, a więc urząd najwpływowszy w Rzpltej i majątek iście magnacki, ogromną Białocerkiewszczyznę. To też powód do nienawiści był zupełnie błahy; chodziło o uszczuplenie władzy hetmańskiej przez ustanowienie Rady Nieustającej.

Stosunki stronnicze w Rzpltej uległy w owym czasie zmianie radykalnej. Antagonizm dwóch możnych rodzin, Czartoryskich i Potockich, który od prawie pół wieku był osią wszystkich stałych zatargów, ustał; ustał — pod wpływem wspólnej niechęci do króla. Król poważył się usamowolnić się od rządów «familji», natomiast do składu «familji» wstąpiło aż trzech Potockich: Ignacy, Stanisław i Jan, wszyscy

[1]) «Memoires», str. 527—529.

przez zaślubienie wnuczek ks. Augusta Czartoryskiego, a córek Elżbiety Lubomirskiej; Ignacy Potocki ożenił się w r. 1772, brat jego Stanisław w r. 1776, wreszcie Jan Potocki w r. 1783. Król pozostał samotny, przy jednym tylko przyjacielu, nie licząc własnego rodzeństwa, a był nim — hr. Stackelberg, ambasador Katarzyny!...

Czartoryscy i Potoccy, pogodziwszy się z sobą, pogodzili się też z człowiekiem, którego wspólnie dawniej nienawidzili — z Ksawerym Branickim. A darowali mu dawne jego winy w imię tej jednej zasługi, że również przeszedł do bezwzględnej opozycji względem znienawidzonego króla.

W tej w ten sposób zjednoczonej opozycji, raczej osobistej, niż programowej, ks. Adam odegrywał rolę dość smutną; był często pionkiem w ręku warchoła Branickiego, i narzędziem furji dwóch obrażonych kobiet, żony i siostry.

W r. 1775 widzimy ks. Adama, a po nim Branickiego, podążających do Moskwy, by u przebywającego tam dworu Katarzyny zabezpieczyć sobie protekcję przeciwko królowi i Stackelbergowi. W rok później ks. Adam zajęty jest agitacją przedsejmową i przeprowadzeniem na Litwie posłów opozycyjnych — jeździ od dworu do dworu w stroju narodowym, z pistoletami za pasem i szablą przy boku, i kaptuje głosy szlachciców, a chcąc działać przez ich żony, prowadzi za sobą wóz, naładowany różną galanterją. Taką samą agitację prowadził naówczas Branicki na Ukrainie. Wysiłki te pozostały jednak bez skutku; posłów opozycyjnych udało się przeprowadzić niewielu, a sejm, otworzony pod węzłem konfederacji, wzmocnił jeszcze stanowisko króla i ambasadora, a hetmanów w zupełności poddał pod wpływ departamentu wojskowego.

«Familja», składająca się teraz ze starego ks. Augusta, który, choć oficjalnie usunąwszy się od spraw politycznych, niewątpliwie jednak nie pozostał na nie bez wpływu, z jego syna, ks. Adama, z jego zięcia, Stanisława Lubomirskiego, i z zięciów tego ostatniego, Ignacego i Stanisława Potockich, szukała teraz oparcia w Austrji. Zupełne bankructwo orjentacji rosyjskiej kazało szukać dróg nowych, a zetknięcie się z wyższemi sferami austrjackiemi, skutkiem posiadania przez Czartoryskich znacznych dóbr w Galicji, dawało sposobność zwrócenia się w stronę Wiednia. Tylko wyraźna wstrzemię-

żliwość Austrji do wtrącania się do spraw Polski stawała na przeszkodzie do utworzenia wyraźnego stronnictwa austrjackiego, z programem osadzenia na tronie polskim jednego z arcyksiążąt; a wstrzemięźliwość ta wypływała z obawy narażenia się Katarzynie, o której względy Józef II stale się dobijał, pragnąc w ten sposób odsunąć Rosję od znienawidzonego króla pruskiego.

W r. 1781 ks. Adam został kapitanem gwardji szlacheckiej galicyjskiej i austrjackim jenerałem-zbrojmistrzem. Ale należy dodać, że, przyjmując te urzędy, otrzymał od Józefa II zapewnienie, że jego służba austrjacka nie będzie go krępowała, jako obywatela Rzpltej; to też pełnił ją raczej tylko honorowo i pozostawał zwykle w kraju.

Na sejmie 1782 r., zaburzonym przez opozycję sprawą Sołtyka, ks. Adam, będąc posłem wileńskim, sam głosu nie zabierał, ale zato występował przeciwko królowi, wspólnie z Branickim, Stanisław Potocki, członek, jak wiemy, «familji», przez swe małżeństwo z siostrzenicą ks. Adama.

W r. 1784, na sejmie w Grodnie, dokąd zjechał Stanisław August z prośbą do stanów o zapłacenie jego długów, gwałtownie występowali przeciwko królowi: Szczęsny Potocki i — członek «familji», Ignacy Potocki.

Wreszcie długo tłumiona niechęć wybuchła w r. 1785 głośnym skandalem w znanej sprawie Dugrumowej. Sprawy tej opisywać tu nie będziemy, przypominamy tylko, jak śmieszną w gruncie rzeczy odegrał tam rolę człowiek tak bądź co bądź inteligentny, jak ks. Adam, i jak dał się tam powodować dwóm swym Egerjom, żonie i siostrze. Dopiero po niewczasie oprzytomniał i zapewne żałował swej łatwowierności, ale, jako człowiek słaby, nie chciał się przyznać do błędu. Choć pogodził się z królem, pozostał jednak dalej cichym jego przeciwnikiem. A sprawa ta kosztowała «familję» przeszło dwa miljony złp!... Przyjęła w niej udział, oprócz ks. Adamowej i ks. Lubomirskiej, także trzecia potęga kobieca, hetmanowa Ogińska, siostra stryjeczna ks. Adama.

Wiemy, jak fatalnie odbiła się na losach Rzpltej nienawiść do Stanisława Augusta opozycji możnowładczo-szlacheckiej w latach 1764—1772, i jak szkodliwą była niechęć osobista dla króla starych Czartoryskich. Niemniejsze straty poniosła sprawa narodowa przez niechęć do króla tej opozycji

koalicyjnej z lat 1775—1790, w którą, obok Branickiego i Potockich, wchodziła także «familja» z firmowym jej przedstawicielem, ks. Adamem. Wprawdzie z opozycji tej wyłoniło się później na sejmie Czteroletnim stronnictwo patrjotyczne, ale właśnie wiele błędów tego stronnictwa miało swe źródło nietylko w pierwotnym sojuszu z staremi żywiołami anarchicznemi, ale również w niepohamowanej niechęci jego przywódców do króla, górującej ponad wszelkiemi względami na dobro publiczne. A wina tej szkodliwej polityki nie może nie spadać na ks. Adama Czartoryskiego, którego stanowisko, dając mu wpływ na sprawy krajowe, wkładało też nań wielką odpowiedzialność.

Przed samym sejmem Czteroletnim Stanisław August szukał sposobów, by się jakoś porozumieć z ks. Adamem i zażegnać przewidywaną z jego strony działalność opozycyjną. W tym celu musiał się uciec, niestety, do interwencji obcych. Na przedstawienie Stackelberga, rząd rosyjski prosił kanclerza austrjackiego o wpłynięcie na ks. Adama. «Aby pohamować warcholstwo Branickiego — pisze Kalinka [1]) — potrzebny był wyraźny rozkaz Katarzyny; aby Szczęsnego Potockiego, który w wielu sprawach z królem był zgodny, nakłonić do jednostajnego z nim działania, potrzebna była instrukcja Potemkina; aby wreszcie ks. Czartoryskiego ugłaskać i zbliżyć do Stanisława Augusta, potrzebna była nauka od kanclerza austrjackiego».

Ks. Kaunitz dał odpowiednie wskazówki rezydentowi austrjackiemu w Warszawie, p. de Caché; miał on przedstawić ks. Adamowi i wogóle posłom, mającym dobra w Galicji, konieczność zgodnej na sejmie pracy. «Przyszły sejm pokaże — pisał z tego powodu kanclerz austrjacki — czego Rzplta po sobie samej spodziewać się może. Jeżeli prywatne zawiści wezmą znowu górę nad interesem publicznym, jeżeli chęć wzajemnego dokuczania zagłuszy potrzebę zgody, Rzplta postawi się sama nad brzeg przepaści, od której jej pewno nie zasłonią patrjotyczne uczucia pięknemi wypowiedziane słowy».

Ks. Kaunitzowi chodziło o zabezpieczenie sejmu od podszeptów pruskich, gdyż wiadomą było rzeczą, że król pruski

[1]) Kalinka: «Sejm czteroletni». Tom I, wyd. IV, str. 148.

werbował już sobie stronników w Polsce, a w ich rzędzie członków «familji».

Właśnie przed samym sejmem spotkali się na wodach w Pyrmoncie ks. Adam, jego siostra, marszałkowa Lubomirska, i Ignacy Potocki z córką króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma, i utrzymywali z nią bardzo bliskie stosunki towarzyskie; Ignacy Potocki był z wyróżnieniem przyjmowany w Berlinie przez dwór pruski. Dwór ten posiadał wśród członków rodziny ks. Adama gorących zwolenników: ks. Ludwika Wirtemberskiego, jako męża starszej córki ks. Adama, i ks. Adamową, która marzyła o uzyskaniu przy pomocy Prus korony polskiej bądź dla zięcia, bądź dla starszego syna, Adama.

Sejm Czteroletni rozpoczął swą działalność, jak wiemy, od burzenia. Zniósł departament wojskowy, funkcje departamentu spraw zagranicznych przeniósł na deputację sejmową, wreszcie skasował całą Radę Nieustającą. Innemi słowy, zburzył cały rząd Rzpltej; a zburzywszy ten rząd, jako stworzony na sejmie podziałowym 1773—5 r. przez dwa lata nie stworzył wzamian innego, gdyż trudno nazwać rządem samodzielne komisje i deputacje, zależne wyłącznie od sejmu i niczem z sobą nie związane. A wszystko to stało się w pierwszym rzędzie z niechęci osobistej przywódców sejmowych do osoby Stanisława Augusta.

Dopiero stopniowo, powoli, przywódcy stronnictwa patrjotycznego zaczęli się zbliżać do króla. Rezultatem tego zbliżenia była ustawa 3 Maja. Ale jednocześnie (jak to często u nas bywa) wpadnięto w drugą ostateczność; posunięto zaufanie do Stanisława Augusta tak daleko, że gdy wybuchła wojna z Rosją, oddano właśnie temu ultraugodowcowi naczelne dowództwo nad wojskiem! Tak więc stosunek przywódców sejmowych do króla, najprzód zbyt wrogi, później zbyt przyjazny, wypływał z pobudek nietyle politycznych, ile osobistych i uczuciowych. A jeżeli zgrzeszył w tym względzie przedewszystkiem Ignacy Potocki, to grzech ten w pewnym stopniu obarcza również ks. Adama, choć należał on zawsze w swem stronnictwie do kierunku umiarkowanego.

Bardziej szczegółowy pogląd na błędy stronnictwa patrjotycznego na sejmie Czteroletnim podamy w innem miejscu, gdy mówić będziemy o głowie tego stronnictwa, Ignacym Potockim.

Na początku 1792 r. ks. Adam wysłany został, jako poseł, do Drezna, do elektora saskiego; chodziło o skłonienie elektora do wyraźnego przyjęcia następstwa tronu w Polsce. Jak wiadomo, starania te nie osiągnęły skutku, i ks. Adam otrzymał same tylko ogólniki.

Gdy wybuchła wojna z Rosją, starszy syn ks. jenerała, wówczas ks. Adam Jerzy, walczył w wojsku litewskiem, z początku pod dowództwem swego szwagra, ks. Wirtemberskiego, później Judyckiego i Zabiełły.

Gdy Stanisław August przystąpił do Targowicy, ks. Adam wyjechał z całą rodziną zagranicę i bawił głównie w Wiedniu. W powstaniu kościuszkowskiem jawnego udziału nie przyjmował, ale zdaje się pokryjomu dopomagał mu pieniężnie.

Po trzecim podziale przeważna część dóbr ks. Adama znalazła się w kordonie rosyjskim. Groziła konfiskata. Tylko dzięki poparciu dworu austrjackiego i ówczesnego wielkorządcy Litwy, ks. Repnina, katastrofa ta majątkowa dała się odwrócić w ten sposób, że synowie ks. Adama, Adam i Konstanty, zmuszeni byli udać się do Petersburga na dwór imperatorowej, i ta dobra te po niejakim czasie kazała zwrócić, ale nie ojcu, tylko synom.

W r. 1805 odwiedził Puławy cesarz Aleksander I — stary ks. Adam miał wówczas już 71 lat. Aleksander, mistrz w kokieterji politycznej, ucałował rękę starca, będącego emblematem starej Polski i ojcem przyjaciela cesarskiego.

W 1809 r. Puławy weszły w obręb Księstwa Warszawskiego. Wtedy przyjmowano tam króla saskiego, ks. warszawskiego, tego samego, który w r. 1792 nie chciał się dać nakłonić ks. Adamowi do przyjęcia następstwa tronu w Polsce.

28 czerwca 1812 r., w chwili zaczynających się zapasów Napoleona z Aleksandrem I, ks. Adam, jako patrjarcha polski, został marszałkiem konfederacji jeneralnej królestwa polskiego. Syn jego młodszy, Konstanty, był wtedy pułkownikiem w wojsku polskiem, a syn starszy, Adam Jerzy (który, jak wiadomo, był czas jakiś ministrem spraw zagranicznych rosyjskim), przebywał zagranicą i stamtąd, w lipcu 1812 r., podał się do dymisji ze służby rosyjskiej (dymisji tej, jak wiadomo, nie otrzymał). Po kongresie wiedeńskim w r. 1815 ks. jenerał przyjmował znów cesarza Aleksandra u siebie w Sie-

niawie, a w r. 1817 po raz ostatni widział się z Aleksandrem I w Międzyrzecu.

Ponieważ w r. 1817 nastąpił ślub ks. Adama Jerzego, ojciec ustąpił mu mieszkania w Puławach i odtąd na stałe zamieszkał w Sieniawie, gdzie też umarł w r. 1823, mając lat 89. Nadługo przed śmiercią stracił pamięć i poznawał tylko starszą córkę, ks. Wirtemberską.

Ciało ks. jenerała ziem podolskich sprowadzone zostało przez rodzinę do Warszawy, gdzie w. ks. Konstanty, przez wzgląd, że nieboszczyk był feldmarszałkiem austrjackim, kazał urządzić odpowiednią żałobną paradę wojskową i sam pieszo szedł za trumną.

Ks. Adam Kazimierz pozostawił czworo dzieci: synów — Adama Jerzego i Konstantego, i córki — Marję, rozwódkę z ks. Wirtemberskim, i Zofję Zamoyską. Majątek swój podzielił w r. 1812 w ten sposób: ks. Adam Jerzy otrzymał Puławy, Sieniawę w Galicji, dobra międzybożskie i granowskie na Podolu i część dóbr na Litwie; ks. Konstanty — dobra międzyrzeckie i terespolskie na Podlasiu, dobra klewańskie na Wołyniu, klucze Sieniawę i Nowy Konstantynów na Podolu, dobra wołczyńskie na Litwie, Jarosławszczyznę w Galicji i Tarnogórę w Lubelskiem; ks. Wirtemberska — Przybysławice i Garbów w Lubelskiem, dobra wysockie w Galicji, klucze zińkowski i mikołajowski na Podolu; wreszcie Zofja Zamoyska — dobra włodawskie na Podlasiu, różne dobra pod Warszawą, dobra Oleszyce w Galicji i część dóbr litewskich.

Żona ks. Adama Kazimierza Czartoryskiego, Elżbieta (częściej nazywana Izabellą) z Flemingów była postacią wysoce interesującą. W czasie długiego, bo 90-letniego życia, na charakterze tej kobiety, z gruntu szlachetnym, odbiły się wybitnie oddzielne fazy, przez które przeszło społeczeństwo polskie od końca czasów saskich przez całe panowanie Stanisława Augusta i początek czasów porozbiorowych, a więc fazy zepsucia, początków opamiętania, wreszcie ekspiacji i pokuty.

Urodziła się w r. 1745 z pierwszego małżeństwa Jerzego Fleminga i ks. Antoniny Czartoryskiej, która wkrótce potem umarła. Fleming ożenił się powtórnie z siostrą nieboszczki

żony, córka zaś wychowywała się głównie w domu swego dziadka, ks. Michała Czartoryskiego, w Wołczynie. Wychowanie to było, zdaje się, dość powierzchowne, przyczem uważano za zbyteczne pokazywać jej świat szerszy, a ją światu, zwłaszcza, że skoro tylko podrosła, przeznaczono ją na żonę jej wuja, Adama Czartoryskiego. Już w r. 1761, zadomowiona, zaledwie lat 16 licząca panienka stanęła na ślubnym kobiercu z człowiekiem starszym od niej o lat jedenaście, którego może szanowała i lubiła, ale napewno nie kochała. Serce jej jeszcze spało; fizycznie była nierozwiniętą i niezbyt powabną, zwłaszcza po niedawno przebytej ospie, która jednak szczęśliwie nie pozostawiła śladów na twarzy.

Po ślubie nowożeńcy zamieszkali na wsi; przebywali głównie w Oleszycach i w Puławach. Tu młoda ks. Adamowa doznawała wiele przykrości od swej starszej o lat dziewięć siostry męża, Elżbiety Lubomirskiej. Stanisław August opowiada w swych pamiętnikach (z których wyżej podaliśmy jeden z odnośnych ustępów), jak Elżbieta Lubomirska pełna była niechęci do młodziutkiej żony swego brata, jak z tego powodu przychodziło często do kwasów domowych, w których ks. August Czartoryski, zapatrzony w swoją córkę, stale stawał po jej stronie, a Stanisław August, zakochany oddawna w Elżbiecie Lubomirskiej, stawał jednak w obronie ks. Adamowej i starał się kuzynki pogodzić, co mu się zwykle udawało nie na długo. W rezultacie serce młodej ks. Adamowej zapłonęło miłością do pięknego Stanisława Augusta, który w ten sposób znalazł się między dwiema rywalkami.

Ks. Adamowa stawała się powoli kobietą światową i zalotną, umiejącą i lubiącą się podobać mężczyznom. Ks. Adam był mężem pobłażliwym; trzymał się zasady, by być w dobrych stosunkach z adoratorami swojej żony.

Wkrótce ks. Adam powiózł swą żonę zagranicę. Zwiedziła z nim w tej pierwszej podróży Niemcy, Holandję, Paryż i Londyn. Niemcy przejechała przebrana po męsku, w mundurze gwardji litewskiej, a że księstwo, zwyczajem panów polskich, podróżowali dworno, kilku pojazdami, z wielkim pocztem sług, wzięto ją w Frankfurcie za mającego przejeżdżać wtenczas do Paryża młodego króla duńskiego, co ją niezmiernie zabawiło. Bywając w najwyższych towarzystwach francuskich, tak była nieśmiałą, że ledwie odważała się usta

otworzyć; dopiero gdy ktoś w salonie księżnej Orleańskiej zaczął wyśmiewać się z Polski, jako państwa barbarzyńskiego, śmiało wystąpiła w obronie swego kraju. Tęskniła za nim i starała się powrót przyśpieszyć.

Po powrocie księstwo Adamostwo zamieszkali w Warszawie w pałacu Błękitnym (dziś ordynacji Zamoyskich). Tu w r. 1765 pierwszy raz została matką; powiła córkę, Teresę, która w lat 15 potem miała zginąć śmiercią tragiczną; gdy stała przy kominku, zapaliła się na niej sukienka; od strasznego poparzenia w kilka dni później umarła.

Czułe stosunki ks. Adamowej z Stanisławem Augustem wśród ciągłych zabaw trwały aż do r. 1767. W tym roku zastąpił króla Repnin. Wspominaliśmy już o tem szczegółowo, mówiąc o starych Czartoryskich; tu dodajemy tylko, że gdy ks. Adamowej urodziła się w r. 1768 córka, Marja, późniejsza ks. Wirtemberska, a w r. 1770 syn, Adam Jerzy, kronika skandaliczna odsądziła ks. Adama od ojcostwa, wskazując w pierwszym wypadku na Stanisława Augusta, w drugim na Repnina. Oto np. co pisze w swych pamiętnikach Moszczeński: «W tym właśnie czasie księżnej Adamowej Czartoryskiej amantem był król, z którym (jak historja gorsząca powiada) miała córkę, która poszła za księcia Wirtemberskiego; z drugiej strony szalenie się w niej zakochał książę Repnin, ambasador». A dalej: «Książę Repnin uzyskał wzajemność w miłości księżnej Adamowej Czartoryskiej, z którym powiła syna, księcia Adama Czartoryskiego, zupełnie podobnego do księcia Repnina, ojca jego» [1]). Co do tego podobieństwa, to sądząc z portretów, tak ks. Repnina, jak też ks. Adama Czartoryskiego, podobieństwa tego dopatrzeć się nie można. A sądząc ze stosunku wzajemnego ks. Adama do ks. Wirtemberskiej, która była jego dzieckiem najukochańszem, i do ks. Adama Jerzego, a także z charakteru tak ks. Wirtemberskiej, jak też ks. Adama Jerzego, powyższe podejrzenia względem ich pochodzenia należy uznać co najmniej za mało prawdopodobne. Wprawdzie Repnin, po upadku Polski, rzeczywiście okazywał wiele uczucia dla młodych Czartoryskich, a zwłaszcza dla ks.

[1]) Adam Moszczeński: «Pamiętnik do historji polskiej». Wydanie warszawskie u Gebethnera i Wolffa 1907. Str. 51 i 53.

Adama Jerzego [1]), wprawdzie mógł nawet przypuszczać, że jest ojcem tego ostatniego, gdyż ze swej ambasady w Warszawie wyjechał dopiero w listopadzie 1769 r., a ks. Adam Jerzy urodził się w styczniu 1770 r. — jednak dowody to niewystarczające.

Stosunek Repnina z księżną Adamową po jego wyjeździe z Warszawy w r. 1769 nie skończył się. Księżnę, w oczekiwaniu połogu, pozostawił samotną, bo ks. Adam podróżował. Z obozu, dokąd wyjechał z powodu wojny tureckiej, Repnin pisywał do niej często i robił wciąż u swego rządu starania o powrót do Warszawy, a gdy starania te zawiodły, podał się w r. 1771 do dymisji i wyjechał przez Warszawę zagranicę. Wkrótce też podążyła tam ks. Izabella, wprawdzie w towarzystwie męża, ale z Repninem był ks. Adam w stosunkach jak najprzyjaźniejszych.

Zimę 1772 na 1773 r. spędzała księżna Izabella z nieodstępnym Repninem w Londynie. Tu poznał ja głośny uwodziciel, ks. de Lauzun, i gdy księżna wyjechała do Spa, podążył za nią i doczekał się wyjazdu Repnina. Zaraz zajął jego miejsce; później wspólnie z księżną wyjechał do Paryża i zaprzyjaźnił się z ks. Adamem. Gdy księżna Izabella w r. 1773 wracała do kraju, ks. de Lauzun jej towarzyszył. Później jeszcze dwa razy przyjeżdżał do Polski, w końcu 1774 r. i w r. 1775.

Jak wiemy, stosunki Czartoryskich z królem układały się coraz niepomyślniej. Dopóki jednak kierunek «familji» pozostawał w ręku starych książąt, do zerwania jeszcze nie doszło. Ale w r. 1775 ks. Michał umarł, a ks. August usunął się do życia prywatnego. Rządy objęło młode pokolenie: ks. Adam, szwagier jego, marszałek Stanisław Lubomirski, i, na nieszczęście, także ich żony, dwie Elżbiety, dawne rywalki o miłość Stanisława Augusta, dziś pogodzone a nieubłagane jego przeciwniczki.

Zaczyna się nowy okres w życiu ks. jenerałowej ziem podolskich, poświęcony już nietylko zabawom i życiu towarzyskiemu, lecz także intrygom politycznym. Do tych intryg pobudza ją początkowo niechęć do osoby króla, mająca swe

[1]) Patrz Dr. Antoni J.: «Opowiadania historyczne». Serja trzecia, tom I, 1882, «Czartoryscy i Repnin».

źródło w zwykłej psychice ekskochanek, a podsycana przez niechętne królowi środowisko, w którem księżna się obraca. Ale stopniowo wyrastają jeszcze inne powody: w r. 1784 księżna wydaje córkę za ks. Wirtemberskiego i zaczyna marzyć o koronie dla zięcia, a w czasie sejmu Czteroletniego, wśród nastroju patrjotycznego, rozżarzy się w jej sercu tlejąca tam oddawna gorąca miłość ojczyzny.

Początek tego nowego okresu księżna Izabella spędza bądź w gwarnej i rozbawionej w owym czasie Warszawie, bądź w fantastycznie a gustownie przez nią urządzonych Powązkach, bądź wreszcie w Puławach, które stopniowo stają się ulubionem jej miejscem pobytu. Jeździ też po kraju i jest wszędzie, gdzie się bawią i gdzie spiskują przeciw królowi. Stronę sentymentalną zaspakaja teraz głównie Kazimierz Rzewuski, pisarz kor.

Małżeństwo 16-letniej córki, Marji, w której kochał się Kniaźnin, i której już wtedy głównem uczuciem była najwznioślejsza miłość kraju rodzinnego, doszło do skutku w r. 1784 z pobudek politycznych. Ks. Ludwik Wirtemberski, pozostający w służbie pruskiej i protegowany przez Fryderyka II, nie podobał się młodziutkiej księżniczce — tylko z odrazą zgodziła się zostać jego żoną, a zgodziła się tylko dlatego, że matka, marząca już o koronie, przekonywała ją o zbawiennych skutkach tego małżeństwa dla Polski. Zaledwie lat osiem minie, jak wszystkie te przewidywania zawiodą doszczętnie w czasie wojny polsko-rosyjskiej, na skutek haniebnej zdrady księcia Wirtemberskiego.

Na sejmie Czteroletnim księżna jenerałowa stała się ślepą zwolenniczką przymierza z Prusami i duszą obozu patrjotycznego, podzielała też wszystkie wady tego obozu, a do popełnionych przez patrjotów błędów znakomicie się przyczyniła. Surowo ją też z tego powodu, choć słusznie, potępia Kalinka [1]).

Ale atmosfera wiekopomnego sejmu oddziałała też na wrażliwą duszę Izabelli Czartoryskiej. Zaczyna coraz bardziej żyć życiem nowem, życiem, przejętem jedynie myślą o ojczyźnie. A gdy klęski zaczęły się walić jedna za drugą, dusza ks. Izabelli trawi się i przeistacza. Z prostej i zepsutej kobiety

[1]) Kalinka: «Sejm Czteroletni». Tom I, str. 142 i 283 sq.

nie zostaje śladu, a na jej miejsce staje przed nami piękna i szlachetna postać polskiej matrony, pokutnicy i patrjotki.

Mamy dowód przekonywujący szczerych uczuć dla kraju ks. Izabelli; jest nim wychowanie, które dała swym dzieciom. Wszystkie, od lat najmłodszych, chowane były z myślą o obowiązkach dla kraju i z zachętą do dzielenia jego doli i niedoli; wszystkie dowiodły też później gorącej miłości ojczyzny.

Ale i w tem oddziaływaniu na dzieci znać różnicę. Inne było przed przełomem patrjotycznym na sejmie Czteroletnim, a inne po klęskach krajowych i rozwianiu się ambitnych myśli o koronie. Przed tym przełomem księżna wpajała dzieciom, równolegle z uczuciem dla kraju, także wysokie pojęcie o ich rodzie i stanowisku społecznem; jedno z drugiem miało się równoważyć. Obecnie zaczyna górować czysta miłość ojczyzny, z pominięciem wszelkich aspiracyj osobistych.

Starszy syn, ks. Adam Jerzy, walczył w kampanji 1792 r. Po akcesie króla do Targowicy, księstwo Adamostwo poszli za przykładem patrjotów i z dziećmi wyjechali zagranicę.

Po upadku powstania kościuszkowskiego, majątki Czartoryskich, jak wiemy, zostały zasekwestrowane i miały ulec konfiskacie. Były obarczone długami w sumie 12 miljonów złp. Należało ratować byt materjalny tak własny, jak licznych wierzycieli. Czartoryscy udali się o pomoc do dworu wiedeńskiego. Gdy to nie poskutkowało, zwrócili się do dawnego przyjaciela, ks. Repnina, który teraz naznaczony został jenerał-gubernatorem Litwy, a jako człowiek nabrał większej wartości moralnej pod wpływem teoryj ówczesnego znanego mistyka i teologa, Saint-Martin'a [1]).

Na początku stycznia 1795 r. młodzi Czartoryscy, Adam i Konstanty, wyjechali do Grodna; stąd, po otrzymaniu pozwolenia, mieli się udać na dwór Katarzyny. Zaopatrzeni byli w list ks. Izabelli do Repnina. List ten przytaczamy w całości.

«Do niedawna jeszcze, Mości Książę, byłam szczęśliwą żoną, szczęśliwą matką, szczęśliwą przyjaciółką; życie moje wypełniały radosne wspomnienia i nadzieje; dzisiaj utraciłam wszystko. Przeczuwam zbliżenie się chwili, w której mąż mój

[1]) Potemkin nazywał lekceważąco Repnina «dieduszka Martin». Repnin zostawił wielotomowe pamiętniki dotychczas niezużytkowane; ogłoszenie ich byłoby bardzo ciekawe.

i dzieci, pozbawieni funduszów i stanowiska w społeczeństwie, zostaną obarczeni długami i nędzą, nieuniknioną wszystkich tych nieszczęść towarzyszką. Nie będę wchodzić w szczegóły przejść bolesnych, dotykających moją rodzinę, chcę bowiem oszczędzić przykrości, ale przysięgam, że nieraz już pragnęłam śmierci i zupełnie zobojętniałam dla życia. Mąż mój, którego nieżyczliwi chcą uczynić ofiarą plotek, rozpowszechnianych przez nieuczciwych i głupich, upada na zdrowiu; a najdotkliwszem jest to, że we mnie upatrują wszystkich naszych nieszczęść przyczynę. Już od ośmiu miesięcy domagam się sądu, proszę, by złożono dowody, żem wiedziała o rewolucji przed rozpoczęciem, albo żem w niej udział brała. Dotąd nikt z tem jawnie nie wystąpił, a pomimo to wszystko dotkliwie nas chłoszczą i rujnują. Gdzież wina, osądź sam, drogi Książę? Jeżeli przywiązanie do ojczyzny ma być występkiem, wówczas poddaję się bez szemrania. Ale czyż nie należy uwzględnić uczuć, wpojonych nam przez naturę, podtrzymywanych przez wszystko, co nas otacza! Przyznając się jednak do nich, przysięgam przed wami, klnę się miłością dla dzieci, najdroższego dla mnie skarbu w tej chwili, żeśmy się dowiedzieli o powstaniu wówczas dopiero, kiedy ono wybuchło. Przez cały czas jego trwania dotrzymywałam obietnicy, danej memu mężowi, że nawet pośrednich stosunków mieć nie będę z nikim, biorącym udział w ostatniej rewolucji; wywiozłam moje dzieci z kraju i od maja 1794 r. znajduję się w Wiedniu, oddalona od wszystkiego, z nikim nawet nie utrzymując korespondencji. Oto cała najszczersza prawda. Ale do czego to wszystko doprowadziło? Ogrom nieszczęść i strat dotknął nas najboleśniej, nie zostawiając żadnej na przyszłość nadziei. Wiesz, drogi Książę, z jakiem okrucieństwem były zburzone Puławy; wiesz, że zabrano mi wszystko, com przez długie zbierała życie. Czyliż możesz przypuszczać, że wiedząc o wybuchu, zostawiłabym na pastwę i zniszczenie tak drogie dla mnie pamiątki? Ale odsuńmy troski na stronę, wolę raczej wyrazić wdzięczność moją za to współczucie, które mi Książę okazujesz. Starano się nawet osłabić zaufanie, jakie w Tobie, Mości Książę, pokładałam; podczas rabunku Puław użyto Pańskiego imienia dla skaptowania pewnego indywiduum. Służbie mojej wmawiano, że sam Książę zrozumiałeś rzeczy należycie i zmieniłeś o nas swoje przekonanie. List Twój, drogi Książę, przesłany przez Górskiego, ośmielił mię trochę. Posyłam Panu moich synów, kieruj, proszę, ich krokami i okazuj im współczucie w nieszczęściu. Nie zapominaj, dobry Panie, że oni są dla mnie teraz wszystkiem, i daruj zbolałemu sercu, jeżeli się przyzna, że trwoży się niewymownie o nich. Skoro uznasz, Mości Książę, że im potrzeba udać się dalej, przystanę na to najzupełniej, ale nie narażaj ich bez potrzeby na niebezpieczeństwo. Pamiętaj, proszę, żebym umarła z rozpaczy, gdyby ich spotkało nieszczęście... Uwięzienie ich przypłaciłabym życiem. Jesteś, Mości Książę, jedynym człowiekiem, posiadającym moje zaufanie, polegam na Tobie bezwarunkowo, ratuj moich synów! Starszy, poważny, zastanawiający się, młodszy, miękki, ale oba pięknych duszy przymiotów. Podobają się Wam pewnie. Ośmielcie ich, przytulcie, i wówczas cała rodzina spokojność Wam swoją zawdzięczać będzie».

W Grodnie młodzi Czartoryscy przyjęci zostali serdecznie przez króla, ale jeszcze serdeczniej przez Repnina. Oto co pisał on do ks. Izabelli. «Nie zawiodę ufności Pani, przyszłości dzieci Pani nie narażę na niebezpieczeństwo. Nie mogłem bez łez czytać listu przez nich przywiezionego. O, droga Księżno! Czyż podobna, żeby tyle trosk zwaliło się na Was? Otóż to życie na tym świecie! Niema szczęścia na ziemskim padole! Najszczęśliwszym albo raczej najmniej nieszczęśliwym jest umiejący znosić mężnie dolegliwości... Na klęczkach błagam Was, nie poddawajcie się, nie upadajcie na duchu! Dusza Wasza szlachetna wyższą być powinna nad te niespodzianki, chociaż dotkliwe, ale przemijające. Wszystko ma swój koniec; prawda i sprawiedliwość zawsze odniosą triumf; jest to jedyna pociecha dla tkliwego i cnotliwego serca». Dalej oświadcza się z życzliwością i przyjaźnią i list swój, bardzo długi, tak kończy: «Na nieszczęście, ludzie wiedzą o tej mojej życzliwości, pomawiają mnie o stronność i niezupełnie mi ufają. Ale wierzcie mi, wszystko, co będę w stanie uczynię, prędzej dla Pani, niż dla siebie... Synów Pani kocham serdecznie, opiekować się nimi będę wszędzie, aż do chwili, kiedy się z wami połączą. Powołuję się na ks. Adama, niech on powie, jak ich traktuję... O, tak, Mości Księżno, niema plotki, nawet zdrowej logiki pozbawionej, którejby nie wymyślono na Wasz rachunek».

Starania Repnina w Petersburgu szły opornie, ale prośbom jego Katarzyna odmówić nie mogła. Pisała tylko do niego: «Czy to prawda, nie wiem, ale powtarzają tu wszędzie, że matka ks. Czartoryskich przymusiła synów, jak Amilkar Hanibala, do wykonania przysięgi, że zostaną wiecznymi wrogami Rosji». Oczywiście było to nieprawdą, ale było echem tego wpływu wysoce patrjotycznego, który wywierała ks. Izabella na swych synów. Starszy z nich, ks. Adam, przypominał sobie w życiu późniejszem, że gdy jeszcze był małym chłopcem, kazała mu matka wyuczyć się napamięć tej sceny z Racine'a, w której Mitridates dzieciom swym odkrywa zamiary swoje przeciw Rzymowi. Gdy wyjeżdżali do Rosji, ks. Izabella zapewne zaklęła ich nie, by byli wrogami Rosji, ale by w niczem nie zdradzili własnej ojczyzny.

W r. 1796 ks. Izabella powróciła do zniszczonych Puław; powróciła sama, bo jenerał był u wód. Było to 20 czerwca, w ciepłą noc księżycową. «Rzadko kiedy w życiu — pisze ks. Izabella w swych wspomnieniach — uderzył mnie tak smutny widok. Wjechawszy między czwororzędne lipy, serce mi się ścisnęło na widok wszystkich klęsk i rabunków, jakim uległy Puławy; na dziedzińcu cisza, samotność, milczenie najprzód mię przeraziły. Spojrzawszy na pałac bez drzwi i okien, pustkami stojący, nie mogłam się wstrzymać od płaczu; blade światło miesiąca przez te ruiny naprzestrzał widać było. Wysiadłszy z pojazdu, spotkałam hajduka, na którego twarzy jeszcze się przestrach obok zbiednienia malował; ten, ostrzegłszy burgrabiego, otworzył mi pokój w oficynie, na mój przyjazd przygotowany, który miał przecież okno i drzwi zamykane; tam się umieściłam z dziećmi i sługą. Łóżka, ani materaca, ani kanapy w całych Puławach nie było; spaliśmy na sianie. Na środku obszernego dziedzińca wznosił się dziwnego kształtu wzgórek, złożony z najrozmaitszych sprzętów i kosztowności, zwalonych jedne na drugie i przez cały czas tam butwiejących; były tam głowy, ręce, nogi od marmurowych posągów, kawałki porcelany, kryształów, bronzów, zwierciadła, obicia, puchówki, instrumenta fizyczne, skrzypce, gitary, globusy, meble mahoniowe, hebanowe, poszarpane książki, porżnięte w pasy malowidła; wszystko ręka nieprzyjacielska, nie mogąc unieść, tutaj rzuciła. Nazajutrz o wschodzie słońca poszłam do ogrodu. Moje drzewa rozłożyste, krzaki

kwitnące, kwiaty wonne osłodziły gorycz widoku nawpół rozwalonego domu. Po kilku dniach zabrałam się do restauracji i do poprawienia kilku pokojów dla mego męża».

Przy matce, oprócz młodszej córki, Zofji (wydanej wkrótce zamąż za Stanisława Zamoyskiego), zamieszkała teraz stale starsza córka, ks. Marja Wirtemberska, dusza piękna, patrjotka gorąca. Jak tylko w 1792 r. zdrada jej męża stała się widoczną, niezwłocznie zażądała rozwodu i, pomimo wszelkich starań, tak męża, jak i jego siostry stryjecznej, w. księżnej Pawłowej, matki cesarza Aleksandra I, pogodzić się nie chciała z człowiekiem, który tak zawinił wobec jej ojczyzny. Miała z nim syna, który, wychowywany przez ojca, wyrósł na nikczemnika, służył potem w wojsku rosyjskiem i w r. 1831 bombardował Puławy. Aleksander I wysoce szanował księżnę Wirtemberską i nazywał ją ciotką. Była autorką znanej powieści «Malwina, czyli domyślność serca» i popularnej historji polskiej p. t. «Pielgrzym z Dobromila».

Ks. Izabella z córkami wzięła się do nowego urządzenia Puław. «Nie było ojczyzny — mówiła ks. Wirtemberska — każdy szukał jej w rodzinie i starał się tę małą ojczyznę upiększyć, ozdobić, jak można, nie tracąc nadziei odzyskania zczasem wielkiej ojczyzny. Puławy zwolna stały się taką małą wzorową ojczyzną». Księżna Izabella gromadziła różne pamiątki historyczne, obce w t. zw. Domku Gotyckim, ojczyste w budowli, zwanej Sybillą, przypominającej świątynię. Pamiątki te opisała później księżna w oddzielnem dziełku. Wcześniej jeszcze wydała: «Myśli o sposobach zakładania ogrodów».

W r. 1817, po ślubie starszego syna, Adama, i oddaniu mu rezydencji w Puławach na mieszkanie, ks. jenerał z żoną i ks. Wirtemberską wyjechał do Sieniawy — tam, jak wiemy, umarł w r. 1823. Po śmierci męża ks. Izabella, już 78-letnia staruszka, znów wróciła do Puław i tu otoczona drogiemi pamiątkami zamierzała dokonać żywota. Stało się inaczej. Na skutek walk w czasie powstania listopadowego staruszka zmuszona została schronić się do Sieniawy. Tu przeżyła jeszcze 4 lata i umarła na rękach córki, ks. Wirtemberskiej, w 90-tym roku życia, 17 czerwca 1835 r.

Znacznie mniej wartościową kobietą była rywalka księżnej Adamowej Czartoryskiej, starsza od niej o lat dziewięć, bratowa jej, Elżbieta (także zwana często Izabellą) księżna Lubomirska[1]).

Mówiliśmy, że była ulubioną córką ks. Augusta Czartoryskiego, że kochając się w swym bracie ciotecznym, Stanisławie Auguście Poniatowskim, z woli ojca wydaną została w r. 1753 za kuzyna swojej matki, Stanisława Lubomirskiego, że stała się kochanką Stanisława Augusta i w tym charakterze niecierpiała swej bratowej, ks. Adamowej, wreszcie że, po przerzuceniu się króla do innych miłostek, stała się nieubłaganą jego przeciwniczką, pogodziła się ze swą bratową i, wspólnie z nią i innymi nieprzyjaciółmi króla, szkodziła mu na każdym kroku.

Wychowanie córki ks. Augusta było staranniejsze od tego, które otrzymała Elżbieta Fleminżanka, późniejsza ks. Adamowa. Ks. August od najwcześniejszych lat wtajemniczał ją w swe zamiary i interesa i przyuczał ją w ten sposób do zajmowania się sprawami publicznemi. To też nabrała gustu do zarządu interesami i do intryg politycznych.

Stanisław August w swych pamiętnikach wspomina o Elżbiecie Lubomirskiej z wyjątkową czułością, broni ją od posądzeń, jakoby była jego kochanką, i twierdzi, że czuła przyjaźń między nimi, przerwana tylko chwilowemi nieporozumieniami, trwała do r. 1771[2]). Zapewne w drugim tomie, jeszcze drukiem nieogłoszonym, znajdzie się wzmianka króla o powodach zerwania.

Stanisław August pisze, że w sposobie bycia Elżbiety Lubomirskiej zaszła wielka zmiana po jej powrocie z zagranicy w r. 1761. Do wyjazdu, przebywając stale w krępującem otoczeniu domu rodzicielskiego, była poważną, skromną i nieśmiałą, zagranicą nabrała pewności siebie i zalotności. Zakochał się w niej wtedy, znany ze swych sukcesów, piękności i elegancji, najbliższy przyjaciel Stanisława Augusta, Franciszek Rzewuski, wówczas pisarz pol. kor., później marszałek nadw. kor. Stanisław August mówi, że starania jego przyjaciela przez długi czas były bezskuteczne, i daje do zrozumienia, że dopiero w r. 1764 dopięły celu. Liczba innych adoratorów była znaczną.

[1]) Urodziła się zapewne w r. 1736.

[2]) «Memoires» I, 69, 136, 185, 350, 358, 361, 365, 505, 521, 522, 526—529, 535, 563.

Mąż Elżbiety Lubomirskiej, ks. Stanisław Lubomirski, najprzód strażnik kor., później od r. 1766 marszałek w. kor. otrzymał wykształcenie zagranicą. Po powrocie do kraju zamieszkał w domu Augusta Czartoryskiego, a to z powodu, że ks. Augustowa Czartoryska była jego siostrą cioteczną. Jeżeli mamy wierzyć pamiętnikom Stanisława Augusta, ks. Augustowa zapłonęła wtedy do kuzyna gorącym afektem, a gdy ks. August postanowił wydać za niego swoją córkę (która już wtedy kochała się w Stanisławie Auguście), rozpacz ks. Augustowej była bez granic. Było to w r. 1753. August Czartoryski miał nadzieję znaleźć w zięciu człowieka powolnego jego woli i przywiązać go do «familji» na stałe, w czem się zresztą nie zawiódł.

Ks. Stanisław Lubomirski był człowiekiem bez wielkich zdolności, ale znacznej ambicji, tak, że później po starych Czartoryskich chciał odegrywać rolę kierownika «familji». Dla Stanisława Augusta niechętny, z początku zapewne z zadrości, później z poduszczeń żony, nie przekraczał jednak w swej opozycji pewnych granic i miarkował ją względami na interes publiczny. To też bezwzględna już fronda jego żony przeciw królowi zaczęła się dopiero po jego śmierci, która nastąpiła w r. 1783.

Marszałkostwo Lubomirscy nie mieli syna, tylko cztery córki: Elżbietę (inaczej Izabellę), wychowaną przez dziadka, ks. Michała Czartoryskiego, i wydaną w r. 1772 za Ignacego Potockiego, Julję, wydaną w r. 1783 za Jana Potockiego, Aleksandrę, wydaną w r. 1776 za Stanisława Potockiego, i Konstancję, wydaną w r. 1782 za Seweryna Rzewuskiego, hetmana pol. kor. (którego matka była siostrą Stanisława Lubomirskiego). Przez małżeństwa te Łańcut, Krzeszowice, Wilanów i Brzeżany przeszły do Potockich, a Stary Konstantynów na Wołyniu do Rzewuskich.

W ten sposób dokonało się też pogodzenie polskich Monteccich i Capulettich, dwóch oddawna poróżnionych rodzin Czartoryskich i Potockich, a dokonało się pod hasłem opozycji przeciwko królowi. Nawet ślub Ignacego Potockiego

z Elżbietą Lubomirską odbył się bez obecności królewskiej, a to z powodu afrontu, okazanego królowi przez Katarzynę Kossakowską, kasztelanową kamieńską, ciotkę nowożeńca, która nie chciała się zaprezentować królowi i nie była do tego przynaglona przez rodziców panny młodej. Oboje Lubomirscy tłumaczyli wprawdzie królowi, że uczynili wszystko, by Kossakowską namówić, ale wiadomo było królowi, że księżna marszałkowa miała się odezwać: «*Au reste on se passera bien à la fin de la personne du Roi*». Słowa te były parafrazą maksymy często powtarzanej przez ojca marszałkowej, ks. Augusta Czartoryskiego, że o ile możności trzeba królowi pokazać, że się bez niego można i należy obchodzić.

W r. 1776, jak wiemy, w opozycji przeciwko królowi połączyli się marszałek Lubomirski, książę Adam Czartoryski, hetman Branicki, Ignacy i Stanisław Potoccy i Seweryn Rzewuski. Opozycji tej patronowały pogodzone teraz z sobą dwie dawne rywalki: księżna marszałkowa Lubomirska i księżna jenerałowa Czartoryska.

Punktem kulminacyjnym intryg ks. marszałkowej była jej szalona agitacja w głośnej sprawie Dugrumowej. Wydała na nią przeszło miljon złp., a zięciowi, Ignacemu Potockiemu, w nagrodę za wystąpienie przeciwko królowi darowała pałac, ceniony na 30.000 dukatów.

Gdy sprawa Dugrumowej skończyła się zupełną porażką przeciwników króla, marszałkowa tak to uczuła, że wyjechała zagranicę i więcej do kraju nie wróciła.

Wyjechała w r. 1785 najprzód do Paryża, gdzie mieszkała aż do rewolucji; potem przeniosła się do Wiednia. Zajęta była edukacją wziętego na wychowanie Henryka Lubomirskiego (syna Józefa i Ludwiki z Sosnowskich). Wybrany przez nią, za bytnością we Włoszech, nauczyciel młodego Lubomirskiego, ksiądz Scypjon Piatali, odegrał później, jak wiadomo, wielką rolę przy ułożeniu konstytucji 3 Maja. Z Stanisławem Augustem stosunki listowne stopniowo się nawiązały. W r. 1792 uprzedziła go, by się miał na baczności, gdyż przygotowuje się zamach na jego życie [1]).

[1]) Kalinka: «Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta». Tom II, str. 358.

Choć już niemłoda (gdy wyjeżdżała z kraju miała lat 49), uprzyjemniała sobie życie wzruszeniami erotycznemi. Znany był jej stosunek do młodego i przystojnego kawalera maltańskiego, de Maisonneuve, którego hojnie obdarowała. Ogromnym swych majątkiem zarządzała sama, nie oddając go w ręce zięciów. Umarła w Wiedniu, mając lat 80, w r. 1816.

XV. FRANCISZEK SALEZY I SZCZĘSNY POTOCCY

Jeżeli ks. Karola Radziwiłła «Panie Kochanku» i biskupa Kajetana Sołtyka legenda podała potomności w przesadnej aureoli, jednego jako nieszkodliwego a sympatycznego facecjonistę, drugiego jako wzorowego obywatela patrjotę, to legenda o Franciszku Salezym Potockim, wojewodzie kijowskim, pomijając również, jak u tamtych dwóch, szkaradną jego działalność w czasie konfederacji radomskiej, wystawiła go w popularnej «Marji» Malczewskiego, jako świadomego zabójcę Gertrudy Komorowskiej, a w «Reytanie» Matejki [1]) jako uczestnika sejmu rozbiorowego. Prawda dziejowa zmuszona jest i tę legendę sprostować, i z jednej strony stopień udziału dumnego wojewody w zabójstwie Gertrudy Komorowskiej pomniejszyć i przypomnieć, że w czasie sceny rejtanowskiej wojewoda już nie żył, a natomiast jak najsilniej napiętnować jego działalność polityczną w czasie bezkrólewia po Auguście III, i w czasie haniebnej konfederacji radomskiej.

Franciszek Salezy Potocki był jedynym synem Józefa, pana na Krystynopolu, który był umarł zamłodu w r. 1727 i skutkiem tego nie doszedł był jeszcze do większych godności (był tylko strażnikiem kor.). Jedynaka wychowała matka, z domu Cetnerówna, która wniosła była mężowi przy zamążpójściu znaczne dobra na Wołyniu (sprzedane później Lubomirskim).

Franciszek Salezy Potocki był jednym z najbogatszych panów polskich ówczesnych; dla ogromnych dóbr na Ukrainie nazywano go «królikiem Rusi». Zmarły w r. 1732 bezdzietny stryj jego, Stanisław Potocki, wojewoda bełzki, zapisał mu

[1]) «Rejtan» Matejki jest obrazem fantastycznym, nie liczącym się z prawdą historyczną.

Tartaków i ogromne dobra humańskie. Dobra te w r. 1609 nadane były Walentemu Aleksandrowi Kalinowskiemu; następnie przeszły do jego syna, Marcina, hetmana polnego kor. (z którego siostrą żonaty był Rewera Potocki), później do jego wnuka, Marcina Adama, a po śmierci tego ostatniego do jedynej jego córki, Heleny, żony Jakóba Morsztyna, wojewody sandomierskiego. Ta w r. 1726 całą Humańszczyznę zapisała Stanisławowi Potockiemu; do Humańszczyzny należały w owym czasie również dobra, odziedziczone przez Kalinowskich po możnej, wygasłej rodzinie Strusiów; należały między innemi Tulczyn (dawniej Nesterwar), późniejsza rezydencja Szczęsnego Potockiego; smutnej pamięci Targowica, na wschód od Humania, Mohylów nad Dniestrem, Brahiłów pod Winnicą i Teplik, późniejsze dobra ordynackie potomków Szczęsnego Potockiego.

Jeszcze przed odziedziczeniem tej ogromnej sukcesji po stryju, Fr. S. Potocki starał się o najbogatszą dziedziczkę w Polsce, wdowę Zofję Denhoffową, z domu Sieniawską. Ubiegł go wtedy, jak wiemy, August Czartoryski. To zwycięstwo Augusta Czartoryskiego przyczyniło się znacznie do nienawiści, którą Potocki pałał całe swoje życie do familji Czartoryskich. Otrzymawszy kosza, ożenił się z wdową po dalekim krewnym matki, Mikołaju Cetnerze, Zofją Cetnerową, z domu Rzeczycką. Ale gdy ta pierwsza żona umarła w r. 1741, powiwszy mu syna, zgasłego dzieckiem, udało się Potockiemu powetować sobie pierwsze niepowodzenie posagowe i zaślubić arcybogatą daleką kuzynkę, Annę Potocką, córkę Stanisława Potockiego, wojewody poznańskiego, i bogatej Łaszczówny; wniosła mu ona, oprócz znacznych dóbr ziemskich, klejnoty ogromnej wartości; między niemi był naszyjnik, darowany później przez Szczęsnego Potockiego swej trzeciej żonie, Zofji, złożony ze stu pereł, każda wartości po 5.000 dukatów (później naszyjnik ten należał do klejnotów dworu rosyjskiego).

W r. 1753, na mocy transakcji kolbuszowskiej, otrzymał Fr. Sal. Potocki z podziału ordynacji ostrogskiej Łokacze w pow. włodzimierskim na Wołyniu z kilku wsiami [1]).

[1]) Gdy zaczęły się spory o transakcję kolbuszowską, Fr. Sal. Potocki chwilowo od przyjęcia tych dóbr się odmówił i podał tak zwany reces, ale sejm z r. 1766 recesy te unieważnił i transakcję zatwierdził.

Jakby tego wszystkiego było za mało, otrzymał Potocki jeszcze kilkanaście intratnych królewszczyzn; między innemi starostwa: bełzkie, sokalskie, hajsyńskie, zwinogródzkie, ropczyckie, hrubieszowskie. Równać się z nim co do bogactw mógł tylko Radziwiłł «Panie Kochanku», «królik Litwy», rządny August Czartoryski (przez otrzymanie za żoną fortuny Sieniawskich) i bogacz, Stanisław Lubomirski z Równego (skutkiem nabycia przez ojca ogromnej fortuny Koniecpolskich).

Dwór w Krystynopolu odznaczał się pompą i przepychem. Fr. S. Potocki, będąc pychą chodzącą, znalazł w swej drugiej małżonce ten sam przymiot, tylko w stopniu jeszcze wyższym. Podobnie jak w w. XVI Konstanty Bazyli Ostrogski, teraz F. S. Potocki nie żałował znacznych pieniędzy, by utrzymywać, jako marszałka dworu, kogoś z personatów — był więc takim marszałkiem Potockiego książę Włodzimierz Czetwertyński, z tytułem starosty utajkowskiego [1]), a później «hrabia saski» Karol Sierakowski, starosta zawidecki [2]).

Z krajczego kor. (od r. 1736) został F. S. Potocki w roku 1755 wojewodą wołyńskim, wreszcie po teściu, Stanisławie Potockim, w r. 1756 wojewodą kijowskim. O honory, dostojeństwa, łaski dworów swego i obcych dbał bardzo — nie chodziło mu o «zasady», lecz o realniejsze «posady».

Dopóki Czartoryscy byli, do roku 1752, partją dworską, Fr. Sal. Potocki z nienawiści do nich należał do dobrze płatnego stronnictwa francuskiego; dopiero, gdy Czartoryscy przeszli do opozycji, a Francja zaczęła skąpić pieniędzy, zbliżył się do Brühla. Brühl, jak wiadomo, nie lubiany przez Sasów, chciał się jak najmocniej usadowić w Polsce, pragnął więc związków z magnaterją polską; córkę przeznaczał początkowo Kazimierzowi Poniatowskiemu, a gdy to nie doszło do skutku, wydał ją za Józefa Mniszcha, marszałka nadwornego kor. Mniszech przez to małżeństwo stawał się coraz wpływowszym w sprawie rozdawnictwa «łask» królewskich; był powinowatym żony Fr. Sal. Potockiego, gdyż jego siostra była drugą żoną hetmana Józefa Potockiego, a więc macochą teścia Fr. Sal. Potockiego. Brühl pragnął dawniej wyswatać

[1]) Właściwie takiego starostwa nie było; ale posiadacze choćby najmniejszych królewszczyzn tytułowali się starostami.

[2]) Starostwo to leżało w województwie bełzkiem, w pow. buskim.

najstarszego swego syna, Fryderyka, z Elżbietą Czartoryską, córką Augusta Czartoryskiego, ale Czartoryscy okazali się temu przeciwni i wydali córkę za Stanisława Lubomirskiego. Teraz Brühl przez Mniszcha zaproponował małżeństwo swego syna z córką Fr. Sal. Potockiego. Przeciwko temu związkowi przemawiała duma Potockich, gdyż na rodzinę Brühlów patrzono nawet w Saksonji zgóry i z niechęcią, a takie rodziny, jak Flemingów, Vitzthumów i in., uważały się za coś od Brühlów nieskończenie wyższego. Ale żądza zysków przemogła. Uroczyste zaręczyny wojewodzianki Marji z Fryderykiem Brühlem, starostą warszawskim, odbyły się w Krystynopolu w r. 1759, z przepychem, który kosztował przeszło 250.000 złp. Ślub odbył się 8 stycznia 1760 r. Wzamian za wydanie córki, Fr. Sal. Potocki otrzymał przyrzeczenie, że nieprzyjaciele wojewody będą nieprzyjaciółmi Brühla, i że łaski królewskie w województwach ruskiem, wołyńskiem i bracławskiem świadczone będą tylko za rekomendacją Potockiego. Pakt ten z Brühlem dotrwał do śmierci ministra, chociaż nie bez chmurek.

Wojewodzina Anna Potocka była kobietą dumną, kapryśną i dla otoczenia swego przykrą. Panny służebne za najmniejszą płochość ćwiczyć kazała rózgami; często szła na podsłuchy do ich mieszkania, szpiegując, czy się tam młodzik jaki nie zakradł... Było wówczas modnym zwyczajem chować na dworze karłów; wojewodzina miała dwoje bliźniąt, brata i siostrę; w wielkim salonie był dla nich wyklejony z papieru o kilku pokojach apartament, skąd karły czyniły wycieczki po całym pałacu, szpiegując i donosząc wojewodzinie o każdej złej sprawce dworaków.

Na dworze w Krystynopolu wszystko odbywało się po królewsku; zachowywano etykietę większą, niż w Warszawie. Naprzeciw pałacu, wielkiego i rozległego, o dwóch obszernych podwórcach z oficynami, mnóstwem zabudowań pomniejszych i wspaniałą bramą wjazdową, wśród rozłożystego i cienistego parku stał «hauptwach», zajmowany przez gwardję nadworną wojewody, która przy każdem ukazaniu się, wjeździe lub wyjeździe pana domu stawała pod broń, biła w bębny i oddawała honory wojskowe. Obywatel lub urzędnik wojewódzki, mimo tytułu pana brata, który im dawano na kopercie, nie śmieli zajechać przed pałac w Krystynopolu.

Przez uszanowanie wysiadali w bramie z karet i powozów i pieszo szli do drzwi pałacowych. Żołnierze, trzymający straż w bramie, nie puściliby powozu; jedne tylko damy miały pozwolenie zajeżdżać przed pałac, ale powóz musiał natychmiast odjechać. Pani wojewodzina, zżywszy się z mężem, i dumniejsza jeszcze od niego, sama najmocniej przestrzegała etykiety. Przy wsiadaniu do powozu, zwykle jeden z dworzan rękodajnych powinien był jej podawać rękę, na której się opierała; surowo było przepisane, by nie ważono się dotykać jej ramienia, należało tylko podstawiać kułak do oparcia się na nim. Gdy pewnego razu nowy jakiś dworzanin, nieświadomy tej etykiety, poważył się, zamiast podać kułak wedle przepisu, unieść Potocką, jak zwykle, dłonią, wsuniętą pod ramiona, wojewodzina była tak oburzona, że wymierzyła mu policzek.

Ale oto przyszedł rok 1763 i koniec wielkich wpływów u dworu dumnego «królika Rusi»; umarł August III, a w trzy tygodnie po nim również Brühl.

F. S. Potocki, jako zawzięty przeciwnik Czartoryskich, choć człowiek już sześćdziesięcioletni, sybaryta, zadomowiony w swej rezydencji krystynopolskiej, bez źdźbła jakichkolwiek uczuć patrjotycznych — teraz został, obok starego hetmana, Jana Klemensa Branickiego, i Karola Radziwiłła, jednym z wodzów opozycji. Okazał się jednak wodzem niedołężnym, a jeszcze bardziej nieofiarnym. Stchórzywszy, jeden z pierwszych się ukorzył; przyczaił się z swą nienawiścią do nowoobranego króla i Czartoryskich, a udaną pokorą i prośbami wymógł na Stanisławie Auguście ulżenie losu swego zięcia, Fryderyka Brühla, który, jak wiemy, został pozbawiony urzędów.

Jeszcze przed elekcją, Kayserling poddawał Stanisławowi myśl poślubienia jednej z córek Fr. Sal. Potockiego. Rada to była życzliwa, a wynikała z dwóch motywów. Przedewszystkiem ówczesny faworyt Katarzyny, Grzegorz Orłow, intrygował przeciw kandydaturze Poniatowskiego do tronu z obawy, by nie powstał projekt małżeństwa Katarzyny z Poniatowskim. Powtóre, małżeństwo z córką jednego z głównych przywódców opozycji znacznieby wzmocniło stanowisko nowego króla.

Głęboko dotknięty w swej dumie Fr. Sal. Potocki usunął się do zacisza domowego, oczekując tylko chwili odpowiedniej, by odpłacić zemstą za doznane upokorzenia. Na

chwilę tę nie wypadło mu długo czekać, bo już w dwa lata po triumfie Czartoryskich Rosja się od nich odwróciła i podała rękę opozycji. Potocki gotów był na wszystko; żądał tylko jednej zapłaty — pozbawienia tronu Stanisława Augusta. «Tylko weźcie nam tego robaka», powtarzał, jak Katon swoje «śmierć Kartaginie!». Za tę cenę gotów był nawet ojczyznę zaprzedać, spełnić wszelkie żądania Rosji, stać się, on, dumny magnat, pachołkiem w rękach wielkorządcy rosyjskiego. To też stał się posłusznem narzędziem w rękach Repnina i jednym z głównych filarów haniebnej roboty radomskiej. Ale króla nie zdetronizował. A gdy chciał się buntować przeciwko woli Repnina, wystarczyła groźba, zwykle stosowana do panów polskich, spostoszenia dóbr przez wojska rosyjskie.

Porównując postępowanie w czasie konfederacji radomskiej Radziwiłła, Sołtyka i Fr. Sal. Potockiego, należy uznać, że pod względem etycznym właśnie postępowanie Potockiego było najbardziej nikczemnem. Bo na usprawiedliwienie Radziwiłła możnaby przytoczyć ciasny jego umysł, nie zdający sobie sprawy z tego, co czynił; pozatem był on banitą, który tylko przez Rosję wracał do kraju. Sołtyk miał się za dyplomatę i, prowadząc konszachty z Repninem, wyobrażał sobie, jak tylu naszych polityków, że użyje Rosji za narzędzie, a wkońcu dobrze zrobi krajowi. Takich okoliczności łagodzących na obronę Potockiego przytoczyć niepodobna. Był to typ zwyrodniałego magnata starej daty, który nie na słowach, ale w czynach przeprowadzał skarykaturowaną do jego poziomu zasadę Ludwika XIV: państwo to ja. Dla niego Rzplta o tyle miała rację bytu, o ile dogadzała jego interesom; był on z tych, którym taka właśnie Polska była potrzebna, wyzuta z wszelkiej władzy państwowej, dająca możność grubym rybom rządzić się po swojemu i bogacić się kosztem ogółu.

Po raz drugi zawiedziony w swych nadziejach, pyszny królik krystynopolski skrył się, jak ślimak do skorupy, i znów czekał. Wyczekiwał, co też wyniknie z walk i zawieruchy konfederacji barskiej. Należeć do niej nie chciał, bo bał się o swoją skórę i swoje mienie, dla ideałów zaś konfederacji był doskonale obojętnym. Ale cieszył go możliwy upadek króla i Czartoryskich, więc, choć zamknięty wciąż w swej rezydencji krystynopolskiej, chciwie chwytał wiadomości z ca-

łego kraju i przeżywał zdarzenia ówczesne pod kątem swych nienawiści, niechęci i nadziei na upokorzenie przeciwników.

W takiej właśnie chwili doczekał się kary, kary okrutnej, za ciężkie grzechy swego żywota. Jak grom po gromie, zwaliły się na jego starość ciosy jeden po drugim: najprzód potajemne, a zamiarom jego przeciwne, ożenienie się syna jedynaka; później okropna wiadomość o zabiciu synowej przez zbyt gorliwych służalców, których był wprawdzie sam wysłał dla jej porwania, ale jedynie, by ją ukryć przed światem do czasu przeprowadzenia rozwodu; wreszcie długie, nigdy już do śmierci nie ustające tortury wewnętrzne, które, jak starożytne Erynje, towarzyszyć mu odtąd będą na każdym kroku, wprawdzie z nie z powodu wyrzutów sumienia, ale z przerażenia, by zbrodnia nie została wykrytą, zbrodnia, którą w swej dumie postanowił ukryć przed wszystkimi, nawet przed własną żoną!... Przyniosła ukojenie dopiero śmierć, przyśpieszona stałem podnieceniem organizmu przez strach i irytację; nadeszła w półtora roku po dokonanej zbrodni na Komorowskiej.

Tragedja ta datuje się od 1770 r. Wtedy młody, 18-letni, jedynak wojewody, Szczęsny Potocki, od dzieciństwa trzymany przez rodziców na pasku, a przeznaczony na męża dla jakiejś księżniczki krwi monarszej, albo dla którejś z najbogatszych dziedziczek w Polsce, zakochał się w pannie z sąsiedztwa Krystynopola, którą poznał w domu rodziców, Gertrudzie Komorowskiej. Komorowscy byli dobrą, starą, historyczną rodziną, starszą nawet od Potockich, ale podupadłą, a więc pod względem materjalnym, jako też ze stanowiska społecznego, nie mogącą w owym czasie mierzyć się z arcynababem, wojewodą i «królikiem», jakim był Fr. Sal. Potocki. Jakób Komorowski, starosta nowosielski [1]), z żoną z domu Pawłowską mieszkali niedaleko Krystynopola, w majętności swej Susznie; bywali, choć rzadko, u Potockich, mieli czterech synów i cztery córki; wszystkie odznaczały się urodą. Z nich, po tragicznej śmierci Gertrudy, Józefa wyszła za Andrzeja Rostworowskiego, kasztelanica zakroczymskiego, Kor-

[1]) Był właściwie tenutarjuszem małej królewszczyzny Nowe Siołko koło Lwowa. Właściwe starostwo nowosielskie z wsiami Nowosiółki i in. leżało w ziemi chełmskiej.

dula za Teodora Potockiego, wojewodę bełzkiego, i Antonina za Augusta Ilińskiego, senatora.

Nie ulega wątpliwości, że Komorowscy ciężko zawinili. Skorzystali z niedoświadczenia i młodości syna i postarali się związać go stułą w tajemnicy przed rodzicami. Żadne tłumaczenie nie jest w stanie ich usprawiedliwić.

To też Potoccy mieli zupełne prawo być oburzeni, a nawet żądać rozwodu. Należało tylko trzymać się granic prawa i niepozwolić sobie, nawet w takiej chwili, na magnacką samowolę.

Jest rzeczą niewyjaśnioną, czy i w jakim zakresie była powiadomiona o tej historji dumna, despotyczna, rozkapryszona, a przez wszystkich oszczędzana, wojewodzina. Mąż i cała rodzina starali się ukryć przed nią całe to nieszczęście. Czy jednak rzeczywiście o niczem nie wiedziała? Trudno dziś dociec. Najprawdopodobniej wiedziała coś, ale nie wszystko i niedokładnie, a polityka krystynopolska nakazywała udawać zupełną nieświadomość.

Ślub Szczęsnego Potockiego odbył się 26 grudnia 1770 r. w cerkiewce unickiej, w jednej z wiosek Komorowskiego. Było trochę gości, ale do czasu postanowiono małżeństwo zachować w tajemnicy. Nowożeniec zaraz po ślubie wrócił do Krystynopola, a potem odwiedzał żonę tylko ukradkiem.

Ale już w styczniu wojewoda dowiedział się o wszystkiem. Zaraz rozprawił się z synem i wymógł na zahukanym i nie mającym własnej woli jedynaku, że się zgodził na rozpoczęcie sprawy rozwodowej. Obiecał mu, że Komorowskim nie zrobi krzywdy, owszem, pretensje ich zaspokoi. I sprawa byłaby może weszła na zwykły tor tego rodzaju komplikacyj, t. j. albo się skończyła zgodą, albo zwykłym procesem rozwodowym, gdyby nie duch samowoli, którym przejęty był wojewoda, i gdyby nie złe rady pani Mniszchowej, z domu Brühl, siostry zięcia wojewody, marzącej oddawna o wyswataniu córki za wojewodzica. Uradzono więc przed rozpoczęciem procesu rozwodowego wprzód małżonków rozdzielić; w tym celu miano słabego Szczęsnego Potockiego wyprawić zagranicę, a narzuconą synowę podstępem, albo gwałtem wywieźć z domu jej rodziców i ukryć gdzieś w klasztorze.

Chcąc synową zawładnąć, wojewoda kazał synowi napisać list do Komorowskich z zawiadomieniem, że rodzice o ni-

czem jeszcze nie wiedzą, i że prosi, by z żoną jego przyjechali do Krystynopola. List ten wojewoda wyprawił z karetą, którą liczył, że Komorowscy z córką przyjadą. Ale Komorowski, ostrzeżony, że wojewoda już wie o ślubie syna, przeczuł podstęp; wyprawił więc pokryjomu własnego posłańca do Szczęsnego Potockiego z zapytaniem; ten, również pokryjomu, odpisał ołówkiem w ten sposób: «Co się dzieje i na jaki koniec posłano tego człowieka z powozem? o tem zgoła nic nie wiem. List ten kazał mi pisać ojciec, który pokazywał mi oraz list swój do jaśnie wielmożnego Państwa, zapraszając ich zaraz w dom swój. Zresztą nic nie wiem, ojciec mój ciągle powtarza: «Bądź dobrej myśli, nie daj po sobie poznać zgryzoty, aby tego matka nie postrzegła», jednakże wybadywa przez jednego z ojców trynitarzy. Jak długo trwać będzie i dokąd zmierza to fałszywe ze mną postępowanie? nie wiem. Bardzo się dobrze stało, żeście nie dowierzali tej posyłce, a ja mocno upraszam dać pilną baczność na osobę, od której, chociaż tu nieobecnej, moje życie i zdrowie zawisło».

Gdy się w ten sposób podstęp nie udał, postanowił wojewoda uciec się do gwałtu. Chciał do tego użyć swego marszałka dworu, Karola Sierakowskiego, ale gdy ten odmówił, funkcja ta została powierzona dwóm dowódcom kozaków nadwornych, Dambrowskiemu i Wilczkowi, którzy, przy udziale kilku subalternów (między nimi dwóch żydów) i dobranych ludzi, podjęli się Komorowską porwać i przywieźć do Krystynopola. Przebrawszy się i udając żołnierzy rosyjskich, szukających konfederatów, wysłańcy wojewody najechali koło północy dom Komorowskich, porwali Potocką, podobno wówczas już brzemienną, i wynieśli do przygotowanych krytych sani. By nie zmarzła, a także by zagłuszyć krzyki, obłożyli ją ze wszystkich stron przywiezionemi pierzynami. Teraz śpieszono na gwałt do domu, bojąc się pogoni. Tymczasem w lesie trzeba było stanąć, bo spotkali cały szereg jadących w drugą stronę sań chłopskich ze zbożem, z któremi niepodobna było się rozminąć. Trzeba było długo czekać, a tymczasem pilnowano, by pierzyny szczelnie zamykały sanie, aby chłopi nie dosłyszeli krzyków. Wreszcie sanie chłopskie przejechały, i oprawcy zajrzeli do swej ofiary; leżała bez życia, uduszona. Nie wiedziano, jak postąpić; znajdowano się obok jednego z folwarków krystynopolskich, nie-

daleko stawu; niedługo myśląc, oprawcy przerąbali płonkę i trupa spuścili do wody.

Można sobie wyobrazić, co się działo z Potockim, gdy się dowiedział o nieoczekiwanym a strasznym wyniku wyprawy! Temat to tak do tragedji, jak do analizy psychologicznej. Strach, gniew, wstyd, wszystkie te uczucia skłębione musiały miotać tym przejętym swą wielkością starym sybarytą, czułym nadewszystko na bezpieczeństwo swej osoby i swe stanowisko, widzącym przed sobą przepaść, w którą los go niespodzianie rzucił, hańbę, która lada chwila pokryje jego dumne czoło, karę za zbrodnię, której przecież nie popełnił. Darłby pasy z tych nikczemnych a zbyt gorliwych wykonawców jego woli — tymczasem musi ich oszczędzać, owszem, głaskać i wynagradzać, by milczeli; krzyczałby na głos, tymczasem musi udawać spokój, nawet wesołość, by uśpić podejrzenia, by nie dać poznać po sobie, co dzieje się w jego wnętrzu. I on, on, przed którym drżeli najmożniejsi, z którym liczyły się głowy koronowane, dziś lada chwila może stać się przedmiotem obelg i oskarżeń, stanąć wobec tylu zawistnych w roli zbrodniarza, któremu grozi kara haniebna i wieczna niesława!...

Wobec tej okropnej kaźni wewnętrznej wojewody, o wieleż lżejszym był los nieżyjącej a więc i niecierpiącej już Gertrudy i zaniepokojonych, ale jeszcze całej prawdy nie wiedzących Komorowskich; a nawet los opłakującego śmierć żony Szczęsnego Potockiego. Ten, dzięki tresurze długoletniej, pozbawiony woli, boleć będzie nad stratą ukochanej, ale z rozkazu ojca potulnie wyjedzie zagranicę, otoczony całą świtą dozorców, z Karolem Brühlem, bratem swego szwagra, na czele. Tamci, Komorowscy, przypuszczając, że córka ich została gdzieś schowana w klasztorze, oddawna przygotowani do walki, wierzą w pomyślny jednak koniec swego przedsięwzięcia. I syn i Komorowscy, ten w swej bierności, ci w swej dobrej sprawie, znajdują możność pocieszania się i wiary w lepszą przyszłość. Ale wojewoda mieć już jej nie będzie! Miał sprawę dobrą, słuszną: zbałamucili mu nieletniego syna, narzucili mu synowę. Któż uczciwy mógł proceder taki pochwalić? A dziś?! Dziś przez własną samowolę role zmieniły się w straszny sposób. «Niegodziwi» Komorowscy stali się

ofiarami, on, Potocki, tak haniebnie oszukany ojciec — zbrodniarzem!...

Jest rzeczą człowiekowi wrodzoną szukać pociechy w wykrętnej samoobronie, w dialektyce sofistycznej. Tylko umysły wyższe lub serca czyste łatwo uznają własne błędy i z pokorą przyjmują ich ciężkie nawet skutki. Wojewoda zaczął przed sobą się usprawiedliwiać i chwilami się uspakajał. Wina Komorowskich olbrzymiała coraz więcej, wkońcu pokryła sobą wszystkie inne. Należało wytężyć wszystkie siły, by ich ukarać, zohydzić, obezwładnić, zmusić do ukorzenia się. A należy zaznaczyć, że ten punkt widzenia znalazł zupełną aprobatę i gorących zwolenników w najbliższem otoczeniu wojewody; składały je pani Mniszchowa i Katarzyna z Potockich Kossakowska.

Bezpośredni sprawcy napadu i morderstwa zostali pochowani w różnych miejscach, zdala od siedziby wojewody. A gdy na wiosnę ciało nieszczęsnej Gertrudy wypłynęło z pod kry na powierzchnię stawu, zauważył to ekonom wojewodziński; zaraz przy pomocy gumiennego wyciągnął pływające zwłoki na brzeg i, uprzedzając przybycie innych świadków, prędko wykopał dół i zwłoki pochował. Obaj zostali hojnie wynagrodzeni.

Jednocześnie, jakby nic nie wiedząc, co się dzieje z synową, wojewoda kazał rozpocząć sprawę rozwodową. Szczęsny podpisywał wszystko, co mu ojciec nadsyłał.

Ze swojej strony Komorowscy wystąpili z manifestem, opisując napad i porwanie córki i oskarżając wojewodę.

Gdy wieść o napadzie doszła do Warszawy, podniósł się powszechny krzyk oburzenia. Bliski krewny Komorowskich, Gozdzki, wojewoda podlaski, Humieccy, Małachowscy, biskup poznański, Młodziejowski, Borchowie i co żyło podniosło się przeciw Potockim, wołając o pomstę i karę za gwałt i przemoc.

Jednocześnie rosyjskie władze wojskowe i dowódcy, komenderujący oddziałem, który stał w okolicy Krystynopola, oburzeni, że napaść na ich karb włożono, wysłali sztafety do Petersburga i starali się wyśledzić i odkryć winowajców.

Proces rozwodowy opisał dokładnie Kraszewski w swem opowiadaniu p. t. «Starościna Bełzka». Proces ten ciągnął się długo i bez skutku; ciągnął się nawet wtedy, gdy Komorowscy wiedzieli już o śmierci córki. Zachowanie się ich było dalekie od bezinteresowności; owszem, spekulowali na sprawie, by za głowę Gertrudy uzyskać bogaty okup. Krokami ich kierował Młodziejowski, biskup poznański i kanclerz w. kor., daleki ich krewny, człowiek aż nazbyt zręczny i bez krzty sumienia.

Tymczasem w styczniu 1772 r. umarła wojewodzina, a w październiku tegoż roku umarł wojewoda.

Szczęsny Potocki bawił wciąż zagranicą i powrócił dopiero po pogrzebie ojca. Z teściem Komorowskim (którego teraz mianowano kasztelanem santockim) spotkał się w Warszawie. Spotkanie było dziwne i ponure. Obaj wiedzieli o śmierci Gertrudy, ale obaj udawali, że o tem nie wiedzą. Komorowski znajdował, że taka opozycja narazie jest dogodniejszą, bo dopominanie się o zwrot jakoby ukrywanej Gertrudy działało na Potockich w sposób dotkliwy, a jednocześnie nie przeszkadzało zgodnemu załatwieniu sprawy, Szczęsny zaś Potocki już wówczas przejął się swą rolą reprezentanta wielkiego rodu i postanowił bronić przedewszystkiem czci ojca i rodziny. Gdy Komorowski nalegał, by mu wskazano, gdzie córka jego została ukryta, zięć oświadczył, że nic o niej nie wie, ale dodawał, że w każdym razie sprawę rozwodową dalej prowadzić będzie, bo z żoną żyć już nie chce.

Po długich korowodach, do których jeszcze powrócimy, sprawa ta skończyła się w r. 1774 ugodą. Komorowscy mieli otrzymać kilkakrocstotysięcy złp.; zamiast tych pieniędzy otrzymali później miasteczko Wittów z kilkunastu wsiami w ziemi buskiej. Jednocześnie dekret komisji sejmowej starał się, o ile można, oczyścić pamięć Fr. Sal. Potockiego. Za winnych morderstwa uznano tylko Dambrowskiego, Wilczka, Szpilkę i dwóch żydów, Wolfa i Abramka, skazując ich na śmierć (oczywiście teoretycznie, bo ich nie znaleziono). O udziale zaś wojewody czytamy w dekrecie co następuje: «Ponieważ zaś panowie obowiązani są czynić wybór w przyjmowaniu osób do służby i wglądać w ich obyczaje, urodzeni zaś Dambrowski, Wilczek i Szpilka, porzuciwszy służbę, przystali do zgrai rabusiów i wyżej pomienioną zbrodnię, prawem boskiem i ludzkiem potępioną, razem z innymi mordercami spełnili, z tego powodu stanowiąc, iż majątek tegoż ś. p. J. W. Potockiego, wojewody kijowskiego, za samą tylko niebaczność w przyjmowaniu osób do służby podpada karom kry-

minalnym, stanowimy, aby w. chorąży koronny (t. j. Szczęsny Potocki), jako nietylko co do pokrewieństwa, lecz i co do majątku rodziców swoich sukcesor, zapłacił drugiej stronie, t. j. J. W. Komorowskim, k. santockim, przed aktami grodzkiemi warszawskiemi w poniedziałek po uroczystości św. Katarzyny panny i męczenniczki, bieżącego, cztery tysiące grzywien pod karą banicji».

W ten sposób udział Fr. Sal. Potockiego w morderstwie formalnie został sprowadzony do możliwego minimum — ale bądź co bądź został uznany. To też słusznie pisał o wyroku przyjaciel i krewny Potockich, Cetner, wojewoda bełzki: «Dekret sejmowy w sprawie Komorowskich nadesłany, ale dziwnie ferowany i nie bez noty dla tego wielkiego domu. Ten ciężki zda rachunek, kto tę sprawę do Warszawy wyprowadził, kiedy można było w domu zakończyć; to tylko dobrze, że już koniec!»

Teraz wypada nam bliżej przyjrzeć się osobie tak głośnego później przywódcy Targowicy.

Szczęsny, właściwie Stanisław Szczęsny Potocki urodził się w r. 1752. Od natury nie był upośledzony. Umysł, choć nie wybitny, dostępny był dla wiedzy, popędy miał szlachetne, a przy umiejętnem kierownictwie mógł się wyrobić dzielny charakter. Ale wychowanie wszystko to w zarodku spaczyło. Dano mu mało wiedzy prawdziwej, zato dużo fałszywych poglądów; wrodzonych szlachetnych popędów nie rozwinięto; od dziecka przyzwyczajano do najskrajniejszego egoizmu; wreszcie, zamiast z zarodków silnej woli wytworzyć charakter niezależny, postarano się wszelką samodzielność przytłumić, tak że wkońcu wyrobił się tylko upór.

Nauczycielem młodego Szczęsnego Potockiego był pijar, ks. Wolf, człowiek prawy, ale o umyśle ciasnym, kierujący się wymaganiami rodziców, a te były zabójcze; zamiast wiedzy wymagany był tylko polor światowy, zamiast serca — tylko egoizm klasowy, zamiast charakteru — tylko ślepe posłuszeństwo woli rodziców.

Rodzice ci, jak wiemy, byli ludźmi pysznymi, pozbawionymi wszelkich uczuć szlachetnych; ojciec miał zawsze czoło

groźne i nie znosił oporu; matka dumna, kapryśna, drobiazgowo wtrącająca się do wszystkiego, chciała wiedzieć o każdym kroku, o każdej myśli jedynaka i, gdy miał już lat osiemnaście, traktowała go jak małego chłopca; nie wolno mu było kroku stąpić poza dziedziniec pałacowy bez wyraźnego jej pozwolenia.

Wychowanie dzieci rodziców zamożnych jest wogóle trudne przez wzgląd na złe wpływy i pochlebstwa otoczenia; cóż mówić o jedynaku takiego magnata i nababa, jakim był Fr. Sal. Potocki? Cały tryb życia w Krystynopolu musiał działać na chłopca demoralizująco. Przykład rodziców i gości, rozmowy, które toczyły się w jego obecności, np. w czasie konfederacji radomskiej, nauki, które otrzymywał, zbyt silna tresura rodzicielska z płaszczeniem się otoczenia — wszystko to wzwyczajało młodego panicza do spoglądania na świat, na stosunki krajowe i na własne przyszłe obowiązki jedynie ze stanowiska ciasnego egoizmu osobistego, oraz do uznania tego egoizmu za jedyny drogowskaz życiowy.

Złota klatka nie osładza jednak niewoli. Cóż z tego, że otoczony był przepychem, psuty w drobiazgach, pieszczony przez matkę, kiedy, nawet wyrósłszy na młodzieńca, wodzony był na pasku i pozbawiony własnej woli. To też, mimo tyloletniej tresury, młody następca bogactw i stanowiska dumnego «królika Rusi» zaczął rwać się do wolności, a serce i temperament zaczęły coraz głośniej dopraszać się o swoje prawa.

W domu rodziców bywali, choć zrzadka, jako sąsiedzi Krystynopola, pp. Komorowscy z córkami. Gdy do jednej z nich zapałał młodzieniec miłością, miał wtedy lat 18. Wyprosił sobie u matki pozwolenie odbywania dłuższych spacerów konnych w towarzystwie naczelnika milicji nadwornej, wojewody Sierakowskiego, który właśnie wtedy z powodu grasującej w kraju cholery często objeżdżał kordon, wytknięty naokoło dóbr wojewodzińskich. Sierakowski był przyjacielem Komorowskich, i w ten sposób młody Potocki zaczął cichaczem zaglądać do Suszna, majętności Komorowskich. Ci, zmiarkowawszy jak rzeczy stoją, postanowili doprowadzić do małżeństwa. O zgodzie na to dumnych Potockich nie mogło być mowy. Należało więc rzecz przeprowadzić w tajemnicy. Tak się też stało i, po dłuższem bywaniu Szczęsnego Potockiego w Susznem, ślub odbył się 26 grudnia 1770 r.

Po fakcie dokonanym spodziewano się dumnych rodziców ugłaskać. Stało się inaczej. Całą sprawę opowiedzieliśmy już wyżej, tu tylko należy nam bliżej rozejrzeć się w postępowaniu samego Szczęsnego Potockiego.

Jak wiemy, zaraz przy pierwszej rozprawie z ojcem, młody Potocki wyrzekł się ukochanej kobiety i zgodził się na rozwód. Później, dowiedziawszy się o katastrofie, wprawdzie w pierwszej chwili chciał sobie podobno brzytwą życie odebrać, jednak po tej chwili rozpaczy już tylko zcicha popłakiwał, a jednocześnie bez protestów podpisywał wszystkie podawane mu papiery, w których Komorowscy traktowani byli w sposób jak najbardziej nienawistny. Wkrótce potem bawił się już w Wiedniu wesoło.

Chociaż uczucie dla pierwszej żony przetrwało w Potockim podobno aż do śmierci, jednak, wróciwszy do kraju po śmierci rodziców i stawszy się zupełnym panem swojej woli, nietylko nie uważał za potrzebne oddać hołdu pamięci nieszczęsnej ofierze swej miłości, ale przeciwnie, uczuwszy się reprezentantem rodu, tylko cześć tego rodu miał na względzie i dla tej czci poświęcił pamięć ukochanej kobiety, dowodząc w dalszym ciągu, że ślub był wymuszony przez intrygi Komorowskich.

Wielu z biografów Szczęsnego Potockiego, a w ich rzędzie nawet pisarz tak wytrawny, jak Wł. Smoleński [1]), wypowiadało zdanie, jakoby ta sprawa z pierwszą żoną przyprawiła Szczęsnego Potockiego o rodzaj choroby umysłowej, z której już nie wrócił do stanu normalnego; wpadał w dziwny stan roztargnienia, był milczący i ponury. Zdanie to nie wydaje mi się słusznem. Nie potwierdza go całe postępowanie Potockiego po katastrofie, a jeżeli był milczący i ponury, to pamiętać należy, że główną cechą późniejszej jego indywidualności była próżność, dochodząca do ostateczności, połączona przytem z wrodzoną nieśmiałością; tacy zaś ludzie zwykle bywają w sobie zamknięci, na świat rozżaleni i ponurego usposobienia.

Całe postępowanie Szczęsnego Potockiego w czasie katastrofy z żoną i późniejszego procesu rozwodowego dowodzi, że szlachetne jego popędy naturalne zostały przez fatalne

[1]) Wł. Smoleński: «Konfederacja Targowicka», str. 1.

wychowanie z gruntu zwichnięte, i że cała obrona czci ojcowskiej wypływała nietyle z pietyzmu synowskiego, ile z pobudek niczem nieokiełznanej dumy rodowej. To też gdy Komorowscy uczynili krok stanowczy i wystąpili z pozwem o gwałt i najazd, Szczęsny Potocki, silny zatarciem śladów zbrodni, w odpowiedzi zaprzeczył wszystkiemu i dowodził, że kasztelan santocki «nie tak córki szuka, jak bardziej zazdroszczonego, od przodków i ojca mojego z niemałą pracą zebranego, a mnie zostawionego majątku ściga».

We wrześniu 1773 r. Komorowski, kierowany przez kanclerza Młodziejowskiego, wymógł, że sejm kazał całą sprawę rozpatrzeć osobnej komisji. Między komisarzami byli kanclerz Młodziejowski, Adam Poniński i Florjan Drewnowski, smutnej pamięci sekretarz konfederacji 1773 r.; ale należało do komisji także paru ludzi zacnych, jak Andrzej Zamoyski i biskup łucki, Turski. Młodziejowski sprawę przeciągał, by zmusić Szczęsnego Potockiego do zapłacenia znacznego okupu; Potocki zaś doszedł do przekonania, że bez silnych protekcyj nic zrobić nie potrafi. Protekcje te trzeba było zdobyć pieniędzmi i stosunkami. Pieniądze należało dawać Młodziejowskiemu i Ponińskiemu, a nawet wypadło ich nie odmówić przyjacielowi i krewnemu, Ignacemu Potockiemu. Stosunki należało zdobyć — przez ożenienie. Nastręczyły się trzy partje: albo jedna z córek Lubomirskiego, marszałka w. kor., albo córka Kazimierza Poniatowskiego, ekspodkomorzego, albo wreszcie Mniszchówna, córka Jerzego Mniszcha, eksmarszałka nadwornego, teraz w r. 1770 mianowanego kasztelanem krakowskim, jednego z najbliższych przyjaciół Fr. Sal. Potockiego. Pani Mniszchowa była, jak wiemy, z domu Brühlówną, siostrą Fryderyka Brühla, szwagra Szczęsnego Potockiego. Lubomirscy, Poniatowski (popierany przez króla) i Mniszchowie wytężali wszystkie siły, by zdobyć najbogatszego w Polsce kawalera. Gdy przyjaciele tego kawalera ekskuzowali go przed Kazimierzem Poniatowskim, że do córki jego nie ma żadnego uczucia, ks. podkomorzy krzyczał: «A któż u djabła każe mu się w niej kochać, niech tylko się żeni!»

Wreszcie zwyciężyli Mniszchowie — Szczęsny Potocki zaręczył się z Józefą Amelją Mniszchówną. Wtedy Mniszech użył wszystkich swoich wpływów, i sprawa z Komorowskimi

została wreszcie ukończona ugodowo. Chociaż wyrok, o którym już wspominaliśmy, nie był bez ale, w każdym razie stwierdzał śmierć pierwszej żony; do zawarcia drugiego małżeństwa nie było już przeszkód. 1 grudnia 1774 r. Mniszchówna została żoną Szczęsnego Potockiego.

Jeszcze na początku 1774 r. król, chcąc zbliżyć do siebie młodego magnata, mianował go chorążym kor. Otwierała się przed nim wielka karjera. Ale Szczęsny Potocki narazie miał dosyć tego życia w stolicy, wśród przykrych zabiegów; zbrzydził sobie także Krystynopol, bądź co bądź przypominający mu chwile okropne, i postanowił, sprzedawszy dobra galicyjskie, wynieść się na Ukrainę.

Dobra galicyjskie sprzedał na wyjątkowo ulgowych warunkach Adamowi Ponińskiemu. Poniński miał narazie tylko spłacić długi, ciążące na tych dobrach, a resztę wypłacać ratami. Nawzajem Poniński dopomógł Potockiemu do nabycia na prawie emfiteutycznem czterech starostw, a między niemi bogatego starostwa zwinogrodzkiego. Należąca do żony Dukla została również sprzedana.

Dobra ukraińskie Potockiego stanowiły, jak mówiliśmy, ogromne latyfundjum, powstałe z dawnej Humańszczyzny Kalinowskich i odziedziczonej przez nich wielkiej fortuny po Strusach. Należały do nich: Humań, Tulczyn, Brahiłów, Mohylów, Chaszczowata, Kalnik, Teplik, Daszów, Hołowaniewsk i in. Z temi dobrami graniczyło też nabyte przez Potockiego starostwo zwinogrodzkie. Wszystko to stanowiło większą część województwa bracławskiego; druga, mniejsza część, należała głównie do Lubomirskich (po Koniecpolskich).

Ze względu na niedawną rzeź w Humaniu, Potocki upatrzył sobie na rezydencję Tulczyn, w którym było tylko stare dworzyszcze drewniane, a w którym niezwłocznie przystąpiono do budowy okazałego pałacu i założono piękny ogród. Szczęsny Potocki oddał się urządzeniu tej wspaniałej rezydencji i tych ogromnych dóbr. Był jedynym magnatem tej miary, stale przebywającym na Ukrainie, z braku więc odpowiedniego sąsiedztwa wypadło stworzyć sobie towarzystwo z rodziny, domowników i dzierżawców.

Druga żona Potockiego, Józefina Amelja Mniszchówna, wyszła zamąż bez miłości i nie była dla Potockiego odpowiednią towarzyszką życia. Była to kobieta piękna, o postawie wspaniałej, inteligentna, dobrego serca, ale żywa, lubiąca rozrywki, słabych zasad moralnych, skłonna do romansów ubocznych, nawet niewybrednych. Prawdziwej harmonji między małżeństwem być nie mogło. Potocki potrzebował albo kobiety bardzo energicznej, któraby mogła nim kierować, albo kobiety bardzo kochającej, któraby działała nań przez uczucie — nie znalazł ani jednego, ani drugiego. Józefina Potocka, nie mając dla męża tkliwszego uczucia, nie dzieląc z nim jego myśli, trosk i planów ambitnych, pokryjomu romansując, jednocześnie starała się nie narażać się mężowi i ustępowała mu we wszystkiem. Stosunek między małżonkami był chłodny, coraz chłodniejszy, a to z powodu coraz nowych miłostek żony. Z licznego pozostałego potomstwa (4 synów i 7 córek), co do niektórych dzieci musiały w umyśle męża powstawać uzasadnione wątpliwości. Jednak, unikając skandalu, Potocki przyjmował je za swoje. Tylko raz, gdy Potockiej urodził się syn po więcej niż rocznem niewidzeniu się z mężem, dziecko to schowano i adoptował je właściwy ojciec, niejaki Dzierżański; był on zapewne ojcem jeszcze dwojga dzieci, zapisanych jako dzieci Szczęsnego Potockiego.

Do stałego towarzystwa tulczyńskiego należeli: proboszcz humański, późniejszy biskup administrator kamieniecki, Roman Sierakowski, karciarz, człowiek rozwiązły, specjalista od wyrabiania a później od dawania rozwodów; ks. Truskolaski, mentor najstarszego syna Szczęsnego Potockiego, również człowiek wolnych obyczajów; Adam Moszczeński, plenipotent generalny Szczęsnego Potockiego, późniejszy marszałek bracławski konfederacji targowickiej, pamiętnikarz; Antoni Złotnicki, były rotmistrz barski, późniejszy za Targowicy marszałek podolski, brygadjer i komendant Kamieńca, jenerał rosyjski, człowiek nikczemny (który wkońcu w r. 1804 odpłacił Potockim czarną niewdzięcznością); Benedykt Hulewicz, towarzysz Szczęsnego Potockiego w jego podróży zagranicznej w latach 1771—2, brzydki, garbaty, ceniony za dowcip, zwykle cyniczny i rubaszny, zelant wolności, za Targowicy konsyljarz konfederacji, ale przynajmniej szczerze do Potockiego przywiązany i nie interesowny; Dyzma Tomaszewski, początkowo kancelista na dworze królewskim, później konfederat barski, następnie rezydent w Tulczynie i poeta chropowaty («Jagiellonida»), chorujący na polityka, później-

szy autor mów sejmowych Szczęsnego Potockiego i jego uniwersałów, sekretarz generalny konfederacji targowickiej, przed śmiercią trawiony wyrzutami sumienia. Później przybył na dwór tulczyński jeszcze Metzel, kapitan inżynierów, syn naturalny Brühla, adjutant Potockiego, jako jenerała artylerji, potem założyciel Zofjówki.

Śród gości, odwiedzających Tulczyn, znaczną część stanowili jenerałowie rosyjscy, dążący do granicy tureckiej, albo stamtąd wracający. Bawili więc tu często Kreczetnikow, Rumiancow, Sałtykow, Potemkin, Suworow. Stosunki te z Rosjanami, a także możność korzystnego zbywania zboża do armji rosyjskiej, nie pozostawały bez wpływu na rosjofilskie usposobienie magnata tulczyńskiego.

Na pałacu w Tulczynie Potocki umieścił napis pompatyczny: «Oby wolnych i cnotliwych był zawsze mieszkaniem». Tymczasem cnotliwość ta zasadzała się przedewszystkiem na przepychu, którym Potocki się otoczył. Sam prowadził życie zamknięte, tak, że po kilkanaście dni z pokojów swoich nie wychodził nawet do sali jadalnej.

Urządziwszy się w Tulczynie, Potocki czas jakiś podróżował z żoną zagranicą. Później, wróciwszy do kraju, został mianowany w r. 1782, po śmierci Augusta Czartoryskiego, wojewodą ruskim, Stanisław August chciał za wszelką cenę zjednać sobie przyjaźń możnego magnata i często zwracał się do niego z największą uprzejmością. Natomiast Potocki, choć pozornie był dla króla z wielkiem przywiązaniem, w gruncie rzeczy był mu nieprzychylny. Okazało się to już w r. 1784 na sejmie grodzieńskim, na którym agitowała się sprawa spłaty długów królewskich. Chociaż wkońcu sprawa ta została załatwiona dla króla pomyślnie, jednak przeciwko spłacie tych długów przemawiali dwaj Potoccy, Ignacy (należący już wtedy do pokłóconej z królem «familji») i Szczęsny.

W czasie tego sejmu Szczęsny Potocki nabył od Stempkowskiego regimentarstwo t. zw. Partji Ukraińskiej. Z tego powodu, żądny aplauzów i kadzideł, wystąpił z pompatyczną ofiarą Rzpltej: darował jej 24 armaty i zobowiązał się utrzymywać na własnym żołdzie 400 ludzi piechoty. Nasłuchał się zato pochwał niemało, choć ofiara ta w stosunku do jego fortuny była drobnostką, a owa piechota, szumnie nazwana «regimentem imienia Potockich», stanowiła właściwie jego milicję. Później w, r. 1790, niezadowolony z sejmu Czteroletniego, Potocki zrzekł się samowolnie utrzymywania tej piechoty, i dopiero wtedy, przeszedłszy na żołd państwowy, stała się ona naprawdę wojskiem Rzpltej.

Dbały o pozory i popularność Szczęsny Potocki uważany był powszechnie w owym czasie za obywatela cnotliwego i ofiarnego. Tymczasem był to (podajemy trafną charakterystykę Kalinki) «rozwielmożniony pychą, majątkiem i bezsilnością rządu indywidualizm szlachecki, który żadnego hamulca dla siebie i nikogo wyższego od siebie nie przypuszczał; uosobione liberum veto, nie widział on poza sobą Rzpltej, a jak wszelki przymus za nieznośną brał tyranję, tak i wszelką decyzję o losach kraju, skoro bez jego udziału i przyzwolenia była powzięta, za obrazę swych praw, tem samem za żadną i za występną uważał. Dałby był wiele, aby kraj dźwignąć i ratować, ale pod warunkiem, aby on był zbawcą, aby w kraju tak się działo, jak on chce. Przytem zdolności umysłowych bardzo miernych: zwykły rozsądek, który do spraw domowych wystarczał, i sprawy publiczne, zwłaszcza lokalne, roztropnie oceniał, ale który prędko się mieszał i przygasał, ilekroć miłość własna i pycha rodowa były w nim zadraśnięte. Że człowiek tak nadęty ważnością siebie samego musiał być niezmiernie drażliwy na przygany, a choćby tylko na samo pominięcie jego osobistości, to rzecz jasna; ale to właśnie jego usposobienie, w połączeniu z tak niejasnemi zasadami politycznemi, były dostateczne, aby go zaprowadzić tam, gdzie wkońcu zaszedł. Moskwa doskonale rozumiała tę naturę, napozór ofiarną, szlachetną i bezinteresowną, a właściwie pełną pysznego egoizmu i siebie samej zawsze szukającą. «Wojewoda ruski — rzekł Stackelberg — jest to człowiek, który kadzidłem i okazywaniem poufałości może dalej i pewniej być zaprowadzony, niżeli inny największemi darami».

Przekonania polityczne Potockiego sprowadzały się do dwóch dogmatów: złotej wolności i bezwzględnego oddania się Rosji. Dla złotej wolności potrzeba było, by reformy w Polsce szły nie w kierunku wzmocnienia władzy królewskiej, lecz przeciwnie, by Polska przeistoczyła się w rzpltę oligarchiczną bez króla, a tylko z prezydentem, wybieranym na czas krótki przez jedno zkolei województwo; jeżeli przy królu magnaci nie uznawali władzy nad sobą, można sobie wyobra-

zić, coby znaczył dla nich jakiś prezydent! Co do uległości Rosji, to działało w tym kierunku kilka przyczyn.

Przedewszystkiem, sąsiadując z Rosją i stykając się ciągle z Rosjanami, Szczęsny Potocki przejęty był jej potęgą i potrzebą skarbienia sobie jej względów, a jako naiwny, domorosły polityk, nie zdawał sobie sprawy z dążeń Rosji w Polsce, przypuszczał, że, wobec swego ogromu, nie będzie dążyła do nowych zaborów kosztem Polski, a owszem bronić jej będzie od apetytów pruskich.

Powtóre, Rosja umiała skutecznie oddziaływać na chorobliwą próżność i ambicję Potockiego; Katarzyna II nie żałowała, gdzie potrzeba, uprzejmości i pochlebstw; przeniknąwszy charakter wpływowego magnata, zrozumiała, że schlebiając mu, pozyszcze go dla swych widoków bez zastrzeżeń. Gdy w r. 1787 cała magnaterja polska zbiegła się do Kijowa, by złożyć hołd imperatorowej, ta ostentacyjnie wyróżniała Szczęsnego Potockiego, prowadziła z nim rozmowy poufne, a później jego jednego z Polaków zaprosiła, by raz jeszcze ją odwiedził w Krzemieńczugu. Wojsko polskie na Ukrainie, jako oddzielna partja ukraińska, pozostawało wtedy pod komendą Szczęsnego Potockiego; oddawał on armji rosyjskiej nieocenione usługi: pilnował jej magazynów i strzegł granic od niespodzianek ze strony Turcji. W styczniu 1788 r. Katarzyna przysłała mu szpadę i epolety, wysadzane brylantami, a Rumiancew i Potemkin pisali listy z wyrażeniem najżywszej wdzięczności imperatorowej. Potemkin nakazywał wszystkim dowódcom rosyjskim okazywać Potockiemu największe uszanowanie. Potocki tak był olśniony temi dowodami uznania, że w umyśle jego powstawać zaczęły marzenia o koronie po śmierci lub detronizacji Stanisława Augusta, a obraz imperatorowej stawał się symbolem jakiegoś anioła opiekuńczego. W listach swoich do Branickiego Potocki wyraźnie oświadczał, że nic nie czynił i czynić nie będzie bez woli Rosji, gdyż «głęboka mądrość Imperatorowej przewidzi, co czynić trzeba będzie, nie dopuści zginąć naszemu narodowi, który z ufnością jej wzywa ratunku i który swój los w jej prawie ręce oddaje».

Wreszcie — *last not least* — pamiętać należy, że orjentacja rosyjska była rzeczą naturalną dla całej większej, a poczęści także i średniej własności na kresach wschodnich. Działały tu, oprócz mimowolnego korzenia się przed ogromem wschodniego naszego sąsiada, także względy materjalne. Stosunki handlowe ze Wschodem, a zwłaszcza, jak na Ukrainie w drugiej połowie XVIII w., dostawy zboża dla wojsk rosyjskich, stanowiły poważne źródło bogactwa tych kresów. W szczególności co do Szczęsnego Potockiego, pomimo jego politycznych zapewnień o ofiarności dla kraju, należy stwierdzić, że sprawy materjalne zawsze bardzo go obchodziły, tak, że nawet w drobiazgach i w chwilach dla kraju najkrytyczniejszych, o swojej kieszeni nie zapominał. Tak np. po zawiązaniu konfederacji targowickiej kazał sobie zapłacić pensję jenerała lejtnanta i jenerała artylerji za czas, w którym służby nie pełnił; a na sejmie grodzieńskim, pomimo rozpaczy z postanowionego rozbioru kraju, nie zapomniał zabiegać u Sieversa o pieniądze, należne mu za dostawy. Te dostawy stanowiły oddawna wielką rubrykę w dochodach Potockiego, a wielu z jego dzierżawców i oficjalistów na tych dostawach («podradach») dorobiło się fortun. Szczęsny Potocki zapewne nie otrzymywał za swe usługi, okazywane interesom rosyjskim, wyraźnych datków korupcyjnych (choć pewności pod tym względem mieć nie możemy) [1]), ale nie ulega wątpliwości, że ceny, które za ogromne ilości swego zboża od Rosji otrzymywał, zawsze o wiele przewyższały cenę rynkową i miały wszelkie cechy wyraźnego premium za wierne usługi.

Ale, doszukując się przyczyn ślepego oddania się Szczęsnego Potockiego Rosji, powiedzmy jeszcze jedno: *cherchez la femme*. Ale o tem później, gdy mowa będzie o pani Wittowej.

W połowie 1788 r. Fryderyk Alojzy Brühl, jenerał artylerji koronnej, szwagier Szczęsnego Potockiego, postanowił wynieść się z Polski. Traktował więc o sprzedaż tego urzędu z Teodorem Potockim, pułkownikiem artylerji, (późniejszym wojewodą bełzkim); ale gdy ten nie miał dosyć pieniędzy, zdawało się, że urząd ten dostanie się ks. Józefowi Poniatowskiemu. Nie chcąc do tego dopuścić, Potocki sam zgłosił się o kupno; zapłacił Brühlowi 20.000 dukatów. Oto jak o tem pisał Szczęsny Potocki do Branickiego: «Widziałem, że gdy mój kuzyn nie zapłaci, czego uczynić nie mógł, dostanie się ta szarża

[1]) Patrz Korzon: «Dzieje wewnętrzne». T. V, str. 241.

ks. Józefowi Poniatowskiemu. Ja osobiście go lubię, bo jest łepski i pełen ognia chłopiec; ale zdawało mi się, żeby zanadto było, ażeby jedna familja miała w ręku tron, duchowieństwo, skarb, policję i nakoniec arsenał, jaki jest, i fortecę, jaką Pan Bóg dał».

Układ potrzebował potwierdzenia królewskiego, a król przeznaczał jeneralstwo artylerji ks. Józefowi, a Potockiemu już nie dowierzał. Sprawę, jak zawsze, zdecydował ambasador rosyjski, i zdecydował oczywiście na korzyść Potockiego. Zachodzi nawet pytanie, czy Potocki, nabywając ten urząd, nie działał w myśl życzeń rządu rosyjskiego.

Objąwszy urząd jenerała artylerji, Potocki musiał zrezygnować z miejsca w senacie. Tymczasem nadchodził sejm Czteroletni, i król wolał mieć Szczęsnego Potockiego w sejmie, niż poza sejmem; gorąco więc, nieszczędząc pochlebstw, namawiał go do przyjęcia poselstwa. Potocki wahał się; prośba króla nie mogła go skłonić do decyzji; dla niego (jak zresztą dla wielu magnatów ówczesnych) miarodajną była tylko wola Rosji. Pisał więc do Branickiego: «Chciej JWPan wyrozumieć ks. Potemkina, czyli trzeba, abym był posłem, czyli mogę, nie wdając się w te czyny, zostać przy mojej zwykłej robocie?» Dopiero, gdy go stamtąd zachęcająca doszła odpowiedź, stawił się jako kandydat w bracławskiem, gdzie też oczywiście został obrany jednomyślnie.

Zaczął się sejm Czteroletni. Potocki stawił się, jako gorący zwolennik najściślejszego przymierza z Rosją, ale, gdy o tem nie mogło być mowy, starał się przynajmniej, wspólnie ze Stackelbergiem, uniemożliwić zbliżenie się Polski do Prus. Pomimo jednak, że także Stanisław August dążył do tego samego, Potocki, z niechęci do króla, starał się kokietować opozycję, wrogą królowi. W rezultacie Potocki nikomu nie dogodził i tracił coraz więcej na popularności. Chciał ją sobie przywrócić mowami napuszystemi (układanemi przez Dyzmę Tomaszewskiego) i głośnemi ofiarami, ale to pomagało niewiele.

Gdy podniesiona została sprawa zniesienia departamentu wojskowego i przywrócenia komisji wojskowej, sprawa, która miała zadecydować o całym dalszym kierunku czynności sejmowych, Szczęsny Potocki znalazł się w kłopocie. Za departamentem stał król; był to motyw, by głosować przeciw; ale za departamentem stał również ambasador rosyjski, należało

więc głosować za departamentem, ale jednocześnie władzę departamentu ograniczyć kontrolą sejmową. Stąd wynikł projekt Szczęsnego Potockiego t. zw. sejmu gotowego, t. j. takiego, który, raz wybrany, przez dwa lata nie tracił mandatów i mógł być zwoływany przez każdego posła przeciwko nadużyciom rządu. Wyróżniwszy się w ten sposób, jako wnioskodawca, Potocki przy swej chorobliwej próżności wypowiedział w obronie swego projektu napuszystą, ale też bezładną mowę, w której przysięgał, że: «Gdyby ojczyzna upadła, a on w jej gruzach nie mógł się zagrzebać, z dziewięciorgiem dziatek pójdzie za morza, a żadnego obcego monarchy poddanym nie będzie» (!!); dalej, mając na myśli Czartoryskich, a bezwiednie piętnując przyszłe własne postępowanie, wołał: «Niech zginie pamięć tych, którzy śmieli na współziomków cudzego użyć żołnierza i otworzyli wrota cudzoziemcom»; wkońcu oświadczył, że żona jego ofiaruje na potrzeby Rzpltej swe klejnoty, wzamian których on ofiarowuje 10.000 sztuk broni. Mowa ta nie zrobiła spodziewanego wrażenia, a niektórzy znajdowali, że klejnoty pani Potockiej o wiele więcej były warte, niż owe 10.000 sztuk broni.

Gdy wniosek Szczęsnego Potockiego nie przeszedł, departament zaś wojskowy został zniesiony, a on sam stracił w sejmie resztki popularności, dumny magnat uczuł się dożywego dotkniętym i wkrótce, w styczniu 1789 r., korzystając z trwogi, wywołanej pogłoskami o buncie chłopskim na Ukrainie, oświadczył, że jako regimentarz wojsk ukraińskich uda się na miejsce dla osobistego sprawdzenia pogłosek i — wyjechał.

Odtąd w Warszawie się już nie pokazywał, siedział w Tulczynie i podtrzymywał serdeczne stosunki z komendantami wojsk rosyjskich. Pod tym względem posunął się tak daleko, że 10 marca 1789 r., zawiadamiając jenerała rosyjskiego, Müllera, o rozkazie komisji wojskowej, by żadnych oddziałów rosyjskich przez granicę nie przepuszczano, dodał, że zawsze będąc z niezmienionemi uczuciami dla imperatorowej, osobiście z tą polityką warszawską się nie solidaryzuje. Taka krytyka była ciężkiem wykroczeniem ze stanowiska służbowego, ale Szczęsny Potocki zgóry traktował rząd polski, i sam przesłał kopję tego swego listu do komisji wojskowej. Sejm, pod wpływem drżącego przed Rosją Stanisława Augusta i posłów

sejmowych, Stanisława Potockiego i Adama Moszczeńskiego, którzy na cześć winowajcy wypowiedzieli panegiryczne mowy, nietylko nad całem tem zajściem przeszedł do porządku dziennego, ale jeszcze polecił marszałkowi sejmowemu podziękować Potockiemu za jego gorliwość!...

A pamiętać należy, że pod komendą Szczęsnego Potockiego była czwarta część wojska koronnego, cała jedna dywizja, a on sam liczył się w randze jenerała lejtnanta i był jenerałem artylerji kor.! Otrzymywane od swojej władzy rozkazy nietylko zwykle spełniał byle jak i z własnemi dodatkami, ale czasem zupełnie ich nie spełniał. Otrzymawszy np. rozkaz komisji wojskowej dokonania nowych zaciągów, rozkazu tego nie wykonał.

Szczęsny Potocki przepędził w Tulczynie prawie cały 1789 rok. Z 25 października tego roku mamy jego list, pisany do Potemkina [1]). Donosił w nim, że postanowił zrzec się komendy nad dywizją ukraińską i wyjechać dla zdrowia do Włoch. Rzeczywiście wkrótce potem, otrzymawszy nie dymisję, ale urlop, wyjechał zagranicę i, włócząc się po Włoszech, Niemczech i Francji, utrzymywał jednak z krajem żywą korespondencję, zachęcając swych przyjaciół do opozycji przeciw czynnościom sejmowym. W 1790 r. spotkał się w Wiedniu z Sewerynem Rzewuskim, i ten zaczął mu «głowę nalewać» swemi teorjami ultraoligarchiczno-anarchicznemi, pełnemi błyskotliwych sofizmatów i frazeologji, a także projektami rokoszowemi. Do współki ogłaszali manifesty i broszury przeciw sukcesji tronu, które przyjaciele ich rozpowszechniali po kraju. Zaniepokojny tą agitacją Stanisław August wysłał do Wiednia Stanisława Potockiego z listem i perswazjami. Ale Szczęsny Potocki, «nalewany» wciąż przez Seweryna Rzewuskiego, nie dał się przekonać.

Po ogłoszeniu konstytucji 3 Maja, Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski, widząc, że dworu wiedeńskiego przeciwko konstytucji nie podburzą, zwrócili się z propozycjami do Potemkina. Uprzejmie zapraszani, w początkach października wyjechali do Jass. Powszechnie wiadome są dalsze koleje tej zdradzieckiej odyssei. Nie zastali już Potemkina w Jassach, a gdy wkrótce nadeszła wiadomość o jego śmierci († 16 października 1791 r.), wyjechali do Galicji. Tymczasem, na wieść o ich bytności w Jassach, na sejmie wszczęła się dyskusja. Nakazano im wrócić do kraju w ciągu 3 miesięcy, dla wykonania przysięgi na konstytucję i objęcia urzędów. Rozkaz Rzewuskiemu, jako hetmanowi polnemu, a więc ministrowi, wystosowany został przez króla, ordynans zaś Potockiemu wydany został przez komisję wojskową. Rozkazów tych, wysłanych 29 października 1791 r., Rzewuski i Potocki nie wykonali, i w listopadzie, wezwani przez Bezborodkę, wrócili do Jass, gdzie bawił już Branicki. Wtedy, na początku grudnia, król i komisja wojskowa zwrócili się do Rzewuskiego i Potockiego z powtórnemi rozkazami powrotu. Na te nowe rozkazy nadesłał Potocki odpowiedź wykrętną, a Rzewuski nawet zuchwałą. Wtedy Stanisław August, chcąc załatwić sprawę łagodnie, znów wysłał do Szczęsnego Potockiego, z własnoręcznym pięknym listem, Stanisława Potockiego. Ten znów nic nie wskórał i wskórać już nie mógł, bo porozumienie z Bezborodką już nastąpiło, a oprócz tego Szczęsny Potocki zajęty był piękną panią Wittową, będącą na usługach polityki rosyjskiej.

Wobec stanowczej odmowy Potockiego i Rzewuskiego spełnienia otrzymanych rozkazów, na sesji sejmowej w dniu 7 stycznia 1792 r. wniesiony został przez Niemcewicza wniosek o pozbawienie ich urzędów, a także o skasowanie niepotrzebnych buław polnych. Gdy znów odezwały się głosy w obronie Potockiego i Rzewuskiego, a Stanisław August swoim zwyczajem wypowiedział mowę dwulicową, powstał Kiciński. «Cóż to — mówił — czy jeszcze i z tymi ichmościami zgromadzenie prawodawcze powinno wchodzić w pacta conventa? Zstąp lepiej W. K. Mć z tronu; ruszcie się z miejsc waszych, najjaśn. stany; prośmy na klęczkach tych dwóch wielkich mężów, zapominając, że są płatnymi urzędnikami i sługami Rzeczypospolitej: niech sejmowi winę darują, że w ich nieprzytomności i przeciw ich zdaniu kraj urządzić odważył się... Ojczyzna nasza od dwóch wieków nierówno dzieci swoje kochała. Jedne imiona z całemi pokoleniami pieściła, lepiej karmiła i lepiej stroiła, o drugie nie dbała... Nigdyśmy ścisłej sprawiedliwości, ani w szafunku łask i nagród za równe usługi, ani w sądowniczym wymiarze kar za równe występki nie doznali. Panowie za najmniejszą chwalebną akcję brali

[1]) Kalinka: «Ostatnie lata». Cz. II, str. 112.

jednomyślnie po 100.000 intraty; dla szlachcica o kilka tysięcy złotych nagrody za takiż sam uczynek pospolicie turbować się potrzeba było... Pytam się, za co pan hetman Rzewuski wziął dziedzictwem starostwo kowelskie? Oto za to, że pięć lat w niewoli siedział? Nie byłoż tyle tysięcy Polaków w niewoli? Miljony ludzi nie cierpiałyż w Polsce? Sąż nadgrodzeni? — Nie! Rzewuski był znaczną osobą, jego tylko trzeba było dystyngować. Trzeba mu było dać i buławę, bo ojciec jego był hetmanem... Gdyby kto z uboższej szlachty batalję wygrał, fortecę ocalił, użyteczny traktat handlowy zawarł, żyłę bogatą kruszcową wynalazł — byłżeby tak obdarzony? Gdyby z pomiędzy nas, tu sejmujących, stu pogniło w kajdanach, na wszystkich razem nie dałaby Rzeczpospolita w nagrodę starostwa kowelskiego, ani stutysięcznej intraty...» Dalej, wskazując na różne wykroczenia Rzewuskiego i Potockiego, żądał równomiernego stosowania norm prawnych do wszystkich, bez względu na osoby. Sesja trwała od 12 rano do 11½ wieczorem; wreszcie wniosek Niemcewicza został uchwalony.

Ale Potocki i Rzewuski uchwały te przyjęli z lekceważeniem. Tytułów urzędowych używać nie zaprzestali, i w marcu byli już w Petersburgu dla dobicia sprawy «uszczęśliwienia ojczyzny».

Szczęsny Potocki, jako marszałek jeneralnej konfederacji koronnej, nominalnie zawiązanej w jego dobrach, Targowicy, a właściwie w Petersburgu, był blisko przez rok dyktatorem Rzpltej, a jednocześnie ślepem narzędziem rosyjskiem, ulepszonem wydaniem Radziwiłła «Panie Kochanku» z czasu konfederacji radomskiej. Jak Radziwiłł, upajał się swoją władzą i upokorzeniem króla i przeciwników politycznych i brnął coraz głębiej w swej strasznej imprezie politycznej, zapatrzony w słońce Katarzyny, ślepy na rzeczywistość i poczytujący innym za zbrodnię, że podobnych ułud nie mieli.

Opisywać jego działalność ówczesną, to pisać dzieje konfederacji targowickiej i sejmu grodzieńskiego. Na to brak tu miejsca. O konfederacji targowickiej mamy wyczerpującą pracę Władysława Smoleńskiego, a o sejmie grodzieńskim narazie należy czerpać wiadomości z pracy Iłowajskiego (przetłumaczonej na język polski, zresztą w sposób ohydny) i z pamiętników Sieversa.

Jest cechą wizjonerów politycznych, a zwłaszcza przejętych pychą i przeświadczeniem o swej nieomylności, że o fatalnych skutkach swego postępowania dowiadują się dopiero wtedy, gdy szkody przez nich wyrządzone nie dają się już naprawić. Tak stało się ze Szczęsnym Potockim. Łudził się do końca, a nawet, gdy układ podziałowy przestał być tajemnicą, jeszcze liczył, że osobistą interwencją u «wielkiej monarchini» odwróci od ojczyzny ten cios okropny. Był zrozpaczony, ale nawet w tej chwili straszliwej uczucie upokorzonej dumy przeważało nad bólem patrjotycznym; pamiętał też o drobnych sprawach własnych i popleczników; zabiegał u Sieversa o pieniądze, należne mu za dostawy, upraszał zgnębionego przez się Stanisława Augusta o awans wojskowy dla niecnego Kajetana Miączyńskiego i o ordery dla swoich stronników politycznych!!...

«Jak się masz, kochany panie Potocki?» — oto powitanie Katarzyny II na audjencji prywatnej. «Mam się dobrze, Najjaśniejsza Pani — odpowiedział — ale ojczyzna moja...» Nie dała mu dokończyć. «Ojczyzna pańska jest tu!» — zawołała, tupiąc nogą o posadzkę.

Potocki czas jakiś pozostał jeszcze w Petersburgu, załatwiając swoje i cudze sprawy prywatne; wkońcu wyjechał zagranicę — z nieodstępną swą ówczesną pocieszycielką, panią Wittową.

Trzeba się zapoznać z tą kobietą. Potrafiła ona usidlić i trzymać w odurzeniu niedawnego dyktatora w chwili, gdy stał się grabarzem swej ojczyzny.

Była Greczynką, zapewne niskiego pochodzenia, niewiadomych rodziców. Dla swej cudnej piękności wywieziona była podlotkiem z Konstantynopola przez niecnego Boskompa Lasopolskiego, wówczas wysłańca króla Stanisława Augusta do Porty. Przywiózł ją w r. 1778, zapewne w zamiarze, gdy podrośnie, ustąpienia jej komuś za dobre pieniądze. Miała wtedy dopiero skończonych lat trzynaście. Boskomp ulokował ją naprzód w Żwańcu, gdzie zaopiekowała się nią podpułkownikowa Antonina Łoska, znana piękność, z domu Gałecka; poślubiła była Łoskiego, podpułkownika artylerji koronnej, już jako wdowa po Zawadzkim, kapitanie artylerji kor.; znacznie później rozwiodła się z Łoskim i została drugą żoną Marcina Grocholskiego, wojewody bracławskiego. Ta pani Łoska polubiła piękną Greczynkę i dała jej pewną edukację; to też póź-

niejsza trzecia żona Szczęsnego Potockiego przechowała dla niej wdzięczną pamięć, przyczyniła się do jej wydania później za Grocholskiego (darowała mu wtedy kilkakroćstotysięcy złp.), a po śmierci Grocholskiego zabrała ją do siebie i troskliwie pielęgnowała do śmierci.

Ale w Greczynce zakochał się już wkrótce syn komendanta kamienieckiego, jenerała Witta, major Józef Witt (lub Witte), i bez wiedzy ojca wziął z nią ślub. Było to w r. 1779, kiedy p. Wittowa mogła mieć najwyżej lat piętnaście. W akcie ślubnym została nazwaną Zofją Clavona. Aby przebłagać ojca, młody Witt wmówił w niego, że Greczynka pochodzi ze starożytnej rodziny Czelicze de Maurocordato, a gdy synowa rzuciła się staremu Wittowi do nóg, ten wkońcu udobruchał się. «Wstań asanna — odezwał się — tak jesteś ładna, iż się nie dziwię mojemu synowi, że zrobił głupstwo». Stara pani Wittowa była twardszą i do śmierci, która wkrótce nastąpiła, nie mogła wybaczyć synowi tego mezaljansu. Boskamp Lasopolski dostał podobno od Wittego 1000 dukatów.

Młodzi Wittowie w rok po ślubie wyjechali do Francji. Tam pani Wittowa nabrała poloru i pozbyła się «przesądów» co do wierności małżeńskiej. A trzeba wiedzieć, że mąż jej był wyjątkowo brzydki, przytem cynik i człowiek zewszechmiar nikczemny.

Powróciwszy do kraju, piękna pani Wittowa zawracała głowy otaczającej ją młodzieży. W r. 1785, po śmierci starego Witta, mąż jej został mianowany jenerałem i komendantem twierdzy kamienieckiej. Młoda i piękna jenerałowa zaczęła marzyć o zrobieniu karjery. W r. 1787 została zaprezentowana Katarzynie II w czasie jej podróży do Krymu, i wtedy zetknęła się także z całą arystokracją polską. Zapewne już wkrótce potem, gdy Szczęsny Potocki został jenerałem artylerji, a przez to naczelnikiem Witta, pani Wittowa powzięła zamiar usidlenia bogatego magnata. Nie było to jednak rzeczą łatwą, bo Szczęsnowa Potocka nie chciała Wittów przyjmować, a chociaż pani Wittowa pojechała do Warszawy na początek sejmu Czteroletniego i wtedy już swą pięknością zrobiła na Szczęsnym Potockim, jak zresztą na wszystkich, wielkie wrażenie, to jednak Potocki do niej się nie zbliżył. Dumny i nieśmiały, dla prowadzenia romansu potrzebował zachęty, warunków sprzyjających i otoczenia innego, niż to, które było w Warszawie.

Wszystko to znalazło się w Jassach w końcu 1791 r., kiedy tam bawili przyszli Targowiczanie w konszachtach z Bezborodką. Wittowa, będąca z Potemkinem i innymi dygnitarzami rosyjskimi w bardzo zażyłych stosunkach, używana była przez nich do poufnych robót politycznych, miała więc wszystko ułatwione do widywania się z Potockim. Ten, czując się w Jassach mniej skrępowanym, a ze względów politycznych wprost popychany w objęcia agentki rządu rosyjskiego, wkrótce zaszedł w swym stosunku tak daleko, że wypadło już zwrócić się do pana Witta z wyraźną propozycją odstąpienia mu żony. Układ w tym względzie doszedł do skutku, i Potocki zabrał z sobą panią Wittową.

Wspomnieć tu należy, że Józef Witt porzucił był służbę polską i, za protekcją żony, był jenerałem rosyjskim i komendantem Chersonu. Na tę nową służbę przybył w r. 1791. Tytułował się grafem de Witt i zaczął się wyprowadzać od głośnych de Wittów holenderskich. W rzeczywistości ojciec jego, zasłużony przez lat siedemnaście komendant Kamieńca, był nobilitowanym mieszczaninem kamienieckim, pochodzenia ormiańskiego; pisał się różnie: Wit, Witt, Witte, de Witte, de Witt i już on chciał wyrobić sobie jakąś precedencję historyczną. Trudno mu to brać za złe, gdyż był to (a poczęści jest dotychczas) zwyczaj powszechny; wszak każda z rodzin arystokratycznych i niejedna szlachecka wymyślała sobie fantastyczne pochodzenie, przyczem zwykle wyzyskiwano podobieństwo nazwiska, herbu, lub przydomka z czemś historycznie znanem; tak mamy w Polsce Colonnów, Korwinów itp. Nie to więc było złem, że mąż pięknej Zofji stał się grafem de Witt, ale to, że był wogóle człowiekiem nikczemnym, który za pieniądze gotów był na wszystko.

Zofja Wittowa, pomimo swych wolnych obyczajów i uprawiania podejrzanych funkcyj natury politycznej, stała jednak pod każdym względem wyżej od swego pierwszego małżonka. Była z pochodzenia, z tradycji, z początkowego wychowania, z przykładów, a wkońcu z zachowania się względem niej pierwszego męża — kobietą haremową; ogłada europejska, którą otrzymała, była powierzchowna i zmienić jej natury nie mogła; dla spraw wiary była obojętną, tak że syna

swego z pierwszego małżeństwa, urodzonego w Paryżu w roku 1781 w wierze katolickiej, później w Chersonie przyłączyła do prawosławia; uczuć i różnic religijnych i narodowych nie rozumiała i nie odczuwała; jako nieodrodna córka Wschodu hołdowała sile, bogactwu, przepychowi; umiała być niewolnicą, ale niewolnicą umiejącą przez swe wdzięki przeprowadzać swoją wolę; wreszcie niepozbawioną była zdrowego rozsądku i dobrego serca, dwóch przymiotów, które zapewniły jej lepszy koniec życia, gdy wdzięki przekwitły, a zmysły się uspokoiły.

W czasie konfederacji targowickiej piękna pani Wittowa towarzyszyła wszędzie Szczęsnemu Potockiemu, z początku zwykle ukryta, później, w Grodnie, już jawnie występując przy boku marszałka. Gdy Potocki wyjechał do Petersburga, pani Wittowa koiła jego rozpacz i sprowadzała ponure jego myśli na tory bardziej pogodne.

Tymczasem w Petersburgu bawiła też pani Szczęsnowa Potocka, również mająca zachowanie u dworu rosyjskiego. Między małżonkami zaczęły się układy, zakończone tak zwaną «komplanacją», zatwierdzoną przez Katarzynę II 23 maja 1793 r. W «komplanacji» tej Szczęsny Potocki oświadcza, że, będąc nieuleczalnie chory, wynosi się zagranicę, majątek cały oddaje żonie i przelewa na nią opiekę nad dziećmi, żona zaś obowiązuje się wypłacać mu corocznie po 50.000 dukatów, po jego zaś zgonie sumę tę wypłacać jeszcze przez dwa lata osobie, którą on wskaże. Układy te zawierał Szczęsny Potocki pod presją. Podobno nawet pani Józefina Potocka wyrobiła ukaz Katarzyny, nakazujący panią Wittową «za zdrożne życie zamknąć w monasterze» [1]). Oczywiście po układzie ukaz ten nie został spełniony.

Szczęsny Potocki wyjechał z panią Wittową do Hamburga. Przepędzili tam dwa lata. Musiały to być ciężkie czasy dla pięknej Wittowej, gdyż później nieraz powtarzała, że śmiało grzeszyć może, bo w Hamburgu odpokutowała już za wszystkie grzechy przeszłe i przyszłe.

Polska dogorywała; przekleństwo narodu ścigało Targowiczan; wszyscy, nawet obcy, omijali Potockiego; wreszcie umówione fundusze z kraju nie dochodziły. Pani Józefina

[1]) A. Rolle (Dr. Antoni J.): «Opowiadania historyczne». I. Losy pięknej kobiety. Wyd. 2-gie, str. 257.

Potocka znalazła się w niemożności uiszczania umówionych rat, gdyż kraj był w ruinie, banki ogłosiły upadłość, wierzyciele Potockiego na sumę około 8 miljonów złp. żądali zwrotu kapitałów; główny dochód z obszernych dóbr, wyszynk wódki, został przez rząd rosyjski obłożony znacznym podatkiem; dzierżawcy nie płacili; wreszcie oficjaliści, korzystając z zamieszania, robili co chcieli. Pani Potocka, przyjechawszy na Ukrainę, była bezradna i zmuszona była znów udać się do Petersburga.

Szczęsny Potocki musiał wracać do kraju, zwłaszcza, że naglił inny wzgląd ważny — Witt nie miał już pieniędzy i groził skandalem.

Latem 1795 r. widzimy Szczęsnego Potockiego w Tulczynie; tam przyjechała też jego najstarsza córka, Pelagja Sapieżyna. Pani Wittowa zatrzymała się w Brodach.

W owym czasie między jenerał-gubernatorem Tutołminem a Szczęsnym Potockim wynikł spór, o którym znajdujemy taką wzmiankę w listach Katarzyny Kossakowskiej: «JWPan Tutumir (sic) gubernator był z obligacją w Humaniu, aby JWPan Potocki w Tulczynie pozwolił pałacu na gubernję generalną. JW. Pan Potocki odpowiedział, że to jest mój dom do mieszkania. Ta okoliczność sprawiła wielkie zamięszanie, bo J. Pan Tutulmin rozesłał exekucję po dobrach JWPana Potockiego. JW. Potocki, napisawszy list do Imperatorowej, a bywszy wyższym Generałem niż Pan Tutulmin, posłał mu ordynans, aby jego list bez odwłoki był odesłany do Petersburga, a jemu, to jest J. Panu Tutulminowi kopję przyłączył, z wyrażeniem postępowania jego z nim. Co tedy dalej nastąpi, ciekawa jestem. To nie bajka, bo to sam pisze JW. Pan Potocki» [1]). Aby spór ten zrozumieć, dodać należy, że Szczęsny Potocki był mianowany jenerałem en chef wojsk rosyjskich.

Kochanek pani Wittowej zaczął się starać o zezwolenie żony na rozwód i o zniesienie owej komplanacji co do majątków. Pani Potocka sama zjechała do Tulczyna. W pałacu tulczyńskim mieszkał wówczas Suworow, dowodzący wojskami, rozkwaterowanemi w południowych gubernjach; przy-

[1]) Listy Katarzyny Kossakowskiej. Wyd. Waliszewskiego, str. 294.

jął on na siebie rolę rozjemcy i pośrednika między małżonkami, ale, o ile był dzielnym żołnierzem, o tyle słabym dyplomatą; zamiast pogodzić strony, bardziej je jeszcze poróżnił.

Zaprosił się podobno na obiad, i małżonkowie wspólnie zasiedli do stołu — rozpoczęła się rozmowa o rzeczach obojętnych, wkońcu feldmarszałek ostro wprowadził kwestję rozwodu. Żona milczała, mąż zlekka protestował, generał wpadał w coraz większy ferwor.

— «Ej, ta wasza Wittycha! — zawołał — jabym jej dobrą dał nauczkę; ot, co zrobiła z człowieka — dodał, wskazując na marszałka — potracił zęby z wielkiej miłości, postarzał się, pożółkł! Odeszlijcie tę waszą Wittychę mężowi na stepy, a sami tu wracajcie, bo to głupstwo wielkie te miłostki, kiedy się ma jedenaścioro dzieci i już takich słusznych».

Potocki siedział jak na szpilkach, wkońcu nie mógł wytrzymać, zakrył twarz chustką, udał, że mu krew z nosa idzie, wyszedł zaraz potem, wsiadł do powozu i wyjechał do Humania [1]).

Czy całe to opowiadanie o interwencji Suworowa zgodne jest z prawdą — trudno wiedzieć. W każdym razie porozumienie między małżonkami nie nastąpiło. Wprawdzie po dłuższych staraniach udało się Potockiemu «komplanację» obalić, ale na rozwód żona stanowczo zgodzić się nie chciała; umarła jednak wkrótce, w r. 1798.

Łatwiej poszło z rozwodem Wittów. Tu chodziło wyłącznie o pieniądze. Faktorował Złotnicki. Po długich targach Witt za zgodę na rozwód otrzymał dobra żony na Białejrusi, darowane jej przez Katarzynę II, widocznie za jej usługi polityczne; oprócz tego darował mu Potocki poprzednio pożyczone dość znaczne sumy i przyznał dożywocie na kluczu gruszeckim; nadto Potocki zobowiązał się dobra te oddać na własność synowi Wittów, liczącemu wówczas piętnaście lat i mającemu pozostać przy pani Wittowej.

Ślub Szczęsnego Potockiego z Wittową nastąpił już w r. 1798, wkrótce po śmierci drugiej jego żony. Nowożeńcy wynieśli się na mieszkanie do Humania, i tam szukał Potocki

[1]) A. Rolle. L. c. 263.

rozrywki w urządzaniu sobie nowej rezydencji i w zakładaniu słynnego ogrodu Zofijówki. Roboty te około Zofijówki prowadzone były pod kierownictwem Metzla, o którym wspominaliśmy już, mówiąc o domownikach tulczyńskich.

Cesarz Paweł I był niechętny dla dawnego przywódcy Targowiczan. Nie podobał mu się już w r. 1781, kiedy Paweł, jako hrabia du Nord, wracając z zagranicy, zatrzymał się w Wiśniowcu, a Szczęsny Potocki przyjechał, by mu się przedstawić. Gdy po ogłoszeniu drugiego rozbioru Potocki prezentował się następcy tronu, Paweł nie podał mu ręki do ucałowania, co było jawnym dowodem niełaski. Gdy wreszcie Paweł został cesarzem, Szczęsny Potocki nie w jednym wypadku odczuł jego niechęć.

Potocki trzymał kozaków dworskich, rodzaj milicji nadwornej. Wkrótce po wstąpieniu Pawła na tron kozakom tym kazano broń odebrać, a gubernator otrzymał taki ukaz: «Ponieważ nikomu z posiadaczy ziemskich wojska utrzymywać nie wolno, więc i Stanisławowi Szczęsnemu Potockiemu zabraniamy mieć milicję nadworną, tem bardziej, że oddział jego kozaków stanowi rodzaj lekkiej poczty i tem pozbawia departament pocztowy należnych mu dochodów». Po długich staraniach i zabiegach cesarz pozwolił Potockiemu trzymać nieliczny poczet kozaków, ale tylko dla potrzeb ekonomicznych.

Syn starszy Szczęsnego Potockiego, Jerzy Szczęsny, dzięki staraniom matki, został mianowany kamerjunkrem. Ale, gdy w Petersburgu narobił masę długów na zbytki i hulanki, Paweł kazał go odesłać do ojca z napomnieniem, że źle syna pilnuje i że długi jego powinien zaraz zapłacić.

Szczęsny Potocki chciał nabyć Niemirów od Wincentego Potockiego. Chodziło o zaspokojenie długów tego ostatniego. Paweł sprzeciwił się temu kupnu i dla spłaty długów kazał utworzyć administrację. Niemirów zaś Szczęsny Potocki kupił dopiero po śmierci Pawła.

Dumny magnat stopniowo godził się jednak z losem, choć stał nad świeżym grobem ojczyzny i nie mógł nie odczuwać zgryzot sumienia. Zapewne uspakajał się sofizmatami i zwalaniem winy na innych. Zajęty był interesami, ogrodem, życiem rodzinnem i towarzyskiem. Z drugiego małżeństwa miał siedem córek; z nich pięć było już zamężnych, dwie

młodsze bawiły jeszcze w domu; synowie, z wyjątkiem najstarszego, kształcili się w Petersburgu. Dzieci trzeciej żony były jeszcze nieletnie. Wokoło na dzierżawach osiedli ex-Targowiczanie i przyjaciele: Hulewicz, Moszczeński, Złotnicki, Tomaszewski. Na łaskawym chlebie przesiadywał Trembecki, piewca «Zofijówki». Zaglądali Branicki i jenerałowie rosyjscy.

Ale nie sądzono było przywódcy Targowiczan w spokoju dokończyć smutnego żywota. Dwie sprawy zatruły mu do szczętu schyłek życia.

Pierwsza, to wystąpienie przeciwko swemu dobroczyńcy Antoniego Złotnickiego, który z mizernego szlachetki doszedł z łaski Potockiego do niezłej fortuny. W czasie Targowicy został marszałkiem podolskim, a później komendantem Kamieńca. Wydawszy zdradziecko Rosjanom Kamieniec, został jenerałem rosyjskim. Od cesarza Pawła otrzymał donację starostwa radomyskiego.

Nieporozumienie zaszło na tle dzierżawy, wypowiedzianej Złotnickiemu przez Potockiego. Złotnicki nie uważał już za potrzebne oszczędzać Potockiego i w licznych manifestach i remanifestach zohydzał Potockiego bez ogródek, wytykając mu wszystkie jego występki, a siebie przedstawiając jako ofiarę nadmiernego zaufania i poświęcenia. A gdy dumny Potocki w polemice przyjął ton zbyt wyniosły, Złotnicki nie zawahał się zagrozić mu zwykłą denuncjacją. Oto co pisał: «Po satysfakcję za nieprzyzwoite i przeciw rządowi nader odważne pismo udam się do samego monarchy, który, jak pan mądry i miłościwy, o krzywdę każdego poddanego czuły, nie zechce przenieść pewnie na wspaniałem swem sercu, aby jego generał, rangą i znakami za poczciwą służbę odziany, był tak nieznośnie prostytuowany». Było to jednak przed samą już śmiercią Potockiego, do której przyśpieszenia Złotnicki niewątpliwie się przyczynił.

Druga sprawa była jeszcze o wiele boleśniejszą. Wychowanie dzieci Potockiego nie mogło być wzorowe: złe przykłady ze strony rodziców, domowników, gości i całego otoczenia nie pozostały bez wpływu, a pobyt w Petersburgu i związki z Rosjanami wytwarzały obojętność dla kraju ojczystego i jego smutnych losów; niektórzy synowie nawet dobrze pisać po polsku nie umieli i z ojcem korespondowali po rosyjsku [1]).

Najstarszy syn Szczęsnego Potockiego, Jerzy Szczęsny, ulubieniec ojca, przez cesarza Pawła wydalony z Petersburga w r. 1799, miał wtedy lat 22. Był to piękny mężczyzna, nie pozbawiony zdolności, ale karciarz, hulaka i bez zasad moralnych. Ojciec zapłacił długi i oddał mu klucz mohylowski i kupiony od Wincentego Potockiego klucz niemirowski. Ale młody hulaka szukał zabawy i wreszcie zaczął romansować z własną macochą.

Szczęsny Potocki długi czas nie zwracał uwagi na zbytnią poufałość dwóch najbardziej ukochanych istot; wreszcie otworzyły mu się oczy. Wtedy zamknął się w swoich pokojach i nie chciał widzieć nikogo. Wtedy też zaczął go odwiedzać i pocieszać znany w owych czasach iluminat i mistyk, coś w rodzaju Towiańskiego, Tadeusz Grabianka. Ale najlepsze ukojenie dała mu śmierć, która nie kazała na siebie już długo czekać.

Przywódca Targowicy umarł w r. 1805. Umierał samotny; był przy nim tylko lekarz i najwierniejszy jego przez całe życie sługa, Bistecki. Syn i żona nie śmieli stanąć przed umierającym, czekali ukryci, on w sąsiednim pokoju, ona za kotarą.

Zwłoki złożono w tulczyńskim kościele dominikanów. Ale i tam nie zaznał Potocki spoczynku. Kościół ten w r. 1833 przemieniony został na cerkiew, i wtedy trumnę Potockiego wyniesiono do kaplicy cmentarnej; tam zakradli się złodzieje, trupa wyrzucili z trumny, zdarli zeń bogaty mundur jeneralski, ordery i medaljon z wizerunkiem Gertrudy Komorowskiej.

Szczęsny Potocki pozostawił szesnaścioro dzieci: jedenaścioro z drugiego małżeństwa (czterech synów i siedem córek) i pięcioro z trzeciego (trzech synów i dwie córki). Nie pozostawił testamentu. Staraniem wdowy działy zostały dokonane niezwłocznie; poszły gładko, bo fortuna była duża, i na drobiazgi nie zwracano uwagi.

W Tulczynie zaczęło się szalone życie. Zofja Potocka w objęciach pasierba królowała pośród tłuszczy szulerów

[1]) A. Rolle: «Dwór Tulczyński».

i awanturników. Tulczyn stał się domem gry. Przebywali tu prawie stale: Adam Poniński, syn podskarbiego, a niefortunny jenerał kościuszkowski, niemniejszy karciarz od ojca, Kajetan Miączyński, znany szuler, Targowiczanin, wreszcie arcymistrz szulerski, niejaki Hodźkiewicz, który sam jeden wygrał w Tulczynie około dwóch miljonów złp. Nawet stary Trembecki na zielonym stole składał swoją pensję emerytalną. Grali wszyscy: dzierżawcy, komisarze, lokaje, kucharze, cała służba.

Jerzy Szczęsny Potocki w żadne interesa nie wglądał, cały pochłonięty faraonem. Fortuna jego zaczęła topnieć; długi doszły do potwornej sumy. Wreszcie w r. 1809 zmuszony był wyjechać do Francji. Macocha objęła jego schedę, zobowiązała się spłacić jego długi, a jemu posyłać roczną rentę w sumie 15.000 dukatów. Ale już w następnym roku umarł, mając zaledwie 34 lat, sterany życiem hulaszczem i rozpustą. W przedśmiertnej serdecznej odezwie do rodziny przestrzegał braci, by nie poszli jego śladem.

Od wyjazdu pasierba, a zwłaszcza od jego śmierci, w życiu Zofji Potockiej następuje zwrot korzystny. Staje się osobą poważną, oddaną wychowaniu dzieci, zarządowi wielkiej fortuny i uczynkom miłosiernym. Nie przybiera form dewotki, owszem, pozostaje wesołą, prowadzi życie wystawne, ale nie rujnujące, z początku w Tulczynie, a od r. 1816 (po oddaniu Tulczyna synowi Mieczysławowi) w Humaniu.

W r. 1814 umarł pierwszy mąż Zofji Potockiej, Józef Witt. Miała z nim częste kłopoty. Po rozwodzie wkrótce wziął dymisję z wojska rosyjskiego, jako jenerał lejtnant, i zamieszkał na stałe w Kamieńcu, w domu, który otrzymał od Szczęsnego Potockiego. Co pewien czas dopominał się o nowe datki, a czynił to bądź z żebraczą pokorą, bądź z brutalną groźbą zerwania małżeństwa Potockich na tej zasadzie, że Sierakowski, biskup latyczewski, który dał rozwód, nie był zatwierdzony przez stolicę apostolską. Na skutek tych próśb i gróźb zawsze coś dostawał, więc nie było im końca. Często też sam zjawiał się w Tulczynie pod pozorem zobaczenia syna, choć był dlań zupełnie obojętny. W r. 1800, mając już lat 61, zakochał się w młodziutkiej Karolinie Ostrorożance, wychowanicy księżnej Karoliny de Nassau (z domu Gozdzkiej), mieszkającej wówczas stale w niedalekiej Tynnej. Zofja Potocka

z całych sił dopomogła do tego ożenku, spodziewając się, że w ten sposób najlepiej położy kres dalszym szantażom. Ale i ten środek nie dopisał. Ostrorożanka wyszła za Witta, ale nie mogła z nim wytrzymać; uciekła, a chcąc uzyskać rozwód, pozwała Witta i Zofję Potocką, właśnie świeżo owdowiałą, o unieważnienie ich rozwodu i uznanie, że Witt nie miał prawa zawierania powtórnych związków małżeńskich. Mówiono, że za zaniechanie tego procesu Potocka wypłaciła Ostrorożance 100.000 rb. [1]).

W końcu życia Zofja Potocka zachorowała na raka. Przeczuwając rychły zgon, w r. 1822 wyjechała do Petersburga i tam sporządziła testament. Świadkami byli: ks. Karakin, Łanskoj, jenerał Mordwinow, Szyszkow i hr. Markow; na opiekunów dzieciom naznaczyła hr. Miłoradowicza, jenerał-gubernatora Petersburga, i ks. Kurakina. Majątek swój, tak otrzymany z działu, jak też nabyty od pasierba, Jerzego Szczęsnego, podzieliła między dziećmi po Potockim; nie zapomniała jednak o synu z pierwszego małżeństwa, Janie Witt, zapisała mu 100.000 dukatów. Służył on w wojsku rosyjskiem, gdzie został jenerałem, i umarł w r. 1842 bez potomstwa; żonaty był z rozwódką po Adamie Walewskim, z domu Lubomirską (córką Kacpra).

Zofja Potocka umarła wkrótce potem w końcu 1822 r. w Berlinie w 58 roku życia.

Wspomnimy tu jeszcze o potomstwie Szczęsnego Potockiego.

Chociaż pozostało po nim siedmiu synów, jednak potomstwo nie rozrosło się, i dziś w społeczeństwie polskiem reprezentowane jest przez nieliczne jednostki tego nazwiska. Z ogromnej zaś fortuny Szczęsnego Potockiego pozostały w ręku jego potomków Polaków zaledwie strzępy.

Utarło się zdanie o przekleństwie, obarczającem potomstwo przywódcy Targowicy. Zdanie to niepozbawione jest podstawy, o ile pod «przekleństwem» rozumieć będziemy spuściznę moralną jednostki, która, przyczyniwszy się w sposób jaskrawy do zbrodni, nie odkupiła swej winy ani stosowną ekspjacją własną, ani równoważnemi zasługami potomków.

Wina Szczęsnego Potockiego tkwiła w jego dumie i bez-

---

[1]) A. Rolle (Dr. Antoni J.): «Tynna w końcu XVIII w.».

względności względem swoich, w serwiliźmie i pochopności łączenia się z obcymi, w zgniliźnie moralnej jego ogniska domowego — to wszystko nie mogło nie pozostać bez wpływu na jego potomków, a spotęgowane zostało jeszcze przez tak naturalne odstrychnięcie się od tego gniazda wielu elementów szlachetniejszych. A wobec odczuwanej lub nawet tylko podejrzewanej niechęci ogółu, niejeden z potomków twórcy Targowicy jeszcze dumniej podnosił głowę, jeszcze z większem lekceważeniem traktował ziomków, jeszcze chętniej łączył się węzłami towarzyskiemi i rodzinnemi z cudzoziemcami, jeszcze trudniej ustrzegał się od upadku moralnego; a jeżeli wśród nich znalazło się kilka jednostek szlachetniejszych, ofiarniejszych i cnotliwszych, to, oddając im wszelką sprawiedliwość i hołd należny, stwierdzić wypada, że skala ich ofiarności i zasług — nie były jednak w stosunku do wielkości winy ich przodka i posiadanych przez nich środków.

Z dziewięciu córek Szczęsnego Potockiego trzy wyszło zamąż za cudzoziemców, reszta prawie wyłącznie za Targowiczan, lub ich potomków. Z synów, najstarszy zmarniał przedwcześnie, trzech pożeniło się z córkami Targowiczan, jeden z cudzoziemką, a jeden dla interesu przyjął prawosławie.

Z córek Szczęsnego Potockiego z drugiego małżeństwa z Mniszchówną: 1) Pelagja († 1846) w czasie sejmu grodzieńskiego wydaną została (w Grodnie) za Franciszka Sapiehę, syna Aleksandra, kanclerza w. lit. i marszałka konfederacji targowickiej na Litwie. Rozwiodła się z nim (otrzymała za rozwód Wysokie Litewskie) i wyszła powtórnie zamąż za Pawła Sapiehę z linji kodeńskiej, syna Franciszka Ksawerego, wojewody smoleńskiego i konsyljarza Targowicy. 2) Ludwika († 1850), jednocześnie ze starszą siostrą Pelagją, w czasie sejmu grodzieńskiego wydaną została zamąż za Józefa Kossakowskiego, konsyljarza Targowicy, syna Michała, wojewody witebskiego i synowca Szymona hetmana i Józefa biskupa. 3) Wiktorja († 1826) wyszła najprzód za hr. de Choiseul-Gouffier, później, rozwiódłszy się, za jenerała rosyjskiego, Bachmatiewa. 4) Róża († 1862) wyszła najprzód za Antoniego Potockiego (z odnogi lwowskiej), a rozwiódłszy się — za Władysława Branickiego, syna hetmana. 5) Konstancja († 1852) była najprzód za Janem Potockim, wdowcem po Julji Lubomirskiej, a po jego śmierci za Edwardem Raczyńskim, zasłużonym mecenasem nauk, wnukiem po matce smutnej pamięci Kazimierza Raczyńskiego, marszałka nadw. kor., konsyljarza Targowicy. 6) Oktawja († 1842) była za Ignacym Szwejkowskim, wojewodzicem podolskim, konsyljarzem Targowicy. 7) Idalja, urodzona w r. 1793 († 1859) była za Mikołajem Sapiehą kodeńskim, bratem jej szwagra, Pawła Sapiehy (żonatego z najstarszą jej siostrą, Pelagją), synem Franciszka Ksawerego, wojewody smoleńskiego, konsyljarza Targowicy.

Obydwie córki Szczęsnego Potockiego z trzeciego małżeństwa były za Rosjanami: Zofja za hr. Pawłem Kisielewem, jenerałem i ambasadorem rosyjskim w Paryżu, i Olga za Leonem Naryszkinem.

Z synów Szczęsnego Potockiego z drugiego małżeństwa 1) Jerzy Szczęsny, najstarszy, umarł, jak mówiliśmy, w r. 1810, odstąpiwszy na rok przedtem swą schedę (Tulczyn i Niemirów) z ogromnemi długami swej macosze. 2) Stanisław († 1831), od dzieciństwa zaprawiany do interesów przy rachmistrzu kancelarji centralnej ekonomicznej w Tulczynie, choć część fortuny spadkowej stracił, ale jeszcze więcej się dorobił; posiadał dobra teplickie i na prawach emfiteutycznych dawne starostwo żwinogrodzkie, służył w wojsku napoleońskiem, później został w Rosji senatorem; żonaty był z Katarzyną Branicką, córką hetmana; miał z nią tylko córkę jedynaczkę, Aleksandrę († 1892), wychowaną, gdy była sierotą, przez ciotkę, hr. Arturową Potocką, wydaną za Augusta Potockiego z Wilanowa, znaną powszechnie ze swej dobroczynności, która z dóbr teplickich ufundowała ordynację dla swego stryjecznego bratanka, Konstantego Potockiego, dobra międzyrzeckie zapisała ciotecznemu siostrzeńcowi, Andrzejowi Potockiemu, a Wilanów również ciotecznemu siostrzeńcowi, Ksaweremu Branickiemu. 3) Jarosław († 1834) żonaty był z Marją Rzewuską, córką Seweryna hetmana; syn jego, Konstanty, miał także syna Konstantego, pierwszego ordynata teplickiego. 4) Włodzimierz († 1812), właściciel Daszowa i Podwysocka, żonaty był z Teklą Sanguszkówną, córką Hieronima, wojewody wołyńskiego i konsyljarza Targowicy; miał z nią synów: Stanisława bezżennego († 1874) i Włodzimierza († 1880), żonatego z aktorką, Henryką Desprès, z którą miał

tylko córkę, Marję, 1° voto za Adamem Rzewuskim, 2° voto za Witoldem Czetwertyńskim [1]).

Z synów Szczęsnego Potockiego z trzeciego małżeństwa 1) Aleksander ur. 1798, zmarły 1868, ulubieniec i chluba matki, był właścicielem Humańszczyzny. 2) Mieczysław († 1879 w Paryżu), dziedzic Tulczyna, a później Humania, żonaty był najprzód z Delfiną Komarówną († 1877), z którą się rozwiódł, a później z Emilją Szwejkowską; przeszedłszy z interesu na prawosławie (otrzymał wtedy imię Michał), wysprzedawszy wszystkie swe majątki, przeniósł się z kapitałami do Paryża i tam spekulował z powodzeniem na asekuracjach swego życia, przez co zostawił swemu synowi z drugiego małżeństwa, Mikołajowi, ogromne kapitały [2]). 3) Bolesław, pośmiertny syn Szczęsnego Potockiego, ur. 1806 r., żonaty był z Marją ks. Sołtykow, z którą miał tylko córkę za hr. Strogonowem [3]).

[1]) Bliższe szczegóły o rodzinie i fortunie Włodzimierza Potockiego patrz T. Bobrowski: «Pamiętniki». T. I, str. 202—222 i t. II, str. 374—375.

[2]) Bliższe o nim szczegóły u T. Bobrowskiego: «Pamiętniki». T. II, str. 251—254.

[3]) Bobrowski: «Pamiętniki». T. I, str. 253.

XVI. PRZYWÓDCY SEJMU CZTEROLETNIEGO

Było ich trzech: Stanisław Małachowski, Kazimierz Nestor Sapieha, Ignacy Potocki. Pomimo ich wad i błędów, wszystkim im wdzięczna pamięć się należy.

Podajemy tu krótkie ich życiorysy.

Stanisław Małachowski był synem zmarłego w r. 1762 kanclerza w. k., Jana, i bratem Jacka, od r. 1786 kanclerza w. kor., Mikołaja, wojewody sieradzkiego (1784) i Antoniego, marszałka sejmu 1780 r., a od r. 1784 wojewody mazowieckiego [1]). Sam Stanisław był tylko referendarzem kor. (od r. 1780) i o wyższe dostojeństwa nie zabiegał, choć od spraw publicznych nie stronił, bo był konsyljarzem Rady Nieustającej, członkiem Komisji Edukacyjnej, oraz marszałkiem trybunału. Nie posiadając większych zdolności, z usposobienia słaby, trochę uparty, słynął przedewszystkiem jako człowiek wyjątkowo dobry i sprawiedliwy. Na stanowisku marszałka trybunału zjednał sobie powszechne uznanie; do tego stopnia był skrupulatnym, że gdy jakąś sprawę, jak się później okazało, źle osądził, wyrządzoną krzywdę z własnej kieszeni wynagradzał. Do takich sędziów ludzie tej epoki nie byli przyzwyczajeni, bo nadużycia w trybunałach były rzeczą powszechną.

Stanisław Małachowski był już sam przez się człowiekiem bogatym, ponadto dwa razy bogato się ożenił, a mianowicie żonaty był z dwiema siostrami Czapskiemi, córkami

[1]) Najstarszym z braci był Mikołaj, najmłodszym Antoni; co do Stanisława i Jacka zachodzi wątpliwość, który z nich był starszy; zapewne Stanisław, urodził się w r. 1735 czy 1736 (?). Data urodzin Jacka zapewne 1737 r.

znanego bogacza (i okrutnika), Tomasza, starosty knyszyńskiego. Starszą, Urszulę, poślubił w r. 1771; gdy ta umarła w r. 1782, ożenił się z drugą, Konstancją, rozwódką po Dominiku Radziwille. Druga ta żona umarła w r. 1791. Z obu małżeństw dzieci nie miał.

Będąc człowiekiem niezależnym i powszechnie poważanym, i nie goniącym za dostojeństwami, Stanisław Małachowski nie zabiegał ani u króla, ani u ambasadora, nieprzyjacielem jednak Stanisława Augusta nie był. Raziła go tylko zbytnia uległość króla wobec Stackelberga. Gdy w r. 1788 Stanisław August zastanawiał się nad wyborem kandydata na stanowisko marszałka sejmowego, myślał początkowo o Michale Granowskim, sekretarzu w. kor.; gdy ten odmówił, zwrócił się do Stanisława Małachowskiego i pomimo, że o laskę zabiegał Piotr Potocki, starosta szczerzecki, i że Małachowski nie na wszystkie warunki króla się zgadzał, dotrwał przy Małachowskim, a to z powodu, że czuł, iż kandydat ten wszystkich zadowolni, i że, choć miał znaczne dobra w Prusach, pomimo to zależnym od dworu pruskiego nie będzie.

Na stanowisku marszałka sejmu Czteroletniego Małachowski wykazał wszystkie swoje zalety i wady. Miał zawsze na oku przedewszystkiem dobro kraju i dążył całą duszą do jego odrodzenia i podniesienia, ale jednocześnie na sprawach państwowych, a zwłaszcza dotyczących polityki zagranicznej, mało się rozumiał, łatwo ulegał wpływom obcym, wreszcie, jako prezydujący, był zbyt słaby i miękki i tradycyjnemu gadulstwu i anarchji w debatach przeciwdziałać nie umiał. Słusznie Jezierski, kasztelan łukowski, mu oświadczył: «JW. Marszałku konfederacji koronnej! powiem o Tobie rzecz przeciwną a prawdziwą... że zguba czasu jest twoją winą. Powolność, ulegania dla każdego posła, delikatność — są to Twoje dziedziczne cnoty, a w narodzie winy, bo czas zgubiły». Radził Jezierski, by w sali sejmowej zawieszono zegar, i by głosy posłów nie trwały dłużej nad kwadrans. Rady tej nie usłuchano, i każdy gadał, jak chciał i co chciał, a Małachowski cierpliwie słuchał.

Pomimo tej miękkości był Małachowski w rzeczach zasadniczych nieugiętym. Tak na radzie królewskiej 23 lipca 1792 r. głosował z mniejszością przeciwko akcesowi króla do

konfederacji targowickiej, a gdy to się stało, złożył swój urząd referendarza i wyjechał zagranicę.

Umarł w r. 1809.

Wcale innym człowiekiem od Małachowskiego był drugi marszałek konfederacji na sejmie Czteroletnim, marszałek konfederacji litewskiej, Kazimierz Nestor Sapieha.

Był synem znanej awanturnicy, «wojewodzicowej mścisławskiej», jednej z pierwszych i najkosztowniejszej kochanki Stanisława Augusta, Elżbiety Branickiej, rodzonej siostry Ksawerego Branickiego, hetmana, która w r. 1753 wyszła była zamąż za Jana Sapiehę z gałęzi czerejskiej, rozwiodła się z nim i w r. 1756 wyszła powtórnie za innego Jana Sapiehę, wojewodzica mścisławskiego z gałęzi kodeńskiej. Była to kobieta niezbyt piękna, ale hoża, żywa i dowcipna, bez żadnych zasad moralnych, obyczajów najwolniejszych, bardzo interesowna, dużo potrzebująca, intrygantka, wkońcu zajadła nieprzyjaciółka Stanisława Augusta.

Kazimierz Nestor Sapieha urodził się w r. 1757, w osiem miesięcy po ślubie rodziców. Ojciec, który wkrótce po jego urodzeniu umarł, nie uznawał go za swego syna.

Matka nie dbała o jego wychowanie, myślała tylko o jego karjerze i majątku. W r. 1773, mając zaledwie lat szesnaście, został mianowany przez króla jenerałem artylerji lit. Godność tę piastował do tego czasu wuj jego, Ksawery Branicki, który teraz postąpił na hetmana polnego kor. Generalstwo to było synekurą, gdyż artylerji litewskiej właściwie nie było, ale dotacja jej jenerała wynosiła przeszło 120.000 złp., a to w ten sposób, że jeszcze w r. 1670 hetman w. lit., Pac wyrobił na sejmie, że dwie królewszczyzny, a mianowicie starostwa lipniewskie i gieranońskie przeznaczone zostały na fundusz artylerji litewskiej; z dochodów miał pobierać jenerał, zarządzający artylerją, swoją pensję, a reszta miała iść na zaopatrzenie i powiększenie artylerji; ale zczasem, przy powszechnym niedozorze, weszło w zwyczaj, że cały dochód zostawał przy jenerale, a na artylerję nie szło nic. Sejm w r. 1775 wprawdzie określił pensję jenerała artylerji na 40.000 złp., ale bez zastosowania tego do młodego Sapiehy, który miał korzystać

z posiadanych dóbr bez potrzeby zdawania rachunku z dochodów.

W ten sposób, za podejrzane wobec króla zasługi matki i wuja, 16-letni Sapieha został wysokim dygnitarzem, z dochodem 120.000 złp., i dopiero teraz wysłany został przez matkę zagranicę dla ukończenia edukacji. Przez trzy lata obwoził swój mundur jeneralski po zagranicy; czas dłuższy bawił w Turynie, Paryżu i Strasburgu; niewiele się tam nauczył, nabrał tylko pewnego gustu do artylerji i, wracając do kraju, marzył o zreorganizowaniu, a właściwie o stworzeniu artylerji litewskiej. Ale marzenia te pozostały marzeniami, wobec pustek w skarbie Rzpltej.

Tymczasem, w nieobecności syna w kraju, matka nie próżnowała. Był to czas dla niej bardzo dogodny — czas sejmu delegacyjnego i rozdrapywania dóbr jezuickich i narodowych. Z funduszów jezuickich wyrobiła synowi znaczną pożyczkę na zadłużone dobra kodeńskie, a z dóbr narodowych otrzymała dla syna na prawach emfiteutycznych starostwo preńskie.

Gdy w r. 1776 Sapieha wrócił do kraju, a artylerja litewska redukowała się do osoby 19-letniego jenerała, nastręczyła mu się inna wdzięczna działalność publiczna — sekundowania swemu wujowi Branickiemu w wichrzeniu w Rzpltej. Oczywiście matka, «wojewodzicowa mścisławska», dzielnie bratu pomagała.

Odtąd przez lat kilkanaście widzimy Sapiehę na usługach smutnej pamięci hetmana Branickiego — wichrzył przeciw królowi, o dobro kraju nie dbał, a zresztą dobra tego nie rozumiał.

By go bliżej poznać, podajemy parę jego wizerunków.

Współczesny Vautrin pisze o nim: «Ludzie mi mówią, że jestem u generała artylerji. Nie wiem, czy to tu we zwyczaju, aby wszyscy dygnitarze w tonie mowy i obejściu zachowywali znamię swojego urzędu. Ten jeszcze młody, gołowąs, panuje nad wszystkimi, mówi, jakby pioruny ciskał; idzie, wraca, przebija się przez ludzi, jak kula, rozbija wszystkich... Rzekłbyś bomba, co pęka i uszy kaleczy... pluje gościom na nogi... Matka jego, kobieta największego tonu, musiała też głos nastroić do jakiejś artylerji — śmiech jej podobny do salwy muszkieterów z towarzyszeniem trąb».

Historyk Fryderyk Smitt[1]) daje taką charakterystykę Sapiehy: «Młody człowiek, gorącego charakteru i nieokiełznanej zmysłowości, doskonały przedstawiciel ówczesnej polskiej młodzieży, lekkomyślny, natchniony, namiętnie się unosił i nagle upadał. Naprzemian łagodny i pełen zajadłości, niezmordowanie czynny, to znowu znękany, z rękami opuszczonemi i próżniak. Chociaż miał rozum, dowcip, ogień, brakło mu powagi, wytrwania, nauki, i został powierzchownym mężem stanu i mówcą. Zdradzał ciągle krótkowidztwo i nieuctwo; jako mówca, mimo czasem uszczypliwych wyrażeń, zapełniał oracje swe po większej części czczemi deklamacjami i wybuchami. Jak w sejmie był przedstawicielem talentów młodzieży, tak w życiu reprezentował namiętne jej pragnienie używania uciech, zabaw i orgij nocnych, dzieląc czas między uczty a trybunę sejmową. Jego twarz nabrzękła i zaczerwieniona zdradzała jawnie rozpustnika...»

Kalinka tak go przedstawia[2]): «Życie Sapiehy pozbawione było głębszej myśli: człowiek niespokojny, pełen wygórowanej miłości własnej, wrodzoną potrzebę czynności zaspakajał szumem, jaki naokoło siebie wytwarzał, upajał się wrażeniem, jakie sprawiał własną osobistością. Od matki i wuja najgorsze biorąc przykłady, na pieniactwie i brudach, na hulance i miłostkach trawił dnie od sejmiku do sejmu, marnował zdrowie, majątek i niepospolite zdolności. Była to, jak słusznie powiedziano, ówczesna «tężyzna», warchoł i zawadjaka na sejmiku, w stolicy wyuzdany rozpustnik; lecz że przytem miał porywającą wymowę, że po nocy, spędzonej na hulance, był zawsze gotów zaimprowizować mowę najświetniejszą, że pieniędzmi szafował bez rachunku, że poza nim widziano zawsze hetmana i wszechwładnego Potemkina, że słów i obietnic nie szczędził a stawiał się każdemu ostro i buńczucznie, miał więc w kraju, zwłaszcza na Litwie, znaczenie i stronników».

Pomimo znacznych dochodów, wydatki Sapiehy i jego matki znacznie je przewyższały. Choć byli w opozycji, udawali się o ratunek do króla; jednocześnie obdłużali i sprzedawali majętności. Wreszcie w r. 1782 «wojewodzicowa mści-

---

[1]) Fr. Smitt: «Suworoff und Polens Untergang». Tom II, 176.
[2]) Kalinka: «Sejm Czteroletni». Tom I, str. 287, 288.

sławska» wyswatała synowi bogatą wdowę po Józefie Sanguszce, marszałku w. lit., z domu Cetnerównę, córkę Ignacego Cetnera, wojewody bełzkiego, i Ludwiki Potockiej (siostry przyrodniej matki Szczęsnego Potockiego). Małżeństwo to, sklecone z wyrachowania, rozeszło się już w dwa lata po ślubie. Rozwód ciągnął się jednak długo, a to z powodu zatargów finansowych, przy których «wojewodzicowa mścisławska» wkońcu niemało wytargowała.

Oddając się z zamiłowaniem życiu publicznemu, pojmowanemu w znaczeniu sejmikowania, gardłowania i przewodzenia, młody Sapieha zabiegał o popularność, zwłaszcza w swojem województwie brzeskiem, gdzie leżała Kodeńszczyzna. Starostą brzeskim był wówczas Ignacy Morykoni. Sapieha w roku 1783 nabył od niego to starostwo, co nadało mu w województwie wielkie wpływy.

Przed sejmem Czteroletnim Sapieha obrany został na posła z województwa brzeskiego. Matka jego, już stara, ale jeszcze ruchliwa, dawno poróżniona z królem, teraz starała się z nim pojednać i dobrze uprzedzić dla syna. Jednocześnie jednak syn, dla popularności, przechwalał się swem usposobieniem opozycyjnem: «Gdybym mógł wątpić o własnej matce, czy jestem prawdziwym Sapiehą — a miał ku temu, jak wiemy, poważne powody — straciłbym wątpliwość, gdyż czuję w sobie naturę sapieżyńską, t. j. ducha ochoczego do walczenia z królem we wszystkiem». Ta opozycyjność godziła się zresztą z odmienną od królewskiej orjentacją polityczną. Gdy król chciał przeprowadzić na sejmie przymierze z Rosją, Sapieha nastrojony był antyrosyjsko. Dlaczego? Oto w r. 1787 jeździł z wujem Branickim do Kijowa z czołobitnością dla Katarzyny II i — był źle przyjęty. Obrażona ambicja szukała odwetu. Później, gdy Stackelberg skarżył się przed Branickim na bezwzględną rosjofobję Sapiehy, «cóż chcesz — była odpowiedź — Kijów pamięta!» Wreszcie jeszcze jedna okoliczność wpływała na Sapiehę w tym samym duchu — zobopólna antypatja, którą czuli do siebie on i patentowany rosjofil, Szczęsny Potocki, czarowany przez Katarzynę II i oczarowany.

Z takim programem stał się Sapieha jednym z przywódców sejmu Czteroletniego i marszałkiem sejmowej konfederacji litewskiej. Miał wtedy lat 31. Stanął w szeregach opozycji, był głową stronnictwa hetmańskiego, z którem, jak wiadomo,

czas długi łączyli się patrjoci, improwizował piękne mówki, hulał i cieszył się z coraz wzrastającej popularności.

Ale już zbliżała się chwila przełomowa. Wysoko patrjotyczna i ideowa atmosfera sejmu Czteroletniego zaczęła oddziaływać na duszę Sapiehy, wydobywać z jej wnętrza ukryte skarby szlachetnych uniesień. Sejm Czteroletni popełniał, jak wiemy, wiele błędów: starym zwyczajem marnował czas na długie popisy krasomówcze, nierozważnie burzył i prowokował Rosję, wzamian nie tworzył ani rządu, ani wojska, ani skarbu. Ale jedną miał zasługę — był szkołą, był wezwaniem do poprawy, był sumieniem odradzającego się narodu, i w tym charakterze czynił cuda. Wspominaliśmy już o magicznem jego działaniu na przeistoczenie się Izabelli Czartoryskiej; przeistoczył też i uszlachetnił Kazimierza Sapiehę.

Nie odrazu. Gdy Prusy, obawiając się przeciwwagi stronnictwa rosyjskiego, myślały o zerwaniu sejmu i zawiązaniu nowej konfederacji, Sapieha zamierzał stanąć na jej czele. Od Branickiego otrzymał dyrektywę, by na Stackelberga nie zważać; trzymał więc z patrjotami, gardłował przeciwko Moskwie i popisywał się zdawkowym patrjotyzmem.

Po nocie Stackelberga, przypominającej gwarancję rosyjską, urządził, jako demonstrację, kawalkatę pod zamkiem królewskim i pałacem ambasadora i cieszył się z pozyskanej aprobaty tłumu. Z teatralną ostentacją porzucił strój francuski; odbyło się to uroczyście na świetnem zebraniu u księżnej Czartoryskiej; przy odgłosie trąb i kotłów księżna pierwsza przyłożyła nożyczki do upudrowanych włosów marszałka konfederacji litewskiej. W polskim stroju pokazał się na sejmie i postawił wniosek, aby odtąd wszyscy oficerowie nosili się koniecznie po polsku. Popularność jego urosła wysoko, i od tej chwili został głową nietylko partji hetmańskiej, z pruską zjednoczonej, ale wszystkich zagorzalców i krzykaczów.

Gdy na sejmie podniesiona została kwestja pensji jenerałów artylerji, i zdawało się, że nadużycie, o którem mówiliśmy, co do dotacji Sapiehy zostanie uchylone, skorzystał ze swej popularności, by przy tem nadużyciu pozostać. A gdy pomyślna uchwała zapadła, sprawił zaraz wielki festyn bachusowy. Bawiono się wesoło, tylko, że zamiast dział litewskich, strzelały, mówi Kalinka, butelki szampana. Aby jednak nie okazać się niewdzięcznym dla Rzpltej, Sapieha oświadczył, że

zrzeka się zwrotu wydatków, poniesionych na dźwignięcie artylerji. Zakrawało to na żart, bo w arsenale wileńskim liczono dział 20, między niemi 8 darowanych przez Króla. Pokpiwano więc z tej ofiary, ale pomimo to ofiarę przyjęto i zapisano do konstytucyj sejmowych.

Z tego powodu pisał Szczęsny Potocki do swego przyjaciela, Hulewicza: «Czy nie naśmiałeś się, Panie Benedykcie, kiedy ów wielki marszałek konfederacki, Sapieha, kwitował Rzpltę ze swoich pretensyj. On w sejmie 1775 r. łupami okryty, a Rady Nieustającej prawodawstwem zbogacony, na wszystko gada. Ale trzyma, co porwał, i nowe teraz konstytucje sobie wyrabia. Azaliżby ludzie rozsądni wygwizdać nie powinni tego fanfarona: prawdziwie drwi z Rzpltej swoim patrjotyzmem».

Wiadomo, jaką plagą na sejmach polskich bywali t. zw. arbitrowie, t. j. publiczność, która w różny sposób mąciła i bez tego bezładne rozprawy. Sapieha, choć marszałek, nietylko tem się nie gorszył, ale owszem sam utrzymywał wśród arbitrów swoich t. zw. «huczków», którzy podług jego wskazówek zagłuszali każdego, którego mowa się nie podobała. Przy takich porządkach trudno było walczyć również z wtrącaniem się do obrad dam z najwyższego towarzystwa, które, jak opowiada Kitowicz w swych pamiętnikach, «po całych sesjach przesiadywały na ganku (galerji) w Izbie sejmowej, dając znaki posłom i senatorom, swoim konfidentom, przymilaniem ust lub marszczeniem czoła, co im się podoba, a co nie podoba, ażeby w takt z niemi materje toczące się utrzymywali, albo odrzucali».

A księżna Izabella Czartoryska na początku sejmu, zachęcając posłów do złego odzywania się o Katarzynie II, za każdym ostrzejszym wyrazem pod jej adresem wołała ze swej loży «brawo», klaskała i z otaczającemi ją damami wywijała szalem.

A oto jeszcze jedna próbka zachowywania się Sapiehy w końcu 1789 r. Przebywał zawsze w towarzystwie różnych dam wątpliwej reputacji i wcale się z tem nie krył. Któregoś dnia potrzebował dla nich loży w teatrze. Gdy wszystkie były zajęte, a jedna z nich przez żonę prezydenta miasta, Dekerta, zaczął krzyczeć, że «to zawiele dla niej» i posłał stolarzy, by lożę rozdzielili nawpół i w ten sposób zrobili miejsce dla jego pupilek. Dowiedziawszy się o tem, Dekertowa miała się odezwać: «Niechby książe Sapieha pamiętał, co się dzieje w Paryżu». Sapieha tak się nastraszył, że dał pokój i później Dekertowi nisko się kłaniał, a gdy go pytano, dlaczego? «Nie chcę wisieć» odpowiadał [1]).

Jak dalece miano Sapiehę za człowieka niepoważnego, widać z tego, że nie przypuszczono go do tajemnicy, gdy przygotowywano konstytucję 3 maja. Był on przez nią zaskoczony. To też na historycznej sesji w dn. 3 maja przemawiał przeciwko ustawie i żądał powtórnego jej odczytania; dopiero gdy spostrzegł zapał powszechny, zaniechał dalszej opozycji i w kościele św. Jana przemówił bardzo szlachetnie. Oświadczył, że ani o konstytucji, ani o sposobie jej przeprowadzenia nie wiedział, i dlatego domagał się powtórnego odczytania; dostrzega w ustawie wiele przepisów, do których przychylić się nie może; ale gdy król już ją z woli sejmujących zaprzysiągł, nie chce rozdwojenia narodu; nie ma on dotyla miłości własnej, aby swą opinję przedkładać nad zdanie króla, marszałka sejmowego i tylu innych zacnych mężów, przeto, stojąc za tarczą ich cnoty, i on przystępuje do przysięgi.

Po tej przemowie otoczono Sapiehę i uściskano serdecznie.

Odtąd oddziela się on stanowczo od krętactw Branickiego, za którego jednak i później, gdy ten przesiadywał już w Jassach, ręczył jeszcze «głową». Zostaje wierny sztandarowi narodowemu, a gdy matka intryguje na Litwie przeciw konstytucji, stara się intrygi te sparaliżować. Bierze dalej gorący udział w pracach sejmowych, starając się konstytucję wzmocnić, i, gdzie trzeba, poprawić, i chociaż poprawki te konstytucję raczej psuły, nie ulega wątpliwości, że było to skutkiem nie złej woli, ale starych narowów i braku wyszkolenia politycznego. Tem się także tłumaczy opozycja Sapiehy przeciwko opracowaniu wspólnego dla Korony i Litwy kodeksu cywilnego i karnego — wkońcu przeszedł wniosek Sapiehy o utworzeniu dwóch oddzielnych deputacyj do ułożenia kodeksu, jednej koronnej, drugiej litewskiej.

Na pamiętnej naradzie u króla 23 lipca 1792 r., na której zdecydowany został akces do Targowicy, Sapieha wahał się, jak ma głosować; wkońcu oświadczył, że zgadza się ze zda-

[1]) Kalinka: «Sejm Czteroletni». Tom I, str. 651.

niem króla, t. j. z akcesem. Ale nazajutrz się spostrzegł i ogłosił, że do Targowicy nie przystąpi i z kraju wyjedzie. Za to urządzono mu wieczorem w ogrodzie Saskim gorącą owację. Wywołało to taką panikę wśród zwolenników akcesu, że przyśpieszyło nawet wyjazd Kołłątaja, który, jak wiadomo, również za akcesem głosował.

Idąc w ślady Stanisława Małachowskiego, Sapieha wniósł do akt ziemskich warszawskich protestację przeciwko konfederacji targowickiej, złożył swój urząd jenerała artylerji i wkrótce potem wyjechał do Drezna. Jest rzeczą charakterystyczną, że jednocześnie wyjechała z Warszawy «wojewodzicowa mścisławka», oczywiście nie z pobudek patrjotycznych, ale dla solidarności z synem.

W czasie powstania 1794 r. Sapieha zjawił się w Warszawie, skąd go Kościuszko posłał na Litwę. Tam pomagał w organizacji województwa brzeskiego. Następnie wstąpił do wojska jako kapitan artylerji, brał udział w bitwie pod Sołami i odznaczył się przy obronie Wilna.

Po upadku powstania Sapieha wyjechał zagranicę; osiadł w Wiedniu i tam umarł w r. 1798, mając zaledwie lat 41.

Wojewodzicowa mścisławska przeżyła syna o dwa lata; mając lat 67, umarła w r. 1800 w Kodniu.

Ignacy Potocki był synem Eustachego, jenerała artylerji lit. (z linji na Podhajcach i Krystynopolu) i Marjanny z Kątskich. Urodził się w r. 1750 w Radzyniu. Pierwsze wychowanie otrzymał w Warszawie w konwikcie pijarskim księdza Stanisława Konarskiego; tam też wychowywało się trzech jego braci: Kajetan, Jerzy i Stanisław. Mając lat szesnaście, został przez rodzinę przeznaczony do karjery duchownej i w tym celu wysłany na studja teologiczne do Rzymu, gdzie przebywał do r. 1770. Tam poznał stałego odtąd swego przyjaciela, głośnego później ks. Grzegorza Piramowicza, jezuitę, który mentorował trzem ciotecznym braciom Ignacego, synom Józefa Potockiego, kasztelana lwowskiego, i Pelagji Potockiej, siostry Eustachego.

W czasie pobytu Ignacego Potockiego w Rzymie odumarli go rodzice (1768 r.). Opiekę nad sierotami objęła ciotka ich, głośna Katarzyna Kossakowska, fanatyczna, jak wiemy,

zwolenniczka staroświecczyzny szlachecko-możnowładczej, «praczka Potockich», mieszanina złego i dobrego, w każdym razie obskurantka i wielki szkodnik polityczny. Kobieta ta nie pozostała bez wpływu na początki działalności politycznej przyszłego przywódcy sejmu Czteroletniego.

W r. 1770 Ignacy Potocki wyjechał do Paryża i zabawił tam kilka miesięcy. Wrócił do kraju wprawdzie w sukni duchownej (choć bez święceń), ale z nadwątloną wiarą i zupełną niechęcią do stanu duchownego. W kraju zastał stosunki smutne; wkrótce miał nastąpić pierwszy rozbiór; ale, jak wiemy, cechą nastrojów ówczesnego społeczeństwa był, u gorszych, zupełny indeferentyzm, u lepszych — rezygnacja. Zajął się więc młody Potocki sprawami osobistemi; dzielił się z braćmi sukcesją po rodzicach. Otrzymał w Lubelskiem Kurów i Klementowiec, w Grodzieńskiem — Sidrę i place w Grodnie, w Prusach Zachodnich — Sartawice. Była to, jak na Potockich, fortuna nieduża; zato ożenił się bogato z Elżbietą (Izabellą) Lubomirską, córką marszałka kor., Stanisława, i Elżbiety z Czartoryskich. Starzy Czartoryscy przyczynili się również do uposażenia panny młodej i ustąpili Ignacemu Potockiemu intratne starostwo jurborskie na Żmudzi. Lubomirscy zaś (a właściwie księżna marszałkowa, pani, jak wiemy, bardzo bogata), nie wypłacili posagu odrazu, tylko stale przyczyniali się do dochodów zięcia, w stopniu oczywiście bardzo znacznym. Ta zależność materjalna Ignacego Potockiego od teściowej nie pozostała bez wpływu na jego postępowanie, zwłaszcza gdy szło o dokuczanie królowi.

W tym samym kierunku, niechętnym królowi, działała również ciotka, teraz prawie przybrana matka, Kossakowska. Wspominaliśmy, jak Stanisław August nie mógł być na ślubie Ignacowej Potockiej, która była jego cioteczną siostrzenicą, a to z powodu zachowania się Kossakowskiej. Był to przedsmak późniejszej walki przeciwko królowi pogodzonych już teraz rodzin Czartoryskich i Potockich. Pogodzenie to kładło wprawdzie kres półwiekowym, tak zgubnym dla kraju, zapasom tych dwóch rodzin między sobą, ale dokonane zostało nie dla dobra kraju, ale pod hasłem osobistej niechęci do króla.

Tymczasem król w r. 1773 mianował Ignacego Potockiego pisarzem wielkim litewskim. Ciotce Kossakowskiej,

która w owym czasie czuła się już doskonale pod okupacją austrjacką w swoim Stanisławowie, to pisarstwo litewskie wydało się rzeczą zbyt małą dla nazwiska Potockich i dało nowy powód do sarkania na króla. Tymczasem ten pisarz lit., choć Potocki, miał zaledwie 23 lata.

Wkrótce po tej nominacji na pisarza lit., w tymże r. 1773, Ignacy Potocki został powołany do składu Komisji Edukacyjnej. Także to zajęcie nie przypadło do smaku ciotce Kossakowskiej. Uważała je za jakąś dziecinną zabawkę, również niegodną wielkiego rodu Potockich. Bo jakże? «Szlachcie więcej nie trzeba nauki — pisała do siostrzeńca — tylko kochać Boga i ojczyznę, nie być szalbierzem ani mataczem, nie mówić tego, a myśleć o czem innem, przyjaźń utrzymywać w równości, piwo rano z serem jadać, nie na kawę biegać panom studentom i ich profesorom, otóż to mój projekt do ułożenia szkół dla szlachty urodzonej, nie zrobionej».

Tymczasem ta nominacja na komisarza w Komisji Edukacyjnej była dobrodziejstwem dla Ignacego Potockiego. Działalność na polu oświaty wcześnie dała wielkiej jego ambicji możność pożytecznej służby publicznej i dodatnio odbija od jednoczesnego jego warcholstwa politycznego. Główną zasługę położył Ignacy Potocki jako prezes założonego przy Komisji Edukacyjnej w r. 1775, za jego inicjatywą, Towarzystwa do ksiąg elementarnych. Należeli do tego towarzystwa tak zasłużeni pracownicy, jak Grzegorz Piramowicz, literat-pedagog, eksjezuita, teraz proboszcz w Kurowie i osobisty przyjaciel Potockiego, ksiądz Onufry Kopczyński, pijar, twórca pierwszej gramatyki polskiej, ksiądz Krzysztof Kluk, wybitny przyrodnik, ksiądz Kajetan Skrzetuski, historyk [1]), ksiądz Teodor Waga, autor znanego podręcznika do historji polskiej i wielu innych. Oprócz tego był Ignacy Potocki wizytatorem szkół lubelskich i zarządzającym narodową bibljoteką im. Załuskich. Praca ta Ignacego Potockiego w dziedzinie oświaty narodowej trwała nieprzerwanie aż do sejmu Czteroletniego, t. j. całych lat piętnaście.

W r. 1776 zaczęła się na dobre walka koalicyjna przeciwko królowi. Do koalicji tej należeli: hetman Ksawery Branicki, Adam Czartoryski z żoną, hetman polny, Seweryn Rzewuski, Ignacy Potocki i jego brat, Stanisław. Z powodu tej walki wypadło Ignacemu Potockiemu towarzyszyć Branickiemu w jego podróży do Petersburga, do tej ówczesnej Mekki i Medyny wszystkich malkontentów polskich. Tam spotkał się z księciem Henrykiem Pruskim i był przez niego wyróżniony; pochlebiło to jego próżności i zawczasu dobrze usposobiło dla Prus.

[1]) Kajetan Skrzetuski pisał podręczniki do historji powszechnej. Drugi ksiądz Skrzetuski, Wincenty, historyk i prawnik, pisał także podręczniki do historji powszechnej i oprócz tego jest autorem znanego dzieła «Prawo polityczne narodu polskiego».

Na sejmie 1778 r. został Potocki marszałkiem Rady Nieustającej, a w r. 1780 znów wybrany został na konsyljarza tejże Rady. Miał więc sposobność bliżej się dotknąć spraw zarządu państwowego. Szkoła to nie była jednak dostateczna. Wyszedł z Rady już w r. 1782 i czekał na jakiś awans.

W r. 1783 umarła mu żona, pozostawiając córeczkę, Krystynę. Dotknięty bolesną stratą, Potocki wyjechał zagranicę i skierował się przez Wiedeń do Rzymu, a stamtąd do Francji. Tymczasem umarł teść jego, marszałek Lubomirski, i zaczęła się emulacja o wakujące przez to urzędy. Dzięki naglącym staraniom marszałkowej Lubomirskiej, a także poparciu posłów rosyjskiego i austrjackiego, Ignacy Potocki uzyskał teraz laskę nadworną lit. Musiał tylko się zobowiązać płacić ze swojej pensji byłemu swemu współzawodnikowi do tej godności, Bielińskiemu, rocznie 10.000 złp. przez cały czas pozostawania na tym urzędzie.

Został więc ministrem. Nie zobowiązywało to, jak wiemy, w Polsce ani do pracy, ani tem bardziej do współdziałania z królem. Owszem, dawało raczej pole do opozycji.

To też na sejmie grodzieńskim 1784 r. widzimy nowego marszałka nadwornego w jawnej opozycji przeciwko królowi, na współkę z Branickim i z Szczęsnym Potockim. Z tym ostatnim stosunki były oddawna zażyłe; Ignacy pomagał temu swemu dalekiemu krewnemu (stryjeczno-stryjecznemu bratu) w sprawie o zabójstwo pierwszej jego żony. Wprawdzie oskarżony o to zabójstwo ojciec Szczęsnego umarł był przed wyrokiem, jednak chodziło o obronę pamięci tak ojca, jak nazwiska. Potocki musiał dopomóc Potockiemu; ze wszystkich sił pomagała też Katarzyna arcy-Potocka Kossakowska.

Ignacy Potocki nie był człowiekiem rządnym, nie umiał swych wydatków ograniczyć do dochodów i materjalnie stale

był zależny od teściowej Lubomirskiej. Tak potrzebował pieniędzy, że za pomoc w procesie Szczęsnego Potockiego nie zawahał się nawet zażądać i otrzymać znacznego wynagrodzenia.

Również skutkiem zależności materjalnej od marszałkowej Lubomirskiej przyjął Ignacy Potocki w r. 1785 gorący udział w smutnej sprawie Dugrumowej. Choć był jednym z oskarżycieli króla, zasiadł w tej sprawie jako sędzia; wkońcu jednak zmuszony był uznać bezzasadność oskarżenia. Nie przeszkodziło mu to w roku następnym należeć do koalicji, która znów sprawą tą sejm zawichrzyła. Do koalicji tej, pod patronatem dwóch dawnych przyjaciółek króla, marszałkowej Lubomirskiej i księżny jenerałowej ziem podolskich, należeli jeszcze: Szczęsny Potocki, Branicki, ks. Adam Czartoryski, Kazimierz Rzewuski, Kazimierz Nestor Sapieha, Antoni Sułkowski i in.

Stosunek Ignacego Potockiego do króla, a przez to także do Stackelberga, był nieprzyjazny. Natomiast spotykamy Ignacego Potockiego w r. 1787 wśród malkontentów polskich, płaszczących się przed majestatem Katarzyny II w Kijowie. W drodze powrotnej zawadził o Lwów, by się przedstawić drugiemu obcemu monarsze, Józefowi II. Los chciał, że i Katarzyna II i Józef II nie okazali się dlań zbyt łaskawymi. Było to dość dla magnata, jakim w owym czasie był jeszcze par excellence Ignacy Potocki, by sympatje swe zwrócić — do trzeciego opiekuna Polski, do króla pruskiego.

Przed samym sejmem Czteroletnim, w czasie swej podróży zagranicą do wód, zetknął się Ignacy Potocki dwa razy z dworem pruskim: raz w przejeździe przez Berlin, drugi raz u wód w Pyrmoncie, gdzie bawiła córka króla pruskiego, i gdzie zawiązały się między nią i jej dworem a marszałkową Lubomirską, ks. Adamem Czartoryskim i Ignacym Potockim zażyłe stosunki towarzyskie. Sympatje pruskie rosły więc w pożeranej ambicją duszy młodego magnata.

Podajemy tu kilka wyjątków z pracy K. M. Morawskiego o Ignacym Potockim [1]).

«Wyjątkowo piękny, zimny w całem obejściu, a tą

[1]) Kazimierz Marjan Morawski: «Ignacy Potocki», cz. I, 1750—1788. Warszawa 1911.

sztywnością odbijający od wstrętnej, pogardliwej, a tak typowo polskiej poufałości wielkich panów względem braci szlachty, pod tą zimną skorupą form zewnętrznych rozsadzany był stale wulkanicznym ogniem ambicji. Podróżnik, polityk, mecenas i zbieracz, jak brat Stanisław, a jak inni bracia zapalony gracz [1]), «kostera», jak wówczas mówiono, przytem biedniejszy od swego ojca, — bo nie zawsze się udało zrobić dobry interes, np. jak z dobrodusznym Szczęsnym Potockim, a księżna teściowa Lubomirska nie tak łatwo zapewne i sub conditione mieszek z posagiem otwierała — nie opływał nigdy w wielkie dostatki, a miał skończyć w niedostatku, który może nietylko klęski publiczne wywołały... Nie trzeba mierzyć patrjotyzmu Ignacego Potockiego, człowieka ancien régime przed tym wybuchem energji narodowej, jakim była doba Konstytucji i Kościuszki, miarą naszych dzisiejszych pojęć, wyrobionych w ciężkiej szkole porozbiorowej, w dobie Napoleona i romantyzmu. W tym Potockim, jak w każdym niemal polskim możnowładcy, tkwiły pierwiastki antymonarchicznego separatyzmu; w tym potomku Rewery, podkanclerzego Szczuki, generała artylerji, Kąckiego, płynęła także mniej szlachetna krew butnych rokoszan Jerzego Lubomirskiego i potwora kastowości, stryja Franciszka Salezego, ojca Szczęsnego. Niech nas, gdy zważymy ten atawizm, nie dziwią związki z Branickim i konszachty zrazu z «wielkoduszną monarchinią» i z Austrją, czy wkońcu z Berlinem, dokąd go obrażona duma zawiodła».

Opis pierwszej epoki życia Ignacego Potockiego kończy K. M. Morawski taką uwagą: «Epoka sejmu Czteroletniego sprowadziła w lepszych duszach, a w pierwszym rzędzie w duszy naszego bohatera, wielki przełom w pojęciach i pobudkach czynu. Ignacy Potocki miał się także zmienić w Konrada». (Str. 67).

Tak jest. Ale zmiana ta nie dokonała się tak nagle, jak w «Dziadach».

Na początku sejmu Czteroletniego widzimy Potockiego po dawnemu w roli bezwzględnego opozycjonisty przeciwko królowi. Ale stopniowo do motywów antypatyj i sympatyj

[1]) W r. 1787 w drodze do Kaniowa miał przegrać do hetmana Branickiego w karecie 40—50 tysięcy dukatów. Morawski, str. 85.

osobistych przyłącza się troska o dobro powszechne, szeroka myśl polityczna. Potocki wysuwa się na czoło stronnictwa patrjotycznego i dzieli z nim jego zasługi, ale także wady i błędy. Zaczyna odczuwać, jak trudno «pracować z tłumem», i przekonuje się, że falę patrjotyczną łatwiej było rozkołysać, niż nią kierować, a w chwili odpowiedniej zatrzymać. Stopniowo poznaje sprawy państwowe i zaczyna rozumieć potrzebę władzy i rządu. W tej ewolucji na męża stanu nie dochodzi jednak do doskonałości; pozostaje zawsze dyletantem i entuzjastą. Zbliża się do króla; wspólnie już opracowują i przeprowadzają ustawę 3 maja.

Pisać o Ignacym Potockim z tego czasu, jest to pisać o sejmie Czteroletnim. Mamy dokładny opis tego sejmu w pracach Kalinki i Smoleńskiego. Tam też spotykamy się na każdym kroku z osobą Ignacego Potockiego, a u Kalinki znajdujemy jego szczegółową charakterystykę. Charakterystykę tę podajemy tu prawie w całości, by wobec krytyki, którą wywołała, jako zbyt surowa i jednostronna, wyrazić o niej własną opinję.

«Pięknością rysów, postawą wyniosłą i dumą — pisze Kalinka [1]) — zwracał uwagę wszystkich na siebie; w obejściu swem zawsze spokojny, chłodny i zlekka pogardliwy, każdym krokiem i każdem słowem dawał znać, że czuje się nieskończenie wyższym nad resztę otoczenia. Jest on ciekawym przykładem, jak dalece korzystne a nigdy niezachwiane o sobie mniemanie może wpłynąć na opinję u drugich. Wówczas i długo później uchodził on za najlepszą w Polsce głowę, za niezrównanego statystę; w rzeczywistości zaś był to ideolog najmniej praktyczny z ludzi wybitnych owego czasu. Lubił snuć plany rozległe, nieraz bardzo sztuczne i skomplikowane, przy nich stał z uporem, w nich szukał chwały dla siebie; nie wątpił o ich triumfie, na przeszkody mało baczył, z przeciwnikami prędko się załatwiał, bo nimi gardził, jako ludźmi bez głowy lub bez charakteru; lecz przy tem wszystkiem do pracy leniwy, w działaniu powolny, ze sfery marzeń na pole realne niechętnie schodził; przez brak ścisłości w myśleniu i przez wstręt do krytycznej rachuby nigdy nie umiał albo nie raczył wybierać środków, które jedynie były odpowiednie do wy-

[1]) Kalinka: «Konstytucja trzeciego Maja». Lwów 1888, str. 40—46.

konania tychże planów. Palony od samej młodości nieugaszoną żądzą znaczenia, odegrania pierwszej roli w Rzpltej, dla niej po dwakroć do imperatorowej jeździł, chociaż nadaremnie. A nie było to w nim skutkiem ambicji chciwej władzy, była tylko chęć rozgłosu i blasku; gdy później władzę osiągnął, użyć jej nie kwapił się, rad na laurach zasypiał. Miał dosyć rozumu, aby się ze swoją próżnością nie zdradzić, ale nie dosyć, aby się nie dać unieść pochlebstwom; jedyni ludzie, co na nim wpływ silniejszy wywierali, Lucchesini i Piattoli, takiemi go zasypywali kadzidłami, że innyby od ich dymu się udusił.

Jak w całym rodzie Potockich, tak i w Ignacym tkwiła wrodzona niechęć do króla i do Poniatowskich, i temu uczuciu dawał folgę po wielekroć, a zwłaszcza w procesie Dugrumowej. Zimną i poważną wymową, lecz bardziej jeszcze ostremi docinkami umiał zamiary króla utrudniać lub niweczyć; lecz odkąd z opozycjonisty i bystrego krytyka przeszedł w sferę dodatniego działania, odtąd historja jego przedstawia szereg śmiałych, genjalnych, olśniewających pomysłów, które to pomysły źle obrachowane, źle wykonane, musiały kończyć się zawodem i szkodą, choćby dlatego tylko, że odwracały uwagę od projektów innych, skromnych, nie porywających wcale, ale przystępnych i przynoszących korzyść istotną. On to wraz ze swymi przyjaciółmi rozbił Radę Nieustającą, a gdy w jej miejsce chciał później utworzyć Administrację nadzwyczajną, nic nie dokazawszy, z projektem się cofnął, a kraj tymczasem trzy lata bez rządu zostawał. Aljans pruski jego był dziełem; i on to za wpływem Lucchesiniego, a wbrew woli króla, skłonił stany sejmujące, iż zgodziły się na pominięcie artykułów handlowych, chociaż te artykuły, jedne tylko, mogły nadać pewną szczerość przymierzu pruskiemu i bezpośredni pożytek przynieść Rzpltej. Zawsze pod wpływem Lucchesiniego zapalił się gorąco do projektu odzyskania Galicji, tem samem do wojny z Austrją; tylko tego nie przewidział, że Rzplta wojny nie zechce i do niej nie będzie gotowa, a jakiem to echem odbiło się o Reichenbach, to zbyteczna przypominać. Przyjaźń z Prusami oparł na cesji Gdańska i Torunia, tylko tego nie wziął w rachubę, że naród na takie ustępstwo się nie zgodzi, a jak to znowu usposobiło dwór pruski, aż nadto z dziejów wiadomem jest. Powagą

swoją zasłaniał zaczęte w Stambule, bez wiedzy sejmu, rokowania o traktat zaczepny, zamysł hazardowny, nie oparty na żadnej roztropnej podstawie; od tego projektu nie wprzódy odstąpił, aż król zagroził, że na sejmie oprze się jemu stanowczo. Więc chybiła ta negocjacja, jak później chybiła ta druga, od Ignacego również wywołana, przez którą Hailes chciał namówić Rzpltę do oddania samego Gdańska królowi pruskiemu, pod zasłoną Anglji; rzecz prosta, że i to niepowodzenie nie mogło obejść się bez zniechęcenia pośrednika. Jakim był prawodawcą marszałek litewski, to wiemy z projektu o formie rządu, wniesionego przez deputację, nad którym Potocki razem z Piattolim przez kilka miesięcy pracował: twór tak dziwaczny i niezszyty, że podobnego niełatwo znajdzie. Co dziwniejsza, że nawet po tym egzaminie nie stracił on miru u swych przyjaciół i towarzyszy; Małachowski nie przestał na nim z zaufaniem polegać; ks. jenerał ziem podolskich nie przestał go popierać, jak on sam nie przestał wierzyć w swój genjusz i mówił o sobie, że jest skazany, jak św. Franciszek Ksawery, na opowiadanie dzikim ludom Ewangelji. Naprawdę mówiąc, z tylu prób nieudałych, z tylu zamiarów przedsięwziętych nad siły, bez roztropnego obrachowania [1]), jedno powinno było zostać doświadczenie, że ludzie tej miary co Ignacy, których duch wiecznie niespokojny, których bodźcem bywa nie tak cicha i rzetelna miłość dobra publicznego, jak chęć wzbudzenia podziwu i stawiania dla siebie pomników, im więcej miewają blasku i ujmujących pozorów, tem bardziej stają się — i wtedy, gdy są w opozycji, i gdy przychodzą do steru — nie siłą, lecz klęską dla kraju, przy całej swej szlachetności, ofiarności i patrjotyźmie. Bo ufni w siebie i o swej najlepszej przekonani woli, zrywają się do działania na własną rękę, a nie chcąc ani swoich planów wypróbować, a względem nich znieść się z drugimi, ani cudzych wyrozumieć i przyjąć, wciągają sprawę publiczną w przepaść tem głębszą, im śmielsze i napozór bardziej obiecujące były ich zamiary. Tak i Potocki, wymyśliwszy i, w skrytości przed drugimi, prowadząc pruską politykę, w zarozumieniu i bez żadnej rękojmi, że naród przyjmie jej warunki i potrafi je

[1]) Najgorsze, że wkońcu zawierzył Stanisławowi Augustowi i oddał mu naczelne dowództwo.

spełnić, udaremnił plany drugich, a niebezpieczeństwom własnym zapobiec nie zdołał».

Charakterystyka ta spotkała się z surową krytyką. Szymon Askenazy w przedmowie do wspomnianej książki Morawskiego nazwał ją wprost mylną i niesprawiedliwą, i ze swej strony tak pisze o Ignacym Potockim: «Nie był on napewno bez skazy, nie był Katonem, nie był wymarzonem uosobieniem bezwzględnej, zrównoważonej, jednakiej od początku do końca, cnoty prywatnej i publicznej. To był z krwi i kości syn swojej doby, nienajcnotliwszej pono, saskiej i stanisławowskiej. Pośrodku pierwszej się rodził, przez całą drugą przebrnął. Był też niepomału grzesznik na modłę tamtoczesną. Był lekki, namiętny, piękny, lubił grę, wino, kobiety. Przedewszystkiem zaś był magnat, był «królewię», żył i oddychał w zatrutej atmosferze możnowładczych instynktów sobkostwa, prywaty, pychy, intrygi, współzawodnictwa. Chował się, kształcił, działał w zatrutem środowisku butnych a służalczych, niesfornych i ślepych oligarchów owoczesnych, depcących własnego monarchę, płaszczących się przed obcymi, a zwaśnionych pomiędzy sobą, nienawidzących się śmiertelnie, pożerających się nawzajem w samobójczem obłąkaniu rywalizacyjnem, kiedy już kraj pożerali sąsiedzi. Że znajdując się z urodzenia w samem siedlisku najostrzejszych objawów tak powszechnej i zadawnionej choroby, przejął się nią poniekąd Ignacy — czyż dziwota, czyż nawet mogło być inaczej?...»

«W rzeczy samej, żadnemu nie podpada wątpieniu, iż w pierwszym zwłaszcza, przygotowawczym okresie życia i działalności Ignacego Potockiego, górowały na całej linji owe zewsząd ogarniające go i cisnące nań rozkładowe czynniki oligarchiczne, skierowane mianowicie nasamprzód przeciw królowi Poniatowskiemu... W następnej dopiero epoce życiowej, krótkiej, sześcioletniej zaledwo, a mieszczącej istotną treść i wartość niepożytą dziejowego powołania Ignacego, miała jego indywidualność publiczna w całej objawić się pełni. Z dwóch podokresów, składających tę napiętrzoną wielkiemi wypadkami epokę, a obejmujących zkolei sprawy sejmu Czteroletniego i Insurekcji, pierwszy dotychczas wiadomy jest przeważnie z obszernej wykładni ogólnej Kalinki. Jednakowoż ta, jakkolwiek szacowna, lecz o ile zwłaszcza osoby

Ignacego dotyczy, nawskróś nieprzychylna i uprzedzona wykładnia dziś już starczyć żadną miarą nie może i, zarówno pod względem pojęciowym, jak i czysto źródłowym, wymaga rdzennej rewizji i uzupełnienia. Jeszcze mniej uczyniono dotychczas dla rozwidnienia roli niepospolitej, odegranej przez Ignacego w Insurekcji...»

Te, napozór tak zupełnie sprzeczne, charakterystyki Kalinki i Askenazego, w gruncie rzeczy nie tak bardzo odbiegają od siebie, gdyż Kalinka ograniczył się do przedstawienia Ignacego Potockiego, jakim był w czasie sejmu Czteroletniego, a Askenazy widzi go przez pryzmat późniejszej jego działalności, coraz lepszej, coraz ofiarniejszej. Powtóre Kalinka zatrzymuje się na Ignacym Potockim prawie wyłącznie, jako na mężu stanu i polityku, w sprostowaniu zaś Askenazego ta strona osobistości Potockiego schodzi na plan drugi, na pierwszy zaś występuje jego patrjotyzm.

Pomimo, że patrjotyzm Ignacego Potockiego zajaśniał w całej swej pełni nie w czasie sejmu Czteroletniego, ale właśnie później, w chwilach łamania się całej budowy nietylko reformy, ale samego bytu Rzpltej — jednak Kalinka nie zaprzeczał jego patrjotyzmu, ani ofiarności dla dobra publicznego, choć nie bez słuszności wskazywał na wielką jego ambicję i żądzę rozgłosu.

Nie możemy tu bliżej zatrzymywać się nad błędami kierowników sejmu Czteroletniego. Wskażemy tylko na jeden z nich, dokonany w chwili, kiedy przywódcy ci mieli czas wiele się nauczyć i powinni byli wykazać swe zdolności polityczne. Chcemy mówić o powierzeniu naczelnego dowództwa w wojnie polsko-rosyjskiej w 1792 r. Stanisławowi Augustowi. Słusznie zarzucił I. Potockiemu Kalinka «brak ścisłości w myśleniu». Pomyślmy tylko. Wiemy, czem był Stanisław August; umysł trzeźwy, charakter żaden; dobry do rady, nigdy do czynu. I oto po trzyletniem systematycznem odsuwaniu króla od rządów, gdy przychodzi moment, wymagający przedewszystkiem czynu, przywódcy sejmu Czteroletniego czyn ten powierzają właśnie temu królowi. Zaiste było to: «Kazać rybie biegać, koniom pływać, kretom chodzić po słońcu, a owcom prowadzić wojnę!»

Na pamiętnej radzie królewskiej w dn. 23 lipca 1792 r. Ignacy Potocki (jak wiemy, wspólnie z Małachowskim, Sołtanem i Ostrowskim) kategorycznie protestował przeciwko przystąpieniu króla do konfederacji targowickiej. Dał królowi dwie rady: jedną na nic — by król stanął na czele wojska i osobistym przykładem (!!) zagrzał naród do powstania, drugą słuszną — by raczej złożył koronę i opuścił kraj, niżby miał przystępować do konfederacji.

Gdy stało się inaczej, Ignacy Potocki złożył swój urząd marszałkowski i wyjechał z innymi patrjotami zagranicę. Udał się do Lipska, a później do Drezna. Tam, wspólnie z Kołłątajem i in., należał do zbiorowego dzieła, które wyszło w druku 1793 r. p. t. «O ustanowieniu i upadku konstytucji polskiej 3 Maja»; tam też doczekał się powstania kościuszkowskiego.

Jaki był udział jego w przygotowaniu tego powstania? Kwestja ta dotychczas dostatecznie wyjaśniona nie została. W każdym razie należał do jednych z głównych jego organizatorów.

Po wybuchu powstania przybył do obozu Kościuszki i stąd udał się razem z Kołłątajem do Warszawy. Przybyli tam 24 maja; przywieźli z sobą rozkaz Kościuszki utworzenia Rady Narodowej (zamiast «Tymczasowej Rady Zastępczej»). Ignacy Potocki wszedł do tej Rady i został przewodniczącym wydziału spraw zagranicznych; wydział ten niewiele miał do czynienia, gdyż rząd powstańczy nie został uznany przez żaden z dworów zagranicznych, a nawet konwent francuski nie uznawał insurekcji polskiej (jako zbyt mało rewolucyjnej).

Najdonioślejszą czynnością Ignacego Potockiego w czasie powstania była jego pełna godności deputacja do Suworowa, po krwawem zdobyciu Pragi.

Z czasów powstania kościuszkowskiego mamy wizerunek Ignacego Potockiego, skreślony ręką jednego z głównych naczelników powstania, przyjaciela Kościuszki, a późniejszego senatora-kasztelana Królestwa Kongresowego, Aleksandra Linowskiego. Pisze on: «Potocki, z wielą talentami i sercem poczciwie do ojczyzny przywiązanem, nie był człowiekiem do rewolucji, tem mniej do prowadzenia onej. Trwożliwy w czynach, niepewny w swych prawidłach, leniwy w szczegółach, nazbyt spuszczający się na los wogóle, często uparty, nie umiejący drobnych nałogów poświęcić swym obowiązkom, choć im majątek, wolność i życie poświęcił, bez żad-

nych widoków osobistych, przecież na karb imienia, które nosił, za dumnego w mniemaniu publicznem uchodzący, mylący się często w wyborze przyjaciół czyli pomocników swoich i za ich błędy cierpiący, długo igrzysko ufności swej w Kołłątaju, Potocki, użyteczny i szanowny obywatel w czasach pokoju, zniknął zupełnie czasu burzy».

Po zupełnem upadku powstania, Ignacy Potocki dostał się do niewoli rosyjskiej i wywieziony został do Petersburga. «Rozpoczynał się w tym czasie dla Ignacego — pisze S. Askenazy[1]) — po pierwszym zmąconym, po drugim heroicznym, trzeci klęskowy okres życiowy. Okres piętnastoletni, napełniony nieszczęściem, prześladowaniem, osamotnieniem, chorobą, prawie ubóstwem, zaprawiony goryczą piołunową i smutkiem beznadziejnym, wiodący do śmierci przedwczesnej. Człowiek, który z rządami trzech mocarstw ościennych był traktował jak równy z równym, który w myśli ratowania kraju był ofiarował koronę polską księciu pruskiemu, arcyksięciu austrjackiemu, w. księciu rosyjskiemu, teraz od wszystkich tych trzech rządów został ogłoszony zbrodniarzem stanu, ścigany bez miłosierdzia, pozbawiony wolności i majątku. Zaszczytna ta dlań surowość łączyła się przecie u samychże prześladowców z mimowolnym dla prześladowanej znakomitej ofiary szacunkiem. Dał wyraz lapidarny temu szacunkowi cesarz Paweł I, kiedy wnet po wstąpieniu na tron, w pierwszym szlachetnym odruchu darując wolność Ignacemu, ku zgrozie przerażonych takiem pogwałceniem etykiety dworaków, ku oburzeniu zatrwożonych posłów Prus i Austrji, porwał więźnia w objęcia i ucałował go w usta ze słowami: «Oto jak należy uściskać takiego, jak Pan, człowieka *(voilà comme on embrasse un homme comme vous)*». Gdy następnie Ignacy, wydobywszy się z Petersburga, zamierzał w początku 1797 r. udać się do Berlina, aby osobiście upomnieć się u Fryderyka Wilhelma II, łaskawego ongi przyjaciela i aljanta, zwrotu dóbr skonfiskowanych w obwodzie białostockim, wstrzymany został w Królewcu przez rozkaz gabinetowy berliński, wzbraniający mu przyjazdu do dzierżaw pruskich; a choć dozwolono mu w roku następnym przyjazdu do t. zw.

[1]) Przedmowa do książki K. M. Morawskiego «Ignacy Potocki», XVI sq.

Prus Nowowschodnich, lecz dzięki jadowitej, denuncjacyjnej opinji ministrów Alvenslebena i Schroettera, utrzymano konfiskatę starostwa kidulskiego i zakaz bezwarunkowy przyjazdu do Berlina. Przyszła nareszcie kolej prześladowcza również i na rząd austrjacki, kiedy latem t. r. schorowanego Ignacego uwięziono na kuracji w Bardjowie, sprowadzono do Krakowa i tam długiej, męczącej poddano indagacji.

«Po zwolnieniu z tej ostatniej opresji austrjackiej, wysiadując u siebie w cichym, ubogim niemal Kurowie, osamotniony zupełnie po dawniejszej stracie małżonki, a świeżej jedynego ukochanego dziecka, niszczącą nękany niemocą, przecie raz po razie budził się z odrętwienia Ignacy, ilekroć potężny nowożytny powiew dziejowy przynosił nowe przesilenia losów narodowych. Tak więc jesienią 1805 r. stanął w Puławach przed Aleksandrem I, przybywającym tam po raz pierwszy z ułudą odbudowania Polski. Tak w latach następnych w Tylży i za początków Księstwa Warszawskiego, aczkolwiek sam, przez pamięć na przewodni jego udział w Insurekcji, a także być może przez wzgląd na dane Pawłowi, a wiadome Aleksandrowi «słowo honoru», oddalony od rządów warszawskich, nieraz przecie, w donioślejszych sprawach ogólnych, kierującemu tam bratu Stanisławowi światłą w pomoc przychodził radą. Tak wreszcie, zelektryzowany widokiem naocznym świetnych kampanij galicyjskich sukcesów, porwał się raz jeszcze ostatnim zapasem przedśmiertnej energji, aby w Wiedniu przed panem świata, przed Napoleonem, raz jeszcze podnieść głos mocny za Polską, i aby w służbie Polski tam na obczyźnie spracowanego, stroskanego, a najpewniej skróconego skrytobójczą ręką trucicielską, dokonać żywota».

Podejrzenia co do otrucia potrzebują jeszcze potwierdzenia; prawdopodobnie są, wbrew zdaniu Askenazego, nieuzasadnione.

Ignacy Potocki umarł 20 sierpnia 1809 r. Zwłoki jego zostały z Wiednia sprowadzone do kraju i pochowane w Wilanowie.

Uniwersytet Warszawski BIBLIOTEKA Wydz. Hum. Filia w Białymstoku
121203

SPIS RZECZY

		Str.
Wstęp		V
Przedmowa		1
I.	U źródeł anarchji polskiej	9
II.	Stan Polski w pierwszej połowie w. XVII.	42
III.	Czasy Saskie	67
IV.	Epoka rozbiorów	105
V.	Radziwiłł «Panie Kochanku»	177
VI.	Kajetan Sołtyk	204
VII.	Katarzyna z Potockich Kossakowska	215
VIII.	Seweryn Rzewuski	227
IX.	Ksawery Branicki	239
X.	Józef i Szymon Kossakowscy	255
XI.	Polityka Polska zewnętrzna i wewnętrzna w pierwszej połowie w. XVII.	267
XII.	Stan Polski w drugiej połowie w. XVII.	331
XIII.	Polska a Europa w pierwszej połowie w. XVIII.	365
XIV.	Czartoryscy i Poniatowscy	404
XV.	Franciszek Salezy i Szczęsny Potoccy	466
XVI.	Przywódcy sejmu Czteroletniego	507

Hd 121203

5305